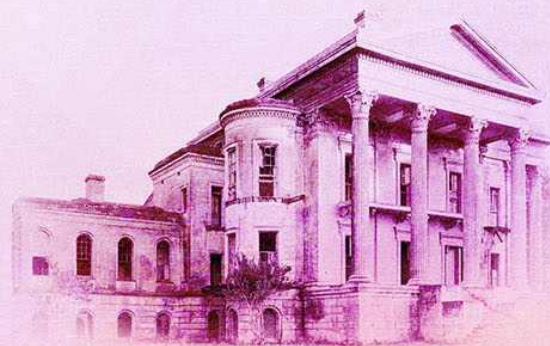


LEILA
MEACHAM
TYTANI

„WIELBICIELE SAGI OSZALEJĄ
Z ZACHWYTU”.

— BOOKLIST



LEILA
MEACHAM
TYTANI

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Petecka-Jurek



Tytuł oryginału:

TITANS

Copyright © 2016 by Leila Meacham

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-285-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Część I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Część II

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Część III

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Pamięci Sary Lynn Leck Robbins,
paleontolożki, niezastąpionej Przyjaciółki*

Dzięki zbiegom okoliczności Bóg pozostaje anonimowy.

STARE POWIEDZENIE

Prolog

Z krzesła przy łóżku Leon Holloway nachylił się nad pobladłą żoną. Leżała w czystej pościeli, wyczerpana po trwającym dziewięć godzin ciężkim porodzie, z zaciśniętymi powiekami, uczesana i z obmytą twarzą.

– Millicent, chcesz zobaczyć bliźnięta? Trzeba je nakarmić – odezwał się Leon cicho, gładząc żonę po czole.

– Tylko jedno – powiedziała, nie otwierając oczu. – Przynies tylko jedno. Nie zniosę dwójki. Ty wybierz. Niech akuszerka weźmie drugie i odda je temu swojemu doktorowi dobroczyńcy. Doktor znajdzie mu dobry dom.

– Millicent. – Leon odsunął się gwałtownie. – Nie możesz tego zrobić.

– Mogę, Leonie. Zniosę jedno przekleństwo, ale nie dwa. Zrób, jak mówię, albo, Boże dopomóż, utopię oboje.

– Millicent, kochanie... jeszcze na to za wcześnie. Na pewno zmienisz zdanie.

– Zrób, co mówię, Leonie. Ja nie żartuję.

Leon podniósł się ociężale. Żona nie otworzyła oczu, usta miała zaciśnięte. Przepelniająca ją gorycz mówiła mu, że spełni swoją groźbę. Opuścił sypialnię i po schodach zszedł do kuchni, gdzie akuszerka już obmyła i zawinęła krzyczące bliźnięta.

– Trzeba je nakarmić – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Kto to widział, żeby zamiast nakarmić dzieci, matka kazała się wpierv umyć! W życiu o czymś takim nie słyszałam. Już sama chciałam je przystawić do piersi, bez obrazy, panie Holloway. Bóg jeden wie, że mleka mam aż nadto.

– Nic się nie stało, pani Mahoney – odparł Leon – i... byłbym zobowiązany, gdyby nakarmiła pani jedno z nich. Żona mówi, że z dwójką sobie nie poradzi.

Twarz pani Mahoney stężała z pogardy. Z pochodzenia była Irlandką, a jej obfite, pełne mleka piersi zdradzały, że sama niedawno powiła dziecko, już trzecie. Nie lubiła leżącej w sypialni na piętrze wyniosłej kobiety o rudozłotych włosach, która tak bardzo dbała o swoją urodę. Chętnie wygarnęłaby mężowi tej paniusi, co myśli o zimnym i bezdusznym stosunku jego żony do nowo narodzonych dzieciątek, choć po prawdzie nikt się nie spodziewał, że będzie ich dwoje. Teraz jednak martwiła się tylko, aby nakarmić jedno z dzieci. Zaczęła odpinać stanik sukni.

– Dobrze, panie Holloway. Które to ma być?

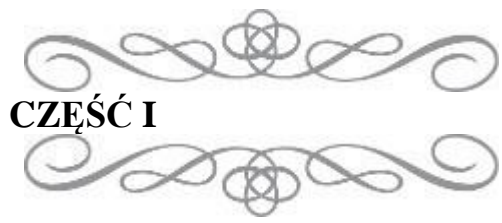
Leon zacisnął powieki i odwrócił się tyłem do kobiety. Wybór, które dziecko przystawi do piersi jego matka, a które ktoś obcy, był dla niego tragedią nie do zniesienia.

– Niech je pani położy inaczej... albo zostawi tak, jak leżą – polecił

akuszerce. – Wskażę to, które pani weźmie.

Słyszał, jak akuszerka wypełnia jego polecenie; po chwili, nie patrząc, wskazał palcem. Kiedy się odwrócił, ujrzał, że wzięła młodsze z bliźniąt, to, które po przyjściu na świat w pośpiechu zawinął w znalezione naprędce dziurawe prześcieradło. Szybko chwycił drugiego noworodka. Jego siostra już ssła łączywie swój pierwszy posiłek.

– Jeszcze tu wrócę, pani Mahoney. Proszę poczekać. Będziemy musieli porozmawiać.



CZEŚĆ I



Nathan

Rozdział 1

FARMA BARROWSÓW W POBLIŻU GAINESVILLE, TEKSAS, 1900 ROK

Dzień, w którym życie Nathana Hollowaya zmieniło się na zawsze, zaczął się jak zwykle. Zak, owczarek niemiecki, którego Nathan uratował i wychował od szczeniaka, polizał go po twarzy ciepłym jęzorem. Niezbyt zachwycony mokrą pobudką odepchnął psa.

– Auć, Zak – powiedział, ale szeptem, żeby nie obudzić młodszego brata, który spał w łóżku po drugiej stronie pokoju.

Do wschodu słońca została jeszcze godzina i w pomieszczeniu było zimno i ciemno. Nathan, w samej tylko koszuli nocnej, zadygotał z chłodu. Bielizna, koszula i spodnie leżały na krześle obok, gdzie je zostawił, żeby po cichu i bez trudu się w nie ubrać. Randolph mógł pospać sobie jeszcze z godzinkę i Nathanowi zdrowo by się oberwało, gdyby brata obudził.

Z butami i skarpetkami w ręce oraz z nieodstępującym go psem wyszedł do holu i usiadł na ławie, żeby ubrać się do końca. Z kuchni docierały zapachy smażonego bekonu i cebuli. Nie ma nic lepszego niż bekon i jajka na śniadanie w zimny poranek, gdy ma się przed sobą długi i pracowity dzień, pomyślał Nathan. Zak, jak zawsze bezbłędnie odczytujący każdy gest i myśl swojego pana, pomachał ogonem, całkowicie zgadzając się z Nathanem. Młodzieniec zaśmiał się pod nosem i poczochnął psi kark. Będą też ziemniaki i gorące herbatniki z dżemem.

Matka stała przy piecu, obracając bekon. Była już ubrana, z włosami starannie upiętymi w kok i w czystym fartuchu.

– Dobry, mamó – powiedział Nathan zaspanym głosem, śpiesząc do wychodka. Żaden mężczyzna w rodzinie nie mógł korzystać rano z nocnika, nawet zimą. Tylko jego siostra księżniczka miała do tego prawo. Panowie musieli chodzić do wychodka na zewnątrz. Później Nathan umyje się w przedsionku przy kuchni, gdzie było ciepło, a woda w dzbanku wciąż była gorąca.

– Obudziłeś brata? – zapytała matka, nie odwracając się od pieca.

– Nie. Jeszcze śpi.

– Dzisiaj ma ten ważny sprawdzian. Powinien się wyspać.

– Tak, mamó. Tato już wstał?

– Poszedł po drewno do pieca.

Nathan zapinał właśnie kurtkę, kiedy ojciec wszedł tylnymi drzwiami z naręczem dębiny, której narąbali jesienią.

– Dzień dobry, synu. Dobrze spałeś?

– Tak, tato.

– Grzeczny chłopak. Czeka cię pracowity dzień.

– Tak, tato.

Co rano odbywali taką samą rozmowę. Każdy dzień Nathana był pracowity, odkąd dwa lata temu skończył szkołę. W sobotę, jak w pozostałe dni tygodnia, miał do wypełnienia swoje obowiązki, co mu jednak nie przeszkadzało. Lubił pracę na farmie, świeże powietrze i samotność; tylko on, niebo, ziemia i zwierzęta. Wziął od ojca zapaloną latarnię, chwycił sprany worek po mące z wiadrem i ręcznikiem i poszedł do wygodki. Zak podreptał za nim i kiedy jego pan się załatwiał, on zrobił to samo na skraju ciemnego lasu. Potem obaj skierowali się do obory, gdzie Nathana czekały pierwsze poranne obowiązki.

Mleczna krowa, Daisy, zaryczała radośnie ze swojej zagrody.

– Hej, staruszko – powiedział Nathan. – Zaraz się tobą zajmujemy.

Zanim wziął stołek i otworzył zagrodę, poświecił latarnią po oborze, żeby sprawdzić, czy niechciany gość nie schronił się w niej przed chłodem marcowej nocy. Bywało, że jakiś włóczęga ukrył się na stryszku, a czasem przy cieplejszej pogodzie w kącie czał się zwinięty wąż. Kiedyś rozjuszony ranny lis siedział w szopie na narzędzia.

Uspokojony, że tym razem nie znalazł żadnego intruza, Nathan powiesił latarnię i otworzył zagrodę. Daisy wyszła z niej nieśpiesznie, kierując się prosto do swojego koryta z paszą. Kiedy będzie jadła, Nathan ją wydoi. Najpierw oczyścił boki zwierzęcia z sierści i brudu, które mogłyby wpaść do mleka, potem wyjął z worka wiadro i ręcznik, którym wytarł krowie sutki. Wreszcie podstawił wiadro pod napęczniałe wymię. Zak tymczasem usiadł przy swoim panu, niecierpliwie czekając na pierwszy strumień ciepłego mleka.

Daisy pozwalała się wydoić tylko Nathanowi. Z nikim innym nie chciała współpracować. Nathan dotykał ręką jej prawego boku, a ona posłusznie cofała tylne nogi, żeby mógł wziąć się za dojenie. Przy ojcu i rodzeństwie zapierała się, a kiedy siłą odsuwali jej nogi, muczała żałośnie i dygotała, chociaż opróżniali jej nabrzmiące boleśnie wymię. „Tylko ty wiesz, jak z nią postępować” – mawiał ojciec.

Nie przeszkadzało to ani Nathanowi, ani jego rodzeństwu, bratu młodszemu o dwa lata i siostrze młodszej o trzy. Oboje się wysypiali i nie musieli zimnym świtem chodzić do obory. Nathan jednak lubił te chwile samotności. Zapach siana i ciepło bijące od zwierząt, zwłaszcza zimą, uspokajały go przed czekającym go dniem.

Oślonił wypełnione mlekiem wiadro i postawił je wysoko, żeby Zak nie mógł go dosięgnąć, kiedy on będzie karmił i poił konie oraz wyprowadzał krowę na pastwisko. Wschodzące słońce zalewało złocistym blaskiem akry brązowej ziemi farmy Barrowsów. Wkrótce zazielenią się kiełkującą pszenicą. Gospodarstwo, które od 1840 roku przechodziło z ojca na syna, wciąż nazywano farmą Barrowsów. Liam Barrows, ojciec matki Nathana, był ostatnim z męskich

potomków noszących to nazwisko. Jego dwaj synowie zmarli, zanim zdążyli odziedziczyć farmę, i ziemia przypadła jedynej córce, Millicent Holloway. Nathan wiedział, że któregoś dnia farma będzie należała do niego. Przeznaczeniem jego młodszego i mądrzejszego brata były wznioślejsze rzeczy, natomiast siostra, Lily, wyjdzie za mąż. O ślicznotkę już zabiegali synowie zamożnych rodzin z Gainesville, Montague i Denton, a nawet z miast po drugiej stronie granicy, na Terytorium Indiańskim. „Nie spędzę życia w płóciennym fartuchu” – nieraz oznajmiała rodzinie jego siostra księżniczka.

Lecz i temu Nathan się nie sprzeciwiał. Z rodzeństwem żył w zgodzie, ale nie łączyła ich bliska więź. Brat i siostra byli niemal jak bliźnięta. Mieli podobne marzenia – chcieli być bogaci i poważani – i taki sam cel: opuścić farmę. W wieku prawie dwudziestu lat Nathan doszedł do wniosku, że ten, kto czuje się szczęśliwy, będąc tym, kim jest, robiąc to, co lubi, i nie pragnąc niczego więcej, może się uważać za prawdziwego bogacza.

I tak tego ranka, gdy wychodził z obory z wiadrzem mleka w ręce, myślał tylko o gorącej cebuli z bekonem i posmarowanych masłem herbatnikach, które zje na śniadanie, zanim wyruszy na południowe pastwisko, żeby naprawić ogrodzenie. Kiedy wszedł do kuchni, rodzina siadała właśnie do stołu. Jak zwykle jego rodzeństwo zajęło miejsca po obu stronach matki na jednym krańcu stołu, on zaś – koło ojca, naprzeciwko. Odkąd Nathan pamiętał, zawsze tak siedzieli: Randolph, Lily i matka w jednej grupie, on i ojciec osobno, w drugiej. Jak o wielu innych rzeczach wiedział o tym, ale się nad tym nie zastanawiał, dopóki późnym popołudniem nie zawitał do nich nieznajomy.

Rozdział 2

Kiedy Nathan schował młotek, piłę i gwoździe i ze skrzynką na narzędzia oraz pudełkiem na lunch w ręce ruszył do domu, za jego plecami zachodziło już słońce. Dawno zdążył zjeść przygotowane przez matkę kanapki z dodatkową cebulą i bekonem, które zapakowała mu do pudełka razem z piklami, pomidorem i gotowanym jajkiem, i teraz głodny niecierpliwie wyglądał kolacji. Będzie już na niego czekała, ale chwilę potrwa, zanim do niej usiądzie. Najpierw będzie musiał wydoić Daisy. Przed zachodem słońca brat i siostra oporządzą konie, świnie i kury, zostanie mu więc tylko Daisy, zanim umyty dołączy do rodziny przy stole.

Na to właśnie czekał, kiedy pod koniec dnia wracał do domu. Jego matka była wyśmienitą kucharką i suto ich karmiła, on zaś lubił przed pójściem spać posiedzieć w towarzystwie rodziny. Niedługo jego rodzeństwo wyjdzie z domu. Siedemnastoletni Randolph, uczeń ostatniej klasy, już został przyjęty na Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku, gdzie miał studiować prawo. Szesnastoletnia siostra za rok, może dwa, na pewno wyjdzie za męża. Nie wyobrażał sobie rodzinnych wieczorów bez nich. Sam niewiele mówił. Podobnie jak ojca rzadko pytano go o zdanie i jak ojciec w zasadzie się nie odzywał. Był milczącym słuchaczem, czwartym do kart i gier planszowych (matka nie grała), przynosił drewno, dokładał do ognia i dolewał kakao do kubków. Mimo to, choć przeważnie ignorowany, czuł się częścią rodziny, równie niezastąpioną jak zegar na kominku.

Zak dreptał przy jego nodze, chyba że trzeba było rozpedzić stadko gołębi albo pogonić królika. Nathan odetchnął głęboko zimnym marcowym powietrzem, najbardziej rześkim właśnie o zmierzchu, kiedy słońce już zaszło, a wiatr ucichł, i wypuścił je z poczuciem zadowolenia. To był udany dzień. Ojciec się ucieszy, słysząc, że synowi udało się naprawić całe południowe ogrodzenie; zakup dodatkowego drewna się opłacił. Czasem się nie zgadzali, że trzeba coś zrobić, ponosząc przy tym dodatkowe koszty, ale ojciec zawsze liczył się ze zdaniem syna i często mu ustępował. Nieraz słyszał, jak mówi do żony: „Chłopak naprawdę zna się na rzeczy, bez dwóch zdań”. Matka rzadko odpowiadała, niekiedy tylko prychała z cicha albo mówiła „yhy”, lecz Nathan wiedział, że zwyczajnie nie chce, żeby mu się poprzewracało w głowie.

Tak jakby to w ogóle było możliwe, pomyślał sobie, zwłaszcza w porównaniu z bratem czy siostrą. Nathan był przekonany – choć raczej rzadko się nad sobą zastanawiał – że jest zwyczajny jak bochenek chleba. Poza wzrostem, silną budową ciała i oczami w dziwnym błękitno-zielonym kolorze niczym się nie wyróżniał. Czasem z lekkim żalem myślał sobie, że kiedy Pan Bóg obdzielał wyjątkowym intelektem, talentami, charakterem i urodą, on znalazł się gdzieś pośrodku, podczas gdy Randolphowi i Lily dostało się wszystko co najlepsze.

Przyjmował swój los bez urazy, bo po co komu być przystojnym i ujmującym do uprawiania pszenicy i zajmowania się farmą?

Od zabudowań dzieliło go jeszcze jakieś trzydzieści metrów, gdy przed białym drewnianym domem rodzinnym zauważył powóz zaprzężony w dwa konie. Nie miał pojęcia, do kogo mogły należeć dwa rasowe konie i elegancki, drogi powóz. Nie znał nikogo w Gainesville, kto posiadałby tak wspaniałą zaprzęg. Domyślał się, że właścicielem jest jeden z bogatych konkurentów Lily, który przybył z Denton albo nawet z Montague po drugiej stronie granicy. Siostra poznała kilku kawalerów parę miesięcy temu, kiedy najbogatsza kobieta w mieście, chrzestna jego matki, wydała przyjęcie, na którym Lily wystąpiła jako debiutantka i została wprowadzona do towarzystwa. Nathan się dziwił, że konkurent zjawił się w trakcie roku szkolnego, i to o tak późnej porze. Ojciec na pewno jest niezadowolony, ale miał niewiele do powiedzenia. Jeśli chodziło o Lily, to do Millicent należało ostatnie słowo, a bogatym młodym kawalerom zawsze była przychylna.

Nathan skręcił w stronę obory, gdy w oknie powozu pojawiła się czyjaś głowa. Mężczyzna w średnim wieku, widząc Nathana, otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię.

– Patrzcie państwo, oto i nasz młodzieniec! – wykrzyknął. – Ty jesteś ten chłopak, co to żeśmy po niego przyjechali?

Irlandczyk, bez dwóch zdań, i najwyraźniej woźnica, pomyślał Nathan. Odruchowo obejrzał się za siebie, niemal pewny, że mężczyzna nie mówi do niego. Popatrzył z powrotem na gościa.

– Ja? – zapytał.

– Tak, ty.

– Na pewno nie.

– Jeśli to ty, to lepiej wejdź do domu. On nie lubi, jak mu się każe czekać.

– Kto nie lubi, jak mu się każe czekać?

– Mój pracodawca. Pan Trevor Waverling.

– Nigdy o nim nie słyszałem. – Nathan skierował się w stronę obory.

– Czekaj! Czekaj! – krzyknął mężczyzna i zdenerwowany pobiegł za nim. – Trza ci iść do domu, chłopaku. Bo inaczej pan Waverling nie odjedzie. – Woźnica dogonił Nathana. – Zimno mi... i cały się trzęsę. Nic żech nie jadł od śniadania – zajęczał.

Mimo jego nieskrywanej rozpacz i ubioru – schludnego zakietu, spodni w prążek i cylindra – godnego woźnicy tak eleganckiego powozu, mężczyzna wydał się Nathanowi komiczny. Nie był jakoś szczególnie niski, ale nogi miał nieproporcjonalnie krótkie w stosunku do tułowia. Wydatny brzuch zdawał się opierać wprost na nich, a uszy i irlandzkie rude włosy sterczały spod wysokiego cylindra, przez co wyglądał, jakby na głowie miał rurę od piecyka. Przypominał

Nathanowi cyrkowego klauna, którego kiedyś widział.

– Cóż, to fatalnie się składa – powiedział Nathan – ale ja muszę wydoić krowę.

Przyśpieszył, zaciekawiony, kim też może być ów pan Waverling i dlaczego chce się z nim widzieć. Gdyby faktycznie przyjechał spotkać się z nim, ojciec posłałby po niego parobka; teraz jednak Nathan musiał zająć się Daisy.

Wóznicą pobiegł z powrotem w stronę domu, Nathan zaś czym prędzej ruszył do obory. Zanim jeszcze do niej dotarł, usłyszał, jak Randolph bije Daisy.

– Stójże, zarazo!

– Co ty robisz? – krzyknął Nathan, stając w otwartych drzwiach, zdziwiony, że Randolph i Lily usiłują wydoić Daisy.

– A jak myślisz? – warknął Randolph.

– Odsuń się od niej – rozkazał Nathan. – To moja robota.

– Niech on to robi – poprosiła błagalnie Lily. – Nie potrafię jej utrzymać.

– Nie – odparł Randolph. – Tata powiedział, że jak się tylko zjawi, od razu ma iść do domu.

Rodzeństwo często rozmawiało o nim tak, jakby go przy tym nie było, w trzeciej osobie. Kiedy grali w karty albo w jakąś grę planszową, zachowywali się, jakby nie siedział naprzeciwko nich, po drugiej stronie stołu. „Ciekawe, jakie ma karty – mówili do siebie. – Myślisz, że ma swojego króla?”

– Odsuńcie się od niej – rozkazującym tonem powiedział Nathan. – Nigdzie nie idę, dopóki nie wydoję Daisy. Spokojnie, staruszko. – Pogładził dłonią drżący bok krowy. – Nathan już tu jest.

Daisy ryknęła przeciągle, a siostra i brat się odsunęli. W sprawach dotyczących farmy Nathan zaraz po ojcu miał decydujący głos.

– Kim jest pan Waverling i czemu chce się ze mną widzieć? – zapytał Nathan.

Brat i siostra spojrzeli po sobie.

– Nie wiemy – odezwali się jednocześnie, a Lily dodała: – Ale jest bogaty.

– Kiedy się pojawił, kazali nam wyjść z domu – rzekł Randolph – ale mama i tata kłócili się z nim o ciebie.

– O mnie? – zdziwił się Nathan, ciągnąc za krowie wymiona. Kto by się o niego kłócił? – Nic więcej nie wiecie?

Zak usiadł przy nim i udało mu się chłepnąć trochę świeżego mleka.

– Nie, ale wydaje się nam... wydaje się, że przyjechał, żeby cię zabrać, Nathanie – powiedziała Lily. Drobnutka i delikatna, podeszła od tyłu do starszego brata, objęła go ramionami i obronnym gestem przytuliła się do jego pleców. – Boję się – dodała cichutko.

– Ja też – zawtórował jej Randolph. – Masz kłopoty? Chyba nie zrobiłeś niczego złego, prawda, Nathanie?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Nathan.

Zabrać go? O co tu chodziło?

– Co to za głupie pytanie, Randolphie – zezłościła się Lily. – Nathan nigdy nie robi niczego złego.

– Wiem, ale musiałem zapytać – wyjaśnił jej brat. – Ten człowiek to ktoś ważny. Mama prawie zemdląła, kiedy go zobaczyła. A tato kazał nam się natychmiast wynosić z domu. Domyślasz się, kto to może być?

– Ani trochę – rzekł zdziwiony Nathan. – Niby skąd?

– Nie wiem. Wydawało się, że cię zna. I jesteś do niego podobny... tak jakby.

Ktoś wszedł do obory. Obejrzeni się wszyscy. W drzwiach stał ojciec. Chrząknął.

– Nathanie – odezwał się smutnym głosem – jak skończysz, przyjdź do domu. Randolphie i Lily, wy zostańcie tutaj.

– Ale mam zadanie do odrobienia – zaprotestował Randolph.

– Później to zrobisz – rzekł Leon, odwracając się do wyjścia. – Na kolację wypijcie mleko.

Nathan skończył doić Daisy i wprowadził ją do boksu, po czym wyszedł z obory odprowadzany zaniepokojonymi spojrzeniami rodzeństwa. Zmierzch zdążył już zapaść i nastąpiło przenikliwie zimno. Ojciec czekał na niego w połowie drogi do domu. Nathan zauważył, że klaun schował się na powrót w powozie.

– O co chodzi, tato? – zapytał Nathan.

Ojciec nachylił się nagle i obiema dłońmi ujął jego twarz.

– Tato! Co, u licha... – Czyżby ojciec płakał? – O co chodzi? Co się stało?

Na ganku pojawiła się wysoka postać. Mężczyzna przystanął, po czym zszedł po schodkach i zbliżył się do nich, mając za plecami światło padające z otwartych drzwi. Był bogato ubrany, w płaszcz ze świetnej wełny, i biła od niego pewność siebie. Przystojny, szczupły, o nieco drapieżnym wyglądzie. Jak zgadywał Nathan, musiał być po czterdziestce.

– To z mojego powodu – odezwał się.

Nathan przyjrzał mu się od stóp do głów.

– Kim pan jest? – zapytał, wbijając wzrok w zielone jak morska woda oczy, tak bardzo podobne do jego własnych. Nigdy by się nie odważył, ale chciał objąć ojca ramieniem w obronnym geście.

– Jestem twoim ojcem – rzekł mężczyzna.

Rozdział 3

Nathan zmarszczył brwi i przekrzywił głowę, jakby słyszał dobiegające echo, tylko nie potrafił powiedzieć skąd.

– Słucham?

Mężczyzna uniósł dłonie jak ktoś, kto chce uciszyć tłum.

– Przykro mi, że dowiadujesz się w ten sposób. Liczyłem, że nasze spotkanie nie będzie... takie szokujące, ale jesteś moim synem, Nathanie. Obecny tu pan Holloway – wskazał na Leona – jest twoim ojczymem, ale to ja jestem twoim ojcem.

Nathan nie zdołał się opanować. Z natury nie był zaczepny, ale tym razem w nagłym przypływie wściekłości niemal podniósł rękę, żeby zdzielić pięścią przystojną twarz. Za kogo uważa się ten mężczyzna, zjawiając się na ich ziemi i swoimi słowami doprowadzając jego ojca do płaczu, czego Nathan nigdy nie widział ani nie spodziewał się ujrzeć? Chciał pobiec do obory po widły, zapędzić obcego do powozu i wygnać go jak najdalej stąd. Nie pojmował, dlaczego ojciec jeszcze tego nie zrobił.

– Uciekłeś pan z domu wariatów? – powiedział, zapominając o wrodzonym szacunku dla osób starszych, którego rodzice nigdy nie musieli go uczyć. – Nie inaczej, sądząc po tych bzdurach. Albo okrutnie się pan pomyliłeś. – Wskazał na Leona, który wyprostował się i odwrócił, żeby otrzeć twarz rękawem kurtki. – To jest mój ojciec.

– Ten człowiek cię wychował, ale synem jesteś moim – odparł przybysz. – Twoja matka może o tym zaświadczyć. Może wejdziemy do środka i tam porozmawiamy? Chętnie ogrzałbym się nieco przy ogniu.

– Nie mamy o czym rozmawiać i jeśli o mnie chodzi, to możesz pan sobie tu zamarznąć. – Potężniejszy i wyższy od ojca Nathan zasłonił sobą Leona. – Wynocha z naszej farmy.

– Synu... Nathanie – przemówił Leon, wycierając nos w wielką chustkę. – Musisz go wysłuchać. Ten człowiek mówi prawdę. Wejdźmy lepiej do domu.

Nathan nie zamierzał ustąpić.

– Tatusiu... – Ogarnięty przerażeniem, zwrócił się do ojca, jak robił to w dzieciństwie. – O czym on mówi?

– Mówi, że jest twoim ojcem, synu, i tak jest.

W uszach Nathana te słowa zabrzmiały niczym wystrzał. Leon uspokajającym gestem ujął syna za łokieć.

– Przepraszam, że w ten sposób dowiadujesz się... prawdy – powiedział, a w jego głosie słychać było przepelnioną smutkiem rezygnację.

Nieznamy spróbował ująć Nathana za drugie ramię, chłopak jednak

odtrącił go i odsunął się od nich obu. Spojrzał za siebie na brata i siostrę, wysuwających głowy zza drzwi obory. Mieli zmartwione, przestraszone twarze. Był ich starszym bratem, obrońcą, solidnym, znajomym elementem ich życia. Nigdy, nawet przez chwilę, nie wątpili, że zawsze przy nich będzie. Nathan wiedział, że to ojciec powinien ich uspokoić, mimo to krzyknął do nich.

– Nic się nie dzieje. Zostańcie tam jeszcze jakiś czas. Uspokójcie Daisy. Przestraszyła się.

– Dobrze – odparł Randolph niepewnie. – Ale... przyjdiesz po nas niedługo?

– Obiecuję – rzekł Nathan.

Trzej mężczyźni ruszyli ku domowi, a Zak, wyczuwając napięcie, dreptał przy nodze swojego pana.

– Widzę, że byłeś dobrym bratem dla rodzeństwa, Nathanie – powiedział Trevor Waverling.

– Nie byłem. Jestem! – oznajmił Nathan zdecydowanie.

– Hm, bez trudu wychwytyjesz też niuanse – rzucił Trevor.

Nathan milczał. Usta miał tak wysuszone, że nawet nie potrafił splunąć. Niuanse? Kim był ten człowiek i czemu ojciec tak spokojnie godzi się na to szaleństwo? Gdy mężczyzna uprzejmym gestem wskazał, by Nathan wraz z ojcem weszli po schodach przed nim, chłopak pomyślał, czyby nie zatrzaskać i nie zaryglować mu drzwi przed nosem.

Matka siedziała na twardej wiktoriańskiej sofie, w salonie, z którego korzystali, tylko przyjmując gości. Na jej widok Nathan gwałtownie przystanął. Ledwo rozpoznawał piękną twarz matki, teraz zimną i pobladłą. Nigdy też nie widział u niej tak czarnych oczu. Nie zwracając uwagi na niego ani na ojca, morderczy wzrok skierowała na stojącego za Leonem mężczyznę.

– Miejmy to już za sobą, Leonie, żebyśmy mogli się go pozbyć – rozkazała, niemal nie poruszając zbielełymi ustami, ani na chwilę nie odrywając oczu od nieznanego.

Nathan patrzył na rodziców bezradnie.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, o co chodzi?

– Z radością – rzekł Trevor Waverling. – Wiele lat temu, dokładnie dwadzieścia jeden, między twoją matką i mną doszło do... zbliżenia...

– Zgwałciłeś mnie, ty piekielny pomocie! – wrzasnęła matka.

– Millicent, nic podobnego nie miało miejsca. Byłaś tak samo chętna jak ja.

– Proszę was, bardzo was proszę. – Leon zamachał rękami. – Przestańcie!

Chłopak nie musi znać wszystkich plugawych szczegółów. I tak przeżył wielki wstrząs, dowiadując się w ten sposób, że człowiek, którego miał za ojca... tak naprawdę nim nie jest. – Spojrzał na Nathana, a do oczu znowu napłynęły mu łzy. – To twój ojciec. – Drżącym palcem wskazał na Trevora.

– Możesz temu zaprzeczyć? – Trevor postąpił ku Nathanowi. – Popatrz na nas. Gdyby nie dzielący nas wiek, moglibyśmy być braćmi: ten sam wzrost, podobna budowa ciała i bez wątpienia kolor oczu. Mamy je po mojej matce. Jeszcze żyje i nie może się doczekać, żeby cię poznać... twoja babcia.

Nathan odsunął się od niego. Szczupła twarz mężczyzny, wysokie, ostro zarysowane kości policzkowe i smukła sylwetka w niczym go nie przypominały.

– Nie wierzę panu – powiedział. Rozgorączkowany popatrzył na matkę, szukając potwierdzenia, że ten mężczyzna to złośliwy kpiarz, a całe zajście jest tylko okrutnym żartem, ona jednak nie odrywała wzroku od przybysza. Obrócił się do ojca i serce w nim zamarło, gdy ujrzał w jego oczach rozpacz. – Tato...?

– Prawdą jest to, co mówi, Nathanie. Nie jesteś moim synem... w biologicznym sensie. Twoja matka, kiedy za mnie wychodziła, była w ciąży. Z tym mężczyzną. – Leon skinieniem głowy wskazał Trevora. – Twoja matka wie, że to prawda.

– Ale ja nie wiedziałem o ciąży, Nathanie. Gdyby tak było, przyjechałbym po ciebie wcześniej. Bóg mi świadkiem, że tak bym zrobił – oznajmił Trevor Waverling.

Wstrząśnięty i oniemiały Nathan osunął się na jeden z pięknych kwiecistych foteli, na których tak rzadko siadał. Popatrzył na matkę.

– Mamo? Czy on mówi prawdę?

– Prawdą jest tylko to, że jesteś jego synem. Reszta to same kłamstwa. On mnie zgwałcił. Chociaż mówi inaczej, nigdy tego nie chciałam, poza tym już wcześniej wiedział o twoim istnieniu. Dawno temu kierownik poczty powiedział mi, że ktoś go wypytywał o najstarszego syna Hollowayów. Miałeś wtedy czternaście lat, Nathanie. Ten... ten podlec wysłał kogoś, żeby się wywiedział, czy jesteś wart zachodu. Ale nie zniżył się do tego, żeby przyjechać osobiście. – Matka obrzuciła Trevora spojrzeniem tak nienawistnym, że Nathanowi włos zjeżył się na głowie. – Potem, w zeszłym roku, spotkałam twoją nauczycielkę, która powiedziała mi, że niedługo przed końcem szkoły rozmawiał z nią jakiś człowiek i pytał o ciebie. Jak ci idzie w szkole? Czy jesteś bystry? Zdrowy? Tłumaczył się, że szuka uczniów, którym można przyznać stypendium na studia.

Słyszac to, Leon się ożywił.

– Czemu nic nie mówiłaś, że wypytyją o niego jacyś ludzie?

– Ponieważ znając ciebie, tylko byś jeszcze bardziej namieszał, doszedłbyś do wniosku, że trzeba chłopakowi powiedzieć, że szuka go jego ojciec, i byś się zastanawiał, jak najlepiej nie dopuścić do skandalu.

Trevor z niesmakiem popatrzył na Millicent.

– Więc martwiłaś się tylko skandalem? Jakie to typowe dla ciebie, Millicent.

– Och, daj sobie spokój z tym moralizowaniem, Trevorze Waverling! Uwierz mi, ten człowiek – Millicent wskazała na Trevora – nie przyjechałby tutaj, gdybyś

się okazał nieudacznikiem, Nathanie. Zostawiłby mnie i Leona samych z tym kłopotem.

Nathan aż się skulił, zdumiony wściekłością matki. Jej cienkie, rozciągnięte wargi były zupełnie blade. W nagłym oślepiającym przeblysku Nathan zrozumiał źródło bólu, który ćmił się w nim, odkąd był na tyle duży, żeby zauważyć różnicę, z jaką matka traktowała jego i rodzeństwo. Darzył ją jednak zbyt wielką miłością i szacunkiem, by to przyznać. Był najstarszy. Matka oczekiwała od niego więcej, rzadziej go chwaliła. Ale teraz już wiedział. Przypominał jej mężczyznę, którego nienawidziła, choć instynkt podpowiadał Nathanowi, że w zakamarkach duszy wciąż coś do niego czuła.

Rozdział 4

Nathan podniósł wzrok na mężczyznę. Musiał przyznać, że łączy ich pewne podobieństwo.

– Po co pan przyjechał?

Trevor Waverling wyprostował się, a doskonale skrojony wełniany płaszcz podkreślił siłę i szerokość jego barków.

– Żeby uznać cię za mojego syna. I zabrać ze sobą do domu, jeśli zgodzisz się pojechać.

– Dlaczego?

Zadane błyskawicznie pytanie zdumiało Trevora. Otworzył usta, zanim umysł zdołał znaleźć odpowiedź.

– Dlaczego? – powtórzył, gdy już wiedział, co powiedzieć. – Ponieważ chciałbym, żebyś uczestniczył w moim życiu, oto dlaczego. I chcę dla ciebie czegoś lepszego niż to, co tu masz.

– Żadne życie nie jest od tego lepsze.

Mężczyzna podszedł i stanął nad Nathanem.

– Skąd wiesz, Nathanie? Znasz tylko to miejsce. Jestem bogatym człowiekiem i chcę swoją fortunę dzielić z tobą. Jeżeli wszystko się ułoży, uczynię cię swoim dziedzicem...

– A jeśli się nie ułoży? – zaatakował Nathan. – Co wtedy? Zwolni mnie pan ze stanowiska spadkobiercy?

Po raz kolejny Trevor spróbował odpowiedzieć, ale zabrakło mu słów.

– Ta rozmowa nie przebiega tak, jak bym tego chciał. Opacznie rozumiesz moje słowa. Może poszlibyśmy porozmawiać gdzie indziej, żebym mógł ci o sobie opowiedzieć... wytłumaczyć, co mam ci do zaoferowania...

Nathan poderwał się gwałtownie z fotela.

– Nie jestem zainteresowany. To jest mój dom i to są moi rodzice. Nigdzie z panem nie pójdę.

Trevor rozłożył ręce w błagalnym geście.

– Nathanie, proszę. Nie chcesz poznać swojego ojca?

– A pan nie chciał wcześniej poznać swojego syna?

– Nie, nie chciał! – krzyknęła gniewnie Millicent.

– Dobrze już. Dobrze! – rzucił Trevor podniesionym głosem, w którym dało się słyszeć zniecierpliwienie. – Przyznaję. Wypytywałem o ciebie. Każdy na moim miejscu by tak zrobił, ale przysięgam, nie wiedziałem, że twoja matka była w ciąży, kiedy ją zostawiłem. Dopiero sześć lat temu jeden z moich sprzedawców przejeżdżał przez Gainesville i powiedział mi, że widział w sklepie chłopca, który mógłby być moim synem. Wspomniał o tym mimochodem, żartobliwie pytając,

czy nie spędziłem kiedyś nocy w miasteczku w hrabstwie Cooke.

Millicent krzyknęła z oburzeniem i chciała zaprotestować, ale Leon odzyskał już panowanie nad sobą.

– Zamilcz, Millicent – rzekł cichym, lecz nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Nathan musi to usłyszeć.

Millicent zdumiona popatrzyła na męża i w milczącym uporze zacisnęła usta. Trevor mówił dalej.

– Wobec tego wysłałem tutaj zaufanego pracownika, żeby się rozeznał w sytuacji. Zrobił ci zdjęcie...

Z wewnętrznej kieszeni dobył portfel i wyjął z niego fotografię, którą podsunął Nathanowi. Nathan stał na niej na drodze koło ogrodzenia. Pamiętał dzień, w którym jakiś mężczyzna zapytał, czy może mu zrobić zdjęcie na tle falujących za nim pól pszenicy. Powiedział, że jest fotografem i pracuje dla czasopisma „Progressive Farmer”.

– Kiedy zobaczyłem to zdjęcie, od razu wiedziałem, że jesteś moim synem – ciągnął Trevor, odbierając od niego fotografię. – W wieku czternastu lat wyglądałem dokładnie tak samo jak ty. Nie przyjechałem po ciebie, bo... cóż, jakżebym mógł? Chodziłeś jeszcze do szkoły i wyglądałeś na szczęśliwego, mieszkając tu z matką i... mężczyzną, którego uważałeś za ojca. Nie chciałem tego niszczyć, ale teraz, gdy minęły dwa lata, odkąd skończyłeś szkołę, uznałem, że mam prawo i obowiązek przyjechać. Zaczekałem aż do dnia twoich dwudziestych urodzin. Sądziłem, że to odpowiednia chwila, abyś mnie poznał.

Nathan wpatrywał się w niego. Dzisiaj są jego urodziny? Powinien był pamiętać. To ważny dzień w życiu chłopaka, ale całkiem zapomniał, bo odkąd skończył szkołę, dni miały niezauważenie, każdy podobny do poprzedniego, i tylko zmieniające się pory roku przynosiły ważne wydarzenia.

Ale rodzina także zapomniała.

– Skąd pan wiedział, że dzisiaj są moje urodziny? – zapytał Trevora.

– Sprawdziłem twoje dokumenty w budynku sądu hrabstwa.

Leon obrócił się do Millicent.

– Upiekłaś mu tort?

– Ja... zapomniałam. Myślałam tylko o tym, że dzisiaj wypada pranie...

– I że musisz skończyć szyć suknię Lily na to przyjęcie w Denton, na które została zaproszona – powiedział Leon lodowatym tonem.

– Boże, Millicent! – Trevor patrzył na kobietę z niechęcią. – Widzę już, jak się tu rzeczy mają. Nathan haruje niczym najemny parobek, ale ty szyjesz suknie dla swojej córki i oszczędzasz każdy grosz, żeby drugiego syna posłać na Uniwersytet Columbia. – Wyglądał, jakby chciał z obrzydzeniem splunąć Millicent pod nogi. Ona jednak skrzyżowała tylko ręce na piersiach i odwróciła głowę w stronę kominka, zupełnie obojętna.

Leon zwrócił się do Nathana, który z przerażeniem obserwował całą scenę.

– Mówię to z pękającym sercem, ale cóż w tym złego, że wysłuchasz tego człowieka. W końcu jest twoim ojcem.

Trevor znowu rozłożył dłonie w proszącym geście. Były duże i silne, lecz gładkie i zadbane.

– Może moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności...

Zdumiony, zakłopotany i dotknięty Nathan wyjąkał:

– Nie ma gdzie. Mój brat i siostra muszą wrócić do domu. W oborze jest zimno, a brat musi się uczyć w naszym pokoju.

– W takim razie my chodźmy porozmawiać do obory – zaproponował Trevor. – Proszę, Nathanie.

Już dwa razy powiedział „proszę”, co, jak się Nathan domyślał, człowiekowi takiemu jak on nie przychodziło łatwo. Nathan był zdezorientowany, jakby nagle znalazł się w zawiei śnieżnej, w której znikło wszystko znajome.

– Nie dzisiaj – rzekł. – Potrzebuję czasu, żeby sobie przemyśleć... wszystko, co usłyszałem. Potem zobaczymy.

W kącikach ust Trevora pojawiło się rozczarowanie, w oczach zgasła nadzieja.

– Chyba nie mogę prosić o więcej. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Dobrze więc. – Otworzył skórzany portfel, schował w nim fotografię, wyjął natomiast wizytówkę. – Tutaj są informacje, jak możesz się ze mną skontaktować, kiedy będziesz już gotowy mnie wysłuchać. Tu jest adres mojej firmy albo... – Piórem napisał coś na odwrocie wizytówki. – ...możesz pisać na adres mojej rezydencji. Jak widzisz, jedna i druga mieszczą się w Dallas. Przyjeżdż, zobacz, gdzie pracuję, albo jeśli wolisz, możemy spotkać się w Gainesville. Gdybyś chciał, mogę nawet przyjechać tutaj.

– Nie tutaj, Trevorze. – Millicent popatrzyła na niego z gniewem. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na swojej ziemi, słyszysz? Jeśli jeszcze kiedyś cię tu ujrzę, zastrzelę cię. – Popatrzyła ostro na Nathana. – I zabierz stąd tego psa, Nathanie. Wiesz, że nie wolno mu tu wchodzić.

Nathan spojrzał na matkę. Na jej progu stanął obcy, którego nigdy wcześniej nie widział, oznajmiając, że jest jego ojcem, a ona myśli tylko o swojej do niego nienawiści i o tym, że pies nie ma prawa przebywać w jej salonie. Nie przejęła się wstrząsem, jaki przeżył jej syn, jego niedowierzaniem, cierpieniem. Bolesna prawda mieszała się z okrutnym odkryciem. Matka go nie kochała. Nie kochała i nigdy nie pokocha. Pod taksującym wzrokiem syna Millicent się speszyła. W jednej chwili uświadomiła sobie, że odtąd Nathan już nigdy nie będzie myślał o niej tak samo.

– Zak, chodź ze mną, piesku – rzucił Nathan, klepiąc się w udo.

Wyszedł z salonu. Rodzice, tak jak i Trevor, bez słowa pozwolili mu odejść.

Zrozumieli, że chłopak dotarł do punktu, w którym dalsza rozmowa nie ma sensu. Wyszedł w zapadający zmierzch, nie bacząc na zimno kłusujące go w twarz. Nie czuł już głodu. Mimo cienkiej roboczej kurtki spadek temperatury nie zrobił na nim wrażenia. W oknie powozu, w którym woźnica skrył się przed zimnem, pojawiła się jego twarz.

– Mój szef niedługo przyjdzie? – zawołał.

– Nie ma powodu, żeby tu zostać – odkrzyknął Nathan, nie zwalniając kroku.

Randolph i Lily, przykryci końską derką, leżeli na sianie. Na przemian pili mleko z wiadra.

– Możecie wracać – odezwał się Nathan, zanim głos mu się załamał.

Lily odrzuciła derkę i podbiegła do niego.

– Nathanie, co się stało? Kim jest ten mężczyzna w domu?

– Nie mam pojęcia.

– Po co przyjechał? – zapytał Randolph.

– Przyjechał w rodzinnej sprawie – odparł Nathan.

Lily niespokojnie wpatrywała się w niego.

– Co on ci zrobił?

– On... zniszczył coś, czego nie da się naprawić.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręce wizytówkę, którą dał mu nieznamy. Spojrzał na nią i nazwisko Trevor Waldo Waverling poraziło mu oczy jak rozżarzony pręt. I z przerażającą jasnością zrozumiał, że nie jest Hollowayem. Wstrząśnięty do głębi musiał się chwycić belki, żeby ustać na nogach. Oślepiły go napływające do oczu łzy. Ścisnęło go w gardle. Był Waverlingiem. W jego żyłach nie płynęła krew mężczyzny, który opiekował się nim troskliwie od dnia narodzin, który uczył go chodzić, czytać, jeździć konno, pracować na farmie, którego kochał i do którego, jak wierzył, był podobny.

– O Boże! Ty płaczesz? – pisnął Randolph.

Lily dotknęła ramienia Nathana.

– Co się dzieje? – zapytała błagalnie.

– Dajcie mu spokój, dzieci, i wracajcie do domu. Kolacja czeka. – Od drzwi rozległ się rozkazujący głos Leona.

Randolph stęknął z ulgą.

– Nareszcie – powiedział. – Mamy wziąć mleko?

– Jeśli chcecie je na kolację.

Randolph chwycił wiadro, wzdychając niezadowolony, że musi się wysilić, Lily natomiast wspięła się na palce i pocałowała starszego brata w ucho.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła cichutko i wybiegła za Randolphem z obory.

Rozdział 5

Nie będzie dobrze. Nathan o tym wiedział. Leon podszedł do niego, powłócząc nogami, zgarbiony w swojej farmerskiej kurtce, z rękami wepchniętymi w kieszenie ogrodniczek.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się.

Na zewnątrz rozległ się stukot końskich kopyt i skrzypienie kół odjeżdżającego powozu. Nathan domyślał się, że Trevor Waverling sądził, że jego syn spakuje swoje rzeczy i pojedzie razem z nim. Inaczej przybyłby pociągiem.

Wzruszył ramionami i otarł oczy.

– Dla ciebie to musi być tak samo trudne jak dla mnie.

Leon odwrócił do góry dnem dwa wiadra i postawił je na podłodze obory.

– Bo ja straciłem syna, a ty ojca? Ani jedno, ani drugie nie jest prawdą, Nathanie. Musisz w to wierzyć. Pokrewieństwo to nie kwestia krwi, ale tego, co czujemy. Jesteś moim synem. Zawsze nim byłeś i zawsze będziesz. A ja zawsze będę twoim ojcem. Nic na tym bożym świecie... niczyje żądanie... nie jest w stanie tego zmienić. – Po raz kolejny Leon wyjął z kieszeni chusteczkę. Ze łzami w oczach wydmuchał w nią nos.

– No tak, ale... – rzekł Nathan, siadając na przygotowanym przez Leona wiadrze. – Prawda wszystko zmienia, no nie?

Leon usiadł na drugim wiadrze. Zak czujnie zajął miejsce między nimi.

– Wszystko poza tym, co czujemy.

Nathan podał Leonowi wizytówkę.

– Co on robi?

Leon przeczytał na głos.

– WAVERLING TOOLS. Powiedział, że głównie produkują maszyny wiertnicze do drażenia studni wodnych i szybów solnych.

– Nie znam się na tym i wcale mnie to nie obchodzi.

– Powiedział też, że był dwukrotnie żonaty, teraz jest rozwiedziony i ma jedno dziecko, opóźnioną w rozwoju córkę, Rebeccę. Dwunastolatkę. Mieszka z jego matką, twoją babcią. On sam ma czterdzieści sześć lat.

– Wierzysz, że zgwałcił mamę?

Leon oddał mu wizytówkę i wsparł się o biodro, żeby schować chusteczkę do kieszeni.

– Wierzę, że twoja matka w to wierzy. Nigdy nie miałem pewności. Dawniej uchodziła za piękność nie tylko w Gainesville, ale i w Denton. Jako śliczna jedynaczka zamożnych rodziców i oczko w głowie bogatej, bezdzietnej matki chrzestnej była rozpuszczona jak dziadowski bicz i dorastała w przekonaniu, że cały świat należy do niej, tak samo jak nauczyła tego Lily. Zakochałem się w niej,

kiedy byłem w czwartej klasie, a ona zaczęła chodzić do szkoły, była jak z obrazka, najładniejsza ze wszystkich. Nosiłem jej książki. Pilnowałem, żeby nikt jej nie dokuczał. Byłem dla niej jak starszy brat. Mogła mi powiedzieć o wszystkim, i mówiła. Gdy miałem osiemnaście lat, zacząłem pracować na farmie jej rodziców. Widziałem, jak chłopcy ustawiają się do niej w kolejce, kiedy była jeszcze w szkole, potem, gdy skończyła szkołę dla panien, też nie mogła się opędzić od adoratorów. Ale wszystkich trzymała na dystans, dopóki w mieście nie zjawił się Trevor Waverling. Musiał mieć wtedy z dwadzieścia pięć lat.

Nathan nigdy nie słyszał tej historii.

– Po co przyjechał do Gainesville?

– Zmarła jego ciotka. Zostawiła mu sklep z siodłami i uprzążami, który odziedziczyła po swoim mężu. Trevora nie interesowało prowadzenie interesu w takiej miejscinie jak Gainesville, został tu więc do czasu, aż go sprzedał.

– I wtedy poznał matkę.

Leon wstał i przyłożył zapaloną zapałkę do lampy.

– Tak. Widziałem go z dwa, może trzy razy. Przystojny był z niego diabeł. Słyszałem, że panie oszalały na jego punkcie, ale on upatrzył sobie twoją matkę, a przynajmniej ona tak twierdzi. Nie odstępował jej na krok, póki nie sprzedał sklepu, po czym się ulotnił, zostawiając ją w ciąży. Jej ojciec zwrócił się do mnie. Powiedział, że żaden przyzwoity mężczyzna jej nie zechce. – Leon spróbował się uśmiechnąć kwaśno, ale mu się nie udało. Znowu usiadł na wiadrze. – Dokładnie tak mi powiedział.

Nathan nigdy nie lubił ojca matki. Liam Barrows nie miał czasu dla pierworodnego wnuka i opędzał się od niego jak od natrętnej muchy, Nathan jednak nie lubił dziadka głównie dlatego, że zięcia traktował niczym najemnego parobka. Dzisiaj w końcu dowiedział się, jaki był powód jego niechęci. Zmarł, kiedy Nathan miał dziesięć lat, żona zaś przeżyła go zaledwie o rok. Farmę odziedziczyła Millicent.

– Mówił prawdę, gdy twierdził, że nie wiedział o ciąży matki? – zapytał Nathan.

Leon wygrzebał żdźbło z beli siana i włożył je sobie do ust.

– Tak, w to akurat wierzę. Nie twierdzę, że coś by zrobił, ale z całą pewnością nie wiedział.

– Skąd masz tę pewność?

– Ponieważ nawet twoja matka nie wiedziała, zorientowała się dopiero dwa miesiące po wyjeździe Trevora.

– Więc nienawidzi go za to, że się z nią nie ożenił, a nie dlatego, że miała z nim dziecko?

– Tak mi się wydaje.

– Dziwne, że kobieta nienawidzi mężczyzny przez tyle lat, chociaż ma

najlepszego męża pod słońcem i trójkę udanych dzieci.

– Trevor Waverling był jedynym mężczyzną, którego twoja matka nie mogła mieć. To była dla niej obraza i nigdy mu tego nie zapomniała. Wydaje mi się, że nawet nie chodziło o gwałt. Przez niego została zmuszona do poślubienia mężczyzny z niższej sfery i do zostania żoną farmera, a nie takiego życia się spodziewała, i nigdy Trevorowi tego nie wybaczyła.

I urodziła syna, którego nie chciała, pomyślał Nathan. Teraz wszystko nabrało sensu. Zrozumiał, czemu matka nigdy nie zwracała się wprost do niego, a kiedy mówiła, odwracała głowę bokiem. Wyjrzał przez otwarte okno obory na niebo, na którym pojawiła się właśnie pierwsza gwiazda. Przyznanie tego sprawiło mu okrutny ból, ale musiał się zgodzić z ojcem: nie był dzieckiem zrodzonym z gwałtu, lecz i tym nie miał szans zasłużyć sobie na miłość matki.

– Zastanawiam się, czemu przyjechał akurat teraz – powiedział.

Leon ssał słomkę.

– Może jest tak, jak mówił. Że chce mieć dziedzica.

Nathan otulił się szczelniej kurtką.

– Cóż, pojawił się o dwadzieścia lat za późno, ale czuję, że kryje się za tym coś więcej. Przyjechał z jakiegoś innego powodu.

– W takim razie może powinieneś się tego dowiedzieć – rzekł Leon.

Nathan popatrzył na niego zdziwiony.

– Po co? Nie chcę znać tego człowieka. Sam powiedziałeś, że jesteś moim ojcem. Na co mi on?

Leon wydawał się wyraźnie skrępowany. Nathan bez trudu się domyślił, że jest coś, o czym ojcu ciężko mówić. Znowu poczuł niepokój.

– Tato, o co chodzi?

Leon wypluł przeżutą słomkę.

– No cóż, synu, w zasadzie możesz usłyszeć resztę. Przyjąć wszystkie ciosy naraz. W ten sposób rany szybciej zaczną się goić.

– O czym ty mówisz, tato?

– O farmie, Nathanie. Nie będzie twoja... moja też nie, ale o tym wiedziałem, żeniąc się z twoją matką. Farmę dostaną w spadku Randolph i Lily.

Nathan zerwał się na równe nogi.

– Co?! Dlaczego? Nie mają zielonego pojęcia o farmerstwie. Nienawidzą tego miejsca. Od razu ją sprzedadzą!

– Wiem o tym. Ty wiesz, Millicent też, ale to nie ma najmniejszego znaczenia.

Nathan znowu opadł na wiadro, zbyt wstrząśnięty, żeby stać.

– Jak ona może, tato? Wie, jak bardzo kocham tę farmę, że dla niej żyję i że w każdym innym miejscu będę jak ryba wyrzucona z wody.

– To się nie liczy, synu. Chciałbym, żeby było inaczej, jest w końcu twoją

matką, ale farma nic dla niej nie znaczy, nie wtedy, kiedy dzięki niej można zapewnić finansową przyszłość Randolphowi i Lily, i dlatego... – Leon skubnął się w wargę.

Nathana przeszył dreszcz.

– Dlatego co, tato?

– Twoja matka wystawia farmę na sprzedaż. Chce kupić dom w Gainesville, zanim Randolph wyjedzie na studia.

– Boże! – Nathan znowu się poderwał, nie wierząc własnym uszom. Rozpaczliwym gestem przeczesał włosy.

– Co się stanie z tobą, kiedy ją sprzeda?

– Mówi, że mogę pracować u nowych właścicieli albo zamieszkać z nią w mieście.

Nathan się zachwiał. Niemal poczuł, jak poruszyła się ziemia pod jego stopami. Jego poukładany, pewny świat w jednej chwili runął, a wszystko, w co wierzył i co kochał, leżało roztrzaskane jak po przejściu tornada. Chwycił się rękami za głowę.

– My się dla niej w ogóle nie liczymy, prawda?

Leon zaśmiał się gorzko.

– Och, liczymy się dla Millicent, synu, tyle że Randolph i Lily liczą się o wiele bardziej. Ale tu nie chodzi o mnie. Porozmawiajmy o tobie... o tej szansie, która ci się trafiła jak ślepej kurze ziarno.

Rozdział 6

– O szansie?

– Którą chce ci dać Trevor Waverling – powiedział Leon. – Myślę, że powinieneś z niej skorzystać, bo tutaj nie ma dla ciebie przyszłości. Musisz to zrozumieć. – Daisy, jakby wyczuwając, o czym mowa, zaryczała melancholijnie, a dwa konie pociągowe zastrzygły uszami i odwróciły łby, żeby spojrzeć na nich ponad ścianką boksu. – Żaden chłopak w swoje dwudzieste urodziny nie powinien usłyszeć takiej dawki prawdy, ale takie są fakty, synu.

Nathan znowu usiadł, wyczerpany.

– Od kiedy wiedziałeś, że mama nie ma zamiaru zostawić mi farmy?

– Dowiedziałem się dopiero kilka tygodni temu, gdy znalazłem kopię jej testamentu. Ponieważ farma należy do rodziny od kilku pokoleń, zakładałem, że chce ją zapisać waszej trójce. Ty byś ją prowadził, a zyskami dzielił się z rodzeństwem.

– Przyrodnim rodzeństwem – poprawił go Nathan, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że brat i siostra tylko w połowie są tej samej krwi co on. Pewnie dlatego zawsze czuł, że coś ich dzieli.

– Zapytałem Millicent o testament – mówił dalej Leon. – Okropnie się wtedy pokłóciliśmy. Zmieszala się... choć tyle miała przyzwoitości... i oznajmiła, że początkowo wszystko miało zostać po staremu do czasu jej śmierci, chyba że będą potrzebne pieniądze. Wtedy się dowiedziałem, że postanowiła sprzedać farmę.

– Zapytałeś ją, co będzie ze mną?

Leon pogładził się po kolanie, jak zwykle, kiedy miał przekazać niepomysłne wieści, a smutek pogłębił jeszcze bardziej zmarszczki na jego pooranej twarzy.

– Zapytałem. Powiedziała, że jeśli postanowi sprzedać farmę przed śmiercią, ty cieszysz się taką dobrą opinią, że pracę znajdziesz wszędzie. Ludzie chętnie cię zatrudnią, pewnie nawet zrobią zarządcą.

Nathanowi wprost nie mieściło się to w głowie. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Podszedł do Daisy i poklepał ją po boku. Niemal wszystkie prawdy, jakie znał, prawie całą swoją wiedzę i mądrość posiadał, obcując z przyrodą. Przypomniawszy mu się przejrzysty, błękitny strumień, który uwielbiał jako dziecko. Fruwało nad nim mrowie motyli. Któregoś dnia strumień wysechł i zostało po nim tylko wyżłobienie w piachu. Nathan pamiętał, jak stał nad suchym korytem i głęboko zasmucony zastanawiał się, jak najpiękniejsze i najważniejsze rzeczy na ziemi mogą ot tak po prostu zniknąć. Jak teraz. Dzisiaj rano szedł na południowe pastwisko i myślał, jakim jest szczęściarzem, że może robić to, co kocha, na ziemi, którą kocha, mieć wspaniałą rodzinę i dom, które na niego czekają, kiedy dzień ma

się ku końcowi. Minęło dwanaście godzin i wszystko to znikło niczym poranna rosa tuż przed wschodem słońca.

Wrócił do ojca i usiadł na wiadrze.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? – zapytał.

– Najpierw próbowałem wymyślić, jak to zrobić, i musiałem załatwić jedną rzecz. No i nie chciałem ukrywać przed tobą jeszcze jednego sekretu.

– Jakiego sekretu? – Nathan poderwał głowę w oczekiwaniu na kolejny cios.

Leon poczerwieniał aż do nasady rzednących jasnych włosów.

– Ach, zapomnij o tym. To nie ma z tobą nic wspólnego, więc nie dręcz mnie.

Nathan mu nie uwierzył. Jeśli sekret nie miał z nim nic wspólnego, to czemu ojciec nie chciał mu go zdradzić?

– A co jeszcze chciałeś załatwić? – zapytał przekonany, że to, co nieomal się ojcu wymknęło, na pewno dotyczyło jego, czuł jednak, że teraz nic z Leona nie wydusi.

– Odłożyłem na boku trochę pieniędzy, o których twoja matka nie wie. Oszczędzałem je dla ciebie. Stary Man Sawyer myśli, czyby nie sprzedać kawałka ziemi, i pomyślałem sobie, że z nim pogadam, czy nie zgodziłby się na zaliczkę, jak przyjdzie pora. W banku mam dobrą opinię i resztę mógłbym pożyczyć. Moglibyśmy pracować jak dotąd, tyle że na swoim. Matka mogłaby zamieszkać z nami, gdyby chciała. Albo... – Leon wzruszył ramionami. – To by zależało od niej. Nic więcej nie mogłem zrobić, synu.

Nathan potrząsnął głową, czując, jakby dawno wyschnięty strumień znowu zaczął płynąć.

– To czemu tak nie zrobimy? – zapytał. – Ja też trochę przyoszczędziłem z moich zarobków.

Leon pochylił się ku niemu.

– Bo teraz masz wróbla w garści, Nathanie. Nie wiemy, co przyniesie jutro. Dopiero co się przekonałeś, że niczego nie można być pewnym. Przez dwa tygodnie, licząc na cud, próbowałem wybić matce z głowy zamiar sprzedania farmy. Myślałem, że może ruszy ją sumienie i zmieni zdanie. Nie miałem pojęcia, że ten cud pojawi się w osobie Trevora Waverlinga.

– On mi się nie podoba – powiedział Nathan.

– To nie powód, żeby go nie wysłuchać, synu, zobaczyć, co ma do zaproponowania. Wiesz przecież, że ma rację. Znasz jedynie to miejsce.

– Nigdy nie chciałem poznawać niczego innego.

– W takim razie, na litość boską – wykrzyknął Leon, uderzając dłonią w kolano – upewnij się, że naprawdę nie chcesz. Przekonaj się, że interesuje cię tylko farmerstwo, że do niczego innego się nie nadajesz. Przekonaj się, że nie chcesz mieć nic wspólnego z Trevorem Waverlingiem. Uwierz mi, synu, jeśli teraz

tego nie zrobisz, przyjdzie czas, że będziesz żałował.

Nathan pokiwał głową.

– Jak matka.

– Codziennie o tym myśli.

Popatrzył na wizytówkę.

– Jeśli pojedę i porozmawiam z nim, i nie spodoba mi się to, co usłyszę, będziesz gotów dać zaliczkę panu Sawyerowi?

– Przyrzekam ci to, synu.

Nathan wyciągnął rękę.

– Zawsze będziesz moim ojcem, tato. Nie mógłbym mieć lepszego.

Leon wyciągnął swoją i uściśnił sobie dłonie.

– Ani ja lepszego syna.

– Powiedziałem Nathanowi o twoim testamencie, Millicent. Miał prawo wiedzieć – oznajmił Leon, rozbierając się do snu w sypialni.

Siedząca przy toalecie żona spojrzała na niego ostro w lustrze.

– Byłeś przekonany, że musisz to zrobić, prawda? Teraz już na pewno mnie znienawidził.

– Nie nienawidzi cię, moja mała Millie. To do niego niepodobne, ale na pewno już nigdy nie będzie czuł do ciebie tego samego co dawniej.

Millicent wykrzywiła wargi.

– A ty dopilnujesz, żeby tak było, prawda?

– Nie – odparł Leon, zdejmując buty. – Znasz mnie przecież. Ale na pewno nie będę go więcej zwodził. I nie martwiłbym się, że powie komukolwiek o tym, czego się dzisiaj dowiedział, nawet Randolphowi i Lily. Wstydzi się tak samo jak ty. Chyba nie zamierzasz im powiedzieć, że Nathan jest ich przyrodnim bratem?

– Oczywiście, że nie. Nic dobrego by z tego nie wynikło.

Leon uśmiechnął się drwiąco.

– Skoro już tyle się wydało, powiesz mu o tej ostatniej rzeczy?

Millicent odwróciła się gwałtownie od lustra. Miała na sobie koszulę nocną, długą, wykończoną koronką przy szyi i rękawach. Włosy, w ciągu dnia upięte w kok, teraz wyszczotkowane spływały długą, lśniąca falą na jej ramiona. Ani jeden siwy włos nie kalał ich złocistorudego blasku. W wieku czterdziestu jeden lat Millicent Barrows nadal była najpiękniejszą kobietą, jaką Leon widział w swoim życiu, i jej uroda wciąż zapierała mu dech w piersiach.

– Absolutnie nie, i niech nawet przez myśl ci nie przejdzie, żeby mu powiedzieć, Leonie Holloway. Wystarczająco źle się stało, że wie już, że nie jesteś jego ojcem. Gdyby się jeszcze dowiedział, że oddaliśmy jego siostrę bliźniaczkę, nie miałby powodu, żeby milczeć. Pomyśl tylko, przez taki skandal Lily nigdy nie wyszłaby dobrze za męża... i jaką przyszłość miałby Randolph?

– Na własnej skórze się o tym przekonałaś, prawda, Millicent? – rzekł Leon,

uśmiechając się szeroko. – Tylko nie zapominaj, że to ty oddałaś naszą córkę. Ja tego na siebie nie wezmę.

Millicent machnęła lekceważąco ręką, ale wyraźnie się zaniepokoiła.

– Leonie, obiecałeś mi, że dotrzymasz naszego sekretu. Do śmierci cię z tej obietnicy nie zwolnię. Jak dotąd nigdy nie złamałeś danego słowa, ale gdybyś to zrobił, zapomnę, co do ciebie czuję. A moje uczucia są chyba dla ciebie ważne?

Leon westchnął.

– Tak, Millie, są bardzo ważne, chociaż szczerze tego żałuję. – Stanął za żoną i zaczął masować jej ramiona. – Nigdy o niej nie myślałaś? Gdzie jest, czy jest bezpieczna, zdrowa, szczęśliwa, jak wygląda?

W odbitych w lustrze oczach Millicent pojawiło się wahanie. Przymknęła powieki i rozluźniła się pod dotykiem Leona.

– Staram się tego nie robić. Co by mi z tego przyszło?

– No właśnie, co by ci z tego przyszło? – Nagle Leon zapragnął sprawić jej ból. Sięgając od tyłu, z całej siły ścisnął piersi żony. – A co do tych uczuć, które dla ciebie żywię mimo twojego podłego serca... – powiedział. – Musimy coś z nimi zrobić.

Samantha

Rozdział 7

FORT WORTH, TEKSAS, 23 MARCA 1900 ROKU

Samantha Gordon patrzyła na zaproszonych na jej dwudzieste urodziny gości siedzących przy długim, oświetlonym blaskiem świec stole. Przyszły jej dawne koleżanki z klasy, a także znajomi ranczerzy, od dawna zaprzyjaźnieni z Gordonami, wraz z dziećmi. Samantha wolałaby, żeby przyjęcie odbyło się na farmie Las Tres Lomas de la Trinidad, bo wtedy mogliby w nim uczestniczyć wszyscy pracownicy, matka jednak uparła się, że wielki salon w stylu rustykalnym w wiejskim domu jest zbyt nieformalny, by świętować w nim tak ważne urodziny.

– Na miłość boską, Neal! – Estelle spierała się z mężem, który zwrócił się do niej w imieniu Samantha. – Znając twoją córkę, najchętniej urządziłaby przyjęcie w baraku, a goście częstowaliby się jedzeniem z kuchni polowej.

Kiedy się o tym dowiedziała, Samantha śmiała się z jak zwykle lubiącej przesadzać matki, chociaż w gruncie rzeczy nie było to dalekie od prawdy. Teraz jednak, patrząc na znajome twarze, słysząc śmiech i gwar rozmów, musiała przyznać, że dwudzieste urodziny powinny być obchodzone w gronie ludzi, którzy znali ją całe życie. Parobkowie przychodzą i odchodzą. Tylko Grizzly, kucharz na farmie, i Wayne Harris, zarządca, pracowali u nich od chwili, gdy Samantha, mając zaledwie cztery dni, trafiła w ramiona swoich rodziców.

Przy długim stole siedziało dwadzieścia osób. Każdego roku Estelle Gordon dodawała jednego gościa, by było ich dokładnie tylu, ile jej córka kończyła akurat lat. Zestawiano stoły i przesuwano meble, żeby wszystkich pomieścić. Matka na pewno będzie rozczarowana, ale Samantha już postanowiła, że po raz ostatni w ten sposób obchodzi swoje urodziny. Dwadzieścia jeden lat dla samotnej kobiety oznaczało początek staropanieństwa, które według Samantha było jej pisane i nie widziała powodu, żeby je świętować, ponieważ jedyny mężczyzna, którego skłonna byłaby poślubić, siedział naprzeciwko tegorocznego dodatkowego gościa, olśniewającej piękności, która z całą pewnością zostanie jego żoną.

W tej chwili jednak Anne Rutherford nie wzbudzała aprobaty Sloana Singletona, sąsiada Gordonów i towarzysza dzieciennych zabaw Samantha. Na jego przystojnej twarzy malował się lekko gniewny wyraz, podobny do tego, jaki słał Anne ojciec Samantha z drugiego końca stołu. Anne trwała przy swojej teorii – „na podstawie obserwacji” – że za niektóre ludzkie zachowania, cechy charakteru, kolor oczu, włosów czy pewne „inklinacje” (wyszukane słowo okrasiała kokieteryjnym uśmiechem) odpowiadają geny, czasem dobre, czasem złe.

– Jak sądzę, to wyjaśnia moją skłonność do służenia społeczeństwu – zakończyła z olśniewającym uśmiechem skierowanym do gościa, który komplementując ją za jej działalność charytatywną, zapoczątkował dyskusję. –

Moja babcia zawsze przejmowała się losem ubogich.

Tak jak ty się przejmujesz, czy wszyscy cię podziwiają, pomyślała Samantha, czując dreszczyk zadowolenia na widok skrzepowania Sloana wywodem Anne na temat genów w obecności jej i państwa Gordonów. Samantha nic nie mogła powiedzieć o swoim pochodzeniu, ponieważ została adoptowana, o czym Anne aż nadto dobrze wiedziała.

Adoptowana. Nigdy się tym określeniem nie przejmowała. Kiedy była dzieckiem, rodzice i krewni chronili ją przed tym stygmatem. Indiańskie plemiona „adoptowały” porwane wcześniej białe dzieci. Sieroty były „przygarniane” przez krewnych. Oba te słowa oznaczały „branie w niewolę” i „porzucenie”, sugerowały, że dziećmi zajmowano się wyłącznie z dobroci serca, nie czyniąc ich pełnoprawnymi członkami rodzin.

Jednak od samego początku Samantha nie tylko była pełnoprawnym członkiem rodziny, ona była osią, wokół której kręciło się życie jej rodziców adopcyjnych. O tym, że została adoptowana, dowiedziała się, mając sześć lat, gdy z Nowego Jorku przyjechała w odwiedziny niewidziana od dekady kuzynka matki. Rzekomo przybyła podziwiać nowo wybudowany dom Gordonów. W 1886 roku hodowla bydła, w której ojciec Samantha był potentatem w północnym Teksasie, przeżywała okres prawdziwej prosperity i Fort Worth, po ekonomicznej zapaści wojny domowej, okresie odbudowy, surowych zimach i suszach, rozkwitał, zdobywając miano „Królowej Prerii”.

Bogactwo ojca i względnie cywilizowane warunki panujące w mieście sprawiły, że matka nalegała, aby zbudować w nim dom. Dzięki temu ich córka będzie mogła chodzić do szkoły i poznawać „bardziej kulturalne aspekty życia”. Samantha pamiętała, jak mama mówiła to kuzynce Elli, gdy ta wysiadła z wagonu pierwszej klasy pociągu kolei pacyficznej.

– A to kto? – zapytała Ella, spoglądając na nieśmiałą małą dziewczynkę, która zerkała na nią, schowana za spódnicą matki. – Skąd u niej takie rude włosy?

Matka wzięła Samanthaę za rączkę.

– To Samantha, nasza córka.

– Córka? A mnie się wydawało, że nie możesz mieć dzieci, Estelle.

Mocno trzymając Samanthaę za rękę, matka ujęła kuzynkę pod ramię.

– To prawda – powiedziała i zniżając głos, dodała: – Porozmawiamy o tym w domu.

W ten sposób Samantha stopniowo zaczynała pojmować, że nie została fizycznie wydana na świat przez matkę, jako córka jej i ojca. „Dostali” ją jako cud od Boga, co czyniło ją tym bardziej wyjątkową. Mimo to, by uniknąć ewentualnych nieprzyjemności, przyjaciele i rodzina nigdy nie wspominali o adopcji, i tak z czasem ów fakt został zapomniany, a wielu o nim nawet nie wiedziało. Samantha jednak zawsze pamiętała, w czyje kochające ręce trafiła i kto uratował ją przed być

może okrutnym losem.

Zorientowała się, że Todd Baker, świeżo upieczony absolwent wydziału geologii na teksańskim uniwersytecie i jej dawny kolega ze szkoły, którego znała od kołyski, zaczął raczyć towarzystwo opowieściami z ich szkolnych czasów, kiedy to Samantha jako jedyna dziewczynka uczęszczała z nim na zajęcia z nauk ścisłych i „spuszczała chłopakom manto”. Prawie nie słuchała toczącej się rozmowy, która z teorii dziedziczenia przeszła na nauki geologiczne.

– Czym dokładnie jest paleontologia, Samantha? – zwróciła się do niej Anne Rutherford.

Samantha domyśliła się, że to uprzejme pytanie było próbą zaskarżenia sobie przychylności Sloana, niestety, bez powodzenia. Spochmurniał jeszcze bardziej. Wszyscy poza jej rodzicami zwrócili się ku niej z zaciekawieniem. Zainteresowanie Samantha historią Ziemi i związane z tym badanie skał, skamielin i życia roślin było kolejnym krepującym tematem dla państwa Gordonów.

Udzieliła zwięzłej odpowiedzi, opierając się na wiedzy, jaką wyniosła z dawnych szkolnych podręczników.

– To nauka o formach życia istniejących w czasach prehistorycznych – powiedziała.

– Które określa się na podstawie starych skał i skamielin? – dociekała Anne, sceptycznie marszcząc gładkie czoło.

– Owszem, choć może brzmi to dziwnie – odparła Samantha. – Od ponad wieku geolodzy, badając skały, zdobywają zdumiewającą wiedzę o ewolucji Ziemi. Można powiedzieć, że to dokumenty i zapiski z przeszłości. Marcio, opowiedz nam o swojej podróży do San Francisco – zwróciła się do koleżanki siedzącej przy stole, zirytowana, że Todd skierował rozmowę na kolejny temat, którego, jak powinien wiedzieć, jej rodzice woleli unikać.

Nie słuchała jednak, co Marcia odpowiada. Myślała o Sloanie i porozumiewawczym mrugnięciu, jakie posłał jej, kiedy tak sprytnie zmieniła temat rozmowy. Odwróciła od niego wzrok, bo a nuż zdołałby właściwie odczytać rumieniec, jaki pojawił się na jej policzkach. Uczucie, jakie żywiła dla tego chłopca, który stał się już dorosłym mężczyzną i z którym dokazywała w dzieciństwie, było jedynym sekretem, którym się z nim nie podzieliła. Nie miała wątpliwości, że jest skazana na staropanieństwo. Nie pokocha przecież nikogo innego, skoro jej serce należało do Sloana Singletona.

Doktor Donald Tolman przeczytał na głos list, który właśnie napisał. W ten sposób mógł spojrzeć na jego treść z innej perspektywy, niż gdyby czytał w milczeniu. Łatwiej było mu się postawić w sytuacji człowieka, do którego list zaadresował. Jak by się czuł, gdyby był czytającym list Nealem Gordonem? Podarłby go. A może spalił na popiół i nikt by się nie dowiedział, co w nim było. A może by go schował i pozwolił, by po jego śmierci został znaleziony pośród

innych dokumentów. Pokazałby go pani Gordon? Samancie? Nie, był przekonany, że Neal Gordon, twardy, szorstki, bezwzględny ranczer, całym sercem oddany swojej adoptowanej córce, nigdy, przenigdy nie pokazałby jej listu. Neal Gordon znany był z tego, że zazdrośnie strzeże swojej własności, a nikogo nie strzegł równie czujnie jak młodej kobiety, którą przyjął na wychowanie.

Tego Donald Tolman był absolutnie pewny. Śledził losy Gordonów i dziewczynki, którą im zostawił dwadzieścia lat temu. Zwróciłby się do nich wcześniej, gdyby nie byli ludźmi, za których ich uważał – przyzwoitymi, troskliwymi i spragnionymi dziecka. Wiedział o tym od zmarłej siostry, która mieszkała w Fort Worth i przyjaźniła się z Estelle Gordon. Zmarła nie wiedziała o tłumoczkę, z którym jej brat zjawił się u Gordonów w środku nocy pod koniec marca. Gdy pani Mahoney, jego akuszerka, przyszła do niego z porzuconym bliźniakiem, uroczą dziewczyneczką, od razu wiedział, komu powierzy dziecko. Nie sporządzono żadnych dokumentów. Nie przeprowadzono formalnej adopcji. W 1880 roku rejestracja osieroconych bądź porzuconych dzieci na granicy Oklahomy była, mówiąc delikatnie, niedbała. Dziewczynka trafiła prosto w ręce Gordonów, bez udziału jakiegokolwiek agencji rządowej.

Teraz jednak Donald Tolman nie mógł odejść z tego świata, nie zostawiwszy żadnego dowodu stwierdzającego, kim byli prawdziwi rodzice dziewczynki, na wypadek gdyby ktoś się tym kiedyś zaczął interesować, a tym kimś byłaby prawdopodobnie Samantha. Wiedziała, że Gordonowie nie są jej rodzicami. Byłoby to raczej niemożliwe, zważywszy że oni byli ciemni, postawni, mocno zbudowani, ona zaś jasna, drobna i delikatna, o włosach w kolorze zachodzącego jesienią słońca.

Doktor Tolman raz jeszcze przeczytał list, tym razem po cichu, by się upewnić, że nie pominął żadnego z niewielu znanych mu szczegółów. W liście stwierdzał, że rodzicami Samantha byli Leon i Millicent Holloway, a miejscem urodzenia – ich farma, o której wiedział tylko, że leży gdzieś w pobliżu Rzeki Czerwonej. Przy porodzie asystowała akuszerka Bridget Mahoney. Bridget pojechała z wizytą do swojej siostry, również akuszerki w Gainesville, kiedy jednak posłano po nią z farmy, nie było jej akurat w domu, wobec tego zamiast niej pojechała Bridget, osoba dyskretna, więc jak zakładał doktor Tolman, tylko rodzice, on sam, pani Mahoney i Gordonowie wiedzieli, że Samantha była dzieckiem niechcianym. Pani Mahoney przyszła do niego w Marietcie, gdzie mieszkał, na Terytorium Oklahomy. Powiedziała tylko, że matka nie chciała dziewczynki karmić. Doktor Tolman uznał, że o tym w liście nie wspomni. Może rodzice dziecka nie byli w stanie się nim zająć i zaufali akuszerce, że znajdzie dla niego dobry dom. Doktor Tolman był szczęśliwy, że może oddać Gordonom zdrowe dziecko, i nie wypytywał pani Mahoney o nic więcej, Gordonowie zaś pytań mieli jeszcze mniej. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. W liście

doktor Tolman dodawał, że nie posiada żadnych dodatkowych informacji poza tą, że dziewczynka miała brata bliźniaka.

Z uspokojonym sumieniem polizał kopertę i zakleił list. Poczta była niedaleko. Połknął kilka tabletek, popił szklanką wody, wziął laskę, by wesprzeć na niej słabnące ciało, i skierował się do drzwi.

Rozdział 8

Piątego dnia po swoich dwudziestych urodzinach Samantha obudziła się z koszmaru, który od lat już jej nie nawiedzał. Była w nim sierotą porzuconą w miejscu, z którego nie było ucieczki, przed drzwiami ciemnego, przerażającego domu położonego w okolicy przypominającej krajobraz księżycowy. Z walącym sercem i suchością w ustach, z dzwoniącym w uszach krzykiem, który ją obudził, przez chwilę mrugała zdeorientowana, widząc wlewające się przez udrapowane jedwabnymi zasłonami okno do jej sypialni urządzonej na francuską modłę poranne słońce, oświetlające tapetę w kwiatki, zgrabne mebelki i łóżko z baldachimem, na którym leżała. Kojący spokój tej sceny spłynął na nią jak uśmiech anioła. Wszystko w porządku. Jesteś w domu swojej matki. Jesteś bezpieczna. Z coraz spokojniej bijącym sercem wtuliła się głębiej w miękką pościel, podczas gdy ostatnie strzępy snu bladeły.

Winą za powrót koszmaru mogła obarczyć Anne Rutherford i Todda Bakera – Anne za snucie swojej teorii o pokrewieństwie z wyraźną aluzją do pochodzenia Samantha, a Todda za wyciąganie historyjek z laboratoryjnych eksperymentów, które przeprowadzali w szkole. Oba te wątki sprowokowały matkę do pytania, które zadała, kiedy wczoraj w kawiarni Tea and Crumpets przeglądały menu.

– Kochanie, czy teraz, kiedy skończyłaś dwadzieścia lat, jest coś, czego... żałujesz?

Jakie to typowe dla Estelle Gordon – o bolesnych tematach mówić w zawoalowany sposób. „Coś” dotyczyło decyzji Samantha o jej przyszłości. Czy żałowała, że zamiast studiować nauki przyrodnicze w Lasell, seminarium dla pań w Massachusetts, zdecydowała się zostać i uczyć zarządzania ranczem? I... czy nigdy nie była ciekawa swoich korzeni i rodziny, z której pochodzi?

– Nie, mam, niczego nie żałuję – odparła. – Nie zamieniłabym swojego losu na nic innego.

Mówiąc „los”, miała na myśli swój dom, rodziców, sytuację życiową. Samantha uchodziła za osobę nigdy nieunikającą prawdy. Lepiej było jej nie pytać, jeśli nie chciało się otrzymać bezpośredniej odpowiedzi. Matka spojrzała na nią znad krawędzi filiżanki z wdzięcznym uśmiechem w oczach.

Samantha zastanawiała się, czy ojciec, który został na ranczu, podczas gdy ona i matka jak co roku urodzinowy tydzień Samantha spędzały w Fort Worth, zadawał sobie podobne pytanie. Czy skończywszy dwadzieścia lat, Samantha czegoś żałowała? Nigdy nie zapytałby o to wprost, po części wiedziony dumą, po części z obawy przed odpowiedzią, nie oznaczało to jednak, że się nie zastanawiał, czy córka jest tak szczęśliwa, jak mogłaby być, gdyby sprawy potoczyły się

inaczej.

Niech лихо porwie Anne i Todda. To przez nich rodzicom przyszło na myśl, że mogłaby czegoś żałować! Nie żałowała. Wystarczyło, że przypomniała sobie małą dziewczynkę z koszmaru sennego i przerażenie, które wywołał, by zrozumieć, jakie szczęście ją w życiu spotkało. Mamę tak łatwo rozszyfrować. Nietrudno było się domyślić, że wspominki Todda sprawiły, że wróciła pamięcią do chwili, kiedy Gordonowie, bez wiedzy Samantha, zostali poproszeni na spotkanie z dyrektorem szkoły. Samantha również została wywołana z lekcji biologii. Gdy weszła do gabinetu dyrektora, zastała w nim rodziców i pana Latimera, kierownika wydziału nauk przyrodniczych i jej ulubionego nauczyciela. Miała szesnaście lat i już tylko kilka miesięcy dzieliło ją od ukończenia szkoły.

– Panie dyrektorze, jaki jest cel tego spotkania? – zapytał Neal Gordon. – Czy nasza córka ma kłopoty?

Dyrektor i pan Latimer wymienili uśmiechy.

– Wręcz przeciwnie – odparł dyrektor i pchnął w stronę Gordonów list, by go przeczytali. – Państwa córka została przyjęta do Lasell, seminarium dla panien w Massachusetts, gdzie będzie mogła się ubiegać o stopień naukowy. – Skinął głową w stronę kolegi. – Panu Latimerowi należą się podziękowania za wysłanie opinii, w której wymienił wszystkie wyjątkowe osiągnięcia Samantha w szkole. Teraz, Samantha, pozostaje tylko wypełnić formularz aplikacyjny, by oficjalnie zakończyć sprawę.

Samantha pamiętała, jak zeszywniała i pośpiesznie chwyciła list, zanim zdążył trafić w ręce rodziców. Znała niezwykle prestiżową i szanowaną instytucję, słynącą z radykalnego i innowacyjnego podejścia do edukacji kobiet, zwłaszcza w dziedzinie nauk przyrodniczych. Śledziła karierę Annie Montague Alexander, absolwentki Lasell, której prace nad skamielinami i badania paleontologiczne cieszyły się w świecie ogromnym uznaniem. Wyczuwając przerażenie rodziców, Samantha przeczytała entuzjastyczną odpowiedź na prośbę pana Latimera o jej przyjęcie, po czym odłożyła list i załączony formularz z powrotem na biurko.

Dwaj naukowcy spoglądali zdumieni.

– Mm, panno Gordon, może pani rodzice chcieliby przeczytać list – zasugerował dyrektor.

– Decyzja o wstąpieniu do Lasell należy do mnie, a ja odmawiam – powiedziała Samantha. – Czy mogę już wrócić do klasy?

Pan Latimer przeniósł osłupiałe spojrzenie na Gordonów.

– Proszę państwa, Samantha to najzdolniejsza uczennica, jaką kiedykolwiek przyszło mi uczyć. Jest urodzonym naukowcem i dlatego wierzę, że pozwolicie córce spełnić jej powołanie, ofiarować światu jej talent. To rzadki przywilej, z którego nie będzie mogła skorzystać, kiedy ukończy szkołę.

Neal Gordon wstał, podając rękę Estelle.

– Moja córka wie, czego chce, a czego nie – powiedział. – Tak została wychowana i jak sama powiedziała, tylko ona może o sobie decydować.

Jakiś czas później pan Latimer podszedł do Samantha.

– Panno Gordon... Samantho... błagam panią. Proszę nie rezygnować z marzeń o karierze naukowej tylko przez wzgląd na ojca. Przecież uwielbia pani badania i studia nad roślinami i zwierzętami.

– Będę miała aż nadto okazji, żeby robić to w Las Tres Lomas, panie profesorze, a moje zainteresowania to nie marzenia. Dokonałam wyboru.

– Pani ojciec go dokonał.

– Bardzo kocham ranczo. A pracę na nim mam we krwi.

– Jak to możliwe? Kocha pani pasję ojca, nie swoją. Gdyby posiadał sieć sklepów ze słodyczami, byłaby pani tak samo lojalna.

– Być może – przyznała – ale na pewno nie czułabym tego samego do słodyczy, co czuję do krów.

Odtąd pan Latimer prawie przestał się do niej odzywać.

Na urodziny dostała od Todda dwa bilety na wykład znanego paleontologa, który miał mówić o strukturalnych i osadowych warstwach skamieniałości jako sposobie na odkrycie złóż ropy.

– Todd, czemu to zrobiłeś? Chciałeś mnie sprowokować? – zapytała rozgniewana Samantha jakiś czas później, kiedy rozmawiali na osobności, podczas gdy pozostali goście przeszli do salonu na lody i tort.

– Bez jakiegoś konkretnego powodu – odparł Todd. – Pomyślałem sobie, że może zechcesz być na bieżąco. Poszukiwania złóż ropy to kolejny wielki archeologiczny konik, Sam. Ginny i ja wybieramy się na wykład; mój szef też tam będzie. Chcę, żeby moja przyszła żona go poznała i zobaczyła, czym się będzie zajmować jej mąż geolog. Mogłabyś wziąć kogoś znajomego i wybralibyśmy się we czwórkę.

Samantha oddała mu bilety.

– Dziękuję, Todd, ale nie mam pojęcia, kogo mogłabym zaprosić. Znajdźcie sobie z Ginny jakąś inną parę do towarzystwa.

Todd wziął bilety, lecz później znalazła je na tacy na wizytówki w holu.

Todd, student drugiego roku geologii na uniwersytecie w Jackson, był równie niezadowolony jak pan Latimer, nawet oburzony, kiedy się dowiedział, że Samantha zrezygnowała z nauki w seminarium. Nie przekonała go, że stała za tym jej decyzja.

– Uważasz, że jesteś coś winna swoim rodzicom, Sammy! – wykrzyknął.

– Bo jestem! – odparła Samantha. – Gdybyś widział to co ja...

Zacisnęła usta. Nigdy nikomu nie zdradzi tego, co ujrzała i co kazało jej z wdzięcznością rzucić się rodzicom w ramiona.

– Co widział? – zapytał Todd.

– Nieważne – powiedziała.

Tamtego widoku, który przez lata nawiedzał ją w snach, Samantha nigdy nie zapomni. Miała wtedy dziesięć lat. Nauczycielka ze szkoły niedzielnej, poczciwa dusza, wpadła na pomysł, według niej świetny, żeby ofiarować kosze ze świątecznymi smakołykami nieszczęsnym dzieciom pozbawionym rodziców, którzy albo umarli, albo byli biedni, albo zwyczajnie je porzucili. Zaproponowała wycieczkę do Millbrook, domu dla osieroconych dzieci. W szary i zimny niedzielny poranek, zamiast jak zwykle prowadzić lekcje, swoich podopiecznych, opatulonych w ciepłe okrycia, z koszykami pełnymi przysmaków, załadowała na wóz i wyruszyli w drogę. Samantha nigdy nie zapomniała brzydkiego, przerażającego domu, który wyłonił się na końcu wiejskiej błotnistej drogi. Bezkresne, gołe, pozbawione drzew pola otaczały ciemną, groźnie wyglądającą budowlę. Nad ciężkimi drzwiami widniał dumny napis: **BEZPIECZNA PRZYSTAŃ DLA BEZDOMNYCH.**

Samantha od razu przy drzwiach uchwyciła się kurczowo nauczycielki. Już na zawsze w jej pamięci miał pozostać zjełczały smród połączony z ciężkim zapachem gotowanej kapusty, który uderzył ją tuż po wejściu do budynku. Zaraz potem przekonała się, jak mylący może być czyjś wygląd. Na spotkanie wyszła im kobieta, która przedstawiła się jako dyrektorka. Wyglądała niczym żona Świętego Mikołaja. Rumiana i okrągła jak jabłuszko, z włosami splecionymi w warkocze okalające wesołą twarz, uosabiała samą słodycz i dobroć. Po chwili jednak Samantha zauważyła, jak życzliwie uśmiechnięte oczy przybierają lodowaty wyraz, a usta zaciskają się niczym stalowa pułapka. Nie uszedł jej uwagi pęk więziennych kluczy u paska dyrektorki, ostry metalowy koniec różgi wystający z kieszeni, dzieci kulące się pod ręką dotykającą ich ramienia w pozornie czułym geście. W drodze do domu nauczycielka ze szkoły niedzielnej powiedziała, że dyrektorka to urocza osoba, a Samantha nie mogła się nadziwić, jak dorośli mogą być tacy ślepi.

Jedno spojrzenie wyróżniało się pośród ściągniętych twarzątek i pustych oczu wpatrzonych w dzieci ze szkoły niedzielnej, kiedy rozdzielaly koszyki z prezentami. Należało do małej dziewczynki, mniej więcej w wieku Samanthy.

– Dziękuję – powiedziała dziewczynka, spoglądając na Samanthę nieśmiało brązowymi oczami, gdy ta podawała jej koszyk.

Samancie chciało się płakać. Dziewczynka, jak reszta dzieci, sprawiała wrażenie głodnej i niedożywionej. Wychudzona twarzątek, cienkie jak patyczki ramiona i ręce wyglądały na umyte, jednak nie na tyle dokładnie, żeby zlikwidować wyraźne ślady zaniedbania. Przetłuszczone jasne włosy zwisały niechlujnie, pod paznokciami widać było brud.

– Bardzo proszę – rzekła Samantha. – Jak masz na imię?

– Susie – odparła dziewczynka. – A ty?

– Samantha. Przyjadę do ciebie znowu.

– Mam nadzieję, Samantho.

Tak się jednak nie stało. Matka zakazała jej kolejnych wyjazdów do sierocińca i była wściekła na nauczycielkę, że zorganizowała wycieczkę, i na męża, że pod jej nieobecność, kiedy wybrała się na weekendowe zakupy, pozwolił Samancie jechać.

– Myślałem, że już zapomniała, że nie urodziła się jako nasze dziecko – podsłuchiwała Samantha, jak ojciec tłumaczył się przed matką.

– Samantha może i zapomniała, ale ta podła snobka, Anne Rutherford, pamięta aż za dobrze. Gdy wracały, zapytała Samanthę, czy zdaje sobie sprawę, jaki los ją ominął. Nasza córka straszliwie to przeżyła. Miałam nadzieję, że nigdy się nie dowie, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby nie trafiła do nas.

– Co więc powiemy, kiedy Samantha zapyta o swoich rodziców i o to, jak się u nas znalazła? A któregoś dnia zrobi to na pewno, Estelle. To są nieuniknione pytania, zupełnie normalne dla adoptowanego dziecka. Będziemy musieli powiedzieć jej prawdę: rodzice jej nie chcieli i ją oddali. Tak po prostu. Prawda ją u nas zatrzyma, Estelle. Jeśli jej rodzice odszukają ją i zechcą odzyskać, nie odejdzie z nimi. Zostanie z nami.

– Nie powiemy jej prawdy. Musi uwierzyć, że jej rodzice nie żyją – odparła Estelle. – Zresztą po co ci okropni ludzie mieliby jej szukać, skoro doktor zapewniał, że jej nie chcieli? Neal, kochany mój, musisz przestać żyć w strachu, że ją stracisz. Nasza miłość, a nie prawda, zatrzyma Samanthę przy nas.

– Skarbie, nie potrafię pozbyć się strachu, że któregoś dnia się zjawią i ją nam odbiorą. Krew może okazać się silniejsza od wyroku sądu stwierdzającego, że jest nasza... silniejsza nawet od miłości.

Aż do tej chwili Samantha żyła w przekonaniu, że jej prawdziwi rodzice nie żyją. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że nie umarli, a oddali ją, ponieważ jej nie chcieli. Jeszcze bardziej przerażona myślą, co mogło ją spotkać, wycofała się i poszła do swojego pokoju, zanim ludzie, którym zawdzięczała życie, mogli ją zauważyć. Tak bardzo ich kochała. Nie musieli się lękać, że odejdzie z prawdziwymi rodzicami, gdyby ci któregoś dnia postanowili ją odnaleźć. Ucieknie wtedy i schowa się, dopóki nie wyjadą.

Dziecinnym charakterem pisma napisała do Susie list, w którym tłumaczyła, że zakazano jej do niej przyjechać. Zaadresowała go po prostu „Dla Susie” i miała nadzieję, że w sierocińcu w Millbrook była tylko jedna dziewczynka o takim imieniu. Nigdy się nie dowiedziała, czy Susie otrzymała jej list. Kiedy na trzynaste urodziny dostała w prezencie Pony’ego, konia rasy Quarter Horse, na pierwszą samodzielną przejażdżkę wybrała się do sierocińca, żeby odwiedzić dziewczynkę. Ale Susie już tam nie było, jak poinformowała ją uśmiechnięta dyrektorka. Ubiegłej zimy zmarła na gruźlicę.

Rozdział 9

Czy czegoś żałowała? Absolutnie niczego, chyba że chodziło o Sloana Singletona i jego miłość do Anne Rutherford. Samantha ułożyła wygodniej poduszki, żeby jeszcze chwilę sobie poleżeć i porozmyślać. Todd Baker i jemu podobni nie byli w stanie zrozumieć, że godzi się ze swoim przeznaczeniem, wiedzona poczuciem lojalności i obowiązku. Todd pochodził z rodziny naukowców. Był synem kanclerza Uniwersytetu Chrześcijańskiego AddRan w Waco, oddalonego od Fort Worth mniej więcej o dziewięćdziesiąt mil, i dorastał w liberalnym domu, w którym czwórkę dzieci od początku zachęcano, żeby same decydowały o swoim losie. Jego rodzice nie byli rdzennymi Teksaszczykami. Przyjechali z Pensylwanii piętnaście lat po zakończeniu wojny domowej, a profesor Baker był jednym z inicjatorów założenia AddRan Male and Female College, który wtedy mieścił się w Fort Worth, w dzielnicy, która później stała się okrytym złą sławą siedliskiem rozpusty i występku, znanym jako Hell's Half Acre. Neal i Estelle Gordonowie, podobnie jak ich rodzice, byli Teksaszczykami z krwi i kości. Todd nie miał zielonego pojęcia o więzach ludzi pokroju jej ojca łączących ich z ziemią, którą ich przodkowie zasiedlili i której zaciekle bronili przed każdym, kto mógłby im ją odebrać. Ojciec Todda nigdy by się nie zgodził, żeby jego dzieci wbrew swojej woli poszły w jego ślady, podczas gdy w świecie Nealów Gordonów potomstwo od urodzenia było przygotowywane, by zająć miejsce swoich ojców.

Poza tym Todd Baker nie musiał żyć ze świadomością, że to ona mogła być Susie, gdyby nie kochający ludzie, którzy ją wychowali. Samantha miała wobec nich dług wdzięczności, i kropka. Była jedyną dziedziczką wszystkiego, na co jej ojciec i matka pracowali. Decydując się na studia – konkretnie paleontologię – dopuściłaby się wobec nich zdrady, okazała brak wdzięczności za ich troskę i szczodrość. Co by się stało z Las Tres Lomas de la Trinidad – Trzema Wzgórzami nad Trinity – po śmierci ich wspaniałego właściciela? Samantha nie mogła pozwolić, by jej ojciec żył ze świadomością, że całe jego poświęcenie, praca i oddanie ziemi poszłyby na marne, a rodowe dziedzictwo z chwilą jego śmierci trafiłoby w ręce obcych. Żadna pasja nie była tego warta.

Kiedy miała szesnaście lat, Todd zapytał ją, czy zastanawia się czasem, kim byli jej biologiczni rodzice, gdzie mieszkali, czy ciągle jeszcze żyją. „Oczywiście, że nie!”, wykrzyknęła wtedy, jakby odskakiwała przed strzelającym ogniem.

Jednak nie było to do końca prawdą. Rok wcześniej wydarzyło się coś, co kazało Samancie zastanowić się przelotnie nad jej adopcją, o której dowiedziała się, gdy miała dziesięć lat. Właśnie katalogowała w swoim prowizorycznym laboratorium znaleźiska, kiedy usłyszała pełne cierpienia porykiwanie zwierzęcia. Wyrzała przez okno i zobaczyła zdychającą krowę, a obok niej malutkie cielątko,

które żywiło się jeszcze mlekiem matki. Gdy wybiegła na zewnątrz, okazało się, że krowa połknęła dzikie jabłko, które utknęło jej zbyt głęboko w gardle i nie dało się go już wydostać. Zwierzę zdołało dotrzeć z odległego pastwiska do ludzkich zabudowań i kiedy Samantha patrzyła w gasnące brązowe oczy, pomyślała, że może krowa celowo przyprowadziła swoje cielę pod okno pracowni, w której dziewczyna spędzała czas wolny.

– Myślisz, że przyprowadziła do mnie cielątko, żebym się nim zaopiekowała? – zapytała Wayne’a Harrisa, zarządcę, na którym jej ojciec najbardziej polegał.

Harris pomógł jej przygotować mieszankę z mleka i mączki kukurydzianej, którą cielę wyssało z „bananowej butelki”, nazwanej tak z powodu jej wygiętego kształtu. Była zrobiona ze szkła i na każdym końcu miała otwór, jeden mniejszy, na który nakładało się gumowy smoczek, i drugi większy, przez który napełniało się ją jedzeniem. Butelka idealnie nadawała się do karmienia osieroconych cieląt i była znacznie poręczniejsza od niehigienicznego ustrojstwa, jakim posługiwano się dawniej.

– Nie byłoby to dziwne – powiedział Wayne. – Toć każda mama, ludzka czy zwierzęca, ma instynkt, żeby chronić swoje małe.

To sprowokowało ją do zastanowienia się. Wypowiedzianych przez ojca słów – „Rodzice jej nie chcieli i ją oddali” – nigdy nie zapomniała, ale ukryła je głęboko w zakamarkach pamięci. Teraz jednak przyszło jej do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślała. A jeśli... tak jak krowę, to okoliczności, na które nie mieli wpływu, zmusiły rodziców do oddania córki? Powodów mogło być mnóstwo... bieda, choroba, bliska śmierć, zbyt dużo dzieci. Może jej biologiczni rodzice oddali ją nie dlatego, że jej nie chcieli, ale dlatego, że nie mogli o nią zadbać. W ciężkich czasach nie było to takie rzadkie; rodzice, którzy nie mieli środków, by zająć się swoim dzieckiem, porzucali je na skraju drogi w nadziei, że jakaś litościwa dusza przygarnie je pod swój dach. Może jej prawdziwi rodzice tęsknili za nią, chcieliby wiedzieć, czy jest kochana i otoczona troską.

– Wayne, czy wiesz coś o okolicznościach mojego przyjścia na świat? – zapytała.

Nigdy nie zwróciła się do rodziców z tymi „nieuniknionymi pytaniami, zupełnie normalnymi dla adoptowanego dziecka”.

Twarz Wayne’a zrobiła się czujna.

– Chyba nie, Słoneczko. Pamiętam tylko, jak z rana w baraku dowiedzieliśmy się, że w środku nocy Gordonom przynieśli malutką dziewczynkę.

– Dlaczego w środku nocy? To była jakaś tajemnica?

– Nu, gdyby to była tajemnica, nie ogłosiliby jej rano całemu światu, co nie? A czemu pytasz?

– Tak tylko, z ciekawości.

– Nu, lepiej niech ta twoja ciekawość zostanie między nami. Twoi staruszkowie mogliby nie zrozumieć. – Zerknął na nią z ukosa. – Wiesz, o czym mówię?

Oczywiście Wayne miał rację. Ojciec poczułby się zagrożony i zdradzony, matka – odrzucona. Ciekawość córki poczytałiby za niezadowolenie, a Samantha za nic w świecie nie chciałyby, żeby tak myśleli.

– Wiem – powiedziała, gładząc uszy cielaczka. Najadł się i muczał tęsknie za mamą. – Wayne, nie chcę, żeby ten malec został kiedyś sprzedany. Ma prawo żyć sobie na ranczu i paść się do woli.

– Wedle mnie to zależy od twojego tatki, Słoneczko. Nie lubi dawać za darmo trawy i wody i nic nie mieć w zamian, a ten maluch to pieniądze na czterech kopytach.

– Zrozumie.

Ojciec wysłuchał jej w milczeniu i wreszcie, po dłuższej chwili, kiedy przyglądał się jej uważnie zza wielkiego biurka, chrząknął, jakby coś mu utknęło w gardle.

– Dobrze, córeczko – powiedział. – Niech tak będzie. Ale jak odróżnisz tego byczka od reszty stada?

– Pomaluję mu końce rogów na czerwono.

– I jak się domyślam, dasz mu imię.

– Tak – powiedziała Samantha. – Będzie się nazywał Ocalony.

Ojciec uśmiechnął się ze zrozumieniem, ucieszony jej wyborem. Skinął głową.

– Ocalony. Powiem chłopakom.

To był ostatni raz, kiedy Samantha myślała o swoim urodzeniu. W wieku piętnastu lat stała się już prawie dorosła. Była zbyt duża i upłynęło zbyt wiele czasu, żeby jej prawdziwi rodzice nagle zapragnęli ją odnaleźć. Jej życie się ułożyło. Miała rodziców i żadnych innych nie chciała. Neal Gordon nie musiał się lękać, że ją straci.

Samantha patrzyła, jak słońce zalewa jej pokój. Nie, niczego nie żałowała. Las Tres Lomas de la Trinidad było jej miejscem na ziemi i nie miało znaczenia, że „pasuje” do niego nie przez wzgląd na odziedziczoną krew. Rozległe przestrzenie, owiewane rzeźkim wiatrem, nieskażonym zapachami i dźwiękami innymi niż wiejskie, dla niej były naturalnym laboratorium, oferującym nieskończone możliwości do naukowych badań i analiz. Zarządzanie ziemią i żywym inwentarzem wymagało wiedzy paleontologicznej. Samantha wyposażyła swoją pracownię w podstawowe narzędzia do badania wody, gleby, trawy, nawet zwierzęcego moczu i kału. Trzymała tam też swoją kolekcję skał dokumentujących geologię Teksasu i stale powiększający się zbiór morskich reliktyw, które znajdowała na ranczu w czasie wypełniania codziennych obowiązków.

Dowiedziano, że miliony lat temu obszar środkowego Teksasu pokrywał ocean i ranczo było prawdziwą skarbnicą prehistorycznego morskiego życia. Na półkach swojego „laboratorium” miała kawałek skamieniałej skorupy żółwia, odcisk jeżowca zachowany na odłamku skały, nienaruszony koniuszek rogu należącego być może do mamuta i – najcenniejsze znalezisko – kompletny odcisk przegrzebka, na który natknęła się, przerzucając siano.

Dosiadając konia, pośród bydła i kowbojów, czuła się jak w domu, a kiedy ojciec odkrył, że ma talent do podejmowania słusznych decyzji finansowych, stała się niezastąpiona przy prowadzeniu rancza. Słyszała raz, jak mówił do matki: „Mamy wielkie szczęście, Estelle. Dobry Bóg dał nam w Sam wszystko. Żaden syn nie miałby lepszej głowy i rąk do kierowania ranczem od naszej córki”.

Samantha popatrzyła na swoje dłonie. Były małe, o smukłych, szczupłych palcach, z ledwie zarysowanymi kostkami. Jeden z jej nauczycieli zauważył, że są „wprost stworzone” do umieszczania próbek pod mikroskopem i badania ich pod lupą. Powiedziała mu, że równie dobrze nadają się do pomagania krowom z wypadniętą macicą.

– Wypadniętą macicą? A cóż to takiego?

– Często dochodzi do tego, kiedy krowa rodzi cielę – wyjaśniła Samantha. – Czasem razem z cielakiem wypycha też macicę, która zwisa, sięgając aż do kopyt. Wtedy trzeba macicę oczyścić i wepchnąć z powrotem, bo inaczej krowa wykrwawi się na śmierć. Nadzorca ojca uważa, że moje małe ręce nadają się do tego idealnie.

– Bardzo... interesujące – bąknął nauczyciel z pobladłą twarzą.

Na to wspomnienie zachichotała w swoim łóżku z baldachimem.

Rozdział 10

Samantha odrzuciła koldrę. Wystarczająco długo wylegiwała się, pogrążona we wspomnieniach. Czas uciekał, jak powiedziałaby ojciec. Musi wracać na ranczo. Nastąpiła pora cielenia i dużo jałówek miało po raz pierwszy rodzić. Potrzebowały więcej pomocy od tych, które rodziły już więcej razy. Poza tym był ostatni tydzień miesiąca, kiedy trzeba popłacić rachunki i zrobić bilans zysków i strat.

Ubrała się w roboczy strój: dżinsy, flanelową koszulę z długim rękawem, skórzaną kamizelkę i wysokie, szpiczaste buty. Zapinając rozporek „niebieskich dżinsów”, nazwanych tak ze względu na kolor i fason, wiedziała, że matka prychnie z dezaprobatą. Według Estelle „Levi Strauss nie stworzył swoich roboczych spodni z miedzianymi ćwiekami po to, żeby nosiły je kobiety”, a Samantha zastanawiała się, czy matka zapomniała już, że sama zakładała męskie spodnie, gdy przed laty pomagała mężowi prowadzić ranczo.

Było wiele rzeczy z tamtych czasów, o których matka chciałaby zapomnieć. Kiedy w 1867 roku Neal Gordon pojawił się i wziął ją sobie za żonę, była córką ubożego farmera. Dzięki małżeństwu Estelle zaczęła nosić dumne rodowe nazwisko. Gordonowie zaliczali się do bogatych właścicieli ziemskich. W 1820 roku patriarcha Las Tres Lomas de la Trinidad przyjechał do ówczesnej prowincji Meksyku i założył hodowlę miejscowych krów znanych jako longhorny. W 1867 roku Neal wraz z ojcem i dwoma młodszymi braćmi byli posiadaczami rancza, które miało stać się jednym z największych w środkowym Teksasie, musieli jednak czekać aż piętnaście lat na okres prosperity. Najazdy Komanczów i lata powojenne doprowadziły do finansowego wyniszczenia, na dodatek w jednym roku ojciec Neala i jego dwaj niezamężni bracia padli ofiarą żółtej febry, której epidemia wybuchła w Galveston i rozlała się po całym stanie. Estelle z braku siły roboczej musiała zająć ich miejsce. Dopiero pod koniec wojen z Indianami i okresu rekonstrukcji, kiedy do Fort Worth dotarła kolej pacyficzna, Estelle mogła zacząć żyć jak pani na włościach, o czym marzyła w narzeczeństwie.

Samantha od dawna wiedziała, że jej matka miała nadzieję wynagrodzić sobie te trudne początki dzięki małej dziewczynce, którą wzięła na wychowanie. W dzieciństwie zaznała biedy, na urodzie też jej nie zbywało, tak więc za pośrednictwem Samanthy chciała doświadczyć, jak to jest być ładnym i pełnym wdzięku, nosić piękne stroje i korzystać z błahych kobiecych przyjemności, za którymi tak tęskniła, dorastając. Samantha w swojej żylastej, tyczkowatej matce wyczuwała tę potrzebę i starała się ją zaspokoić, najlepiej jak umiała.

Przez jakiś czas żałowała, że nie może być dwoma córkami, po jednej dla matki i ojca, szybko jednak dojrzała na tyle, by zrozumieć, że to niemożliwe. I tak Estelle Gordon straciła córkę, którą chciała oglądać w koronkach i jedwabkach,

a nie w skórze i dżinsach. Kiedy oboje rodzice przebywali na ranchu, Samantha nie musiała dzielić swojej lojalności, odkąd jednak matka zamieszkała w mieście, rancho odwiedzając sporadycznie, jej córka była rozdarta. Matka chciała wprowadzić ją do towarzystwa. Ojciec życzył sobie, by nauczyła się biznesu, który zapewniał im utrzymanie.

– Jest dziedziczką Las Tres Lomas, Estelle. Nie pojmujesz, że aby się wszystkiego nauczyć, musi być na ranchu?

– Przedwcześnie się zestarzeje, Neal. Ziemia wysysie z niej całą młodość. Tak było ze mną – powiedziała Estelle.

– Co ty wygadujesz? Jesteś tak samo młoda i śliczna jak w dniu, kiedy cię poznałem, duszko – zaprotestował jej mąż.

– Och, Neal! Jesteś równie ślepy jak uparty!

– Obiecuję dopilnować, żeby zawsze nosiła kapelusz i rękawiczki. Masz moje słowo, Estelle.

Z początku matka miała nadzieję, że chodząc do szkoły, Samantha zasmakuje w miejskim życiu. Niestety tak się nie stało i Estelle łaskawie, choć nie bez żalu, postanowiła córki nie przymuszać. Samantha była wolna. Była skłonna po części się dostosować, ale za nic nie chciała zamieszkać na stałe w mieście, z jego błotnistymi ulicami, koślawymi chodnikami z drewna, ściekami w rynsztokach, pijanymi kowbojami urządzającymi sobie w sobotnie wieczory strzelaniny, brakiem wody i muchami! Latem było od nich czarno, niczym roje pszczoł unosiły się nad owocami i mięsem na targu, a w restauracjach było ich tak dużo, że pracownicy przyczepiali do kija od szczotki paski wycięte z gazet i wymachiwali nim na stołami, przeganiając muszyska znad jedzenia.

Dzisiejszego ranka Samantha założyłaby swój modny strój do jazdy konnej, z cylindrem ozdobionym woalką, jak to miała w zwyczaju, przyjeżdżając do miasta i z niego wyjeżdżając, ale nadawał się tylko do jazdy w damskim siodle, a ona tym razem przyprowadziła Pony'ego, by na nim wrócić na rancho. Czekwały ją tam nagłące, brudne obowiązki, nie chciała więc tracić czasu na przebieranie się.

W holu natknęła się na gospodynię, która właśnie niosła matce tacę ze śniadaniem.

– Wezmę to, Mildred – powiedziała.

– Okropnie wcześnie panienka wstała, i tak od razu gotowa do drogi. Mama wie, że panienka tak szybko wyjeżdża?

– Nie wie. Dlatego chcę jej sama podać śniadanie, żeby delikatnie jej o tym powiedzieć.

Gospodyni omiotła wzrokiem roboczy strój Samanthi.

– W tym stroju to raczej nie będzie delikatnie – zauważyła. – Mama panienki miała nadzieję, że zostanie panienka jeszcze przynajmniej do lunchu.

Mildred była na wpół Indianką. Jej matkę porwał oddział Komanczów

i w 1864 roku zaszła w ciążę za sprawą jednego z wojowników. W 1871 roku matkę i sześćioletnią córkę uratowali strażnicy Teksasu. Mildred jako młoda kobieta zamieszkała w Las Tres Lomas, najęta do pomocy w kuchni. Samantha miała wtedy dwa latka. Kiedy Estelle przeniosła się do domu w mieście, zabrała ze sobą Mildred jako gospodynię.

Teraz Samantha wzięła od niej tacę z jakże dobrze znanym uczuciem, że jest niczym lina rozciągnięta pomiędzy dwoma dębami.

– Nie mogę, Mildred. Powiedz, proszę, Jimmy’emu, żeby osiodłał Pony’ego. „Okropnie wcześnie”. Przecież było po ósmej. Na ranchu dawno byliby już z ojcem po śniadaniu i każde zajęłoby się swoimi obowiązkami. Ojciec, choć zadowolony, że Estelle miała ją dla siebie przez cały tydzień, teraz jednak na pewno się niecierpliwił i przebierał nogami, czekając na powrót córki.

Uśmiech, z jakim matka powitała pojawienie się Samantha, zbladł na widok jej roboczego stroju.

– Nie dasz się namówić, żeby zostać jeszcze jeden dzień?

Samantha postawiła matce tacę na kolanach.

– Wiesz, że nie mogę, mamó. Muszę pomóc chłopakom przy jałówkach, poza tym po południu czekają mnie rachunki. Tatuś na mnie czeka.

Estelle zasłoniła dekolt serwetką.

– No tak, nie możemy go przecież zawieść, prawda?

– Mamó... – Westchnienie Samantha kazało matce zaprzestać narzekań.

– Wiem, wiem – powiedziała Estelle pokonana. Ręką przytrzymała pokrywkę imbryka, żeby nalać sobie filiżankę parującej kawy. – A skoro mowa o ojcu, martwię się i muszę ci o tym powiedzieć, zanim wyjedziesz.

Samantha przyciągnęła sobie krzesło i rzuciła na łóżko swój wysoki kapelus z szerokim rondem. Poczula niepokój. Czy chodziło o ten świszczący oddech, który zauważyły z matką podczas urodzinowej kolacji? Od lat już pojawiał się co jakiś czas. Neal Gordon twierdził, że to normalne u mężczyzny trafionego w płuco strzałą Komancza.

– Czym się martwisz?

– Sloanem Singletonem.

– Sloanem Singletonem?

Estelle podmuchała na gorącą kawę.

– Nie wymawiaj jego nazwiska tak, jakbyś nie wiedziała, o co chodzi.

Samantha postarała się, żeby jej wzrok niczego nie zdradził.

– Nie, mamó. Obawiam się, że nie wiem.

– Ożeni się z tą zadzierającą nosa oszustką?

– Skąd mam wiedzieć?

– Już ze sobą nie rozmawiacie?

– I to od dawna.

Estelle napiła się kawy.

– Tego właśnie obawialiśmy się z twoim ojcem.

– Czego mianowicie?

Matka ostrożnie postawiła filiżankę na spodeczku.

– Że się od siebie oddalicie. Neal mówi, że przestałaś go zapraszać na kolacje. Nie przyjmujesz też zaproszeń do Triple S. W ten sposób otwierasz drzwi przed Anne Rutherford, Samantha. A ona to wykorzysta i zamknie ci je przed nosem. Ta dziewczucha upatrzyła sobie Sloana na męża.

Samantha poczuła, jak zaczyna jej brakować tchu.

– Nawet gdybyśmy się dalej przyjaźnili ze Sloanem, myślisz, że to by ją powstrzymało? Sloan nigdy nie myślał o mnie inaczej jak o jeszcze jednej siostrze.

– Z dobrych przyjaciół może być równie dobre małżeństwo, Samantha, a ty i Sloan jesteście wprost dla siebie stworzeni. Nie zaprzeczaj. Czy zna jakąś inną piękną kobietę, która pasuje do życia na ranchu lepiej niż ty? Dobry Boże! Anne Rutherford nie odróżnia krowiego zadu od świńskiego ryja! – Estelle, krzywiąc się, zamieszała w kawie cukier. – Seth Singleton, niech spoczywa w spokoju, przewróci się w grobie, jeśli jego syn ożeni się z tą bardziej świętą od papieża głuptaską. Od czasu gdy ty i Sloan byliście dziećmi, twój ojciec i Seth byli pewni, że się pobierzecie i połączycie oba rancha.

– Jakoś mi to umknęło – powiedziała Samantha oschle, zdumiona tą rewelacją. – Sloanowi chyba też. – Sięgnęła po filiżankę matki i upiła łyk kawy, żeby rozluźnić ściśnięte nagle gardło. – A czy tatuś przypadkiem nie martwi się najbardziej tym, że jeśli nie wyjdę za Sloana, to nie wyjdę za nikogo? – Nie dodała: „I nie doczeka spadkobierców, o których tak marzy?”.

Na płaskich, zniszczonych policzkach matki pojawił się rumieniec. Wszystkie kremy do twarzy, na jakie Estelle mogła sobie wreszcie pozwolić, nie zdołały odwrócić skutków wieloletniego przebywania na słońcu. Estelle wydawała się wyraźnie zmieszana.

– A czy jest jakiś inny mężczyzna, Samantha, którego byłabyś skłonna wziąć pod uwagę?

– Chcesz powiedzieć, czy w ogóle jest jakiś mężczyzna, którego można by wziąć pod uwagę – rzekła Samantha.

Estelle westchnęła.

– Czemu Lawrence Hendrick i Tom Bedford musieli dać się zabić w amerykańsko-hispańskiej wojnie, do której Stany Zjednoczone w ogóle nie powinny się były mieszać? Kto słyszał o Kubie? Ci chłopcy pozabijaliby się, starając się o twoją rękę.

Samantha odsunęła krzesło i wstała.

– Mam dopiero dwadzieścia lat, mamo, i jeszcze nie jestem starą panną. Może pojawi się ktoś w bryczesach, kto mi się spodoba.

– Mówisz to z takim przekonaniem jak wydający ostatni trel ptak. Kochasz Sloana Singletona i równie dobrze możesz się do tego przyznać.

Samantha wzięła kapelusz.

– Jeśli nawet, to co z tego? Najpewniej ożeni się z Anne i trudno mu się będzie dziwić. Jest piękna, a on wierzy, że serce ma równie piękne. Może rzeczywiście... przynajmniej dla niego.

– Och, na miłość boską! Uroda Anne Rutherford jest tylko powierzchowna, daleko jej do piękna, które promienieje z twojej duszy. A te jej szlachetne uczynki... – Estelle ze złością rozsmarowała masło na grzance. – W ten sposób chce się jedynie wywyższyć nad innych. Sloan Singleton powinien mieć dość rozumu, żeby się na to nie nabrać. Jego matka z miejsca by ją przejrzała, spokój jej duszy.

Samantha nachyliła się i pocałowała matkę w policzek.

– Ciągłe nie wybaczyłaś Anne, że to ona podsunęła pannie Sims pomysł na niedzielną wycieczkę do sierocińca w Millbrook, kiedy miałam dziesięć lat – powiedziała.

– I nigdy nie wybaczę. Anne zrobiła to celowo, żeby ci dokuczyć.

– I w pełni jej się udało. Muszę już iść. Dziękuję za wspaniałe przyjęcie urodzinowe i przemiły tydzień.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś – rzekła Estelle z powątpiewającą miną. – Bo ja byłam zachwycona, że jesteś tu ze mną. Szkoda, że żaden z chłopców nie przyjechał po ciebie wozem. Tak się martwię, kiedy sama konno wracasz na ranczo. Ci poganiacze, którzy przyjeżdżają do miasta z bydłem... to banda chuliganów, a jak jedziesz na koniu, nie mają pojęcia, kim jesteś.

– Konno jestem bezpieczniejsza niż na wozie, mam. Pony prześcignie wszystko, poza tym wiesz, że z bronią też nieźle sobie radzę.

Samantha zauważyła niepokój, jaki jej słowa wywołały w matce. Czy matki zawsze tak zamartwiają się o szczęście i bezpieczeństwo swoich dzieci? Czy kiedykolwiek jej także będzie dane tego doświadczyć?

Gdy przed lustrem w holu wiązała kapelusz, pojawiła się Mildred.

– Pojedzie panienka na pocztę odebrać listy do ojca? I co mam zrobić z tym? – Gospodyni podniosła z tacy prezent urodzinowy od Todda: dwa bilety na wykład, które Samantha tam zostawiła.

Wzięła je od Mildred. Wykład miał się odbyć za jedenaście dni, w sobotę, kiedy planowała przyjazd do miasta, by w niedzielę pójść na chrzciny. Nie знаła nikogo, komu mogłaby podarować bilety. Tylko jakiś naukowiec byłby zainteresowany wykładem paleontologa na temat pozyskiwania ropy ze skał.

Todd nieźle się wykosztował, pomyślała Samantha, patrząc na cenę biletów. Szkoda będzie ich nie wykorzystać. Gdy przyjedzie do miasta, zwróci się do szkoły Simmons. Może jakiś student albo nauczyciel miałby ochotę pójść na wykład.

– Zostawię je tutaj – powiedziała, wkładając bilety do szuflady stojaka na kapelusze.

Rozdział 11

Osiodłany Pony już na nią czekał. Zniecierpliwiony rzucał łbem i wymachiwał ogonem, dając Samancie do zrozumienia, że ma dość zamknięcia. Od tygodnia nie pracował na pastwisku z krowami.

– Strasznie chce już jechać, panienko Sam – powiedział Jimmy, zasuszony i pomarszczony stajenny. – Jak panienka się wybiera do miasta, lepiej mocno trzymać lejce. O Panie, jaki my tu mamy teraz ruch. Aż przykro patrzeć. Pamiętam, jak w Fort Worth panował taki spokój, że aż lampart uciął tu sobie drzemkę.

Samantha się uśmiechnęła. Jimmy pracował u Gordonów, odkąd była dzieckiem, a jej ojciec mawiał, że „może i jest trochę przygłupi, ale do koni ma rękę jak nikt”. Ileż to razy słyszała, jak stajenny wspominał zdarzenie ze swojej młodości, po którym Fort Worth zdobył przydomek Lamparciego Miasta. W 1873 roku zima była wyjątkowo ciężka, a budowę kolei pacyficznej przerwano w odległości trzydziestu mil od Fort Worth, co było tragiczne w skutkach dla przemysłu hodowlanego. Miasto zrobiło się senne i ciche, a w „Dallas Herald” ukazał się artykuł o prawniku, który widział lamparta śpiącego na schodach do budynku sądu. Konkurujące z Fort Worth bogate Dallas uznało to za przytyk, ale mieszkańcy Fort Worth zignorowali obrazę i z entuzjazmem uczynili lamparta – nieustraszonego i z każdej opresji wychodzącego zwycięsko – symbolem swojego miasta.

– Będę mocno trzymać Pony’ego, Jimmy – obiecała Samantha, dosiadając konia.

Boże, jak dobrze znowu w wygodnym stroju siedzieć w siodle! Poranek był słoneczny i rześki po lodowatym zimowym deszczu, który spadł w nocy. Zbliżała się wiosna. Samantha najchętniej wyruszyłaby od razu w drogę do rancza, zamiast najpierw jechać do nowo wybudowanego gmachu poczty, mieszczącego się po drugiej stronie miasta. Z wyjątkiem piątków, gdy listonosz zjawiał się rankiem w dzielnicy, w której mieszkała matka, pocztę dostarczano dopiero po południu. Zamiast jak kiedyś odbierać listy i paczki o dowolnej porze w sklepie, teraz trzeba było się udać do nowoczesnego budynku, którym miasto się szczyciło, co było jedną z wielu wątpliwych korzyści, jakie oferował Fort Worth, już od dawna nie cichy i senny. Podobnie jak sąsiadów, także Samanthę irytowało, że musi jechać na pocztę akurat wtedy, gdy się jej śpieszyło. Poklepała muskularną szyję konia.

– Jeszcze tylko jeden przystanek, Pony, a potem zmierzamy prosto do domu.

Wjeżdżając do miasta, zauważyła biegnące wzdłuż ulic chodniki i nowe budynki, i wróciła myślą do zaskakującego odkrycia, że jej ojciec i Seth Singleton, ojciec Sloana, mieli nadzieję, że ich dzieci się pobiorą. Samantha traktowała Seta Singletona jak wujka, dla jej ojca Sloan był jak bratanek. Sama, nie mając

rodzeństwa, od początku uważała cztery lata starszego Sloana za brata, a on zawsze się tak zachowywał, nigdy jednak nic więcej pomiędzy nimi nie było. Nie zdziwiło jej zbytnio, że nie miała pojęcia o nadziejach ojca, natomiast nie pojmowała, jak mógł nie zauważyć, że Sloan nie żywi wobec niej żadnych romantycznych uczuć. Rancza Las Tres Lomas de la Trinidad i Triple S nigdy się nie połączy. Córka Neala Gordona nie przyprowadziła Sloana Singletona o żywsze bicie serca.

I dobrze, myślała sobie Samantha. Ona i Sloan zdecydowanie do siebie nie pasowali. W miarę upływu czasu coraz więcej ich dzieliło, mieli różne zdania i odmiennie podchodzili do wielu spraw. Pojawiły się uprzedzenia. Gdyby Sloanowi dane było dorastać jak normalnemu chłopakowi, gdyby nie musiał przedwcześnie wydorosnąć, być może blondyn, w którym zaczęła się skrycie podkochiwać w czasach, kiedy zmieniał mu się głos i pojawił młodzieńczy trądzik, nie stałby się taki twardy i nieugięty. Seth Singleton zmarł nagle i młodość Sloana skończyła się, gdy miał siedemnaście lat – jako jedyny syn musiał przejąć ranczo, zostać głową rodziny i stać się odpowiedzialny za dwie starsze, niezamężne siostry.

„Nadaje się, ale będzie musiał tego dowieść. – Samantha pamiętała słowa ojca. – Nie będzie mu łatwo zarządzać ludźmi dwa albo i trzy razy starszymi od siebie, podejmować decyzje dotyczące tak wielkiego rancza jak Triple S. Będzie musiał udowodnić, że jest mężczyzną, i, Boże dopomóż, niełatwo przyjdzie mu pokazać tym swoim siostram, kto tu rządzi. Po śmierci matki pewnie myślą, że mogą sobie robić, co im się żywnie podoba”.

Sloan udowodnił, że się nadaje. Dzięki radom Neala Gordona i przekonaniu, że syn Setha Singletona urodził się w pełni dojrzały i do przesady odpowiedzialny, przejął wodze po ojcu i mocno je trzymał. Prawie dwudziestoczteroletni, o głębokim głosie, czystej cerze i zgrabnej, mierzącej dobrze ponad metr osiemdziesiąt sylwetce Sloan uważany był za jednego z najbardziej szanowanych i wpływowych ranczerów w całym stanie, jego siostry, Millie May i Billie June, nie miały zaś nawet cienia wątpliwości, kto w ich domu rządzi. Samantha zaczęła patrzeć na ich brata innym wzrokiem, kiedy nie pozwolił Billie June, młodszej z sióstr, spotykać się z mężczyzną w jego ocenie nieodpowiednim.

– To człowiek znikąd, Sam, na dodatek pięć lat młodszy od Billie June – bronił Sloana ojciec, gdy Samantha wyraziła swoje oburzenie despotycznością młodego ranczera. – Nie ma środków do życia.

– Pan Chandler mówi, że Daniel Lane jest najlepszym pomocnikiem, jakiego miał.

– Pomocnik kowala? A cóż to za rekomendacja?

– Która dowodzi, że ciężko pracuje. Claude’a Chandlera nie jest łatwo zadowolić.

– Daniel Lane nie ma pochodzenia, Sam. Brakuje mu wykształcenia, dobrych manier. Na pewno nie jest człowiekiem, za którego Seth zgodziłby się

wydać córkę. Sloan słusznie uczynił, że korzystając ze swojej władzy, położył temu kres.

Korzystając ze swojej władzy? Na jakiej podstawie brat rościł sobie prawo do władzy nad sercem siostry? Jaki mężczyzna w ogóle ma prawo sprawować władzę nad kobietą? Przecież świat wszedł w dwudziesty wiek. Czy Sloan, tak chętny nowinkom i otwarty na wszystkie nowatorskie metody hodowli bydła, nie widział, że zmienia się rola i sytuacja kobiet? Wojna domowa zmusiła je do przejęcia odpowiedzialności i podejmowania decyzji do tej pory będących w gestii ich nieżyjących mężczyzn. Z tego, co Samantha czytała, ta wolność i niezależność nie ograniczały się już tylko do rodziny; teraz kobiety zostawały prawniczkami, dziennikarkami, lekarkami, zajmowały się geologią i inżynierią. Powstawały związki zawodowe kobiet, ruch sufrażystek nabierał rozpędu. W całym kraju „nowa kobieta” zastępowała „kobietę idealną”, rzucając wyzwanie dominacji mężczyzn.

W całym kraju, ale najwyraźniej nie w Fort Worth w Teksasie.

– Ale Billie June go kocha – oburzyła się Samantha.

– Co niczego nie zmienia, córko, i musisz to przyjąć do wiadomości.

Faktycznie, Samantha nie mogła zaprzeczyć, że Anne Rutherford idealnie nadawała się dla Sloana Singletona. Gotowa pławić się w jego blasku, dobrymi uczynkami przyczyniać się do jego dobrego imienia, bez własnych ambicji – bez własnego zdania – Anne będzie doskonałą żoną, matką, panią domu, organizatorką imprez dobroczynnych, gospodynią. Samantha nie widziała się w żadnej z tych ról. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ojciec pragnie dla niej męża, który byłby taki jak on, który znałby się na prowadzeniu rancza. Zakładał, że choć właścicielką rancza zostanie córka, tak naprawdę będzie nim zarządzał jej mąż – ktoś jak Sloan Singleton – mając na to jej przyzwolenie. Tak się to odbywało w Teksasie, Samantha jednak postanowiła sobie, że w przypadku Las Tres Lomas będzie inaczej. Jeżeli to ona miała zająć miejsce Neala Gordona, nie zamierzała dzielić go z nikim, kto nie będzie traktował jej jak równorzędnego partnera, na co Sloan Singleton nigdy by nie przystał.

Kiedy wiązała Pony’ego przed nowym gmachem poczty, uderzył ją smród bijący od zagród i zakładów mięsnych Fort Worth. Stowarzyszenie Pań, którego jej matka była sekretarzem, próbowało nakłonić radę miasta, by pocztę zbudować nieco dalej na południe, gdzie leżały elegantsze dzielnice mieszkaniowe. Niestety, wydział pocztowy Stanów Zjednoczonych przegrał debatę z właścicielami ubojni i zakładów Swift, Armour i Libby zajmujący się pakowaniem mięsa, które miały wkrótce powstać w Fort Worth. Twierdzili, że bliskie sąsiedztwo poczty ma zasadnicze znaczenie dla ich interesów.

Samantha zauważyła piękną roboczną kółka do przywiązywania konia. Zdobilo je logo miasta, śpiący lampart. Autorem projektu był Daniel Lane, istny

cudotwórcy kuźnictwa. Kuźnia, w której pracował, dostała zamówienie na wykonanie kółek i Samantha była ciekawa, czy Billie June Singleton je widziała. Rzadko bywała w mieście, odkąd jej brat na oczach całej społeczności położył kres jej związkowi z Danielem Lane'em.

– Stała się trochę zamknięta w sobie – powiedziała matka do Samantha podczas rozmowy o cichym skandalu, do którego doszło w ubiegłym roku, gdy Daniel towarzyszył Billie June na pikniku z okazji Czwartego Lipca. – Wielka szkoda. To biedne brzydactwo nie ma raczej co liczyć na innego konkurenta, ale sama się prosiła o gniew brata, paradując na oczach całego miasta w towarzystwie pomocnika kowala. Powinna być mądrzejsza.

– To Sloan powinien być mądrzejszy – odparła Samantha.

Mildred nie omieszkała się wtrącić.

– Młody Sloan niech lepiej uważa na tego kowala. Daniel Lane nigdy mu nie zapomni urazy. Nic nie siedzi w człowieku głębiej niż wstyd publicznego upokorzenia. Pan Triple S posiał ziarno zemsty.

Po dziś dzień Samantha wzdygała się, przypominając sobie, jak Sloan publicznie groził Danielowi Lane'owi i upokorzył Billie June na oczach jej przyjaciół, sąsiadów i mieszkańców miasta. Billie June wypakowywała właśnie kosz, kiedy Sloan pojawił się, jadąc konno za rodzinnym powozem. Towarzyszyło mu dwóch najbardziej zaufanych parobków, budzących grozę ujeżdżaczy koni, których ludzie omijali szerokim łukiem. Sloan spokojnie zsiadł z konia i podszedł do koca, na którym rozłożyli się Billie June i Daniel. Nie mówiąc słowa do zaskoczonej siostry, załadował pieczonego kurczaka, faszerowane jajka i lemoniadę z powrotem do koszyka, podniósł koc i wszystko podał jednemu ze swoich ludzi. Następnie wyciągnął rękę do Billie June i z zaciśniętą wściekle szczęką spojrzął na Daniela, a groźba, jaka kryła się w jego spojrzeniu, była jasna dla patrzących.

Billie June, czerwona aż po nasadę mysich włosów, zignorowała jego wyciągniętą rękę i pomaszzerowała do powozu, gdzie woźnica czekał, przytrzymując drzwi. Kiedy była już w środku, zaciągnęła zasłonkę w oknie. Sloan i parobek dosiedli koni i cały orszak ruszył z powrotem, odprowadzany spojrzeniami zeszywniałego Daniela i oniemiałych świadków. Dla nikogo nie było tajemnicą, że dzielna Billie June wsiadła do powozu nie ze strachu przed bratem, lecz ze względu na Daniela Lane'a. Wiedziała, że okazując nieposłuszeństwo, narazi ukochanego na poważne konsekwencje. Sloan Singleton publicznie dał dowód swojej siły.

– Sloan na pewno ostrzegł Billie June, żeby nie spotykała się z Danielem Lane'em, i zrobił to, co musiał, żeby go posłuchała. – Matka broniła zachowania Sloana, mężczyzny, którego kiedyś huśtała na kolanach. – Wszyscy wiemy, że Billie June potrafi zaleźć za skórę.

– Już nie – zauważyła Mildred.

Skrytka pocztowa ojca była wypełniona po brzegi. Sortujący pocztę pracownik pomógł Samancie ją opróżnić.

– Dobrze, że panienka przyjechała – powiedział. – Prawie od tygodnia nie było nikogo i jeszcze trochę, a już nic więcej by się nie zmieściło.

– Nic dziwnego – odparła Samantha. – Krowy się cielą i nikt nie ma czasu.

Przejrzała plik, szukając urzędowych kopert z fakturami, które ojciec oddałby jej, nawet ich nie otwierając. Do jej obowiązków należało między innymi płacenie rachunków. Większą część poczty stanowiły fachowe czasopisma, ale były też dwa listy, jeden od przyjaciela, z którym ojciec służył w brygadzie Hooda podczas wojny domowej, i drugi w grubej kopercie z kremowego welinu od jakiegoś doktora z dopiskiem „Poufne”. Poufne? Od doktora? Samantha poczuła niepokój, taki sam, jaki obudził się w niej w czasie urodzinowego przyjęcia, kiedy usłyszała świszczący oddech dobywający się z piersi ojca. Matka jednak ledwo dostrzegalnie pokręciła głową na znak, że nie ma powodu do niepokoju. Ojciec tylko za bardzo podniecił się rozmową.

Doktor nazywał się Donald Tolman, a w adresie zwrotnym podana była skrytka pocztowa w Marietcie, na Terytorium Oklahomy. Może autor listu też był starym kompanem z wojska, który postanowił się odezwać, ale trzydzieści pięć lat po wojnie? I po co aż podkreślił napisane grubymi czarnymi literami słowo „Poufne”, jakby ostrzegał, że nikt niepowołany nie ma prawa listu otwierać? Zaniepokojona Samantha schowała gruby plik korespondencji do torby przy siodle i popędziła Pony’ego, zanim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

Rozdział 12

Samantha dojechała właśnie do miejsca, w którym rozchodziły się drogi prowadzące na pastwiska Las Tres Lomas i Triple S, kiedy usłyszała zbliżający się szybko tętent konia.

– Samantho, zaczekaj! – dobiegło ją wołanie.

Na dźwięk tego głosu serce Samanthy zabiło odrobinę szybciej, rytmu jednak nie straciło, gdyż już jakiś czas temu nauczyło się nie walić jak szalone na widok Sloana Singletona. Dziewczyna zawróciła Pony'ego w stronę sąsiada pędzącego ku niej na swoim smukłym wierzchowcu, żalując jednocześnie, że nie udało, że nie słyszy wołania. List od doktora Tolmana wypalał dziurę w jej torbie przy siodle.

Gdy jeździec i koń się zbliżali, Samantha zastanawiała się, czy Sloan wiedział o nadziejach, jakie jego ojciec żywił wobec wspólnej przyszłości syna i córki przyjaciela. Nigdy z niczym takim się nie zdradził, ale będąc synem swojego ojca, nauczył się kilku sztuczek, dzięki którym potrafił ukryć swoje myśli. Chłopak, zmuszony poruszać się w świecie twardych, bywało, że przebiegłych i bezwzględnych mężczyzn, musiał nauczyć się sztuki ukrywania myśli i uczuć. Prawdą było, że ani on, ani ona nie postrzegali się nawzajem jak dawniej. Dzieciństwo, które dzielili, teraz należało już do przeszłości.

– Tak, Sloanie? – rzekła, kiedy wstrzymał konia.

Chłodne powitanie nie było celowe i w niebieskich oczach Sloana pojawił się błysk zaskoczenia. Był ranczerem z krwi i kości, to nie podlegało dyskusji. Wysoki, smukły, prosty jak strzała Komancza, o skórze brązowej niczym rzeczny kamień, wysmaganej wiatrem i spalonej słońcem, przywykły do siodła, wyglądał dokładnie na tego, kim był – syna prerii.

– Raczej zimne powitanie – zauważył.

– Doprawdy? Przepraszam, ale się śpieszę i mam sporo spraw na głowie.

Sloan poprawił się w siodle.

– To znaczy?

Dawniej na podobne pytanie Samantha odpowiedziałaby bez namysłu, ale wtedy mówili sobie wszystko. Teraz uśmiechnęła się chłodno.

– Dużo by mówić.

Sloan prezentował się bardzo elegancko i Samantha przypomniała sobie, że dzisiejszego ranka odbywało się comiesięczne zebranie rady nadzorczej banku, której młody Singleton był przewodniczącym. Bank należał do Noble'a Rutherforda, ojca Anne.

– Wracasz zapewne z zebrania rady? – zapytała, prostując się w siodle. – Nie zostałeś, żeby jak zwykle zjeść lunch z Anne?

– Dzisiaj nie byłem w nastroju. Prawdę mówiąc, wstąpiłem do twojej matki, bo pomyślałem, że zabiorę cię na lunch do Worth, ale Estelle powiedziała, że już wyjechałaś.

Samantha zdusiła w sobie iskierkę radości, zanim ta zdążyła rozświecić jej twarz. Sloan wolał zjeść lunch z nią zamiast z Anne? Jej matka na pewno zatańczyła z radości.

– Cóż, przykro mi, że się minęliśmy, ale mama na pewno ci powiedziała, że musiałam wracać na ranczo. Tatuś na mnie czeka.

– Czy pozwolisz, że zajmę ci chwilę, żeby przeprosić za niefortunny temat rozmowy, który Anne poruszyła na twoim przyjęciu?

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby, Sloanie.

– Wręcz przeciwnie. Chyba chciała zrobić wrażenie i nie zastanowiła się, jak mogą na to zareagować twoi rodzice.

Och, zastanowiła się, i to dobrze, pomyślała w duchu Samantha. Ale zakochany mężczyzna nie widzi takich rzeczy.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Była po prostu ciekawa, nic więcej. Cóż, jeśli to wszystko...

– Nie, nie wszystko – odparł Sloan, zajeżdżając jej drogę. – Chodzi o Billie June. Wciąż... cóż, wciąż jest na mnie zła.

– Chociaż minął już prawie rok? To przykre.

– Nie potrafię jej wytłumaczyć, że zrobiłem to, co musiałem. Tylko w ten sposób mogłem sprawić, żeby przestała się spotykać z Danielem Lane'em.

Chciał porozmawiać tak, jak czynili to dawniej, kiedy nie mieli przed sobą tajemnic. Samantha widziała, jak bardzo przeżywa konflikt z Billie June. Sloan uwielbiał swoje siostry. Starsze od niego o pięć i siedem lat Billie June i Millie May zastępowały mu matkę, która zmarła, kiedy miał cztery lata, ale obie dziewczyny, a zwłaszcza Billie June, nieraz doprowadzały Seta Singletona do szału. Uosabiały wszystko to, czemu ich ojciec się sprzeciwiał: opowiadały się za prohibicją, ruchem sufrażystek, towarzystwem walczącym z okrucieństwem wobec zwierząt. Lista buntowniczych aktów, których się dopuszczały w obronie swoich przekonań, stała się w Fort Worth legendarna. Na przykład wylały cały zapas cennego burbona Seta do rzeki Trinity. Kiedy indziej zorganizowały ucieczkę dwóch sufrażystek aresztowanych za zakłócanie spokoju, a podczas występu Dzikiego Billa Hickoka weszły na scenę, żeby zaprotestować przeciwko złemu traktowaniu koni. Uwalniały z pułapek groźne dla bydła zwierzęta, wypuściły też łowną zwierzynę, którą miały rozszarpać psy podczas słynnego śniadania myśliwych w Triple S. Nieraz przynosiły ojcu wstyd na przyjęciach, jawnie wyrażając poglądy odmienne od poglądów jego gości, i zawsze brały stronę każdej osoby budzącej w społeczności kontrowersje.

Za życia ojca Sloan nie opowiadał się po żadnej ze stron. Zostając głową

rodziny, dalej próbował stosować politykę żyj-i-daj-żyć-innym, aż do czasu romansu Billie June z Danielem Lane'em.

W rodzinie Sloana nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać o tym problemie. Neal Gordon jednoznacznie poparłby swojego protegowanego, uważając, że małżeństwo Billie June jest niedopuszczalne. Sloan nie miał też na swoim ranchu nikogo zaufanego, jak Grizzly czy Wayne Harris z Las Tres Lomas. Anne Rutherford wielbiła go jak króla, a ponieważ królowie nie zwierzają się swoim poddanym, był sam jak palec. W jego życiu nie było żadnego obiektywnego słuchacza, który wyraziłby bezstronną opinię.

Poza Samantha.

– Uważasz, że zachowałem się jak drań?

Pony szarpał wędzidło. Chciał wracać do domu.

– Mam potwierdzić czy zaprzeczyć?

– Przecież sama wiesz. Wystarczy prawda. Nigdy mi jej nie szczędziłaś, choćby była nie wiem jak bolesna.

– Musiałeś tak publicznie, na oczach wszystkich, okazać swoją niechęć jej przyjacielowi? – zapytała Samantha. – Billie June wykazała się nie lada odwagą, wybierając się na piknik z Danielem Lane'em, i dała w ten sposób wyraz miłości, jaką go darzy.

– Zrobiła to mnie na przekór.

– Wątpię, czy w ogóle wtedy o tobie myślała.

– Do ciężkiej cholery, Sam! – Sloan przesunął w tył swój kapelusz, odsłaniając przy tym jasną, spaloną słońcem czuprynę. – Billie June wie doskonale, że tato nigdy by nie pozwolił, żeby spotykała się z kimś takim. On nie jest jej wart.

– Skąd wiesz?

– Och, dajże spokój, Sam! Co taki Daniel Lane może widzieć w mojej siostrze poza jej funduszem powierniczym? Jest przystojny, wiele lat młodszy od Billie June, nie ma grosza przy duszy, a Billie June jest... cóż, może to podłe, ale ani trochę nie jest ładna.

– Twoja siostra jest mądra, zabawna i interesująca, Sloanie. Może pan Lane jest na tyle inteligentny, że dostrzega coś więcej niż tylko urodę. – W przeciwieństwie do ciebie, który pod pięknym dekoltem Anne Rutherford nie widzisz jej małego czarnego serca, dodała w myśli.

Sloan spojrział na nią osłupiały.

– Jesteś równie ślepa jak Billie June, skoro tak myślisz.

Samantha poklepała Pony'ego po szyi, żeby go uspokoić.

– Może to ty jesteś ślepy, Sloanie.

Sloan milczał przez chwilę, patrząc na nią w zamyśleniu.

– Miałem nadzieję, że się ze mną zgodzisz i przemówisz jej do rozumu.

– Nie mogę występować przeciwko komuś, kogo nie znam. Gdybym miała

komuś przemówić do rozumu, to raczej tobie. Jesteś szczęściarzem, że masz rodzeństwo. Ja żałuję, że go nie mam.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem pogodzić się z Billie June, tak? – rzekł Sloan, nie kryjąc rozczarowania. Poprawił kapelusz. – Cóż, nie zrobię tego, jeśli by miało to oznaczać, że zgadzam się, żeby dalej spotykała się z Danielem Lane'em. Nie mogę pozwolić, żeby ją zranił. – Trącił konia, by się do niej zbliżyć. Rondo kapelusza rzucało cień na jego oczy. – I co ja słyszę... żal w twoim głosie? Sam, przecież ty masz rodzeństwo. Masz mnie. Zawsze byłem twoim bratem i dalej nim będę. Przez te ostatnie lata... trochę cię zaniedbywałem, ale walczyłem, żeby utrzymać się na powierzchni. Triple S pochłania tyle mojego czasu...

– I rzecz jasna Anne – dodała Samantha, może odrobinę zbyt szybko.

– Tak, po części ona też. – Sloan spojrział na nią badawczo, ale Samantha pochyliła się, żeby poklepać Pony'ego po szyi, nie chcąc napotkać wzroku Sloana. Zbyt dobrze potrafił czytać w jej myślach. Natychmiast wszystko zauważał, równie łatwo jak rybę w przejrzystej wodzie.

– Nie musisz się tłumaczyć – rzekła. – Czasem tato i ja ledwie dajemy sobie radę z Las Tres Lomas. – Wyprostowała się, zawracając Pony'ego w stronę domu. – Muszę jechać, ale pamiętaj, co powiedziałam, Sloanie. Billie June też tęskni za swoim bratem.

Już miała wbić piętę w boki Pony'ego, kiedy Sloan zawołał cicho:

– Sam...

– Tak, Sloanie?

– Mówiłem poważnie. O tym, że masz we mnie brata. Wierzysz mi, prawda?

– Wierzę, Sloanie. Naprawdę wierzę.

Rozdział 13

Ten moment w drodze powrotnej do domu lubiła najbardziej: kiedy Pony wspinał się na nieduże wzniesienie, z którego rozciągał się widok na akry ziemi i zabudowania rancza Las Tres Lomas de la Trinidad. Obejmując wzrokiem rozpościerające się przed nią rozległe pastwiska z tysiącami krów, korrале, padoki, okazały dom z otaczającymi go zabudowaniami i rzekę Trinity wijącą się pomiędzy trzema niewielkimi wzgórzami, od których ranczo wzięło swoją nazwę, prawie zawsze odczuwała przeszywający ją dreszcz dumy. Prawie zawsze, zdarzało się bowiem, że widok ze wzniesienia raczej łamał serce, niż przepelniał je szczęściem – w czasie tak zwanych „brązowych wiosen”, kiedy nie spadała ani kropla deszczu, a woda w zbiornikach wysychała. Samantha żałowała, że nie może dłużej cieszyć oczu wiosenną bujnością imperium jej ojca w ten jasny, rześki po deszczu poranek, gdy zieleń pól, poprzetykana rdzawobrunatnymi zadami tłustych, pasących się krów rasy hereford, niemal oślepiła.

Jednak nie mogła zwlekać. Nauczyła się, że prawda, choćby i najgorsza, jest najlepszym lekiem na zmartwienia. Większość z nich brała się z niepewności, a Samantha była w stanie sprostać wszystkiemu pod warunkiem, że znała prawdę. Może będzie to wymagało odrobiny wysiłku, ale w końcu wydobędzie z ojca treść listu doktora Tolmana, na dobre czy złe. Przed żoną mógł mieć tajemnice, lecz przed córką niczego nie potrafił zataić. „Wystarczy, że powiem Estelle byle co, a ona od razu dosiada swojego konia i zaczyna szaleć – zwykły mawiać – ale z tobą, moja Sammy, jest inaczej. Bogu niech będą dzięki za twoją chłodną głowę i powściągliwy język”. Może martwiła się niepotrzebnie – „strzela z armaty do wróbla”, jak powiedziałby ojciec – a list rzeczywiście jest od dawnego kolegi z wojska. Ale czemu w takim razie jego autor napisał na kopercie „Poufne” pogrubionymi czarnymi literami?

W chwili gdy przejeżdżała przez bramę ze skrzyżowanych belek, rozległ się gong wzywający pracowników na południowy posiłek, podawany w Trail Head, stołówce rancza. Przywiązała Pony’ego przed domem. Koń zniecierpliwiony parskał i gryzł wędzidło, słysząc dochodzące zewsząd odgłosy ludzi i zwierząt, porykiwania rodzących krów w oddalonych o pół mili zagrodach. Pony w swoim końskim języku dopytywał się, dlaczego w tym wszystkim nie uczestniczy.

– Już niedługo, Pony, obiecuję – powiedziała Samantha, pieszczotliwie skrobiąc konia między uszami, w jedynym miejscu, w które pozwalał się podrapać, i wyciągając z torby pocztę.

Ojca znalazła w bibliotece, na końcu wielkiego pokoju dziennego, w którym skupiało się całe życie domu. Znajdujący się w części jadalnej stół był nakryty dla dwóch osób. Zjedzą lunch tylko we dwójkę, nie w stołówce z pracownikami.

Samantha odetchnęła z ulgą. Ponieważ ktoś musiał przez cały czas być przy rodzących krowach, ludzie zjawiali się na zmianę i zasiadali do posiłku przesiąknięci zapachem krwi i łożysk. Samantha dobrze znosiła smród, jaki towarzyszył cieleniu, ale w korralach i oborach, a nie przy stole.

– Samantha! – Z potężnej piersi Neala Gordona dobył się dudniący głos.

Choć ojciec coraz bardziej zaokrąglął się w pasie, wciąż emanował surową siłą fizyczną, legendarną wśród mężczyzn pracujących z bydłem, końmi, lassami i bronią. Wyszedł zza biurka z wyciągniętymi ramionami, by zamknąć córkę w pełnym miłości uścisku.

– Umyłem się specjalnie dla ciebie, żebyś mogła porządnie wyściskać swojego staruszka. Spodziewałem się ciebie wcześniej.

Pachniał mydłem Ivory i świeżo wypraną bawełną. Roboczy strój zamienił na zaprasowane w kant wełniane spodnie i białą koszulę z krawatem bolo spiętym srebrną spinką.

– Na krzyżówce spotkałam Sloana Singletona i rozmawialiśmy przez chwilę. Wracał do domu po zebraniu rady w banku – wyjaśniła Samantha.

W oczach Neala pojawił się błysk zainteresowania połączony z nadzieją.

– To dobrze. Ostatnio rzadko się odwiedzacie. Na twoich urodzinach ta mała Rutherford trzymała go jak cielaka na lassie. I cóż ci takiego powiedział?

– To samo co zwykle. – Samantha podała ojcu pocztę, w jego chropowatej twarzy doszukując się śladów choroby. Niczego takiego nie dostrzegła.

– Powinnaś była zaprosić go na stek starego Grizzly’ego. Ucieszyłby mnie jego widok.

– Nie wpadłam na to – odparła Samantha. – Dużo trzeba było wyciągać?

Zanim odpowiedział, na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie mówiące: „A powinnaś była”. Samantha pytała, czy dużo cielaków trzeba było siłą wyciągać z kanału rodnego, co było kolejnym zagrażającym życiu zwierząt problemem, któremu dzięki swoim drobnym dłoniom potrafiła zaradzić.

– Tylko kilka, dzięki Bogu, jak dotąd wszystkie rodzą się zdrowe. Jak się miewa twoja matka?

Położył na biurku plik korespondencji, zakładając na nos okulary do czytania. Samantha tak ułożyła koperty, żeby list od doktora Tolmana znalazł się na samym dole. Reakcja ojca na nazwisko nadawcy zdradzi jej, czy jest jakiś powód do zmartwienia. Wiedziała, że na pytanie, jak się czuje, Neal Gordon odpowiedziałby: „Dobrze”, nawet leżąc na łożu śmierci.

– Podejrzewam, że już za mną tęskni – odparła. – Zdążyła przywyknąć, że ma mnie przy sobie.

Neal prychnął.

– Przecież wcale nie musi być samotna. Jej wybór. Rozruszaj trochę ogień, a ja to przejrzę. Wciąż jeszcze czuć zimno w powietrzu.

Samantha wzięła pogrzebacz, nie spuszczać wzroku z ojca, który czasopisma odkładał na jedną kupkę, a na drugą rachunki, którymi zajmie się ona. Mruknął ze zdziwienia, kiedy doszedł do listu od kolegi z czasów wojny domowej.

– Kto by pomyślał? Napisał do mnie kompan z pierwszego regimentu piechoty. Mam nadzieję, że nie pisze, że właśnie jest umierający. O, a to co takiego...?

Neal poprawił okulary na nosie i przysunął list bliżej oczu. Może się Samancie zdawało, ale chyba dostrzegła, jak pod głęboką opalenizną ojciec zbladł odrobinę.

– Widziałam, że dostałeś list od lekarza z dopiskiem „Poufne”. Czy czegoś mi nie mówisz, tatusiu?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Na przykład czego?

– Że jesteś chory?

– Dobry Boże, skądże! – Śmiech ojca trochę ją uspokoił. – Gdybym był chory, poszedłbym do naszego starego doktora Madigana w mieście. Nic mi nie jest. W życiu nie czułem się lepiej. Nie, to wiadomość od... od weterynarza. Teraz to też doktorzy. Na pewno odpowiedział na mój list, który jakiś czas temu napisałem do niego w sprawie jego artykułu o kleszczach atakujących bydło. Jestem zaskoczony, że odpisał.

– Nie pamiętam tego artykułu.

– Bo pewnie go nie czytałaś.

Jego oschły ton powiedział jej, że Neal Gordon nie ma zamiaru więcej dyskutować o liście. Nie życzył sobie, żeby dalej naciskała, co rzadko mu się wobec niej zdarzało. Teraz zmartwiła się na poważnie. Przeglądała każdy artykuł dotyczący hodowli bydła przeczytany przez ojca, a potem o nim rozmawiali. W żadnym z czasopism nie było niczego o lekarstwie na kleszcze opracowanym przez doktora Donalda Tolmana. Poza tym, gdyby list rzeczywiście tego dotyczył, czemu ojciec nie przeczytał go od razu, żeby podzielić się z nią informacjami? Jeżeli jednak faktycznie miał pytania związane ze zdrowiem, dlaczego zwracał się z nimi do lekarza w małym nadrzecznym miasteczku na Terytorium Oklahomy? Marietta leżała kilka mil od Rzeki Czerwonej i było mało prawdopodobne, żeby ojciec akurat lekarza stamtąd prosił o konsultację medyczną.

– Pewnie chcesz się trochę odświeżyć, zanim siądziemy do stołu? Idź, a ja tymczasem przygotuję nam drinki – powiedział Neal. – Zdążymy się napić przed lunchem. Jest coś, o czym chcę z tobą porozmawiać.

Chce się mnie pozbyć, żeby w samotności przeczytać list, pomyślała Samantha. Nie szkodzi. Jeśli go jej nie pokaże, i tak wiedziała, gdzie ojciec trzyma prywatną korespondencję, tak jak wiedziała, gdzie znaleźć klucz, gdyby szuflada okazała się zamknięta. Musi się dowiedzieć, czego dotyczy ten poufny list i czemu

ojciec chce to przed nią zataić.

Myjąc się w łazience, Samantha przyjrzała się swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Czy choć trochę podobała się Sloanowi Singletonowi? Nie pamiętała, żeby choć raz powiedział coś miłego o jej urodzie. Na pewno by tego nie zapomniała. Włosy stanowiły jej największą ozdobę, ale szare oczy też miały ładny kształt i były błyszczące, nos zaś nieduży i lekko zadarty, a wszystkie rysy harmonijne. Miała delikatną skórę, była smukła i kształtna, jednak w porównaniu z olśniewającą urodą Anne Rutherford prezentowała się jak szara myszka.

Lekkie przygnębienie, z jakim rano obudziła się z koszmarnego snu, teraz zawisło nad jej głową niczym ciężka gradowa chmura. „Nigdy nie lękaj się swoich myśli i uczuć, nawet tych najbardziej przerażających – pouczał ją ojciec. – Stawiaj cholerstwu czoła, jak wszystkiemu, co ci zagraża. Zastanów się nad nim. Przeanalizuj. Uświadom sobie, skąd się bierze i jaki ma na ciebie wpływ. Prędzej czy później zrozumiesz”.

Już rozumiała. Średnia długość życia kobiety w 1900 roku wynosiła czterdzieści osiem lat, a ona już prawie połowę z danego jej czasu miała za sobą. Jej statek płynął ustalonym kursem i nic nie wskazywało, żeby ten kurs miał się zmienić. Przyszłość wydawała się nieunikniona. List od doktora Tolmana wzbudził w niej lęk, o którym wolała nie myśleć. Jej rodzice się zestarzeją i któregoś dnia umrą, a ona będzie musiała prowadzić jedno z największych rancz w środkowym Teksasie i walczyć o jego przetrwanie, chociaż nie o takim życiu dawniej marzyła. Mężczyzna, którego kochała, ożeni się z inną, a ona raczej nie liczyła, że pojawi się ktoś, kto zdobędzie jej serce.

Cóż, będzie, co ma być, pomyślała Samantha, wycierając ręce. Przyjmie, co los jej ześle, i wykorzysta możliwie jak najlepiej. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Wszystko się przecież zmienia.

Kiedy wróciła do biblioteki, Neal podał jej szklaneczkę burbona, a sam ze swoją rozsiadł się w fotelu „taty misia”, jak nazywała go Estelle. Samantha zajęła swoje zwykłe miejsce na skórzanej sofie. Zerknęła na biurko ojca. Nie zauważyła żadnych listów. Zaczeka, aż nadejdzie odpowiednia chwila, by poruszyć temat ich zawartości.

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać? – zagadnęła.

– Na pokerze w ubiegły poniedziałek Buckley Paddock powiedział mi o farmie w hrabstwie Cooke, wystawionej na sprzedaż. Sto czterdzieści akrów. Buckley mówi, że od przyszłego poniedziałku ogłoszenie będzie się pojawiać w „Gazette”, a z tego, co mi wiadomo, farma leży tuż przy La Palomie.

Buckley Paddock był wydawcą „Fort Worth Gazette”; La Paloma zaś miejscem, na które przepędzano część stad z Las Tres Lomas.

– Gdzie dokładnie i za ile? – zapytała Samantha.

– Na północy. Ceny nie znam.

Samantha rozumiała, co oznacza błysk w oku ojca. Na dziesięć tysięcy akrów w hrabstwie Cooke przepędzano pięć tysięcy krów z Las Tres Lomas. Operacją tą dowodził inny nadzorca, który pół swojego życia przepracował u Gordonów. Ziemia oddalona była o siedem mil od Rzeki Czerwonej i idealnie się nadawała, by pędzić z niej bydło na rampy załadunkowe kolei Missouri–Kansas–Teksas w Marietcie, skąd jechały do ubojni w Kansas. Jediną przeszkodą była leżąca na trasie spędu farma, która broniła bezpośredniego dostępu do rzeki, przez co stada trzeba było prowadzić dookoła, nadkładając dziesięć mil, by dotrzeć do przeprawy. Samantha nigdy nie była w La Palomie. Brakowało tam udogodnień odpowiednich dla damy.

– To może być farma przylegająca bezpośrednio do naszej ziemi – ciągnął Neal. – Kiedy lata temu kupowałem La Palomę, zaproponowałem właścicielowi, że odkupię od niego jego farmę. Stary, uparty osioł – zastanowił się przez chwilę – niejaki Barrows. Liam Barrows. Powiedział, że farma należała do rodziny, jeszcze zanim powstał stan i że jego dwaj synowie dopilnują, żeby tak zostało. Guzik go obchodziło, że muszę pędzić swoje bydło do piekła i z powrotem, by przeprowadzić się przez rzekę.

– Miły sąsiad – zauważyła Samantha. – I co proponujesz?

– Że pojedziemy... a raczej ty pojedziesz rozeznaczyć się na miejscu. No bo co to szkodzi? Buckley mówi, że farma szybko zniknie z rynku. Z poniedziałkowej gazety dowiemy się wszystkiego i proponuję, żebyśmy natychmiast zatelegrafowali do właściciela i umówili się na oględziny. Pojedziesz pociągiem do Gainesville.

Samantha nie pytała, dlaczego akurat ona ma jechać. Czemu ojciec nie chce sam wszystkiego obejrzeć? Czułby się skrępowany, gdyby musiał odpowiedzieć. Neal Gordon wstydził się swojej fobii, z powodu której nie był w stanie wysiedzieć w ograniczonej przestrzeni przedziału kolejowego. Jazda konna trwałaby ze trzy dni, a do tego czasu farma zostałaby już zapewne sprzedana.

Samantha uznała, że jest to pomysł wart rozważenia. Jeśli chodzi o zakup ziemi, ojciec działał czasem zbyt pochopnie, ale w 1890 roku mądrze dokupił 160 akrów do już posiadanych 166 400 w La Palomie, gdzie mógł stale trzymać część swoich stad. Kiedy letnie upały w środkowym Teksasie wypalały trawę, Las Tres Lomas miało do dyspozycji ziemię, na którą można było przepędzić trzy tysiące krów, zmniejszając tym samym liczbę pysków do wykarmienia na ranczu.

„Jeżeli nie zdecydujemy się na to teraz, Estelle – tłumaczył ojciec podczas rodzinnej narady – za kilka lat może być za późno. Ceny pójdą w górę, a ogrodzenia dzielące nas od letnich pastwisk rosną szybciej niż grzyby po deszczu. Ani się obejrzymy, jak droga do La Palomy będzie zablokowana, i co wtedy zrobimy? Wiesz, że latem nie wykarmi się tutaj całego stada, a póki co nie ma ziemi sąsiadującej z naszą, żeby problem rozwiązać”.

Neal pilnował kasy rancza, ale to Samantha prowadziła księgowość i do niej

należała rola adwokata diabła, kiedy przychodziło do rozmów o wydatkach. Ojca, który za wszelką cenę pragnął zostać tytanem przemysłu hodowlanego, a z Las Tres Lomas uczynić jedno z największych rancz w Teksasie, trzeba było czasem mitygować, zwłaszcza gdy w banku były nadwyżki – oczywiście w banku Cattlemana, nie w Rutherford City.

– Wszystko będzie zależeć od ceny, no i od tego, czy właściciel nie sprzeciwi się, żeby jego farmę przerobić na drogę spędu bydła – powiedziała. – Ja na przykład nie chciałabym, żeby Las Tres Lomas zmieniło charakter.

Silbia, meksykańska gospodyni zarządzająca rodzinnym domem na ranczu, przyszła oznajmić, że *la cena* – obiad – stoi na stole. Szykowała śniadania i kolacje dla *el patrón* i jego *hija* – córki, jednak południowy posiłek przynoszono z kuchni Grizzly'ego, jeżeli akurat szef i Samantha nie jedli z resztą pracowników w stołówce.

– Ach, smażony stek Grizzly'ego – powiedział uradowany Neal, wstając. – Mam nadzieję, że będzie dużo sosu.

Ojciec nie zdradzał żadnych objawów choroby, tylko czystą radość z czekającego go dobrego posiłku, Samantha jednak, wstając, zerknęła w stronę kominka i serce w niej zamarło. Dostrzegła dopalający się skrawek kremowego papieru na stercie łagodnie żarzących się polan.

Nathan

Rozdział 14

Pięć dni po dwudziestych urodzinach, pod koniec słonecznej, rześkiej środy Nathan zadzwonił do drzwi domu swego ojca. Rezydencja mieściła się w enklawie innych eleganckich domów leżących nad dopływem rzeki Trinity w Dallas w Teksasie. Dorożkarz, który zabrał go sprzed dworca kolejowego, z miejsca rozpoznał adres zapisany przez Trevora na odwrocie wizytówki.

– O tak, to w Turtle Creek – powiedział, obrzucając roboczą kurtkę i wyblakłe džinsy Nathana sceptycznym wzrokiem. – Będziesz tam pracował?

– Tam mieszka mój ojciec – odparł Nathan.

Drzwi, z pokrytego błyszczącym lakierem hebanu z lśniąca mosiężną kołatką, otworzyła czarna służąca w białym czepku z falbanką i obszytym koronką fartuszką.

– Wejście dla dostawców jest z tyłu – powiedziała, ze ściągniętymi brwiami spoglądając na plecak Nathana leżący u jego stóp.

Nathan zdjął czapkę.

– Nie jestem dostawcą. Nazywam się Nathan Holloway i jestem synem pana Waverlinga.

Pokojówka jak ryba bezgłośnie poruszyła ustami. Zanim się odezwała, Nathan usłyszał dobiegające z ulicy dźwięki kilku klaksonów.

– W życiu czegoś podobnego nie słyszałam. Wynoś się, zanim wezwę policję!

– Wtedy ci się oberwie od pana Waverlinga. Zaczekam tu, a ty zadzwoń i powiedz mu, że przyjąłem jego zaproszenie. W tej rezydencji na pewno macie takie urządzenie jak telefon.

Służąca cofnęła się, wybałuszając oczy, i zamknęła drzwi. Po chwili Nathan usłyszał szcęk przekręcanego zamka. Założył z powrotem czapkę i usiadł na stopniu okrągłego ganku z cegły, żeby poczekać, aż pokojówka albo spełni swoją groźbę, albo zadzwoni do biura Trevora Waverlinga. Leon radził, żeby Nathan napisał do ojca, uprzedzając go, kiedy i o której godzinie przyjedzie, a także gdzie się stawi.

„Idź do biura, nie do domu – pouczał go Leon. – Powiedział, że możesz przyjść albo tu, albo tu. Jak się będziesz przedstawiać, powiedz, że nazywasz się Nathan Holloway, przyjechałeś z Gainesville w Teksasie i jesteś umówiony z panem Waverlingiem. Nic nie mów, że jesteś jego synem. To będzie dobry początek, niekrępujący dla nikogo, na wypadek gdyby... cóż, sytuacja stała się niezręczna”. Doradził też Nathanowi, żeby założył najlepsze ubranie. „Okaz szacunek”, rzekł.

Nathan wysłuchał, ale nie posłuchał. Był synem Trevora Waverlinga. Jeżeli

Waverling się tego wstydzi albo woli o tym zapomnieć, Nathan uznał, że przedstawiając się jako jego syn, szybko się przekona, czy ojciec naprawdę chciał go odzyskać. Nie dla Nathana tylne wejście. Skoro ojciec uznał go za godnego, by przyjąć go w biurze, Nathan równie dobrze może czekać na niego przed frontowymi drzwiami jego domu, w codziennym odzieniu, choć oczywiście bez czapki na głowie.

Wyjął z kieszeni kurtki książkę Jacka Londona *Syn wilka*. Choć zdarzały się rzadko, wolne chwile poświęcał na czytanie, a zaoszczędzone pieniądze wydawał na książki, które kupował w sklepie w Gainesville. Nie mógł jak Lily siedzieć i nic nie robić. Nie miał o czym rozmyślać i marzyć jak siostra, dlatego uciekał w świat książek. Czytał literaturę klasyczną i kupowane za grosze powieści detektywistyczne, historie o życiu pierwszych osadników i średniowieczne romanse, o których później sobie myślał w czasie, kiedy samotnie pracował na farmie.

– Dzień dobry.

Nathan spojrzał w stronę, z której dobiegł dziecięcy głosik. Tak się zatracił w historii o okrutnej alaskiej dziczy i gorączce złota nad rzeką Klondike, że nie usłyszał zbliżających się kroków. W pierwszej chwili pomyślał, że ma przywidzenie. Pośród gęstwiny niebieskich hortensji rosnących po obu stronach ganku pojawiła głowa małej dziewczynki z kokardami w identycznym kolorze jak wielkie kule kwiatów. Patrząc na niego, dziewczynka zamrugała nieśmiało brązowymi oczami okolonymi gęstymi niczym firanki rzęsami.

Nathan odłożył książkę grzbietem do góry, otwartą na stronie, którą właśnie czytał.

– Dzień dobry – powiedział z ciepłym uśmiechem. – Kim jesteś?

– „Jestem nikim. A ty? Czy jesteś nikim też? Zatem jest nas aż dwoje! Pst! Rozejdzie się, wiesz!”¹.

Nathan powoli wstał ze stopnia. Śpiewne słowa dziewczynki brzmiały znajomo. Nie potrafił powiedzieć, gdzie je słyszał, aż nagle sobie przypomniał. To był fragment wiersza z tomiku poezji, który Lily kiedyś czytała podczas jednego z rodzinnych wieczorów.

– Chyba rzeczywiście możesz nazwać mnie nikim – zwrócił się do małej ponad żywopłotem.

– „Jak monotonnie jest być kimś!” – zacytowała. – „Popisującą się żabą, kumkać swe imię cały czerwiec stojącym w podziwie stawom!”².

Nathan natychmiast się zorientował, że mała nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach. Leon wspomniał, że Trevor Waverling ma niedorozwiniętą córkę. W jej spojrzeniu było coś nie z tego świata. Patrzyła na Nathana, jednocześnie go nie widząc, a jej usta wykrzywiły się bezwolnie, jak u marionetki pociągniętej za niewidzialny sznurek. Jadąc tu, spodziewał się, że ją spotka, podobnie jak jej

babkę.

– Jak masz na imię? – zapytał.

Pytanie ją zaskoczyło.

– Rebecca! – zaśpiewała po chwili namysłu, kiedy próbowała sobie przypomnieć.

Wyciągnął do niej rękę ponad żywopłotem.

– Ja jestem Nathan.

Powoli wysunęła dłoń spomiędzy niebieskiego gąszczu i uściśnęła jego rękę.

– Nathan... Czy jesteś nikim też?

– Tak myślę, dla tych, którzy mają o sobie duże mniemanie – powiedział.

Usłyszał zbliżające się stuk, stuk, stuk, jakby coś metalowego uderzało o wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę biegnącą wokół domu. Po chwili zza trejazu wyłoniła się starsza kobieta wsparta na lasce. Jeszcze zanim się odezwała, poczuł zapach drogich kwiatowych perfum.

– No, na litość boską! – wykrzyknęła. – Rzeczywiście przyjechałeś.

Nathan zerwał czapkę z głowy.

– Proszę pani?

– Jestem twoją babką, Mavis Waverling – rzekła kobieta. – To pewne jak amen w pacierzu. Masz moje oczy. – Zbliżywszy się, przyjrzała mu się baczniej. – I twojego ojca, oczywiście, chociaż w twoich jest coś, czego u niego brakuje. Jak widzę, poznałeś już Rebecę. – Objęła dziewczynkę ramieniem. – Rebecca, kochanie, to jest twój... brat. – Zerknęła na Nathana. – Pozwolisz, że nie wspomnimy, że tylko przyrodni?

– Oczywiście – odparł Nathan.

Oczy Rebekki zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Mój... brat?

– Tak – rzekł. – Jesteś moją siostrą.

Rebecca odwróciła się do babki.

– Jest nikim też – oznajmiła z dumą. – Zatem jest nas aż dwoje. Pst!

– Oczywiście, pst! – konspiracyjnie szepnęła jej do ucha Mavis Waverling.

Nathan przestraszył się, że zrobił głupkowatą minę. Więc to była jego babka. Wyglądała, jakby wyfrunęła z pudełka na kwiaty, ukrytego na strychu, poźółkłego, ale wciąż wykwiutnego. Pomyślał, że w młodości musiała być bardzo piękna. Przed przyjazdem zastanawiał się, jak wygląda i czy coś ich ze sobą łączy. To głównie ze względu na nią przyjechał. Rzeczywiście musieli być spokrewnieni, bo mieli ten sam kształt i kolor oczu, chociaż u niej otaczała je siateczka drobniutkich zmarszczek. Nie odziedziczył jednak po Mavis delikatnej budowy, cienkich, białych jak śnieg włosów ani też wzrostu niewiele wyższego od krzewów hortensji, za którymi stała. Dziwnie się poczuł na myśl, że w ich żyłach płynie wspólna krew.

– Pani jest... moją babką? – zapytał.

– Tak. Dużo mamy do nadrobienia, prawda? Wejźmy do środka. Twój ojciec już jedzie, ale zdążymy się troszkę lepiej poznać, zanim nam przeszkodzi. Rebecca, kochanie, idziemy.

Wyłoniły się zza żywopłotu, dziewczynka tak wiotka, a kobieta tak krucha, że porwałby je najłżejszy nawet powiew wiatru. Z dziewczynki jednak emanowała młodość, a z kobiety taka siła, że Nathan uznał, iż byłoby dla niej obrażą, gdyby zaoferował jej ramię.

– To twój cały bagaż? – zapytała Mavis, trącając plecak laską.

– Tak, proszę pani.

– Jak zmieściłeś tu ubranie na zmianę?

– Nie zamierzam zostać długo.

– Doprawdy? Cóż, to się jeszcze okaże. Zatrzymasz się u nas, ma się rozumieć.

– Och, nie. Nigdy w życiu. Po drodze widziałem pensjonat.

– Nonsens. Każę ci przygotować pokój gościnny. Mój wnuk nie będzie mieszkał w jakimś zapchlonym pensjonacie. Rebecca, biegnij do Lenory i każ jej przyjść do salonu. I niech przyniesie herbatę z furą kanapek. Twój brat na pewno jest głodny. Nathanie, nie zapomnij swojej książki.

Czując, że sprzeciw na nic się zda, Nathan podniósł książkę i plecak i podążył za dwoma drobnymi postaciami w zwiewnych pastelowych sukienkach. Zrozumiał, że do prezentacji doszło przed domem, na wypadek gdyby okazał się niegodny przekroczenia jego progu. Najwyraźniej wypadł dobrze, ale zamykając za sobą hebanowe drzwi, zastanawiał się, w co się pakuje i czy ewentualna ucieczka okaże się możliwa.

Rozdział 15

To był najwspanialszy dom, jaki Nathan kiedykolwiek widział albo spodziewał się zobaczyć, jeśli nie liczyć eleganckiej rezydencji, w jakiej któregoś dnia miała nadzieję zamieszkać Lily, pod warunkiem że poślubi bogacza.

– Usiądź tutaj, koło mnie, żebyś miał bliżej jedzenie. I nie bój się usiąść na adamaszku, twoje spodnie wyglądają na wystarczająco czyste – powiedziała Mavis, zajmując fotel przy płonącym łagodnie kominku. – Poza tym miło mieć w salonie Waverlinga w roboczym ubraniu. Twój wuj, a mój drugi syn, taki właśnie był. Żałuję, że go nie poznasz. Tutaj jest jego zdjęcie.

Wskazała na kominek, gdzie stała podobizna mężczyzny w niczym nieprzypominającego swojego eleganckiego brata. Fotografia była zwrócona w stronę fotela Mavis. Na drugim końcu marmurowego kominka znajdowało się zdjęcie w gustownej ramce z uwiecznionym Trevorem, ale było oczywiste, że fotografia jego brata dominowała w pokoju.

– Nie... żyje? – Nathan zastanawiał się, czy gdzieś jest zdjęcie męża Mavis, jego dziadka.

– Od trzech lat. Do dzisiaj jego śmierć jest owiana tajemnicą, ale tę historię opowiem ci kiedy indziej. – Z haftowanego fotela zeskoczył wielki kocur i natychmiast umościł się na kolanach Nathana. – Proszę, proszę – powiedziała Mavis. – Najpierw spodobałeś się Rebecce, teraz Scatowi, a oni nieźle znają się na ludzkich charakterach. Scat, złaź, zanim potraktuję cię laską.

Kot popatrzył na nią, ziewnął i zwinął się koło czapki Nathana, której chłopak nie zdążył schować do kieszeni.

– Nie przeszkadza mi. Jest ładny i ciepły. Przykro mi z powodu pani syna. Czy on i mój ojciec... to pani jedyne dzieci?

– Jedyne. Żadnych córek. Uwierz mi, mnie też jest przykro z powodu mojego chłopca. Miał na imię Jordan. Rebecca go uwielbiała. Dzięki niemu poznała poezję... to była jego wielka miłość i dlatego Rebecca bez przerwy ją cytuje. Co wieczór czytał jej z któregoś ze swoich tomików. Ach, a oto i Lenora z herbatą. Lenoro, to mój wnuk Nathan. Zatrzyma się u nas na trochę. Przygotuj mu, proszę, błękitny pokój.

– Dzień dobry – powiedziała Lenora z dygnięciem i ostrym spojrzeniem, w którym widać było powątpiewanie, że Nathan jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Jej wzrok mówił też wyraźnie, żeby miał się na baczności. Skinieniem głowy i lekkim wzruszeniem ramion potwierdził, że zrozumiał, jednocześnie próbując przekazać, że to nie był jego pomysł.

– Postaram się nie sprawić kłopotów – zapewnił.

– Och, sprawiaj tyle kłopotów, ile masz ochotę – rzekła Mavis. – Kłopoty,

które człowiek sprawia, wiele o nim mówią. Lenoro, zabierz Scata do kuchni; niech chłopiec zje w spokoju. Zatrzymaj też na jakiś czas Rebeccę, żebyśmy mogli z Nathanem porozmawiać. Należę ci herbaty. Jaką pijesz?

– Bez dodatków – odparł Nathan, przez grzeczność nakładając sobie na talerz tylko dwie kanapeczki.

Był wściekle głodny, bo jego ostatnim posiłkiem była wczorajsza kolacja. Wydoiwszy Daisy, nie miał już czasu na śniadanie, jeśli chciał złapać pociąg do Dallas o 7.30. Leon odprowadził go na stację i wsunął mu do ręki dolara. „Na śniadanie – powiedział. – Zamów sobie jajka z bekonem na którejś stacji po drodze. Droga do Dallas daleka i zdążysz zgłodnieć”. Nie wiedząc jednak, co go czeka w mieście, Nathan zatrzymał pieniądze i razem z własnymi skromnymi oszczędnościami schował je bezpiecznie do skarpetki.

Mavis podała mu herbatę, jednocześnie nakładając na talerz więcej kanapek. Nathan wyczuwał, że świetnie zna i rozumie chłopców. Musiała być dobrą matką dla swoich synów, chociaż chyba nie przepadała za tym, który jej pozostał.

– Pozwól, że opowiem ci nieco o Rebecce – rzekła. – Czy Trevor wspominał coś o swojej córce?

– Pokróćce, mojemu ojczymowi – odparł Nathan.

– Tak myślałam. To córka z jego pierwszego małżeństwa. Z powodu Rebekki jego druga żona bała się urodzić mu kolejne dzieci. Po pierwszym rozwodzie Trevora wzięłam Rebeccę do siebie. Trevor też tu mieszka, lecz to mój dom, jak i wszystko inne, ale zbaczam z tematu. – Trzepnięciem bladych, cienkich palców Mavis odpędziła dygresję. – Dziewczynka jest nieprzeciętnie inteligentna, ale jej mózg jest ograniczony przez jakieś zaburzenie nerwowe. Lekarze mówią, że w rozwoju umysłowym zatrzymała się na wieku ośmiu lat i na zawsze pozostanie małą dziewczynką. Zauważyłeś pewnie, że ma dość zawężone zdolności werbalne, ale potrafi powtórzyć wszystko, co przeczyta albo usłyszy, poza tym jak na kogoś, kto się zatrzymał w rozwoju, dużo rozumie i nieźle potrafi pisać.

– Według mnie trzeba być bystrym, żeby cytować poezję adekwatnie do sytuacji – zauważył Nathan.

– Racja.

Rozległ się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, po którym nastąpiły szybkie kroki w holu. Na powitanie przybysza wybiegła zaaferowana Lenora.

– Och, panie Waverling, myślałam, że Benjy przywiezie pana pod tylne drzwi! – zawołała służąca, a w jej nerwowe słowa wdarł się krzyk, któremu towarzyszył tupot małych stópek.

– Tatuuuś!

– Nie teraz, Rebecco! – padła ostra odpowiedź. – Zabierz ją z powrotem, Lenoro. Później z nią porozmawiam.

– Tak, proszę pana.

– A oto i mój drugi syn, ojciec tytułarny – powiedziała Mavis oschłym tonem.

Podwójne drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie.

– Nathanie! Co za niespodzianka! – wykrzyknął Trevor, szybkim krokiem przemierzając salon, żeby uścisnąć synowi rękę.

Nathan wstał, czując, że żywiołowe i niby-serdeczne powitanie miało zatuszować irytację Trevora, że zastaje syna w swoim salonie.

– Nie zrozumiałeś, że miałeś przyjść do mojego biura, decydując się przyjąć moje zaproszenie?

– Postanowiłem przyjść tutaj – odparł Nathan.

– I całe szczęście, że miałeś dość rozsądku, żeby tak zrobić – wtrąciła Mavis. – Właśnie zaczęliśmy się poznawać, która to przyjemność byłaby mi oszczędzona, gdyby pojechał do twojego biura, Trevorze.

– Och, no cóż... ja... tak... Jak widzę, poznałeś już moją matkę i... Rebecę?

– Poznał twoją córkę, Trevorze – powiedziała Mavis.

– Przekonałeś się więc, że... interesująca z nas rodzina. Gdzie się zatrzymałeś?

– Tutaj – rzekła Mavis z naciskiem. – Twój syn zatrzyma się tutaj, w błękitnym pokoju, do czasu, aż uzna, że dłużej nas już nie zniesie.

Trevor spojrzał na matkę osłupiały.

– Tutaj?

Nathan uniósł dłonie.

– Proszę posłuchać – odezwał się skrzepowany. Czuł, że robi się czerwony na twarzy. – W zasadzie przyjechałem tylko na jeden dzień; nie planowałem zostać dłużej. Miałem zamiar wracać wieczornym pociągiem, po wizycie w pana firmie i spotkaniu... z moją babcią i siostrą, więc proszę sobie nie robić kłopotu.

– Mówiąc dosadnie, chciałeś nas sobie obejrzyć – weszła mu w słowo Mavis. – Bardzo mądrze, Nathanie, ale na to potrzebujesz więcej czasu, a dla nas to żaden kłopot.

– Zgadzam się – rzekł Trevor, odzyskując panowanie nad sobą. – Jeśli uznasz, że musisz wracać, zrobisz to jutro rano. Przyjechałem, żeby zabrać cię do fabryki. Lunch zjemy w mieście, więc nie czekaj na nas, mamó – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale spodziewam się was na kolacji, Trevorze – odparła Mavis, a jej wzrok wyraźnie mówił, że to rozkaz, a nie prośba.

– Chodźmy, Nathanie – powiedział Trevor. – Ojciec pokaże ci rodzinny interes w nadziei, że nie pomyślisz, że przyjechałeś na darmo.

Nathan obrócił się do babki, żeby podziękować jej za gościnność, przy okazji zerkając niepewnie na swój plecak.

– Zostaw go, Nathanie – rzekła. – Będzie na ciebie czekał w twoim pokoju.
Założył czapkę.

– W takim razie do zobaczenia. – Uśmiechnął się do Mavis. – Dziękuję za wyborną herbatę. A kanapki były pyszne.

– Przynajmniej jedzenie mamy tu dobre.

– Och, mamó... – Trevor westchnął z rezygnacją. – Chodź, Nathanie.

Nathan ruszył za barczystym, elegancko ubranym ojcem. Zerkając raz jeszcze na Mavis, dojrzał w jej porcelanowej twarzy tęskny wyraz, ale za czym tęskniła – czy może za kim? Kierowany odruchem współczucia, zapragnął zostać. Dużo w tym domu animozji, pomyślał, ale też miłości. Ojciec i babka byli jak dwa tygrysy krążące wokół siebie w klatce. Które padnie ofiarą drugiego? Które zwycięży? I czemu nagle zaczęło go to obchodzić?

Rozdział 16

Na okrągłym dziedzińcu przed domem czekał ten sam powóz zaprzężony w rasowe konie, który zjawił się na farmie Hollowayów. Na koźle siedział cyrkowy klaun. Irlandczyk zręcznie zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki, z osłupiałą miną gapiąc się na Nathana.

– Benjy, to jest Nathan. – Trevor dokonał prezentacji. – Ostatnio nie zostaliście sobie oficjalnie przedstawieni.

Benjy skinął głową.

– Dzień dobry. A jak ma na nazwisko?

Trevor zawahał się, więc Nathan go wyręczył.

– Holloway.

– No to miło mi pana poznać – powiedział Benjy, unosząc swój wysoki jak komin kapelusz.

W krępującej ciszy Nathan i Trevor rozsiedli się na pokrytych kosztowną skórą siedzeniach. Nathan nigdy nie jechał tak okazałym środkiem lokomocji, ale nie zamierzał dać ojcu satysfakcji, choćby spojrzeniem wyrażając podziw dla kunsztownego wnętrza z drewna i aksamitu.

– Widzę, że na razie wolisz się przedstawiać jako Holloway – zauważył Trevor, kiedy powóz ruszył.

– Uznałem, że pan tak woli – odparł Nathan.

– Ze względu na ciebie może nie powinniśmy się śpieszyć. Nie zamierzam cię do niczego przymuszać. Sam zdecydujesz, czy chcesz poznać rodzinny biznes i towarzystwo.

– I czy do nich pasuję – wtrącił Nathan.

– Pamiętam naszą pierwszą rozmowę, gdy jasno dałeś do zrozumienia, że jesteś szczęśliwy na farmie i nie chcesz mnie bliżej poznać.

Nathan skinął głową.

– To prawda – rzekł, nieco speszony.

– Z twoich słów wynikało, że równie niechętnie przyznałbyś światu, że jestem twoim ojcem, jak ja, że jesteś moim synem. I nie przypisuj mojej troski o twoje uczucia snobizmowi – powiedział Trevor.

Nathan chciał przeprosić, ale instynkt podpowiadał mu, że właśnie przez snobizm Trevor Waverling nie chciał, by ich pokrewieństwo wyszło na jaw. Będzie to raczej trudne, pomyślał sobie. Wystarczy spojrzeć na ich oczy, by wiedzieć, że mężczyźni nie są sobie obcy. Zachował to jednak dla siebie.

– Póki co więc – rzekł – ja jestem po prostu Nathanem, a pan... panem Waverlingiem?

– Na razie niech tak zostanie – przytaknął Trevor. – Zaskoczmy wszystkich,

jeśli dojdziemy do porozumienia, a ty zechcesz stać się częścią rodziny i Waverling Tools. – Trevor spojrział na niego szczerze. – Mam nadzieję, że do tego dojdzie, Nathanie. Naprawdę.

– Nikt nie wspomniał o moim dziadku. Nie żyje?

– Od pięciu lat. Interesy przejął mój zmarły brat, Jordan. Dwa lata później Jordan się utopił i zakłady Waverling Tools przeszły w moje ręce.

– Ale fabryka nie należy do pana, prawda?

Trevor znieruchomiał i te kilka sekund milczenia wystarczyło, żeby Nathan zrozumiał, skąd ta nagła potrzeba posiadania spadkobiercy. Poza nim i Rebeccą ojciec nie miał innych dzieci, Jordan zaś, jak domyślił się Nathan, również zmarł bezpotomnie. Czemu jednak teraz i czemu akurat on?

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał w końcu Trevor.

– Pańska matka. Powiedziała, że wszystko należy do niej. A więc również fabryka, prawda? – Nathan nachylił się ku ojcu, prawie nie zwracając uwagi na eleganckie brukowane ulice, którymi podążał, turkocząc, powóz, imponujące budowle, mnogość pojazdów, pośród których kilka nie było zaprzężonych w konie, wyczuwalną wszędzie przemysłową energię miasta, jakim było Dallas. – Nie uważa pan, że pora wyłożyć karty na stół i powiedzieć mi, dlaczego tu jestem? Prędzej uwierzę, że ze skały da się wycisnąć mleko, niż w to, że nagle zapragnął pan odzyskać syna.

Na zapadłe, drapieżne policzki Trevora wypłynął rumieniec, po czym nagle mężczyzna roześmiał się szczerze.

– Na Boga, Nathanie, ale z ciebie numer. Mało co ci umyka.

– Chciałbym, żeby wyłożył pan karty na stół – powtórzył niewzruszony Nathan. – Inaczej wysiadam z tego powozu, wracam do pańskiego domu po plecak i ruszam w drogę powrotną.

– Mam szczerą nadzieję, że do tego nie dojdzie – odparł Trevor. – Twojej babce bardzo spodobał się twój plecak. – W jego zielonych jak morska woda oczach pojawił się szacunek. – Dobrze więc, Nathanie, ale nie tutaj. Pojedźmy najpierw do biura, gdzie porozmawiamy w spokoju, a potem zdecydujesz, czy zostaniesz. Umowa stoi?

– Stoi – rzekł Nathan.

Zakłady Waverling Tools mieściły się w przemysłowej dzielnicy z bezpośrednim dostępem do linii kolejowej Southern Pacific. Kominy plujące dymem i odór dochodzący ze stajni powiększały tylko industrialną brzydotę doków załadunkowych i składów, odlewni i magazynów ciągnących się wzdłuż torów. Rano Nathan przeczytał w gazecie artykuł opisujący Dallas jako przemysłowe miasto, wiodące na Południowym Zachodzie w produkcji narzędzi, artykułów budowlanych i maszyn. Zastanawiał się, w jakim stopniu Waverling Tools przyczynia się do statystyk produkcyjnych. Chyba znacząco, pomyślał na widok

dwupiętrowego budynku, przed którym zatrzymał się ich powóz. Kamienna budowla wznosiła się w pewnym oddaleniu od sąsiadujących drewnianych zabudowań i wyglądem odstawała od innych zakładów, podobnie jak mały lord Fauntleroy od bandy uliczników. Widać było, że w Waverling Tools bardzo dba się o estetykę. Wysoki płot z kutego żelaza otaczał fontannę, chroniąc brukowane chodniki, wzdłuż których rosły ozdobne krzewy, i wypielęgnowany trawnik przed kołami wozów, końskimi kopytami i śmieciami walającymi się na terenie sąsiednich zakładów. Nad pięknie rzeźbionymi drzwiami dumnie prezentowała się nazwa WAVERLING TOOLS, złotymi literami wypisana na niebieskim tle, uderzająco kontrastując z resztą byle jakich drewnianych tablic przymocowanych do wbitych bezpośrednio w ziemię pali.

– To jest fabryka? – zapytał Nathan.

– Biura – odparł Trevor. – Fabryka jest z tyłu.

Chwycił urządzenie w kształcie tulipana połączone z przewodem i odezwał się do niego:

– Benjy, podwieź nas od tyłu.

Nathan bardzo nie chciał pokazać, że jest pod wrażeniem. Co za niesamowity wynalazek, pomyślał. Że też można rozmawiać z woźnicą bez wysiadania z powozu. Przyjeżdżając do Dallas, znalazł się w zupełnie innym, niezwykłym świecie. Na każdym kroku odkrywał coś nowego, wspaniałego i wielkiego.

W czasie jazdy Nathan i Trevor niewiele rozmawiali, w pewnym momencie jednak chłopak zapytał:

– Jaki był mój dziadek? Jak miał na imię?

Trevora te pytania wyraźnie ucieszyły.

Twarz mu złagodniała.

– Mój ojciec? Miał na imię Edwin. Przypominasz mi go. Jak tylko cię zobaczyłem, od razu tak pomyślałem. Coś w twoim... – Wykonał ręką gest, jakby słowo, którego szukał, wisiało w powietrzu. – ...zachowaniu, spokojnym, lecz świadczącym o sile, przypomniało mi go. Był twardy, ale sprawiedliwy, niełatwy w kontaktach. Większość, w tym także my, jego synowie, czuła przed nim respekt, ale brało się to nie ze strachu, a z szacunku. Wszystko trzymał głęboko w sobie. Prawie niczego nie okazywał, poza miłością, jaką darzył naszą matkę.

– To dobrze – powiedział Nathan. – Jest urocza. Ale w jej salonie nie widziałem żadnego jego zdjęcia.

– To dlatego, że rzadko do nich pozował. Nie był próżnym człowiekiem. Tych kilka, które są, matka trzyma w swojej sypialni.

Nathan ze zdziwieniem poczuł przyływ radości, że niektóre swoje cechy odziedziczył po dziadku ze strony ojca. On także trzymał wszystko w sobie, „głęboko, gdzie płyną spokojne wody”, jak nazywała to Lily, nigdy też nie starał

się być w centrum uwagi. Chętnie by się dowiedział, czy Trevor Waverling kochał swojego ojca. Dużo by mu to powiedziało o siedzącym naprzeciwko człowieku.

Trevor nie kontynuował tematu swojej rodziny i jechali w milczeniu. Sporadycznie tylko wtrącał coś o mieście, z dumą pokazując miejsca świadczące o postępie i rozwoju.

– W Dallas mieszka najwięcej ludzi w całym Teksasie – wyjaśnił Nathanowi – i któregoś dnia stanie się metropolią w niczym nieustępującą miastom na Wschodzie. Wspomnisz moje słowa.

Wysiedli, kiedy powóz zatrzymał się na tyłach budynku. Benjy otworzył im drzwi, przyglądając się Nathanowi z zaciekawieniem. Nathan zastanawiał się, od ilu lat krótkonogi Irlandczyk pracuje u jego ojca i jakie zna tajemnice. Wyczuwał, że są ze sobą bardzo zżyci, co wynika może nie tylko z lojalności, lecz także z tego, że Benjy doskonale wie, gdzie zakopane są trupy.

Rozdział 17

Kiedy szli korytarzem, za którym mieściły się gabinety, Nathan słyszał stukot maszyny do pisania. Woźnica został przy powozie.

– Jak pan wytłumaczy moją obecność? – zapytał.

– Jestem szefem. Niczego nie muszę tłumaczyć – odparł Trevor – ale powiem tylko, że jesteś kimś, kogo wziąłem pod swoje skrzydła.

– Wsiowego kmiotka? To raczej nie pasuje do takiego wielkiego pana z miasta. Powie im pan po co?

– Nie. Moi ludzie i tak się wszystkiego domyślą, jeśli zostaniesz. Wystarczy, że na ciebie spojrzą. Ale w takim wypadku przestaniesz wyglądać jak wsiowy kmiotek.

– Ta... praca, którą jak się domyślam, pan już dla mnie planuje, nie będzie solą w oku dla kogoś innego, kto na nią liczy?

Trevor zatrzymał się i spojrzał na Nathana.

– Mój Boże, ależ ty jesteś bystry. To prawda, kilku moich pracowników stara się o to stanowisko, lecz z tobą jest inaczej. Oni nie są rodziną. A ty owszem. Tylko ty nadajesz się na spadkobiercę, który pewnego dnia być może przejmie po mnie panowanie.

Dotarli do podwójnych drzwi, po drodze mijając niewielkie biuro, na drzwiach którego widniał napis SEKRETARIAT. Drzwi były otwarte i młoda dziewczyna obrzuciła Nathana zdumionym spojrzeniem. Wzdłuż korytarza mieściły się inne, nieco większe biura, na jego końcu zaś znajdowała się chyba recepcja.

– Domyślam się, że brak spadkobiercy może być problemem dla pańskiej firmy, ale dlaczego uważa pan, że ja mogę go rozwiązać? Przez cały czas wiedział pan o moim istnieniu. Czemu nagle stałem się potrzebny jako pana następcą?

Trevor westchnął.

– O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać i dlatego poprosiłem cię, żebyś przyjechał. – Otworzył drzwi. – Rozgość się. Powiem sekretarce, żeby przyniosła nam kawę.

Nie było go na tyle długo, żeby Nathan zdążył rozejrzeć się po eleganckim, wytwornie urządzonej miejscu pracy swojego ojca. Drogie drewno, miękkie skóry, grube dywany, aksamitne zasłony i telefon na biurku świadczyły o poważanej i świetnie prosperującej firmie. Czemu Trevor Waverling chce się nią podzielić z synem, którego ani nie znał, ani o którego nie dbał i który na dodatek miał na czole wypisane BĘKART? Nie było przecież jeszcze za późno, żeby sam spłodził i wychował prawowitego spadkobiercę. Kiedy jego ojciec wszedł do gabinetu, Nathan stał przy wielkim oknie i podziwiał rozciągający się z niego

widok na rzekę Trinity, nad którą rosły wierzby płaczące i cyprysy.

– Czasem tam chodzę na ryby – powiedział Trevor. – Za drzewami jest mała przystań.

Nathan odwrócił się z obojętną twarzą.

– Ładne miejsce – rzekł. – Czemu tu jestem?

Trevor wskazał na stojące przed biurkiem krzesło, a sam zajął swój fotel.

– Poprosiłeś, żebym wyłożył karty na stół, Nathanie, i zrobię to. Niczego nie zataję.

Sam to ocenię, pomyślał Nathan. Podejrzewał, że jego ojciec miał wprawę w zatajaniu różnych rzeczy.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

Trevor postukał się palcem w wargę, jakby się zastanawiał, w którym miejscu rozpocząć swoją opowieść.

– Powinienem chyba zacząć od czasów, kiedy żadne chmury nie gromadziły się nad Waverling Tools – odezwał się w końcu. – Razem z bratem pracowaliśmy u ojca, pilnował, żebyśmy nauczyli się wszystkiego o firmie. Początkowo produkowaliśmy urządzenia do kopania, głównie dla rolnictwa, potem poszerzyliśmy naszą ofertę o urządzenia wiertnicze, takie jak kołowroty i olinowanie do wierceń studni i szybów solnych. Zyski były dobre. Mieliliśmy stałe zamówienia, zwłaszcza kiedy do Dallas została doprowadzona kolej. Wszyscy trzej kierowaliśmy nasz statek na nowe wody w mieście, które miało wprowadzić Teksas w kolejne stulecie. I wtedy mój ojciec niespodziewanie zmarł. Któregoś dnia podczas kolacji zakrztusił się kostką z kurczaka i udusił na naszych oczach. Od tamtej chwili w naszym domu nie podaje się kurczaków.

Pukanie do drzwi zapowiedziało sekretarkę, która przyniosła tacę z kawą.

– Postaw tutaj, Jeanne – polecił Trevor. – Sam naleję.

Nathan zauważył ukradkowe spojrzenie, jakim obrzuciła go sekretarka, zanim postawiła tacę i wyszła. Dałby sobie głowę uciąć, że w czasie przerwy na lunch ona i jej koleżanka księgowka z biura naprzeciwko, którego drzwi też były otwarte, gdy przemierzał korytarz, będą rozmawiać wyłącznie o wsioku, którego pan Waverling przyjmuje w swoim gabinecie. Trevor tymczasem nalał im obu kawę do filiżanek, a kiedy Nathan pokręcił głową, że dziękuje za cukier i mleko, podjął przerwana opowieść.

– Mój ojciec nigdy nie zostawiał niczego przypadkowi. Sumiennie pilnował, żeby nad każdym *i* postawić kropkę i kreseczkę na każdym *t*. Dbał, żeby kontrakty firmy były co do joty zgodne z prawem, a wszystkie dokumenty w nienagannym porządku. – Umilkł, a przez jego twarz przemknął cień. – Z wyjątkiem jednego, który po jego śmierci stał się najważniejszy.

Nathan właśnie upił łyk kawy. Zaskoczony, przełknął go gwałtownie.

– O nie, proszę nie mówić. Jego testament!

Trevor potwierdził skinieniem głowy, a zacięty wyraz twarzy zdradzał, że wciąż nie może w to uwierzyć.

– Jego testament. Sporządził jeden, ale w nim zostawił wszystko mojej matce: dom, pieniądze, firmę, dosłownie wszystko. Testament spisał na samym początku małżeństwa, zanim pojawiły się dzieci. Edwin Waverling nigdy go nie zmienił.

– I teraz pana matka pociąga za sznurki – stwierdził Nathan, myśląc sobie w duchu, że finansowa pułapka, w jakiej znalazł się Trevor Waverling, bardzo przypomina tę, w jaką wpadł jego ojczym.

– Właśnie.

Dalej nie rozumiejąc, Nathan pokręcił głową.

– Ale jak ta rodzinna opowieść ma się do mnie? Bo wciąż nie rozumiem, jaką ja mam w tym wszystkim rolę do odegrania.

– Zmierzam ku temu, Nathanie. Cierpliwości. Chciałeś wiedzieć wszystko, pamiętasz?

Nathan rozsiadł się wygodniej w fotelu z filiżanką w ręce, Trevor zaś kontynuował.

– Brat i ja byliśmy rozczarowani, ale w zasadzie nic się nie zmieniło. Matka wyznaczyła Jordana do kierowania firmą, ale my obaj zawsze we wszystkim się zgadzaliśmy...

Nathan przerwał mu uniesioną ręką.

– Chwileczkę. Dlaczego matka tak zdecydowała? Czemu nie mogliście obaj zarządzać firmą?

Trevor przyglądał się synowi znad filiżanki, którą obejmował wypielęgnowanymi palcami.

– Słowo daję, Nathanie, nic się przed tobą nie ukryje – rzekł, odstawiając filiżankę na spodek. – Muszę się mieć przed tobą na baczności.

– Proszę tylko, żeby powiedział mi pan prawdę – odparł Nathan. – Przez całe życie tkwiłem w kłamstwie.

– Tak, tak, masz rację – zgodził się Trevor. – Oto więc prawda, Nathanie. W chwili śmierci ojca popadłem w niełaskę u mojej matki. Zresztą Jordan i tak zawsze był jej ulubieńcem, chociaż to jej nigdy nie przeszkadzało traktować nas równo, ale wystawiłem na próbę jej macierzyńskie oddanie. Dwa razy rozwodziłem się w atmosferze skandalu, z kobietami, których od początku nie akceptowała, no i jest jeszcze Rebecca... – Zmarszczył brwi. – Przyznaję, nie byłem takim ojcem, jakim według Mavis powinienem być...

Nathan obserwował go uważnie. Ojcu na pewno nie było łatwo przyznać się do tej ostatniej rzeczy i widział malujący się na jego twarzy żal.

– A potem Jordan i ja okropnie się pokłóciliśmy o przyszłość firmy – powiedział Trevor. – On chciał zostać przy wierceniu studni i kopalni soli, ja

zamierzałem wiercić w poszukiwaniu ropy. Przewidziałem, że firma powinna pójść z tym kierunku, lecz on gwałtownie się temu sprzeciwił. Powiedział, że nas na to nie stać i że to zbyt ryzykowne. Według niego automobile nigdy nie wyprą zaprzęgów konnych. Matka go poparła. A później związał się ze znacznie młodszą od siebie kobietą, a ja już widziałem, jak co dziewięć miesięcy wydaje na świat kolejnego potomka, i widziałem siebie odstawionego na boczny tor. Matka postanowiła, że firma trafi w ręce tego, kto będzie miał spadkobierców.

– Dlaczego to nie mógł być pan? – zapytał Nathan.

– Ponieważ byłem już wtedy rozwiedziony i nie zamierzałem się powtórnie żenić... a przynajmniej nieprędko. Skończyłem czterdzieści trzy lata. Kiedy przestałem mieć złudzenia, że spotkam w końcu kobietę, która na zawsze zdobędzie moje serce...

– Inaczej mówiąc, której mógłby pan być wierny – przerwał mu Nathan.

– Skoro wolisz na to patrzeć w ten sposób – cierpko zgodził się z nim Trevor. – W każdym razie, gdybym w końcu miał potomka, byłoby już za późno...

Trevor zamilkł. Wzrok mu spochmurniał. Nathan domyślił się, że ojciec dotarł do bolesnego miejsca w swojej historii, ale nie zamierzał mu odpuszczać.

– Więc Jordan się ożenił i jego żona urodziła mu dziecko? – ponaglił Trevora.

– Nie. Utonął przed ślubem.

Wstrząśnięty Nathan nagle pojął, czemu ojciec nalegał, żeby przyjechał.

– I teraz pan zarządza firmą, ale nie ma spadkobiercy?

Trevor spojrział mu prosto w oczy.

– I stąd ty się wzięłeś – powiedział. – Moja matka znalazła raport prywatnego detektywa o twoim istnieniu. Wtedy już zupełnie straciła dla mnie serce i zagroziła, że sprzeda firmę. Powstrzymała ją jedynie miłość, jaką darzył mnie ojciec. Gdy dowiedziała się, że ma wnuka, kazała mi cię odnaleźć i ostrzegła, że jeżeli nie uda mi się ciebie namówić, żebyś tu przyjechał, dał firmie i rodzinie szansę, mogą się pożegnać z marzeniami, że kiedyś odziedziczą Waverling Tools.

Nathan chciał poznać prawdę i jego życzenie się spełniło. Był zdziwiony, jak głęboko go dotknęła.

– Więc wiedział pan o moim istnieniu, ale przyjechał pan po mnie tylko po to, żeby nie stracić swojego spadku.

– Nie tylko spadku, Nathanie, ale firmy, którą mój ojciec, a twój dziadek, zbudował i kochał. Przewróciłby się w grobie, gdyby została sprzedana, tym bardziej że na pewno przyklasnąłby moim planom uczynienia jej jeszcze potężniejszą. Chciałbym, Nathanie, żebyś mi w tym pomógł. On by tego chciał. Możesz mi nie uwierzyć, nie miałbym pretensji, gdybyś mnie znienawidził... ale uznałem, że nie mam do ciebie prawa, kiedy już się dowiedziałem o twoim istnieniu. Doniesiono mi, że jesteś szczęśliwy, lecz wtedy matka postawiła mi

ultimatum i nie miałem wyjścia, musiałem cię odszukać, żebyś się o mnie dowiedział. Bez względu na to, co myślisz o mnie i moich motywach, jesteś moim synem i któregoś dnia to wszystko może być twoje.

Nathan chciał mu powiedzieć, że sam sobie tego piwa nawarzył, ale pomyślał o kruchej kobiecie i wiotkiej małej dziewczynce w domu w Turtle Creek i dziwnej, lecz czułej więzi, jaką z nimi poczuł. Jego przyjazd zdawał się naprawdę cieszyć babkę.

– Nie chce mi się wierzyć, że matka odmówiła tego, co się panu słusznie należy, i sprzeciwiła się woli swojego męża – powiedział Nathan. – Dlaczego miałyby to robić?

Trevor odsunął się od biurka, jakby przed kolejnym wyznaniem musiał jak najbardziej oddalić się od Nathana, na wypadek gdyby ten zechciał się na niego rzucić. Złączył swoje wypielęgnowane, silne dłonie i oparł je na potężnej piersi.

– Ponieważ według niej ja ponoszę winę za śmierć jej drugiego syna – rzekł.

Rozdział 18

Nathan zakrztusił się kawą.

– A ponosi pan?

– Winę za śmierć brata? Absolutnie nie! – oznajmił zdecydowanie Trevor. – To był wypadek. Oplakuję Jordana równie mocno jak moja matka. Nie ma dnia, żebym za nim nie tęsknił. Nie byliśmy tylko braćmi, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, zwierzałyśmy się sobie, razem łowiliśmy ryby i chodziliśmy na polowania.

W zielonych jak morska woda oczach Trevora pojawił się smutek. Trudno było nie wierzyć w jego szczerość.

– Z jakiego więc powodu pana matka wierzy, że jest pan za to odpowiedzialny? – zapytał Nathan.

Trevor przysunął się z powrotem do biurka i podniósł filiżankę z wystygłą już kawą.

– Dzisiaj nie będziemy o tym mówić. Jestem niewinny, bez względu na to, co ona myśli.

– Może pan nie chce o tym rozmawiać, ale ja wręcz przeciwnie – nie dawał za wygraną Nathan, nie zamierzając okazywać litości. – Nie będę pracował dla kogoś, kto według jego matki ponosi winę za śmierć brata. Czemu pani Waverling nie wierzy, że jest pan niewinny?

– Z powodu tego, za kogo mnie uważa! – zdenerwował się Trevor. – A ja nie będę dzisiaj o tym z tobą rozmawiał. Powiem tylko, że moje działania, poglądy i decyzje utwierdzają ją w tym przekonaniu. Ale rzeczy nie zawsze są takie, jak się ludziom wydaje, Nathanie, nawet matkom. Jeśli to dla ciebie za mało, Benjy odwiezie cię do domu po plecak, a potem na stację. Możesz wracać na tę swoją farmę i do matki, której matczyna miłość do ciebie jest żadna. Ale wiedz, że twoja babcia na ciebie liczy. Nie mówię tego po to, abyś został. Po prostu stwierdzam, jak jest. I przez wzgląd właśnie na nią chciałbym, żebyś przynajmniej spróbował. O mnie nie myśl!

– Jeżeli zostaną, szanse, że pana matka przekaże panu to wszystko, są większe, czy tak? – Nathan gestem ręki dał do zrozumienia, że ma na myśli biurowiec, w którym siedzieli, i otaczające go zabudowania.

– Dała jasno do zrozumienia, że mam cię przywieźć, sprawić, żebyśmy się stali rodziną, i wprowadzić cię do firmy z nadzieją, że zechcesz stać się jej częścią. A przynajmniej muszę spróbować. Jeśli mi się nie uda...

– Wtedy jest pan ugotowany – stwierdził beznamiętnie Nathan.

– Chyba że dowiodę, że nie zabiłem brata, ale... jak zapewne zdążyłeś się zorientować, zostało mi już niewiele czasu.

Nathan odstawił filiżankę i spodeczek na biurko.

– A więc jest pan w kropce, no nie? – powiedział.

Jego słowa wywołały lekki uśmiech na twarzy Trevora.

– Można to i tak ująć. To jaka jest twoja decyzja? Benjy i plecak czy zwiedzanie firmy?

– Muszę się zastanowić.

Trevor wstał.

– W takim razie zostawiam cię. Mam spotkanie z moim majstrem. Zajmie mi to z pół godziny. Czy tyle czasu ci wystarczy na podjęcie decyzji?

– To aż nadto.

Kiedy Trevor opuścił gabinet, Nathan dolał sobie świeżej kawy z dzbanka i wyszedł na zewnątrz, żeby z filiżanką w ręce przespacerować się nad rzeką. Zawsze lepiej mu się myślało pod otwartym niebem, pośród roślinności. Płynąca rzeka także mu w tym pomagała. Godzinę temu minęło południe i przez roboczą kurtkę czuł, jak grzeje go słońce, chociaż w powietrzu wyczuwało się jeszcze ostatnie oddechy zimy. Wiatr niósł dym z fabrycznych kominów i smród, który na pewno stawał się trudny do zniesienia w upalne, duszne letnie dni, gdy fabryki pracują pełną parą. To przemawiało za tym, żeby tu nie zostawać. Lubił wiejskie powietrze, które można było wdychać bez lęku.

Dużo smrodu się nawdycham, pomyślał, jeśli zdecyduję się zostać, i nie miał na myśli tylko przemysłowych wyziewów. Niemal słyszał, jak Leon wygłasza tak często powtarzane teorie, które okazały aż nadto adekwatne do sytuacji, w jakiej znalazł się Nathan: „Trzeba obejrzeć każdy sęk i dziurę po kornikach, zanim się kupi drewno, bo inaczej cały dom się kiedyś zawali”.

W tym jednak wypadku Leon namawiałby go, żeby zostać. „Wielki Boże, co masz do stracenia?”

Nic poza czasem, to Nathan musiał przyznać. Niewiele miał do zyskania, wracając do Gainesville. Mógłby powiedzieć „do domu”, ale nie potrafił już myśleć tak o farmie. Trochę się zastanawiał nad planem Leona, żeby kupić ziemię od starego Sawyera, uznał jednak, że dla ojczyma to nie najlepsza opcja. Leon skończył już czterdzieści pięć lat i był za stary, żeby rozstawać się z żoną i dziećmi i zadłużać bez żadnej gwarancji, że farma zacznie przynosić zyski. Nathan nie mógł pozwolić, żeby tak się poświęcał dla chłopca, który nie był nawet jego synem.

Tak więc w zasadzie był bezdomny. W Dallas miał prawdziwego ojca, który oferował mu dach nad głową i rodzinne więzy. Może sobie schlebiał, ale też mu się zdawało, że babka go potrzebuje, podobnie jak siostrzyczka. Nie był tylko pewny, czy to samo dotyczy jego ojca. Przyjechał z postanowieniem, żeby ani mu nie ufać, ani go nie polubić, ale po tych kilku godzinach spędzonych w jego towarzystwie czuł, że zaczyna inaczej patrzeć na Trevora Waverlinga. To smutne, co spotkało

jego brata. Czy Nathan mógł mu wierzyć, że nie przyłożył ręki do śmierci Jordana? I czy życie samego Nathana nie będzie zagrożone, jeśli zakłady Waverling Tools mu się spodobają, a dzierzająca klucze do królestwa babka uzna go za godnego, tym samym czyniąc z niego rywala ojca jako potencjalnego spadkobiercy?

Trochę się zaniepokoił na myśl, że Trevor Waverling może mu fizycznie zagrozić. Nietrudno było się go przestraszyć. W gabinecie Nathan zauważył dwa zdjęcia – nie gdzieś ukryte, ale też nierzucające się w oczy – jego ojca z lat młodości, na których był w rękawicach bokserskich i krótkich spodenkach. Na dole ramki znajdowała się mosiężna tabliczka z napisem: MISTRZ WAGI ŚREDNIEJ. ZAWODY AMATORÓW W BOKSIE, DALLAS 1876. Nathan zwrócił uwagę na wysportowaną sylwetkę Trevora, choć przecież jego ojciec był człowiekiem z miasta, spędzającym czas za biurkiem. Teraz zbeształ się w duchu za te głupie myśli. Naczytał się za dużo kryminałów Nicka Cartera o rodzinnych machlojkach, poza tym wybiegał za daleko w przyszłość, zastanawiając się, czy może zagrozić panowaniu Waverlinga. Na razie nie wyobrażał sobie siebie pracującego w dusznej fabryce czy siedzącego w biurze. Chybaby się udusił. Kochał otwarte przestrzenie.

Poza tym nie zamieszka nigdzie bez Zaka, a jakoś nie wyobrażał sobie przyjaźni owczarka niemieckiego z kocurem babki w domu pełnym delikatnych przedmiotów.

Znalazł przystań i ruszył w jej kierunku. W zasadzie był to zwykły pomost wychodzący dość daleko w odnogę rzeki Trinity, nad którą leżało Dallas. Czy to tutaj zginął Jordan Waverling? Nathan zapatrzył się w głęboką wodę. Przy pomoście, pod zadaszonym slipem, kołysała się łagodnie spora łódka z wiosłami ułożonymi wzdłuż burt. Czy właśnie na niej wydarzył się wypadek – czy może raczej morderstwo? Babka powiedziała mu, że o tajemnicy związanej ze śmiercią jej syna porozmawiają, kiedy będą sami, poza zasięgiem uszu Trevora. Nathan przeczuwał, że jeżeli zostanie, babka zdradzi mu wiele rodzinnych sekretów. Nie wiedział tylko, czy chce je usłyszeć.

Z drugiej jednak strony gdzie indziej miałby się podziąć? Raz jeszcze spojrzął na rzekę, dopił kawę i podjął decyzję. Wszystko będzie zależało od Zaka. Jeżeli go przyjmą, pozwolą, żeby pies był razem z nim, wtedy zostanie. Jeżeli nie, wróci do domu, zabierze Zaka i pojedzie do Kalifornii.

W biurze Trevor Waverling popatrzył na syna ze ściągniętymi brwiami.

– Ten wielki owczarek niemiecki, którego widziałem?

– Tak, i dużo je.

– Śpi w twoim pokoju?

– Przy łóżku.

– Myślisz, że wystraszy Rebeccę?

– Tego nie wiem. Ale dla Lily jest łagodny. To moja przyrodnia siostra.

– A jak się odnosi do kotów?

– Nie przepada za nimi.

– Boże, Nathanie... – Trevor przecesał palcami siwiejące, starannie przycięte włosy. – Matka nie zgodzi się, żebyś nie mieszkał z nami. Masz się stać członkiem rodziny. To część umowy, jaką ze mną zawarła. Ale z psem? Naprawdę musisz go mieć przy sobie? Nie może zostać na farmie, gdzie ma świeże powietrze i dużo przestrzeni?

– Zak musi być ze mną.

– I jeżeli odmówimy... temu żądaniu, wyjedziesz?

– Tak.

– W takim razie moja matka będzie musiała się zgodzić, żeby Zak zamieszkał z nami, ale ostrzegam cię, nie lubi psów.

– Zak wie, że nie wolno mu wchodzić do salonów.

Przez dłuższą chwilę Trevor w milczeniu przyglądał się Nathanowi.

– Czy ty czasem ustępujesz?

– Nigdy w ważnych sprawach.

– Zawsze wiesz, co jest ważne?

– Dla mnie tak. Kłopot mam z tym, co inni myślą na ten temat.

Trevor potrząsnął głową.

– W takim razie jesteś wnukiem Edwina Waverlinga, bez dwóch zdań. A teraz przekonajmy się, co jeszcze masz wspólnego z założycielem Waverling Tools. – Trevor objął Nathana ramieniem i poprowadził go do drzwi. – Może się okaże, że tu jest twoje miejsce.

Rozdział 19

Sąsiad, który przyjechał na stację po klatkę z kurczakami, zaproponował Nathanowi podwózkę, co ten przyjął z wdzięcznością. Gdyby nie on, musiałby pieszo pokonać dwie mile przez całe Gainesville, a potem jeszcze pięć do farmy. Wiedziony zadziwiającym psim instynktem Zak wyczuł, że jego pan wraca, jeszcze zanim wóz skręcił do bramy farmy Barrowsów, i puścił się pędem, żeby go powitać. Jego pełne radości szczekanie przstraszyło kurczaki, wobec tego Nathan postanowił resztę drogi do domu pokonać pieszo. Podziękował sąsiadowi i zeskoczył z wozu.

Uszczęśliwiony Zak niemal Nathana przewrócił, więc chłopak przyklęknął, żeby pies mógł się z nim przywitać. Po raz pierwszy w swoim życiu wyjechał z domu i nie było go cztery dni. Był ciekawy, co poczuje, kiedy znowu ujrzy ogromne połacie ziemi, które od dziecka pomagał uprawiać, nieduży dwupiętrowy dom schowany w drzewach, oborę i chlew, zagrodę dla kur, sad i pastwiska. Jadąc do Dallas, był przekonany, że serce zostawia na farmie – co prawda złamane, ale nienależące nigdzie indziej. Teraz zdał sobie sprawę, że radość, jaką dawała mu praca, pochodziła z przekonania, że ziemia, na której pracuje, należy do niego. Kiedy się dowiedział, że nigdy nie należała i należeć nie będzie, prawie zwymiotował, ale zaczął patrzeć na wszystko z innej perspektywy.

Na brązowych polach kiełkowała pszenica, którą siał własnymi rękami, ale jej widok go nie poruszył. Nie przemówiła do swego niegdysiejszego opiekuna i przyjaciela, za którego się uważał. Ogarnęło go poczucie wyobcowania, jak wiele lat temu, gdy ojciec jego matki zabrał na przejażdżkę swoją dorożką Lily i Randolpha, a jego zostawił. „Ty się już nie zmieścisz!” – zawołał dziadek, ruszając, a Nathan stał, czując się jak obcy, który nigdy nie był częścią tej rodziny. Teraz brązowe, proste jak strzała rzędy kiełkującego zboża patrzyły na niego, jakby go nie znały. „Idź sobie”, migotały w późnym popołudniowym słońcu. „Nie ma tu już dla ciebie miejsca”.

Z obory wyszedł Leon i widząc Nathana, przybiegł, żeby się z nim przywitać. Nogawki jego wyblakłych roboczych dżinsów łopotały na wietrze. Nathan poczuł, jak serce mu się ściska. Tak naprawdę tęsknić będzie tylko za Leonem.

– Usłyszałem, że Zak szczeka – wykrzyknął ojczym – i od razu wiedziałem, że wróciłeś. Dobrze cię widzieć, synu. I jak było?

Dał znak, żeby poszli do obory, gdzie będą mogli w spokoju porozmawiać. Zbliżała się pora kolacji i doszedł ich smakowity zapach pieczonego kurczaka. Randolph i Lily siedzieli zapewne przy kuchennym stole, odrabiając zadanie, matka stała przy piecu. Nathan poczuł bolesny ucisk w piersi.

– Przyjechałeś akurat na dojenie – powiedział Leon. – Daisy się ucieszy.

Krowa stała już przy swoim korycie, uparcie wbijając tylne kopyta w ziemię, i zaryczała na powitanie. Nathan odłożył plecak i wziął się do roboty.

– Więc postanowiłeś spróbować – rzekł Leon, gdy Nathan opowiedział mu wszystko o wydarzeniach ostatnich czterech dni, ludziach, których poznał, i wrażeniu, jakie na nim wywarli.

– Tak. Wyjeżdżam za dwa dni, kiedy Benjy przyjedzie po mnie powozem. Psom nie wolno jeździć w wagonach pasażerskich. Nie zabieram ze sobą nic oprócz Zaka i tego, co się zmieści w plecaku.

– No i kilka wspomnień, mam nadzieję. Niech te złe nie zabiją dobrych, Nathanie. Przecież było ich niemało.

Wspomnienia oparte na błędnych założeniach, pomyślał sobie Nathan, ale nigdy nie powiedziałby tego na głos, żeby nie zranić Leona.

– Chyba pójdę powiedzieć matce, że wyjeżdżam – rzucił, odprowadzając Daisy do boksu. – Jak to wytłumaczymy Randolphowi i Lily?

– Powiedzieliśmy im, że pojechałeś do Dallas zobaczyć, co ma ci do zaproponowania mężczyzna, który przyjechał tu powozem z tym śmiesznym małym woźnicą – odparł Leon. – Ma się rozumieć, że bardzo się zdziwili, a Randolph zastanawiał się, jaką to propozycję można mieć dla kogoś, kto zna się tylko na farmerstwie.

Nathan się uśmiechnął.

– Tego się należało spodziewać.

– Lily płakała.

– Jak to ona. Czy kiedyś się dowiedzą, że jesteśmy tylko przyrodnim rodzeństwem?

– Twoja matka chyba by umarła, gdyby to się wydało.

– Jasne – rzekł Nathan. – Tego też należało się spodziewać.

Kiedy weszli, Millicent spojrzała na nich przelotnie, po czym odwróciła się szybko i dalej mieszała w garnkach.

– Widzę, że wróciłeś – powiedziała. – Idź się umyć. Jedzenia jest dość, chociaż się ciebie nie spodziewaliśmy. Dzieci, zabierzcie książki, a ty, Lily, nakryj do stołu.

Lily zerwała się z krzesła.

– Nathan! – krzyknęła, obejmując go z całej siły. – Tęskniliśmy! Musisz nam opowiedzieć o wszystkim, co robiłeś w Dallas. Jakie jest? Duże? Większe od Oklahoma City?

Randolph wstał, zdenerwowany, że odrywa się go od książek.

– Nie zgubiłeś się tam?

Nathan zczekał, aż skończą jeść, i dopiero wtedy oznajmił, że wyjeżdża. Lily się rozplakała; Randolph nie mógł się nadziwić, że jego brat dostanie pracę nie

na farmie.

– Będiesz pracował w fabryce, która produkuje urządzenia wiertnicze? – zapytał z niedowierzaniem.

– Na kierowniczym stanowisku w firmie, która zajmuje się szukaniem ropy, Randolphie – poprawił syna Leon. – A to spora różnica.

– Pan Waverling jest przekonany, że ropa to przyszłość Teksasu – powiedział Nathan – i dlatego przestawia swoją firmę na ten typ działalności. Już produkują sprzęt dla roponośnych pól, a teraz wpadł na pomysł obrotowego wiertła w tulei, które będzie się łatwiej przebijać przez warstwy skały. Jest pewny, że okaże się dużo lepsze od podwieszonoego na kablu urządzenia, które raz za razem uderza w skałę, żeby wydrążyć studnię albo szyb solny.

– Nie rozumiem ani słowa – rzucił Randolph.

– Ropa, którą znaleźli w hrabstwie Washington, zapoczątkowała boom na Terytorium Oklahomy – rzekł Leon. – Może niedługo będziecie wiercić niedaleko nas, tuż przy granicach Teksasu.

– Może – odparł Nathan. – Jeszcze nie wiem, co będę robił w firmie. Pan Waverling chciałby chyba, żebym pracował raczej umysłowo, nie fizycznie, ale musi to być coś, co będę mógł robić na dworze.

Randolph uśmiechnął się ironicznie.

– Przecież wydobywanie ropy to tylko praca fizyczna – stwierdził.

– Randolphie, żeby znaleźć ropę, trzeba mieć dużą wiedzę – cierpliwie tłumaczył Nathan. – I dlatego pan Waverling chce, żebym w sobotę poszedł z nim na wykład z paleontologii. Będzie mowa o tym, jakich skamielin, które wskazują na obecność ropy, trzeba szukać.

Przez cały ten czas Millicent milczała, a jej twarz nie zdradzała, o czym myśli. Nathan bał się, że nazwisko Waverlinga będzie jej wstrętne, pilnował się jednak, żeby ani razu nie powiedzieć o nim „mój ojciec” w obecności Leona. Wreszcie matka wstała, żeby sprzątnąć naczynia.

– Więc wyjeżdżasz za dwa dni? – zapytała.

– Tak, matko. Podróż zajmie nam trzy dni, a pan Waverling chce, żebym dotarł w sobotę przed wykładem.

– W takim razie rano wypiorę ci dzinsy, żeby zdążyły wyschnąć – powiedziała Millicent. – Nie możesz się pojawić w brudnych spodniach.

– Dziękuję.

Nathan nie powiedział jej, że w szafie błękitnego pokoju w Dallas wiszą trzy nowe garnitury i sześć koszul. Na podłodze stały dwie pary „miejskich” trzewików i nowe buty robocze, a szuflady komody pełne były wciąż jeszcze nierozpakowanej bielizny. Ojciec chciał, żeby Nathan spalił swoje stare ubranie, on jednak nie zamierzał się z nim rozstawać. Schował je na wypadek, gdyby kiedyś okazało się, że będzie go potrzebował. Ten ostatni gest matki był niczym pacnięcie w głowę,

mimo to jednak wzruszył Nathana. Nie chciał pozbawiać Millicent poczucia, że na pożegnanie mimo wszystko okazała mu nieco matczynego oddania.

W ciągu następných dwóch dni słońce ogrzało ziemię i kiedy po raz ostatni obudził się w swoim starym pokoju, za oknem ujrzał, jak brązowe pola zaczynają się zielenić. Pszenica wypuszczała pierwsze listki. Z kuchni rozchodził się smakowity zapach smażonej cebuli z boczkiem i herbatników. Nathan odwrócił się od okna i ze zdumieniem spostrzegł, że Randolph nie śpi i przygląda mu się z łóżka.

– Będziemy za tobą tęsknić, bracie – powiedział cicho.

Nathan zmierzwił mu włosy.

– Pośpij sobie jeszcze.

W holu skończył się ubierać i idąc do wychodka, przeszedł przez kuchnię, słowem nie odzywając się do matki. Gdy doił Daisy, nagle oparł głowę o jej bok i gorzko zapłakał.

Powóz zajechał tuż przed południem. Choć gwałtownie protestowali, Randolph i Lily zostali posłani do szkoły. Nawet Randolph jęczał, że chce zostać i pożegnać się z Nathanem, który jednak odczuł ulgę, kiedy matka się nie zgodziła.

– Waszemu bratu jest już wystarczająco trudno – powiedziała. – Zmykajcie.

Wreszcie nadszedł czas, żeby wsiąść do powozu. Wesoły mały Irlandczyk z brzuchem pełnym smażonego kurczaka, tłuczonych ziemniaków i ciasta, które Millicent przygotowała na ostatni posiłek syna przy rodzinnym stole, siedział na koźle z lejcami w rękach.

Millicent, Leon i Nathan stanęli na ganku. Zak już siedział w powozie i przez okno obserwował ich pytającym wzrokiem.

Zapadła pełna wręcz namacalnego napięcia cisza. Millicent, odwracając wzrok, pogładziła się po szyi. Nathan wpatrywał się w swoje stopy, Leon wyciągnął chustkę do nosa. „Wiesz, że możesz wrócić do domu – powiedział Leon Nathanowi podczas jednej z ich samotnych rozmów w oborze. – Jak nie spodoba ci się w Dallas, zawsze możemy dobić targu ze starym Sawyerem”.

Nathan jednak wiedział, że już nigdy nie wróci na farmę. Jego czas tutaj się skończył. „Dobrze wiedzieć”, odparł. Na ganku wyciągnął do Leona rękę.

– Cóż, tato, do widzenia. Dziękuję za wszystko. Byłeś najlepszym ojcem, jakiego syn może mieć.

– Z takim synem to nie było trudne – odrzekł Leon, wydmuchując nos w chustkę.

Nathan obrócił się do Millicent.

– Do widzenia, matko. Będę tęsknił za twoją kuchnią.

Millicent odpowiedziała drżącym uśmiechem. Sięgnęła dłonią, żeby poprawić synowi kołnierzyk, i przez sekundę Nathan poczuł na szyi dotyk jej palców.

– Dbaj o siebie – rzuciła.

Kiedy powóz ruszył, Nathan pomachał rodzicom przez okno, a potem oparł się o skórzane siedzenie, żeby nie patrzeć za siebie. Zak ze skomleniem wskoczył na ławę i przysiadł obok niego.

– Wszystko będzie dobrze, piesku – powiedział Nathan, obejmując owczarka.

W głębi serca jednak czuł, że minie dużo czasu, zanim tak się stanie.

Z łóżka Leon przyglądał się, jak Millicent wciera w łokcie krem ze słoiczka na toaletce. Twarz, którą możliwie jak najrzadziej wystawiała na działanie żywiołów, posmarowała już oleistą miksturą. Klauzula w niewielkim funduszu powierniczym jej rodziców przyznawała Millicent nieduże stypendium, które pozwalało na takie luksusy. Resztę odkładała na potrzeby Lily i Randolpha.

– Nie zwlekałaś z zamieszczeniem tego ogłoszenia w gazecie, co, moja mała Millie? – zapytał przeciągle Leon. – Skąd wiedziałaś, że nie wróci na stałe?

– Po co miałyby to robić? Wie, że tutaj już nic dla niego nie ma.

– Cieszę się, że mu nie powiedziałaś. Zachowałaś się przyzwoicie. – Ton Leona ociekał sarkazmem.

– Co by mi z tego przyszło?

– W jakich gazetach dałaś ogłoszenie?

– W „Fort Worth Gazette” i „Dallas Herald”.

– I pojawi się w poniedziałek?

– Tak, i będą je zamieszczać codziennie przez dwa tygodnie. Tyle wystarczy. Farmę z miejsca ktoś kupi.

– Mam nadzieję, że chłopak nie czyta „Dallas Herald”.

Żona nie odpowiedziała. Po długiej chwili milczenia, podczas której Leon nie odrywał wzroku od jej poruszających się palców, zapytał poważnie:

– O czym myślisz, Millicent?

Millicent zakręciła słoiczek z kremem i wzięła do ręki szczotkę.

– Czemu zakładasz, że o czymś myślę?

– W tym pokoju jest tak gęsto od twoich myśli, że ledwie można oddychać.

– Postępuję słusznie, Leonie... dla... nas... wszystkich – powiedziała Millicent, każde słowo akcentując pociągnięciem szczotki. – Tatuś nigdy nie chciał, żeby farma należała do Nathana. Wiesz o tym. Nie mam prawa sprzeciwić się jego woli, a dwójka jego pozostałych wnuków nie jest zainteresowana farmerstwem. Kiedy nadeszłaby moja pora, Lily i Randolph sprzedaliby farmę, zanim zdążyłabym ostygnąć w grobie, i zostawiliby Nathana z niczym, a on byłby już za stary, żeby zaczynać od nowa, na co ma teraz szansę, przyjmując ofertę Trevora. Ceny są wysokie. Ale to się zmieni, wystarczy jedno tornado, susza albo powódź, do czego prędzej czy później dojdzie. Wiesz, że to prawda, Leonie. Poza tym ty też jesteś już za stary, żeby pracować na farmie, zwłaszcza teraz, gdy nie

będziesz miał Nathana do pomocy.

– Kogo próbujesz przekonać, Millicent?

Millicent zacisnęła szczęki. Obróciła się, żeby spojrzeć na męża.

– Potrzebujemy pieniędzy, Leonie. Teraz. Nie rozumiesz tego? College będzie kosztował. Randolph musi mieć nową garderobę i ja już nie mogę szyć sukien dla Lily. Potrzebuje ubrań od krawca... – Przyłożyła dłoń do szyi, jak zawsze, kiedy brakowało jej słów, i obróciła się do lustra. Kilka razy pociągnęła szczotką po włosach i wreszcie odezwała się cicho: – To dobry chłopiec, Leonie. Nigdy nie twierdziłam inaczej. Gdy się urodził, ostrzegałam cię, że chyba nigdy nie zdołam go pokochać. To niemożliwe, przecież jest taki podobny do... niego.

– Nie mogłaś go pokochać za jego dobroć i szczerłość? – zapytał Leon.

Millicent gniewnie potrząsnęła głową.

– Wiem, wiem, tylko skąd się to u niego wzięło, zważywszy na to, kto jest jego ojcem...

– ...i matką.

Millicent odłożyła szczotkę. Leon spodziewał się, że rzuci nią w niego. Żona jednak wpatrywała się w lustro, a on zastanawiał się, kogo i co tam widzi.

– Tak, masz rację – zgodziła się z nim. – Biorąc pod uwagę, kto go spłodził i kto go wydał na świat, skąd się taki wziął? Mam tylko nadzieję, że nie pakuje się w piekło i odnajdzie tam szczęście... że tak będzie dla niego najlepiej. – Przykręciła knot w lampie naftowej i pokój pogrążył się w mroku. – Mówię to jak najbardziej szczerze, Bóg mi świadkiem, Leonie. – Materac ugiął się lekko pod jej drobnym ciałem. – Dzisiaj na nic nie licz. Nie jestem w nastroju.

– Ja też nie – odparł Leon.

Samantha

Rozdział 20

Samantha nie miała ochoty na stek Grizzly'ego. Ogarnęło ją poczucie głębokiej straty. List doktora Tolmana zamieniony w kupkę popiołu leżał na dnie kominka, a ona już nigdy się nie dowie, co zawierał. Cóż, bywają różne sposoby na wyciągnięcie stopy z ciasnego buta.

– Po tym, jak ci smakuje stek, tatusiu – zagaiła swobodnie – domyślam się, że twój kolega z wojska jednak nie umiera.

– Wręcz przeciwnie, co mnie bardzo cieszy – powiedział Neal, krojąc polędwicę zajmującą niemal cały talerz. Jego wilczy apetyt nie wskazywał na żadną tajemniczą chorobę. – Cody i jego żona sprzedali właśnie swój sklep w Charlotte w Wirginii z dużym zyskiem i przeprowadzają się na wieś, żeby hodować konie. Cody już o tym marzył, kiedy razem służyliśmy, i teraz, po tych wszystkich latach, spełni swoje marzenie. Napisał, żeby podać mi swój nowy adres.

– A co doktor Tolman pisze o leczeniu kleszczy?

Neal obficie polał sobie ziemniaki sosem.

– Nic, co mogłoby się nam przydać. Napisał o środku, który ma być lepszy od preparatu Roberta Kleberga. Ale zostaniemy przy miksturze Boba z węgla i smoły. Co dobre dla Królewskiego Rancza, dobre też dla Las Tres Lomas.

Wyjaśnienie, którego tak obojętnie udzielił, było dość przekonujące, ale czemu w takim razie zniszczył list? To może rzeczywiście nic wielkiego i bez znaczenia, lecz kosz obok kominka na papier na podpałkę był pełny i stał pod ręką.

– Czemu na kopercie napisał „Poufne”? – zapytała Samantha.

– Bo nie chciał, żeby przeczytał go jakiś pierwszy lepszy kowboj i skopiował jego pomysł. Stara się o patent na swój środek.

– Czy ja jestem jakimś pierwszym lepszym kowbojem?

Neal gwałtownie odłożył nóż i widelec.

– Sam, szkoda twojego czasu na czytanie o nic niewartym lekarstwie, po prostu. Natarłabyś mi uszu, gdybyś zobaczyła, ile sobie liczy za swój środek, który na dodatek według mnie jest niebezpieczny dla krów. Zawiera w sobie fenol. Wrzuciłem list do kominka.

Może rzeczywiście nic więcej się za tym nie kryje, pomyślała Samantha, ale wątpliwości się nie pozbyła, tym bardziej że ojciec wyraźnie się na nią zdenerwował, a to było do niego niepodobne. Z drugiej jednak strony Neal Gordon nigdy nie lubił, kiedy ktoś kwestionował to, co już zrobił. Zmienił temat rozmowy na farmę w hrabstwie Cooke.

– Buckley mówi, że farma ma własne źródło wody, całkiem spory dom, ogród i sad – powiedział. – Możemy z niej zrobić mniejszą wersję Las Tres Lomas, gdzie mogłybyście jeździć z matką i przyjmować gości. Nie musi służyć tylko do

przepędzania bydła. Moglibyśmy zbierać z niej siano na wypadek suszy, a ty mogłabyś sobie eksperymentować z nowymi gatunkami traw. Nie wydamy grosza na silosy i stodoły.

Samantha od lat nie widziała ojca tak podekscytowanego. Oczy mu błyszczały, na twarz wypłynęły żywe rumieńce. Z piersi ani razu nie dobył się niepokojący świst. Nic nie wskazywało, że są jakieś powody do obaw o jego zdrowie. Neal całą sprawę uważał za już załatwioną. Był zachwycony wizją posiadania kolejnego w pełni wyposażonego rancza z wszelkimi udogodnieniami, jakie ma Las Tres Lomas: domem, prawdziwymi czworakami, kuchnią, toaletami w budynku, światłem elektrycznym, bieżącą wodą, może nawet telefonem – którego w Las Tres Lomas jeszcze nie było, ponieważ lista oczekujących w rejonie Fort Worth była długa. Dzięki drugiemu ranczu z pewnością w końcu zasłużyłby sobie na miano jednego z tytanów teksasńskiego przemysłu hodowlanego.

Ojciec najchętniej zapominałby o czasach, kiedy skupował każdy splachetek ziemi przylegającej do jego rancza, który pojawił się na rynku. Jak teraz, były lata, gdy woda wylewała się ze studni, trawy było pod dostatkiem, a stada nie chorowały – „zielone lata”, jak je nazywali. Neal wyznawał filozofię: „Kupuj, kiedy ci się wiedzie”. Ale potem nadchodziły „lata brązowe”, okresy suszy, gdy prawie wszystkie źródła wody i pastwiska w środkowym Teksasie wysychały. Finansowy kryzys, znany jako panika 1893 roku, kładł się cieniem na obłożone hipoteką rancza jak Las Tres Lomas. Ponieważ była młoda, Samantha o wiele lepiej niż ojciec pamiętała tamte czasy. Nauczyły ją ostrożności, która nawet teraz, kiedy księgi rachunkowe nie wykazywały strat, lecz zyski, a hipoteka została już spłacona, kazała jej bronić się przed każdym niepotrzebnym wydawaniem pieniędzy. Wierzyła, że trzeba się zabezpieczać na wypadek finansowej katastrofy.

– Słowo daję, duszko, ta twoja córka tak zaciska pasa, jak debiutantka swój gorset na pierwszym balu – swego czasu powiedział Neal do żony.

– Proszę, proszę, teraz to moja córka. A może Samantha nigdy nie zapomniła zmartwionej twarzy swojego papy i nerwowych rozmów przy stole, kiedy wydawało się, że możemy stracić ranczo, bo brakowało pieniędzy na spłatę kolejnej raty? Samantha próbuje tylko chronić i zachować to, na co Neal Gordon tak ciężko pracował, i nie chce znowu widzieć, jak jej papa się martwi.

Matka nie musiała tego mówić, ale oskarżycielski wzrok i ton jasno dawały do zrozumienia, że winę za to, że prawie zbankrutowali, ponosi Neal. Tak bardzo pragnął zostać jednym z największych posiadaczy ziemskich w Teksasie, że na potęgę skupował pastwiska dla swoich stale rosnących stad, aż w końcu Gordonowie ziemi mieli pod dostatkiem, ale zostali kompletnie bez żywej gotówki. Nauczka nie poszła na marne, lecz Neal nigdy nie przestał marzyć, żeby wyróżniający się znak Las Tres Lomas de la Trinidad – podwójne T z dwoma mniejszymi L po bokach – można było spotkać jak Teksas długi i szeroki. Chciał

zostać tytanem.

– Co to takiego tytan? – zapytała ojca dziesięcioletnia Samantha, kiedy na urodziny podarował jej książkę o greckiej mitologii. Jako chłopiec – w tajemnicy również jako już dorosły mężczyzna – uwielbiał opowieści o mitologicznych bogach i boginiach.

– To byli bogowie, którzy rządzą wszechświatem – odpowiedział córce Neal. – Możesz o nich przeczytać w tej książce. Dzisiaj tak się nazywa ludzi bardzo ważnych i potężnych.

– Ty też chcesz być tytanem?

– Jeśli Bóg pozwoli – odparł Neal.

Estelle tylko przewróciła oczami.

Kiedy Samantha złożyła teraz serwetkę i wstała od stołu, pomyślała sobie, że gdyby ona i Sloan się pobrali i połączyli obydwaj rancza, spełniłoby się życzenie jej ojca.

Ponieważ Neal już się umył i przebrał, zaproponowała, żeby poczytał gazetę i uciał sobie drzemkę, bo po burbonie i obfitym posiłku zrobił się senny, ona tymczasem pojedzie na Ponym do zagród, gdzie cielili się krowy i gdzie, czego była na sto procent pewna, znajdzie Wayne'a Harrisa. Może to jej instynkt naukowca nie pozwalał odpuścić, kiedy coś wzbudziło jej zainteresowanie. Ojciec wyglądał i zachowywał się jak zdrowy człowiek, lecz dostał poufny list od lekarza. Dziwne, że go jej nie pokazał, jeszcze dziwniejsze, że od razu go spalił. Całymi miesiącami trzymał prywatne listy, zanim wreszcie trafiały do kominka.

Wiosna, gdy rodziły się cielaki, była najbardziej ekscytującym okresem na ranczu, ale też psychicznie i fizycznie najtrudniejszym dla krów, cieląt i ludzi. Rodzące krowy zamykano w wydzielonych boksach, gdzie były stale pod obserwacją, by w razie nagłej potrzeby udzielić im pomocy. W okresie cielenia wszystkim zarządzał Wayne Harris, który był prawdziwym mistrzem w ratowaniu krów i cieląt w sytuacjach zagrażających ich życiu, w czym często pomagała mu Samantha. Teraz, kiedy dziesięć minut później dotarła na miejsce, właśnie w takiej sytuacji go zastała.

– Dzięki Bogu, że jesteś, Słoneczko! – wykrzyknął. – Przyda się nam twoja pomoc. Mamy tu kłopot z jałówką.

– Da radę?

– Ciężko powiedzieć. Z cielakiem też jest kłopot.

Krowa, którą dwaj mężczyźni trzymali za łeb i która miała tylne nogi spętane, żeby nie wierzgała, kiedy próbowali ją ratować, urodziła martwe cielę, a sama wykrwawiła się na śmierć godzinę później. Umordowani i przygnębieni, od stóp do głów umazani krwią Samantha i Wayne poszli do zbiornika z wodą, żeby doprowadzić się trochę do porządku.

– Pracę na ranczu trzeba naprawdę kochać, żeby znieść coś takiego –

powiedział Wayne, wyzymając koszulę. – Dla mnie to zawsze jest okropne.

Samantha spojrzała na niego. Bardzo sobie ceniła tę jego wrażliwość, choć miał reputację człowieka, którego lepiej nie prowokować. Nie był wysoki, ale żyłasta sylwetka zahartowana przez lata pracy na ranczu i zarządzania kowbojami sprawiała, że wydawał się wyższy niż w rzeczywistości. Samantha miała wrażenie, że w ogóle się z wiekiem nie zmienia, wciąż wyglądał dla niej tak samo, ani młody, ani stary, trwały i niezmienny jak samotny dąb. On i Grizzly byli jej najprawdziwszymi przyjaciółmi.

– Dobrze, że nie zjadłam za dużo steku Grizzly’ego – rzekła. – Nic złego się nie wydarzyło pod moją nieobecność?

– W ubiegłą sobotę Rawbone wdał się w bójkę w saloonie w White Settlement i trza było wpłacić kaucję, żeby wyciągnąć jego nędzne dupsko z ciupy. Twój tato wyłożył pieniądze i potrąci mu to z wypłaty. Poza tym wszystko w porządku.

– A tatuś? Uważasz, że jest zdrowy? Nic mu nie dolega?

Wayne uniósł brew.

– Wedle mnie nic, Słoneczko. A czemu pytasz?

Samantha strzepnęła wodę z rąk.

– W czasie urodzinowego przyjęcia zauważyliśmy z mamą jego świszczący oddech. Według niej któregoś dnia przyjdzie mu zapłacić za tę strzałę Komancza, która go trafiła, kiedy był młody. Poza tym – Samantha spuściła rękawy koszuli – dostał list z dopiskiem „Poufne” od lekarza z Terytorium Oklahomy. Spalił go, zanim zdążyłam przeczytać. Trochę to podejrzane. Pomyślałam, że może poprosił tego doktora o jakąś konsultację medyczną, ale powiedział mi, że to list od weterynarza, który pisał mu o środku na kleszcze. Podobno przeczytał o tym w jakimś czasopiśmie.

– I to prawda, Słoneczko – odparł Wayne, zapinając koszulę. – Nawet mi ten artykuł pokazał i obaj zgodziliśmy się, że to nie dla nas. Kleszcze może by i zdechły, ale krowa też by nie przeżyła.

Samantha westchnęła z ulgą.

– Całe szczęście.

– Tyle że nie napisał tego żaden doktor.

Samantha wbiła w niego wzrok.

– Jesteś pewny? Autorem nie był doktor Tolman z Marietty w Oklahomie?

– Jasne, jestem pewny. Napisał go jakiś ranczer z hrabstwa Denton.

– Boże, Wayne. – Samantha wsparła się rękami o biodra, zmartwiona, ale i zła jednocześnie.

Została okłamana, i to bardzo sprytnie.

– Nu, Słoneczko, ale nie złość się na tatkę. Pewnie miał powód, żeby ci tego listu nie pokazać. Grizzly na pewno będzie wiedział coś więcej. Neal niczego przed

nim nie umie ukryć, choćby nie wiem jak się starał.

– No cóż – rzekła Samantha. – W takim razie złożę Grizzly’emu wizytę. Nie wspomnisz tatusiowi o naszej rozmowie?

– Nawet słoweczkiem. Rozejrzę się, może ta gazeta jeszcze gdzieś tu leży. Może mam ją u siebie w czworakach.

Samantha zdjęła z Pony’ego siodło i puściła go wolno, po czym skierowała się do długiego budynku z drewnianych bali, który mieścił kuchnię i stołówkę dla pracowników i w którym niepodzielnie panował kucharz. Nad głównym wejściem widniał wypalony napis TRAIL HEAD, ponieważ kiedyś w tym miejscu kończył się szlak spędu bydła. Grizzly, przy pomocy czwórki świetnie wyszkolonych pracowników, którym szefował, trzy razy dziennie przez sześć dni w tygodniu szykował posiłki dla trzydziestu ludzi. W niedzielę, która była dla niego dniem odpoczynku, pracownicy rancza musieli sobie radzić sami, zwykle piekąc na ogniu kawał wołowiny, ci zaś, którzy potrafili coś ugotować, robili placki, które jedli z herbatnikami i fasolą. W niedzielę Grizzly szedł do kościoła w mieście, potem na obiad do restauracji w hotelu Metropolitan, a po południu pracował jako wolontariusz w masońskim domu dla wdów i sierot, który został zbudowany w ubiegłym roku. Na ranczu pojawiał się dopiero w niedzielę wieczorem. Wracał do swojej kwatery i siedząc koło okna, czytał przy zapalanej lampie.

Samantha znalazła go w małym pokoiku koło spiżarni, gdzie układał jadłospis na kolejny miesiąc. Niskiego wzrostu, ale zbudowany jak niedźwiedź, narażał się na kpiny, że jest tak samo szeroki jak wysoki, trzeba było tylko uważać, żeby nie znaleźć się wtedy w zasięgu jego wałka. Kiedy Samantha stanęła w otwartych drzwiach, spojrzał gniewnie na intruza, widząc jednak, kto go niepokoi, rozpromienił się w szerokim uśmiechu.

– Słoneczko! – wykrzyknął i wstał, żeby ją uściskać. – Spóźnione, ale najlepsze życzenia urodzinowe! Jak się udało przyjęcie? Wiemy od twojego tatki, że wyglądałaś pięknie jak wiosenny poranek.

– Prawdę mówiąc, Grizzly, w tym roku było tak sobie.

Grizzly usiadł, uśmiechając się smutno.

– Żal ci, że skończyłaś dwadzieścia lat?

Samantha się roześmiała.

– Skąd wiesz?

– A stąd, że jesteś kobietą.

Na dodatek bez męża, dodała w duchu Samantha.

Co nie znaczyło, że Grizzly się tym martwi. Nienawidził wszelkich zmian. A gdyby tak mąż zaczął się szarogęsić i wszystko psuć? Grizzly przyjrzał się jej, prychając lekko.

– Widzę, że już byłaś u cielących się krów?

– Poszłam porozmawiać z Wayne’em i musiałam mu pomóc. Niestety,

straciliśmy krowę i cielaka.

Grizzly skrzywił się współczująco.

– Niedobrze.

– A teraz chciałam porozmawiać z tobą.

– Brzmi groźnie. O czym?

– O tatusiu. Zauważyłeś coś, a może sam wspominał, że nie czuje się najlepiej?

Grizzly zacisnął pełne jak dojrzała śliwka wargi.

– Nieee, ani słóweczkiem – rzekł po namyśle. – A co mówi Wayne?

– To samo, ale martwię się, tym bardziej że nakłamał mi prosto w oczy o liście z dopiskiem „Poufne” od pewnego lekarza.

– Co było w liście?

– Wrzucił go do ognia, zanim zdążyłam przeczytać.

Grizzly oparł się na krzesło.

– Oho ho, niedobrze. Od kogo ten list?

– Od niejakiego doktora Tolmana z Marietty w Oklahomie.

Na brodatej twarzy Grizzly’ego pojawiła się ulga.

– Och, Samantha, kochanie, twojemu tacie nic nie dolega, dzięki Bogu. To ten doktor, który przyniósł cię twoim rodzicom.

Rozdział 21

Na twarzy Grizzly'ego odmalowało się przerażenie, jakby przez przypadek połknął kość. Samantha patrzyła na niego, jakby właśnie to zrobił. Niczym ból po ogłuszającym ciosie, powoli dotarło do niej znaczenie jego słów.

– List... był... od lekarza, który przyniósł mnie rodzicom? – wydukała z trudem.

Przypomniała sobie, jak matka napomknęła o jakimś lekarzu podczas rozmowy z ojcem w bibliotece, którą Samantha podsłuchiwała, kiedy miała dziesięć lat.

Grizzly zamachał rękami, jakby uciszał rozgniewaną publiczność.

– Cii! – wykrztusił, zerkając w stronę otwartych drzwi.

Wstał i kaczym chodem typowym dla niskich, korpulentnych ludzi podreptał, żeby je zamknąć, na wypadek gdyby ktoś z kuchennego personelu podsłuchiwał, mimo że większość z nich rozumiała jedynie hiszpański. Potem wrócił i ciężko usiadł przy biurku, uciskając skronie palcami.

– Panie, miej nade mną litość, co ja zrobiłem? – jęknął. – Jeśli twój tatko dowie się o wszystkim, od razu się domyśli, że wiesz to ode mnie. Uzna, że go zdradziłem, a ja prędzej dałbym się smażyć żywcem, niż pozwolił, żeby tak myślał.

Samantha poczuła, jak coś się w niej skręca, niczym kot budzący się z drzemki w kącie pokoju.

– Skąd wiesz o doktorze Tolmanie?

Grizzly posłał jej udręczone spojrzenie.

– Samantho, błagam cię, zapomnij o tym, co ci powiedziałem.

– Cóż, to już niemożliwe, ale daję ci słowo, że to, co mi powiesz, nigdy nie wyjdzie poza ściany tego pokoju.

Grizzly wyraźnie się przeląkł.

– To, co ci powiem? Nic więcej ode mnie nie usłyszysz.

– Grizzly, musisz mi powiedzieć o doktorze Tolmanie. Skąd go znasz? Poznałeś go tamtej nocy, kiedy mnie tu przywiózł?

– Skąd wiesz, że to było w nocy? – zapytał Grizzly ostro.

– Wayne mi powiedział... dawno temu. Powiedział, że nic więcej nie wie.

– Ja też nie.

– Grizzly, proszę. Cóż złego w tym, że się dowiem?

Z upartą miną Grizzly odwrócił od niej wzrok, skrzyżował ramiona i wsparł je na swoim wielkim brzuchu.

– Dużo, zwłaszcza jeśli twój tatko się dowie.

– Nie dowie się. Tak samo jak tobie zależy mi, żeby to się nie wydało. Nie zapominaj, że nakłamał mi o tym liście i wrzucił go do kominka. Domyślam się, że

kazał ci przyrzec dyskrecję, bo nie chce, żebym się dowiedziała o doktorze Tolmanie, i ja to rozumiem. Wiem, jak by się czuł, wiedząc, że choć trochę mnie interesują okoliczności mojego przyjscia na świat.

Spojrzenie Grizzly'ego było ostre jak brzytwa.

– No właśnie, czemu cię to tak nagle zaczęło interesować? Wcześniej nie byłaś ciekawa.

Samantha ze zmarszczonym czołem namyślała się przez chwilę.

– Sama nie wiem. Jeszcze dzisiaj rano myślałam, że tatuś i mamusia nie muszą się martwić, że moi prawdziwi rodzice nagle się pojawią, bo upłynęło już za dużo czasu. Zawsze się tego bali, zwłaszcza tatuś, że biologiczni rodzice zechcą mnie odnaleźć. A ja, poza tym jednym razem, kiedy miałam piętnaście lat i zapytałam Wayne'a, co wie o moich narodzinach, nigdy więcej o tym nie myślałam... dopóki... to się nie stało. – Spojrzała na kucharza błagalnie. – W żaden sposób nie wykorzystam tej informacji, Grizzly. Bo i po co? Po prostu chcę wiedzieć, nic ponadto. Wystarczy, że mi powiesz, co wiesz, a ja więcej o tym nie wspomnę. Przyjacielu, bardzo cię proszę!

Grizzly wydał głębokie westchnienie kucharza, który wie, że duszona wołowina się rozgotowała i nie da się jej już uratować.

– Doktor zjawił się z tobą w środku nocy. Miałaś ledwie kilka dni. Słyszałem, jak zajeżdża powóz. Nie pytaj, jak to możliwe. Zwykle śpię niczym niedźwiedź zimą, ale tej nocy się obudziłem. I dobrze, nie minęła nawet chwila, a Neal zaczął walić w moje drzwi, bo chciał klucz do chłodni. Potrzebował mleka, tylko nie miał klucza. Inaczej dowiedziałbym się o tobie dopiero rano.

Kucharz umilkł, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej.

– Proszę, Grizzly. Co jeszcze wiesz?

– Twój tatko... pęczniał z dumy, jak nigdy wcześniej... oznajmił: „Grizzly, mamy dziecko”, a ja od razu wszystko zrozumiałem. Powiedziałem mu, żeby wracał do domu i że zaraz przyniosę mleko.

– I co się stało?

– Zaniósłem mleko do domu, a ten doktor miał taką tubkę do karmienia. Pokazał twoim staruszkom, jak się jej używa, podgrzewa mleko i takie tam. Do mleka dodał odrobinę miodu. Dobry Boże, ależ byłaś śliczniutka, nie większa od męskiej dłoni, a twoi staruszkowie aż skakali z radości. Twoja mama powtarzała: „Dziękujemy, doktorze Tolman”. Stąd wiem, jak się nazywał.

Samantha siedziała jak zaczarowana, usiłując sobie wyobrazić tamtą scenę.

– A... czy doktor... powiedział coś o... czy powiedział coś jeszcze?

– Ani słóweczka, Słoneczko, musisz mi uwierzyć. Przyjechał, zostawił cię i odjechał. To wszystko, co wiem, ale twój tatko nie chciałby, żebyś nawet to wiedziała. Dlatego zniszczył list. Nie chce, żeby cokolwiek łączyło cię z tym, skąd się wzięłaś. Wbij to sobie do tej swojej ślicznej główki i niech tam zostanie.

– Nie mam zamiaru niczego sprawdzać, Grizzly. To mi wystarczy i cieszę się, że tatuś jest zdrowy, zastanawiam się tylko, czemu ten doktor Tolman... napisał do niego.

Grizzly znowu westchnął.

– No i widzisz, przez takie drażnienie tylko narobisz sobie kłopotów. Jedno pytanie pociąga za sobą drugie i potem następne, i następne, i zanim się obejrzyysz, okruszki zaprowadzą cię tam, skąd już nie dasz rady wrócić.

Samantha wstała i objęła kucharza.

– Nie martw się, Grizzly. Nie pójdę za żadnymi okruszkami. Moje korzenie są tutaj. Rodzina i ludzie, których kocham. Żadnych innych nie chcę.

– Cieszę się – powiedział Grizzly bez przekonania.

Podniósł się ciężko z krzesła i zdjął z kołka symbol swojej władzy. Przełożył przez głowę ogromny fartuch i obrócił się, żeby Samantha mogła mu z tyłu zawiązać.

– Zapamiętaj sobie, młoda damo. Twój tatko kocha cię nad życie, ale coś takiego jak nierozzerwalne więzy nie istnieje. Są na świecie rzeczy, których bezwarunkowa, wieczna, trwała miłość nie zniesie, a z nich największą jest zdrada. Nic w tym dziwnego, że adoptowane dziecko, które właśnie skończyło dwadzieścia lat, jest ciekawe, skąd pochodzi, kim są jego rodzice, czy jeszcze żyją, ale ja ci radzę, żebyś dotrzymała słowa i nie drażyła tego.

Czyżby dosłyszała w słowach Grizzly'ego echo jego własnych doświadczeń, które kazały mu przemówić z takim przekonaniem? Grizzly miał imię, które dostał na chrzcie, lecz Samantha nigdy go nie poznała. O ile wszystkim było wiadomo, Grizzly nie miał żadnych krewnych. Nie dostawał listów i nigdy nie spotkali nikogo, kogo przedstawiłby jako krewniaka. Ojciec jej ojca zatrudnił go na pomocnika kucharza, kiedy był nieledwie chłopcem, i od tamtego czasu Grizzly zawsze mieszkał na ranczu. Wszyscy zakładali, że jego rodzina nie żyła bądź go porzuciła, a może było odwrotnie. Prawda nigdy nie wyszła na jaw, a Grizzly za swoją rodzinę uważał Gordonów i Wayne'a Harrisa. Samantha wcześniej nie zastanawiała się, jak pojawił się w Las Tres Lomas samiuteńki jak palec, teraz jednak nabrała przekonania, że został osierocony albo porzucony.

Kiedy Grizzly obrócił się ku niej, wciąż z ostrzegawczym błyskiem w oku, Samantha delikatnie potargała go za brodę, żeby w ten czuły, ale i wesoły sposób dać mu do zrozumienia, że niepotrzebnie się martwi, lecz niepokój zagnieździł się już w głębi jej duszy. Miłość rodziców, którzy ją adoptowali, dawała jej poczucie bezpieczeństwa, niczym dom o solidnych fundamentach i ścianach, ale czy jego dach oprze się burzy?

– Nie martw się, Grizzly, zapamiętam twoje słowa – zapewniła. – A teraz muszę się umyć i zająć księgami.

Gdy umyta i przebrana zjawiała się na dole, jej ojciec obudził się już

z drzemki i siedział przy biurku w bibliotece. Zrobiło się ciepłej i w wielkim kominku został tylko popiół. Przechodząc koło niego, schyliła się i wyjęła skrawek kremowego welinu, którego nie strawiły płomienie. Nic nie było na nim napisane, ale nazwisko doktora Tolmana trwale wryło się jej w pamięć.

Cierpliwość nie była cnotą Neala Gordona i Samantha wiedziała, że ciężko będzie z nim wytrzymać do poniedziałku, kiedy Jimmy przywiezie im egzemplarz „Fort Worth Gazette”. Załoga na ranchu była teraz bardzo liczna, więc Neal i Samantha nie musieli już uczestniczyć w codziennych pracach, jednakże ogrom i zasięg posiadłości wymagały stałego nadzoru. Ojciec i córka dzielili się obowiązkami i na zmianę spędzali większość dnia w siodle, jednakże w czasie, jaki pozostał do poniedziałku, Neal nie był w stanie niczym się zająć. Miotał się po domu, wpadał do kuchni i nachodził Samanthę w jej pracowni.

– A to co? – zapytał, podnosząc ciemnobrązowy przedmiot przypominający kamień.

Samantha pośpiesznie mu go zabrała, żeby przez nieuwagę czegoś nie uszkodził.

– Nie wiem – odparła. – Znalazłam to w Windy Bluff. Z początku myślałam, że to skała, ale to skamieniała kość jakiegoś lądowego stworzenia sprzed milionów lat. Widzisz te maleńkie otwory, przez które przechodziły naczynia krwionośne?

Neal przyjrzał się dokładnie.

– Skąd wiesz, że to nie skała?

– Powiedział mi to mój mikroskop. Ponieważ środkowy Teksas był kiedyś cały pod wodą, można tu znaleźć mnóstwo zachowanych skamielin. Dlatego okoliczni ludzie znoszą mi fragmenty niezidentyfikowanych zwierząt do zbadania.

– Dobrze, że w takiej chwili masz jakieś hobby, którym się możesz zająć – powiedział Neal ponurym tonem. – Też bym tak chciał.

Samantha zaśmiała się i poklepała ojca w policzek.

– Przecież zawsze mi powtarzasz, żeby nie przyśpieszać jutra, bo i tak wystarczająco szybko nadejdzie.

Neal wzruszył ramionami.

– No tak, w tym wypadku nie dość szybko. A jeśli do jutra farma zostanie sprzedana?

Nadszedł poniedziałek i Jimmy przywiózł „Fort Worth Gazette”. Neal i Silbia posłali parobka po Samanthę, która na pastwisku doglądała spotkania krów z nowo narodzonymi cielakami, żeby w razie potrzeby interweniować, gdyby matka odrzuciła swoje młode. Neal znalazł już w gazecie sekcję z ogłoszeniami i właśnie ją czytał, kiedy Samantha wbiegła do domu. Farma rzeczywiście należała do Barrowsów, ponieważ w ogłoszeniu było napisane, że „przedstawiciel farmy Barrowsów” spotka się z potencjalnym kupcem w umówionym miejscu w Gainesville i zawiezie go na ziemię wystawioną na sprzedaż. Kontaktować się

należało za pośrednictwem telegramu wysłanego przez Western Union.

– Alleluja! – wykrzyknął Neal. – Jeszcze dzisiaj pojedę do Fort Worth i wyślę telegram, że jestem zainteresowany. Zresztą i tak muszę się zobaczyć z twoją matką. Sprzedawca może tam przysłać odpowiedź i Jimmy ją nam przywiezie.

Następne trzy dni upłynęły im na czekaniu. Wreszcie Jimmy, niczym emisariusz, któremu powierzono nad wyraz poważną misję, zjawił się z telegramem w ręce i powiedział Silbii, że musi go wręczyć panu G. do rąk własnych.

Gospodyni wspięła się po schodach na dach i uderzyła w potężny dzwon na szczycie wysokiej kolumny, którego głos docierał niemal na krańce rancza o powierzchni dwudziestu tysięcy akrów. Dzwon został powieszony, żeby przywoływać ludzi. Silbia trzy razy pociągnęła za sznur, dając uzgodniony wcześniej sygnał, że telegram przyszedł. Neal i Samantha, którzy znajdowali się dwie mile od domu, gdzie oglądali młodego wołu zabitego przez jakieś zwierzę, usłyszeli żałobny głos dzwonu.

– Wielki Boże, przyszedł telegram, Sam – powiedział Neal.

W salonie Neal wyrwał Jimmy'emu telegram i zapoznawszy się z jego treścią, wydał radosny okrzyk. Podał telegram Samancie, która przeczytała, że przedstawiciel Barrowsów z radością spotka się z panem Gordonem na stacji kolejowej o drugiej po południu za cztery dni. Neal prychnął pogardliwie na dźwięk słowa „przedstawiciel”. Czemu po prostu nie podać nazwiska osoby, która ma wyjść na spotkanie?

– Pakuj się, Sam – rzekł. – Wygląda na to, że jedziesz do Barrowsów jako „przedstawiciel” Las Tres Lomas.

Rozdział 22

Tak więc wszystko zostało ustalone, poza jedną kwestią: kto będzie towarzyszył Samancie, tak naprawdę pełniąc funkcję ochroniarza. Samantha oświadczyła, że żadnego ochroniarza nie potrzebuje, lecz rodzice nalegali. Samotna kobieta stanowiła łatwy cel; dwie już odstraszały, zwłaszcza jeśli obie były wprawne w posługiwaniu się bronią. Natychmiast przysły im do głowy Millie May i Billie June, znane z celnego oka, ostatecznie jednak wybór padł na Mildred. Groźna mina i budząca respekt postawa gospodyni zdradzały kobietę, z którą lepiej nie zadzierać. Nietrudno było sobie wyobrazić, że za podwiązką nosi nóż i nie zawaha się go użyć. Neal był przekonany, że wystarczy jedno spojrzenie na Mildred, żeby zniechęcić każdego łobuza żywiącego wobec jego córki jakieś niecne zamiary.

Kobiety wsiądą do pociągu do Gainesville o ósmej rano i jeśli pojedzie zgodnie z rozkładem, na miejsce dotrą w południe, żeby o drugiej spotkać się z właścicielem farmy. Ponieważ dotarcie na farmę i jej objechanie zajmie prawdopodobnie cztery godziny, najmądrzej będzie spędzić w Gainesville noc. Powrót tego samego dnia oznaczałby, że do Fort Worth zajechałyby późną nocą – „kiedy grasują rabusie”, jak ostrzegała Estelle, w ogóle przeciwna, żeby w podróż wybierały się same kobiety. Uważała, że to Neal powinien osobiście pojechać. Całą drogę mógłby przespać i obudzić się dopiero na miejscu. Kobiety przenocują w hotelu Harvey House i skorzystają z hotelowej restauracji. Wzdłuż linii kolejowej rozmieszczonych było wiele hoteli należących do jednej sieci, znanych z czystych pokoi, dobrego jedzenia i doskonałej obsługi. Korzystając z telefonu na ranczu Triple S, Samantha zarezerwowała hotel.

Odwieszając słuchawkę, wyczuła, że ktoś za nią stoi. Obróciła się i ujrzała Sloana Singletona, który przyglądał się jej oparty o framugę drzwi prowadzących do salonu. Serce skoczyło jej do gardła, ale tylko dlatego, że Sloan ją zaskoczył, wmawiała sobie. Nie spodziewała się zastać go o tej porze w domu. Millie May i Billie June wybrały się do miasta na zakupy. Wpuściła ją gospodyni, przemiała drobna Meksykanka, która służyła u Singletonów od czasów, kiedy Sloan nie sięgał jeszcze stołu.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – powiedziała Samantha, wskazując na telefon. – Consuela mnie wpuściła.

– Skąd ci przyszło do głowy, że może mi to przeszkadzać? *Mi casa, su casa*, jak zawsze – odparł Sloan.

Wcale nie zawsze, pomyślała Samantha. Co za absurdalne słowo: „zawsze”. Ten dom nigdy nie będzie jej. Kiedy Sloan się ożeni, dom będzie należeć do Anne Rutherford, a jej noga więcej w nim nie postanie. Upokorzona poczuła, jak do oczu

napływają jej łzy.

– Dobry Boże, Sam! Co się stało? – Dwoma krokami Sloan pokonał hol i chwycił ją za ramiona.

– Nic – powiedziała, sztywniejąc.

Dobrze wiedziała, co by poczuł, gdyby nagle wyznała mu uczucia, jakie do niego żywi. Najpierw skrępowanie, że kocha go przyjaciółka, którą przez całe życie uważał za siostrę, potem współczucie, że nie może odplacić jej podobnym „pochlebstwem”. Użyłby takiego lub podobnie głupiego słowa, ponieważ zawsze był niezmiernie uprzejmy. Nie zniosłaby, gdyby te błękitne oczy spoglądały na nią jak na jakąś dumną dzikuskę – cierpiącą, ale nieugiętą.

– Przecież widzę – odparł Sloan, puszczając ją. – Co się dzieje?

No właśnie, co się z nią dzieje? Skąd ten nagły wybuch emocji?

– To tylko... jeden z tych dni.

– Och – powiedział z pełnym zrozumieniem i ledwie widocznym skrępowaniem. Jako mężczyzna, który wychował się z dwoma siostrami, doskonale wiedział, co oznacza „jeden z tych dni”.

– Mam dużo na głowie – ciągnęła Samantha, dając do zrozumienia, że opacznie ją zrozmiał.

– W porządku. – Z miejsca pojął, w czym rzecz. – Ostatnio rzeczywiście masz sporo spraw na głowie. Melancholia?

– Właśnie, melancholia.

– To znaczy?

O to samo zapytał wtedy na krzyżówce, a Samantha pomyślała, że dawniej by mu powiedziała. Przyznałaby się do lekkiej depresji, jaka ją ogarnęła, gdy skończywszy dwadzieścia lat, zrozumiała, że staropanieństwo czai się za rogiem; powiedziała mu o spalonym w kominku liście, prześladowającym ją obrazie maleńkiej, niechcianej dziewczynki o północy zostawionej u obcych przez doktora, który zniknął, zanim nastał świt, o nagłej, niedopuszczalnej i zdradzieckiej potrzebie odkrycia, czemu została odrzucona. Bała się jednak, że zwierając się Sloanowi z tego wszystkiego, zdradziłaby prawdziwy powód swojego smutku.

– Nie wiem, co powiedzieć – rzekła, ocierając łzy wierzchem dłoni.

Sloan sięgnął do kieszeni i wyjął chusteczkę.

– Proszę – rzekł. – Nieużywana. Wiesz, że tylko raz widziałem, jak płaczesz?

Wycierając oczy, próbowała się uśmiechnąć.

– Pewnie dlatego, że nie miewam powodów do płaczu.

– Wtedy miałas.

– Naprawdę? Kiedy to było?

– Gdy pojechałaś na Ponym do sierocińca i dowiedziałas się, że ta dziewczynka, którą tam poznałaś... chyba miała na imię Susie... umarła.

Samantha wpatrywała się w niego oniemiała. Sloan spoglądał na nią łagodnie, cierpliwie, wyczekująco.

– Skąd... jak to możliwe, że o tym pamiętasz po tych wszystkich latach?

– Niektóre rzeczy trudno zapomnieć. Wybierasz się w podróż?

Samantha opowiedziała mu o planowanym wyjeździe do Gainesville.

– Powinnaś była poprosić, żebym pojechał z tobą.

Zachichotała.

– Co Anne by na to powiedziała?

– A co miałyby powiedzieć?

Oddała mu chusteczkę. Inteligentni mężczyźni bywają tacy głupi.

– Nie byłaby zadowolona. Kobiety źle takie rzeczy odbierają.

– To byłoby niemądre z jej strony. Anne wie, ile dla mnie znaczysz. –

Uściskał ją za łokieć. – Muszę już iść, ale uważaj na siebie, dobrze?

Znowu zebrało się jej na płacz.

– Dobrze.

Kiedy Samantha siedziała już w siodle, wyobraźni przypisała, że wciąż czuje ciepło dotyku Sloana. Sądziła, że wyszedł z domu przez kuchnię, ale gdy przejeżdżała przez bramę, zerknęła za siebie i zauważyła, że Sloan stanął w drzwiach i patrzył za nią, jak odjeżdża.

– No, teraz już wiesz, na co masz zwracać uwagę, o co pytać – powiedział Neal, kiedy spędzali razem ostatnie chwile przed jej odjazdem.

Wkrótce parobek zawiezie ją i bagaże do Fort Worth jednym z wozów ze znakiem rancza.

– Sprawdź, czy wszystko zgadza się z opisem, łącznie ze źródłem. Obejrzyj dom, zabudowania, korrale i ogrodzenie. Nie musisz mówić temu staremu Liamowi Barrowsowi, czy kto tam teraz zajmuje się farmą, czemu chcemy ją kupić, ale spróbuj się wywiedzieć, dlaczego ją sprzedają. To się może przydać. Jeśli cena okaże się rozsądna i wszystko będzie tak, jak się spodziewamy, możesz powiedzieć, że ją kupujemy. Neal Gordon przyjedzie z czekiem w ręce. – Gdy nadeszła pora, odprowadził Samanthę do powozu. – Ucałuj ode mnie dziecko i powiedz twojej matce, żeby nie zaprzętała sobie ślicznej główki zamartwianiem się o twoje bezpieczeństwo.

– Równie dobrze mogłabym odganiać atakującego kozła rącznikiem, tatusiu – rzekła Samantha.

Mówiąc o dziecku, Neal miał na myśli niemowlę, które miało być ochrzczone w niedzielę. Samantha jechała do Fort Worth w sobotę, ponieważ msza odbywała się wczesnym rankiem następnego dnia.

– Przyszła poczta, panienko – poinformowała ją Mildred, kiedy Samantha przyjechała do domu. – Jest w szufladzie garderoby. Dwa listy to chyba zaproszenia na weselne przyjęcie pana Bakera i panny Warner, a rano doręczono

list od Barnarda Lairda. Prosi, żeby panienska jak najszybciej się z nim skontaktowała. To chyba coś pilnego.

Samantha była ciekawa, jakąż to pilną sprawę ma do niej Barnard Laird. Był dawnym kolegą z klasy i mieszkał dwie ulice dalej. Przyjaźnił się raczej nie z nią, lecz z Toddem Bakerem. Otworzyła list i okazało się, że Barnard dowiedział się od Todda, że ma dwa bilety na sobotni wykład z paleontologii, na który się nie wybiera. Pytał, czy jednego by mu nie odstąpiła. Temat bardzo go interesował, bo – jak Todd – wierzył, że na poszukiwaniach ropy w Teksasie można się dorobić majątku. Jeśli zgodzi się odstąpić mu jeden bilet, czy byłaby uprzejma przysłać mu go do domu? W ramach rewanżu z radością zaprosi ją do eleganckiej restauracji, którą sama wybierze, i w terminie, który będzie jej odpowiadał.

Samantha złożyła list. Oczywiście, że odstąpi bilet, ale wciąż jeszcze miała drugi. Wyśle do Barnarda Jimmy'ego z kopertą z dwoma biletami i propozycją, żeby znalazł sobie kogoś do towarzystwa.

– Mildred, zadzwoń do Lairdów i przekaz, że wkrótce dostaną dwa bilety, dobrze? Ja muszę biec do mamy.

– Jest w nie najlepszym nastroju, panienko Sam.

Samantha pomyślała o rozjuszonym koźle.

Estelle, jak zwykle w sobotnie przedpołudnie, siedziała przy swoim biurku i zajmowała się korespondencją. Kiedy Samantha nachyliła się, żeby pocałować ją w policzek, matka wskazała na dwa bilety kolejowe leżące na bocznym stoliku.

– Wczoraj je kupiłam – oznajmiła. – Ale czułam się, jakbym kupowała bilety do czyścica. Co to za pomysł, żeby wysyłać córkę w taką podróż, gdy wszędzie grasują rabusie i porywacze? No i te bandy Komanczów. Mogą znowu porwać Mildred.

– Chciałabym to widzieć – powiedziała Samantha ze śmiechem. – Gainesville to żaden czyściec, mamo. Nikt mnie nie porwie, a pociągu z Fort Worth do Gainesville nie warto napadać. To pociąg pasażerski.

Estelle potarła podbródek i spojrzała na córkę znad okularów, które nosiła do czytania.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, moja kochana. A jeśli to ogłoszenie to nikczemna próba zwabienia pięknych, młodych kobiet w pułapkę? Porwą cię i ślad po tobie zaginie. Takie rzeczy się już zdarzały.

Żeby odwrócić uwagę od marudzenia matki, Samantha otworzyła dwa listy. Rzeczywiście były to zaproszenia na przedślubne przyjęcia z okazji rychłego ożenku dwojga jej przyjaciół, Todda Bakera i Ginny Warner.

– Wątpię, żeby właściciel farmy w tym celu zamieszczał w gazecie ogłoszenie, skoro spodziewa się przyjazdu mężczyzny – powiedziała. – Może nawet zna Neala Gordona.

Logika Samanthy nie trafiła Estelle do przekonania.

– Neal powinien dać sobie zbadać głowę – ciągnęła matka. – Żeby dorosły mężczyzna bał się przedziału kolejowego, zwłaszcza ktoś taki jak twój ojciec, który przecież nie boi się niczego. Chyba umrę ze zdenerwowania, zanim nie wrócisz do domu. Tak jak twój ojciec, ale on sobie na to zasłużył. – Zerknęła na zaproszenia, które Samantha trzymała w ręce. – Czego chciał Barnard? Byłam na górze, kiedy dostarczono jego list.

Samantha jej wyjaśniła, a potem przeprosiła, mówiąc, że musi posłać Jimmy'ego z biletami na wykład. Kiedy chowała je do koperty razem z liścikiem, w którym proponowała, by zabrał kogoś ze sobą, nagle sobie pomyślała, że przecież równie dobrze ona może pójść. Co prawda Barnard był nudny jak flaki z olejem, ale lepiej spędzić sobotnie popołudnie z nim niż z matką, która do znudzenia będzie wynajdywać argumenty przeciwko jej wyprawie do Gainesville. Poza tym musiała się sama przed sobą przyznać, że naprawdę była ciekawa metody pozyskiwania ropy ze skamielin. Jeszcze w szkole sprzeciwiała się tej teorii. Napisała liścik od nowa.

W odpowiedzi Barnard zadzwonił. Był zachwycony, że zmieniła zdanie. Przyjedzie po nią rodzinnym powozem o szóstej. A potem, jeśli będzie miała ochotę, mogą wybrać się z Toddem i Ginny do restauracji Worth, gdzie z przyjemnością zafunduje jej kolację, jak obiecał.

Rozdział 23

Wykład odbywał się w auli politechniki założonej w 1891 roku przez Episkopalny Kościół Metodystów. Kampus znajdował się cztery mile na wschód od Fort Worth i szczylił się tym, że leży w bezpiecznym oddaleniu od Hell's Half Acre, owianej złą sławą mekki hazardzistów, prostytutek i wyrzutków, będących solą w oku rady miasta. Na uczelnię, gdzie królowały nauki wyzwolone, chętnie przyjeżdżali cieszący się uznaniem wykładowcy, przyciągając tłumy słuchaczy. Kiedy Samantha i jej towarzysz dotarli na miejsce, lobby przed aulą było wypełnione po brzegi. Barnard, wyciągając szyję, szukał w tłumie Todda i Ginny.

– Tam są – powiedział, wskazując jedną z grup.

Todd Baker i Ginny Warner rozmawiali z dwoma mężczyznami, którzy sądząc po podobieństwie rysów i takich samych uderzających błękitnozielonych oczach, musieli być ojcem i synem. Starszy z mężczyzn właśnie coś mówił. Kiedy dołączyli do nich z Barnardem, na widok Samantha jego spojrzenie rozbłysło i przerwał w pół słowa. Todd dokonał prezentacji, mile zaskoczony pojawieniem się Samantha – na dodatek z jego przyjacielem – maskując niezręczną przerwę w wywodzie mężczyzny.

– Panie Waverling, przedstawiam panu moich przyjaciół, Samanthę Gordon i Barnarda Lairda. Sam, to pan Trevor Waverling i jego syn Nathan. Pan Waverling jest właścicielem fabryki produkującej maszyny wiertnicze, w której mam zaszczyt pracować.

Samantha podała rękę obu mężczyznom, lekko skrępowana wyraźnym zainteresowaniem, jakie wzbudziła u starszego, ten jednak, będąc prawdziwym dżentelmenem, więcej go nie okazywał. Widać było, że jego syn również stara się na nią nie gapić.

– Wiem od Todda, że rozszerza pan swoją działalność o produkcję maszyn do poszukiwania ropy. To musi być niezmiernie interesujące – zauważył Barnard, ściskając dłoń starszego z mężczyzn.

– W rzeczy samej – odparł Trevor i jak się Samancie wydawało, z pewnym ociąganiem wrócił do tematu, którego roztrząsanie przerwało pojawienie się jej i młodego Lairda.

Na chwilę wyłączyła się z rozmowy, ponieważ nagle coś przyszło jej na myśl. Być może wynikało to ze stanu, w jakim znajdowała się przez ostatni tydzień, ale logika mówiła jej, że któregoś dnia spotka kogoś, kto na jej widok powie: „Wygląda pani bardzo znajomo, zwłaszcza ten kolor pani włosów. Czy jest pani może spokrewniona z takim-a-takim?”. Ktoś mimochodem, w trakcie przypadkowego spotkania rzuci: „Przypomina mi pani...”, i te okruszki, przed którymi przestrzegali ją Grizzly, zamienił się w cały bochenek albo przynajmniej

kromkę, która doprowadzi ją Bóg wie dokąd, do czego i do kogo. Takie przypadki się przecież zdarzały.

Dźwięk gongu oznajmił, że wykład zaraz się rozpocznie, więc towarzystwo się rozdzieliło, żeby poszukać swoich miejsc. Samantha zdołała jeszcze przed odejściem zagadnąć Trevora Waverlinga.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że kiedy podeszliśmy z Barnardem, wydało się panu, że skądś mnie pan zna, potem jednak uznał pan, że się pomylił. Mam rację? – zapytała bez ogródek.

– W pewnym sensie. Kolor pani włosów uderzająco przypomina mi kogoś, kogo znałem.

– Mam nadzieję, że to miłe wspomnienie.

– Niezapomniane – rzekł Trevor i odszedł.

Samantha czuła się dziwnie zawiedziona. Co chciała osiągnąć, zadając swoje pytanie? „Grizzly, nie pójdę za żadnymi okruszkami”, obiecała przecież kucharzowi. Czemu więc liczyła, że jednak jakiś znajdzie?

Barnard ujął ją pod ramię i w ślad za Toddem i Ginny poprowadził na ich miejsca. Waverlingowie siedzieli daleko z przodu, w pobliżu mównicy, ale Samantha doskonale widziała ich głowy, kwadratowe ramiona, od czasu do czasu szczupły profil ojca i odrobinę bardziej toporny syna, w końcu jednak skupiła się na fascynującym wykładzie.

Mówca zaczął od przedstawienia siebie jako poszukiwacza skał kryjących w sobie paliwa kopalne, bogate w węglowodory, z których otrzymuje się węgiel, olej opałowy i gaz ziemny. Paliwa kopalne powstają, kiedy ginie jakieś zwierzę bądź roślina, a ich szczątki są zachowywane dzięki warstwom osadowym, takim jak piasek, wapień i materia organiczna w rodzaju pyłu wulkanicznego. Przez lata – tysiące, a nawet miliony – na skutek gorąca i ciśnienia warstwy te zamieniają się w skały, w których uwięzione są rozkładające się organizmy mogące być źródłem ropy lub gazu. Jako paleontolog szuka i bada próbki tych produkujących ropę zjawisk i publikuje wyniki. Dlaczego? Ponieważ w ciągu zaledwie dekady Ameryka stanie się zależna od ropy i gazu, które będą napędzać środki lokomocji, ogrzewać domy, produkować elektryczność i dostarczać mechaniczną siłę do fabryk.

Samantha słuchała z lekkim obrzydzeniem. Kiedy ona studiowała paleontologię, celem było poznanie zwierząt i roślin zamieszkujących niegdyś Ziemię. Wciąż jeszcze pamiętała radość, którą poczuła, gdy po raz pierwszy robiła analizę skały osadowej, w której szczątki zwierzęcia uległy rozkładowi. Powstała wokół nich pustą przestrzeń wypełniły minerały, które zamieniając się w skałę, utrwaliły kształt zmarłego stworzenia. Kiedy była w szkole, skamieliny badano dla nich samych, a nie po to, żeby nabijać kabzę inwestorów wierzących z nadzieją na zysk.

Cieszyła się, gdy po skończonym wykładzie siedzieli w najlepszej lokalnej restauracji Worth, w pierwszym luksusowym hotelu w mieście. W oczekiwaniu na pieczonego bażanta Samantha popijała wino, bez specjalnego zainteresowania przysłuchując się toczącej się przy stole ożywionej dyskusji na temat wykładu.

– Ropa naftowa stanie się główną siłą napędową gospodarki, wypierając rolnictwo, zapamiętajcie moje słowa – perorował Todd.

Samantha zerknęła przez ramię i w recepcji zauważyła Trevora Waverlinga z synem. Zapewne zamierzali spędzić w hotelu noc, zamiast wracać pociągiem do Dallas. Nie chciała przerywać Toddowi, zaczekała więc, aż skończy, żeby powiedzieć mu o obecności jego szefa w hotelu. Może chciałby zaprosić go wraz z synem do ich stołu, kiedy jednak spojrzała znowu, Waverlingów już nie było.

Poniedziałek wypadł dziewiątego kwietnia.

– Dawniej to był prima aprilis, dzień głupków – oznajmiła Estelle przy śniadaniu. – Doskonale nadaje się na realizację głupich pomysłów twojego ojca.

Samantha wymieniła wymowne spojrzenia z Mildred, już ubraną stosownie do mającej się zacząć za dwie godziny podróży. Mildred nalewała kawę do filiżanek odziana w fartuch chroniący jej podróżny kostium z bufiastymi rękawami, który kupiła specjalnie na tę okazję. Nigdy nie jechała pociągiem ani tym bardziej nie spędziła nocy w hotelu. Na zwykle obojętnej twarzy gospodyni teraz rysowało się pewne ożywienie wywołane perspektywą przygody oraz rozbawienie czarnowidztwem swojej pani.

– Mamo, wymyśliłaś to na poczekaniu – powiedziała Samantha. – Prima aprilis zawsze był obchodzony pierwszego kwietnia.

– Jako początek obchodów głupoty – obraziła się Estelle. – Nie pojmuję, czemu twój ojciec tak bardzo chce mieć jeszcze jedną farmę.

– Marzy mu się, żeby zostać tytanem.

– Cóż, lepiej niech to sobie wybije z głowy. Nigdy nie dorówna Robertowi Klebergowi ani Danowi Waggonerowi.

– Ale musi spróbować.

Estelle uparła się, że odprowadzi je na stację, wnosząc jeszcze więcej zamieszania pytaniami, na które było już za późno, bo wsiadały właśnie do pociągu. Czy Samantha schowała do torebki pistolet? Czy Mildred spakowała kanapki i jajka na twardo? Czy dziewczęta nie zapomniały swoich wachlarzy? Czy miały sole trzeźwiące? Książki?

Wreszcie ruszyły, siedząc w przedziale pierwszej klasy pociągu linii Missouri–Kansas–Teksas, pieszczotliwie przezwanego Katy. Ze stoickim spokojem odziedziczonym po ludach, z których wywodził się jej ojciec, Mildred wpatrywała się w przemyskający za oknem krajobraz, po chwili jednak zwróciła uwagę na milczenie Samantha. Córka jej pani zdawała się obojętna na doświadczenie, które Mildred tak bardzo przypadło do gustu.

– Co się dzieje, panienko Sam? Strasznie panienka zamyślona.

– Zastanawiam się, Mildred – odparła Samantha.

– Zastanawia się panienka czy raczej coś kombinuje?

Samantha spojrzała na nią zdumiona.

– Tobie nic nie umknie, prawda, Mildred? Tak, można powiedzieć, że kombinuję. Jak załatwimy sprawę w Gainesville, na chwilę cię zostawię.

Ciemne oczy Mildred błysnęły podejrzliwie.

– A dokąd się panienka wybiera?

– W krótką podróż.

– Beze mnie? Nie zostawię panienki.

– Nie chcę cię mieszać w to, co zamierzam. Jeśli czegoś nie wiesz, nie można cię za to zwolnić.

Mildred poruszyła się niespokojnie.

– Panienko Sam, zacznam się bać, a mnie niełatwo nastraszyć.

– Proszę cię tylko, żebyś nie zdradziła moim rodzicom, że przez jakiś czas mnie nie było.

– Nic im nie powiem, ale nie odstąpię panienki na krok, czy panienka tego chce, czy nie, więc równie dobrze może mi panienka powiedzieć, co tam sobie wykombinowała.

Samantha się zawahała. Tak samo jak Grizzly'emu i Wayne'owi mogła Mildred powierzyć każdy sekret. Akurat ona, porwana jako dziecko przez Komanczów, na pewno zrozumie, dlaczego dziewczyna musi skorzystać z nadarzającej się okazji. Spojrzała na gospodynię.

– Przysięgnij, że to zostanie między nami.

Jak robią to Komancze, Mildred przyłożyła zwiniętą w pięść rękę do serca.

– Przysięgam – powiedziała.

– Przeprowadzę się promem przez Rzekę Czerwoną na Terytorium Oklahomy. W Marietcie jest doktor, którego chcę odwiedzić.

Rozdział 24

Pociąg przyjechał zgodnie z rozkładem, kobiety miały więc dość czasu, żeby zameldować się w hotelu Harvey House, oddalonym o kilka kroków od stacji kolejowej, i zostawić w pokojach bagaże. Ponieważ zjadły swoje kanapki po drodze, mogły zrezygnować z lunchu. Samantha sprawdziła godziny kursowania promu, wywieszone przy recepcji, i załatwiła transport na przystań na dziewiątą rano nazajutrz. Zdąży wszystko załatwić, by na czas wrócić do hotelu po bagaże i złapać pociąg do domu o drugiej po południu.

Nie wiedziała, co bardziej ją ekscytuje: możliwość, że wskutek jej wizyty na farmie Barrowsów La Paloma zyska bezpośredni dostęp do Rzeki Czerwonej, czy też że mężczyzna, z którym zamierza się spotkać, zna i zdradzi jej szczegóły dotyczące jej urodzenia. Chyba to drugie, pomyślała z lekkim poczuciem winy.

Kobiety piły kawę przy stoliku w małej kawiarni przy stacji, umówionym miejscu spotkania. Usiadły przy oknie, skąd widziały ulicę, którą zapewne nadejdzie przedstawiciel Barrowsów.

– Wie panienska, jak ten człowiek wygląda? – zapytała Mildred.

– Myślę, że go poznam, kiedy się zjawi – odparła Samantha. – Będzie widać, że kogoś szuka, poza tym pewnie będzie się śpieszył, bo jest już spóźniony.

Odkąd usiadły, pojawiło się kilku mężczyzn, ale wszyscy przyszli na spotkanie pasażerów. Samantha sięgnęła po przypięty do klapy zegarek na łańcuszku. Od umówionej godziny minęło już dziesięć minut.

Na dźwięk nadjeżdżającego powozu obudziła się w niej nadzieja, że przedstawiciel Barrowsów właśnie przybył, okazało się jednak, że to jakaś kobieta. Samantha i Mildred przyglądały się, jak zsiada z kozła. Była drobna, trzymała się prosto jak trzcina i poruszała żwawo. Płócienna chustka i słomiany kapelusz niemal całkowicie zasłaniały jej twarz. Nosiła zakiet, którego mankiety wsunięte były w robocze rękawice, a spod spódnicy wystawały ciężkie buciory. Szybko i zdecydowanie weszła na drewniany ganek i Samantha wpatrywała się w nią jak urzeczona, kiedy otwierała drzwi. Kobieta przystanęła, rozglądając się po sali, i nie widząc tego, po kogo przyjechała, zacisnęła gniewnie usta. Po kilku sekundach odwróciła się na pięcie i wyszła na zewnątrz, gdzie usiadła na ławce. Jej wysoki słomiany kapelusz był doskonale widoczny przez okno.

Samantha i Mildred wymieniły spojrzenia i zachichotały. Wyniosłość, z jaką zachowywała się kobieta, wydała się im komiczna.

– Założę się, że jej mąż na pewno wie, kiedy trzeba jej zejść z drogi – powiedziała Mildred.

Upłynęła kolejna godzina, kawiarnia opustoszała, bo do przyjazdu następnego pociągu zostało jeszcze sporo czasu. Poza sześciuosobową rodziną

i jakimiś dwiema kobietami nie było nikogo. Nawet kobieta w kapeluszu już odjechała. Samantha poczuła, jak ścisną ją w żołądku. Sprzedawca się nie pojawił. Farma zapewne została już sprzedana. Jej ojciec będzie zdruzgotany. Kiedy po kolejnych dwudziestu minutach nikt nie przyjechał, zaczęły się z Mildred zastanawiać, co powinny zrobić. Obie się zgodziły, że farma albo nie jest już na sprzedaż, albo została wycofana z rynku, a właściciel nie był dość uprzejmy, żeby je o tym poinformować.

– Mimo to – rzekła Samantha – muszę się dowiedzieć, co się stało. Tatuś na pewno by chciał, żebym to sprawdziła.

Wstała od stolika, żeby porozmawiać z naczelnikiem stacji, który przyszedł na kawę. Czy wie, gdzie znajduje się farma Barrowsów? „Naturalnie”, odparł i podał jej wskazówki. Z nieodstępującą jej Mildred Samantha wróciła do hotelu i najęła tego samego dorożkarza, z którym się umówiła, że następnego dnia zawiezie je na prom. Po drodze mijali żyzne pola. Samantha jednak nieustannie wypatrywała znaku, że są już na farmie Barrowsów. Po jakimś czasie na polu z kielkującą pszenicą zauważyła mężczyznę w ogrodniczkach i czapce pogrążonego w zażartej, jednostronnej dyskusji z mułem zaprzężonym w pług.

– Zatrzymaj się – poleciła woźnicy. – Chcę porozmawiać z tym człowiekiem.

Dorożkarz zatrzymał się przy ogrodzeniu i Samantha wysiadła. Mężczyzna zostawił swojego muła i podszedł do niej. Twarz miał szczerą i przyjazną, a krok nieśpieszny.

– Mogę jakoś pomóc? – zawołał, zanim jeszcze dotarł do ogrodzenia.

– Dzień dobry – odrzyknęła Samantha. – Czy to farma Barrowsów?

– A i owszem.

– Pan jest właścicielem?

Kiedy mężczyzna zbliżył się do ogrodzenia, sięgnął do czapki, żeby ją zdjąć, i nagle jego ręka zamarła. Zatrzymał się i przez kilka sekund stał nieruchomo niczym posąg.

To przez te moje włosy, pomyślała Samantha. Wszyscy tak reagują na ich kolor.

– Nie – powiedział wolno mężczyzna, przyglądając się jej bacznie. – Jestem najemnym parobkiem.

– Byłam dzisiaj umówiona w mieście z właścicielem w sprawie kupna farmy, ale nikt się nie pojawił. Czy farma wciąż jest na sprzedaż?

Mężczyzna doszedł do ogrodzenia.

– A panią jak się nazywa?

– Samantha Gordon. Przyjechałam w imieniu mojego ojca, Neala Gordona. Telegraficznie umówił się na spotkanie z przedstawicielem właścicieli farmy w kawiarni przy stacji. Coś panu na ten temat wiadomo?

– Raczej nie. Mnie się mało co mówi. – Mężczyzna założył czapkę z powrotem. – Ale farma to już jest sprzedana. Poszła raz-dwa.

– Tak sobie właśnie pomyślałam, kiedy nikt się nie zjawił – rzekła Samantha zawiedziona. Spojrzała na zdrowe rzędy młodej pszenicy, proste i równiuteńkie jak wojsko na paradzie. – Nie dziwię się, że tak szybko się sprzedawała. No cóż, dziękuję. Przekażę ojcu.

– No właśnie – odparł mężczyzna. – Dobrego dnia, panienko.

– I nawzajem – rzuciła Samantha, wsiadając do powozu.

Leon stał przy ogrodzeniu jeszcze długo po tym, jak droga już opustoszała. Nie tak dawno temu Millicent zatrzymała się w tym samym miejscu w identycznym nastroju, w jakim wyjeżdżała – wściekła jak niedźwiedzica, którą boli ząb. Rzadko sama powoziła, ponieważ trzymając lejce, nie mogła jednocześnie chronić twarzy pod parasolką, zakładała więc, że to on pojedzie jako „przedstawiciel Barrowsów” na spotkanie z Nealem Gordonem i go przywiezie. Leon jednak nie zamierzał przykładać ręki do sprzedaży farmy. Obrażona i zła Millicent zakryła się szczelnie przed słońcem od stóp do głów i pojechała na spotkanie z nadawcą telegramu, który miał przyjechać, żeby kupić jej farmę.

– Niech go lichy, nie przyjechał – warknęła.

– Może tak właśnie miało być – rzekł Leon.

A teraz w to uwierzył. Nie dane było ojcu tej młodej kobiety kupić farmy Barrowsów. Leon wciąż jeszcze dygotał na całym ciele. Jezu, Józefie i Mario, kiedy ją ujrzał, pomyślał, że oto ma przed sobą dawno utraconą córkę Millicent, zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą. Jaki okrutny los sprawił, że w ten sposób do nich wróciła i o niczym nie wiedząc, patrzyła na farmę, na której się urodziła i została oddana – myślał, spoglądając na te jej włosy...

Bez wiedzy Millicent, niedługo po urodzeniu bliźniaków przeprowił się promem przez Rzekę Czerwoną i pojechał do Marietty, gdzie mieszkała Bridget Mahoney, która pracowała dla doktora Tolmana. Niczego się od niej nie dowiedział, kiedy zapytał, co się stało z małą dziewczynką. „Wy, ludzie, nie macie prawa nic o tym wiedzieć” – oznajmiła akuszerka. Doktor Tolman jednak się nad nim zlitował. „Oddałem ją ranczerom, niedaleko Fort Worth. Będzie jej tam dobrze” – powiedział, ale to była jedyna rzecz, którą zdradził Leonowi.

Od tego czasu Leon kilkakrotnie jeździł do Fort Worth i widząc na jego ulicach małe dziewczynki w wieku Nathana, zastanawiał się, czy któraś z nich jest jego córką – zawsze uważał ją za swoją córkę, tak jak Nathana za syna. Dziecko można traktować jak własne, nawet jeśli nie jest się z nim połączonym więzami krwi. Liczy się to, że jest częścią serca i duszy.

Leon domyślał się, co się wydarzyło w kawiarni przy stacji. Obie kobiety spodziewały się mężczyzny. Neal Gordon w swoim telegramie nie wspomniał, że przyjedzie jego córka, Millicent zaś nie chciała, żeby jej nazwisko pojawiło się

w ogłoszeniu – „wystawione na oczy całego świata”, jak podkreśliła. Nie mówiąc już o tym, kto może się pojawić, biorąc ją za wdowę, która chce się pozbyć farmy męża.

Szok, jaki przeżył na widok dziewczyny, kazał mu skłamać, czym rzadko grzeszył. Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale nie mógł znieść myśli, że farma trafi do dziewczyny o kolorze włosów, który mogłaby mieć jego córka – i która, chociaż ze ślicznej twarzyczki i figury nie była specjalnie podobna do Millicent, mogła wyjść na świat z jej łona. Wrócił do muła i pługu. Po namyśle uznał, że wydarzeniami dzisiejszego popołudnia kierowało przeznaczenie. Doprawdy dziwnie się czasem układa. Gdyby stary Mopey Dick, jak Leon nazywał swojego muła, nie postanowił się zaprzeć akurat w tym miejscu, Leon byłby daleko na północnym pastwisku i nie widział nadjeżdżającego powozu.

Rozdział 25

Wieczorem dziewiątego kwietnia Neal Gordon szykował się na pokera – grywali w niego raz w miesiącu w poniedziałek – nie przeczuwając, że nadchodząca noc okaże się najdłuższą w jego życiu. Był przekonany, że prześpi ją jak nowo narodzone niemowlę. W jego interesach nie mogłoby się dziać lepiej. Na świat przyszło więcej cieląt, niż się spodziewali, w większości były silne i zdrowe, zbiory również zapowiadały się obfite. Ceny żywca stały wysoko. Zakłady mięsne w Fort Worth zakontraktowały pięćset sztuk, armia kolejne dwa tysiące, pojawiły się też inne duże zamówienia. Trawa na pastwiskach nigdy nie była tak bujna i zielona. Zbiorniki na wodę się przelewały, a rzeka Trinity płynęła wartko. Jeżeli jeszcze dobije targu na farmę w hrabstwie Cooke, będzie miał wszystko, co sobie zamarzył.

Bomba, która zniszczyła jego euforię, wybuchła tuż pod koniec wieczoru, podczas którego biblioteka na ranczu tętniła wyśmienitym męskim humorem, pełna cygarowego dymu i oparów burbona. Przy karcianym stole siedzieli najbliżsi przyjaciele Neala: W.A. Huffman, przewodniczący rady handlowej; Jason Laird, prezes związku ubojni Fort Worth i właściciel banku Texas Land and Cattle; Buckley Paddock, redaktor naczelny i wydawca „Fort Worth Gazette”; wreszcie Sloan Singleton.

– Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego, Nealu – zauważył Jason Laird, ojciec Barnarda. – Pewnie karta dobrze ci idzie. Gdzie się podziała twoja twarz pokerzysty?

– Niech cię twarz nie zwiedzie, Jasonie. Pewnie nic nie ma – powiedział Buckley. – Jest taki zadowolony, bo pewnie myśli, że dobił targu o ziemię w Gainesville.

– To znaczy? – zainteresował się W.A. Huffman.

– Powiedz im, Sloanie. Ja muszę się skupić na kartach.

Sloan wyjaśnił, w czym rzecz, a wtedy Neal się odezwał, nie wypuszczając cygara z ust.

– To jeszcze nic pewnego. Okaze się dopiero, kiedy wróci Samantha i powie, że sprawa jest załatwiona. Jakiś czas temu miałem spięcie z Liamem Barrowsem, właścicielem farmy. Mam nadzieję, że zdążył o tym zapomnieć albo uda, że zapomniał, jeśli bardzo mu zależy na sprzedaży. On sam albo jego syn. Wątpię, żeby Liam wciąż jeszcze żył.

– Bo nie żyje – rzekł Buckley, rzucając na stół kilka żetonów. – Podobnie jak jego synowie, o ile mi wiadomo. Farmę chce sprzedać jego córka, niejaka Millicent Holloway.

Neal, który właśnie także zamierzał się dorzucić, znieruchomiał z uniesioną

ręką. Wyprostował się i wyjął cygaro z ust.

– Co ty powiedziałeś? – zapytał.

Buckley, zaskoczony cichym i podejrzanie spokojnym tonem Neala, powtórzył.

– Millicent Holloway. A przynajmniej ona przysłała telegram i zapłaciła za ogłoszenie. Uznałem, że jest właścicielką.

Sloan siedział obok Gordona.

– To nazwisko coś ci mówi, Nealu? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Neal poczuł, jak zaczyna mu świszczeć w piersiach. Napił się burbona, żeby zdusić świst.

– Tak, przez chwilę – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Nie ma o czym mówić. To dawna historia. W przeszłości znałem dziewczynę, która się tak właśnie nazywała. Ale już nie żyje.

– Teraz rozumiem, czemu ci skoczyło ciśnienie – skomentował Buckley. Postukał palcem w stół. – Jedną poproszę.

Neal, który rozdawał, rzucił wydawcy kartę, czując, że Sloan obserwuje go kątem oka. Nie odważył się na niego spojrzeć. Chłopak wiedział, jak wydusić z niego prawdę. Krew znów zaczęła krążyć mu w żyłach. Dobry Boże! Posłał Samanthę na farmę, gdzie się urodziła, prosto w ręce jej prawdziwych rodziców. Poczul, że z nerwów zbiera mu się na wymioty. Czy instynkt sprawi, że matka i córka się rozpoznają? Takie rzeczy się zdarzają; słyszał o tym – rodzice i dzieci intuicyjnie wyczuwali łączące ich pokrewieństwo. Zaczną rozmawiać i od słowa do słowa... nagle objawienie! Z przerażenia pot wystąpił mu na czoło.

Sloan dotknął jego ramienia.

– Neal? Dobrze się czujesz? Strasznie zbladłeś.

– Nic mi nie jest, Sloane. Naprawdę. – Z ogromnym wysiłkiem uśmiechnął się porozumiewawczo do równych mu wiekiem towarzyszy przy stole, których doświadczenie z kobietami było dużo większe niż jego młodego protegowanego. Nie może dopuścić, żeby myśląc, że jest chory, zostawili go, by samotnie spędził długą noc.

– Chyba dopadły mnie wspomnienia.

– Ładna była ta twoja Millicent? – zapytał Jason Laird.

Nealowi przed oczami stanęła śliczna twarzyczka jego córki.

– O tak, bardzo – powiedział i rzucił na stół żeton. – Podbijam do pięciu.

Była północ, kiedy czołowi biznesmeni Fort Worth odjechali powozem, który przywiózł ich z miasta. Wszyscy mieszkali w położonych blisko siebie, imponujących rezydencjach. Ostatni zebrał się do wyjścia Sloan Singleton. Razem z Nealem stał na ganku i żegnał pozostałych.

– Neal, bądź ze mną szczery – rzekł. – Dobrze się czujesz? Czy dręczy cię coś poza wspomnieniem byłej przyjaciółki?

Sloan należał do tych nielicznych, którzy potrafili mu czytać w myślach, choć Neal nie uważał się za skomplikowanego człowieka. Po prostu nie był otwarty. W zasadzie wszystko było dla niego czarne albo białe, żadnych szarości, żadnych „jeżeli, i, ale”. Jego stosunki ze Sloanem uległy zmianie, nie byli już mentorem i uczniem. Chłopak stał się samodzielny i łączyła ich może nie więź jak ojca z synem, a bardziej jak stryja i bratanka, tyle że na równych prawach. Teraz to właśnie zrozumiał, kiedy Sloan stał obok niego, silny, wysoki i barczysty, skąpany w blasku księżyca.

– Być może nadchodzą zmiany – odezwał się Neal – i boję się, czy im podołam. Nie jestem człowiekiem kompromisu. Wszystko okaże się jutro i na razie nie mam nic więcej do powiedzenia.

Sloan skinął głową, wyraźnie jednak ta odpowiedź go nie zadowoliła. Każdy z nich miał granice, których nie należało przekraczać bez zaproszenia.

– A co u Samantha? U niej wszystko w porządku?

Neal poczuł, że jego żołądek się kurczy.

– O ile mi wiadomo. Masz powody sądzić inaczej?

Sloan przestąpił z nogi na nogę, jakby nie uważał, że ma prawo się wypowiadać.

– Była u mnie niedawno, żeby skorzystać z telefonu i... nagle się rozpląkała. Co prawda uroniła tylko kilka łez, ale mnie to zaniepokoiło. Samantha nie należy do płacziwych.

– To prawda – zaniepokoił się Neal. – Powiedziała, co się stało?

– Tylko tyle, że przechodzi ciężki okres... wyznała, że coś ją smuci, przyprawia o melancholię.

– To znaczy?

– Nie udało mi się niczego z niej wyciągnąć. Nie rozmawiamy już tak jak kiedyś. Samantha przestała mi się zwierzać.

Neal obrócił się, żeby spojrzeć w gwiazdy. Oczywiście, że przestała, ty tępaku! Kocha cię, a ty durzysz się w tej puste lalce!

– Cóż, Sloanie, jesteś bardzo zajęтым człowiekiem. Prowadzisz ranczo, masz obowiązki i zobowiązania... no i zajmują cię też inne rzeczy.

– Ale dla Samantha zawsze znajdę czas, gdyby mnie potrzebowała, Nealu. Może do mnie przyjść ze wszystkim. Przypomnij jej o tym, kiedy wróci do domu, dobrze? Mam wrażenie, że zapomniała. Naprawdę... bardzo mi na niej zależy. Zawsze tak było i będzie.

– Nie wątpię w to. Ona na pewno też nie – odparł Neal, słysząc w głosie Sloana żal. – Ty i Samantha zawsze byliście sobie oddani jak rodzeństwo, Sloanie. Mówię to jako ojciec i... przez to, co do ciebie czuję, zawsze miałem nadzieję, że... cóż, że połączy was coś więcej.

Sloan wcisnął kapelusz głębiej na głowę, szykując się do odjazdu. Jego koń

stał przywiązany do balustrady ganku. Prychnął lekko, dając znak, że pora wracać do stajni i do koryta.

– Ja też, ale chyba nasze uczucia nie poszły w tę stronę. A teraz, jeśli dasz mi słowo, że nie zostawiam cię tu, żebyś wyzionął ducha w fotelu, pozwolisz, że się pożegnám.

– Słowo – powiedział Neal. – Dobranoc, synu.

Byłoby mu miło, gdyby chłopak potowarzyszył mu jeszcze przez jakiś czas, ale zrobiło się już późno, a jutro Sloan przepędzał jedno ze swoich stad na inne pastwiska i będzie musiał wstać przed świtem. Neal zastanawiał się, czy w ogóle powinien się kłaść. Za sześć godzin zrobi się jasno, a on musi wstać godzinę wcześniej. Po co leżeć bezsennie i wyobrażać sobie najgorsze: że kiedy jutro Samantha wysiądzie z pociągu, spojrzy na niego inaczej. Zamierzał wraz z Estelle wyjść po nią na stację. Jak zwykle jego córka będzie czuła i łagodna, ale zdecydowana i szczerą, bo tak właśnie ją wychował. „Mamusiu, tatusiu, musicie wiedzieć, że na farmie Barrowsów poznałam moich prawdziwych rodziców. To się stało przypadkiem...”

Bóg jeden wie, co będzie dalej. Ale Neal był pewny, że nie umiałby dzielić się córką z nikim innym i traktować jej tak samo jak dotychczas. To zwyczajnie nie leżało w jego naturze. Jeśli oddał się czemuś sercem i duszą, musiało to należeć wyłącznie do niego. Nie da się służyć dwóm panom, dzielić lojalność. Zrozumiał to, kiedy miał sześć lat. Przy drodze znalazł porzuconego psa, zabrał go na ranczo, wyleczył i kochał, ale pies równie mocno przywiązał się do syna nadzorcy i obu chłopcom okazywał sympatię. „Weź go sobie. Jest twój” – powiedział Neal do chłopca i odtąd rzadko kiedy choćby psa poklepał. I tak było już zawsze. Ciężko mu się z tym żyło, ale nic nie mógł na to poradzić. Estelle dawno już się z tym pogodziła.

Nie oznaczało to, że nie będzie walczył o swoje, ale co zrobi, jeśli Samantha postanowi dzielić swoje uczucia? To by go zabiło. Nie wyobrażał sobie – to było nie do pomyślenia, wprost niewyobrażalne – że mógłby powiedzieć do ludzi, którzy z jakiegoś powodu ją oddali: „Weźcie ją sobie. Jest wasza”. I jak zniosłaby to Estelle?

Siedział na werandzie, aż tętent konia Sloana umilkł w oddali. Czemu Samantha rozplakała się w holu Triple S? Neal widział ją płaczącą tylko kilka razy, i to kiedy była małym dzieckiem. Jeśli płakała, to dyskretnie i w samotności, a jej duma i powściągliwość łamały mu serce, ale też sprawiały, że tym bardziej ją szanował. Estelle z kolei płakała głośno, wylewając potoki łez.

Neal wszedł do domu. Naszło go wspomnienie, przez które sam niemal się rozplakał. Samantha miała pięć latek. Estelle rozchorowała się ciężko na grype. Ich dawna gospodyni, matka Mildred, miała grube i szorstkie palce, które nadawały się do zagniatania ciasta i rozbijania steków, kiedy jednak przyszło jej cesać

i zaplatać warkocze małej dziewczynce, nie były dość delikatne. Neal wszedł, gdy pani Swift próbowała uporać się z włosami Samantha.

– Niech pani przestanie! – rozkazał, kiedy córeczka obróciła się ku niemu, zbyt opanowana, żeby głośno protestować, ale jej wielkie szare oczy były pełne łez. Do dzisiaj pamiętał czułość, jaka nim zawładnęła, i szacunek dla tej dzielnej małej dziewczynki. Odesłał panią Swift do kuchni i sam doprowadził do porządku burzę rudozłotych loków swojej córki. Siedziała na stołku między jego kolanami, jak delikatny fioleczek w cieniu góry.

– Nie będziesz szarpał, prawda, tatusiu? – zapytała.

– Prędzej umrę, niż sprawię mojej córeczce ból – odparł.

I dotrzymał słowa.

Z piekącymi oczami zaczął sprzątać bibliotekę po pokerowym wieczorze. Silbia się rano zdziwił. Pootwierał okna, żeby wywietrzyć dym, opróżnił popielniczki pełne popiołu i wilgotnych niedopałków. Sprzątnął ze stołu resztki jedzenia i wyniósł brudne naczynia do kuchni, gdzie włożył je do miski z mydlinami, pozamiatał podłogę w bibliotece i odłożył na miejsce karty i żetony. Kiedy wszedł po schodach do swojej sypialni, zegar wybił trzecią. Ale ani się nie rozebrał, ani nie położył. Wyszedł na balkon, przyciągnął fotel do balustrady, o którą oparł stopy. Zapalił cygaro i resztę nocy spędził, wpatrując się w gwiazdy.

Rozdział 26

Następnego dnia rano dorożkarz, który zgodził się zawieźć je na prom, zjawił się o wyznaczonej porze.

– Tym czymś mamy się przeprawić na drugą stronę? – zapytała Mildred, pokazując prymitywną drewnianą konstrukcję w kolorze zardzewiałego gwoździa unoszącą się na wodzie. Była to w zasadzie duża tratwa przywiązana grubymi linami do drzew na obu brzegach Rzeki Czerwonej, zapewne po to, żeby przeprawa była bezpieczniejsza, a samej tratwy nie porwał nurt. Na pokład można było wejść jedynie po prowizorycznej kładce, ledwie widocznej spod gęstego czerwonego blocka. Samantha z przerażeniem popatrzyła na swoje ręcznie szyte, haftowane w kwiaty trzewiki. Nieważne, pomyślała. Warto było poświęcić buty i znieść niewygodę promu, jeżeli dzięki temu zbliży się do prawdy, którą tak bardzo chciała poznać.

Po zdającym się nie mieć końca oczekiwaniu, kiedy Samantha zaczęła się denerwować, że nie zdąży na odjeżdżający o drugiej pociąg, pozwolono wreszcie pasażerom wejść na pokład. Razem z Mildred znalazły miejsca stojące, pośród najróżniejszych towarów, bagaży i skrzynek z rozgdukanym drobiem, tuż obok zaprzężonego w muły wozu. „Kapitanem” był wysoki, krzepki mężczyzna z długą tyką pełniącą funkcję steru, za pomocą której korygował kurs tratwy. Nie ufając luźno zwisającym linom, które miały chronić pasażerów przed wpadnięciem do wody, Samantha i Mildred starały się trzymać jak najbliżej środka, wraz z innymi, którzy mieli takie same obawy.

– Czy powie mi w końcu panienka, czemu ryzykujemy życie, żeby spotkać się z tym doktorem? – zapytała Mildred, przekrzykując szum wiatru.

– Nie – odparła Samantha.

– Czy on wie, że panienka przyjedzie?

– Nie.

– A wie panienka, gdzie on mieszka?

– Nie.

W adresie zwrotnym doktor Tolman podał tylko numer skrytki pocztowej.

Mildred wydeła policzki.

– To jak go panienka znajdzie?

– Mam plan – odparła Samantha.

To nie będzie trudne. Dorożkarz z Gainesville powiedział im, że na drugim brzegu zawsze czekają wozy, żeby zawieźć pasażerów do oddalonej o pięć mil Marietty. Uspokojona Samantha zapytała, czy zna nazwę hotelu w mieście. „Wayfarer Inn”, odparł. Jest tylko jeden. Obok znajduje się restauracja. Wspaniale, pomyślała Samantha. Zostawi w niej Mildred, żeby coś zjadła, a sama złoży

doktorowi wizytę. Kierownik hotelu na pewno da jej jego adres. W takim małym miasteczku wszyscy się przecież znają.

Zeszły z promu na identyczną jak po drugiej stronie drewnianą kładkę i po chybotliwych drewnianych schodkach wspięły się na rozległy teren, który pełnił funkcję poczekalni. Ludzie kręcili się bądź siadali na ławkach, czekały też wozy gotowe zawieźć chętnych do miasta. Obie kobiety wsiadły do jednego z nich i ruszyły w drogę.

Kierownik hotelu Wayfarer Inn powiedział, że owszem, towarzyszka Samantha może poczekać w hotelowym lobby, i że tak, wie, gdzie mieszka doktor Tolman – „to znaczy, mieszkał, kiedy jeszcze żył”.

– Słucham? – Samantha nie wierzyła własnym uszom.

– Będzie kilka tygodni, jak się zmarło naszemu doktorowi.

Wstrząśnięta i załamana opadła na krzesło obok Mildred.

– Dowiem się wreszcie, o co chodzi? – zapytała gospodyni łagodnie. – Może mogłabym jakoś pomóc?

– Doktor Tolman był przy moich narodzinach – odparła otępiała Samantha. – I to chyba on mnie przywiózł do rodziców. Był jedynym łącznikiem z... okolicznościami mojego przyjścia na świat.

– Och – powiedziała tylko Mildred. Wyraz jej twarzy niczego nie zdradzał, ale ton wskazywał, że współczuje Samancie.

Samantha popatrzyła na nią.

– Nic nie wiesz o tym, jak zostałam adoptowana, prawda, Mildred?

– Nie, panienko Sam, nigdy niczego nie słyszałam. Teraz już rozumiem, czemu kazała mi panienka przysiąc, że słowem nie wspomnę rodzicom panienki o tej wycieczce. To by ich zabiło, ale niech panienka nie myśli, że robi im jakąś krzywdę. To normalne, że chce się panienka dowiedzieć. Ja też chciałam, kiedy mnie trzymali w niewoli. Nawet gdyby mi moja mama tego nie powiedziała, w głębi duszy i tak wiedziałam, że nie pasuję do miejsca, gdzie się urodziłam.

– Nie o to chodzi, Mildred. Ja tak nie uważam, czuję, że to moje miejsce. Nie chcę być nigdzie indziej, nie chcę żadnej innej rodziny. Nawet nie umiem powiedzieć, dlaczego tak nagle zaczęłam się interesować, jak i gdzie się urodziłam. Zanim przyszedł list od doktora Tolmana, w ogóle o tym nie myślałam.

– Jaki list?

Samantha westchnęła.

– To już bez znaczenia. Utknęłam w martwym punkcie.

– Może nie – powiedziała gospodyni.

Samantha obróciła się ku niej zdumiona.

– Co masz na myśli?

– Może w gabinecie doktora jest jeszcze ktoś, kto tam był, kiedy się panienka urodziła, i może coś wie. Pielęgniarka albo akuszerka? Skoro już tu

jesteśmy, może warto to sprawdzić?

Samantha zerwała się na równe nogi.

– Mildred, jesteś genialna.

Podeszła do recepcji. Piętnaście minut później, po tym, jak kierownik hotelu udzielił jej informacji, zostawiła Mildred i bagaże i poszła do oddalonej o kilka przecznic przychodni doktora Tolmana. Z Oklahoma City przyjechała jego córka, żeby przygotować dom do sprzedaży i uprzątnąć z gabinetu osobiste rzeczy ojca, zanim ktoś przybędzie na jego miejsce. Samantha bez trudu znalazła przychodnię, mieszczącą się w niskim wiejskim domu z drewnianych bali. Stała obok bardzo podobnego budynku, przed którym ustawiono tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ. Zapewne w nim mieszkał doktor, pomyślała Samantha. Przed przychodnią umieszczono tabliczkę informacyjną przewiazaną targań wiatrem czarną wstążką.

W małej poczekalni nie było nikogo, jedynie za kontuarem przysadzista kobieta w średnim wieku pracowicie zamiatała podłogę wielką miotłą. Włosy miała przewiazane chustką, rękawy podwinięte i nosiła ogromny fartuch. Wejście Samantha powitała życzliwym i zaciekawionym spojrzeniem, jakim zwykle patrzy się na obcych. Samantha się zawahała. To zapewne córka doktora Tolmana, pomyślała. Jak ma jej wytłumaczyć cel swojej wizyty?

– Dzień dobry pani. Jestem Samantha Gordon.

– Może dobry dla pani – odparła kobieta z szelmowskim błyskiem w oku. – Jestem Eleanor Brewster.

– Córka doktora Tolmana?

– Powołuję się na piątą poprawkę, chyba że dowiem się, kto i dlaczego pyta. Choć trochę skonfundowana, Samantha poczuła do kobiety sympatię.

– Mam powody przypuszczać, że pani ojciec był przy moich narodzinach. Doktor Tolman oddał mnie dobrym ludziom, którzy zostali moimi rodzicami.

Eleanor Brewster odstawiła miotłę i wytarła ręce w fartuch.

– Coś podobnego! Bardzo to z pani strony miłe, że przyszła mi pani o tym powiedzieć. Od pogrzebu ciągle otrzymuję takie wyrazy uznania dla pracy mojego taty. – Otworzyła bramkę prowadzącą za kontuar. – Niech pani wejdzie i usiądzie na chwilkę. Właśnie zaparzyłam kawę.

Filizankę kawy później, wyjaśnwszy powód swojej wizyty, Samantha dowiedziała się, że Eleanor Brewster nie może jej pomóc. Wychowała się w Oklahoma City i miała dwanaście lat, kiedy Samantha się urodziła. Ojciec wyjechał do Marietty sam w 1878 roku, żeby objąć opieką medyczną plemię Czikasawów. Eleanor Brewster nie pamiętała, żeby ojciec wspominał o jakimś niemowlęciu, któremu znalazł rodziców adopcyjnych.

– Ale nawet gdyby wspominał – ciągnęła – pewnie i tak bym nie pamiętała. Tato wciąż opowiadał o osieroconych i porzuconych dzieciach, którym znajdował dom.

Powiedziała, że dokumenty jego pacjentów ciągle są w jego gabinecie. Mogą je razem przejrzeć i kto wie, może coś znajdą.

Samantha sprawdziła godzinę na wpiętym w klapę zegarku. Musi wsiąść na prom do Gainesville odpowiednio wcześniej, żeby nie spóźnić się na pociąg. Nie spuszczać wzroku z zegarka, razem z Eleanor przejrzała dane dziewczynek urodzonych w marcu 1880 roku. Znalazły cztery, lecz Eleanor na temat każdej potrafiła coś powiedzieć. Jedna zmarła, trzy wciąż żyły i mieszkały w hrabstwie.

– O, to nazwisko poznaję – powiedziała, wskazując na podpis widniejący przy interesujących je datach urodzenia. – To Bridget Mahoney, pracowała dla taty jako akuszerka. Wszędzie z nim jeździła. Nie mógł się bez niej obejść. Jeśli tato był przy pani narodzinach, ona na pewno też.

Samancie szybciej zabiło serce, ale Eleanor posmutniała.

– Niestety, Bridget przeniosła się z mężem do San Francisco w czasie gorączki złota, jakoś tak w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

– Zna pani jej adres, żebym mogła do niej napisać? – zapytała Samantha.

– Obawiam się, że nie, ale proszę mi zostawić swój adres. Jak coś znajdę, napiszę do pani.

Samantha musiała się już zbierać. Pośpiesznie, ujęta życzliwością Eleanor, lecz przekonana, że nie na wiele się to zda, podała jej adres matki w Fort Worth. Kobiety uściśniły się i pożegnały.

– Skarbeczku – odezwała się Eleanor – coś ci poradzę. Jak ci dobrze tam, gdzie jesteś, nie szukaj zieleńszej trawy, bo jej nie znajdziesz.

– Ma pani rację – odparła Samantha.

Poczuła dziwny spokój i ulgę, jakby zamknęła książkę, której zakończenie w pełni ją usatysfakcjonowało. Zrobiła wszystko, co w jej mocy. Teraz może wracać do domu. Niczego więcej się już nie dowie.

– Neal, na miłość boską! Zedrzesz sobie zelówki, jak nie przestaniesz chodzić. Kręcisz się, odkąd tu jesteśmy – powiedziała Estelle, która rozsiadła się na ławce na stacji. – Zwykle to ja nie mogę usiedzieć na miejscu.

Neal nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w ciemność za stacją kolejową, z której miał wyłonić się pociąg nadjeżdżający z Gainesville. Powinien być lada chwila – i wreszcie! Twarz Samantha powie mu wszystko. Jak postawi stopę na schodkach i na jego widok wzrok jej się rozjaśni, Neal będzie wiedział, czy czeka go piekło, czy niebo. Zmagał się sam ze sobą, czy powinien przygotować Estelle na najgorszy dzień w jej życiu, ostatecznie jednak postanowił zaczekać. Miał zasadę, która przez całe życie dobrze mu służyła: nigdy nie wykładaj kart na stół, dopóki przeciwnik nie pokaże swoich. Czasem blef się udawał, tym razem jednak Neal wątpił, że mu się poszczęści.

Na stację z gwizdem wjechał buchający parą pociąg. Estelle stanęła obok męża i reszty oczekujących, zaglądając w okna wagonów. Neal poczuł, jak

z żołądka żółć podchodzi mu do gardła.

– Są! – krzyknęła Estelle, dostrzegając złote włosy Samantha częściowo ukryte pod rondem kapelusza. Samantha zobaczyła matkę i przez okno do niej pomachała, a Neal poczuł, jak serce w nim zamiera. Twarz córki powiedziała mu wszystko. Miała na niej wypisane rozpaczą, smutek i rozczarowanie. Zaczekał, aż Estelle wyściska córkę, która ponad ramieniem matki spojrzała na niego z prawdziwym niepokojem.

– Witaj, córeczko – powiedział cicho, z gardłem ściśniętym rozpaczą, kiedy przyszła jego kolej na powitanie.

Samantha odezwała się głosem ponurym jak żałobna pieśń.

– Przepraszam, tatusiu, ale gdy przyjechałyśmy, farma była już sprzedana.

Neal otworzył usta, choć nie dobyło się z nich żadne słowo.

– No, no, Nealu, nie denerwuj się – powiedziała Estelle, klepiąc go w ramię. – Przecież to nie wina Samantha, że ktoś inny kupił farmę.

– Sprzedawca nawet się nie pokazał – rzekła Samantha – ale sprawdziłam, że farma naprawdę została sprzedana. Rozmawiałam z parobkiem, który pracuje dla Barrowsów, i on to potwierdził.

Neal wpatrywał się w córkę oniemiały, nie dowierzając własnemu szczęściu.

– Nie poznałaś właścicieli? – wykrztusił wreszcie.

– Nie mieli dość przyzwoitości, żeby się z nami spotkać – wtrąciła Mildred obojętnie.

– Przepraszam, tatusiu – powtórzyła Samantha. – Widzę, jaki jesteś rozczarowany.

– Nawet nie masz pojęcia – powiedział Neal zduszonym głosem i mocno ją objął.

Nathan

Rozdział 27

W swoim biurze Trevor Waverling patrzył na ogłoszenie sprzed tygodnia zamieszczone w „Dallas Herald”. Dobry Boże, to przecież niemożliwe. Wystawiona na sprzedaż farma należała do Barrowsów, sprzedawcą zaś była Millicent.

– Jakie jest twoje największe marzenie? – zapytał Trevor Nathana podczas jednej ze wspólnych podróży do zakładów, kiedy poznawali się nawzajem. Jego syn odparł bez wahania:

– Kupić któregoś dnia farmę mojej matki.

Trevor podniósł wzrok znad gazety. Co za podła kobieta! Czym jeszcze mogła złamać serce swojego syna?

Obrócił się wraz z krzesłem ku oknu, skąd widział swój odcinek rzeki Trinity, która odbijała kwietniowe słońce. Gazeta była z drugiego kwietnia – następnego dnia po *prima aprilis*. Ale to nie miał być żart, choć Trevor wolałby, żeby było inaczej. Czy powinien pokazać to chłopcu? Co tydzień, żeby mieć rozeznanie w sytuacji, Trevor przeglądał ogłoszenia umieszczane przez ludzi, którzy chcieli, żeby na ich ziemi poszukiwać ropy. Gromadził dane, notował wszystkie szczegóły, sprawdzał, które działki zniknęły po kilku tygodniach, a które wciąż widniały w sekcji *Na sprzedaż*. Dzięki temu wiedział, gdzie poszukiwania ropy były najbardziej intensywne. Ogłoszenia umieszczali głównie farmerzy z Terytorium Oklahomy liczący na szybki zysk, ponieważ tam właśnie trwał boom na ropę, teraz jednak poszukiwacze interesowali się ziemią w hrabstwach Montague i Gainesville. Czy farma Barrowsów została już wydzierżawiona, by można było szukać na niej ropy i gazu? Co bardziej zainteresowałoby Millicent? Na pewno, sprzedając swoją ziemię jako farmę, dostałaby jednorazowo więcej pieniędzy, ale mogła też ją dzierżawić za mniej, za to z nadzieją na większy zysk, gdyby się okazało, że ziemia jest roponośna. Trevor zakładał, że będzie wolała wróbla w garści.

Oby Millicent Holloway smażyła się w piekle za to wszystko, co uczyniła Nathanowi. Chłopak powiedział mu o planach matki, która za pieniądze ze sprzedaży farmy chciała zapewnić młodszemu synowi lepszy start w życie, córkę zaś wprowadzić do towarzystwa. Do towarzystwa? W Gainesville w Teksasie? Na litość boską! Nathan nie wiedział, że wystawiła farmę na sprzedaż w tej samej chwili, kiedy on wyszedł za próg. Cóż, matka traci, ojciec zyskuje.

Trevor obrócił się z powrotem do biurka, rozmyślając o wyjątkowym chłopcu, który wraz ze swoim psem bez zamieszania wślizgnął się do jego życia. Nathan nigdy nie robił wokół siebie hałasu. Czasem trudno było zauważyć jego obecność, kiedy jednak zniknął, od razu odczuwało się jego brak. Raz na kilka dni

jeździł na farmę i pustka po nim wręcz krzyczała. Najbardziej cierpiała Rebecca. „Humpty Dumpty z wysoka spadł. I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie” – recytowała bez końca, rozpaczliwie biegając po całym domu z rączkami przyciśniętymi do głowy. Trevor próbował ją uspokajać. „Już dobrze, skarbie – powtarzał setki razy. – Nathan wróci”. Ale ona tylko zawodziła dalej. „Humpty Dumpty z wysoka spadł. I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożyć do kupy nie byli go w stanie...” Wierszyk kołatał się w głowie Trevora przez cały czas, kiedy chłopca nie było, a serce ścisnęło mu się na widok rozpaczliwej córki. Dla niej ojciec był królem, wierzyła, że jest wszechpotężny. Co się stanie z Rebeccą, kiedy Nathan postanowi zostać na farmie, a król nie będzie w stanie złożyć Humpty Dumpty’ego do kupy?

Trevor powinien odczuwać zazdrość, widząc, jak jego matka coraz bardziej przywiązuje się do Nathana, jednak tak nie było. Przeciwnie, nie posiadał się z radości. Wszystko układało się lepiej, niż przypuszczał. Ona miała swojego wnuka – dziedzica, a on budował z synem relacje. Trevor Waverling już nie musiał udowadniać matce, że nie ponosi winy za śmierć brata. Mavis Waverling na pewno nie sprzeda teraz firmy. Poza tym dobrze było widzieć, jak na jej starej, pięknej twarzy wieczorami maluje się spokój i zadowolenie. Zanim zjawił się Nathan, rzadko widywał uśmiech matki, a śmiechu nie słyszał od lat.

Zanim zjawił się Nathan... W ten właśnie sposób Trevor myślał o życiu swojej rodziny. Zanim zjawił się Nathan, prawie co wieczór bywał na proszonych kolacjach, chodził na treningi albo do klubu, jednak teraz wracał z chłopcem do domu, żeby pokazać matce, że się stara. Po kolacji całą rodziną – on, matka, jego syn i córka oraz pies – zasiadali w salonie. Trzeba było zatrudnić drugą pokojówkę do pomocy Lenorze, której przybyła gęba do wyżywienia – a w zasadzie dwie, licząc owczarka – więc i Lenora była szczęśliwsza.

Nathan okazał się nad wyraz bystry i szybko się uczył. Trevor oddał go pod skrzydła Jamiego Fostera, majstra, który podlegał mu bezpośrednio.

– Ten pana chłopak, niczego mu nie trza dwa razy gadać.

Takie słowa z ust mrukliwego Jamiego były aż nadto wymowne i znaczyły, że majster zaakceptował chłopaka. Na razie trzeba było Nathana przydzielić do jakiejś pracy. Na początku musiał poznać fabrykę, całą jej infrastrukturę i produkcję, ale także jej biznesową stronę. Szlifierki, wiertła, maszyny do cięcia metalu i inne urządzenia różniły się ogromnie od wszystkiego, z czym Nathan miał do czynienia na farmie, poza tym zaczynał się przekonywać, że księgowość firmy to coś zupełnie innego od zwykłej księgi przychodów i rozchodów.

By wyjaśnić niespodziewane pojawienie się Nathana ludziom, którym go przedstawiał, Trevor klepał syna po ramieniu i wspomagał się przypowieścią o synu marnotrawnym.

– To mój syn, który zaginął, a odnalazł się – powiadał tylko.

Brwi się unosiły, spojrzenia krzyżowały, lecz przyjaciele, koledzy i pracownicy Trevora znali jego słabość do kobiet i uważali Nathana za „wypadek przy pracy”. No ale tak przecież było. Wszyscy ściskali mu rękę i życzliwie witali, choć co poniektórzy nie mogli sobie darować wymownych mrugnięć do Trevora za plecami chłopaka, inni zaś traktowali go z uprzedzającą grzecznością, jak kogoś bez końca, gdy się udaje, że się tego nie widzi.

Po tygodniu Trevor zdecydował, jaka praca będzie dla Nathana najlepsza. Zdobędzie szlify, pracując w fabryce w pełnym wymiarze godzin. Siedząc za biurkiem, o wiele trudniej byłoby mu nauczyć się wszystkiego o Waverling Tools. Chłopak był stworzony do pracy na wolnym powietrzu. Trevor mianuje go przedstawicielem firmy załatwiającym umowy dzierżawy, kiedy nadejdzie chwila, gdy będą wiercić własne szyby. Takich ludzi nazywano „landmanami”. Do tej pory nikt nie wymyślił dla nich innej nazwy. Profesja była tak samo nowa jak przemysł naftowy i poza doświadczeniem nie wymagała żadnego specjalnego wykształcenia, lecz żeby to doświadczenie zdobyć, potrzeba było czasu. Wyszukiwaniem miejsc potencjalnie ropo- i gazonośnych zajmowali się geolodzy, ale to landman negocjował warunki dzierżawy z właścicielem ziemi. Musiał wiedzieć, jak postępować z ludźmi, posiadać umiejętność rozumienia i spisywania umów, a także przeszukiwania publicznych i prywatnych rejestrów, żeby określić tytuł i status własności. Tego Nathan nauczy się bez trudu, a Trevor nie wątpił, że jego syn potrafi się z ludźmi dogadać. Robił to, zwyczajnie będąc sobą.

Pogrążony w rozmyślaniach Trevor odchylił się na krzesło. Czy powinien powiedzieć Nathanowi o ogłoszeniu? Czy lepiej, żeby poznał prawdę teraz, czy później? Nowina, wraz z resztą grzechów jego matki, zrani go jeszcze bardziej, choć ani o tym nie wspomni, ani niczego po sobie nie pokaże. Inni może by się wściekli, zaczęli matkę przeklinać, ale nie Nathan. Bez względu na wszystko Millicent wydała go na świat. Gniew na nią nigdy nie weźmie góry nad szacunkiem, jakim ją darzył.

Trevor uznał, że powinien to zrobić teraz, nie zwlekać. Obiecał Nathanowi, że zawsze będzie przy nim wykladał wszystkie karty na stół. „Raz mnie okłamiesz albo coś przede mną ukryjesz i odchodzę – oznajmił Nathan. – Pojedziemy z Zakiem do Kalifornii”.

Wtedy groźba zrobiła na Trevorze takie samo wrażenie, jakby ktoś trafił go papierową kulką w pierś, jednak ostatnich trzynaście dni wszystko zmieniło, a myśl o odejściu syna bolała jak cios pięścią w splot słoneczny. Trevor pociągnął za sznurek dzwonka wiszącego w pokoju sekretarki.

– Jeanne – powiedział, kiedy się zjawiała – znajdź Nathana i przyślij go do mnie. Rano wyszedł przede mną, więc musi być na terenie fabryki.

– Tak, proszę pana, jest tutaj. Widziałam, jak z Jamiem sprawdzali list przewozowy transportu do Anglii.

Trevor uniósł brwi. Jeanne osobiście zaniósła majstrowi list przewozowy, chociaż normalnie oczekiwałyby, że Jamie sam po niego przyjdzie. Zawsze z dumą twierdziła, że na posyłki biega wyłącznie dla swojego szefa. Trevor wiedział, co się kryje za tą niespodziewaną inicjatywą. Jego sekretarka, młoda i samotna, zagięła parol na Nathana, ale nic z tego. W kwestiach sercowych babka miała własne plany wobec wnuka. Kiedy Jeanne wyszła, do gabinetu zajrzała Agatha Beardsley, wieloletnia recepcjonistka, której też Nathan nie był obojętny.

– Dwóch dżentelmenów do pana, panie Waverling.

– Kto?

– Geolog Todd Baker i – panna Beardsley zerknęła do notesu – niejaki Daniel Lane. Mówi, że jest rzemieślnikiem, obecnie pracującym u kowala w Fort Worth. Przyszedł w związku z naszym ogłoszeniem o pracy.

– Podaj im kawę i powiedz, żeby poczekać. Najpierw muszę porozmawiać z Nathanem.

Nathan zjawił się pięć minut później i patrząc na niego, Trevor pomyślał, że nigdy nie zdarzyło mu się widzieć nikogo z jego klasy społecznej, kto tak niezgrabnie wyglądałby w eleganckim ubraniu, a jednocześnie tak dobrze czuł się we własnej skórze. To go upewniło, że miejsce syna jest nie za biurkiem, a w terenie.

– Chciałeś mnie widzieć? – zapytał Nathan.

Kiedy jakiś czas temu Trevor poprosił, żeby syn nie nazywał go panem Waverlingiem, chłopak zaczął używać bardziej bezpośrednich form, choć nie odzywał się do niego jak do ojca. Trevor uznał, że o tym, jak Nathan będzie się do niego zwracać, zdecyduje czas.

– Powinieneś to zobaczyć. – Podsunął mu stronę z ogłoszeniami w „Dallas Herald”, palcem pokazując właściwe. – Czy chodzi o tę farmę?

Nathan przeczytał ogłoszenie w milczeniu. Mocno zacisnął szczęki.

– Nie marnowała czasu – odezwał się w końcu.

– Przykro mi, Nathanie.

– Mnie też. Coś jeszcze?

Trevor chciał coś dodać, wyrazić współczucie, jednak Nathan mu na to nie pozwolił. Jego skrytość stanowiła mur nie do przebicia. Jakiegokolwiek słowa byłyby natręctwem. Trevor poczuł się urażony, po chwili jednak zrozumiał, że to frustracja ojca, który nie potrafi pomóc synowi.

– Owszem – rzekł. – Zajdź do recepcji i przyslij do mnie Todda, dobrze?

– Oczywiście.

Trevor obrócił się do okna, nieco zawiedziony, ale też podniesiony na duchu. Kolejny gwóźdź do trumny Millicent. Kolejna droga do Gainesville w Teksasie została odcięta. To dobrze.

Rozdział 28

– Dobry piesek, Zak! Dobry piesek! – pokrzykiwał śpiewnie Benjy, gdy owczarek w podskokach biegł ku niemu, trzymając w pysku patyk, który przed chwilą Irlandczyk mu rzucił.

Było południe, pora zabawy Zaka. Robotnicy wyciągali z blaszanych pudełek lunch, żeby go zjeść w cieniu drzew i przyglądać się psu szalejącemu w słońcu chłodnego kwietniowego dnia. Nathan siedział razem z nimi. Lenora nigdy nie wypuszczała go z domu bez porządnego posiłku w blaszanym pudełku. Nie jadł swoich okazałych kanapek tylko wtedy, kiedy Trevor zapraszał go na biznesowy lunch. Ale nawet wówczas grube pajdy chleba się nie marnowały. Benjy zjadał je razem ze swoją porcją, którą przygotowywał sobie w kuchni mieszkanca nad wozownią Waverlingów. Nathan nie znał nikogo, kto tak jak Benjy uwielbiałby jeść. Kalorie omijały jego chude kończyny, zmierzając wprost do opasłego brzuszyska przypominającego idealnie okrągłą piłkę wciśniętą pod kamizelkę. Jego niespotykane uwielbienie dla jedzenia – Benjy sam nazywał to obżarstwem – brało się z opowieści o ziemniaczanym głodzie w Irlandii, o którym słyszał od rodziny.

– Wielka jest potęga wyobraźni, mój chłopcze – wyjaśnił Nathanowi. – Mam przed oczami te biedne, konające z głodu duszyczki i czuję, że muszę się najeść za nie.

Zmęczeni zabawą, pies i Irlandczyk padli obok Nathana na koc, który rozłożył na świeżej trawie. Zak uwielbiał, kiedy mógł się dodatkowo wyżyć, co zdarzało się trzy razy w tygodniu, gdy on, Nathan i Trevor jechali powozem do pracy i pies mógł spędzić ze swoim panem cały dzień w fabryce i w biurze. W pozostałe dni owczarek zostawał w domu i wychodził tylko na nieduże ogrodzone podwórko z tyłu rezydencji. W te dni, ponieważ Trevor korzystał z powozu poza godzinami pracy, Nathan jeździł do fabryki konno.

Po przyjeździe do miasta zastanawiał się, w jaki sposób będzie się przemieszczał. Czy codziennie będzie jeździł z ojcem powozem? Uważał, że byłoby to dla nich obu zbyt krępujące. Najwyraźniej Trevor podzielał jego zdanie i kiedy Nathan wrócił z farmy, następnego dnia zabrał go na aukcję koni. „Wybierz sobie któregoś, a ja będę licytował – powiedział do syna. – Na czas twojego pobytu potrzebujesz wierzchowca”.

Na czas twojego pobytu... Czy to znaczyło, że jest na okresie próbnym? Cóż, podobnie jak Trevor Waverling, jeśli już o to chodzi – doszedł do wniosku Nathan. Nie dotyczyło to w żadnym stopniu siostry ani babki. Z każdym dniem coraz bardziej je lubił. Gdyby musiał odejść, bardzo by mu ich brakowało, tak samo jak brakowało mu rodziny w Gainesville, na razie jednak nie czuł, że musi

zarzucić plecak na ramię i razem z Zakiem ruszyć do Kalifornii. Martwiło go jedynie, że pies pozostaje w zamknięciu, choć Rebecca z zachwytem poświęcała mu mnóstwo uwagi, również Scat zdawał się go tolerować, acz traktował go nieco podejrzliwie. Nikomu, nawet Lenorze, nie przeszkadzały psie kłaki, co Nathan przyjął z ulgą. Jego matka uskarżała się na nie bezustannie. Nathan nie przejmował się też, że na skórzanych siedzeniach powozu zostaną długie psie włosy i przykleją się do ciemnych garniturów ojca, ponieważ nauczył psa, że może siedzieć tylko w jednym kącie, a Benjy pilnował, żeby zawsze dokładnie po nim posprzątać. „Bystry ten twój kundel, Nathanie” – powiedział Trevor, widząc u Zaka dość zdrowego rozsądku, żeby się nie otrzępywać w powozie.

Kiedy Nathan poznał tygodniowy rozkład zajęć ojca (na przykład w każdą środę po pracy jeździł na salę gimnastyczną), zrozumiał, że Trevor kupił mu konia nie dlatego, że nie chciał jeździć z nim w powozie, lecz by syn mógł mieć swobodę poruszania się. Starał się wręcz tak planować spotkania i zajęcia, żeby jak najczęściej mogli ze sobą przebywać i rozmawiać o interesach.

Nathan musiał przyznać, że w ciągu trzech tygodni spędzonych pod dachem ojca – czy raczej pod dachem babki – w zasadzie podobało mu się w tym nowym życiu wszystko poza tym, że miał wrodzoną skłonność do nieobdarzania nikogo większym zaufaniem. Szczególnie cieszyła go coraz większa przyjaźń, jaka zaczynała go łączyć z Benjym, w którego mieszkanku nad wozownią mogli wspólnie spędzać czas.

– Jak poznaliście się z moim ojcem? – zapytał Irlandczyka któregoś dnia.

– No, chłopaku, to jest dopiero historia.

– Chętnie ją usłyszę – rzekł Nathan.

To było dwunastego sierpnia 1890 roku, zaczął Benjy. On, imigrant, wskoczył do pociągu z Nowego Jorku do Teksasu, ale bez biletu. Nowy Jork był brudnym, zatłoczonym, zanieczyszczonym i nieżyczliwym dla irlandzkich katolików miastem. On chciał mieszkać tam, gdzie jest przestrzeń i czyste powietrze i gdzie będzie mógł zacząć nowe życie, nie narażając się na pogardliwe spojrzenia innych, a słyszał, że tak właśnie jest w Teksasie. Nie wiedział, do jakiego miasta jedzie pociąg. Wiedział tylko, że kiedy znajdzie się w Teksasie, wyskoczy w miejscu, w którym uzna, że ma szansę znaleźć pracę. Okazało się ono być trzydzieści metrów od wejścia do zakładów Waverling Tools, czego jednak nie zdążył zauważyć, ponieważ dopadło go dwóch kolejowych gliniarzy, dwa razy od niego większych i uzbrojonych w pałki. Nie zamierzał się poddać, chciał walczyć, ale szansę miał raczej nikłą i zrozumiał, że jeśli nie przestaną go tłuc, ani się obejrzy, jak spotka się z mamą i tatkiem w zaświatach. I wtedy nagle dranie go puściły, a on przez krew, smarki i łzy patrzył na twarz Trevora Waverlinga. Mężczyzna podał mu rękę. „Pomóc ci?”, zapytał i dźwignął go na nogi.

– Ledwie mogłem ustać, we łbie mi dzwoniło i przez chwilę se myślałem, że

umarłem i trafiłem gdzieś, gdzie mężczyźni są gładko ogoleni i elegancko ubrani, tak jak pan Waverling – opowiadał Benjy Nathanowi. – Ale nie, on był najprawdziwszy, ja żywy, a gliny bez przytomności. „Lepiej chodźmy stąd, zanim oprzytomnieją”, mówi do mnie, ja zaś się rozglądam, gdzie by tu się schować. I wtedy pan Waverling powiedział mi, że bym za nim poszedł, i tak już zostało: idę wszędzie tam, gdzie on.

– Niezła historyjka – stwierdził Nathan. – Gliniarze pewnie zakosztowali jego bokerskich pięści.

– Ano. Facet umie się bić. Powinieneś go zobaczyć na ringu.

– Dalej walczy?

– Już nie w zawodach, ale to nie znaczy, że zapomniał, jak to się robi. Zawdzięczam mu życie, wszystko, dom... rodzinę, Nathanie. Nie ma rzeczy, której bym nie zrobił dla twojego tatki, jego mamuśki i tej małej ptaszyny. Nie wątp w to ani przez jedną chwilkę.

Nathan nie wątpił. Benjy był bezwzględnie lojalny wobec Trevora Waverlinga. Dzięki niemu chłopak poznał jedno oblicze ojca, wątpliwe jednak było, żeby Irlandczyk udzielił mu odpowiedzi, którą najbardziej chciał poznać. Czy Benjy wiedział, jak, gdzie i dlaczego umarł Jordan Waverling, i czy wierzył, że ojciec przyłożył rękę do jego śmierci?

Nathan ugryzł swoją kanapkę i jak zwykle z rozbawieniem przyglądał się, jak Benjy starannie zdejmuje szynkę z dwóch kromek chleba i kładzie ją na folii aluminiowej, w którą miał zapakowaną kanapkę, potem rządkiem układa chleb, sałatę, ser i korniszony. Obok, równie starannie, położył jajko na twardo, jabłko i ciastko.

– Nie, stary, to nie dla ciebie – powiedział woźnica do Zaka, którego węszący nos niebezpiecznie zbliżył się do eleganckiej wystawy. – No, nie przeszkadzaj. – Odepchnął psa i zaczął jeść, najpierw szynkę i sałatę, potem chleb, następnie korniszony i jajko, po którym przyszła kolej na jabłko i ser, i wreszcie ciastko dla ukoronowania całej tej uczty. – Kanapki starczą na dłużej, jeśli się je rozłoży i zje wszystko jak osobne dania – stwierdził Benjy. – Starczą na dłużej, niż gdyby się je zjadało w całości.

– Pod warunkiem, że twój żołądek jest wystarczająco cierpliwy – dodał Nathan.

Wysoki, dobrze umięśniony i niesamowicie przystojny mężczyzna zbliżył się, niosąc swoje pudełko z lunchem. Nathan rozpoznał w nim kowala zatrudnionego ostatnio przez ojca. Zazwyczaj zjadał swoją kanapkę, nie odchodząc od stołu kreślarskiego. Niewiele było na jego temat wiadomo poza tym, że był kawalerem i prawdziwym mistrzem kowalstwa. O ile Nathan zdołał się zorientować, mężczyzna był skryty i nie szukał towarzystwa, ku rozpaczy sekretarki, pod warunkiem że akurat nie flirtowała z synem szefa.

– Mogę się przysiąc? – zapytał nowo przybyły.

– Oczywiście – odparł Nathan i przesunął się, robiąc mężczyźnie miejsce w cieniu dębu. Wyciągnął rękę. – Już się spotkaliśmy, Danielu, ale gdybyś nie pamiętał, jestem Nathan Holloway.

– Ależ pamiętam. – Mężczyzna odwzajemnił uścisk. – Holloway? Wydawało mi się, że jesteś synem szefa.

– Jestem. Ale nazwisko noszę po ojczymie.

Daniel Lane kiwnął głową.

– Ze mną było tak samo, ale niezbyt lubiłem tamto nazwisko. Pozbyłem się go równie szybko, jak ojczyma. Teraz noszę nazwisko po matce, chociaż to też żaden powód do dumy.

– Znasz Benjy’ego? – zapytał Nathan.

Mężczyzna był niezwykle przystojny, ale miał w sobie jakąś przepelnioną goryczą szorstkość. Nathan oceniał go na dwadzieścia kilka, góra trzydzieści lat.

– Woźnica szefa. – Daniel określił miejsce Benjy’ego w hierarchii. – Nie miałem przyjemności. Miło mi.

– I nawzajem – powiedział Benjy. – Skąd pana przywiało?

– Zewsząd, ale ostatnio z Fort Worth. Pracowałem tam jako pomocnik kowala, ale rzuciłem to. Atmosfera nieco się... zagęściła.

Nathan ugryzł jabłko.

– A jak oceniasz tutejszą atmosferę?

– Bardziej mi odpowiada. Miło, jak człowieka doceniają i płacą mu jak należy, o szacunku nie wspominając.

– Wygląda na to, że masz pan z kimś na pieńku, proszę o wybaczenie – rzekł Benjy.

Ściągnięte ponuro kąciki ust Daniela uniosły się w uśmiechu.

– Można i tak powiedzieć. Potrzebuję czasu i odrobiny szczęścia, żeby odzyskać, co moje.

– A to „moje” to co, jeśli wolno spytać? – zainteresował się Nathan.

– Wolno, w końcu sam zacząłem – odparł Daniel. – Kobieta. To „moje” to kobieta, którą mi odebrano, ponieważ jej brat uważał, że nie jestem dość dobry, żeby przebywać w jej towarzystwie. Postaram się, żeby zmienił w tym temacie zdanie.

– Cóż, w takim razie powodzenia – powiedział Nathan, pakując swoją folię i ogryzek. – Mam nadzieję, że ona zaczeka, aż ci się to uda.

– Och, zaczeka, jak najbardziej – rzekł Daniel.

– Skąd ta pewność? – zapytał Benjy.

– Bo nikt inny jej nie zechce – odparł Daniel. – No, ale już dzwonią. Wracam do roboty. Pracuję nad pewnym projektem i mam nadzieję zrobić na szefie wrażenie. Miło było poznać, panowie. Do zobaczenia.

Kiedy Daniel odszedł, Benjy odezwał się w zadumie:

– Jak na kogoś, kto się podobno do nikogo nie odzywa, według mnie gość za dużo gada.

Rozdział 29

Po dwóch tygodniach ogłoszenie o sprzedaży farmy w okolicach Gainesville przestało się ukazywać w „Dallas Herald”. Ostatniego dnia kwietnia Nathan dostał list od Leona, w którym ojczym pisał mu, że Millicent wystawiła farmę na sprzedaż tuż po jego wyjeździe i niemal natychmiast znalazł się kupiec. W maju zaczną przeprowadzać się do Gainesville i w czerwcu, kiedy Randolph skończy szkołę, będą już tam mieszkać. Leon wiedział, że te wieści złamią Nathanowi serce, tak samo jak złamały jemu. Nie miał pojęcia, jak sobie poradzi w roli mieszcza, który nie ma nic do roboty. Nowy właściciel przejmie farmę pod koniec czerwca, jednak nie będzie na niej wyłącznie uprawiał pszenicy, o czym ich poinformował, dopiero kiedy Millicent podpisała umowę.

Tu musiał na chwilę przerwać, pisał Leon, żeby oddać żonie sprawiedliwość. Wcześniej zgłosił się landman, który chciał wydzierżawić kilka akrów, gdzie zamierzał prowadzić wiercenia w poszukiwaniu ropy. Dzięki Bogu, Millicent się nie zgodziła. Nie chciała pozwolić, żeby jej ziemia została zniszczona jak inne pola uprawne na Terytorium Oklahomy dzierżawione przez kompanie naftowe. Była to winna swoim rodzicom, mężowi i Nathanowi. Tak, Nathanie, ciągnął Leon, o tobie także wspomniała. Ale zjawił się pan Burton (nowy właściciel) i zaproponował podwójną cenę, jeżeli Millicent zgodzi się na odstąpienie od praw do złóż mineralnych. Leon błagał, żeby je zatrzymała, lecz cena była zbyt kusząca, a matka chciała sprzedać farmę jak najszybciej, zwłaszcza gdy mężczyzna przekonał ją, że jest i będzie przede wszystkim farmerem. Dopiero po podpisaniu dokumentów okazało się, że reprezentuje Standard Oil Company Johna D. Rockefellera. Zgodnie z umową, pisał dalej Leon, Hollowayowie zostaną na farmie do ostatniego dnia czerwca, żeby dokończyć żniwa i sprzedać sprzęt. Millicent tymczasem kupiła już dom w Gainesville, duży, dwupiętrowy, z kolumnami, który od zawsze jej się podobał. Leon nie miał wątpliwości, że decyzję o sprzedaży farmy podjęła, kiedy właściciel domu – znany prawnik – zmarł i posesja została wystawiona na sprzedaż. Niech Nathan nie martwi się o Daisy. Znajdzie dobry dom u sąsiada, który zgodził się ją kupić. Czy Nathan przyjedzie na zakończenie szkoły Randolpha pod koniec czerwca? Randolph, jako najlepszy uczeń w swojej klasie, miał wygłosić mowę.

Nathan siedział na bujaku na werandzie domu babki. Powoli złożył list i z całej siły zacisnął powieki, żeby zapanować nad ogarniającym go smutkiem. Ostatnio razem z Trevorem pojechali sprawdzić wiercenia na farmie bawełny niedaleko Nacogdoches we wschodnim Teksasie. Niezależny poszukiwacz ropy kupił sprzęt wiertniczy od Waverling Tools. Nathan i Trevor nadjechali akurat w momencie, kiedy rozległ się potężny huk, a mężczyźni w pośpiechu się

rozpierzchli, byle znaleźć się jak najdalej od ażurowej wieży wiertniczej. Po chwili ziemia zadrżała od gigantycznej eksplozji, a oni, wytrzeszczając oczy i zasłaniając uszy przed ogłuszającym hukiem, z grozą patrzyli, jak ze szczytu wieży strzela w niebo trzydziestometrowy słup czarnej jak smoła mazi i opryskuje wszystko dokoła. Ludzie, którzy cudem uszli z życiem przed wybuchem, teraz tańczyli, darli się i gratulowali sobie nawzajem, że trafili na złożę. Trevor patrzył, jak marnują się hektolitry tryskającej ropy. „Zanim wszedłem w ten biznes – powiedział – opracowałem zaślepkę, żeby nie dopuścić to takich wybuchów. Szkoda tracić tyle ropy, zanim się zatka otwór”.

Nathan nie brał udziału w powszechnej radości. Rozejrzał się po polu, na którym w równych rzędach rosły krzaczki zdrowej, bujnej bawełny, teraz zalewane setkami baryłek ropy, i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Mężczyźni tańczyli w strugach „czarnego złota”, a jemu serce pękało z żalu na myśl, że ciężką pracę farmera zniszczą drogi, zwierzęta pociągowe i koła wozów, ziemię zatruje ropa przesiąkająca ze zbiorników, płuczka wiertnicza i porzucony, rdzewiejący sprzęt, powietrze przesiąkną wycieki ze stalowych rur odprowadzających cuchnący gaz. Skutki uboczne produkcji ropy.

To samo czuł w tej chwili, kiedy wyobraził sobie złociste pola farmy Barrowsów marniejące pod powodzią czarnej ropy, co tamtego dnia ujrzał na własne oczy, i nie mógł znieść myśli o zatrutym podziemnym źródle, zabitych zwierzętach, roślinach i lasach, kiedy szyb stanie nagle w płomieniach. Działka wiertnicza zajmowała dwa akry. Nawet jeżeli nie znajdzie się na niej ropa, te dwa akry zostaną bezpowrotnie zniszczone na jedno, może dwa pokolenia.

Na ulicy pojawiła się dwukółka jego babki. Mavis i jej wnuczka wybrały się na przyjęcie urodzinowe jednej z koleżanek Rebekki, jeśli w ogóle można było powiedzieć, że dziewczynka ma koleżanki. Radośnie pomachały do Nathana zajmującego swoje ulubione miejsce, w którym w sobotnie popołudnia czytał, ze Scatem i Zakiem u stóp. Trevor był na sali gimnastycznej. Nathan mieszkał tu już od miesiąca, ale ojciec ani razu nie zaproponował mu, żeby wybrał się z nim na jeden z bokserskich treningów w środę albo sobotę. W otwartym powozie babka i Rebecca, ubrane w stroje wyjściowe, wyglądały jak ogrodowe kwiaty. Mavis była jak róża w blad różowej sukni, Rebecca w biało-żółtej sukience i z długimi, chudymi ramionkami, którymi bez przerwy wymachiwała, przypominała ismenę.

Benjy skręcił na podjazd i „dziewczęta”, jak je nazywał Trevor, dołączyły do Nathana na werandzie. Woźnica odjechał, żeby odstawić powóz i zjeść podwieczorek w kuchni z Lenorą.

– Ach, Nathanie, widzę, że dostałeś list z domu – powiedziała Mavis, stukając laską w zaokrąglone kamienne stopnie. Fruwające warstwy sukni z cienkiego jedwabiu sprawiały, że zdawała się delikatna i krucha jak chińska porcelana.

– Pokaż mi! Pokaż! – zaszczębiotała Rebecca, podskakując.

– Nie, kochanie. Ten list należy do Nathana – rzekła Mavis. – Usiądź, proszę, na huśtawce.

– Nie! Nie! Ja chcę zobaczyć list! – krzyknęła Rebecca.

– Zak – rozkazał cicho Nathan, a pies wstał i podszedł, żeby trącić nosem dłoń Rebekki.

Dziewczynka z miejsca skupiła uwagę na nim.

– Zak... – powiedziała pieszczotliwie, gładząc owczarka po łbie. Posłusznie usiadła na huśtawce, Zak przysiadł przed nią i wsparł mordę na jej kolanach.

– Niesamowite – zdziwiła się Mavis. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Bóg nam zesłał ciebie i Zaka. Jak amen w pacierzu. Mam nadzieję, że list cię nie zasmucił.

Babka była obdarzona niezwykłą intuicją. Rodzeństwo Nathana wiecznie utyskiwało, że nigdy nie zdradza swoich uczuć. „Niewzruszony”, mówił o nim Randolph. „Gdybyś był Indianinem, nazywałbyś się Kamienna Twarz”, powiedział mu kiedyś. Jak Mavis wyczuła jego smutek i skąd wiedziała, że list był od kogoś z rodziny? No, ale z drugiej strony kto mógłby do niego napisać? Nathan nie wiedział, ile Trevor powiedział swojej matce o Millicent Holloway. Wątpliwe, żeby wspomniał, że według Millicent Nathan był dzieckiem zrodzonym z gwałtu. Takiej karty żaden mężczyzna nie wyłożyłby przed matką na stół, tym bardziej w sytuacji, gdy już miała o nim jak najgorsze zdanie.

– Moja matka sprzedała farmę producentowi ropy – rzekł Nathan. – Ona i ojczym przeprowadzają się do miasta.

– I to cię smuci?

– Tak, i to bardzo. Wiercenia zniszczą ziemię na całe lata, nawet jeżeli tam nie ma ropy.

– Miałaś nadzieję, że któregoś dnia kupisz farmę?

– Powiedział ci o tym twój syn? – zapytał zdumiony Nathan.

– Powiedział mi o tobie prawie wszystko. Nalegałam.

Ze spojrzenia babki wywnioskował, że Trevor nie zdradził jej, że Millicent oskarżała go o gwałt. Jak dotąd Mavis raczyła Nathana opowieściami o dziadku i początkach życia w Dallas, dużo wspominała też o swoim drugim synu, Jordanie Waverlingu, nigdy jednak nie opowiedziała mu historii, jak obiecywała – a może groziła – że uczyni podczas kolejnej „chwili prywatności”. „Do dzisiaj jego śmierć jest owiana tajemnicą”. Nathan pamiętał te słowa, ale teraz doszedł do wniosku, że może Mavis zmieniła zdanie co do „chwili prywatności”, ponieważ nie chciała, żeby wnuk źle myślał o swoim ojcu. Odkąd z nimi zamieszkał, zauważył, że babka odnosi się do Trevora z większą życzliwością. Jediną wadą Jordana, o której powiedziała Nathanowi, były jego zmienne nastroje. Być może po nim Rebecca odziedziczyła swoje niezrównoważone zachowanie, ale jak dodała Mavis, jej drugi

syn nigdy nie przejawiał agresji podczas swoich gorszych chwil. Nie, nerwowe załamania Jordana przybierały raczej formę depresji. Ukojenie przynosiła mu woda. „Cóż za ironia, że tam, gdzie odnajdywał spokój, stracił życie”. To były jej jedyne słowa na temat śmierci syna.

Nagle Rebecca wstała.

– „W morze mi nadszedł czas powrócić, w samotność nieba i wody głębinę. Dajcie mi jeno żaglowiec rączy, który za gwiazdą wnet podąży”³ – wyrecytowała.

Mavis pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– To jeden z jej ulubionych wierszy. Jordan uwielbiał poezję Johna Masefielda. Rebecca chce powiedzieć, że ma ochotę iść nad rzekę. Pewnie dlatego, że przywołuje dobre wspomnienia o wuju. Byli sobie bardzo bliscy. Pływali i łowili ryby na przystani, a potem recytowali poezję. Ponieważ Jordan tak ją kochał, Rebecca także ją pokochała. Nathanie, może byś się z nią wybrał nad wodę? Nigdy nie pozwalamy jej chodzić tam samej.

Nathana przeszył złowieszczy dreszcz. Zupełnie jakby Rebecca czytała mu w myślach.

– Zak i ja będziemy zaszczytzeni – powiedział.

Wsunął złożony list do książki, którą właśnie czytał, i wziął Rebeccę za rękę.

– Tylko nie bądźcie za długo – rzekła Mavis. – Wróćcie na podwieczorek, zanim Trevor zjawi się w domu. Ty i ja rzadko mamy okazję porozmawiać sam na sam. A ty, Rebecco, nie pobrudź sobie sukienki.

Schodząc ze schodów, Nathan zastanawiał się nad zadziwiającą spostrzegawczością swoich nieznanych mu dotąd krewnych. Czy jego babka zgadła, że rozmyślał o Jordanie? Czy po powrocie z rzeki zaszczyt go jedną z tych obiecanych „chwil prywatności” i wyjawiał, czemu podejrzewa młodszego syna o zamordowanie brata? Czy zrozumiała, że to, co do tej pory było tylko zwykłą ciekawością, teraz stało się dla jej wnuka powodem do zmartwienia?

Wyszli za ogrodzenie. Ciemne loki Rebekki podskakiwały, kiedy zbiegała ku szeroko rozlanym wodom rzeki Trinity. Zak radośnie pędził za nią. Opadający ku rzece wypiełgnowany trawnik również był własnością jego babki i Nathan mógł się tu bawić z Zakiem w rzucanie piłką. Wysokie żywopłoty rosnące po bokach oddzielały ich od posiadłości sąsiadów. W wodę wcinał się niewielki pomost.

– Rebecco, uważaj! – zawołał Nathan, gdy jego przyrodnia siostra z nieodstępującym jej Zakiem w podskokach wbiegła na drewniane deski. – Nie podchodź zbyt blisko krawędzi.

– Nie podejść – odskrzyknęła, wprawiając Nathana w osłupienie.

Dziewczynka rzadko odpowiadała z sensem. Na ogół mówiła zagadkami lub wierszem, zamknięta we własnym świecie poezji, kolorowanek, lalek i zmyślonych przyjaciół. Za towarzystwo wystarczali jej babka, Lenora i Benjy, a teraz jeszcze Nathan i Zak. Niekiedy Nathan zauważał, jak jej nieobecny wzrok nagle staje się

przytomny, ona zaś przygląda się otoczeniu. W takich chwilach czuł, jak ciarki chodzą mu po plecach. Zupełnie jakby lalka nagle ożywała.

Dogonił Rebeccę i stanął obok niej na krótkim pomoście, gotowy w każdej chwili złapać ją, gdyby w przypiływie nagłego entuzjazmu ześlizgnęła się do wody.

– Tam – powiedziała, wskazując przed siebie.

– Tam? – powtórzył Nathan.

– Tam! – Pokazała na wielki kamień wyłaniający się z wody nieopodal brzegu.

– O co chodzi, Rebecco? – zapytał cicho Nathan.

– Tam to się stało.

– Co się stało?

– Mój wujek się utopił.

Nathanowi ścierpła skóra. Delikatnie odsunął dziewczynkę od krawędzi pomostu i chwycił ją za ramiona.

– Widziałas, jak twój wujek się utopił? Tam? Co robiłaś na pomoście? Czy był tu jeszcze ktoś?

Odwróciła się od niego i wskazała kamień.

– „W morze mi nadszedł czas powrócić, w samotność nieba i wody głębinę. Dajcie mi jeno żaglowiec rączy, który za gwiazdą wnet podąży”. – Znowu obróciła się do Nathana. – Tak powiedział – oznajmiła.

Nathan starał się ją zrozumieć.

– Kto powiedział? Twój wujek?

W oczach dziecka płonęła nadzieja, że jej uwierzy. Nathan znowu poczuł ciarki na całym ciele. Niestety, wzrok dziewczynki równie nagle stał się zamglony i nieobecny. Chwila prawdy minęła. Rebecca odwróciła się ku rzece.

– „I steru drzenie, i wiatru śpiew, i białych żagli łopotanie, i szarą mgielkę na oceanie, i świtu szarego wstawanie” – wyrecytowała śpiewnie.

Nathan w zdumieniu słuchał melodyjnych kadencji trudnych wersów, poruszony kryjącym się za nimi znaczeniem. Co chciała mu powiedzieć? Czy naprawdę widziała, jak Jordan Waverling się utopił? Była sama czy z kimś? Wtedy miała dziewięć lat i na pewno była jeszcze bardziej pilnowana niż teraz. Podał jej rękę.

– Chodźmy, Rebecco. Babcia czeka na nas z podwieczorkiem – powiedział.

Rebecca odtrąciła jego rękę i w podskokach ruszyła przed siebie. Zak, też skacząc radośnie, pobiegł za nią. Nathan zdumiony kręcił głową, kiedy Rebecca wesoło recytowała w rytm skoków:

– „Krucha i biała jej filiżanka swym brzegiem falistym raduje jej serce każdego ranka, zaś smok różowy, co na dnie drzemie, uśmiechem wita ją kochanka”.

Rozdział 30

W piątek dwudziestego drugiego czerwca Nathan wsiadł do pociągu jadącego do Gainesville. Leon w liście przedstawił mu plan wizyty. Wyjdzie po Nathana na stację i zawiezie go do nowego domu rodzinnego, w którym już się wygodnie urządzili. W sobotnie przedpołudnie wezmą udział w ceremonii ukończenia szkoły przez Randolpha, potem pójdą na lunch i jeśli Nathan zechce, wieczorem na kolację absolwentów i bal. Nathan z ulgą przyjął, że nie będzie musiał wracać do starego domu na farmie.

Jak obiecał, Leon niecierpliwie czekał na niego przed budynkiem stacji, gdy pociąg wjechał na peron. Ze łzami w oczach przywitał się z nim i uściskał go.

– Dziękuję, że przyjechałeś, Nathanie. Wszyscy bardzo się z tego cieszymy.

– Ja też się cieszę – odparł Nathan.

Nie myślał tak, kiedy otrzymał zaproszenie na rozdanie świadectw w szkole brata. Jak się poczuje, widząc, dla czego matka poświęciła farmę? Dla ładniejszego domu, lepszych ubrań dla Lily i Randolpha, może nawet dla jednego z tych bezkonnych pojazdów, które „New York Times” nazywał automobilami. Czy gdyby się nie pojawił, zrobiłoby to rodzinie jakąś różnicę? Potem jednak pomyślał, że przecież Randolph jest synem Leona, który z dumą będzie patrzył, jak idzie po podium w złocistej pelerynie najlepszego ucznia w klasie. Randolph zasłużył sobie na ten zaszczyt. I wtedy Nathan uznał, że ważne jest dla niego uczestniczyć w tym wspólnie z rodziną. Być może będzie to ostatni raz, kiedy spotkają się wszyscy razem.

– Za nic bym tego nie przegapił – powiedział, by Leon uwierzył, że naprawdę cieszy się z przyjazdu. Ojczym wydawał się starszy, ale głębsze zmarszczki wokół oczu i na czole były raczej wyrazem smutku niż wieku. Stroje, w jakich teraz obaj występowali, różniły się od tych, w jakich widzieli się po raz ostatni. Dzisiaj nosili garnitury, koszule w paski z białymi, sztywnymi kołnierzykami wywiniętymi w dół, by podtrzymać krawaty. Nathan wsiadł do pociągu od razu po pracy, gdzie ubierał się tak codziennie, i nie zdążył przebrać się w coś wygodniejszego.

– Prawdziwe z nas eleganciki, co? – roześmiał się Leon.

– Owszem. Ale wziąłem kilka starych koszul i dzinsy, żeby mieć się w co przebrać.

– Ja też od razu się przebiorę w ogrodniczki, jak tylko wejdę do domu. Millicent nie lubi, kiedy chodzę w nich po mieście. Jakby ktoś w ogóle to zauważał, a nawet jeśli, to co mnie to obchodzi? Jadłeś kolację?

– Kanapkę w pociągu.

– Millicent czeka z szarlotką i lodami. – Leon objął Nathana ramieniem

i mocno uściskał. – Tęskniłem za tobą, synu.

– Ja za tobą też, tato – odparł Nathan.

Zwracając się w ten sposób do Leona, poczuł, jak ściska go w gardle. Czy kiedyś z podobnym uczuciem powie tak do Trevora Waverlinga?

W milczeniu ciężkim od smutku z powodu nieodwracalnej straty szli do błyszczącego sześciuosobowego powozu z eleganckiego drewna, ze skórzanymi siedzeniami, lśniącego mosiężnymi wykończeniami i składanym dachem, zaprzężonego w pięknego konia.

– Kupiliśmy go dopiero dwa dni temu, bo inaczej bym cię uprzedził, że nie przyjadę po ciebie naszą starą Betsy – powiedział Leon, jakby tłumacząc się, że miejsce starego, rozklekotanego wozu i wiekowej szkapki zastąpiły nowy powóz i koń. – Millicent uznała, że skoro teraz jesteśmy miastowi, wypada podróżować elegancko. Powiedziałem jej, że w życiu do tego nie wsiądę, jeśli pozbędzie się naszej starej Lizzy Belle. Wóz się niedługo sprzeda, bo już nie jeżdżę nim na farmę. Randolph oczywiście ma nadzieję, że matka kupi mu w końcu ten drogi najnowszy krzyk mody, który produkują w Detroit, co to jeździ bez konia.

– Myślisz, że rzeczywiście to zrobi? – zapytał Nathan, czując, jak jego radość z przyjazdu nieco blednie.

Leon uderzył lejcami w zad poruszającej się z wdziękiem klaczki.

– Millicent trochę zwariowała na punkcie pieniędzy, które dostała, ale nie wydaje mi się, żeby kupiła ten nowomodny automobil. Są zbyt niebezpieczne. Ale powiedz mi, jak tam w Dallas. Czy Zak przywykł już do miasta i jak się miewa ta mała dziewczynka, Rebecca? Przyzwyczała się do ciebie? I jak ci się układa z Trevorem, no i czy dobrze cię tam karmią?

Podczas dziesięciminutowej jazdy Nathan odpowiedział na wszystkie pytania ojczyma, koloryzując trochę, żeby Leon przestał się o niego zamartwiać. Zawsze będzie tęsknił za wsią, zapewnił go, ale zaczyna się przyzwyczajać do łazienki w domu, światła elektrycznego, bieżącej wody i telefonu. Prawie już też przywykł do miejskich widoków, dźwięków i zapachów, i wygody mieszkania w miejscu, gdzie bez trudu mógł kupić wszystko, zanim czegoś zabraknie.

– Ty też przywykniesz, tato – dodał.

– Pod warunkiem, że za bardzo nie zmięknę – odparł Leon.

Nathan przyznał, że sam też się tego obawiał, ale widział sposób na rozwiązanie problemu. Trevor amatorsko uprawiał boks i swego czasu startował nawet w kategorii wagi średniej, teraz był już jednak na to za stary. Wciąż regularnie trenował i w końcu zaprosił Nathana na salę, żeby mógł się przekonać, czy chciałby się przynajmniej nauczyć pięściarstwa.

– Nathanie, ty bokserem? – zdziwił się Leon. No, zbudowany jest jak trzeba. Brakowało im jego mięśni w czasie żniw. Masz pojęcie? Żniwa okazały się najlepsze od lat, opowiadał ojczym. Zostało jeszcze kilka tygodni, ale wygląda na

to, że zbiory będą ogromne. Jak na razie cena za już sprzedane zboże była lepsza, niż się spodziewali. Leon dopilnował, żeby część pieniędzy odłożyć na zaległy zarobek Nathana. W kolejce ustawiali się chętni na pług, narzędzia, uprzęże i żywy inwentarz. Millicent odda Leonowi jego część, a on doda ją do swoich zaskórniaków. Wystarczy mu, żeby zacząć coś nowego, gdyby zaszła taka potrzeba. Słyszał o kawałku dobrej ziemi w Kansas wystawionej na sprzedaż.

Nathan spojrział na niego zaskoczony.

– Czy to znaczy, że zostawiłbyś mamę? – zapytał.

– Nie – odparł Leon – ale dobrze jest wiedzieć, że mógłbym. Nie opuszczę twojej matki, dopóki śmierć nas nie rozłączy, Nathanie. Kocham ją, zawsze kochałem i zawsze będę kochał. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Przestałem się już zastanawiać, czemu się kogoś kocha, mimo że ten ktoś na to nie zasługuje. Miłość nie kieruje się rozsądkiem, o czym pewnie się kiedyś przekonasz, chociaż mam nadzieję, że nigdy nie poznasz tej jej niezrozumiałej strony. I jeśli cię to pocieszy, synu, myślę, że twoja matka gdzieś w głębi duszy też mnie kocha. Nie wiedziałaby, co począć, gdy dzieci odejdą.

– Dla mnie to raczej potrzeba, nie miłość – zauważył Nathan.

– Ach, no cóż, pewnie tak, ale to często wystarcza, kiedy brakuje głębszych uczuć.

Ledwie zajechali przed ładny dwupiętrowy budynek z mansardowymi oknami, który stał się nowym domem Hollowayów, a drzwi wejściowe otworzyły się z impetem.

– Nathan! – krzyknęła dramatycznie Lily, w podskokach zbiegając ze schodów, żeby rzucić mu się w ramiona.

Za nią pojawił się nieco bardziej powściągliwy, lecz uśmiechnięty Randolph, i wreszcie matka, uczesana zgodnie z najnowszą modą, w gustownej bluzce i spódnicy sięgającej ziemi. Kok, perkalowa sukienka i fartuch były już tylko wspomnieniem.

Ujęło go ich ciepłe powitanie. Nie mógł się jednak pozbyć uczucia, że został wyrzucony z gniazda, kiedy go ściskali i prowadzili do obcego mu domu, w którym teraz mieszkali. Matka strzepnęła jakiś pyłek z jego kapelusza i powiesiła go na garderobie w holu, Lily zaś obsypywała komplementami wygląd Nathana, wykrzykując, jak elegancko się prezentuje w miastowym ubraniu. Uścisk dłoni Randolpha był silny i szczery. Brat wyraźnie się ucieszył z prezentu, jaki Nathan wręczył mu z okazji ukończenia szkoły, wiecznego pióra Waterman, o niebo lepszego od gęsich piór, do których był przyzwyczajony.

– Pomyślałem sobie, że na Columbii trudno ci będzie uganiać się za gęsiami – zażartował Nathan, a rodzina, zanosząc się ze śmiechu, zaczęła wspominać, jak Randolph gonił po całej farmie dawców piór, których ciągle mu brakowało.

Zasiedli do szarlotki z lodami i Nathan poczuł się jeszcze bardziej wyobcowany, gdy spoglądał na nowe twarze matki i rodzeństwa, ich ubranie, maniery i sposób mówienia. Nie było go ledwie dwa miesiące, a oni już się zmienili – zasymilowali ze światem, który kupili za pieniądze. Nathan spodziewał się, że będą nieśmiali i skrępowani, może nawet odrobinę zawstydzeni nową pozycją społeczną, zważywszy, w jaki sposób do niej doszli. Jednak już po pierwszej godzinie widział, jak idealnie wpasowali się w życie, o którym sądzili, że niczym się nie różni od życia ludzi zamożnych, i nie mógł się nadziwić, że tak zupełnie nie pasowali do farmy i wiejskiego otoczenia. Jego siostrzyczka wypiękniała jeszcze bardziej i dobrze o tym wiedziała. Mówiła i gestykulowała w pełni świadoma swojej urody, opowiadając Nathanowi, jak to owinęła sobie wokół małego palca kilku adoratorów o „odpowiedniej pozycji” – no wiesz, ropa i bawełna – i że kończy ostatni rok nauki w prywatnej akademii w Denton, gdzie zadaje się z „takimi jak my”.

Nagle bogactwo Hollowayów jeszcze bardziej spotęgowało snobizm Randolpha, umocniło go w przekonaniu o własnej ważności, wyjątkowej inteligencji i iście królewskiej urodzie. Po skończeniu prawa planował się zająć polityką. Zamierzał osiedlić się na Terytorium Oklahomy, które na pewno wkrótce będzie już stanem, a kiedy do tego dojdzie, on znajdzie się na właściwym miejscu. Roztaczając wizję swoich planów, uśmiechnął się do Millicent.

– Mamo, co myślisz o byciu matką gubernatora stanu? – zapytał.

Millicent nagrodziła go czułym, pełnym dumy uśmiechem. Nathan zauważył, że matka zmieniła się najbardziej. Jeśli chodzi o brata i siostrę, to stając się takimi, jakimi teraz byli, spełnili po prostu swoje marzenia. Matka natomiast stała się kimś więcej. Pod kokiem, perkalową sukienką i fartuchem kryło się jej prawdziwe ja. Nathan zawsze uważał ją za piękną kobietę, schludną i porządną, i bardzo kobiecą, dawniej była jednak jak gołąb preriowy w porównaniu z eleganckim łabędziem, w jakiego się przeistoczyła. Na jej twarzy malowało się przekonanie, że jest uprzywilejowana, niczym w czasach szkolnych, z czego musiała zrezygnować, stając się żoną skromnego farmera. Teraz, w gustownym stroju, z włosami upiętymi w modną fryzurę, z perłami w uszach i na szyi, wyglądała jak dama z towarzystwa, stała bywalczyni wszystkich salonów w stanie.

Gdy przyszła pora spoczynku, wspięli się po schodach do swoich pokoi, z których jeden dostał się Nathanowi.

– Pokój gościnny! Wyobrażasz to sobie, Nathanie? – entuzjazmowała się Lily, klaszcząc w dłonie. – Goście już nie muszą spać na stryszku.

– Niezła gromadka, co nie? – zauważył Leon, kiedy cała rodzina życzyła sobie dobrej nocy, a on odprowadzał syna do drzwi jego sypialni.

– Owszem – zgodził się z nim Nathan. – Życzę im... wszystkiego, na co liczą i na co mają nadzieję po sprzedaży farmy i przeprowadzce do miasta.

– Mówisz dokładnie to, czego się spodziewałem – rzekł Leon.

– Nie martwisz się, że matka wyda wszystkie pieniądze?

– Jest na to za mądra. Wie, jak dolara zamienić na pięć, teraz kiedy już udało jej się zrobić wrażenie, że jest bogata. Nie jest, ale wystarczą jej pozory. Nathanie... – Leon przez chwilę poruszał ustami w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Wracając do tego, o czym mówiłem wcześniej... no wiesz, o miłości. Chociaż twój brat zachowuje się czasem jak kutas, a twoja siostra jak bezmózgi motyl, oni cię naprawdę kochają. Co prawda niewiele z tego wynika. Randolph i Lily są tak skupieni na sobie, że poza nimi samymi nikt ich nie interesuje, ale dla brata i siostry jesteś naprawdę kimś bardzo ważnym. Chcę, żebyś o tym pamiętał.

– Czy byłoby tak samo, gdyby wiedzieli, że jestem tylko ich przyrodnim bratem?

– Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiedzą. Wtedy mogłoby im się wydać, że nie potrzebują cię tak bardzo. Bez względu na to, na którym szczeblu drabiny wylądują, zawsze będziesz dla nich wzorem. I choćby tylko z tego powodu cię potrzebują, ponieważ raczej nie spotkają nikogo takiego jak ty, tam gdzie mają nadzieję trafić. Chcę, żeby zawsze wiedzieli, że mają brata, który przewyższa nawet tych najlepszych, brata, który jest dokładnie taki, za jakiego go uważają. Nie są aż tacy tępi, żeby tego nie rozumieć.

– Do czego jestem im potrzebny, skoro mają ciebie, tato?

Na twarzy Leona pojawił się lekki rumieniec.

– Och, dla nich jestem tylko głupim, starym farmerem.

– Ich strata – powiedział Nathan, myśląc że brat i siostra jeszcze niejednego ocenią tak samo błędnie jak ojca. Doskonale rozumiał, o co Leon go prosi. – Zawsze będą mogli na mnie liczyć – obiecał ojczymowi. – A skoro o miłości mowa... – chrząknął.

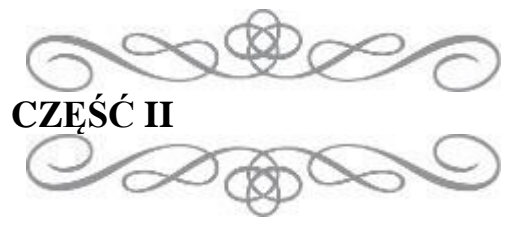
Leon wziął go za ramię.

– Nie musisz nic mówić. Wiem, co masz w sercu. A teraz idź już do łóżka. Jutro rano musimy być zvarci i gotowi, kiedy nadejdzie wielka chwila Randolpha. Śpij dobrze, mój chłopcze.

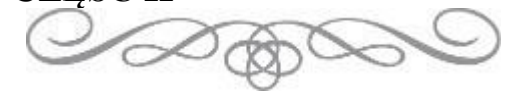
– Ty też, tato – odparł Nathan.

Patrzył za Leonem idącym szerokim, skąpanym w świetle elektrycznym korytarzem do wielkiej sypialni, którą dzielił ze swoją żoną. Nie przebrał się w ogrodniczki z „małpiego garniturka”, jak ojczym nazywał eleganckie ubranie. „Och, przecież będziemy jedli szarlotkę w salonie!” – oburzyła się matka, kiedy Leon wyjawiał swój zamiar, wobec czego i mąż, i syn do posiłku podanego na chińskiej porcelanie zasiedli w garniturach. Nathan poczuł, jak serce mu się ścisza pod wpływem współczucia dla ojczyma. Co Leon pocznie teraz, kiedy nie może już uprawiać ziemi? Niestety, chyba nie zdążą na ten temat porozmawiać. Po jutrzejszym balu Nathan zamierzał złapać nocny pociąg do Dallas, żeby wrócić do

domu wczesnym rankiem w niedzielę. Tak więc pytanie pozostanie bez odpowiedzi. W końcu będzie musiał się pogodzić, że niczego nie da się już cofnąć, i wróci do domu spokojny o wszystkich członków swojej rodziny, poza Leonem. Nathan przystanął z ręką na klamce. Uderzyło go, że w ciągu ostatniej minuty dwukrotnie pomyślał o Dallas jako o domu.



CZEŚĆ II



Rozdział 31

W piątek rano, cztery dni po powrocie do Fort Worth z Gainesville, Mildred Swift otworzyła drzwi domu swojej pani i ujrzała na progu farmera, który co tydzień rozwoził i sprzedawał swoje produkty w okolicy. Dzisiaj miał wyjątkowy towar: figi.

– Sok aż z nich kapie – powiedział. – Od lat nie były takie słodkie.

Mildred zarządzała budżetem na jedzenie, zaopatrzeniem spiżarni i słoikiem, w którym trzymała pieniądze na miesięczne wydatki. Pomyślała sobie, że figi są raczej „przejrzałe”, i nie była pewna, czy powinna kupić cały koszyk. Były drogie, za tyle samo mogła dostać dużo innych produktów. Poza tym figi szybko się zepsują, ale Estelle je uwielbiała, a z tych, które zostaną, można zrobić zaprawy. Mildred zdecydowała się na cały koszyk.

Komancze, którzy ją porwali i trzymali w niewoli, nie uznawali żadnych bóstw i Mildred dorastała, nic nie wiedząc o świecie niewidzialnym, i nigdy nie wyznawała żadnej religii. Dzisiaj jednak, kiedy doręczono pocztę, dziękowała wszelkim możliwym bogom za to, że listonosz pojawił się niemal jednocześnie z handlarzem, zanim Mildred zdążyła wrócić do kuchni. List, który doręczyciel jej dał, zaadresowany był do panny Samantha Gordon, nadawcą zaś była niejaka Eleanor Tolman Brewster.

O mój Boże, pomyślała Mildred, rozpoznając nazwisko Tolman. Była pewna, że jej pani także by to nie umknęło. Usłyszała, jak Estelle, zawsze czujnie wyczekująca poczty, schodzi po schodach, żeby odebrać listy. Mildred pośpiesznie ukryła list do Samantha w kieszeni fartucha. Przez resztę dnia i aż do sobotniego popołudnia łamała sobie głowę nad sposobem, w jaki mogłaby dostarczyć list od Eleanor Tolman Brewster Samancie, która do Fort Worth miała zjechać dopiero w następny weekend.

– Proszę pani – zwróciła się do Estelle, kiedy wreszcie wymyśliła, co powinna zrobić. – Chciałam zapytać, czy mogłabym wybrać się dzisiaj po południu w odwiedzinę do mojej ciotki. Dawno już jej nie widziałam, a przy okazji mogłabym zawieźć panience Sam trochę tych fig, co to je wczoraj kupiłam, zanim zgniją do reszty. Wie pani, jak panienka je uwielbia.

– Och, Mildred, dobra z ciebie dziewczyna – odparła Estelle. – Twoja ciotka na pewno bardzo się ucieszy na twój widok. Nie musisz się śpieszyć z powrotem, a jak będziesz na ranczu, przywieź te trzewiki, w których Samantha była w Gainesville. Zobaczę, może da się je jakoś wyczyścić. Nie mam pojęcia, gdzie ta moja córka chodziła, że tak je poplamiała. Wygląda mi to na czerwony muł rzeczny.

– Po ostatnich deszczach ulice były błotniste – powiedziała gospodyni.

Ciotka, jedyna żyjąca krewna świętej pamięci matki Mildred, na pewno nie

ucieszyłyby się na widok siostrzenicy. Dla ciotki Lil Mildred wciąż była bękartem Komanczów. Gospodyni nie miała zamiaru jej odwiedzić, ale musiała wymyślić jakiś pretekst, żeby dostarczyć koszyk z figami; inaczej Estelle posłałaby Jimmy'ego. Pozostawało pytanie, co Mildred ma zrobić z listem, żeby Samantha go dostała, gdyby nie nadarzyła się okazja, by wręczyć go jej osobiście.

Jedynym rozwiązaniem było schowanie listu na dnie koszyka i – żeby nie pobrudził go figowy sok – przykrycie grubą ścierką, a na niej ułożenie fig. Późnym popołudniem Mildred zmierzała do Las Tres Lomas, czując się trochę jak emisariusz wysłany z tajną misją za linię wroga.

Tak jak się Mildred spodziewała, drzwi do domu na ranczu otworzyła Silbia, informując, że Samanthę nie ma.

– Coś tam majstruje w swoim laboratorium – powiedziała.

Zaniosły owoce do kuchni i obie gospodynie wdały się w ploteczki, popijając kawę. Mildred coraz bardziej się denerwowała, że może źle zrobiła, ukrywając list od Eleanor Tolman Brewster pod figami. A jeśli Samantha go nie znajdzie?

Wreszcie Mildred wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia, nie zapominając o pobrudzonych pantofelkach.

– Powiedz Samancie, że pod serwetką jest list od jej matki – dodała z porozumiewawczym mrugnięciem. – Do rąk własnych, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Silbia zachichotała.

– A jakże, wiem. Czego jej papa nie widzi, to go nie zaboli.

W tym przypadku to aż nadto prawdziwe, pomyślała Mildred, wychodząc.

Jednak tym razem Silbia się pomyliła.

Ledwie powożony przez Mildred powóz Estelle wyjechał za bramę, do kuchni wpadł Neal.

– Co chciała Mildred? – zapytał z niepokojem. – Właśnie widziałem, jak odjeżdża. Czy w Fort Worth wszystko w porządku?

– *Si, patrón* – powiedziała Silbia, pokazując kosz z figami. – Przyjechała, żeby zostawić je dla panienki Sam i wziąć jej buciki do czyszczenia.

– Ach, figi – ucieszył się Neal. Włożył sobie jedną do ust. – Soczyste, słodkie i lepkie. Dokładnie takie, jak lubię.

– Lepiej proszę je zostawić, *patrón*. Są dla panienki Sam.

– Nie zauważy, że jednej brakuje.

Albo dwóch, dodał w myślach, kiedy wracał przez kuchnię z pomieszczenia, w którym stała szafka na broń. Jakieś zwierzę, prawdopodobnie ryś, poturbowało jedno z jego cieląt i kilka innych z Triple S, więc Neal z Wayne'em i kilkoma parobkami z obydwu rancz chcieli jeszcze za dnia wytropić drapieżnika. Zauważył, że figi już pływały w swoim soku. Gdzie, do cholery, podziała się Silbia? Powinna

je była przełożyć do innego pojemnika i schować do chłodziarki, zanim do reszty się zepsują. Pokaże gospodyni, jak należy wykonywać swoje obowiązki, pomyślał Neal, odkładając strzelbę. Schylił się, żeby pod blatem znaleźć jakąś miskę, po czym, chwytając za ścierkę, podniósł figi i przesypał je. Ze zdziwieniem zauważył leżącą na dnie koszyka kopertę. Ścierka miała ją pewnie ochronić przed zalaniem figowym sokiem. Koperta była zaklejona. Obrócił ją i zobaczył, że list zaadresowany jest do Samantha. Co, u licha, robił na dnie koszyka pełnego ociekających fig? Zerknął na adres zwrotny i w oczy uderzyły go słowa „Tolman”, „Marietta” i „Terytorium Oklahomy”. Serce w nim zamarło. Co, do cholery? Kim była Eleanor Tolman Brewster? Sądząc po kolejności nazwisk, musiała być córką doktora Donalda Tolmana, ale czemu pisała do Samantha? Czy był to kolejny list, tym razem do Sam, napisany dla pewności, że jego córka dowie się o tym, co doktor zawarł w liście do Neala? A niech tę kobietę, że się tak wtrąca! Wsunął kciuk pod wilgotną zaklejkę i bez trudu ją otworzył. Wewnątrz znalazł pojedynczą kartkę papieru.

Droga Panno Gordon,

już po Pani wyjeździe w papierach mojego zmarłego ojca znalazłam list od akuszerki, o której rozmawiałyśmy. Adres Bridget Mahoney w San Francisco to 505 Canal Street, ale list ma datę siódmego września 1889 roku. Od tego czasu Bridget Mahoney mogła się już wyprowadzić. Może nawet nie żyje. Mam nadzieję, że ta informacja przybliży Panią do znalezienia Jej prawdziwych rodziców, czego tak pragnie Pani serce.

Z poważaniem

Eleanor Tolman Brewster

Neal aż się skurczył, z niedowierzaniem odkładając list. Poczuł, jakby kula trafiła go prosto w serce. Wróciły jego największe lęki, które okazały się jednak uzasadnione. Samantha chciała znaleźć prawdziwych rodziców. A więc ją zawiedli, ale jak to możliwe...

Przez okno zauważył Silbię wracającą z Trail Head, wyraźnie rozgniewaną. Znowu musiała się pokłócić z Grizzlym o jakieś domowe sprawy. Szybko, zanim zdążył się zastanowić, Neal poszedł za głosem serca i schował kopertę tam, gdzie ją znalazł, przykrył serwetką i przesypał figi z powrotem do koszyka. Ledwie zdążył schować miskę pod ladę, kiedy Silbia wpadła do kuchni.

– Musi pan porozmawiać z Grizzlym i... – Przerwała w pół słowa, marszcząc czoło. – Coś się stało?

– Nie! – warknął Neal. – I nie mam czasu wysłuchiwać o waszych sprzeczkach. Sami się dogadajcie!

Chwycił strzelbę i wyminął Silbię, żeby wyjść na powietrze. Bał się, że

zwymiotuje. Poczul, jak zjedzona figa podchodzi mu do gardła, i splunął na ziemię. Jego koń czekał już osiodłany, gotowy na polowanie. Neal wpełchnął strzelbę w pochwę przy siodle i wskoczył na konia, ale w głowie kotłowały mu się myśli i pytania, a szok i niedowierzanie, niczym woda z zerwanej tamy, zalały go przeszywającym bólem.

Silbia wyszła za nim na zewnątrz. Zadziałał jej hiszpański instynkt.

– *Patrón?* – zapytała przestraszona nagłym wybuchem złości, tym bardziej że ledwie chwilę wcześniej pan zachowywał się jak zwykle, trochę gburowato i szorstko, ale nieszkodliwie. Pracowała dla Neala Gordona od wielu lat i dobrze знаła jego humory, lecz takim go jeszcze nie widziała.

– Wróci pan na kolację? Proszę pamiętać, że przyjdą panienki Singleton.

– Na mnie nie liczcie.

– Co mam powiedzieć panience Sam?

Neal z całej siły wbił ostrogi w końskie boki.

– Wszystko jedno – odkrzyknął, kiedy koń ruszył galopem.

Gospodyni patrzyła z niedowierzaniem. *El patrón* nigdy nie pozwalał krzywdzić zwierząt, a ponieważ jego ostrogi były ostre, na pewno zranił konia, nigdy też nie używał takiego tonu, mówiąc o córce.

Zakłopotana Silbia wróciła do kuchni i sięgnęła po miskę, do której chciała przesypać figi, kiedy weszła Samantha.

– Właśnie widziałam tatusia. Pędził, jakby gonił go sam diabeł. Machałam do niego, ale nie odpowiedział. Pewnie mnie nie widział.

Silbia przypatrywała się misce ze zmarszczonym czołem.

– Coś wstąpiło w papę panienki – powiedziała. – Mnie proszę nie pytać. Kiedy poszłam porozmawiać z Grizzlym, pan Gordon zachowywał się normalnie. Grizzly wślizgnął się tu, gdy byłam w ogrodzie, i zabrał prawie całą mąkę kukurydzianą, z której miałam upiec chleb na kolację. A jak wróciłam, *patrón* był jak chmura gradowa. Może chodziło o te figi. – Silbia pokazała na koszyk. – Mildred je przywiozła, bo chciała wziąć buciki do czyszczenia... te w kwiatki, które panienka miała w Gainesville. – Podstawiła miskę pod kran, żeby ją umyć. – Niech panienka weźmie, ile chce, resztę schowam do chłodziarki.

Samantha wybrała sobie jedną figę.

– Dokąd tatuś pojechał?

– Wytropić rysia, który robi szkody w północnej części farmy.

– Mam nadzieję, że wróci na kolację i karty z siostrami Singleton.

Sloan oczywiście będzie z Anne Rutherford, z którą spędzał wszystkie sobotnie wieczory.

– Nie powiedział – odparła Silbia wymijająco. Umyła już i wytarła miskę i chwyciła ścierkę za rogi, żeby przesypać figi. – Och, zapomniałam. Pod figami jest list od mamy panienki. Mildred powiedziała, że mam go dostarczyć do rąk

własnych.

Rozdział 32

Neal jechał na czele grupy czterech mężczyzn i dwóch psów myśliwskich, ze Sloanem Singletonem u boku. Zdziwił się, widząc Sloana z jednym z jego parobków.

– Myślałem, że szykujesz się na wieczór w Fort Worth z panną Rutherford – powiedział.

– Nie dzisiaj – padła odpowiedź.

Neal nie miał ochoty nic więcej mówić i Sloan to wyczuł, podobnie jak Wayne i reszta jeźdźców. Zdawał sobie sprawę, że wygląda trochę strasznie. Niewielu odważyłoby się zadrzeć z Nealem Gordonem, kiedy był w takim stanie. Jego minę wzięli za przejaw gniewu. Wiedzieli, że Neal nie ma litości dla nikogo, kto próbowałby odebrać mu to, co do niego należy. Złodzieje bydła omijali Las Tres Lomas szerokim łukiem, a teraz jakaś podła kreatura pojawiła się na ziemi Neala, tropiąc i bezsensownie zabijając zwierzęta. Ślady wskazywały na rysia. Rysie stawiają tylne łapy w tym samym miejscu gdzie przednie, sprawiając wrażenie dwunożnego drapieżnika, tak więc sposób poruszania się zwierzęcia, jego odchody i brak śladów pazurów dawały niemal całkowitą pewność, że to właśnie ryś. Dziwne było to, że rysie zazwyczaj atakowały mniejsze zwierzęta: myszy, króliki, oposy, borsuki, skunksy i nieduże mulaki. Rzuciły się swojej ofierze do gardła, zabijały ją jednym ugryzieniem, a potem odciągały w ukrycie, żeby rozkoszować się ucztą. Cztery cielaki, które zginęły na ranczu, były natomiast potwornie okaleczone i zostawione tam, gdzie zostały napadnięte. Młody, ważący sto kilo cielak stanowił wyzwanie nawet dla wyjątkowo zażartego i odważnego rysia. Mężczyźni byli przekonani, że po prostu tropią dużego kota samotnika, który znęcał się nad swoimi ofiarami dla przyjemności.

Neal żałował, że nie wybrał się na poszukiwanie drania samotnie. Gdyby znalazł list wcześniej, odwołałby polowanie i wyruszył w pojedynek. Jak większości mężczyzn jego pokroju, najlepiej mu się myślało i dochodziło do ładu z uczuciami w siodle, bez towarzystwa innych. Po raz pierwszy od śmierci Seta Singletona Nealowi zbierało się na płacz. On i Estelle starali się być najlepszymi rodzicami dla córki, próbując jednocześnie nie rozpieszczać jej za bardzo, i Neal uważał, że dobrze się spisali. Przez dwadzieścia lat kochali Samanthę, troszczyli się o nią, chronili i wspierali. Skąd więc ta nagła potrzeba odnalezienia rodziców, którzy jej nie chcieli i oddali w obce ręce? Czego jej brakowało w miłości Neala i Estelle i w domu, który dla niej stworzyli?

Zdradzony... to było jedyne słowo, które w tej chwili oddawało to, co czuł, i tylko w ten sposób był w stanie zapanować nad gniewem. Samantha działała za ich plecami, nie powiedziała jemu ani Estelle o swojej potrzebie, ciekawości,

samotności, czy czym tam się kierowała. Co jeszcze zrobi? Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak czuliby się oboje, wiedząc, że pragnie odnaleźć swoich prawdziwych krewnych – dokładnie tak, jak on czuł się teraz, jakby ktoś go postrzelił w brzuch, a jej matka... o Boże. Estelle nigdy nie otrząsnęłaby się ze smutku, gdyby się dowiedziała, po co ich córka pojechała do Gainesville.

Neal czuł, jak otwiera się otchłań pamięci i wciąga go całego. Z bólem wspomniawszy noc, kiedy Samantha znalazła się w jego ramionach. Widział w swoim życiu wiele trudnych do opisanie rzeczy, które potrafią odebrać człowiekowi całe jego człowieczeństwo. Brał udział w bitwach z Komanczami i meksykańskimi rabusiami, walczył wręcz w ohydnej wojnie domowej i wszystko to go zmieniło, sprawiło, że stał się twardy i nieugięty. Ale gdy po raz pierwszy tulił swoją córeczkę, cała nagromadzona w nim złość, wszystkie zadry i blizny poszły w niepamięć. Minęło wiele tygodni, zanim mógł normalnie oddychać, kiedy patrzył na Samanthę, taką malutką, słodką i piękną, należącą tylko do niego i Estelle. Czy kochałby bardziej córkę zrodzoną z jego łądzwi? To było niemożliwe. Ze wszystkich ludzi, którzy z zaskoczeniem patrzyli na jego natychmiastowe i całkowite zauroczenie ślicznym niemowlakiem, on był zdziwiony najbardziej. Jediną kobietą, z którą obcował, była jego żona. Matka zmarła, kiedy był zbyt mały, żeby ją pamiętać, i dorastał w otoczeniu twardych, szorstkich mężczyzn, z których on był najtwardszy i najbardziej szorstki.

Pierwszy cud w jego życiu zdarzył się, kiedy Estelle zgodziła się za niego wyjść. Żeby jednak zrozumieć kobietę, trzeba się było porządnie natrudzić, a żona przez tyle lat harowała u jego boku, ubrana w męską koszulę i spodnie, że zdążył zapomnieć, że w ogóle jest kobietą. Oczywiście, miał nadzieję na synów. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby mieć córkę. Kiedy jednak nie pojawił się żaden syn, pogodził się z bezdzietnością i robił, co mógł, żeby to Estelle wynagrodzić. Wystarczająco dużo pracowała na farmie. Po jego śmierci odziedziczył Las Tres Lomas de la Trinidad, ale sprzedał ranczo Sloanowi przez wzgląd na pamięć jego ojca, najbliższego przyjaciela Neala. Seth uratował mu życie w bitwie siedmiodniowej pod Gaines' Mill w Wirginii w 1862 roku. Tak więc, starając się nie myśleć, że nie będzie miał dziedzica, któremu przekazuje owoce swojej ciężkiej pracy i poświęcenia, dalej harował na ranczu nie tylko po to, żeby spełnić swoje marzenie o staniu się tytanem, lecz także żeby zostawić farmę synowi Seta dla uhonorowania pamięci przyjaciela.

I wtedy zdarzył się drugi cud, pojawił się dziedzic, a to, że był dziewczynką, nie miało najmniejszego znaczenia. Żaden syn nie mógł bardziej się nadawać, by pójść w ślady ojca, a tylko córka mogła obdarzyć ich taką czułością i miłością.

Jeźdźcy zbliżali się do części rancza znanej jako Windy Bluff.

– Tam jest Ocalony – rzucił Sloan, wyciągając Neala z głębokiej studni wspomnień. Sloan wskazywał na młodego wołu z potężnymi rogami skubiącego

trawę, który tę część rancza uważał za swoje prywatne pastwisko. – Ile ma już lat?

– Prawie pięć – odparł Neal.

– Farba na rogach trochę mu wyblakła. Trzeba ją będzie poprawić.

– Jeśli Samantha będzie o tym pamiętać – warknął Neal.

Od czasu do czasu zdarzało mu się zatracać w świecie fantazji, zamieszkiwanym przez tytanów i bogów, na ogół jednak wszystko traktował dosłownie, w niczym nie dopatrując się żadnych alegorii, teraz jednak widok wyblakłych rogów wołu potraktował symbolicznie.

Sloan się obruszył.

– A niby czemuż to miałyby nie pamiętać? Często widzę, jak tu przyjeżdża, żeby sprawdzić, jak Ocalony się miewa. A on zdaje się ją rozpoznawać, cholerny wół.

Neal zostawił reprimendę bez odpowiedzi.

– Dam ci jedną radę, synu – odezwał się po chwili. – Kiedy się ożenisz, postaraj się mieć jak najwięcej dzieci. Jeśli któreś cię zdradzi, przynajmniej nie stracisz wszystkiego.

Wskazujący palec i okrzyk „Tam!” jednego z mężczyzn przerwał rozmowę. Rozszekane psy rzuciły się naprzód. Zwierzę o długim, potężnym ogonie, niemal dwukrotnie większe od rysia, warknęło na nich z wysokiej skalnej półki ukrytej w gęstwinie dębów i sosen. Stworzenie ruszyło, psy i mężczyźni rzucili się w pogoń, zagłębiając się w gęsto zarośnięty teren, który wraz ze skalistą skarpią stanowił granicę Las Tres Lomas. Dziesięć minut później niczym zjawą zwierzę przepadło bez śladu. Psy skomlały, węsząc wokół miejsca, w którym straciły trop. Konie kręciły się nerwowo, a jeźdźcy przeczesywali wzrokiem skarpię, na próżno wypatrując błysku lśniącego rudobrazowego futra.

– Puma – stwierdził Wayne Harris.

Pumy już od dziesięciu lat nie nawiedzały tej okolicy.

– Pewnie jakiś zabijaka, przepędzony ze swoich terenów, bo nie przestrzegał zasad.

– I zbyt arogancki, żeby zakopywać to, co upoluje, bo zwierzyny ma tu pod dostatkiem – stwierdził ponuro Neal. – My nie stanowimy dla niego żadnego zagrożenia. Jemu się to podoba. I w nocy wróci, a wtedy go dopadnę.

Mężczyźni wykrzyknęli ze zdumienia.

– Co przez to rozumiesz, Nealu? – zapytał Sloan.

– Zostaję. Wy, chłopaki, wracajcie. Wykorzystajcie to, że jest sobota. Ja się stąd nie ruszę, dopóki nie zabiję drania albo nie przekonam się, że się wyniół w cholerę.

– To nie jest dobry pomysł – rzekł Sloan niższym głosem. – I doskonale o tym wiesz.

Do protestu przyłączył się Wayne.

– Szefie, wzrok już u pana nie ten, zwłaszcza po zmroku.

– Za to słuch mam doskonały... Poza tym mam przecież okulary. Zresztą i tak muszę sobie to i owo przemyśleć. W samotności. Wayne, zabierz psy. Nie będą mi potrzebne. Nie martwcie się o mnie, chłopaki. Tu jest moje miejsce. *Estoy dentro de mi elemento*.

„W swoim żywiole”, przetłumaczył sobie Sloan.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o zdradzie... kiedy rozmawialiśmy o Samancie?

Twarz Neala stała się nieprzenikniona.

– Zapomnij o tym. Przejęczyłem się. Zdrada nie leży w naturze Samantha.

Bo tak właśnie było. Do Neala wreszcie to dotarło. Samantha nigdy nie odwróci się od niego i Estelle. Neal martwił się o siebie i swoje własne demony zazdrości i zaborczości, które nie pozwalają mu się zatrzymać i wytrwać przy tych, których kocha, ale którzy jego uczuć nie odwzajemniają. On musi mieć wszystko albo nic. Czy da radę znieść, że będzie musiał dzielić miłość córki z innym ojcem – tym prawdziwym? Albo słuchać, jak Samantha zwraca się do Millicent Holloway „mamo”? Czy mąż tej kobiety, Leon, wciąż jeszcze żyje? Czy Samantha napisze do tej... Bridget Mahoney w San Francisco, a ta przekaże jej list na farmę Barrowsów? Największy gniew ogarniał go zaś na myśl, że Samantha w ogóle chciała napisać do akuszerki.

Z zakamarków pamięci wyłoniło się nagle straszliwe wspomnienie, podobne do tamtego z psem, którego kochał, ale o wiele gorsze. Neal zakopał je głęboko, bo tak bardzo przypominało mu jego samego. Komendant brygady Hooda miał przepięknego czarnego araba, ogiera, który pozwalał się dosiadać wyłącznie swojemu panu. Koń nazywał się Piekielny Ogień. Któregoś dnia wsiadł na niego ktoś inny, prosty chłopak usługujący oficerom; polerował im buty, czyścił ich latryny. Ku zdumieniu wszystkich – i przy gromkim aplauzie – koń prowadzony przez chłopaka potulnie kłusował wokół padoku, kiedy jednak chłopak z niego zsiadł, właściciel przyłożył pistolet do łba pięknego zwierzęcia i zastrzelił je na miejscu.

Neal z gorzkim posmakiem w ustach otrząsnął się z okropnego wspomnienia. Zwierzęta, które zwracały się przeciwko tym, którzy je kochali, to jedno, ale czy on należał do ludzi, którzy zamknęliby serce przed córką, która zgrzeszyła miłością do innego ojca?

Wayne spróbował po raz ostatni.

– Nealu – odezwał się zmartwionym głosem. – Skończmy na dzisiaj i wracajmy. Samantha będzie się denerwować, jeśli się nie pojawisz.

– I dobrze – odburknął Neal. – Zostaję.

Sloan, spoglądając na Wayne'a, uniósł brew, on odpowiedział tym samym. Żaden z nich nie słyszał nigdy, żeby Neal w ten sposób zachował się wobec córki.

– Jak chcesz – powiedział Sloan. – Ale jeżeli nie wrócisz do rana, przyjadę po ciebie.

– Nie ma potrzeby się martwić, synu. Wrócę przed śniadaniem – odparł Neal.

Rozdział 33

– Złe wieści? – zapytała Silbia, gdy Samantha skończyła czytać list od Eleanor Brewster.

Dziewczyna przypomniała sobie, co gospodyni mówiła o nagłej zmianie nastroju ojca i jak nie zareagował, kiedy machała mu na pożegnanie. Teraz uwierzyła, że tylko udawał, iż jej nie zauważył.

– Ojciec nie widział listu, prawda?

Silbia przesiewała właśnie mąkę na herbatniki, które zamierzała podać zamiast chleba kukurydzianego.

– A niby jak miałyby to zrobić? – powiedziała. – Przecież list był schowany pod figami.

– No tak – rzekła Samantha, wciąż czując niepokój. Wilgotną kopertę dałoby się otworzyć i zamknąć tak, że nikt by tego nie zauważył.

– Nikt nie grzebał w koszyku?

– Tylko papa panienki zjadł może ze dwie *higos*.

Samantha pomachała listem.

– Niech to zostanie między nami, Silbio.

– *Si, querida*. Powiedziałam Mildred, że to, czego papa panienki nie widzi, nie może go zboleć.

Było to ulubione powiedzonko gospodyni, gdy postanawiała nie mówić o czymś *el patrón*, tym razem jednak Samantha miała wrażenie, że koń wy dostał się ze stajni, zanim otwarto jej bramę. Nagła zmiana humoru ojca wskazywała, że coś go jednak zdenerwowało. Ale skąd wiedziałby o liście schowanym pod figami? Może jednak myślał o polującym na jego zwierzęta drapieżniku i dlatego był zły, poza tym w ciągu ostatniego roku wzrok znacznie mu się pogorszył. Może nie zauważył jej, kiedy wychodziła ze swojego laboratorium? Zjadła kilka fig. Były słodkie i soczyste, ale ich smak nie poprawił jej humoru, gdy pchnęła wahadłowe drzwi, żeby pójść na górę do siebie i przygotować się na przyjęcie gości.

Gospodyni zerknęła za nią. Silbia nie miała pojęcia, co było w liście poza tym, że zawierał sekret, o którym *el patrón* miał się nie dowiedzieć, sekret, który według panienki Sam by go zdenerwował. Gospodyni nie kłamała, mówiąc, że koszyk z *higos* był nienaruszony, ale może powinna była wspomnieć o klejącej się misce, którą musiała umyć, zanim przesypała do niej figi. To było dziwne. Nigdy nie odstawiała na miejsce brudnych naczyń. Tak samo jak dziwne było, kiedy *el patrón* odburknął na jej pytanie, czy będzie na kolacji i co ma powiedzieć jego *hija*. „Wszystko jedno” – warknął, a to nie było do *el patrón* podobne.

Wzruszyła ramionami... Ale z drugiej strony jak niby *señor* Gordon mógł przeczytać list, o którego istnieniu nie miał pojęcia? Silbia wlała roztopione masło

do suchych składników i wróciła jej złość na Grizzly'ego, który ukradł jej mąkę kukurydzianą.

Sloan odesłał swojego parobka do Triple S, sam zaś pogalopował do Las Tres Lomas z ludźmi Neala, którzy równie niechętnie jak on zostawili szefa, by samotnie stawił czoło pumie, jednak dla nich lepiej było słuchać rozkazów, niż się im sprzeciwiać. Nadchodził zmierzch. Niedługo zjawią się jego siostry, Billie June i Millie May, zaproszone na kolację i grę w karty. Sloan musi porozmawiać z Samantha przed ich przyjazdem.

– Panienska jest na górze – poinformowała go w holu Silbia. – Powiem jej, że pan przyjechał.

– Nie ma potrzeby – odparł Sloan. – Sam pójde.

– Ale, *señor* Sloan, panienska się przebiera! – zawołała za nim przerażona gospodyni.

Sloan posłał jej uśmiech.

– Nie martw się. Już ją widziałem w bieliźnie.

Jako dzieci prawie nago pływali i łowili ryby w Trinity. Ostatnio często wspominał tamte beztroskie czasy, kiedy za jedyne towarzystwo miał Samantha. Inni chłopcy w jego wieku mieszkali na ranczach zbyt od siebie oddalonych, żeby mogli się zaprzyjaźnić. On i Samantha mieli wspólnych korepetytorów, a po lekcjach dokazywali ile wlezie pod niezbyt bacznym okiem swoich kochających ojców. Dziwna była z nich para, chłopiec i dziewczynka młodsza od niego o cztery lata. Od chwili gdy nauczyła się chodzić, wziął na siebie obowiązek pilnowania jej, choć wkrótce się okazało, że żadnego opiekuna nie potrzebuje. Kiedy więc mogła już dotrzymać mu kroku, stali się kumplami. Traktował ją jak siostrę, ale nie matkował jej jak Billie June i Millie May. Samantha była chłopczycą, gotową podjąć każde wyzwanie. Miał w niej kolegę, któremu mógł się zwierzać. Wszystko jej tłumaczył i dzielił się z nią nowymi odkryciami, nigdy nie widząc w niej dziewczynki.

Ale któregoś dnia to się zmieniło. Sloan dobrze pamiętał tamtą chwilę. Przekroczył właśnie dwudziestkę i pracował po osiemnaście godzin na dobę, walcząc, by godnie zastąpić ojca. Siedemnastoletnia Samantha zaczęła szkołę w mieście i widywali się rzadko. Tamtego dnia Sloan przyjechał do Las Tres Lomas na naradę z Nealem i kiedy wychodził, natknął się na Samantha. Stała przy oknie, przez które wlewało się słońce, i na jego tle rysowały się jej płomienne włosy i szczupła, kobieca sylwetka. Sloan poczuł się jak świadek cudu motyla wylaniającego się z kokonu. W tamtej chwili powinien był podejść do Samantha i powiedzieć: „Okay, przyszła pora, żeby związać ten węzeł, nie uważasz?”, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy uczył ją pływać.

Nie zrobił tego jednak. Cały jego czas i energię pochłaniały niekończące się potrzeby rancza, przeciągająca się susza, złodzieje, którzy wykorzystywali jego

młodość i brak doświadczenia. Musiał toczyć boje z liniami kolejowymi o ceny przewozu bydła, spadały zyski, zaczynało też brakować najbardziej zaufanych ludzi ojca, którzy wyruszyli na Kubę, żeby walczyć w ochotniczej kawalerii Rough Riders wraz z Theodore'em Rooseveltem. Kiedy w końcu mógł złapać oddech, stał się twardym mężczyzną, Samantha zaś niezależną kobietą, a ich wielka zażyłość nieco się rozluźniła, zwłaszcza z jej strony.

Sloan wszedł na piętro. Minęło wiele lat, odkąd tu był, ale czyż mógł zapomnieć, że pokój Samantha mieści się na końcu korytarza? Naszła go fala wspomnień: wspólna gra w warcaby w deszczowe dni, puzzle przedstawiające cyrk Barnum and Bailey's, które ułożyli na tacy, kiedy Samantha ze złamaną nogą leżała przykuta do łóżka; albo ta niezwykła okazja, gdy znaleźli pisklę, które wypadło z gniazda, i przemycili je do pokoju Samantha pod podejrzliwym okiem pani Swift. Troszczyli się o pisklę, aż wreszcie któregoś dnia razem wypuścili je na wolność i patrzyli, jak odlatuje. On miał wtedy ze dwanaście lat. Teraz zapukał do drzwi.

– Proszę!

– Jesteś pewna? Tu Sloan.

Dobiegło go szuranie, jakby mysz uciekała do dziury, i po chwili drzwi się uchylły i ukazał się kawałek zdumionej twarzy Samantha.

– Sloan! Co ty tu robisz?

– Przyszedłem z tobą porozmawiać. Otwórz. Nie interesuje mnie, czy jesteś ubrana. Jak wiesz, mam dwie siostry. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Otworzyła drzwi i cofnęła się, bosa, ubrana tylko w szlafrok, pachnąca mydłem. Włosy były jak upięta klamerkami na czubku głowy.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Ty mi powiedz. Właśnie wróciliśmy z chłopakami z północnego krańca Las Tres Lomas, gdzie zauważyliśmy pumę. To ona morduje nasze cielaki. Neal uważa, że dzisiaj w nocy wróci, żeby znowu zapolować.

– Puma – powtórzyła Samantha z kwaśną miną. – I przyszedłeś, żeby mi o tym powiedzieć?

– Twój ojciec został, żeby ją dopaść. Sam jeden. Nie było sensu z nim dyskutować... nie kiedy był w takim nastroju. Coś się stało i przyszedłem sprawdzić, czy możesz mi coś na ten temat powiedzieć. Może mógłbym jakoś pomóc.

Samantha zaczęła rozwiązywać szlafrok.

– Wielki Boże. Przebiorę się i natychmiast tam jadę. Nie powinien polować na pumę w pojedynkę.

– Nigdzie nie jedziesz. – Sloan gestem nakazał, żeby na powrót zawiązała szlafrok. – Możesz ją wystraszyć i spłoszyć, jeśli rzeczywiście tam jest, a chyba się domyślasz, co Neal Gordon o tym powie. Stwierdził, że musi sobie pewne sprawy

przemyśleć. W samotności, co bardzo jasno dał do zrozumienia.

– Przemyśleć?

– Tak. I to dotyczy ciebie. Czy coś zaszło między tobą i tatą? – Sloan postanowił nie wspominać o tajemniczej uwadze Neala na temat zdrady. To by potwornie Samanthę zraniło. Neal mówił o swojej córce, choć próbował udawać, że się przejęzyczył, ale Sloan chciał usłyszeć od niej, o co w tym wszystkim chodzi.

Samantha zawiązała ciasniej szlafrok i opadła na stojące obok krzesło.

– O Boże... – Potarła czoło i zamknęła oczy, a jej czarne rzęsy odbijały się od pobladłej nagle skóry.

Sloan usiadł na podnóżku, odsunął w tył kapelusz i ujął jej zaciśnięte pięści w swoje dłonie.

– Porozmawiaj ze mną, Sam. Co się stało? Chciałbym pomóc, jeśli mogę.

– Dlaczego uważasz, że coś się dzieje między tatusiem a mną?

– Bo dziwnie się dzisiaj zachowywał, a ty siedzisz tu teraz cała skulona i spięta.

– Dlaczego myślisz, że ma to coś wspólnego z tatą i ze mną? – zapytała, nie otwierając oczu.

Sloan nie miał wyboru. Nigdy nie przymusi Samanthę do zwierzeń, jeśli nie powtórzy jej gorzkich słów Neala. Puls miała tak szybki i silny, że wyczuwał go pod swoimi palcami.

– Poradził mi, żebym kiedy się ożenię, miał jak najwięcej dzieci, bo jeśli jedno mnie zdradzi, przynajmniej... nie stracę wszystkiego.

Otworzyła oczy, z których zniknął cały blask, a jego miejsce zajęło mroczne spojrzenie.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak. Nigdy nie myślałem, że podobne słowa wyjdą z ust Neala Gordona. Co więc zaszło między nim i światłem jego życia?

Samantha stanęła w wąskiej przestrzeni dzielącej krzesło od podnóżka i podeszła do okna, wciąż jeszcze skąpanego w ciepłe zachodzące słońca. Wszystkie wątpliwości się rozwiały. Ojciec przeczytał list. Poczowała ogarniającą ją lodowatą panikę. Mogła sobie jedynie wyobrazić ból i cierpienie ojca i... gniew – głęboki, potworny gniew. Jak mogła mu to zrobić... jak mogła zrobić to Estelle, najlepszej matce pod słońcem? Wszzechmogący Boże, co ma uczynić? Wyłożyć karty na stół i wyjaśnić ojcu, dlaczego Eleanor Brewster napisała ten list? Czy Neal zdoła zrozumieć jej ciekawość i da się przekonać, że wizyta w Marietcie przyniosła jej ulgę i położyła kres potrzebie dalszych poszukiwań? W końcu on sam powiedział do jej matki, że pewne pytania są zupełnie normalne u adoptowanego dziecka. Zacznie od początku, wyjaśni, jak się martwiła o jego zdrowie i poszła do Grizzly'ego...

Tutaj jej plan utknął w martwym punkcie. Wielki Boże, nie! Choćby nie wiadomo co się działo, nie wolno jej mieszać w to Grizzly'ego. Z jękiem ukryła twarz w dłoniach.

Sloan natychmiast zerwał się z podnóżka i obrócił ją ku sobie.

– Na litość boską, Sam, powiedzże wreszcie, co się stało. Przecież nie może być aż tak źle. Na wszystko znajdzie się rada.

Z twarzą wciąż ukrytą w dłoniach Samantha pokręciła głową.

– Nikt nie może pomóc w tej sytuacji, Sloane – powiedziała zduszonym przez ręce głosem. – Zrobiłam rzecz dla mojego ojca niewybaczalną i nigdy nie zdołam tego cofnąć. Tylko tyle mogę ci zdradzić.

Oderwał jej ręce od twarzy i przytrzymał.

– Dla twojego ojca nie ma rzeczy niewybaczalnej, jeśli chodzi o ciebie, Samantho.

– Powinnaś była posłuchać Grizzly'ego i Wayne'a, kiedy mi radzili, żebym nie podążała tą drogą – odezwała się głosem bez wyrazu.

– Jaką drogą?

Samantha wyrwała ręce z uścisku Sloana i odwróciła się do okna, pocierając dłonie w ciepłe ostatnie promienie słońca.

– Powiedz, proszę, swoim siostram, że przyjęcie jest odwołane – rzekła.

– Sam, pozwól, że pójde do biblioteki i przyniosę ci kieliszek sherry – nalegał Sloan. – Wrócą ci kolory i może wreszcie ze mną porozmawiasz.

– Nie, muszę zostać sama – odparła. – Nic nie poradzisz, Sloane. Nikt nic nie poradzi.

– Przynajmniej pozwól mi spróbować. Od czego ma się starszych braci?

Choć to irracjonalne, pytanie targnęło nerwami Samanthy jak dźwięk paznokci drapiących tablicę. Odwróciła się i skupiła na Sloane całą swoją uwagę drżącą od gniewu i rozpaczy. Sloanowi wydawało się, że może naprawić niemożliwe, jak wtedy, kiedy byli dziećmi, tak? Ten niegdysiejszy chłopiec, a dzisiaj dorosły mężczyzna, który według wszystkich, jej nie wyłączając, pewnego dnia miał wziąć ją za żonę... ale on wybrał inną, piękniejszą, bardziej wyrafinowaną, bardziej skłonną do podziwu i posłuszeństwa, płytką oszustkę. A mimo to teraz oczekuje – nie, wręcz żąda – żeby dopuściła go do najgłębszych rodzinnych sekretów, jakby miał do tego pełne prawo. On miał prawa przysługujące przyjacielom, a przyjaźń miała swoje granice.

Podeszła do drzwi sypialni i gwałtownie otworzyła je na oścież.

– Sloane, doceniam twoją chęć pomocy, ale sama się z tym uporam. Niepotrzebnie kłopotujesz się tym... nieporozumieniem między moim ojcem i mną. Zapewne nie muszę dodawać, że wolałabym, żebyś zachował to wyłącznie dla siebie.

Stała w szeroko otwartych drzwiach sztywna i wyprostowana jak wartownik,

z kamienną twarzą i zimnym spojrzeniem. Sloan poprawił kapelusz.

– Jakbyś kiedykolwiek musiała mnie prosić o dyskrecję, Sam, ale jeżeli uznam, że powinienem kłopotać się nieporozumieniami między twoim ojcem i tobą, nie będę się wahał.

Czuł się tak głęboko dotknięty i zraniony, że mijając ją w drzwiach, nie mógł nawet na nią spojrzeć.

– Cóż, gdybyś zmieniła zdanie i chciała się zwierzyć, wiesz, gdzie mnie znaleźć – zdołał tylko powiedzieć. – Bracia mają szerokie ramiona.

– Nie jesteś moim bratem, Sloanie! – krzyknęła za nim, kiedy zmierzał ku schodom.

Jej słowa podziałały jak łąso i gwałtownym szarpnięciem zmusiły go, żeby się zatrzymał. Odwrócił się powoli.

– Co to miało znaczyć?

– Jesteś moim przyjacielem. Nikim więcej. Uważam, że mam wyjątkowe szczęście, ale jesteś tylko moim przyjacielem.

Sloan patrzył na nią, czując, jak w sercu otwiera mu się lodowaty tunel. Nawet jeśli miał wątpliwości co do uczucia, jakim go darzy, teraz pozbył się ich całkowicie.

– Cóż, dobrze wiedzieć, Sam. Dziękuję, że mi to uświadomiłaś – rzekł. – Na pewno będę to miał od dzisiaj na uwadze.

Rozdział 34

Gdy zmierzch przechodził w noc, a tętent kopyt oddalających się koni cichł, na niebo wypłynął wielki księżyc w pełni. Niedługo zapadnie ciemność, a na kwietniowym niebie rozbłyszczą gwiazdy, dając wystarczająco dużo światła, by Neal mógł dostrzec pumę czającą się przed polowaniem. Kazał swoim ludziom odprowadzić Ocalonego bliżej rancza, żeby drapieżnik mu nie zagroził. Żałował słów wypowiedzianych do Sloana, że Samantha przestała się troszczyć o młodego wołu, ponieważ nie było to prawdą. Często jeździła na pastwisko z różnymi smakołykami – sakwami najświeższej słomy, kostkami cukru, a nawet naleśnikami z syropem. Zbyt gruba warstwa farby nie była dobra dla rogów zwierzęcia i Samantha brała pędzel wyłącznie wtedy, kiedy farba wyblakła na tyle, że Ocalony mógł przez pomyłkę trafić do rzeźni. Samolubne poczucie żalu kazało Nealowi przedstawiać córkę w złym świetle i wiedział, że powinien się wstydzić. I wstydził się.

Uwiązał konia luźno do drucianego ogrodzenia i przyczaił się na ziemi w cieniu dwóch ogromnych głazów. Między głazami utworzył się wąski tunel, w którym nieustannie świszczwał wiatr. Jego zawodzenie zagłuszy każdy ludzki odgłos, głęboki cień zaś ukryje Neala przed wzrokiem kota. Pумы doskonale widziały w słabym świetle, ale nie w całkowitych ciemnościach, i chociaż słuch miały wysmienity, to węch już o wiele słabszy. Puma wyłoni się z lasu tuż przed nim i zobaczy konia, ale człowiek pozostanie w ukryciu. Kot nie będzie nawet wiedział, że Neal trzyma go na muszce swojego winchestera model 1894, który może kilkakrotnie wystrzelić przed kolejnym naładowaniem.

Neal wręcz płonął z chęci zlikwidowania zagrożenia, które pojawiło się na jego ziemi. Nie miał jednak pewności, czy aby ta zasadzka nie była substytutem znacznie silniejszego pragnienia, które kazało mu chronić rodzinę przed zupełnie innym niebezpieczeństwem. Donald Tolman nie żył – „papiery mojego zmarłego ojca”, pisała Eleanor Brewster – i wszystko wskazywało na to, że córka doktora nic nie wiedziała o okolicznościach narodzin Samantha poza nazwiskiem akuszerki, która być może przy nich asystowała. Czy Samantha spróbuje się z nią skontaktować? Akuszerka też może już nie żyć, co położy kres poszukiwaniom. Już nic nie będzie zagrażało jemu i Estelle.

Ale czy dla niego wszystko będzie jak dawniej? Oto było pytanie. I jak, do ciężkiej cholery, Samantha skojarzyła, że doktor Tolman, którego adres zwrotny widniał na kopercie, jest lekarzem, który im ją przywiózł? Stał za tym Grizzly? Nigdy. Wierny kucharz nie wyjawiałby nazwiska doktora, nawet gdyby po tych wszystkich latach wciąż jeszcze je pamiętał.

Chyba że...

Neal przypomniał sobie nagle tamten dzień, kiedy Samantha przywiozła mu list od doktora. Martwiła się, że wiadomość może mieć związek ze zdrowiem Neala i nie dała się zbyć jego pośpiesznie wymyśloną historyjką o weterynarzu. A potem, gdy zobaczyła, że spalił list, nie dając go jej do przeczytania...

Ryzykując, że kot go zauważy, Neal wyprostował się, w myślach śledząc kroki Samantha, kiedy tamtego dnia wyszła z jadalni. Nieprzekonana, że powiedział prawdę o stanie swojego zdrowia, głęboko zatroskana, poszła do dwóch mężczyzn, którzy znali Neala najlepiej: Wayne'a i Grizzly'ego. Podzieliła się z nimi swoimi obawami, powiedziała o liście, który ojciec spalił i na którym był napis „Poufne”, wreszcie zapytała, czy nazwisko Tolman coś im mówi. Wayne nic nie wiedział, ale Grizzly...

Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, by Grizzly zdradził Samancie coś, co mogłoby odsunąć ją od Neala i Estelle, ale jego kucharz i przyjaciel w rękach dziewczyny, którą kochał jak własną córkę, stawał się miękki jak воск. W jakiś sposób Samancie udało się na nim wymóc, by wyznał, kim był doktor Tolman. A to zaprowadziło ją prosto do Marietty i przeprawy promem sprytnie zorganizowanej pod pretekstem wyjazdu do Gainesville. Czy Mildred wiedziała o tajnej wyprawie Samantha? Czy jego córka zdołała bez jej wiedzy skrycie przepłynąć się przez rzekę? Nie, gospodyni Estelle musiała być wtajemniczona, skąd mogłaby bowiem wiedzieć, że trzeba ukryć list od Eleanor Brewster na dnie koszyka z figami?

Koń rzucił nerwowo łbem i Neal stał się czujny. Z kieszonki wyjął okulary i wsadził je sobie na nos, mając nadzieję, że nie błysną w świetle gwiazd i księżycy, zdradzając jego pozycję. Zobaczył, jak długi, smukły kształt wyłonił się pomiędzy skałami i leśnej gęstwiny. Puma wyszła w światło rzucane przez księżyc w pełni, przystanąła, nasłuchując, po czym zwróciła żółte ślepia na uwiązane do ogrodzenia konia. Przestraszony koń zarżał cicho, jednak wciąż jeszcze ufał, że jego pan go obroni. Drapieżnik zaczął się wolno, po kociemu skradać ku swojej zdobyczy i wreszcie przysiadł nisko na łapach, co było znakiem dla Neala, by podnieść strzelbę i wycelować. Wystrzelił w momencie, gdy koń uwolnił się szarpnięciem i rzucił do ucieczki, a jego przerażone rzenie zbiegło się z hukiem wystrzału. Siła trafienia poderwała pumę w powietrze, po czym kot z głuchym tąpnięciem runął na ziemię. Kula trafiła go w szyję i kiedy Neal podszedł do nieruchomego drapieżnika, zobaczył, że zwierzę jeszcze oddycha. Spojrzało na Neala płonącymi nienawiścią żółtymi ślepiami i po raz ostatni warknęło ostrzegawczo, ale jego pogromca ponownie wycelował i strzałem w głowę zabił.

Neal wyjął nóż i odciął pumie ogon, po czym gwizdem przywołał konia. Dowód jego zwycięstwa nad wrogiem zostanie przybity do masztu, żeby wszyscy – ludzie i zwierzęta – widzieli, jak z czasem, pod wpływem słońca i wiatru, zamienia się w proch. Zwłoki zostawi na pastwę innych drapieżników. Wsunął strzelbę do

kabury, ciasno owinał ogon wokół zakrwawionego kikuta i schował do sakwy przy siodle. Twarz mu się zarumieniła, jak zwykle, kiedy odczuwał głęboką satysfakcję z pokonania każdego, kto zbrukał to, co dla Neala było świętością. Sekret polegał na cierpliwym czekaniu i niewykonywaniu żadnych ruchów, dopóki zamiary przeciwnika nie staną się jasne. Samantha, kierując się miłością i troską o ojca, przypadkiem dowiedziała się, kim był doktor Tolman, a to z kolei obudziło jej ciekawość co do okoliczności jej przyjścia na świat, Grizzly zaś nieświadomie i bez żadnych ukrytych motywów tylko ją do tego zachęcił. Podobnie Mildred przypadkowo została wmieszana w powodowane ciekawością poszukiwania Samanthy. Na pewno zanim wyruszyły do Gainesville, nie miała zielonego pojęcia, że córka pana Gordona zamierza przepłynąć się promem na drugą stronę rzeki.

Wobec tego Neal będzie czekał, cierpliwie i czujnie, żeby się przekonać, jak Samantha wykorzysta zdobytą wiedzę. Grizzly'ego nie będzie w to mieszał. Biedak mógłby się powiesić z rozpaczy. Neal nie wypyta też o nic Mildred. Nie mógł ufać, że kobieta nie doniesie Samancie o jego śledztwie. Na razie córka nie miała pojęcia, że jej ojciec przeczytał list od Eleanor Brewster, nie podejrzewał też, żeby ponownie wybrała się do Marietty. Wobec tego Neal zostawi sprawę ich własnemu biegowi.

Tylko jak miał poradzić sobie z poczuciem winy, że zataił przed własnym dzieckiem miejsce pobytu jej prawdziwej matki, która z kolei mogłaby opowiedzieć Samancie o pozostałych członkach rodziny?

Samantha usłyszała chór podekscytowanych męskich gwizdów i okrzyków i zwróciła Pony'ego w tamtą stronę. Dzisiaj rano miała zaprowadzić jałówki i krowy do zagród, gdzie sprawdzano, które z nich są cielne. Dostrzegła ojca, jak z wirującym nad głową lassem pogonił konia za uciekającym cielakiem, którego trzeba było złapać, żeby go ocechować. W idealnym momencie rzucił lassem i jego pętla gładko oplótła kark młodego wołu. Samantha patrzyła, jak doskonale wytresowany koń ojca zapał się kopytami w miejscu, napinając linę, a ojciec wprawnymi ruchami przywiązał jej drugi koniec do rożka siodła. Potem z szybkością, która zapewniła mu pobicie rekordu na rodeo, zeskoczył na ziemię, chwycił cielaka, przewrócił go na bok i spętał razem wszystkie cztery kopyta, żeby można mu było wypalić piętno.

Samantha potrząsnęła głową, czując bolesny ucisk w gardle. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Neal Gordon wciąż był w pełni sprawny i zwinny i chociaż jego umiejętności nie były już potrzebne, wykorzystywał je bez ustanku przez ostatnie dwa miesiące, od czasu, kiedy przeczytał list od Eleanor Brewster. Gdyby nie ten list, nie byłoby go tutaj dzisiaj rana. Nie pracowałby po osiem godzin dziennie, wyciągając zagubione bydło z wyschniętych koryt strumieni, studni i parowów, żeby je policzyć; nie gnałby stad na targ, nie przepędzał na inne pastwiska i nie wykonywał całej tej ciężkiej pracy, która była zadaniem dla

zarabiających dolara dziennie młodych parobków. Teraz zaś, wieczór w wieczór, kiedy przywlekał się do domu zmęczony i obolały, brał gorącą kąpiel i prosił Silbę o maść leczniczą. Potem jadł podaną na tacy kolację w swojej sypialni i kładł się do łóżka, by następnego dnia zerwać się o świcie i wraz z parobkami harować do upadłego, choć z racji wieku i zamożności z powodzeniem mógł zostawić to Wayne'owi Harrisowi, bez wątpienia najlepszemu zarządcy w biznesie hodowlanym.

Robił to wszystko, żeby unikać jej, z czego Samantha ze smutkiem zdawała sobie sprawę. Nastął trzeci tydzień czerwca i nic nie było już takie samo między nią i Nealem od tamtego późnego popołudnia czternastego kwietnia, kiedy wyruszył zapolować na pumę. Ogon zwierzęcia powiewał na szczycie masztu, na który w święto Czwartego Lipca wciągano amerykańską flagę. Był jak mrozące krew w żyłach ostrzeżenie dla każdego, kto zapragnąłby zagrozić Nealowi Gordonowi. Dla Samantha symbolizował to, co ojciec myślał o jej wyprawie na drugi brzeg Rzeki Czerwonej.

Nie wypijali już szklaneczki sherry na koniec dnia w bibliotece. Neal „skończył z piciem”, jak oznajmił. Poranne i południowe posiłki spożywał w Trail Head, z kolacji na ogół rezygnował, twierdząc, że „rośnie mu brzuch”. Do Samantha odnosił się z niezmienną uprzejmością, wciąż był czuły, wciąż całował ją w policzek na dobranoc, ale rezerwa, z jaką ją traktował, łamała jej serce. Pragnęła zmniejszyć jego cierpienia i wszystko między nimi naprawić, lecz była związana obietnicą daną Grizzly'emu. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy często przyłapywała ojca pogrążonego w głębokiej zadumie i każdego dnia przeżywała katusze strachu, że odkryje jej wizytę w kuchni Grizzly'ego. Gdyby tylko mogła z nim o tym porozmawiać, zapewniłaby go, że niepotrzebnie się lęka, bo żadna obca rodzina nigdy nie odbierze mu córki. Dawno już wyrzuciła list od Eleanor Brewster i nie miała zamiaru szukać Bridget Mahoney ani też w jakikolwiek inny sposób dochodzić prawdy o swoim przyjściu na świat. Neal i Estelle Gordonowie byli jej rodzicami i żadnych innych nie pragnęła. Samantha wytłumaczyłaby to ojcu, ufając, że miłość, jaką ją darzy, pozwoli mu jej uwierzyć.

Pony zarżał. Chciał wracać do pracy. Szarpnęła lejce i chociaż był ciepły czerwcowy dzień, zadrżała na całym ciele. Po raz pierwszy w życiu, mając już dwadzieścia lat, poczuła się bardzo samotna. Najlepszego przyjaciela odprawiła z kwitkiem i zniszczyła więź z ojcem. Nie mogła zwrócić się do matki, szczęśliwie niczego nieświadomej, ani do Wayne'a czy Grizzly'ego, których nie wolno jej było w to mieszać. Pierwszy raz w życiu, w którym zawsze była kochana, chroniona i strzeżona, Samantha poczuła się jak sierota.

Rozdział 35

Następnego dnia Samantha otworzyła przeszklone drzwi do Trail Head i usłyszała, jak Wayne mówi do jej ojca:

– Na pewno chcesz jechać, Nealu? Dupsko już ci chyba odpada od tego wysiadania w siodle. Ja pojedę zamiast ciebie. Pojadę pociągiem i wrócę w ciągu kilku dni. Dychnij se trochę i naciesz się życiem.

– Dobrze mówi, Nealu. Niech jedzie, a my się wybierzemy na ryby – odezwał się Grizzly. – Ponoć biorą jak wściekle przy północnej odnodze. Dzień dobry, Samantha.

Ranek był jeszcze wczesny, ale parobkowie już poszli do pracy i w jadalni poza ojcem, Wayne'em i Grizzlym nie było nikogo. Siedzieli we trójkę przy stole, dłońmi obejmując kubki z kawą. Ojciec i Wayne drzwi mieli za plecami i tylko Grizzly widział, jak Samantha wchodziła. Neal obrócił się gwałtownie ku spoglądającej na niego w zdumieniu córce.

– Wybierasz się dokądś, tatusiu? – zapytała.

Neal wrócił do poprzedniej pozycji.

– Tak, złotko – powiedział, podnosząc kubek do ust. – Do La Palomy. Muszę sprawdzić, jak chłopaki sobie radzą i co się tam w ogóle dzieje.

Samantha obesła stół, żeby znaleźć się z ojcem twarzą w twarz.

– Kiedy?

Neal podmuchał w parującą kawę.

– Ruszam za kilka minut. Miałem ci powiedzieć.

– Kiedy? Jakbyś już odjechał?

– Jakbyś przyszła na śniadanie, gdy skończyłbym wydawać instrukcje mojemu numerowi jeden. – Skinieniem głowy wskazał Wayne'a.

Dawniej tego rodzaju instrukcje otrzymywałyby ona.

– Na jak długo wyjeżdżasz?

– Na jakiś tydzień.

Ojciec wyraźnie unikał jej wzroku, a dwaj pozostali mężczyźni, którzy stali się świadkami tej niewygodnej wymiany zdań, wpatrywali się w swoje kubki z kawą.

– Czy mama o tym wie?

Dopiwszy kawę, Neal wstał.

– Wczoraj dzwoniłem do niej z Triple S. Pozdrowiłem ją w twoim imieniu.

– Na pewno byłoby jej miło, gdybyś do niej wstąpił przed wyjazdem. Już prawie od dwóch tygodni nie zaglądałeś do Fort Worth.

Neal zdjął kapelusz z haka i założył, gwałtownym szarpnięciem poprawiając rondo.

– Cóż, mam sporo na głowie – powiedział. – Wątpię, żeby chciała o tym słuchać.

Samantha poczuła, jak zaczynają ją palić policzki. Ojciec po raz pierwszy, i to w bardzo zawołowany sposób, wspomniał o zdrze, jaka między nimi powstała. Przed całą tą sytuacją dzieliliby się z nią każdym zmartwieniem i troską. „Porozmawiajmy o tym”, chciała krzyknąć, ale zaraz przypomniała sobie o obecności Grizzly’ego.

– Wy dopilnujcie wszystkiego pod moją nieobecność – rzekł Neal i przez krótką chwilę patrzył na Samanthę, jakby nasza go jakaś myśl, potem nagle podszedł i mocno ją objął. – Kocham cię, córeczko – powiedział tylko, po czym odwrócił się ku wyjściu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim i ten odgłos zawisł w ciszy, zakłócaney jedynie dochodzącym z kuchni hałasem przestawianych garnków i patelni oraz hiszpańską paplaniną. Zespół Grizzly’ego już szykował południowy posiłek. Samantha stała bez ruchu, czując, jak coraz bardziej ściska ją w gardle, kiedy słyszała oddalający się tętent końskich kopyt. W oczach paliły ją łzy. Wayne odchylił się w tył razem z krzesłem i splótł ramiona na piersi.

– W porządku, Słoneczko, to już trwa za długo. Pora, żebyś nam powiedziała, o co chodzi. Twój tatko w ostatnich miesiącach bardzo się zmienił, i to wcale nie na lepsze. Zrzędzi jak cholera.

Grizzly posłał jej przeciągłe, zbolełe spojrzenie. „To to, o czym myślę?”, zdawało się mówić.

Samantha odpowiedziała ledwie zauważalnym przeczącym ruchem głowy. Z tego, co mogła zauważyć – a bacznie się przyglądała – stosunek Neala Gordona do Grizzly’ego się nie zmienił, więc na razie kucharz był bezpieczny. Uspokojony Grizzly wyjął spod lady wysłużoną tabliczkę z napisem: KUCHNIA ZAMKNIĘTA. JAK JESTEŚ GŁODNY, JEDZ TRAWĘ. Powiesił ją na gwoździu wbitym w drzwi, zamknął je i przekręcił klucz. Wracając, nalał Samancie kubek parującej kawy.

– Siadaj i wyduś to z siebie, moja śliczna – powiedział. – Porozmawiaj z nami.

Samantha objęła dłonią kubek. Och, gdyby tylko mogła.

– To prywatna sprawa – odparła.

– Nie chcemy być wścibscy... – odezwał się Wayne.

– Cholera, właśnie że chcemy! – przerwał mu gwałtownie Grizzly. – Więc wyduś to z siebie, Słoneczko. Co, w imię Boga wszechmogącego, dzieje się między tobą i twoim tatką?

– Może moglibyśmy jakoś pomóc – rzekł łagodnie Wayne. – Grizzly i ja chyba znamy twojego tatkę lepiej niż ty, bo znamy go dłużej, no i jesteśmy mężczyznami. Mężczyźni nie potrafią mówić o tym, co ich boli. Chowamy się

w głębokiej, ciemnej studni i wychodzimy z niej dopiero wtedy, kiedy już wymyślimy, co zrobić. Tam właśnie jest teraz twój tatko... w głębokiej, ciemnej studni... sam. Może nam powiesz dlaczego.

Samantha próbowała znaleźć odpowiedź, która by ich obu zadowoliła, i chwyciła się tego, co pierwsze przyszło jej do głowy, niezbyt dalekie od prawdy, co podsunął jej Sloan i o czym nie mogła przestać myśleć.

– Zawiodłam tatusia – powiedziała. – I nie potrafi mi tego wybaczyć.

Wayne rozprostował ramiona. Opuścił krzesło, żeby znowu stanęło na ziemi wszystkimi czterema nogami.

– Czymże mogłaś zawieść swojego tatkę?

– Chciał, żebym zastawiła sidła na Sloana Singletona, bo uważa, że doskonale nadaje się na mojego męża i jego zięcia. Ani Sloan, ani ja nie wiedzieliśmy, że od czasu, kiedy byliśmy dziećmi, nasi ojcowie mieli nadzieję, że... się pobierzemy i połączymy oba rancza. Tyle że Sloan i ja... oddaliśmy się od siebie... i zawiedliśmy tę nadzieję.

Wayne i Grizzly spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– To tłumaczy, czemu od dwóch miesięcy nie widzimy Sloana.

Grizzly skinął głową, Samantha zaś mówiła dalej:

– Teraz tatuś się martwi, że Sloan ożeni się z Anne Rutherford, a ja skończę jako stara panna i nie urodzę dziedzica.

Kucharz wykrzywił grube wargi. Rozejrzał się, jakby szukał miejsca, gdzie mógłby splunąć, i żałował, że kazał w jadalni porozstawiać spluwaczki.

– Anne Rutherford, córka bankiera! – prychnął z pogardą. – Co z niej będzie za żona ranczera!

– Tatuś nie rozumie, że to nie przeze mnie jego marzenie się nie spełni. Sloan nie interesuje się mną w ten sposób. Najwyraźniej zakochał się w Anne Rutherford. – Samantha z trudem opanowała wrywające się jej westchnienie ulgi.

Kupowali jej historyjkę, a Grizzly się uspokoił. To, co im powiedziała, mogło tłumaczyć dziwne zachowanie jej ojca, który wyraźnie się od niej odsunął, a dla swoich ludzi był niemiły i zrzędlivy. Neal Gordon rzeczywiście się martwił, że córka nigdy nie wyjdzie za mąż i nie zostawi po sobie spadkobiercy Las Tres Lomas. Bo przecież na horyzoncie nie było żadnego mężczyzny, z którym mogłaby ewentualnie chcieć spędzić resztę życia.

– A ty, Samantho, czujesz coś do Sloana? – zapytał Wayne łagodnie.

Zarumieniała się pod jego spojrzeniem, zdradzającym, że zna odpowiedź. Dobry Boże, czy wszyscy poza Sloanem wiedzieli, że go kocha?

– Jakie to ma znaczenie, skoro jego to nie obchodzi? – odpowiedziała gniewnie. Odsunęła się od stołu i wstała. – Możesz zdjąć tabliczkę, Grizzly. Nie mamy już o czym rozmawiać. Nie potrafię naprawić czegoś, co nigdy i tak nie miało się zdarzyć. Tatuś w końcu się z tym pogodzi.

– No, żeby mieć już wszystko z głowy – rzucił Wayne – myślę, że powinnaś pomalować rogi tego swojego byczka. Jak polowaliśmy na pumę, Neal zauważył, że kapkę wyblakły.

– Zostało trochę czerwonej farby?

– Ostatnio widziałem w szopie – odparł Wayne.

– W takim razie jadę do Windy Bluff – rzekła Samantha.

Rozdział 36

Neal zmierzał na północ. W gardle go ścisnęło na wspomnienie spojrzenia, jakim pożegnała go jego mała córeczka. Odjechał, a ona została, zraniona i zagubiona, ale nic nie mógł na to poradzić. We właściwym momencie wszystko się wyjaśni i wtedy Samantha zrozumie, czemu przez ostatnie dwa miesiące tak się zachowywał, i może nawet mu wybaczy. Trudno powiedzieć, jak potraktuje ten czas, kiedy trzymał ją na dystans, lecz potrzebował przestrzeni, żeby obmyślić, co powinien zrobić, i wreszcie ułożył plan. A nie było to łatwe. Miał pięćdziesiąt pięć lat i trwał w przekonaniu, że stał się w pełni dojrzały, przypuszczał jednak, że proces dojrzewania nigdy tak naprawdę się nie kończy. Osiągnął pewien jego stopień, wiedział, kim jest i czego chce, a potem nagle wydarzało się coś, co burzyło ten, zdawałoby się, niezmienny stan i trzeba było dojrzewać jeszcze bardziej lub – jak Neal lubił sobie myśleć – wejść na wyższy poziom, na przykład w nieoczekiwanej sytuacji, gdy człowiek musiał przedłożyć dobro ukochanej osoby nad swoje własne, nie bacząc na wiążący się z tym ból.

Dlatego też z bolącym sercem wyruszył tego ranka w najdłuższą i najboleśniejszą podróż swojego życia. Dzisiaj był wtorek. Neal obliczył sobie, że pokonując dziennie dystans czterech do pięciu mil, biorąc pod uwagę warunki, głębokie strumienie, które będzie musiał przebyć, i nocne przystanki, do Gainesville powinien dotrzeć w niecałe trzy dni. Wynajmie jakiś pokój albo prześpi się pod gołym niebem. Farmę Barrowsów powinien znaleźć bez trudu i w ciągu jednego dnia wykona swoją misję, resztę czasu spędzi zaś w La Palomie. Początkowo taki był jego zamiar, teraz jednakże zaczynał się zastanawiać, po co mu to kolejne ranczo, kiedy być może nawet Las Tres Lomas nie przejdzie na następne pokolenia. Przepelniało go to troską wcale nie mniejszą od lęku przed utratą Samantha, jej odejściem do rodziny, która będzie miała wobec niej inne plany. Przez te dwa miesiące, które upłynęły od przeczytania listu pani Brewster, w długie bezsenne noce układał sobie w myślach scenariusze, które sprawiały, że najchętniej wyrwałby z głowy wyobraźnię. Widział w nich, jak Samantha nie potrafi oprzeć się więzom krwi z prawdziwą rodziną. Wyobrażał sobie, jak pada w objęcia bratu – bliźniakowi! – i reszcie rodzeństwa, jeśli takowe było, i ogarnia ją pragnienie, żeby zamieszkać z nimi. Czuł, jak będzie cierpieć rozdarta, by wreszcie przyjść do niego, cała we łzach, z głosem więznącym w gardle, i oznajmić mu, że prowadzenie rancza nie jest dla niej. Dotąd nie opierała się jego planom, że któregoś dnia odziedziczy po nim Las Tres Lomas, ponieważ czuła, że jest to winna jemu i Estelle.

Wyobrażał sobie żonę, zdruzgotaną żalem, i siebie, z wiekiem coraz bardziej zgorzkniałego i przepelnionego złością, usychającego jak ten ogon pumy

powiewający na szczycie masztu. Nie znajdował nawet pocieszenia w planie, który sobie ułożył, jeszcze zanim pojawiła się Samantha, że po jego śmierci Estelle sprzeda ranczo Sloanowi, teraz pod warunkiem jednak, że chłopak nie ożeni się z córką bankiera. Jak ta miejska głuptaska zdoła kiedykolwiek pokochać jego Las Tres Lomas miłością, na którą zasługuje?

„Zawsze wyobrażasz sobie najgorsze”, upominała go często Estelle, zarzucając, że wiecznie spodziewa się katastrofy, która nadejdzie albo i nie, lecz on i tak nie potrafił odpędzić od siebie wizji porzucającej ich córki, wyprowadzającej się, wychodzącej za mąż za kogoś spoza ich klasy. Była to wizja gorsza od tej, którą sobie wyobrażał, gdy pojawiła się szansa, że Samantha zacznie naukę w seminarium Lasell w Massachusetts. „Zaufaj miłości Samanthy do nas i do rancza, Nealu”, poradziłyby mu Estelle, gdyby zwierzył się jej ze swych obaw. „Ona nas nigdy nie opuści”.

Kiedy jednak przez te ostatnie miesiące zmagał się sam ze sobą, ze swoim sumieniem i uczuciami, doszedł w końcu do wniosku, że liczy się nie miłość Samanthy do nich, Neala i Estelle Gordonów. Liczy się to, jak oni ją kochają, i dlatego podjął decyzję. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o wszystkim Estelle, przygotować ją na czekającą ich ewentualną rozpacz, ale jak miał w zwyczaju, najpierw chciał wiedzieć, jakie trzyma w ręku atuty. Karty mogą się okazać korzystne dla nich, a Estelle oszczędzony będzie ból, jaki był teraz jego udziałem. „Nie troszczcie się więc zbytnio o jutro, bo jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie”, nauczało Pismo Święte i Neal postanowił, że będzie postępował według jego przykazań.

Teraz był w drodze na farmę Hollowayów, gdzie zamierzał się spotkać z Millicent, matką Samanthy, i jej mężem Leonem, jeżeli jeszcze żył. Przedstawi się jako ojciec adopcyjny córki, którą oddali, nie zdradzi jednak miejsca pobytu Samanthy ani nie udzieli nawet strzępka informacji na jej temat, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na pytanie, z którym przyjechał: Czy chcą odzyskać córkę? Błysk gotowości w ich oczach, radość malująca się na ich twarzach – albo przeciwnie, obojętność – powiedzą mu natychmiast, czy wróci do domu i oznajmi Samancie, że jej poszukiwania się zakończyły, czy też do końca życia nie wspomni o matce albo obojgu rodzicach, którzy po raz drugi się jej wyrzekli. Neal nigdy nie pozwoli, by jego córka została dwukrotnie odrzucona.

Rozstawszy się z Wayne'em i Grizzlym, Samantha miała zamiar pojechać do Windy Bluff, żeby poszukać Ocalonego i pomalować świeżą farbą jego rogi, kiedy okazało się, że ma niespodziewanego gościa. Gdy wstąpiła do domu po kapelusz z szerokim rondem, żeby pojechać na najdalszy kraniec rancza, pojawiła się Silbia.

– Właśnie miałam posłać po panienkę jedną z dziewczyn. Ktoś na panienkę czeka w salonie.

– Kto?

– Panna Anne Rutherford.

Samantha zdziwiła się niepomernie. Z jakiegoż to powodu Anne Rutherford postanowiła ją odwiedzić? W ciągu minionych dwóch miesięcy często widywała Anne, zawsze ze Sloanem u boku, przy okazji towarzyskich spotkań poprzedzających ślub Todda Bakera i Ginny Warner. Po raz ostatni widziały się na samej ceremonii, ale wtedy wymieniły tylko uprzejmości. Ona i Anne od dawna obracały się w tym samym towarzystwie, nigdy jednak się nie zaprzyjaźniły, co Samantha raczej nie dziwiło, jako że nie miały żadnych wspólnych zainteresowań.

– Anne! Co za niespodzianka! – powitała gościa. Anne siedziała niepewnie na samym brzeжку szeszlona, jakby się bała, że mebel ją połknie. – Cóż cię sprowadza do Las Tres Lomas?

– Sloan Singleton – powiedziała Anne.

Podniosła się szybko, ale z wdziękiem, smukła w wiosennej sukni w pastelowe kwiaty, podkreślającej jej alabastrową skórę i włosy w kolorze głębokiej czerni.

Samantha opanowała odruch, by na powitanie serdecznie Anne uścisnąć.

– Sloan?

– Jestem pewna, Samantho, że powód mojej wizyty zostanie między nami. Nie miałam się do kogo zwrócić i pomyślałam, że może ty będziesz mogła mi pomóc. Znasz Sloana lepiej niż ktokolwiek inny, poza jego siostrami, ale one mnie nie lubią. Wiem, że nie chcą, żeby się ze mną ożenił.

Samantha stała oniemiała. Poczowała się autentycznie zszokowana bezpośredniością Anne – na dodatek skierowaną właśnie do niej, zważywszy, że Anne bardzo uważała, co i do kogo mówi. Samantha usiadła, gestem zapraszając Anne, by uczyniła to samo.

– Dlaczego?

Anne wzruszyła ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

– Och, typowa sprawa. To zazdrosne stare panny, które nie chcą się dzielić domem, którym od lat rządziły, wątpię jednak, żeby Sloan ich słuchał. Od kilku miesięcy coś innego... nas dzieli. Sloan się zmienił, a ja nie wiem dlaczego. Pomyślałam, że może ty mi powiesz. On się tobie zwierza. Nie zaprzeczaj. Mnie to nie przeszkadza. Naprawdę. Czy wspominał ci coś może o... nas?

Przez chwilę bezczelność Anne pozbawiła ją mowy.

– Nie, nic, ale też nie zwierzałby mi się z tak osobistych spraw – odparła w końcu. – Może kiedy byliśmy dziećmi, ale na pewno nie teraz.

Ciemnoszafirowe oczy Anne pociemniały z niedowierzania.

– Ta zmiana nastąpiła w połowie kwietnia, dokładnie w sobotę, czternastego – powiedziała. – Wiem, ponieważ prowadzę dziennik. Wtedy się wszystko zaczęło. Sloan miał zatelefonować, żeby umówić się na wizytę wieczorem, ale tego nie zrobił. Następnego dnia też się z nim nie widziałam.

Zwykle spędzamy niedziele razem. Przez cały tydzień nie miałam od niego żadnych wieści, więc posłałam do Triple S liścik. Kto wie, może któraś z tych jego siostr go przejęła, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Kiedy w końcu się pokazał, tłumaczył się, że w tamtą sobotę polowali na pumę, a potem był zajęty na ranczu, ale widziałam, że chodzi o coś innego. Czy pamiętasz coś, co wydarzyło się czternastego kwietnia, co miało związek ze Sloanem?

Samantha nigdy nie zapomni tamtej daty, momentu zwrotnego w jej życiu. Wtedy ojciec dowiedział się o jej zdradzie, a ona dała Sloanowi jasno do zrozumienia, co myśli o jego „braterskiej” roli, ale jakim sposobem te prywatne i osobiste wydarzenia miałyby wpłynąć na jego uczucia do Anne?

– Mogę potwierdzić, że Sloan rzeczywiście był w tamtą sobotę na polowaniu – rzekła – i powinnaś mu wierzyć, kiedy mówi, że jest zajęty na ranczu. Nigdy nie słyszałam, żeby Sloan kłamał, a wiosna to najcięższy okres, najbardziej wymagający. Poza tym jednak nie mogę ci pomóc, Anne. Jesteś pewna, że Sloan nie zmienił się wobec ciebie tylko w twojej wyobraźni?

– Och, Samantha! – Anne zerwała się z fotela, a jej zwiewna suknia zawirowała wokół niej. Przeszła się kilka kroków i załamując ręce, przemówiła jakby do jakiejś niewidzialnej widowni zgromadzonej w salonie. – Ty... nigdy... Cóż, nie masz żadnych doświadczeń z mężczyznami, jakże więc mogłabyś zauważyć znaki, które mówią kobiecie, że uczucia jej kochanka ochłody...

– Kochanka – powtórzyła Samantha, czując przeszywający ból i gorąco na twarzy, jakie wywołało protekcyjne zachowanie Anne i jej przekonanie o seksualnej naiwności koleżanki.

Anne obróciła się ku niej.

– Tak, kochanka! – wykrzyknęła. – Przynajmniej na tyle, na ile można sobie pozwolić bez... małżeństwa. Nie jest potrzebna cielesna bliskość, żeby zostać kochankami.

– Och – rzekła Samantha tonem sugerującym, że została słusznie pouczona.

Wstała. Ta dziewczyna wyraźnie ma urojenia. Anne Rutherford była wyjątkowa. Jaki mężczyzna mógłby się jej oprzeć? Samantha nie zauważyła, żeby Sloan nie poświęcał swojej wkrótce narzeczonej uwagi na przyjęciach wydawanych na cześć rychłych zaślubin Todda i Ginny. Być może całe to weselne zamieszanie sprawiło, że świadomość, iż on sam niedługo stanie się panem młodym, napełniało go lękiem, bo małżeństwo to przecież coś trwałego i nierozzerwalnego? Jednak nie zamierzała ulżyć Anne, podsuwając jej taką możliwość.

Jej gość zdawał się nie zauważać, że według Samantha wizyta dobiegła końca. Anne weszła głębiej w ogromny pokój i omiotła wzrokiem sufit z grubymi belkami, wyłożone drewnem ściany i szerokie dębowe schody wiodące na korytarz na piętrze. Niechęć Samantha wzmogła się jeszcze bardziej. Anne myślała

zapewne o domu w Triple S, którego wnętrze wyglądało bardzo podobnie. Patrzyła na dziewczynę lekko zaszokowana. Panna Rutherford uchodziła rzekomo za wzór towarzyskiej poprawności. A mimo to stała w salonie Samantha, krytycznym wzrokiem obrzucając jego wystrój i umeblowanie, nie bacząc na afront, jaki robiła gospodyni, bezwstydnie wszystko oceniając.

– Mogłabym przywyknąć do takiego miejsca – odezwała się Anne.

– To może być niełatwe – rzekła Samantha z uśmiechem przez zaciśnięte zęby.

Rezydencja Rutherfordów w Fort Worth była przypominającym pałac białym gmachem, zbudowanym jako hołd dla rodzinnej fortuny i wysokiej pozycji towarzyskiej.

– Ale tylko wtedy, kiedy Sloan byłby tego częścią. – Anne odwróciła się i widząc zaciętą minę Samantha, posłała jej słaby uśmiech. – Wybacz, nie jestem dzisiaj sobą.

– Zauważyłam.

Z obfitych rękawów sukni Anne wyłoniła się chusteczka i dziewczyna otarła łzy gromadzące się w jej szafirowych oczach.

– Nie potrafię się odnaleźć w tej sytuacji. Myślałam, że do tej pory Sloan już mi się oświadczy i będę nosiła na palcu pierścionek. Wszyscy oczekują, że się pobierzemy. Jak spojrzę ludziom w twarz, jeżeli... do tego nie dojdzie? Jaki to będzie dyshonor dla mnie i mojej rodziny?

Samantha zezłościła się jeszcze bardziej. A więc to wstyd i drwiny były największym zmartwieniem Anne.

– Kochasz Sloana? – zapytała.

W szafirowych oczach błysnęło szyderstwo.

– Też coś, oczywiście, że kocham. Po co spędzałabym tyle czasu z mężczyzną, którego bym nie kochała?

– Obawiam się, że na to nie potrafię odpowiedzieć, skoro mam tak niewielkie doświadczenie z mężczyznami – odrzekła Samantha. – Zaproponowałabym kawę i bułeczki, ale na mojej głowie jest całe ranczo, ponieważ tatuś pojechał do hrabstwa Cooke, gdzie mamy obóz do spędu bydła.

Tym razem Anne zrozumiała aluzję i sięgnęła po parasolkę, chowając chusteczkę w fałdy rękawa.

– I tak muszę się zbierać, zanim zrobi się upalnie, a poza tym nigdy nie jadam między posiłkami. – Nagle przypomniała sobie o manierach. – Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam – szafirowym wzrokiem omiotła roboczy strój Samantha – w niczym, czym się akurat zajmujesz.

– Ucieszył mnie ten przerywnik – odparła Samantha z uśmiechem. – Dzisiaj rano kastrujemy młode byki.

Anne zbladła.

– Sama trafię do wyjścia – powiedziała.

Rozdział 37

Po południu Samantha odprowadziła Ocalonego na jego ulubione pastwisko w Windy Bluff, z pętlą luźno okalającą mu kark i jaskrawoczerwonymi rogami. Byczek, prawie już tak duży jak Pony, szedł za nią potulnie niczym jagnię. Samotna wyprawa dała Samancie czas na rozmyślenia. Co wstąpiło w Sloana? Nie schlebiała sobie, myśląc, że powodem troski Anne była ich kłótnia. W przeszłości kłócili się wiele razy, ale nigdy nie kwestionowali swoich bratersko-siostrzanych relacji. Czy stosunek Sloana do Anne rzeczywiście się zmienił? „Za kilka lat mój brat przejrzy grę Anne – przepowiedziała kiedyś Millie May. – Mam nadzieję, że stanie się to, zanim ona zdąży go usidlić”.

Czy ten dzień właśnie nadszedł? Za parę tygodni Sloan skończy dwadzieścia cztery lata. Czy to wystarczy, żeby przepowiednia jego siostry się sprawdziła?

Samantha wróciła myślami do ich kłótni i musiała przyznać, że było to coś znacznie poważniejszego niż zwykła sprzeczka. „Nie jesteś moim bratem, Sloanie”. Nigdy nie zapomni zdziwienia, z jakim przyjął te słowa. Po chwili w jego oczach pojawiło się coś innego, inny rodzaj zdumienia. Ale wtedy ona dodała: „Jesteś moim przyjacielem. Nikim więcej”. Jak jakaś idiotka.

W dalszym ciągu była przekonana, że mimo całego „doświadczenia” Anne z mężczyznami, w które wątpiła, dziewczynie tylko się wydaje, że w jej związek ze Sloanem wkradł się chłód. Troski i zmartwienia ranczerów nie miały końca, ale niektóre pojawiały się jak rój pszczoł przysyłających słońce. Może w ciągu tych ostatnich miesięcy Sloan z czymś takim właśnie się borykał. Sytuacja finansowa Triple S nie była tak dobra jak Las Tres Lomas. Sloan bardzo dużo zainwestował w inwentarz rozplodowy, żeby w przyszłości zwiększyć produkcję. Jeśli jakaś zaraza zaatakowałaby jego łąki, kiedy nastanie zima, będzie musiał kupować karmę, ponieważ pomoc Gordonów może okazać się niewystarczająca. Ranczo Singletonów było zadłużone w banku Rutherford City. Samantha przypuszczała, że po ślubie Sloana z Anne dług zostanie umorzony.

Poza tym Sloan wciąż martwił się rozdźwiękiem między nią i ojcem. Tamtego kwietniowego dnia wyszedł z jej pokoju poważnie zatroskany i jego obawy nie zmalały z czasem. „Sam, obiecałem sobie, że nie będę się mieszał w nie swoje sprawy, jak to określiłaś, ale nic na to nie poradzę – szepnął do niej z przejęciem na weselu Todda i Ginny i była to ich pierwsza rozmowa od tamtego feralnego dnia. – Niedawno widziałem w mieście Neala i wyglądał okropnie. Martwię się o niego. Musicie to jakoś między sobą rozwiązać. To jasne, że macie sobie wiele do wyjaśnienia”.

Nie takie jasne dla wszystkich, pomyślała Sam, ale też nie wszyscy się przyglądali. Nawet jej matka nie podejrzewała, że dzieje się coś złego między

mężem i córką. „Przesadzasz”, odpowiedziała Sloanowi, rozglądając się, czy przypadkiem ktoś ich nie podsłuchuje.

„Nie z mojego punktu widzenia”, odparł.

Zanim Samantha zdążyła coś powiedzieć, u boku Sloana pojawiła się Anne i ujęła go pod ramię, Samantha zaś przeprosiła i poszła do stołu z ponczem, nie mogąc znieść pełnego uwielbienia wzroku, z jakim Anne wpatrywała się w Sloana.

W otaczającej ją zewsząd ciszy, od czasu do czasu zakłócanej tylko odgłosami przeżuujących krów i dobiegającym z wysoka krzykiem jastrzębia, Samantha dała się ponieść wyobraźni. Później będzie miała o to do siebie pretensje, ale teraz, z wiatrem łagodnie owiewającym jej twarz, ciepłym siodłem pod udami i z gardłem ściśniętym od przeszywającego ją smutku, wyobraziła sobie, jak by to było, gdyby Sloan ją kochał, nie po bratersku czy przyjacielsku, czy jako córkę jego zastępczego ojca, ale jako kobietę. Od dłuższego już czasu myślała o nim i o sobie w sposób, jaki nigdy nie przeszedł jej nawet przez myśl, gdy jako dzieci włóczyli się po okolicy. Kiedy wspomnienia niewinnych dziecięcych zabaw zamieniły się w seksualne fantazje o mężczyźnie? Pod każdym względem idealnie do siebie pasowali. Nawet dzielące ich różnice uzupełniały się nawzajem. Raz słyszała, jak przyjaciółka jej matki żaliła się, że wyszła za człowieka, którego znała przez całe życie. Niczym nie mogli się już zaskoczyć. „Razem jesteśmy nudni jak para starych butów”, powiedziała. Samantha musiała przyznać, że rzeczywiście byli nudni, ale to nie dotyczyłoby jej i Sloana. Znali się, ale wciąż pozostawały nieodkryte rzeczy, rejony, na myśl o poznawaniu których świerzbiła ją skóra.

W oddali dostrzegła dwa głązy znane jako Windy Bluff. Nigdy nie rozumiała, skąd się wzięła ta nazwa, przecież „bluff” oznacza urwisko, a te skały wyglądały jak górskie szczyty, ale pod taką nazwą widniały w dokumentach przyznających jej prapradziadkowi prawo do własności rancza. Ocalony potrząsnął łbem z ciężkimi rogami, rozpoznając teren, który uważał za swój dom. Samantha westchnęła i odsunęła od siebie marzenia.

– Okay, kolego, jesteśmy na miejscu – powiedziała.

Zsiadła z konia i zdjęła pętlę z karku byka, potem puściła Pony’ego luzem, żeby mógł się napić wody z pobliskiego źródła.

W nocy przeszła wichura, która poruszyła piaszczyste podłoże, znajdujące się jedynie w tej części rancza. To był morski piach, żywy dowód, że przed milionami lat Las Tres Lomas pokrywała woda, która cofając się, pozostawiła tę łachę piachu, porośniętą kępkami trawy rzadkimi jak włosy na łysiejącej głowie.

Samantha potknęła się o coś i spojrzała w dół, przekonana, że natrafiła na odprysk skały. Przyjrzała się dokładniej, po czym kucnęła, żeby jeszcze uważniej zbadać przedmiot. Poczula lodowaty dreszcz na plecach. Przyklękła i odgarnęła piach i kamienie. Nabrała całkowitej pewności. To, co odkrył nocny wiatr – nie mogło być inaczej – wyglądało na skamieniałą głowę prehistorycznego zwierzęcia,

znanego jej tylko ze zdjęć w gazetach i rysunków w jej książkach o paleontologii. Nie posiadając się z podniecenia i wstrzymując oddech, delikatnie odgarniała piach. Reszta czaszki, jeśli rzeczywiście nią była, tkwiła głęboko w ziemi, zachowana w miejscu, w którym zwierzę padło. Nie chcąc niczego zniszczyć, Samantha przestała grzebać w piachu. Jeśli się nie myliła, miała przed sobą czoło, tępy nos i nienaruszoną szczękę dinozaura.

Szokujące odkrycie wprawilo całe jej ciało w drzenie. Podniosła się i ostrożnie podeszła do Pony'ego, wzrokiem szukając w ziemi innych szczątków. Todd Baker musi to zobaczyć. Musi się z nim skontaktować i poprosić, żeby przyjechał natychmiast i ocenił jej znalezisko. Jeśli dobrze zgadywała, Todd ze swoim geologicznym wykształceniem będzie wiedział, co robić i do kogo skierować prośbę o dalszą analizę. Być może Windy Bluff okaże się wielkim cmentarzyskiem dinozaurów, jak to znalezione w Garden Park w Kolorado albo w Camp Bluff w Wyoming, odkryte pod koniec lat siedemdziesiątych.

Podeksytowana znalezieniem takiego skarbu Samantha otworzyła bramę dzielącą Las Tres Lomas od Triple S i popędziła Pony'ego w kierunku rozległego domu Singletonów. Stamtąd zatelefonuje do Todda, który pracował w Waverling Tools w Dallas. Zapomniała o zmartwieniach, jakich przysparzali jej ojciec, Sloan i Anne Rutherford, myśląc jedynie o ogromnym znaczeniu jej znaleziska. Kiedy chodziła do szkoły, nauka o dinozaurach była stosunkowo nowym działem paleontologii. Pierwszy kompletny szkielet dowodzący ich istnienia i dający pojęcie o ich wyglądzie został znaleziony w Haddonfield w New Jersey w 1858 roku, co zapoczątkowało gorączkowe polowanie na dalsze dowody, opisywane w gazetach jako „złota era” paleontologii dinozaurów.

Można było przypuszczać – z naukowego punktu widzenia – że pysk i szczęka należały do przedstawiciela gatunku zauropodów, największych znanych zwierząt zamieszkujących ląd. Ich ciała były ogromne, zwierzęta te miały niezmiernie długie szyje i ogony oraz malutkie łby, mierzące niecały metr. Samantha przypomniała sobie, że roślinożerne zauropody żyły w stadach, co podeksytowało ją jeszcze bardziej – może podczas prac archeologicznych znajdą setki podobnych skamielin? Stada przychodziły pić wodę w ogromnym zbiorniku pokrywanym kiedyś Las Tres Lomas de la Trinidad.

W oddali dało się już wyczuć dym z ognisk, słychać też było szorstkie męskie głosy i ryczenie bydła. Odetchnęła z ulgą. Na ranczu cechowali dzisiaj bydło, jak zawsze pod nadzorem Sloana. „Wciąż musi się wykazywać”, twierdziła Millie May, Samantha jednak wiedziała, że Sloan był ranczerem, który uważał, że wszystkiego należy doglądać osobiście. „Od tego ma się zaufanych nadzorców”, upierała się jego siostra podczas jednej z wielu sprzeczek na temat prowadzenia rancza.

Wreszcie pokazał się dach z czerwonej dachówki domu leżącego

w zagłębieniu, otoczonego ogrodami, zabudowaniami gospodarczymi i korralami. Białe ściany lśniły w popołudniowym słońcu. Zbliżając się, Samantha dostrzegła kobietę i mężczyznę wychodzących przez drzwi kuchenne. Podeszli do konia przywiązanego w miejscu niewidocznym z okien i nagle mężczyzna ujął w dłonie twarz kobiety i pocałował ją długo i namiętnie. Samantha powstrzymała Pony'ego. Mężczyznę widziała tylko kilka razy, ale natychmiast rozpoznała w nim Daniela Lane'a, kobietą zaś, którą trzymał w ramionach, była Billie June Singleton.

Musieli usłyszeć, że ktoś nadjeżdża. Mężczyzna, dość wysoki, by spojrzeć ponad ogrodzeniem, obrócił głowę i ujrzał Samanthę na szczycie niewielkiego wzniesienia na wprost domu. Skinęła mu głową i skierowała Pony'ego do głównego wejścia, przekonana, że pod mocną opalenizną twarz mężczyzny zrobiła się biała jak kreda.

Millie May otworzyła drzwi, zanim Samantha zdążyła wejść na werandę.

– Słyszałam, jak nadjeżdżasz – powiedziała. – Dzięki Bogu, że to ty.

– Spodziewałaś się nieproszonego gościa? – zapytała Samantha sucho, doskonale wiedząc, o kogo chodzi.

Zdenerwowana Millie May uściskała ją na powitanie.

– Przynajmniej nie w tej chwili. Miło cię widzieć, Samantho, chociaż twój przyjazd jest niespodzianką. Co cię do nas sprowadza?

– Telefon, jeśli pozwolisz. Muszę zadzwonić do Dallas. To ważne.

– Ależ oczywiście, nawet gdyby nie było. Dzisiaj w centrali pracuje Sue Ann. Szybko cię połączy, tym bardziej że dzwonicz stąd. – Millie May uśmiechnęła się, odsłaniając uszczerbiony ząb, pamiątkę po męskiej pięści, która trafiła ją w czasie marszu protestacyjnego kobiet. – Sue Ann kocha się w Sloanie.

Jak my wszystkie, pomyślała Samantha.

Telefonistka w miarę szybko zlokalizowała numer w Waverling Tools i Samantha odetchnęła z ulgą, słysząc głos Todda Bakera.

– Todd Baker przy telefonie.

Był bardzo dumny, że ma w gabinecie własny aparat, podczas gdy niektórzy z jego kolegów musieli chodzić do telefonu w recepcji. Wiedząc, że inni słyszą ich rozmowę, Samantha oparła się pokusie, żeby wyjawic jej powód, mówiąc tylko, że musi się jak najszybciej zobaczyć z Toddem w sprawie, która wymaga jego wiedzy eksperta. Gdyby mu powiedziała, że chyba znalazła częściową czaszkę dinozaura, wieść rozeszłaby się lotem błyskawicy i w Las Tres Lomas zaroiliby się od zapalonych poszukiwaczy, którzy mogliby zdeptać i zniszczyć znalezisko. Todd wyczuł podniecenie w jej głosie. Bez zbędnej zwłoki stwierdził, że najwcześniej będzie mógł przyjechać w sobotę. Pociągiem o 7.40 do Fort Worth. Czy Samantha zechce odebrać go ze stacji i... czy Grizzly na sobotnie śniadanie wciąż podaje naleśniki z kiełbasą?

Kiedy odwiesiła słuchawkę, przez wahadłowe drzwi do kuchni wbiegła

Billie June, z policzkami w kolorze jej koralowej kamei.

– Widziałas go, prawda? – zapytała Samanthę.

– Kogo?

– Przecież wiesz.

Millie May stanęła w drzwiach salonu.

– Dużo ryzykuje, pojawiając się tutaj, siostrze.

– Wiem, ale co mieliśmy zrobić? – odparła Billie June. – Jedzie na jakiś czas do Beaumont w jakiejś sprawie Waverling Tools i chciał się ze mną zobaczyć przed wyjazdem. – Spojrzała błagalnie na Samanthę. – Nie powiesz o nas Sloanowi, prawda?

– Oczywiście, że nie – uspokoiła ją Samantha. – Zresztą twój brat i ja rzadko ostatnio rozmawiamy.

– Szkoda – powiedziała Millie May ze smutkiem. – Może wtedy wiedziałabyś, co zaszło między nim a tą świętoszką. Zostaniesz na kawę?

Samantha zdjęła kapelusz i rękawiczki, czując lekką euforię. Więc Anne jednak nie miała przywidzeń.

– Naturalnie – odrzekła.

Rozdział 38

„Niech to szlag trafi!”, klął Daniel Lane, oddalając się od domu w Triple S i od miejsca, w którym, jak wiedział, parobkowie pracowali pod okiem Sloana Singletona. Dziewczyna Gordonów widziała go w uścisku z Billie June, a im mniej ludzi wiedziało o ich wciąż trwającym związku, tym lepiej. Przynajmniej na razie. Zanim pojawiła się Samantha, jedyną osobą dopuszczoną do tajemnicy była Millie May. Nie pochwałała tego, ale z miłości do siostry trzymała buzię na kłódkę, bo kto wie, do czego w rozpaczy zdolna byłaby się posunąć Billie June. Lepiej było z nią nie zadzierać, kiedy wpadała w szal.

Była to jedna z tych rzeczy, które mu się w niej podobały. Dzięki temu łatwiej było im się spotykać w co drugą sobotę na stacji kolejowej między Fort Worth i Dallas. Mieściła się tam niewielka kawiarenka z ogródkiem z tyłu, gdzie mogli się trzymać za ręce i całować. To im musiało na razie wystarczyć, zanim znajdą jakieś lepsze miejsce na spotkania. Billie June była gotowa na o wiele więcej, gdyby tylko mogli przebywać gdzieś bez świadków, on jednak wołał z tym poczekać, aż uzna, że sytuacja do tego dojrzała.

Dzisiaj po raz pierwszy zaryzykował przyjazd na ranczo. Jeśliby został przyłapany, mieli we trójkę przygotowaną odpowiednią historyjkę. Millie May przysięgnie, że Daniel Lane zjawił się z czysto zawodowych powodów. Wiedziała, że nikt nie zdoła naprawić ulubionej pary ostróg jej ojca, które obiecała przekazać wzniesionemu w Fort Worth muzeum poświęconemu wkładowi miejscowych ranczerów w rozwój hodowli bydła. Millie May rzeczywiście zajmowała się pozyskiwaniem eksponatów.

Ostrogi wciąż leżały na werandzie z tyłu domu, nietknięte, a Daniel zmykał ile sił w nogach. Zastanawiał się nawet, czy nie zabrać ostróg i ich nie naprawić, by dodać ironii dniu, w którym założy je na złość Sloanowi Singletonowi, ale potem sobie pomyślał: Do licha, on nie chce nosić ostróg ojca, tylko syna. I tak się stanie. Na razie nie wiedział jeszcze, jak do tego dojdzie, ale pracował nad tym i póki co wszystko szło zgodnie z planem.

Po prawdzie spotykałby się dalej z Billie June dla niej samej, gdyby ten jej braciszek się nie wtrącał, ale pozostawiłby sprawy własnemu biegowi. Danielowi nie zależało na pieniądzach panny Singleton ani na ranczu, jak oczywiście zakładał Wielki Pan Ważniak. Cholera, ani trochę. Billie June była brzydka jak noc i pięć lat od Daniela starsza. Z czasem by mu się znudziła i poszedłby w swoją stronę. W dniu, kiedy Sloan Singleton przyjechał na piknik na swoim rasowym koniu, w towarzystwie uzbrojonych osiłeków, i na oczach wszystkich zrobił z niego głupka, Daniel nie chciał od jego siostry niczego poza miłą towarzyską odskocznią od codziennej ciężkiej pracy.

Zaczął się od tego, że zrobiło mu się Billie June żal. Któregoś dnia przyjechała do kuźni Chandlera, zdyszana, zmartwiona, roztrzepotana jak mały wróbelek. Jej ulubiony koń zgubił podkowę i bała się, że wyszczerbił sobie kopyto albo że stanie się jeszcze coś gorszego.

– Och, panie Chandler, błagam, niech pan pomoże Bo – szlochała. – On...

I wtedy jej wzrok padł na Daniela, rozebranego do pasa, ze lśniąco umięśnioną piersią i potężnymi bicepsami. Pracował akurat przy kowadle i przerwał, kiedy się zjawiła. Pan Chandler zauważył, jak Billie June gapi się na jego pracownika.

– Danielu, może lepiej ty sprawdź, o co chodzi pannie Singleton – powiedział, puszczając do niego oko.

Daniel nie był z zawodu podkuwaczem koni i generalnie się tym nie zajmował. Był kowalem, mistrzem w swoim fachu, potrafiącym dokonywać cudów z metalem, ale mimo to obejrzał kopyto konia, usunął z niego kamień i podkuł na nowo.

Następnego dnia Billie June zjawiła się znowu.

– Chyba zgubiłam tu rękawiczkę – oznajmiła. – Nie znalazł jej pan przypadkiem?

– Nie, panienko, nie znalazłem – odparł Daniel i krzyknął do szefa. – Panie Chandler, widział pan rękawiczkę panny Singleton?

Szef z błyskiem rozbawienia w oczach potrząsnął przecząco głową.

– Nie wydaje mi się.

– Och – powiedziała Billie June i przyłożyła dłonie do policzków, jakby się zastanawiała. – Może zgubiłam ją gdzieś indziej.

Daniel zapytał o Bo. Billie June przyjechała powozikiem zaprzężonym w innego konia.

– Cóż... wydaje mi się, że wciąż oszczędza tę nogę – odrzekła i popatrzyła na niego wielkimi z nadziei oczami. – Czy może... nie chciałabym się narzucać... ale może... mógłby pan wstąpić na ranczo i jeszcze raz obejrzeć mu kopyto?

– Może być w sobotę po południu? Mam wtedy wolne.

Jej brzydka twarz pojaśniała, jakby ktoś zapalił świeczkę.

– Doskonale – rzuciła.

Później dowiedział się, że Sloan Singleton sobotnie popołudnia i wieczory spędza z udzielającą się dobroczynnie panną z towarzystwa, niejaką Anne Rutherford. Kiedy Daniel zjawił się w tę pierwszą sobotę, Billie June wystroїła się jak na bal i pachniała niczym różany ogród. Na osłoniętej werandzie na tyłach domu czekały lemoniada i świeżo upieczone ciasteczka. Obejrzał kopyto Bo, z którym wszystko było w porządku, po czym usiadł razem z panną Singleton na werandzie i pogrążyli się w rozmowie. Gdy minęła pierwsza nieśmiałość i zastąpiło ją naturalne ożywienie, Daniel ze zdumieniem stwierdził, że Billie June jest

najciekawszą osobą, jaką zna. Kompletnie zapomniał o jej trochę krzywym nosie, zbyt gęstych brwiach jak na tak drobną twarzyczkę i koślawej szczęce. Zauroczył go sposób, w jaki używała swoich zgrabnych dłoni, niczym dyrygent kierujący chórem, i uwielbiał jej śmiech, który brzmiał jak muzyczne dzwonki, przede wszystkim jednak zachwycała go jej inteligencja. Oboje lubili czytać – on kiedy tylko miał dostęp do jakiejś książki – i rozmawiali o ulubionych autorach; nie znał większości książek, o których ona mówiła.

– Och, musi je pan przeczytać! – wykrzyknęła. – Z radością pożyczę panu moje.

Wyjeżdżał z sakwą przy siodle po brzegi wypełnioną tomiszczami.

– Jak je pani oddam? – zapytał.

– Spotkajmy się znowu tutaj, o tej samej porze, za dwa tygodnie – zaproponowała. – Wtedy sobie o nich porozmawiamy.

I tak zaczęła się ich przyjaźń, przynajmniej ze strony Daniela. Doskonale wiedział, że Billie June ma nadzieję na coś więcej, on jednak nie zamierzał tej nadziei spełnić. Czuł się samotny. Billie June też. I na tym koniec. Mieli mnóstwo tematów do rozmowy. Ją ciekawiło, w jaki sposób tworzył przedmioty z żelaza i stali – „arcydzieła!”, jak je nazywała – on zaś lubił słuchać wszystkiego, o czym mówiła, od problemów społecznych poczynając, na miejscowych plotkach kończąc. Z niecierpliwością czekał na te soboty; stanowiły oderwanie od kuźni i dawały pretekst, by się wykąpać. I musiał przyznać, że schlebiało mu, iż spotyka się z damą w eleganckim domu zamiast z ladacznicą w łóżku na piętrze saloonu.

Zamierzał kontynuować tę znajomość w takiej właśnie formie – aż do pikniku z okazji Czwartego Lipca, kiedy poczuł, że jego wnętrzności eksplodują niczym opakowanie fajerwerków. Dla właściciela Triple S mógł być zwykłym, cuchnącym potem pomocnikiem kowala, ale nigdy żaden mężczyzna nie potraktował go z taką pogardą. Sloan Singleton zapłacił mu za to publiczne upokorzenie. Daniel wyrówna z nim rachunki. Billie June przywykła do robienia z siebie widowiska, głosząc swoje radykalne poglądy na temat praw kobiet i zwierząt. Nic z tego jednak nie umniejszało jej pozycji w oczach mieszkańców miasta, była jak komar, który nie obali przecież dębu. Nosila nazwisko Singleton, należała do ziemiańskiej szlachty, Daniel Lane zaś był nikim. Cieszył się jedynie skromną reputacją, jaką sobie wyrobił, tworząc istne cuda z metalu – lecz miał swoją godność, którą Sloan Singleton podeptał. Daniel nie zamierzał zostać w kuźni Chandlera jak wychłostany pies. Przeczytał ogłoszenie, że Waverling Tools poszukuje pracownika znajdującego się na kowalstwie artystycznym, i odpowiedział na nie. Pan Chandler dał mu doskonałe referencje i Daniel został przyjęty w zaledwie kilka dni. Wyjechał do Dallas, zostawiając Billie June z obietnicą, że nie zniknie z jej życia. W Waverling Tools odnalazł swoją nirwanę.

Rozpoczął pracę, ale nie jako zwykły kowal. Kiedy Trevor Waverling

odkrył, co Daniel potrafi wyczarować z kawałka metalu za pomocą młotka i dłuta, przeniósł go do działu zajmującego się projektowaniem narzędzi wiertniczych. W ciągu kilku tygodni Lane usprawnił uchwyt tokarski do rur wiertniczych. Teraz pracował nad mocniejszą stalową obudową mającą zabezpieczyć ściany otworu wiertniczego przed zawaleniem się w czasie wiercenia, co było jednym z największych koszmarów poszukiwaczy ropy. Wszystkie te pomysły szef zgłosił do opatentowania pod nazwiskiem swojego nowego projektanta, za co firma zapłaciła, z zastrzeżeniem że Waverling Tools przez pięć lat będzie otrzymywać dziewięćdziesiąt procent ze sprzedaży wynalazków Lane'a. Daniel na to przystał, pod warunkiem jednak, że własność patentowa zostanie mu ostatecznie zwrócona.

Firma zaczęła produkować wieże wiertnicze i inne narzędzia niezbędne do wierceń, lecz jeszcze nie była gotowa, żeby zająć się dzierżawieniem praw do złóż mineralnych, choć wszystko ku temu właśnie zmierzało. Trevor Waverling nie śpieszył się, ale też nie tracił czasu. Uczył się i przygotowywał, co Danielowi bardzo się podobało, gdyż było odzwierciedleniem jego własnych metod postępowania. Od momentu znalezienia ogromnych złóż ropy naftowej w Corsicanie jego szef widział zbyt wielu rzucających się na przemysł naftowy inwestorów, którzy kończyli z suchymi szybami i pustymi kieszeniami. Do wyszukiwania roponośnych pól zatrudnił błyskotliwego geologa, Todda Bakera, swojego syna, Nathana Hollowaya, szkolił zaś na landmana. Obaj stanowili doskonale zgrany zespół, o czym Daniel się przekonał, gdy wszyscy trzej pojechali do wschodniego Teksasu, by sprawdzić tam „anomalie ziemne”, które według farmera świadczyły niezbicie o obecności ropy. Na miejscu okazało się, że farmer wszystko to sobie tylko wyobrażał. Todd Baker zbadał rozpadlinę i stwierdził, że to jedynie zwykłe pęknięcie w glebie spowodowane suszą i nic nie wskazywało na to, by pod nią znajdowało się złożo ropy. Ponieważ spekulantów ropą i gazem ogarnęła istna gorączka, niektórzy geolodzy najpierw by uwierzyli, a zbadali dopiero potem, landmani zaś położyliby przed farmerem umowę, zanim w ogóle spojrzeliby na rozpadlinę, jednak nie Todd i Nathan. Żaden nie poważyłby się zaryzykować czasu i pieniędzy ich szefa, kupując kota w worku, jak zdarzało się to wielu innym.

Tak jest, Daniel związał się z firmą, w której pokładał ufność, że nie wypadnie z interesu. Właśnie dzięki Waverling Tools zamierzał wyrobić sobie markę – zostać kimś – ponieważ chciał nauczyć się wszystkiego, co tylko się da, o przemyśle naftowym i stół projektowy zamienić na udział w operacjach firmy. Dowodem na to była misja, z którą szef wysłał go do Beaumont, słynącego z produkcji drewna w południowo-wschodnim Teksasie. Miał się tam spotkać z człowiekiem o nazwisku Anthony Lucas, który jak szalony krążył po całym stanie i jeździł do wielkich kompanii naftowych, żeby przekonać inwestorów i nafciarzy, że pod wysadem solnym, przez miejscowych nazywanym Spindletop

Hill, znajduje się ropa. Niezachwiana wiara Lucasa zwróciła uwagę Trevora Waverlinga, co doprowadziło do przydzielenia Danielowi jego misji. Miał pojechać do Beaumont, żeby sprawdzić, czy facet nie próbuje przypadkiem sprzedać mrzonki wyssanej z palca. Zbada przeszłość Lucasa, jeśli to możliwe, porozmawia z inwestorami, do których Lucas się zwrócił, i obejrzy wysad, by znaleźć jakiś dowód, że poza upartym przekonaniem gościa rzeczywiście znajduje się tam jeszcze coś oprócz soli.

Daniel zdobył się na odwagę, żeby zapytać szefa, czemu jest tym zainteresowany, tłumacząc, że ta informacja może mu pomóc w dochodzeniu.

– Być może zdecyduję się wypożyczyć urządzenia wiertnicze Waverling Tools za darmo w zamian za udział w złożu, jeżeli zostanie odnalezione – odparł Trevor. – Jeżeli do tego dojdzie, będziesz co jakiś czas jeździł na miejsce odwiertu, żeby przeprowadzać kontrole konserwatorskie i naprawiać sprzęt, gdyby zaszła taka potrzeba. Poza tym chciałbym, żebyś miał oczy i uszy otwarte i informował mnie o wszystkim, co zobaczysz i usłyszysz. Rozumiesz, o co cię proszę?

– Tak, proszę pana, rozumiem – odparł Daniel. Miał być złotą rączką i szpiegiem. Oba stanowiska bardzo mu odpowiadały, ponieważ nie dość, że oznaczały większe kompetencje, to jeszcze umacniały jego pozycję w firmie.

– Masz na to wszystko tydzień, a na poniedziałkowym zebraniu wysłuchamy, co będziesz miał nam do powiedzenia – rzekł Trevor Waverling. – Od twojego raportu będzie zależało, czy osobiście pojedę do Beaumont, żeby złożyć Lucasowi ofertę.

– Ma pan moje słowo, że dokładnie zajrzę temu koniowi do pyska i sprawdzę każdy ząb – zapewnił go Daniel. – Nie zawiodę pana.

– Wiem o tym – odparł szef.

Żeby wyrównać z kimś rachunki, trzeba go pokonać jego własną bronią. Bronią Sloana Singletona były bogactwo i władza. Kiedyś Daniel znajdzie sposób, żeby go zrzucić z tego piedestału. Przemysłu naftowego zamierzał się nauczyć przy pomocy ludzi znających się na rzeczy i mogących zaspokoić jego ambicje, i podobnie tego, czym zajmuje się Sloan Singleton, nauczy się za pośrednictwem jego siostry, Billie June.

Rozdział 39

Wczesnym rankiem w sobotę Todd Baker wsiadł do pociągu linii Texas Pacific, żeby odbyć dwugodzinną podróż z Dallas do Fort Worth, i kiedy pociąg wtoczył się na stację, zobaczył czekającą na niego na peronie Samanthę. Wystarczył mu rzut oka przez okno przedziału, by się domyślić, że coś się stało. Samantha chodziła tam i z powrotem, jakby pozostawianie w ruchu mogło przyspieszyć pociąg. Żona Todda, Ginny, która uwielbiała Samanthę i ogromnie za nią tęskniła, błagała, żeby pozwolił jej jechać z nim, bo chciała, by we trójkę spędzili dzień, Todd jednak delikatnie ją od tego odwiódł. (Zresztą Ginny nie lubiła naleśników z kiełbasą).

„Sam powiedziała, że potrzebuje mojej ekspertyzy, kochanie, i to bardzo pilnie. Dlatego zgaduję, że gdzieś na terenie Las Tres Lomas znalazła coś, co chciałyby, żebym zbadał: jakąś formację skalną albo morską pozostałość. Ty musiałabyś tkwić w tym wielkim domiszczu całe godziny, chyba że wybrałabyś się z nami, a – tu uśmiechnął się i pocałował ją szybko – szczerze wątpię, żebyś miała na to ochotę”.

„Racja”, skwitowała Ginny. Wolałaby, żeby po krótkim badaniu jakiegoś kamyka albo skamieliny zjedli razem lunch i trochę sobie poplotkowali.

Todd miał na sobie strój do jazdy konnej, na wypadek gdyby musieli pojechać w jakiś odległy zakątek rancza, i przez okno zobaczył, że Samantha była ubrana podobnie. Cóż ona takiego znalazła? Todd był dobrze zapowiadającym się geologiem. Czy Samantha poprosiłaby go – przyjaciela, ale na pewno nie powiernika – żeby przyjechał jak najszybciej, gdyby nie znalazła czegoś, co mogłoby go zawodowo interesować? Na pewno nie chodziło o żaden wyciek ropy czy wydzielający się z jakiejś szczeliny gaz, chociaż Todd, podobnie jak Trevor Waverling, wierzył, że Centralne Równiny obfitują w złoża ropy i gazu ziemnego, co potwierdzały wiele mówiące ślady ropy znalezione na powierzchni ziemi i liczne siarkowe źródła. Gdyby jednak Samantha znalazła coś takiego na terenie Las Tres Lomas, zatrzymałaby to dla siebie. Była absolutnie przeciwna wierceniom na terenach uprawnych i pastwiskach.

Przez kilka minut, które zostały mu do opuszczenia pociągu, mógł przez okno przyjrzeć się przyjaciółce. Co będzie z Samanthą Gordon? Postanowiła pójść w ślady swojego staromodnego ojca, który tę decyzję podjął za nią. Czy była skazana na spędzenie reszty życia w Las Tres Lomas, wiedzona źle pojętym poczuciem obowiązku jako córka hodowcy bydła? Cóż za tragiczne marnotrawstwo! Samantha posiadała najczystszy naukowy umysł, z jakim Todd kiedykolwiek się spotkał. Taki umysł musiał być nieustannie otwarty na nowe idee, pomysły i teorie podważające utrwalone poglądy. W Simmons Preparatory School

Samantha znana była ze swego uporu. Nie wyciągała wniosków, jeżeli nie opierały się na szczerym pragnieniu poznania prawdy. Todd doskonale wiedział, że przeciwnie niż inni naukowcy Samantha bez problemu odrzucała z góry ustalone poglądy i przestarzałe przekonania i skłaniała się ku nowym wnioskom, jeżeli na ich potwierdzenie istniały odpowiednie dowody. Nigdy nie zapomni, jak któregoś dnia podczas doświadczenia przeprowadzanego w laboratorium zakwestionowała przyjętą teorię, że ropa pochodzi ze skamieniałych szczątków zwierząt i roślin pogrzebanych w starych pokładach skalnych. Jej mikroskop i zlewka pokazały, że mimo iż ropa zawiera chemiczne cząsteczki znajdujące się w żywej materii, sama lepka ciecz nie powstała z żywych niegdyś organizmów. Na tej podstawie wysunęła hipotezę, że pochodzenie ropy nie zostało jak dotąd odkryte. Spotkało się to z oburzeniem ich profesora. Czy w takim razie Samantha potrafi wyjaśnić, czemu złoża ropy tak często znajdują się w pobliżu pozostałości prehistorycznych form życia?

Poza tym, dumiał dalej Todd, jak tkwiąc na ranczu, Samantha znajdzie wartego siebie mężczyznę, który będzie ją kochał i cenił, tak jak on kochał i cenił swoją Ginny? Jedynym, o którym Todd wiedział, że jej dorównuje – Todd nie miał co do tego wątpliwości – był Sloan Singleton, ale on zamierzał poślubić tę głuptaskę, Anne Rutherford. Co Sloan w niej widział poza urodą, przekraczało możliwości pragmatycznego umysłu Todda. Może wolał Anne od Sam właśnie dlatego, że Anne była głuptaską, kimś, kto mu się podporządkuje. Pod tym względem Samantha zupełnie nie nadawała się dla Sloana. Todd westchnął. Ginny, wielbicielka poezji, zacytowałaby zapewne fragment wiersza Thomasa Graya: *Ileż kwiatów marnuje swój czar na uboczu...*⁴.

– Zauropod! – wykrzyknął Todd, kiedy Samantha wytłumaczyła mu powód, dla którego poprosiła go o przyjazd. Zdumienie w jego głosie rozległo się na peronie, przyciągając wzrok zgromadzonych ludzi. – Jesteś pewna?

– Nie, i dlatego właśnie poprosiłam, żebyś przyjechał, ale jestem prawie pewna. Przyproceedziłam osiodłanego konia. Przyjechałabym wozem, lecz wtedy musielibyśmy zostawić go w stodole i tam przesiąść się na konie. A tak pojedziemy prosto do Windy Bluff.

Todd zrobił zawiedzioną minę.

– Co? A naleśniki z kielbasą?

– Potem, kiedy obejrzysz moje znalezisko. Prawie zwariowałam, czekając na ciebie przez cały tydzień.

Nieco ponad godzinę później Todd siedział w kucki obok częściowo odsłoniętej czaszki. Odgarnął piasek i uważnie oglądał krawędzie nosa i szczęki.

– Według mnie to cechy typowe dla dinozaurów. Chyba naprawdę coś odkryłaś, Samantho. Większość znalezionych dotąd szkieletów nie ma głów. Czaszki dinozaurów były takie małe i kruche, że kiedy zwierzę padło, głowa

rozkładała się jako pierwsza.

– Do kogo powinnam się z tym zwrócić? – zapytała Samantha. – Do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku?

– Tak będzie chyba najlepiej, a ja skontaktuję się z kolegą w Muzeum Historii Naturalnej Peabody w Yale. Pracuje u nich paleontolog od kręgowców. – Todd wstał, otrzepując piach z rąk. – Widzę, że masz ze sobą kodaka. Zrób zdjęcia pod każdym kątem i wyślij do muzeum z listem, w którym opiszesz swoje znalezisko. Na razie trzeba ten cały teren odgrodzić... – Przerwał, wpatrując się w coś. – Na Boga, a cóż to jest?

Żeby zrobić zdjęcie kodakiem, fotograf musiał trzymać go na wysokości pasa, wycelować i przekręcić gałkę.

– O co chodzi? – zapytała Samantha, skoncentrowana na uchwyceniu odpowiednich kątów w tej dość niewygodnej pozycji.

– To stworzenie – odparł Todd, pokazując palcem.

Samantha spojrzała we wskazanym przez niego kierunku. Uśmiechnęła się.

– Och, to Ocalony, byczek, którego karmiłam butelką, kiedy jego mama umarła.

Byczek, z końcówkami rogów w kolorze wścieklej czerwieni, podszedł stosunkowo blisko i zaczął się im przyglądać. Klacz Todda zarżała i nerwowo machnęła ogonem. Samantha wybrała właśnie ją, bo była łagodna. Jej kolega geolog, mieszcuch z krwi i kości, nie przywykł do siodła.

– A po co ta farba na jego rogach?

– Żeby go odróżnić od reszty byków przeznaczonych na sprzedaż. To osobista historia.

– Wygląda przerażająco.

– Nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Cóż, w takim razie... – Todd obrócił się z ożywieniem do Samanthy. – Mogłabyś mi zrobić na nim zdjęcie, dla Ginny? Na pewno będzie pod wrażeniem.

Samantha się roześmiała.

– Na pewno ją to rozbawi – odrzekła. – Oczywiście, że zrobię ci zdjęcie, przynajmniej w ten sposób mogę ci się odwdziżyć, za to, że przyjechałeś z tak daleka. Poczekaj, muszę przygotować Ocalonego.

Todd zachował bezpieczny dystans, kiedy Samantha gładziła byczka po uszach i łagodnie do niego przemawiała. Wreszcie przywołała Todda gestem.

– Nie przestrasz go – powiedziała. – To dla niego nowe doświadczenie. Bardzo łagodnie przełóż mu nogę przez grzbiet. O tak. A teraz siedź spokojnie i uśmiechaj się jak pijany poganiacz bydła.

Podczas gdy Samantha przygotowywała aparat, byk nagle zaryczał w proteście, czym wystraszył klacz Todda. Zarżała głośno i szarpnęła wodze, luźno przywiązane do słupa przy bramie. Wodze opadły i osiodłany koń puścił się pędem

przez pastwisko w stronę bezpiecznej stajni. Ocalonemu najwyraźniej pomysł się spodobał, bo także zaczął pędzić, tyle że w przeciwnym kierunku. Samantha z otwartymi ustami patrzyła, jak byczek gna z podskakującym Toddem na grzbiecie, który próbował się ratować, kurczowo trzymając się rogów zwierzęcia. Jego długie, chude nogi w czarnych spodniach sterczały jak u stracha na wróble.

– Samantho! – wrzeszczał.

Pony obrócił łeb i spojrzał pytająco. Co jego pani zamierza zrobić? Jeśli rzuci się w pogoń konno, byk może biec dalej i, co gorsza, nawet zrzucić Todda, który nie utrzyma się na nim zbyt długo. Postanowiła, że pobiegnie za nimi w nadziei, że Todd po prostu puści rogi byka i zsunie się po jego zadzie.

Geolog dokładnie tak zrobił, ale dopiero kiedy stracił wiarę, że byk wreszcie zwolni. Wylądował twarzą w dół. Trafił nosem w ziemię i usłyszał, jak zwierzę zwalnia i zaczyna skubać trawę. Bogu niech będą dzięki, pomyślał. Przynajmniej go nie strąca ani nie pożre, mszcząc się za zranioną dumę. Minęło kilka minut, nim poczuł, że jest w stanie się poruszyć. Znajdował się na odległym krańcu rancza, gdzie prawie nigdy nie powstała ludzka stopa. Nagle, gdy zaczął odzyskiwać czucie, uniósł nieco głowę, przyjrzał się ziemi, powąchał, po czym mocno przycisnął nos do gleby. Natychmiast rozpoznał ten zapach. Rany boskie! Podniósł się powoli na nogi, nie pamiętając już o szalonej przejażdżce i bolesnym upadku. Ujrzał biegnącą ku niemu Samanthę. Była jeszcze dość daleko, miał więc czas, żeby zebrać do chusteczki garść ziemi i upchnąć swój skarb głęboko w kieszeń.

– Coś ci się stało? – zawołała Samantha.

– Nie, jestem cały i zdrowy – odparł Todd.

Zerknął na wznoszące się nieopodal skały znane jako Windy Bluff i jego radość jeszcze się wzmogła. Z przodu formacja wyglądała jak zwyczajne strome i potężne głazy, ale z miejsca, w którym stał, dostrzegł, że tworzyły one geologiczny fałd – układające się faliście warstwy osadowe, które mówiły same za siebie. Samantha w końcu do niego dobiegła.

– Udało ci się zrobić mi zdjęcie, zanim Ocalony zabrał mnie na przejażdżkę? – zapytał z udawaną nonszalancją, starając się zatuszować pulsujący ból w nosie i wewnętrzne podniecenie.

– Tak – odparła i zaczęła się śmiać.

– Co cię tak rozbawiło?

– Twój nos. Cały jest upakowany ziemią.

Rozdział 40

Samantha nie posiadała się ze zdziwienia.

– Nie zostaniesz na naleśniki z kiełbasą Grizzly’ego? Zrobił je specjalnie dla ciebie, bo w trzecią sobotę miesiąca podaje gulasz wołowy z jajkami.

– Och, Sam, nie. Obiecałem Ginny, że wrócę najszybciej, jak to możliwe. – Pomasował się po pośladkach. – Możesz odwieźć mnie na stację wozem?

Przed stacją uścisnęli się po bratersku. Todd miał nadzieję, że Samantha nie wyczuje, jak bardzo jest spięty, i nie zechce zaczekać, aż wsiądzie do pociągu i odjedzie. Powiedziała mu, że resztę dnia i noc spędzi u matki i przygotowuje aparat, żeby w poniedziałek wysłać go do Eastman Kodak Company w Rochester w stanie Nowy Jork, gdzie wywołają film. Prześle mu odbitki zdjęć, jak tylko je dostanie, żeby mógł posłać je do kolegi w Yale.

Todd myślał gorączkowo. Decyzja Samantha o pozostaniu na noc w Fort Worth bardzo mu odpowiadała. Martwiło go co innego.

– Osobiście wyślesz aparat, tak? – zapytał zdenerwowanym głosem.

Samantha się zdziwiła.

– Nie, skądże. Jimmy albo Mildred zainoszą go na pocztę. Ponieważ tatuś wyjechał, jutro z samego rana muszę wracać na ranczo.

Todd udał, że martwi się o bezpieczeństwo aparatu.

– Może ja to zrobię? – zaproponował. – Zainoszę go na pocztę w poniedziałek z samego rana, na pewno wcześniej, niż zrobiliby to Jimmy czy Mildred. W ten sposób szybciej dostaniemy zdjęcia.

– Jeśli dzięki temu będziesz spokojniejszy, panie marudo, oczywiście z wdzięcznością ci go powierzę – powiedziała rozbawiona Samantha, podając mu kodaka.

Todd wziął aparat z udawaną ostrożnością i przycisnął go do piersi niczym bezcenny skarb. Zapewnił Samanthę, że nie musi go odprowadzać na peron.

– Jedź spędzić ten czas z mamą – rzekł i odetchnął z ulgą, kiedy Samantha pocałowała go w policzek, nazwała prawdziwym przyjacielem i odjechała.

Przez następne godziny Todd denerwował się jak nigdy w życiu, poza jednym wypadkiem, gdy jako ośmiolatek w Nowym Jorku oddalił się od swoich rodziców, którzy potem szukali go przez pół dnia. Kiedy go wreszcie odnaleźli, cały aż się trząsł ze strachu. Tym razem jednak dygotał z podniecenia, nad którym ledwie panował. Stawiał swój tytuł geologa, że ropa – może nawet całe ogromne jej pokłady – znajdowała się pod ziemią na północnym krańcu Las Tres Lomas. Testy laboratoryjne – ziemi, którą zebrał do chusteczki, i próbek, które pobierze, w czasie gdy Samantha będzie u matki – potwierdzą, czy jego podejrzenia są słuszne. Windy Bluff wyglądało na antyklinę, jak w geologii określano podobną do kopuły

strukturę, która niemal na pewno kryła pod sobą złoża ropy naftowej i gazu ziemnego. Todd nie wierzył własnemu szczęściu. Oto nadarza mu się okazja, żeby niezauważony przez nikogo tam wrócił. Samantha i jej ojca nie było na ranczu i nikt poza tym głupim bykiem nie będzie się kręcił w pobliżu, co pozwoli Toddowi zbadać teren bez przeszkód i obaw, że ktoś go zauważy.

Przez te ciągnące się w nieskończoność godziny Todd najpierw czekał w stajni, gdzie wypożyczano konie, aż właściciel wróci z lunchu, potem przedzierał się przez zatłoczony o tej porze Fort Worth, by w końcu wyjechać na drogę prowadzącą do Las Tres Lomas. Sądził, że zapamiętał skrót na ranczo, okazało się jednak, że musiał zawrócić, tracąc cenny czas. Wreszcie dostrzegł wyglądający znajomo kołek w płocie z wyrzeźbionym niewielkim serduszkim, który skierował go we właściwe miejsce. Ze zwycięskim okrzykiem, najszybciej jak był w stanie, popędził apatycznego konia. Musiał uporać się ze swoją misją tak, aby zdążyć na pociąg do Dallas o piątej po południu, bo inaczej wróci zbyt późno, żeby odwiedzić Trevora Waverlinga.

Todd czuł lekkie wyrzuty sumienia na myśl o tym, co zamierzał zrobić, ale chociaż bardzo Samanthę lubił, przede wszystkim musiał myśleć o sobie. Samantha nie zgodzi się na wiercenia w miejscu, gdzie jak sądziła, znajdowały się szczątki prehistorycznych zwierząt. Nie miał wątpliwości, że zdjęcia, które zrobiła kodakiem, potwierdzą, że jej znalezisko to czaszka dinozaura. Todd jednak był dobrze zapowiadającym się geologiem. Jego zawodowa reputacja i finansowe zabezpieczenie żony i przyszłych dzieci zależały od tego, czy znajdzie dla swojego pracodawcy ropę. Jak dotąd mu się nie powiodło. Co prawda Trevor Waverling chwalił go za rozsądną powściągliwość, ale Waverling Tools były gotowe, by zająć się poszukiwaniami ropy. W banku odłożono pieniądze na odwierty, a szef czekał, aż jego geolog uzna, że pora wysłać landmana, Nathana Hollowaya, aby dobił targu z właścicielem na dzierżawę ziemi pod odwierty. Po dzisiejszym dniu może się okazać, że pracujący dla Trevora Waverlinga geolog znalazł idealną lokalizację.

Sobotnie popołudnia były w Triple S czasem odpoczynku. Poza codziennymi obowiązkami na farmie, które trzeba było wykonywać nawet w weekend, resztę dnia pracownicy mogli spędzić wedle własnego uznania. Większość z nich zmywała z siebie brud i pot w prostej łaźni, wyposażonej w lustra, umywalki i kilka pryszniców, polerowali buty i zakładali najlepsze koszule i dżinsy, by spędzić noc w mieście. Millie May i Billie June szykowały się na wieczór, który w zależności od nastroju albo spędzały w domu, albo dokądś się wybierały; w mieście często odbywały się przyjęcia bądź na okolicznych ranczach urządzano spotkania towarzyskie, na które były zaproszone, jeżeli jednak nie miały ochoty nigdzie wychodzić, same organizowały sobie jakąś rozrywkę. Na przykład zapraszały ludzi dzielących z nimi ich pasję, takie jak muzykowanie czy gra w karty. Od niemal roku ich brat wracał do domu późnym popołudniem, kąpał się,

przebrał w wyjściowe ubranie i jechał do miasta, żeby spędzić wieczór z Anne Rutherford.

Dzisiaj siostry zaprosiły grupkę znajomych na brydża. Billie June na trzech stolikach w salonie rozkładała ołówki, notesy i talie kart, kiedy usłyszała, jak zegar wybija piątą. Nasłuchiwała kroków Sloana w holu. Zamierzała mu powiedzieć, że w nadchodzącym tygodniu chce się wybrać pociągiem do Beaumont w odwiedziny do szkolnej koleżanki. Brat trzymał pieczę nad jej funduszem powierniczym, a ona potrzebowała pieniędzy na bilet. Na próżno nasłuchiwała, aż wreszcie poszła do kuchni porozmawiać z siostrą. Millie May pomagała kucharce przygotować tace z kanapkami i innymi smakołykami na brydżowe spotkanie.

– Millie May, widziałas Sloana?

Pod koniec dnia ich brat zawsze wstępował do kuchni po przekąskę, którą zabierał ze sobą na górę. Odkąd był dzieckiem, Consuela, ich zaufana kucharka, drobna Meksykanka, która bezszelestnie wykonywała swoje obowiązki, zawsze zostawiała coś dla *joven maestro* – młodego pana – w rogu kuchennego stołu, żeby *contento* – uszczęśliwić – jego żołądek, zanim będzie kolacja. W odpowiedzi Millie May wskazała na kawałek sera i kromkę chleba przykryte ścierką.

Billie June zaniepokojona popatrzyła na stół.

– Gdzie on się podziewa? W sobotę nigdy się nie spóźnia, a Anne na pewno na niego czeka.

– Dzisiaj mieli skończyć cechowanie bydła. Może coś go zatrzymało.

To coś wprowadziło nadzorcę Triple S w zdumienie. Popatrzył na szefa, jakby się przesłyszał. W czasie gdy siostry prowadziły rozmowę, Sloan dosiadł konia i oznajmił swojemu zastępcy, że jedzie sprawdzić ogrodzenie. Jeśli znajdzie jakieś miejsce wymagające naprawy, zajmą się tym w poniedziałek.

– Jedzie pan sprawdzić ogrodzenie, szefie? O tej porze w sobotę? Myślałem, że wraca pan do domu.

– Nie dzisiaj.

– Gdzie będzie pan sprawdzał?

– Między nami i Gordonami. Poślij kogoś do domu, niech powie moim siostram, że wrócę późno, dobrze?

Odjeżdżając, Sloan pomyślał, że dla Millie May i Billie June ta wiadomość będzie smakowitym kąskiem. Na pewno się spodziewają, że wieczorem zabierze Anne na jakieś przyjęcie, on jednak wyłgał się od zaproszenia, twierdząc, że ma dużo pracy, co akurat dzisiaj nie było takie dalekie od prawdy. Był potwornie zmęczony, zakurzony i spocony i śmierdział dymem. Chętnie wypiłby kilka szklaneczek mocnego burbona, wziął długą, gorącą kąpiel i zjadł ciepłą kolację, ale musiał sobie pewne sprawy przemyśleć, a jak większości ranczerów najlepiej szło mu to w siodle.

Prawda była taka, że pod pretekstem sprawdzenia, czy gdzieś nie poluzowała

się siatka albo jakiś kołek się nie chwiał, miał nadzieję, że po drugiej stronie ogrodzenia ujrzy Samanthę. Kilka razy mile zaskoczony widział ją w okolicy Windy Bluff, gdzie przyjeżdżała ze smakołykiem dla swojego byczka. Wołał do niej i spotykali się przy drucianej bramie. Kiedy byli młodszy, brama pozostawała otwarta, w ostatnich latach to się jednak zmieniło.

Jechał z bólem w piersi, który pojawił się tamtego pamiętnego dnia, kiedy Neal upolował pumę. Dla Sloana tamten kwietniowy dzień stał się linią demarkacyjną, oddzielającą jego i Samanthę przeszłość od teraźniejszości, a może też dla Sam i Neala. Sloan na okrągło zastanawiał się nad rzuconymi mimochodem uwagami ojca i córki, które nim wstrząsnęły. Słowa Neala – „Jeśli któreś cię zdradzi, przynajmniej nie stracisz wszystkiego” – i Samanthę – „Nigdy nie zdołam cofnąć tego, co zrobiłam” – świadczyły o tym, że przyczyną rozdzwieku między nimi była jakaś nielojalność ze strony Sam. Nielojalność była dla Neala największym występkiem, którego nie potrafił wybaczyć. „Loyalność to jedna z tych rzeczy, za które człowiek musi odpłacić tym samym – powiedział mu kiedyś jego mentor. – Można nie oczekiwać niczego w zamian za szacunek, podziw, nawet miłość, ale lojalność zawsze musi być odwzajemniona”.

Kiedy więc Samantha zachowała się wobec ojca nielojalnie? Co takiego uczyniła, że poczuł się zdradzony? Przecież właśnie wiedzona poczuciem lojalności wobec Neala Gordona zrezygnowała ze świetnie zapowiadającej się kariery!

Zranione uczucia ich obojga były tamtego dnia niemal namacalne, dawało się je zauważyć na odległość, a on czuł się bezradny jak pozbawiony rąk człowiek, który patrzy z brzegu na tonącą rodzinę. „Nie jesteś moim bratem, Sloanie... Jesteś moim przyjacielem. Nikim więcej”. Zawarte w tych słowach wyraźne przesłanie wciąż przepelniało go bólem, ale też zmusiło do zastanowienia się nad sobą i uratowało przed największym możliwym błędem. W minionym roku siostry się od niego odsunęły, przez co bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za ojcem, bliskością i wsparciem rodziny. Odrzucony przez Millie May i Billie June, szukał pociechy w ramionach Anne Rutherford, dziewczyny, która nie zadawała pytań, nie sprzeciwiała się mu, nie spierała, tylko chwaliła, zachęcała i koła.

„Uległa – mówiły o niej jego siostry. – Podoba ci się, bo zawsze robi to, co chcesz, Sloanie”, ale on traktował to podejrzliwie. Uległa? Tylko dlatego, że nie kwestionowała wszystkiego, co zrobił i powiedział? Dla niego oznaczało to wsparcie, jakie kobieta powinna dawać mężczyźnie.

Przekonał się jednak, że siostry mają rację, a on jak ostatni głupiec dał się wciągnąć w pułapkę dziewczynie rozpieszczającej jego męskie ego. Był ślepy i długo nie dostrzegał prawdziwej natury Anne. Lecz pomalutku, jak oblażąca farba odsłania ukryty pod nią obraz, zaczął zauważać, jaka jest złośliwa, małostkowa i skrycie zazdrosna o Samanthę. Ojciec wbił mu do głowy, że człowieka określają

motywy, którymi się kieruje. „To one decydują, kim jesteśmy jako ludzie”, mawiał. Anne, tak gorliwie wspierająca szlachetne cele, kierowała się nie chęcią promowania bibliotek, publicznej edukacji, zbiórek żywności i podobnych chwytliwych działań na rzecz poprawy życia innych, lecz pragnieniem pokazania siebie w jak najlepszym świetle. Nikt się nie spodziewał, że piękna, uprzywilejowana córka jednego z najbogatszych ludzi w mieście będzie tak oddana potrzebom tych, dla których los okazał się mniej łaskawy, tak pełna poświęcenia dla biednych i znękanym. Sloan przejrzał na oczy i przekonał się, że „bezinteresowność” Anne była tak naprawdę klejnotem, który miał tylko podkreślić jej urodę.

Siostry starały się mu to uzmysłowić.

Ale nawet gdyby Anne była szczerą jak zakonnica, Sloan nie mógłby się z nią ożenić, czując do Samantha to, co czuł, i musiał Anne o tym powiedzieć.

Zbliżał się do Windy Bluff. Wzrokiem poszukał czerwonych rogów Ocalonego, zamiast niego jednak zauważył osiodłanego konia uwiązanego do kołka w ogrodzeniu. Serce w nim podskoczyło, ale nędzna szkapina nie była Ponym. Jeździec musiał usłyszeć, jak Sloan nadjeżdża. Powstrzymał konia i po krótkiej chwili zza ogromnych głązów wyłonił się mężczyzna.

– Todd Baker! – wykrzyknął zdumiony Sloan. – Skąd się tu, u licha, wzięłeś? I co tam trzymasz?

Rozdział 41

Kiedy rankiem następnego dnia Sloan wyruszał w drogę do Fort Worth, słyszał, jak bije pojedynczy dzwon w małym katolickim kościółku nieopodal. *Vaya con Dios* – „Idź z Bogiem” – mówił do niego, a on miał nadzieję, że Bóg rzeczywiście go wesprze. Wczoraj wieczorem podjął decyzję, że dzisiaj zerwie z Anne. Zjawi się u niej w najmniej odpowiedniej chwili. Rodzina zapewne będzie jeszcze przy śniadaniu, ale poza tym Anne nie będzie miała czasu się z nim spotkać. Jak w każdą niedzielę, po kościele Anne z rodziną pójdzie na obiad do restauracji Worth (Sloan nie przyjął zaproszenia, by im towarzyszyć), później zaś spotka się z grupą pań, by omówić plany na najbliższy bal dobroczynny. W niedzielne wieczory Rutherfordowie zbierali się na kolacji u głowy rodu, matki Noble’a Rutherforda, ojca Anne i prezesa banku, w którym Sloan miał zaciągniętą pożyczkę i w którego radzie zasiadał. Przez kilka ostatnich niedziel tych zaproszeń również nie przyjmował. Poczekalby na stosowniejszą chwilę, ale chciał zakończyć sprawę z Anne, zanim słońce wzejdzie po raz kolejny. Wtedy przynajmniej będzie oddychał swobodniej, choć serca nie uspokoi.

Dzisiaj było mu jeszcze ciężiej po wczorajszym spotkaniu z Toddem Bakerem. Sloan nigdy za nim nie przepadał. Denerwowało go jego poczucie wyższości i tolerował geologa jedynie przez wzgląd na Sam. Od razu wiedział, że mała gnida coś kombinuje, jak tylko wypłoszył go zza głazów. Kiedy go przyłapał ze znaleziskiem archeologicznym Samantha, jabłko Adama geologa podskakiwało jak krążek w jarmarcznej grze uderz-w-dzwonek. Gapił się na siedzącego na koniu Sloana i nie mógł nadążyć z wyjaśnianiem, skąd się tu wziął. Opowiedział mu o prośbie Sam, żeby obejrzał znalezisko, które według niej mogło być skamieniałą głową dinozaura, o przejażdżce na Ocalonym i upadku na ziemię, gdy uderzając w nią nosem, wyczuł zapach ropy. Przyznał, że kiedy Sam pożegnała się z nim przed stacją kolejową, w tajemnicy przed nią wrócił do Windy Bluff, żeby pobrać więcej próbek do analizy. Jeśli wykazałyby obecność ropy, miałby niemal pewność, że znajduje się tu nadające się do eksploatacji złoża. Nie zdradził Sam swoich podejrzeń, ponieważ wiedział, jak zareagowałaby na pomysł wierceń w pobliżu miejsca, które jak wierzyła, było cmentarzyskiem prehistorycznych zwierząt. Sloan to przecież rozumie, prawda?

Sloan zignorował pytanie.

– I co wtedy?

Cóż, wtedy, odparł Todd, zdałby ze wszystkiego raport swojemu szefowi w Waverling Tools, który zwróciłby się do Neala Gordona z propozycją wydzierżawienia ziemi pod wiercenia.

– A ten szkielet głowy, który trzymasz, jest jedną z próbek do badania? –

zapytał Sloan.

Todd zerknął na skamielinę, jakby nie miał pojęcia, skąd się wzięła w jego rękach. Przełknął z trudem, wyraźnie nie znajdując żadnego wytłumaczenia.

– Wróciłeś tu, żeby ją wykopać, no nie? – stwierdził Sloan. – To dlatego się tu zakradłeś. Postanowiłeś ukraść znalezisko Sam, żeby nie miała żadnych dowodów przeciwko zgodzie na odwierty.

– Nie, nie! Ja... ja... pomyślałem, że skoro już tu jestem, zabiorę je, żeby nic mu się nie stało.

– Aha – powiedział Sloan. Było jasne jak słońce, że Todd kłamie. Sloan zsiadł z konia, podszedł do płotu i wyciągnął rękę. – Oddaj mi to.

Todd cofnął się, tuląc czaszkę do piersi.

– Co?

– Słyszałeś. Oddaj mi to.

Bardzo powoli Todd podał mu czaszkę.

– Co z nią zrobisz?

– Oddam Samancie.

Todd skrzywił się na znak protestu, ale nagle jakby się wyprostował i przemówił znacznie pewniejszym głosem.

– Błagam cię, Sloanie, przemyśl to jeszcze. Tam jest ropa i może sięga też na teren Triple S, ale żeby się o tym przekonać, musimy przeprowadzić próbne odwierty. Tylko pomyśl... koniec zamartwiania się o pieniądze z powodu suszy, zarazy, spadających cen wołowiny, wysokich opłat za transport. Koniec ze strachem, że stracisz ranczo, jeśli nie spłacisz długów albo spóźnisz się z ratą za hipotekę. Gdybyśmy odkryli tu ropę, stałbyś się zbyt bogaty, żeby martwić się o przyszłość Triple S.

Sloan wrócił do swojego konia.

– Proszę tylko o to – ciągnął błagalnie Todd – żebyś się zastanowił, zanim oddasz tę czaszkę Samancie. Bez niej nie ma żadnych dowodów na to, że coś tu znalazła.

– Może to potwierdzić.

– Ale nie będzie fizycznych dowodów, które mogłaby przedstawić naukowcom. Bez tej czaszki żaden archeolog nie zjawi się w Las Tres Lomas. Ja w każdym razie – powiedział Todd, prostując się wyzywająco – złożę szefowi raport, jeśli próbki potwierdzą moje podejrzenia, a on na pewno zwróci się do Neala Gordona. Chyba obaj wiemy, po której stronie opowie się Gordon.

– Zdajesz sobie sprawę, że zawiedziesz zaufanie Samantha? – zapytał Sloan.

Zdjął koszulę, żeby zawinąć w nią czaszkę i przytroczyć do siodła. Buta Todda stopniała jak śnieg w marcu.

– Owszem. I bardzo nad tym ubolewam – przyznał.

Sloan zostawił Todda przy płocie, wyraźnie zrozpaczonego, ale on sam też

czuł przygnębienie. Jeżeli pobrane przez geologa próbki potwierdzą jego przypuszczenia, Sloan miał świadomość, że przepaść już dzieląca Neala i Sam jeszcze bardziej się pogłębi. Neal będzie chciał wiercić. Samantha wręcz przeciwnie. Mając szansę na zabicie fortuny, Neal nie będzie się przejmował, że przy okazji prehistoryczne cmentarzysko, które być może nawet nie istnieje, ulegnie zniszczeniu. Znowu w grę wejdzie lojalność. Czy jeśli do tego dojdzie, Samantha przedłoży zachowanie wykopaliska archeologicznego nad finansowe zabezpieczenie Las Tres Lomas?

Sloan zdawał sobie sprawę, że wygląda co najmniej dziwnie, pędząc na koniu rozebrany do pasa. Billie June weszła do kuchni w momencie, kiedy kończył zapinać koszulę i pośpiesznie schował pod pachą czaszkę, nawet się nie zatrzymując, żeby wysłuchać, co siostra ma mu do powiedzenia.

– Później – rzucił tylko przez ramię.

Nie widział potrzeby wtajemniczenia kogokolwiek w postępek Todda, nie rozmówiwszy się najpierw z Samantha. Zaniósł czaszkę do swojego pokoju z zamiarem, że nazajutrz, po rozmowie z Anne, pojedzie do domu Estelle i o wszystkim powie Sam. Ponieważ czaszka wyglądała na bardzo kruchą, postanowił schować ją w szafie. Może wrócić po nią razem z Samantha.

Jakieś trzydzieści metrów przed sobą dostrzegł kiwającą się na mule znajomą postać. Był to Grizzly, dosiadający swojej długouchej mulicy o imieniu Delilah. Sloan przypomniał sobie pełne rozpaczy słowa Samantha: „Powinnam była posłuchać Grizzly’ego i Wayne’a, kiedy mi radzili, żebym nie podążała tą drogą”. Delilah poruszała się z prędkością zimnej melasy. Sloan nie wiedział, czy wdawać się w pogawędkę z Grizzlym i tym samym ryzykować, że zajedzie do Rutherfordów zbyt późno, przez co nie zastanie już Samantha w domu Estelle. Ale może Grizzly wie coś na temat rozdzwiewku między Sam i jej ojcem, chociaż Sloan raczej w to wątpił. Grizzly nie miał w zwyczaju paplać o domowych sprawach.

– Dzień dobry, Grizzly – powiedział Sloan, kiedy go dogonił.

– Dobry, Sloanie.

– W drodze do kościoła?

– Ano. A ty do panny Rutherford?

– Można tak powiedzieć.

Sloanowi wydało się, że kucharz wydał z siebie ciche „hm”.

– W Las Tres Lomas wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie musiałbyś pytać, gdybyś nas częściej odwiedzał.

– Ach, Grizzly – rzekł Sloan ze smutkiem. – Już mnie tam nie zapraszają.

Grizzly zerknął na niego z ukosa.

– Niby kto?

– Samantha.

– Od kiedy?

– Odkąd dwa miesiące temu wyrzuciła mnie z domu, mniej więcej w tym samym czasie, jak coś zaszło między nią i Nealem.

Grizzly popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Wiesz o tym?

Sloan wzruszył ramionami.

– Cóż, w zasadzie to nie wiem, ale coś się zmieniło tamtego dnia, kiedy Neal polował na pumę. – Uniósł pytająco brew. – Możesz mi to jakoś wytłumaczyć?

Grizzly odwrócił głowę, żeby splunąć na trawę.

– Mnie tam nic do tego. Musisz zapytać nasze Słoneczko.

– W zasadzie w ogóle już ze mną nie rozmawia. Przestała mi się zwierzać. Dlatego tak rzadko was odwiedzam. Dwa miesiące temu Sam jasno mi powiedziała, że mam się nie wtrącać w jej sprawy. Nie czuję się już mile widziany w Las Tres Lomas.

– A niby czyja to wina? – rzucił Grizzly gniewnie.

– Przecież nie moja! – odparł zdumiony Sloan.

– A właśnie że twoja!

Sloan gwałtownie zatrzymał konia.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Heja, Delilah, dziecinko – powiedział Grizzly i przesunął się w siodle, żeby zwrócić się twarzą do Sloana. – Nie widzisz, że odcinając się od ciebie, Samantha chroni swoją dumę?

Sloan zgłupiał.

– Chroni swoją dumę? A to z jakiego powodu, do cholery?

Grizzly wzniosł oczy do nieba i westchnął głąboko.

– Boże wszechmogący, jakim cudem wciągnąłeś mnie w tę rozmowę, Sloanie Singletonie? Chyba muszę sobie odciąć język, żeby tak nie paplać niczym jakiś głupek.

Sloan pchnął kolanem swojego konia, żeby zagrozić mulicy drogę.

– Grizzly, jak mi zaraz wszystkiego nie powiesz, sam ci ten język obetnę.

– Samantha cię kocha, ty tępaku, ale chyba nie sądzisz, że się z tym zdradzi, skoro wybrałaś sobie pannę Rutherford! Prędeż umrze! Nie nasze Słoneczko! Panna Rutherford tak do ciebie pasuje, jak sos z pieczeni do ciasta – rzekł Grizzly. – No i masz! Jednak to powiedziałem. A teraz zejź mi z drogi, bo się spóźnię do kościoła!

Sloan się odsunął.

– Skąd wiesz, że Sam mnie kocha?

– Sam ją zapytaj! – rzucił Grizzly i ścisnął Delilah kolanami, żeby przyspieszyła.

– Tak zrobię! – krzyknął Sloan i szarpnął za wodze, żeby popędzić konia do galopu.

Rozdział 42

Kiedy dotarł do dzielnicy Fort Worth, w której mieściły się rezydencje bogaczy, miał ochotę pojechać prosto do mieszczącego się pięć ulic dalej domu Estelle, rozsądek jednak podpowiedział mu, że najpierw powinien zobaczyć się z Anne Rutherford. Aby wejść na ścieżkę prowadzącą do Samantha, musi usunąć przeszkodę w postaci Anne. Żywił gorączkową nadzieję, że Grizzly nie wymyślił sobie uczuć, jakimi Sam go darzyła, ale z drugiej strony zaufany kucharz Gordonów jak nikt inny wiedział o jej życiu wszystko.

Na dziedzińcu przed wytwornym, podobnym do pałacu domem Rutherfordów dwóch stajennych zaprzęgało parę białych ogierów do powozu, który zawiezie Anne i jej rodziców do Prezbiteriańskiego Kościoła Broadway. Noble Rutherford sfinansował budowę budzącego respekt gmachu z cegły i był starszym w radzie kościoła. Stajenni przywykli do widoku Sloana i powitali go skinieniem głów, kiedy wbiegał po szerokich stopniach, żeby nacisnąć modny dzwonek zamontowany w miejsce tradycyjnej kołatki.

Z wnętrza domu rozległo się głośnie, irytujące *bzzz* i drzwi otworzyła pokojówka.

– Pan Singleton! – powiedziała zdumiona. – Nie oczekiwaliśmy pana, prawda?

– Wybacz mi, Bello, że zjawiam się niezapowiedziany, ale muszę się pilnie zobaczyć z panną Rutherford – rzekł Sloan. – Powiadom ją, proszę, że przyszedłem.

Z jadalni wybiegła Anne, w jedwabnym szlafroku i z rozwianymi, nieupiętymi jeszcze włosami. Ze swojego miejsca przy stole, naprzeciwko okien wychodzących na dziedziniec, musiała zobaczyć, jak Sloan nadjeżdża.

– To nie będzie konieczne, Bello – rzuciła, biegnąc do mężczyzny z wyciągniętymi ramionami i radością w błyszczących oczach. – Jestem tutaj, Sloanie! – wykrzyknęła, jakby po gorączkowych poszukiwaniach nareszcie ją odnalazł.

Na widok jej urody każdemu mężczyźnie zapierało dech w piersiach, on jednak nie smucił się ani odrobinę na myśl o tym, co zamierzał zrobić. Ujęła jego dłonie w ciepłym, delikatnym uścisku.

– Wybacz, że najpierw nie zadzwoniłem – powiedział.

W holu pojawił się ojciec Anne, w jedwabnej bonżurce, z serwetką zatknięą za kołnierz. Jego ponura mina, którą podkreślały ciemne krzaczaste brwi, była zdecydowanie mniej radosna niż mina jego córki. Podeszedł do Sloana i wymienili uścisk dłoni. Noble Rutherford doskonale wiedział, ile prezes jego rady nadzorczej przysporzył ostatnio smutku Anne.

– Ależ nic się nie stało – powiedziała beztrąsko Anne. – Jesteś i tylko to się liczy. I zjawiłeś się w samą porę, żeby usiąść z nami do śniadania. Tatusiu, poproś Belle, żeby dołożyła jeszcze jedno nakrycie.

Kurczowo trzymała go pod ramię. Sloan położył rękę na jej dłoni.

– Przykro mi, Anne, ale nie zostanę – odezwał się łagodnie. – Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności?

Powoli zabrała rękę.

– Oczywiście – odezwała się z tężejącym uśmiechem wokół drobnych, białych zębów.

Sloan zignorował podejrzliwy ruch groźnych brwi Noble'a Rutherforda i poszedł za Anne do saloniku. Piętnaście minut później było po wszystkim. Wyjaśnił powód swojej wizyty i patrzył, jak pod wpływem szoku gaśnie blask, jakim jaśniała twarz Anne. Mimo to wiadomość, że nie będą się więcej widywać, przyjęła nadspodziewanie spokojnie. Nawet nie zapytała, co ani kto jest powodem jego decyzji. Jej wyprostowane ramiona i uniesiona broda powiedziały mu, że byłoby to poniżej jej godności, i Sloan był wdzięczny, że wykazała się takim poczuciem dumy. Wyczuwał nawet, że zanim jego wizyta dobiegła końca, ona już zaczęła obmyślać, jak to upokorzenie mogłaby obrócić na swoją korzyść, żeby nie stać się pośmiewiskiem towarzystwa.

Kiedy jednak wychodził z saloniku, czuł na karku jej gniew, który palił go niczym lawa.

Opuszczając dom, w którym nigdy nie będzie już mile widzianym gościem, zdawał sobie sprawę, że w Noble'u Rutherfordzie ma odtąd wroga, który mu nie odpuści do końca życia. Noble nie należał do ludzi, którzy wybaczą. Sloan nie może się spóźnić nawet o minutę ze spłatą kolejnych rat, no i oczywiście zrezygnuje z zasiadania w radzie nadzorczej. Odjeżdżając, nie żałował niczego poza samotnością i zaślepieniem, które doprowadziły do sytuacji, w której się znalazł, lecz teraz miał to już za sobą. Teraz liczyła się już tylko przyszłość i musiał się spieszyć.

Serce Sloana miotało się w jego piersi jak oszalałe wahadło, kiedy wbiegał po frontowych schodach i gwałtownie załomotał w drzwi kołatką w kształcie lwiej głowy. Estelle uczęszczała do Pierwszego Kościoła Metodystów u zbiegu ulic Czwartej i Jonesa i być może namówiła Samanthę, żeby towarzyszyła jej na mszy, ponieważ korzystała z każdej nadarzającej się okazji, żeby pochwalić się córką. Z drugiej jednak strony może wolała spędzić niedzielę z Samanthą, nie dzieląc się nią z resztą kongregacji. Łomocząc w drzwi, jakby mieszkańcy byli głusi, spodziewał się, że otworzy je Mildred. Zamiast niej w drzwiach stanęła jednak Samantha.

– Sloan! – wykrzyknęła, a jej szare oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Co ty tutaj robisz?

Miała na sobie poranną suknię, nie upięła też jeszcze włosów, które spływały złotymi kaskadami na jej ramiona, miękko układając się na wypukłościach piersi. Sloan z przerażeniem pomyślał: A co, jeśli Grizzly się mylił? Jeśli się okaże, że Samantha wcale go nie kocha?

– Och! – powiedziała cicho zatroskana Samantha. Odruchowo dotknęła ręką jego twarzy, tak samo jak wtedy, kiedy zmarł jego ojciec. – Sloanie, co się stało? Chyba nic się nie przytrafiło twoim siostronom?

Ujął jej rękę w swoje dłonie.

– Nie – odparł, po czym bez zastanowienia dodał: – Samantho, muszę ci zadać jedno pytanie. Bardzo ważne.

Cofnęła się od drzwi, a na jej twarzy odmalowała się ulga połączona z ciekawością. On wszedł do środka, wciąż trzymając rękę Samantha.

– O co chcesz mnie zapytać?

W holu pojawiła się Mildred, w otwartych drzwiach do salonu stanęła zaś Estelle, zaciekawiona, kto też ich odwiedził. Sloanowi zaschło w gardle.

– O co chcesz mnie zapytać? – powtórzyła Samantha, zanim matka i Mildred zdążyły się odezwać.

– Samantho, czy ty mnie kochasz?

Estelle przyłożyła dłonie do policzków.

– O mój Boże!

Mildred zatrzymała się w pół kroku i mruknęła coś w języku Komanczów.

Samantha odezwała się do nich przez ramię:

– Mamo, Mildred, czy możecie zostawić nas samych?

Estelle wycofała się do salonu, Mildred poszła do kuchni.

Samantha zwróciła się do Sloana.

– Możesz powtórzyć?

– Chyba wyraziłem się jasno. Czy ty mnie kochasz?

Samantha wyrwała mu rękę i cofnęła się, jakby uciekając przed sięgającą jej stóp falą powodziową.

– Tak mi się zdawało. Co to za żart?

Sloan zmniejszył dzielącą ich odległość.

– To proste pytanie. Odpowiedź na nie jest równie prosta. Tak albo nie. Kochasz mnie?

Widział, jak jej umysł pracuje na najwyższych obrotach. Nigdy go nie okłamała. Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową, ale tylko dlatego, że starała się pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Mógł jej to ułatwić, lecz on też miał swoją dumę.

– Czemu pytasz? – odezwała się. – Co w ciebie wstąpiło?

Mogli się tak bawić w kotka i myszkę cały dzień, a on nie miał na to ani czasu, ani ochoty. Z jaśniejącymi oczami podszedł jeszcze bliżej i przyciągnął ją do

siebie. Ich ciała wpasowały się w siebie jak dłoń w sztytę na miarę rękawiczkę. Sloan pocałował Samanthę długo i żarliwie, a ona po krótkiej walce odwzajemniła pocałunek, zarzucając mu ręce na szyję.

– Wielki Boże, ty rzeczywiście mnie kochasz! – wykrzyknął, kiedy uwolniła się z jego objęć.

Czerwona na twarzy, ze łzami zbierającymi się w oczach, wykrztusiła:

– Jak śmiesz, Sloanie Singletonie! Co chcesz udowodnić?

– No właśnie! – powiedziała z oburzeniem Estelle, pojawiając się znowu w drzwiach do salonu.

Również Mildred, wytrzeszczając oczy, wyglądała zza drzwi do kuchni na końcu holu.

– Grizzly mówił prawdę, Bogu niech będą dzięki, bo sądząc po twoim zachowaniu, sam nigdy bym się tego nie domyślił – powiedział Sloan.

– O czym ty mówisz?

– Kocham cię, Sam. Moja miłość do ciebie to dla mnie jak oddychanie. Niczym się nie różnią.

Estelle znowu wydała zduszony okrzyk, Mildred gwizdnęła cicho, a Samantha wpatrywała się w Sloana oniemiała ze zdziwienia.

– Nie jestem zaręczony z Anne i nigdy nie miałem takiego zamiaru – ciągnął. – Miała mi ciebie zastąpić, bo czułem się taki samotny. I właśnie u niej byłem, żeby powiedzieć jej, że nic już nas nie łączy, bez względu na to, co sobie wyobrażała. Nie mógłbym się dalej z nią spotykać, żywiąc do ciebie takie uczucia.

Nastąpiła cisza, jak w chwili, gdy tłum widzów, wstrzymując oddech, ogląda artystę na trapezie. Sloan włożył kciuki za pasek, jedną nogę wysunął do przodu, stając w pozycji, jaką przyjmował, kiedy cierpliwie czekał na wyjaśnienia parobka, który coś przeskrobał.

– Jeżeli Grizzly się mylił – rzekł – wystarczy, że po prostu mi to powiesz. „Nie kocham cię, Sloanie”. A ja sobie pójdę i więcej ani słowem się na ten temat nie odezwę. Dobrze?

Samantha zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– Nigdy w życiu – odparła.

– W takim razie chodź tutaj i przypieczętuźmy to pocałunkiem – powiedział Sloan i wyciągając kciuki zza paska, chwycił Samanthę padającą mu w ramiona.

Rozdział 43

W niedzielny poranek Todd Baker zadzwonił do drzwi domu Mavis Waverling. Wczoraj z powodu opóźnienia wsiadł do ostatniego pociągu z Fort Worth do Dallas i kiedy dojechał na miejsce, pora była zbyt późna na spotkanie z Trevorem Waverlingiem. Umówili się więc następnego dnia rano. Drzwi otworzył sam Trevor, odsyłając nową pokojówkę, która usłyszawszy dzwonek, pojawiła się w holu.

– Chodźmy do gabinetu; tam nikt nie będzie nam przeszkadzał – powiedział Trevor. – Moja matka i córka lada chwila wrócą z kościoła i narobią mnóstwo szumu i hałasu.

– Czy Nathan wrócił z rozdania świadectw w szkole brata w Oklahomie? – zapytał Todd.

– Wrócił wczoraj wieczorem, a dzisiaj pojechał z paniami do kościoła, ale dołączy do nas, kiedy tylko wrócą. Cóż to takiego ważnego, z czym nie można było poczekać do poniedziałku?

– Chyba znalazłem złożę ropy naftowej – oświadczył Todd.

Narazając się na gniew pracodawcy z powodu późnej pory, zadzwonił do niego wczoraj wieczorem z biura w Waverling Tools. Za nic nie przekazałby mu wiadomości przez telefon, bo a nuż ktoś podsłuchiwałby, powiedział więc tylko pokrótce, że ma wieści o tak ogromnym znaczeniu, że nie może z nimi poczekać. Czy pan Waverling zgodzi się spotkać z nim jutro z samego rana?

Nie miał jak zawiadomić Ginny o swoim spóźnieniu, ponieważ w ich mieszkaniu nie było telefonu. Umierała ze strachu, kiedy Todd w końcu zjawił się w domu, ale nie mógł się powstrzymać, by nie przeprowadzić analizy próbek, które pobrał w Windy Bluff. Proste badanie, polegające na zmieszaniu próbki z wodą, dowiodło obecności węgla i wodoru, głównych składników ropy i gazu ziemnego. Ropa unosiła się na powierzchni, ale rozpuściła się w dwusiarczku węgla, co było kolejnym dowodem, że przesiąkała przez ziemię. A to znaczyło, że znajdowała się w północnej części Las Tres Lomas de la Trinidad. Todd nie miał się o co założyć, ale gdyby mógł, postawiłby wszystko, że pod piaszczystą glebą kryje się złożę ropy naftowej.

Od właściciela stajni pożyczył młotek i małe dłuto i ledwie wykopał czaszkę z ziemi, kiedy usłyszał zbliżający się tętent konia. Jeździec zatrzymał się w miejscu, gdzie Todd przywiązał swoją szkapę. Włosy stanęły mu dęba. Przestraszył się jeszcze bardziej, gdy ujrzał, że jeźdźcem był Sloan Singleton. „Skąd się tu, u licha, wzięłeś?”, zapytał go ranczer, a Todd niemal zsiadł się w spodnie. Co miał powiedzieć? Nędzny był z niego łgarz, a przed kimś, kogo bał się tak bardzo jak Sloana, nie byłby w stanie wymyślić niczego wiarygodnego,

poza tym nie zdążył pozbyć się czaszki. Wobec tego powiedział wszystko jak na spowiedzi.

I teraz Sloan Singleton miał go w garści. Czy zdradzi go przed Samanthą? I tak będzie miał przechłapanę, kiedy Sam się dowie, że nasłał na nich landmana, by wydzierzawił ziemię pod odwierty w miejscu, gdzie, o czym on również był przekonany, znajdowało się cmentarzysko dinozaurów. Todd bardzo sobie cenił przyjaźń z Samanthą. Akceptowała jego drobiazgowość (bo lubił wszystko robić jak należy), nie miała nic przeciwko temu, że uważał się za mądrzejszego od niej (bo przecież był), no i była przyjaciółką jego żony, wszystko to jednak traciło na znaczeniu wobec tego, o co toczyła się gra. Chciał uszczęśliwić swojego szefa, uczynić Gordonów bogaczami, a sobie wyrobić nazwisko w przemyśle naftowym.

Przeszli do salonu na tyłach domu i Samantha zamknęła za nimi drzwi na oczach uszczęśliwionej matki i Mildred, ostrzegając je, żeby nie ważyły się podsłuchiwać. Ona i Sloan znowu się całowali, długo i namiętnie, po czym usiedli na kanapie i tulili się do siebie jak rozbitkowie uratowani z tonącego statku.

– Od kiedy wiedziałaś, co do mnie czujesz, Samantho? – zapytał Sloan, gładząc ją po włosach.

Zawsze przywodziły mu na myśl złocące się liście klonu. Oczami wyobraźni widział jej loki zapamiętane w różnych sytuacjach. Trzyletnia Samantha, która zgubiła się na wiejskim jarmarku, a on ze swoim siedmioletnim sercem umierającym ze strachu szukał jej wszędzie, aż wreszcie dostrzegł ich płomienny kolor migający w tłumie. Gdy miała dziesięć lat, spadła z konia i straciła przytomność, a polna trawa przyklejona do jej włosów drapała go w twarz, kiedy tulił ją w ramionach i błagał, żeby nie umierała. Samantha w wieku szesnastu lat, z włosami jak lśniący pieniążek wystającym spod czarnego biretu absolwenta, gdy szła po estradzie w Simmons Preparatory School po odbiór dyplomu, który on uważał za paszport do przyszłości sięgającej znacznie poza ich rancza, Fort Worth, jego samego...

– Odkąd nauczyłam się chodzić – powiedziała. – Ale potem zjawiała się Anne. Zawsze zakładałam, że się pobierzemy i będziemy żyli długo i szczęśliwie, jak spodziewały się nasze rodziny.

– Szkoda, że mój tato nie dożył tej chwili. Byłby taki szczęśliwy.

– Mój będzie zachwycony – powiedziała Samantha. – Może teraz zdoła mi przebaczyć.

Sloan uniósł jej brodę, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie sądzisz, że już najwyższa pora, by mi powiedzieć, co zaszło między tobą i Nealem? Co takiego zrobiłaś, co on uznał za zdradę?

Samantha westchnęła z głębokim żalem.

– Próbowałam odnaleźć swoich biologicznych rodziców i tatuś się o tym dowiedział.

Sloanowi zrobiło się słabo, kiedy usłyszał jej wyjaśnienie. Boże, dopomóż! Zachowała się nielojalnie. Neal, zazdrośnie strzegący wszystkiego, co do niego należało, nietolerujący niczego, co zagrażałoby jego domowi, ziemi i rodzinie, musiał uznać poszukiwania Samantha za zdradę, mimo wielkiej miłości, jaką ją darzył. Sloanowi stanął przed oczami makabryczny widok ogona pumy powiewającego na szczycie masztu w Las Tres Lomas. Nigdy nie zapomniał, jak przed wielu laty Samantha opowiedziała mu o podsłuchanej rozmowie Neala i Estelle, kiedy wróciła z sierocińca. „Nigdy nie zostawię mamy i tatusia! Czemu tatuś myśli, że to zrobię?”

Miała wtedy dziesięć lat i mówiła jak dziecko. Teraz miała lat dwadzieścia i zachowywała się jak dorosła. Dla Neala jej poszukiwanie własnych korzeni było niczym policzek, odrzucenie całej rodzicielskiej troski i miłości, jaką on i Estelle obdarzyli córkę. Nawet gdyby w żaden sposób nie wykorzystwała informacji, które mogłaby zdobyć podczas wyprawy na drugą stronę Rzeki Czerwonej, dla niego jej ciekawość i tak byłaby niewybaczalna. A teraz mogło dojść do kolejnego konfliktu między nią i ojcem.

– Wyrzuciłam list od pani Brewster – powiedziała Samantha. – To, co w nim napisała, na nic nie mogło mi się przydać. Nie wiem, po co w ogóle to zrobiłam.

– A ja wiem – rzekł Sloan. Musi przynajmniej spróbować zmniejszyć jej poczucie winy za popełniony błąd. – Każdy chce wiedzieć, gdzie się urodził, kim byli jego rodzice, a w twoim przypadku... również czemu zostałaś oddana do adopcji. Przed potrzebą poznania prawdy nie da się uciec, tak samo jak nie da się uciec przed własnym cieniem.

Samantha wyswobodziła się z jego objęć i popatrzyła na niego pytająco.

– Jak możesz to rozumieć, skoro od początku wiedziałeś, kim jesteś i skąd się wzięłeś?

– Właśnie dlatego – odparł Sloan. – Dorastałem, wiedząc, że jestem Singletonem. Ta wiedza tłumaczyła mnie przed sobą samym. Dzięki niej dostałem mapę swojego życia, ona wyznaczała moje cele, była kotwicą i kompasem. Nie wiem, jak bez tego balastu bym sobie poradził po śmierci taty. Dlatego potrafię zrozumieć, że w pewnym sensie czujesz się... nieokreślona. – Sloan bawił się opadającym na jej ramię kosmykiem włosów. – Gdybyś mi o tym powiedziała, poszedłbym do Neala i wyjaśnił mu, że szukasz swojej biologicznej rodziny nie po to, żeby do nich wrócić, ale żeby dowiedzieć się czegoś o sobie. Przypomniałbym mu, że jesteś naukowcem, więc twoja ciekawość jest czymś oczywistym, że zawsze chcesz wiedzieć, skąd się coś bierze.

Samantha z podziwem pokręciła głową.

– Zapomniałam, że taki właśnie jesteś, Sloanie Singletonie.

– To znaczy jaki?

– Że tak dobrze rozumiesz moje uczucia i potrafisz powiedzieć dokładnie to,

co sprawia, że czuję się lepiej. Pamiętasz nasze popołudnia pod tym wielkim jesionem w Triple S, przy strumieniu, jak o wszystkim sobie mówiliśmy?

– Pamiętam – rzekł Sloan.

Jesion stał na łące pełnej żonkili. Ich konie uwielbiały jeść pachnące odurzająco kwiaty. Śmierć jego ojca położyła kres popołudniom spędzonym w cieniu jesionu – dniom żonkili, jak je nazywał w tęsknych wspomnieniach beztroskich czasów, które już nigdy nie miały wrócić. Niedługo po śmierci Seta Singletona w jesion trafił piorun, ale Sloan nigdy nie pozwolił go ściąć właśnie ze względu na te wspomnienia. Samantha z rosnącym podnieceniem zaczęła mu opowiadać o czaszce, którą znalazła w Windy Bluff, a Sloan, który słuchał jej z niepokojem, zaczął myśleć o zwęglonym drzewie. Było dowodem na to, że nawet najsilniejsze, wydające się nie do pokonania związki mogą runąć, gdy zadziała na nie odpowiednia siła.

– Jestem przekonana, że znalazłam dowód, który być może wskazuje, że tam jest masowe cmentarzysko dinozaurów – mówiła Samantha. – Ta czaszka może być potwierdzeniem mojej teorii. Todd zgodził się wysłać zdjęcia do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku i skontaktować się z kolegą paleontologiem z Muzeum Historii Naturalnej Peabody w Yale.

– Zdjęcia?

– Z mojego kodaka. Zrobiłam zdjęcia czaszki i dałam aparat Toddowi, żeby rano wysłał go do zakładów w Rochester. Na odpowiedź trzeba będzie czekać pewnie z miesiąc. Tymczasem chcę to zachować dla siebie. Moje zainteresowania trochę denerwują mamę, a poza tym... – Samantha umilkła na chwilę. – Najpierw chciałabym sobie wszystko z tatusiem wyjaśnić, zanim opowiem mu o swoim odkryciu. Myślę, że zgodzi się na wykopaliska, tym bardziej że ziemia w Windy Bluff nie bardzo się nadaje do wypasania.

Sloan podniósł się z kanapy. Na stoliku zauważył dzbanek z wodą, a nagle bardzo zaschło mu w gardle. Zanim zdjęcia zostaną odesłane, Neal zdąży już podpisać umowę o dzierżawę z Waverling Tools i w Windy Bluff zaczną się wiercenia. Sloan był przekonany, że Todd na to właśnie liczy. Teraz był odpowiedni moment, żeby wyjawić Samancie zamiary geologa i opowiedzieć jej, jak Sloan uratował czaszkę. Lecz w głowie wciąż słyszał, jak Todd chłodno argumentuje: „Jeśli próbki potwierdzą moje podejrzenia, złożę raport swojemu szefowi, a on zwróci się do Neala Gordona. Chyba obaj wiemy, po której stronie opowie się Gordon”. I jeszcze: „Proszę tylko o to, żebyś się zastanowił, zanim oddasz tę czaszkę Samancie. Bez niej nie ma żadnych dowodów na to, że coś tu znalazła”.

Sloan pociągnął potężny łyk wody. Znowu pojawiła się kwestia lojalności, jak by nazwał to Neal. Czaszka byłaby kolejnym sprawdzianem dla lojalności Samanthy – tym razem wobec Las Tres Lomas. Żadna świętość nie

powstrzymałaby Neala przed zrobieniem czegoś, co według niego jest najważniejsze dla ziemi ojców. Tolerował – choć nigdy tak do końca ich nie rozumiał – zainteresowania Samantha, w ogóle naukowców, prehistorycznym życiem. Wściekłby się, wysłuchując gniewnych argumentów Samantha, że cmentarzisko starych kości jest warte więcej od pola naftowego, nawet jeśli odwierty nie zagroziłyby pozostałej części rancza. Ten brak zgody mógłby zniszczyć rodzinę Gordonów. Sloan wyobraził sobie rozpacz Estelle, ale nie wolno mu było zapomnieć, po której stronie będzie się musiał opowiedzieć, w tym wypadku po stronie Neala. Ropa naftowa była naturalnym zasobem ziemskim, który trzeba wykorzystać dla dobra ludzkości, tak samo jak ziemię uprawia się dla jedzenia i zwierząt. Będzie się musiał zgodzić ze swoim mentorem, że warto zniszczyć część rancza, by uratować jego całość. Gdyby więc miał zabrać głos w tym sporze, opowiedziałby się za wierceniami, ale jak wpłynęłoby to na jego związek z Samantha? Todd miał rację, mówiąc, że bez czaszki Sam nie będzie miała argumentu działającego na jej korzyść. Może nawet zrezygnuje z walki, zwłaszcza teraz, kiedy było już wiadomo, że się pobiorą. Małżeństwo – a z czasem macierzyństwo – wypełni jej życie. Bo jakżeby inaczej? On i Neal wspólnie będą prowadzić ich połączone rancza, a Samantha będzie dbać o ognisko domowe.

Sloan wyjrzał przez okno salonu na piękny, słoneczny dzień. Co miał, do cholery, zrobić? Po czyjej stronie powinien się opowiedzieć? Co jest ważniejsze? „Człowieka określają motywy, którymi się kieruje”, powtarzał mu ojciec. Co jednak, jeżeli człowiek nie wie, czy decyzja, którą podejmie, będzie słuszna, czy wręcz przeciwnie?

Było to ryzykowne, ale bez zdjęć dowodzących, że Samantha ma rację, Neal nigdy jej nie posłucha. A to oznacza, że czaszka i tak do niczego się jej nie przyda.

– Sloan? – odezwała się Samantha cicho, z troską w głosie. – O czym myślisz?

Wiedział już, co robić. Na razie nie musi podejmować żadnej decyzji. Miał czas. Obrócił się do Samantha z uśmiechem.

– Zastanawiałem się, jak szybko możemy wyznaczyć datę ślubu – powiedział.

Rozdział 44

Pożegnali się po południu na rozstaju dróg prowadzących na ich rancza. Samantha zaproponowała, żeby Sloan pojechał z nią do Windy Bluff, gdzie chciała ogrodzić swój skarb. W tajemnicy przed Estelle poprosiła Mildred, żeby znalazła dla niej sznur, paliki i płachtę, którymi chciała zabezpieczyć znalezisko. Ku jej rozczarowaniu Sloan odmówił, wyraźnie skrepowany.

– Muszę wracać, Sam – powiedział, nachylając się, żeby ją pocałować, po czym poszedł odwiązać konia. Z Fort Worth wrócili razem wozem, za którym szedł koń Sloana.

Samantha uznała, że rozumie, chociaż przecież była niedziela, dzień odpoczynku od pracy. Dawniej, przez przyjacielską ciekawość, zapytałaby, co takiego ważnego każe mu jak najszybciej wracać do Triple S, ale teraz... Z lekkim dreszczykiem pomyślała, że z takimi pytaniami musi poczekać do czasu, kiedy będą już małżeństwem.

– Jak usłyszysz krzyki, to znaczy, że Millie May i Billie June wrzeszczą z radości – rzekł Sloan. – Wreszcie ich mały braciszek zrobi coś, co je zadowoli.

– Już się nie mogę doczekać, kiedy tatuś wróci i o wszystkim mu powiem – odparła Samantha. – Spodziewam się go w przyszłym tygodniu.

Sloan włożył stopę w strzemień.

– Natychmiast przyślij kogoś z wiadomością, a ja przyjadę i formalnie poproszę cię o rękę. Już niedługo nie będziemy się musieli rozstawać w ten sposób. Ty będziesz wracać do domu ze mną albo ja z tobą. Im szybciej, tym lepiej.

Samantha westchnęła.

– Szkoda, że już teraz nie może tak być.

Postanowili, że ogłoszą swoje zaręczyny na urodzinowym przyjęciu Sloana za dwa tygodnie, a ślub wezmą w pierwszym tygodniu sierpnia.

– Ja też żałuję – powiedział Sloan i z siodła nachylił się, żeby pocałować Samanthę jeszcze raz. – Sam – dodał, prostując się – wiesz, że nigdy nie podjąłbym żadnej decyzji ani nie zrobił niczego, co nie byłoby dla ciebie najlepsze, prawda?

– Oczywiście, że tak – odparła zdumiona Samantha. – Po co w ogóle pytasz?

– Bo chcę mieć pewność, że wiesz, że nigdy bym cię celowo nie skrzywdził.

– Wiem – powiedziała.

– Kocham cię, Samantho Gordon.

– O tym też wiem, Sloanie Singletonie.

Odjeżdżając, myślała o słowach Sloana, które wypowiedział na pożegnanie, o tym, jak cudownie zabrzmiały. Ledwie wczoraj mogła je sobie tylko wyobrazić. A dzisiaj padły naprawdę. Żałowała, że jej ojciec nie wie o oświadczeniach. Matka była tak szczęśliwa, że chwyciła Mildred za rękę i zaczęła tańczyć z nią po salonie.

Wayne, Silbia i Grizzly – ten wścibski stary niedźwiedź – będą zachwyceni, ale w tej chwili żadnego z nich nie było na ranczu, by mogła im obwieścić radosną nowinę. Wayne pojechał do swojej dziewczyny w mieście, Silbia miała w niedzielę wolne, a Grizzly pomagał w masońskim domu dla wdów i sierot. Samantha się roześmiała. Przynajmniej podzieli się swoją radością z Ocalonym.

Chwilę później zauważyła czerwone rogi byka w miejscu, w którym upadł Todd. Zanim jednak zatrzymała wóz, dostrzegła coś jeszcze. Zagłębienie w piasku, gdzie powinna się znajdować czaszka zauropoda, było puste.

Cel jego misji prowadził Neala niczym światło latarni morskiej, kiedy opuścił rodzinne równiny i łagodne wzgórza i wjechał na teksańskie prerie. Ujrzał wartkie strumienie i zieloną, soczystą trawę. Minął piaszczyste ziemie znane jako Eastern Cross Timbers, krainę dębów, orzeszników, jesionów, platanów, topoli, wiązów i wierzb, która ciągnęła się od Oklahomy w głąb hrabstwa Denton. Chwilami jechał wzdłuż linii kolejowej Missouri–Kansas–Teksas, którą Samantha i Mildred udały się z Fort Worth do Gainesville. Pasażerowie do niego machali, on machał do nich. Na nocce rozkładał się biwakiem przy strumieniach, na ognisku gotował fasolę z boczkiem, konia przywiązywał nieopodal. Leżąc na swoim posłaniu, z rewolwerem M1900 Browning i strzelbą pod ręką, patrzył w migoczące nad nim gwiazdy, wszystkowiedzące, nieprzeniknione, i wołał ich blask od świateł miasta. W ich nieskończoności, szmerze pobliskiej wody i nocnych odgłosach natury odnajdywał spokój.

Trzeciego dnia wczesnym popołudniem dotarł do Gainesville i zapytał napotkanego listonosza, czy wie, gdzie znajduje się farma Barrowsów. Jasna sprawa, odparł listonosz i wytłumaczył mu, jak tam dojechać. Neal chwilę się namyślał, czy nie wypytać dyskretnie o Hollowayów w sklepie na obrzeżach miasta, do którego ktoś z rodziny musiał zachodzić. Wiedział, że ludzie bardzo chętnie dzielą się plotkami o sąsiadach, tym bardziej z kimś obcym. Szybko by się dowiedział, jakimi ludźmi byli Hollowayowie i czy Leon Holloway wciąż żyje.

Wolał jednak sam wyrobić sobie opinię, minął więc sklep i kierując się wskazówkami listonosza, dotarł do pola pszenicy, na którym pracowali ludzie. Podjechał do ogrodzenia. Przez chmurę siewki dostrzegł go mężczyzna, który zdawał się nadzorować parobków, uniósł czapkę i otarłszy czoło chustką wielkości ręcznika, ruszył w jego stronę. Jak nic farmer, stwierdził Neal. Nie tylko zwykła czapka i ogrodniczki odróżniały go od ranczera, lecz także przygięte plecy i ten szczególny krok, typowy dla człowieka pracującego z motyką i pługiem, a nie konno i z lassem.

– Przepraszam – zawołał Neal, przekrzykując hałas młockarni. – Nie chciałbym przeszkadzać w pracy, ale szukam farmy Barrowsów.

– Właśnie ją pan znalazł, przybyszu – odpowiedział mężczyzna, również podniesionym głosem. – Ale jeśli chcesz ją pan kupić, toś się pan spóźnił. Farma

została sprzedana w kwietniu.

– Tak szybko? – zdziwił się Neal z rozczarowaniem w głosie, mającym świadczyć, że kupno farmy rzeczywiście było powodem jego przyjazdu.

Mężczyzna podszedł do ogrodzenia i kiwnął głową.

– Niestety.

– A poprzedni właściciele... jak się domyślam, już tu nie mieszkają?

– Wyprowadzili się pierwszego czerwca.

– Powie mi pan dokąd?

– No, ale wprawdzie musiałbym wiedzieć, kto pyta.

– Neal Gordon. Mam ranczo pięć mil od Fort Worth. – Neal zdjął kapelusz, żeby również otrzeć czoło. Dzień był gorący. – Pan jest nowym właścicielem?

Mężczyzna przybliżył się do płotu i przyglądał się Nealowi wzrokiem kogoś, kto sądzi, że już się wcześniej spotkali.

– Ja sprzedałem farmę, czy może raczej moja żona. Kończymy tylko żniwa. Nazywam się Leon Holloway.

Neal miał nadzieję, że zdążył zapanować nad mimiką twarzy, zanim pojawił się na niej szok. Boże, miej litość! Spoglądał w oczy ojcu Samantha! Założył kapelusz z powrotem.

– Naprawdę? – zapytał głupekowato, nie znajdując innych słów. – Miło mi pana poznać.

Leon kiwnął w odpowiedzi głową i zerknął na Neala.

– Zda mi się, że jakiś czas temu poznałem pańską córkę. Przyjechała w imieniu swojego ojca w odpowiedzi na ogłoszenie, jakie moja żona zamieściła w gazecie w Fort Worth. Umówiły się na spotkanie, ale jakoś się minęły. Mówiła, że ma na imię Samantha. Przyjechała tu ze służącą i rozmawiała ze mną, kiedy nie udało się jej spotkać z Millicent. Pracowałem wtedy w polu.

Neal obliznął nerwowo suche jak wiór usta. W jednej chwili cała krew odpłynęła mu z twarzy. Niewiele brakowało, a Samantha poznałaby swoją matkę.

– Tak, to moja córka. Czy... pan się jej przedstawił?

– Raczej nie. Wzięła mnie za zwykłego parobka. Po co pan znowu przyjechał, panie Gordon?

Neal zmyślał na poczekaniu.

– Pomyślałem sobie, że choć to mało prawdopodobne, ale może jednak nie sprzedaliście farmy. Na południe stąd mam obóz dla bydła, w La Palomie, i chciałem kupić waszą ziemię, żeby mieć dostęp do rzeki. Nie szkodziło sprawdzić, czy farma wciąż jest do kupienia, skoro i tak byłem w okolicy. Wydawca gazety podał mi nazwisko pańskiej żony.

– Jasne, nie szkodziło – odparł Leon. Zdjął czapkę i podrapał się po głowie. – Cóż, skoro przyjechał pan z tak daleka... z Fort Worth, tak? Zapraszam do domu. Usiądziemy na chwilkę. – Leon wskazał widoczne w oddali dachy. –

Woda w studni jest zimna, a brzoskwinie dojrzałe. Nowi właściciele jeszcze się nie wprowadzili, a na werandzie zostały dwa fotele, które według mojej żony nie pasowały do nowego domu. Niech pan jedzie drogą wzdłuż płotu i trafi pan bez trudu. Spotkamy się na miejscu.

Neal chciał odmówić. Znał się na ludziach i choć rozmawiali bardzo krótko, widział, że Leon Holloway jest dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Szczera, życzliwa twarz, przyjazne zachowanie – czy mogło się za nimi kryć serce ojca, który z własnej i nieprzymuszonej woli oddał swoją nowo narodzoną córkę? Czy Neal chciał „usiąść na chwilkę” z człowiekiem, który mógł go pozbawić największej radości życia?

Ale przecież dlatego właśnie tu przyjechał.

– Bardzo to z pana strony miłe. Zimna woda i brzoskwinie brzmią zachęcająco – powiedział, czując nadciągającą katastrofę.

Rozdział 45

Rany boskie! Myślał sobie Leon, idąc przez pastwisko. Czy tamta dziewczyna, która w kwietniu zatrzymała się koło ogrodzenia, była córką Millicent – i siostrą bliźniaczką Nathana! – a ten ranczer jest jej ojcem, czy raczej człowiekiem, który ją adoptował? Powiedział, że jego ranczo znajduje się pięć mil od Fort Worth, a to by się zgadzało z tymi strzępkami informacji, które Leonowi udało się wydusić z doktora Tolmana i których nigdy nie zapomniał. To i kolor włosów dziewczyny nie mogły być zwykłym zbiegiem okoliczności. Po co ten człowiek tu przyjechał? Jeśli Leon miał rację, to skąd Neal Gordon dowiedział się tego, co go tu przywiodło? Od Bridget Mahoney? Doktora Tolmana? I czemu zjawiał się po dwudziestu latach?

Kazał ludziom wrócić do młocki, po czym wsiadł na wóz i przez pastwisko ruszył w stronę domu. Chmura kurzu wznosząca się za wozem i pył z młockarni utrudniały widzenie, ale wydawało mu się, że dostrzega czubek kapelusza przemieszczający się wzdłuż żywopłotu. Kapelusz dotarł na miejsce przed nim. Ranczer zsiadł z konia i poił go z koryta, kiedy wóz Leona się zatrzymał.

Leon natychmiast poszedł do studni i nabrał wiadro świeżej wody. Napełnił nią blaszany kubek i podał Nealowi.

– Mamy pompę, ale w domu nie ma bieżącej wody – wyjaśnił. – Po sprzedaży farmy moja żona kupiła dom w Gainesville i cieszy się jak prosię w błocie, że ma teraz kanalizację.

– To dziadostwo z kranu nie może się równać z wodą prosto ze studni – powiedział Neal, pociągając długi łyk zimnej, krystalicznie czystej wody.

– Co pan powie na brzoskwinie?

– Nie odmówię.

– Proszę usiąść na werandzie, a ja zerwę nam dwie elberty.

Leon podszedł do płotu okalającego sad i zerwał dwie duże, dojrzałe brzoskwinie z gałęzi uginającej się pod ciężarem owoców.

– Brzoskwinia należy do tego samego gatunku co róże, wiedział pan o tym? – rzekł, wracając z owocami na werandę.

– Nie, nie miałem pojęcia – odparł Neal.

– Owszem. To kuzynki moreli, śliwek i migdałów.

– Doprawdy?

– Kto by pomyślał, że są spokrewnione?

– Ciężko to sobie wyobrazić – zgodził się z nim Neal.

Przyglądał się farmerowi, jak przysuwał sobie rozklekotany fotel. Czy ta krótka lekcja ogrodnictwa miała jakieś ukryte znaczenie? Zerknął w stronę sadu.

– Szkoda zmarnować te wszystkie brzoskwinie. Czy nowy właściciel tu

zamieszka, zanim zdążą zgnić?

Leon podsunął scyzoryk Nealowi, ten jednak pokręcił przecząco głową i sięgnął po własny.

– Raczej nie. My zbieraliśmy wszystkie owoce co do jednego. Żona robiła najlepsze pod słońcem przetwory z brzoskwiń. Przygotowywaliśmy z nich lody, zapełnialiśmy słoikami spiżarnię po sam sufit, resztę rozdawaliśmy sąsiadom. Każda z naszych elbert trafiała we właściwe miejsce. – Leon odkroił kawałek owocu i włożył go do ust. – Dobrze, kiedy wszystko trafia tam, gdzie powinno.

Neal poczuł, jak coś się w nim gotuje. Nie nadążał za filozoficznymi dywagacjami farmera, nie bardzo wiedział, do czego Leon zmierza. Zupełnie jakby tamten się domyślał, kim był i po co przyjechał. Neal otworzył scyzoryk.

– Wspominał pan o rodzinie. Dużo was jest?

– Czworo. Ja, moja żona i dwójka dzieci, chłopak i dziewczyna.

– W jakim są wieku? To znaczy dzieci – dodał Neal z lekkim uśmiechem. – Moja żona by mnie zabiła, gdybym zdradził, ile ma lat.

Leon się roześmiał.

– Moja też, niech mi pan wierzy. No cóż, pomyślmy, Randolph ma siedemnaście lat, a Lily szesnaście. Chciałbym jak najdłużej zatrzymać córkę w domu. Ale już wkrótce z niego wyfrunie, jak dla mnie za szybko.

Neal zaśmiał się krótko, dając do zrozumienia, że doskonale wie, co farmer ma na myśli.

– Nie mieliście żadnych innych dzieci?

– Nie. Dobry Bóg pobłogosławił nas tylko dwójką i dają nam wiele radości. Nie ukrywam, że moja córka to prawdziwa ślicznotka. Ona i jej matka mają nadzieję, że złapie jakiegoś bogatego męża i będą żyli długo i szczęśliwie. Syn za kilka miesięcy wyjedzie na Uniwersytet Columbia. To w Nowym Jorku. Mówi, że zostanie znanym prawnikiem, i ja w to wierzę. – Leon wyssał sok z kawałka brzoskwini. – Właśnie skończył szkołę jako najlepszy w klasie. Pojutrze, w sobotę, ma rozdanie świadectw. Już się nie może doczekać, kiedy założy swoją złotą togę. Jego matka też bardzo się z tego cieszy. Okropnie jej zależy na zachowaniu pozorów wyższości.

Wesoły błysk w jego oku zdawał się mówić: ach, te kobiety.

– Gratuluję – powiedział Neal.

Zapominając o brzoskwini, westchnął głęboko. Szczera twarz, otwarty sposób bycia i mówienia nie świadczyły raczej o tym, że jego gospodarz był kłamcą – zwłaszcza w sprawie tak ważnej jak własne dzieci. Jeśli doktor Tolman skłamał w swoim liście – tylko po co miałby to robić? – Leon Holloway spłodził jeszcze bliźniaki, które on i jego żona oddali do adopcji, zanim na świecie pojawiła się dwójka następnych dzieci. Co się stało z bratem bliźniakiem Sam? Czy znalazł równie dobry i kochający dom jak jego siostra? Czy ten mężczyzna w ogóle kiedyś

o nim myślał? Neal miał ochotę prasnąć go w tę jego zadowoloną gębę. Duma z dwójki pozostałych dzieci była wręcz bezczelna. On i jego żona kochali syna i córkę i dbali o nich, matka karmiła ich ciastem z brzoskwiniami. Neal nie wyczuwał jednak w Leonie nawet odrobiny żalu z powodu porzuconej dwójki pierworodnych, sądząc zaś po słowach świadczących o tym, że jego żona jest płytką kobietą, Millicent jako matka też chyba specjalnie nie cierpiała.

– Szkoda, że macie tylko dwójkę. – Neal zarzucił przynętę. – To miejsce wydaje się idealne do wychowania dzieci.

– Ani nie chcieliśmy, ani nie mogliśmy sobie pozwolić na więcej – odparł Leon. – Gdyby pojawiły się inne, obawiam się, że moja żona by je utopiła. – Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że żartuje, ale wesoły błysk w jego oku zniknął. – A pan? Ile ma pan dzieci?

– Tylko jedną córkę – rzekł Neal. – Tylko ta jedna... była nam dana i jest prawdziwym błogosławieństwem, najlepszym dzieckiem, jakie mogliśmy sobie wymarzyć.

– Była wam dana... – powtórzył Leon. – Ładnie to pan ujął. A ile ma lat?

– W marcu skończyła dwadzieścia. – Neal z trzaskiem zamknął scyzoryk i wstał. Ze swojej brzoskwini nie odkroił nawet kawałeczka. – Wezmę ją ze sobą – powiedział, podrzucając owoc w dłoni. – Przyda się w drodze do Fort Worth.

– Jak się nazywa pańskie ranczo?

– Las Tres Lomas de la Trinidad. To znaczy Trzy Wzgórza nad Trinity, rzeką, która rozwidła się przy naszym ranczu.

Leon również wstał.

– Musi tam być pięknie. Cóż, bezpiecznej podróży – rzekł. – Uścisnąłbym panu dłoń, ale mam brudne ręce. Miło się gawędziło, choć przykro mi, że tracił pan czas na próżno.

– Och, to nie była żadna strata czasu – zapewnił go Neal. – Dostałem to, po co przyjechałem.

Leon kiwnął głową.

– To dobrze.

Neal podziękował mu za wodę i brzoskwinię i pod baczny spojrzeniem farmera zszedł z werandy. Nie, do cholery, pomyślał Neal. Nie tracił czasu na próżno i nie odjeżdżał z niczym. Dostał wszystko, po co przyjechał, choć może nie odbyło się to tak, jak sobie zaplanował. Postanowił, że nie da temu człowiekowi szansy na spotkanie z córką. Z góry wiedział, jaka byłaby odpowiedź tamtego. W jego rodzinie nie było miejsca dla Samantha. Leon i Millicent Hollowayowie nie chcieli swoich dzieci, kiedy przyszły na świat, i teraz nie byłoby inaczej. Bliźniaki przyniosłyby im wstyd. Doprawdy cud, że ich nie potopiła! Gotował się z oburzenia na myśl o niesprawiedliwości losu – ludzie pokroju Hollowayów spłodzili więcej dzieci, niż chcieli, podczas gdy on i Estelle ani jednego, choć tak

bardzo tego pragnęli.

Na rozgałęzieniu dróg, gdzie nie był już widoczny z domu, Neal cisnął brzoskwinie na pole. Niech ją sobie zjedzą myszołowy. Cała ta gadka o ogrodnictwie, pokrewieństwie, dziwnych związkach i właściwych miejscach nic nie znaczyła. Nie było w niej żadnych podtekstów. Usłyszał, jak brzoskwinia wylądowała na ziemi, i zastanowił się nad odpowiedziami farmera. Nagle wydało mu się dziwne, że Leon Holloway, słysząc słowa Neala: „Dostałem to, po co przyjechałem”, nie zapytał go, co to takiego.

Leon podszedł do studni, żeby opłukać ręce lepkie od soku brzoskwini. Nie miał już cienia wątpliwości, że Samantha Gordon była córką Millicent i że właśnie poznał człowieka, który ją adoptował. Dobry człowiek z tego Neala Gordona, twardy jak jadaloszyn i równie szorstki, ale kochał Samanthę całym sercem. Widać to było po wyrazie jego twarzy, kiedy o niej mówił. Leon domyślał się, że Samantha była w wieku, gdy zapragnęła dowiedzieć się czegoś o swoich prawdziwych rodzicach – pod warunkiem, że nie ukrywano przed nią, iż jest adoptowana. Ale Leon zgadywał, że nie. Młoda kobieta, którą w kwietniu spotkał przy ogrodzeniu, nie miała pojęcia, kim on jest, lecz Neal Gordon wiedział doskonale. Bo po cóż zjawiałby się znikąd, gdyby nie chciał osobiście się przekonać, jacy ludzie oddali Samanthę do adopcji? I po co by to robił, gdyby nie chciał umożliwić dziewczynie poznania biologicznych rodziców? „Dostałem to, po co przyjechałem”, powiedział, i tak właśnie było. Leon Holloway. Domniemany ojciec Samanthy Gordon został oceniony dokładnie tak, jak Leon sobie tego życzył. Odpowiednio też opisał ranczerowi Millicent. Rozpoznał w Nealu człowieka zdolnego pokochać nie swoje dziecko, ojca, który będzie je chronił przed bolesną prawdą. Neal Gordon wróci na swoje ranczo z wiedzą, której nie wyjawia. Samantha nigdy się nie dowie o jego śledztwie. Rzecz jasna, to były tylko domysły. Być może dziewczyna wkrótce się tu zjawi, on jednak nie będzie jej szukał.

Być może cała reszta też była tylko przypuszczeniem, a wydarzenia tego popołudnia nie były wcale tym, za co je uważał, miał jednak nadzieję, że tak nie jest. Jeśli jego domysły były prawdziwe, mógł się tylko cieszyć, że jego córka trafiła w dobre miejsce, lepsze od tego, w którym mogłaby dorastać. Mógł dożyć swoich dni w spokoju, wiedząc, że jest tam, gdzie powinna. Wierzył, że Neal Gordon czuje to samo.

W Gainesville Neal odstawił swojego konia do stajni, żeby go nakarmili, oczyścili i przechowali przez noc, sam zaś poszedł piechotą do hotelu Harvey House, gdzie wynajął pokój, zmył z siebie cały pot i kurz po długiej podróży i przebrał się w świeże ubranie. Została mu jeszcze jedna rzecz, którą musiał zrobić, zanim z czystym sumieniem będzie mógł wyruszyć z powrotem do Las Tres Lomas. Kierownik hotelu mu w tym pomógł i jakiś czas później wykąpany, ogolony i czysto odziany Neal usiadł na ławce w niewielkim parku naprzeciwko

nowego domu Hollowayów. „Kupili jeden z najładniejszych domów w mieście”, powiedział mu kierownik. Rzeczywiście, budynek robił wrażenie. Utrzymana w doskonałym stanie dwupiętrowa biała budowla z mansardowymi oknami wychodzącymi na park i z rozległym trawnikiem od frontu, okolonym białym płotkiem. Neal kupił sobie gazetę, ale nie mógł oderwać wzroku od wielodzielnych okien i podwójnych drzwi wejściowych w nadziei, że ujrzy mieszkańców. Zamierzał czekać do skutku, choćby miało mu to zająć wiele godzin.

W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Zza domu wyłonił się żwawy koń zaprzężony do powozu ze zdobnym we frędzle dachem, z młodym mężczyzną na koźle – siedemnastoletnim synem? Woźnica wyprowadził powóz przed bramę i po chwili z drzwi wyłoniły się dwie kobiety w zwiewnych letnich sukniach i roześmiane ruszyły brukowaną ścieżką. Kobiety, bez wątpienia matka i córka, były bardzo ładne, a ich głosy brzmiały radośnie i beztrosko. Neal natychmiast dostrzegł, jak uderzająco podobna do matki była jego córka. Włosy Samantha miały identyczny kolor jak włosy Millicent. Chłopak, wystrojony w szykowny ciemny garnitur, był wysoki i szczupły i siedział na koźle z tak nadętą miną, że Neal omal się nie roześmiał. Nikt by go nie wziął za syna pracującego jak wół farmera, podobnie jak nikt nie uznałby ślicznej, głupiutkiej dziewczyny za jego córkę. Również kobieta, nosząca się elegancko, od kapelusza z piórami i włosów upiętych w stylu „dziewczyny Gibsona” po czubki białych bucików z ostrymi noskami nie wyglądała na żonę Leona. Neal zastanawiał się, czy żona i dzieci wstydzą się męża i ojca w poplamionych ogrodniczkach i wyblakłej czapce. Czemu, u licha, ten wymuskany synalek nie pomagał ojcu w młocce? Nie miało to jednak znaczenia. Neal zobaczył już dość. Nawet z tej odległości, wcale ich nie znając, widział, jacy są płytcy, niegodni, by nazwać ich krewnymi jego córki. Samancie na pewno jest lepiej bez nich.

Pomasował się po brzuchu. Od wielu dni – w zasadzie od dwóch miesięcy – nie odczuwał głodu, ale teraz jego żołądek aż burczał, domagając się jedzenia. Dobry znak. Neal zafunduje sobie obfitą kolację, porządnie się wyśpi, jutro zatrzyma się na noc w La Palomie, a potem wróci do domu. Już nie mógł się doczekać.

Rozdział 46

Trwał ostatni tydzień czerwca i Samantha w bibliotece porządkowała wyciągi bankowe, gdy w drzwiach niespodziewanie zjawiła się Silbia.

– Panienko Sam, chyba *el patrón* wrócił do domu. Kiedy wieszalam pranie, zobaczyłam człowieka podobnego do ojca panienki, jak w chmurze pyłu pędzi od północy.

Samantha rzuciła ołówek i zerwała się z za biurka.

– Oby! – wykrzyknęła i tylnymi schodami wbiegła na galerię, z której rozciągał się widok na trzy mile wokół. Spodziewała się ojca w każdej chwili i była ubrana na jego powitanie, w białą jedwabną bluzkę z bufiastymi rękawami i wąską, sięgającą kostek spódnicę. Nie chciała, aby zastał ją w roboczym stroju, cuchnącą oborą. Kiedy już się obmyje i odpocznie po podróży, zdradzi mu nowinę, chyba najbardziej radosną, jakiej mógłby się spodziewać, w nadziei, że oczyści nieco panującą między nimi napiętą atmosferę. Jeśli tak się nie stanie, postanowiła, że powie Grizzly’emu, co było prawdziwym powodem dziwnego zachowania jej ojca, i poprosi go, żeby pozwolił, aby wszystko Nealowi wyjaśniła. Przed jego gniewem mogły ochronić Grizzly’ego tylko poczucie sprawiedliwości, zrozumienie i szacunek, jakim jej ojciec go darzył. Samantha nie widziała innego sposobu. Ona i Neal nie mogli tak dalej żyć.

Z dachu zobaczyła, że to rzeczywiście jej ojciec galopuje na swoim koniu, podnosząc za sobą chmurę kurzu i pyłu ciągnącą się przez pół mili. Odkąd wyjechał, nie spadła ani kropla deszczu i słońce paliło trawę. Pomachała i z ulgą i radością ujrzała, jak ojciec zdejmuje z głowy kapelusz i macha do niej w odpowiedzi, popędzając konia do szybszego biegu. Samantha zbiegła na dół i pognąła do miejsca, w którym kilku parobków, którzy też zauważyli Neala, zebrało się, by go powitać. Była ciekawa, jak ojciec zareaguje na jej widok. To jej powie, czy rozłąka zmniejszyła, czy też raczej wydłużyła dzielący ich dystans.

– Tatusiu! – zawołała i widząc jego szeroki uśmiech, wybiegła mu na spotkanie. Neal zeskoczył z siodła i czekał na nią z wyciągniętymi ramionami.

– Moja dziewczynka! – powiedział, tuląc ją mocno do siebie. – Jak ja się za tobą stęskniłem!

W tej chwili Samantha już wiedziała, że wszystko jest między nimi w porządku. Jakimś cudem ojciec, będąc w podróży, wreszcie zrozumiał. Uporał się z bólem, wybaczył jej zdradę i wyszedł z ciemnej, głębokiej studni, w jakiej tkwił do tej pory. Swoim zachowaniem jasno dawał do zrozumienia, że nie ma o czym mówić, zresztą nawet by tego nie chciał. Samantha uznała, że tak będzie lepiej. Po co rozniecać ogień, który Neal Gordon postanowił ugasić? Ona też, dzięki Sloanowi, rozumiała wszystko i pogodziła się z tym. Jej chwilowe

pragnienie, by dowiedzieć się czegoś o swoim pochodzeniu, było czymś zupełnie naturalnym u adoptowanego dziecka. W jej ciekawości nie było żadnej tęsknoty i nie widziała powodu, by czuć się winna zdrady wobec rodziców adopcyjnych, którzy ją kochali i wychowali.

Dało się to wyczuć, kiedy ramię w ramię szli do domu. Samantha się roześmiała.

– Przygotowaliśmy dla ciebie tuczone cielę, tatusiu. Dosłownie! Witaj w domu. Sloan też się za tobą stęsknił. Posłałam służącą, żeby zaprosiła go z siostrami na kolację. Chce cię o coś zapytać.

– Jesteś pewny? – zapytał Trevor Waverling, kiedy w niedzielny poranek Todd zjawił się w jego rezydencji i poinformował go o swoim odkryciu.

Cóż, do licha, nie, Todd nie miał absolutnej pewności. Żaden geolog by jej nie miał. Przemysł naftowy wciąż raczkował. Poza kilkoma testami chemicznymi nie istniał jeszcze żaden sprzęt, który mógłby potwierdzić obecność złoża ropy. Biblia jego fachu, *Pierwsza książka o geologii*, została wydana dopiero w 1897 roku i opisywała jedynie zagadnienia takie jak gleba, woda i powietrze, wulkany, wody i ukształtowanie lądu. W dziedzinie geologii było bardzo niewiele publikacji traktujących o pochodzeniu, występowaniu i wydobywaniu ropy naftowej i gazu ziemnego. Geolodzy mogli więc opierać się jedynie na relacjach z pierwszej ręki wiertaczy, poszukiwaczy ropy i zwykłych ekscentryków, którzy z jakichś powodów wierzyli, że akurat pod ich stopami znajduje się roponośne złożo.

Tak więc nie, powiedział Todd panu Waverlingowi w tamto niedzielne przedpołudnie, nie mógł być pewny, nie na tyle jednak, żeby nie zaryzykować trzydziestu tysięcy szefa, by udowodnić, że się nie myli.

– Okay – rzekł Trevor i spojrział na Nathana, który w milczeniu wysłuchał raportu Todda. – Gotów sobie pobrudzić rączki i podpisać swoją pierwszą umowę dzierżawną?

Nathan skinął głową i we trzech zaczęli dyskutować nad ceną, jaką powinni zaoferować w zamian za prawo do wierceń.

Todd nie posiadał się ze szczęścia, ale ostrzegł ich, że muszą poczekać, aż Neal Gordon wróci z obozu dla bydła w hrabstwie Cooke. Nie powinni rozmawiać z jego córką Samanthą, która im odmówi, jeszcze zanim Nathan zdąży choćby wspomnieć o swojej ofercie. Chcieli wiedzieć dlaczego, więc Todd opowiedział im, jak panna Gordon znalazła częściowo zachowaną skamieniałą czaszkę, która według niej miała znaczenie archeologiczne, z czym on jednak się nie zgadzał. Nie wspomniał o zdjęciach, które Samantha zrobiła swoim kodakiem, ani o tym, że obiecał wysłać je pocztą. Aparat leżał bezpiecznie schowany w szufladzie jego biurka. Jeśli Samantha nigdy nie otrzyma aparatu ani filmu z Eastman Kodak Company w Rochester... Cóż, amerykańska poczta często gubiła przesyłki.

Była środa, dwudziesty siódmy czerwca; od soboty upłynęła cała wieczność. Todd wpatrywał się w notatkę, którą Agatha Beardsley zostawiła mu na biurku. *Pod Pana nieobecność dzwoniła Pańska żona i prosiła przekazać, że niejaka Samantha zaprasza ją w piątek do Fort Worth, żeby pomogła jej w planowaniu wesela, ponieważ jej ojciec – to znaczy ojciec Samantha – już wrócił. Prosiła, żeby Pan to przemyślał. Czeka na odpowiedź do kolacji.*

Z dzikim okrzykiem radości Todd wymierzył pięścią cios w powietrze. Właśnie się zastanawiał, jak się dowie, że Neal Gordon wrócił z podróży. Nie wierzył własnemu szczęściu. Jego żona i Samantha będą w Fort Worth, w czasie kiedy on i Nathan zjawią się u Neala Gordona z propozycją dzierżawy jego gruntów pod odwierty – pod warunkiem oczywiście, że ranczer zgodzi się ich przyjąć. Samantha na pewno opowiedziała już ojcu o swoim odkryciu i zniknięciu czaszki dinozaura. Todd był przekonany, że stary Gordon i jego żona czują się winni z powodu decyzji Samantha o rezygnacji ze studiów w seminarium Lasell. Czy to poczucie winy spowoduje, że Neal posłucha argumentów córki, by nie wiercić?

Uzgodniono, że jak tylko dotrze do nich wieść o powrocie Neala Gordona na rancho, przedstawiciel Trevora w Fort Worth natychmiast przekaze ranczerowi wiadomość, że ludzie z Waverling Tools chcą się z nim spotkać w wyznaczonym przez niego terminie. Todd zaproponuje Trevorowi, żeby od razu pchnąć posłańca do Neala, aby umówić się na spotkanie w piątek. Gdyby ranczer nie był zainteresowany, im szybciej będą o tym wiedzieli, tym lepiej.

I tak Todd czekał. Każdego dnia się spodziewał, że rozwścieczona Samantha oskarży go o kradzież i oszustwo. Wtedy pod żadnym pozorem nie będzie mógł się zjawić w Las Tres Lomas. Neal Gordon by go zabił, jeśli wcześniej nie zrobiłby tego Trevor Waverling. W końcu otrzymał wiadomość od Samantha, ale za pośrednictwem Ginny.

– Dostałam dzisiaj telegram od Sam – oznajmiła żona, kiedy w poniedziałek wrócił z pracy. – Wprost nie mogę w to uwierzyć, Todd.

Jej wstrząśnięta mina powiedziała mu wszystko, spiął się więc cały w oczekiwaniu na cios.

– W co takiego nie możesz uwierzyć? – zapytał, kaszlnięciem próbując zatuszować przerażenie.

– Samantha i Sloan biorą ślub. Zaręczyli się w ubiegłą sobotę.

Szczęka mu opadła. Prawie zemdłał z ulgi. Jezu Chryste! Co się stało z Anne Rutherford? Czy Sloan wziął sobie do serca słowa Todda, którymi ten go pożegnał, i porzucił spadkobierczynię bankowego imperium dla potencjalnej dziedziczki fortuny, którą Gordonowie będą teraz budować na ropy? Czy fakt, że po ślubie z Samantha Sloan któregoś dnia zostanie panem największego rancza w Teksasie, kiedy Las Tres Lomas i Triple S się połączą, był dodatkową zachętą?

Todd nigdy by nie podejrzewał o to Sloana Singletona, ale prawdziwa natura mężczyzny objawiała się dopiero w chwili, gdy przed nosem zamachano mu marchewką. Rozgniewana i zdradzona Samantha na pewno już by się z nim skontaktowała. Skoro jednak tego nie zrobiła, Todd mógł spokojnie założyć, że Sloan nie powiedział jej o jego machlojkach – niestety, to było najważniejsze słowo – i dlatego mógł się już nie obawiać, że czaszka niespodziewanie pojawi się w jej rękach. Młody ranczer może nawet okazać się sojusznikiem Waverling Tools.

Te ostatnie dni były pełne napięcia, myślał sobie Todd, ale czekanie się skończyło. Z uśmiechem szedł korytarzem do gabinetu swojego szefa.

Rozdział 47

Daniel Lane objął dłonią pierś Billie June i wziął do ust brodawkę. Billie June jęknęła z rozkoszy i uniosła biodra w oczekiwaniu na największy dowód namiętności kochanka. Odkąd panna Singleton zjawiła się w Beaumont pod pretekstem spotkania z dawną koleżanką ze szkoły, każdej nocy kochali się w jej pokoju hotelowym. Koleżanka nawet nie wiedziała, że Billie June jest w mieście.

Billie June nie miała najmniejszego pojęcia, jak po przyjeździe do Beaumont, małego nadmorskiego miasta na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, znajdzie Daniela, ale tego typu przeszkody nigdy nie zniechęcały biorącej udział w marszach protestacyjnych i wymachującej transparentami bojowniczką o prawa kobiet i zwierząt.

– Gdzie znajdę najlepszy hotel w mieście? – zapytała naczelnika stacji kolejowej.

– Mamy tu tylko Seaway – odparł.

– Tak myślałam – powiedziała Billie June. Obróciła się do towarzyszki podróży, po którą mąż przyjechał powozem. – Czy mogliby państwo podwieźć mnie do hotelu Seaway?

W hotelu, podpisując się w księdze gości, zerknęła na znajdujące się w niej nazwiska.

– Och, widzę, że zatrzymał się u was przyjaciel rodziny, Daniel Lane – zwróciła się z udawanym zdziwieniem do recepcjonisty. – Ciekawe, co też go tu sprowadziło.

– Tak do końca nie wiem, ale po przybyciu pytał, jak dojechać do Spindletop. Kilku głupców wierzy, że pod wysadem solnym znajduje się ropa. Teraz to już atrakcja turystyczna.

– Chętnie sama to miejsce obejrzę. Jak mogę się tam dostać?

Recepcjonista powiedział, że może zapytać Wally'ego, jedynego dorożkarza w mieście, czyby jej nie zawiózł do Big Hill, jak inaczej nazywano Spindletop, co było jedną z milszych nazw, jakie temu miejscu nadano. Tylko niech dopilnuje, żeby nie wiozł jej okrężną drogą, by wydębic od niej więcej pieniędzy.

Billie June, w nowej letniej sukni, której obfita góra i wąska talia podkreślały jej zgrabny biust, wsiadła do rozklekotanej dorożki powożonej przez indywiduum o twarzy niegodziwca, któremu za grosz by nie zaufała, gdyby nie jego marna szkapina. Później może porozmawia z Wallym o tym, jak traktuje nieszczęsne zwierzę.

– Do Big Hill, albo inaczej Spindletop, jeśli łaska – zwróciła się do dorożkarza – i niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby naciągnąć mnie na więcej pieniędzy, niż ta jazda jest warta. Możesz mi wierzyć na słowo, że jeśli spróbujesz,

stracisz o wiele więcej niż te wyłudzone pieniądze. Rozumiemy się?

– Tak, psze pani – odparł Wally.

Billie June słyszała o kobietach, które po przyjeździe do obcego miasta znikwały w niewyjaśnionych okolicznościach, nie omieszkała więc dodać:

– Dla pewności, że dobrze się rozumiemy, właściciel hotelu, recepcjonista i moja służąca – żadna jej nie towarzyszyła – doskonale wiedzą, dokąd się wybieram i kto mnie tam zawiezie. Jak coś mi się przytrafi, ty za to odpowiesz. Czy to jasne?

– Tak, psze pani – powtórzył Wally.

Po przejechaniu czterech mil dotarli do jałowego, bagnistego miejsca zwanego Big Hill, albo inaczej Spindletop, jak oznajmił Wally. W niczym nie przypominało to wzgórze, lecz raczej trzymetrowe wzniesienie porośnięte rzadką trawą, z wierzchołkiem pokrytym białym piaskiem. U jego podnóża Billie June ujrzała kilku mężczyzn w wysokich do kolan butach. W jednym z nich rozpoznała Daniela Lane'a. Wsiadła z dorożki.

– Zostań tu i czekaj na mnie – poleciła.

– Chce pani tam iść? Do tych wszystkich mężczyzn? Tam można dojść tylko po tych balach, które rozłożyli w błocie.

– Poradzę sobie – odparła. – A ty tu czekaj.

Na widok zbliżającej się Billie June, która jedną ręką przytrzymując kapelusz, a drugą spódnicę, lawirowała po byle jak ułożonych belkach, mężczyźni przerwali rozmowę. Daniel Lane z otwartymi ze zdumienia ustami wyminął mężczyzn, żeby ją powitać na skraju prowizorycznej ścieżki.

– Wielki Boże, Billie June, co ty tutaj robisz?

– Przyjechałam się z tobą zobaczyć, Danielu. Chociaż w zasadzie przyjechałam w odwiedziny do koleżanki ze szkoły. Mieszka tutaj. A przynajmniej tak powiedziałam Sloanowi, ale tak naprawdę przyjechałam, żeby spędzić z tobą czas... sam na sam – rzekła Billie June, a jej spojrzenie prosto w oczy i uniesiona broda zdradzały prawdziwe znaczenie jej słów. – Zatrzymałam się w hotelu Seaway, podobnie jak ty. Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności. Pokój dwieście trzynaście na końcu korytarza. Bardzo cichy i na uboczu. Może zajdziesz do mnie wieczorem?

Skinęła głową gapiącym się mężczyznom, uśmiechnęła się do Daniela, który stał niezdolny wykrztusić słowo, i obróciła się, by wrócić do czekającego w dorożce Wally'ego.

– Do hotelu, Wally – rozkazała, kiedy już wsiadła.

– Tak, psze pani.

Daniel wrócił do hotelu Seaway o ósmej wieczorem. Billie June, z mysimi włosami opadającymi na ramiona, przyjęła go w szlafroku, pod którym nic nie miała.

– Jadłeś kolację? – zapytała.

– Nie chcę kolacji – odparł Daniel. – Chcę ciebie.

Nazajutrz rano miała wsiąść do pociągu do Fort Worth, więc dzisiejsza noc była ostatnią, jaką mieli spędzić razem.

– Mój brat się żeni – powiedziała, rozkosznie znużona wyciągając się obok Daniela.

– Z tą próbującą uszczęśliwić wszystkich wokół córką bankiera?

– Nie. Z Samantha Gordon.

Daniel uniósł się na łokciu, by spojrzeć na nią z nieskrywanym zdumieniem.

– Z Samantha Gordon! Wydawało mi się, że jest zaręczony z Anne Rutherford.

Billie June pieściła mu włosy na piersi.

– Tak naprawdę nie byli zaręczeni, chociaż wszyscy się spodziewali, że wezmą ślub.

– Mój Boże! Co się stało?

– Nie wiem do końca, ale Millie May i ja bardzo się z tego cieszymy. Samantha uwielbiamy, a Anne nie znosiłyśmy. – Billie June się roześmiała. – To się stało dzień po tym, jak Sloan przytargał do domu coś, co wyglądało jak zasuszona czaszka zwierzęcia. Chyba chciał ją dać Samancie. Może to poskutkowało? Ona zawsze interesowała się skamielinami.

– Jakiego zwierzęcia?

– Widziałam tę czaszkę tylko przelotnie, więc nie wiem. Sloan włożył ją pod ramię i bez słowa zaniósł do swojego pokoju.

Teraz już naprawdę zainteresowany Daniel wsparł się o poduszki, zawsze wyczulony na wszystkie informacje dotyczące Wielkiego Pana Ważniaka, i sięgnął po papierosa. Dzięki pracy w Waverling Tools mógł sobie pozwolić na skręcane w maszynie papierosy, przez palaczy uznawane za dowód zniewieściałości. Panowała powszechna opinia, że mężczyzna powinien palić cygara albo fajkę. Daniel ich nie lubił i każdy, kto się ośmielił wytknąć mu, że palenie papierosów jest niemęskie, szybko gorzko tego żałował. Zwłaszcza po seksie lubił sobie zapalić.

– Czemu robił z tego aż taką tajemnicę?

– Nie wiem. Może to miała być niespodzianka dla Samantha i bał się, że go zdradzę. Nie umiem dochowywać sekretów. – Uśmiechnęła się. – Chyba że dotyczą ciebie i mnie. W każdym razie następnego dnia rozstał się z Anne i oświadczył Samancie.

– Naprawdę? – rzucił Daniel.

Wiedział, że Samantha Gordon interesuje się paleontologią, i uśmiechnął się złośliwie, wyobrażając sobie, jak Sloan zamiast zaręczynowego pierścionka wręcza swojej wybrance skamielinę. Odłożył niezapalony papierosa na później. Billie

June sięgnęła ręką do jego krocza.

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, żebyś spędziła kilka dni z Samantha i jej matką w Fort Worth – powiedział Todd do Ginny, kiedy w piątkowy poranek odprowadzał ją na stację.

– Tak się cieszę, że poprosiła mnie na drużnę – rzekła Ginny. – Sądziłam, że ten zaszczyt spotka Millie May albo Billie June, ale teraz widzę, że kryje się za tym dyplomacja. Samancie byłoby trudno wybrać między jedną siostrą a drugą.

Todd tak był zajęty swoimi myślami, że paplanina jego żony ledwo do niego docierała. Ciekawe, czy Ginny będzie tak samo zachwycona, kiedy Samantha odkryje, że to on jest odpowiedzialny za zniszczenie dowodu na istnienie cmentarzyska zauropodów. Zdenerwowana i zdziwiona Samantha napisała do niego list, który przyszedł we wtorek. Informowała w nim, że jej znalezisko znikło, co potwierdzało, że Sloan się nie wygadał ani nie pokazał jej skonfiskowanej czaszki. Samantha pisała, że nie ma pojęcia, jak to się mogło stać. Przecież żaden drapieznik ani psy z rancza nie mogły się zainteresować czaszką, poza tym nie znalazła żadnych śladów.

Todd odpisał, że może winowajcą jest Ocalony. Mógł przecież natknąć się na skamielinę i ją zniszczyć.

Radość Todda zastąpił strach, że nie uda mu się uspić podejrzeń Samantha. Wiedział, że to niemożliwe. Samantha była naprawdę bystra. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo Todd pragnie dowieść, że jest dobrym geologiem. Kiedy dotrze do niej, że to dzięki niemu kompania naftowa interesuje się okolicą Windy Bluff i kiedy ani aparat, ani zdjęcia nie przyjdą z Nowego Jorku, w jednej chwili rozszyfruje tajemnicę zniknięcia czaszki. Od razu się domyśli, że jej przyjaciel, kolega ze szkoły, wrócił na ranczo i zniszczył dowód na istnienie sensacyjnego znaleziska archeologicznego. Todd, rzecz jasna, wszystkiemu zaprzeczy i będzie bronił pobranych przez siebie próbek gleby, bo przecież jako geolog i pracownik Waverling Tools był przekonany, że miał obowiązek poinformować szefa o swoich domysłach o obecności złóż ropy na terenie Las Tres Lomas. Nie był głupcem. Postarał się, żeby skutecznie się obronić przed podejrzeniami.

Ginny wybierała się do Fort Worth porannym pociągiem. Nie miała pojęcia, że jej mąż w towarzystwie Nathana również się tam uda, tyle że nieco później. Wróć tego samego dnia, podczas gdy jego żona spędzi z Samantha cały weekend. Neal najwyraźniej nie powiadomił córki o spodziewanych gościach, bo inaczej na pewno powiedziałyby o tym Ginny. Todd przeczuwał, że ranczer, doskonale wiedząc, co Samantha sądzi o odwiertach na terenie pastwisk, zachował dla siebie informację o wizycie i jej celu, wobec czego udział Todda jeszcze przez jakiś czas pozostanie tajemnicą.

Zabierając – kradnąc – znalezisko Samantha, Todd popełnił największy

grzech w swoim życiu i mógł się założyć, że Sloan Singleton myśli podobnie. Lecz postępek młodego ranczera był o wiele gorszy; jego zdrada była jeszcze większa. Todd zdradził przyjaciółkę. Sloan natomiast postąpił podle wobec dziewczyny, którą zamierzał poślubić. Samantha na pewno zwierzyła mu się ze swojego odkrycia, a potem powiedziała o tajemniczym zniknięciu czaszki. Jak by potraktowała oświadczenia Sloana, wiedząc o jego przypadkowym spotkaniu z Toddem i ich krótkiej rozmowie na dzień przed tym, kiedy poprosił ją o rękę? Jeśli facet jest tak mądry, jak przypuszczał Todd, to pozbędzie się czaszki. Tak czy owak, Todd aż się kulił na myśl, że jego towarzyszem w spisku jest Sloan Singleton, który był jednocześnie mangustą i wężem. Jedyne, co Todd mógł zrobić, to trzymać się jak najdalej od narzeczonego Samantha.

Rozdział 48

W piątkowe popołudnie Neal odchylił się na krześle przy swoim gigantycznym biurku w bibliotece i założył ręce na coraz wyraźniej zaokrąglonym brzuchu. Rozsadzała go radość, że oto nadszedł w jego życiu trzeci moment największego szczęścia. Pierwszym był dzień, w którym Estelle zgodziła się go poślubić. Drugim – noc, w którym wziął na ręce Samanthę. Żadne inne wspomnienie nie mogło się równać z jego powrotem do domu w środę po południu. Wystarczającym szczęściem był widok córki i zgoda, która między nimi zapanowała. Powinien był się domyślić, że coś jeszcze jest na rzeczy, kiedy zauważył, jak Grizzly i Silbia szepczą sobie przyjaźnie w kuchni. Przecież zawsze walczyli ze sobą niczym pies z kotem. Stół do kolacji był świątecznie nakryty, z kwiatami i najlepszą zastawą, a liczba nakryć zdradzała, że zasiądzie przy nim ktoś jeszcze.

– Silbia chyba myśli, że zaprosiliśmy wszystkich z baraku – powiedział do Samanthy, gdy zauważył wystrój jadalni, ale tym zajmowała się jego córka, a jemu nic do tego nie było.

Wziął długą kąpiel, po której uciął sobie krótką drzemkę, i kiedy wypoczęty się obudził, powitał go smakowity zapach pieczonej wołowiny. Czuł się lekki, jakby schudł pięć kilo, i gdy pogwizdując, ubierał się, rozmyślał, o co też chciał go prosić Sloan. Cieszył się na wieczór w jak zawsze miłym towarzystwie młodzieńca i jego siostr, no i oczywiście radowała go obecność córki. Do pełnego szczęścia brakowało tylko Estelle.

Gotowy na szklaneczkę burbona i słysząc dobiegające z dołu głosy, zszedł do biblioteki, gdzie ku swemu zdziwieniu zastał tylko Samanthę i Sloana. Chłopak był przystojny jak złociści tytani z jego książek o mitologii. Obaj panowie uścisnęli sobie dłonie.

– Podobno masz do mnie jakąś sprawę? – odezwał się Neal.

Jakby to był sygnał, do pokoju wkroczyła Estelle z radosnym jak wschodzące słońce uśmiechem. W ślad za nią pojawili się Millie May i Billie June, Silbia, Grizzly i Wayne. Do tego momentu ukrywali się za drzwiami. Sloan podszedł do Samanthy, objął ją w pasie i zwrócił się do Neala.

– Panie Gordon – powiedział – chciałem prosić o zgodę na poślubienie pańskiej córki.

Nic lepszego nie mogło spotkać ojca.

– TAK! – wykrztusił Neal, myśląc o Secie Singletonie.

Do wczesnych godzin rannych wszyscy wspaniale się bawili, jedząc, pijąc i weseląc się. Estelle została oczywiście na noc i kochali się po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Neal chyba nigdy nie spisał się tak dobrze, czując bijącą od

żony miłość.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła. – Wciąż to jeszcze w sobie masz, staruszk!

A jakże, szanowna pani, ma – ma wszystko, co najważniejsze, a teraz jeszcze jego córka poślubi idealnego dla siebie mężczyznę. Pojawią się wnuki i nie trzeba się będzie martwić o spadkobierców, a on dożyje chwili, w której spełni się marzenie jego i Seta – rancza Las Tres Lomas i Triple S połączą się w jedno. W środę wieczorem omówił to w cztery oczy ze Sloanem i przyszły zięć zgodził się, by we dwóch prowadzili oba rancza jako całość. Z czasem Neal się odsunie i całe zarządzanie przekaże Sloanowi. Taki miał zresztą zamiar, zanim pojawiła się Samantha. Wreszcie znajdzie czas na podróż z Estelle. Pokona lęk i wyruszą w drogę pociągiem. Estelle zawsze chciała zobaczyć Nowy Jork. Do pełni szczęścia brakowało mu tylko jednego. Jego córka nie ucieszy się na wieść, że w Las Tres Lomas zaczną się odwierty w poszukiwaniu ropy.

Samantha, która razem z Estelle została na ranczu do czwartku, rankiem pojechała wraz z matką, Millie May i Billie June, by spotkać się z Ginny Baker i omówić ślubne plany. Neal nie powiedział żonie ani córce o dzisiejszym spotkaniu z landmanem i Toddem Bakerem; najpierw chciał się sam rozeznać w sytuacji. Gdzie dokładnie chcieli prowadzić wiercenia? Wszystko, co wiedział, przekazał mu posłaniec z Waverling Tools w Dallas. Jak się okazało, Todd odwiedził ranczo pod nieobecność Neala i był niemal pewny, że pod Las Tres Lomas znajdują się złoża ropy naftowej.

Neal miał w zanadrzu wiele argumentów na przekonanie Samanthę do zmiany zdania, poza tym liczył też, że jego przyszły zięć mu w tym pomoże. Sloan od razu będzie wiedział, jak korzystne mogą się okazać wiercenia. Każdy teksański hodowca byłą martwił się nieustannie, czy zdoła utrzymać swoje ranczo, gdyby nagle nastąpiła długotrwała susza. Od początku kwietnia spadł tylko niewielki deszczyk. Dzięki pieniądзом z ropy Las Tres Lomas i Triple S będą mogły płacić pracownikom, kupić paszę dla bydła, gdy trawa na pastwiskach uschnie, i zatrudnić tych całych botaników, którzy pałętają się po okolicy, żeby wraz z Samanthą wyhodowali odporną na suszę trawę. Zważywszy na zamięłowanie jego córki do badań z mikroskopem, ten pomysł na pewno się jej spodoba.

Neal chciał prowadzić odwierty z jeszcze jednego powodu. Teraz był zamożny, ale pragnął być bogaty. Pieniądze mówiły same za siebie. Były niczym miecz w rękach potężnych tytanów, którzy w jego ulubionych książkach o mitologii rządzą światem. W tej chwili lokalni politycy liczyli się z jego zdaniem, lecz chciał, by słuchano go w całym jego rodzinnym stanie, by mógł decydować o tym, co najlepsze dla Teksasu, o którego niepodległość walczyli jego bliscy i którego on sam bronił przed agresją Północy. Zbyt wielu podleców z innych części kraju – jankeskich dorobkiewiczów – pchało się do władz

stanowych i urzędów, mając na celu wyłącznie własne interesy.

Silbia zapukała do drzwi biblioteki, dając znak, że zjawili się goście. Wsunęła głowę do pokoju.

– Już są – oznajmiła. – Gdzie mam ich zaprowadzić?

Serce Neala zaczęło bić jak oszalałe.

– Tutaj – powiedział i odetchnął głęboko.

Jego wzrok spoczął na rzędzie zadbanych książek o potężnych tytanach, bogach i boginiach z greckiej mitologii. I musiał się do tego przyznać, choć tylko sam przed sobą, że podobała mu się wizja, w której jawił się sobie jako potężny orędownik Teksasu, na podobieństwo mieszkańców Olimpu z mitologicznych opowieści, które pamiętał z dzieciństwa. Odkąd był małym chłopcem, nie przestawał marzyć, by stać się takim jak oni. Czyja prawica będzie lepiej dzierżyć miecz władzy? Dzięki pieniądzom z ropy – całemu ich mnóstwu – jego marzenie się spełni.

– Panowie, witam serdecznie – rzekł, wstając, by uścisnąć dłonie dwóm gościom.

Stanowili dziwną parę. Todd Baker był wysoki, ale chudy jak tyczka i rozedrgany niczym różdżka radiestety. Drugi z mężczyzn natomiast dorównywał mu wzrostem, ale był muskularny i emanowały z niego spokój i cierpliwa pewność siebie. Neal najpierw zwrócił się do Todda.

– Todd, miło cię znowu widzieć. Wydaje się, że ledwie wczoraj sięgałeś swemu ojcu do kolan, a oto teraz stałeś się *bona fide* geologiem. – Przyszła kolej na Nathana. – Pan jest zapewne tym landmanem, o przyjeździe którego mnie uprzedzono.

Neal zauważył, że kolor niesamowitych oczu młodzieńca nie był ani zielony, ani niebieski, lecz stanowił mieszaninę obu.

– To syn Trevora Waverlinga – przedstawił towarzysza Todd w nadziei, że ta informacja doda wagi negocjacji i że Nathan nie wprowadzi niepotrzebnego zamieszania, zdradzając swoje nazwisko.

– Wystarczy Nathan, proszę pana – powiedział młodzieniec, podając gospodarzowi rękę. – Pięknie tu u pana.

Neal z zadowoleniem omiół wzrokiem swoją bibliotekę.

– Dziękuję. Przydałoby się co nieco tu odświeżyć, ale dom jest wygodny.

– Miałem na myśli pańską ziemię, sir. Chyba nigdy nie widziałem piękniejszej.

Neal zauważył, jak Todd porusza się niespokojnie.

– Och – powiedział. – Przemawia przez ciebie doświadczenie landmana czy też sam dorastałeś na ranczu?

– Ani jedno, ani drugie – odparł Nathan. – Pracuję dopiero od niedawna, a wychowałem się na farmie, na której uprawialiśmy pszenicę.

Znaczy, że chłopak może mieć wątpliwości, czy warto niszczyć dobre pastwisko, pomyślał sobie Neal, słusznie odgadując, że w tej kwestii między landmanem i geologiem istnieje pewien konflikt. Niestety, Samantha zapewne znajdzie w tym młodym człowieku pokrewną duszę, ale jemu on też się podobał. Miał w sobie bezpośredniość, którą Neal lubił. Czas pokaże, czy tak jest rzeczywiście, ale miał przeczucie, że młodzieniec przedstawi wszystkie fakty i zaproponuje uczciwy interes.

Zajęli krzesła przy wielkim stole, przy którym Neal grywał z przyjaciółmi w pokera. Todd rozłożył mapę obszaru wokół Windy Bluff, którą naszkicował, gdy po raz drugi, w tajemnicy, pojechał tam znowu, szczęśliwie przez nikogo niezauważony. Za pomocą kompasu, stalowej miarki i innych narzędzi, za punkt odniesienia biorąc dwa głązy Windy Bluff, a ogrodzenie – za granicę, zdołał ze szczegółami narysować teren, na którym – był o tym głęboko przekonany – znajdują ropę.

– Ach, chcecie więc wiercić w tym miejscu! – wykrzyknął Neal z ulgą. – Dzięki Bogu! Ten skrawek ziemi jest w zasadzie bezużyteczny. Trawy na nim ledwie starcza dla ulubionego byczka mojej córki. Jakim cudem znalazłeś się aż w Windy Bluff, żeby dokonać swojego odkrycia, Todd? Posłaniec tego nie wyjaśnił.

Todd i Nathan wymienili spojrzenia. Pytanie Neala świadczyło o tym, że Samantha nie opowiedziała ojcu o odkryciu archeologicznym. Todd żałował, że nie może skłamać i powiedzieć, że Samantha go zaprosiła, by pokazać mu Ocalonego. W sobotę po swoim odkryciu, na spotkaniu z Nathanem i jego ojcem, Todd nie zataił przeszkody, która może powstrzymać Neala Gordona przed wydaniem zgody na wiercenia. Musiał też Trevorowi i Nathanowi przypomnieć, że wiosną poznali Samanthę Gordon na wykładzie z paleontologii w Fort Worth. Obaj pamiętali rudowłosą dziewczynę.

– Cóż, proszę pana – zaczął Todd, po czym wyjaśnił wszystko, nie wspominając tylko o swojej kradzieży. Kiedy skończył, Neal Gordon nie był już w tak radosnym nastroju. Przez dłuższą chwilę milczał, w zamyśleniu stukając się palcem w brodę.

– Czy... Samantha nie wspomniała panu o tym? – zapytał wreszcie Todd.

Neal poprawił się na krześle, wyraźnie rozczarowany. Powinien był się spodziewać, że całe przedsięwzięcie nie pójdzie tak łatwo, jak sobie tego życzył.

– Jestem w domu dopiero od dwóch dni i inne ważne sprawy wymagały omówienia – rzekł. – Moja córka wychodzi za mąż, jak zapewne wiesz, Todd. Przyjechała jej matka i mieliśmy z tej radosnej okazji gości. Jestem przekonany, że w innej sytuacji Samantha o wszystkim by mi powiedziała.

– Jak więc rozumiem, zanim pan nie omówi naszej propozycji z córką, mam się wstrzymać z formalnościami? – zapytał cicho Nathan.

Neal zabębnił palcami w stół.

– Moja córka uważa, że wokół Windy Bluff znajduje się cmentarzysko dinozaurów, czy tak? A co ty o tym myślisz, Todd? Byłeś tam i widziałeś czaszkę.

– Był tylko fragment, więc nie mam pewności.

– Był?

Todd się zaniepokoił.

– Tak, proszę pana, był. Już go tam nie ma. Samantha napisała mi, że czaszka... znikła.

Todd czuł na sobie zaciekawione spojrzenie Nathana, ale gotów był przysiąc, że zapomniał o tym powiedzieć, tym bardziej że list Samantha doszedł już kilka dni po sobotnim spotkaniu.

– Hmm – mruknął Nathan. – Jak rozumiem, nie ma dowodu na istnienie cmentarzyska wokół Windy Bluff?

– Eee, może mimo wszystko istnieje – odezwał się niechętnie Todd, znowu czując, jak Nathan przygląda mu się spod zmrużonych powiek.

Kiedy spotkali się w niedzielny poranek, Todd nie wspomniał o zdjęciach, które Samantha zrobiła swoim aparatem... i który leżał teraz schowany w szufladzie jego biurka. W końcu jednak ta brakująca informacja wyjdzie na jaw. Lepiej więc powiedzieć o tym teraz.

Pod bacznym spojrzeniem Nathana Todd wyznał wszystko.

– Gdzie jest aparat? – zapytał Neal, kiedy młody Baker skończył.

– W drodze do Rochester w Nowym Jorku, gdzie zdjęcia zostaną wywołane, sir – odparł Todd z kamienną twarzą.

– Na podstawie zdjęć będzie można stwierdzić, czy cmentarzysko jest, czy też go tam nie ma?

– Zgadza się, sir, ale powtarzam, raczej nie ma powodów do zmartwienia. Według mojej opinii jako eksperta zdjęcia pokażą jedynie, że to skamielina jakiegoś gatunku żyjącego znacznie później.

Neal zwrócił się do Nathana.

– O ilu akrach rozmawiamy?

– Dwóch.

– Tylko dwóch. Więc nie ma problemu. Można zrobić odwierty nieco dalej od miejsca, w którym ten jakiś – Neal zrobił palcami znak cudzysłowu – artefakt został znaleziony, prawda?

Nathan i Todd spojrzeli po sobie.

– Nie, proszę pana. Szyb wiertniczy musi stanąć dokładnie w miejscu, w którym badania geologiczne wskazują na występowanie ropy. Wystarczy przesunąć go o metr i można nic nie znaleźć.

– Rozumiem... – Neal się zasumował. – Niech to licho porwie! – Spojrzał na Todda. – Ale jeżeli masz rację, twierdząc, że Samantha błędnie rozpoznała kości,

nie widzę powodu, żeby nie zgodzić się na dzierżawę. Mam dokument nadania ziemi i akty własności, również kopię testamentu mojego ojca, ale jak rozumiem, zanim będziemy mogli przejść do negocjacji, autentyczność dokumentów musi zostać potwierdzona w sądzie. Mam rację, Nathanie?

– Tak, proszę pana.

Todd wstał uradowany.

– Czy to znaczy, że mamy umowę?

– To znaczy, że Nathan może zacząć sprawdzanie. A teraz spójrzmy, o którym dokładnie kawałku ziemi rozmawiamy.

Rozdział 49

W pierwszy poniedziałek lipca Trevor Waverling omiół spojrzeniem stół konferencyjny, przy którym siedzieli Nathan, Daniel Lane, geolog, brygadzysta i księgowy firmy. Trevor spędził weekend w towarzystwie przyjaciółki i kiedy wrócił do domu w mieście, żeby się wykapać i przebrać, jego syn już wyszedł do pracy, nie mógł go więc wypytać o rozmowę z właścicielem rancza Las Tres Lomas de la Trinidad.

– Todd, ty zaczniesz. Jak poszło spotkanie z Nealem Gordonem?

Todd poruszył się niespokojnie.

– Trudno powiedzieć, ale jestem dobrej myśli. Nie odmówił i powiedział, żeby Nathan sprawdził wszystko w sądzie. Ale wątpię, żeby pojawiły się jakieś nieścisłości. Pan Gordon twierdzi, że interesująca nas ziemia jest własnością rodziny od tysiąc osiemset dwudziestego roku. Nie było żadnych innych właścicieli, nie powinno więc być problemów, jeśli chodzi o prawo własności minerałów.

– Skąd ta zwłoka? Powinien bez wahania przyjąć uczciwą cenę, jaką mu proponujemy.

– Chodzi o jego córkę – odezwał się Nathan. – Nie zgadza się na wiercenia na pastwiskach i ziemi uprawnej. Kiedy widzieliśmy się z panem Gordonem, nie wiedziała o celu naszej wizyty. Wyjechała na weekend i pan Gordon odpowie nam dopiero po jej powrocie, to znaczy dzisiaj.

– Według pana Gordona ziemia, na której chcemy prowadzić odwierty, jest bezwartościowa, nie sadzę więc, żeby jego córka oponowała.

Nathan popatrzył na Todda sceptycznie.

– Czyżby? Oprócz tego, że niedaleko znajduje się podziemne źródło, córka pana Gordona przypuszcza, że Windy Bluff jest cmentarzyskiem dinozaurów.

– Skąd to przypuszczenie? – Daniel Lane wtrącił się z nagłym zainteresowaniem.

Todd machnął niedbale ręką, bagatelizując rozmowę.

– Och, Samantha znalazła fragment skamieniałej czaszki, uważa, że to czaszka dinozaura, i jest przekonana, że być może wiele z nich żyło i padło tam trzy miliony lat temu.

– To ma sens – powiedział Nathan. – Ziemia na tym terenie to morski piasek, co by wskazywało, że znajdował się tam ogromny obszar wodny, w sposób naturalny przyciągający dinozaury.

– Skąd tyle wiesz o dinozaurach? – zapytał Todd wyraźnie zirytowany.

– Dużo czytam.

Trevor spojrział na syna, potem na geologa. Czyżby wyczuwał między nimi

rozdźwięk? Miał nadzieję, że nie. Cieszyło go, że los mu zesłał tak dobraną parę. Każdy z nich miał własne zdanie i nie ulegał wpływowi drugiego. Jak dotąd przeprowadzane przez nich analizy się pokrywały, co tylko wzmagало zaufanie do ich oceny.

– Badałeś skamielinę, Todd – zauważył Trevor. – Jakie jest twoje zdanie? Czy rzeczywiście należy do dinozaura?

Todd wzruszył ramionami i powtórzył to, co wcześniej powiedział Nealowi Gordonowi.

– Według mnie nie, ale nigdy się tego nie dowiemy. Czaszka znikła, zanim zdążyli ją obejrzeć specjaliści.

– Znikła? – odezwał się Daniel Lane.

– Sam jej nie znalazła, kiedy tam wróciła. Młody byczek, jej pupil, pasie się w tamtej okolicy. Według mnie wredne stworzenie stratowało wszystko. Tak czy owak, czaszki już nie ma.

Daniel uniósł brew.

– Czyżby? – zapytał.

– Tak więc nie ma ani dowodów, ani świadków poza tobą, Toddzie, którzy mogliby potwierdzić przed ojcem, że córka mówi prawdę – stwierdził Trevor.

Zanim geolog zdążył odpowiedzieć, odezwał się Nathan.

– Panna Gordon zrobiła skamielinie zdjęcia, które mogą nam coś powiedzieć. Powierzyła swój aparat Toddowi, który miał go wysłać do wywołania. Prawda, Toddzie?

Geolog się zarumienił, nie mogąc się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Nathana, słysząc słowo „powierzyła”.

– Tak, ale nie uważałem, że warto zawracać panu głowę aparatem – powiedział do Trevora Waverlinga. – Jako ekspert uważam, że zdjęcia nie spełnią oczekiwań Samantha.

– Kiedy aparat został wysłany? – zapytał Nathan.

– Osiemnastego czerwca – odparł Todd zwięźle, ignorując Nathana, swoją odpowiedź rzucając w przestrzeń.

I znowu Trevor zauważył napięcie między synem i Toddem. Czy Todd celowo nie wspomniał o aparacie, czy też zwyczajnie wierzył, że zdjęcia niczego nie dowiodą? Później porozmawia o tym z geologiem.

– Wnioskuje, Toddzie, że znasz Gordonów – rzekł. – Czy mają więcej dzieci?

– Nie, proszę pana. Samantha jest ich jedynym dzieckiem. Została adoptowana, kiedy miała zaledwie kilka dni.

– Co oznacza, że nikt poza nią nie będzie się sprzeciwiał wierceniom. Jak w tej sytuacji postąpi Neal Gordon? Przychyli się do współpracy z Waverling Tools czy też ulegnie córce?

– Według mnie możemy uznać, że umowa dzierżawna już jest podpisana – odparł Todd.

– Zgadzasz się z nim, Nathanie?

– Obawiam się, że tak.

– Czemu się obawiasz?

Nathan, marszcząc brwi, zastanowił się nad odpowiedzią, bardzo w tym momencie przypominając Trevorowi ojca.

– Ponieważ jeżeli rzeczywiście znajduje się tam cmentarzysko dinozaurów, wiercenia je zniszczą, nie wspominając już, że dojdzie do zanieczyszczenia podziemnego źródła, które może zaspokoić zapotrzebowanie rancza na wodę jeszcze przez wiele lat. Tego rodzaju źródło to prawdziwa manna z nieba dla człowieka, który utrzymuje się z ziemi.

– Jeśli znajdziemy ropę, ziemia przestanie być jedynym źródłem utrzymania Neala Gordona, jak to ma miejsce obecnie – wtrącił Todd.

– Jeśli znajdziemy ropę – rzekł Nathan z naciskiem.

Trevor przyjrzał się synowi. Czy chłopak na pewno nadawał się na landmana? Skąd się u niego wzięło to poszanowanie ziemi i wody? Odziedziczył je prawdopodobnie po dziadku ze strony matki. Ojciec Millicent był draniem, ale miał w wielkim poważaniu „błogosławieństwa natury”, jak lubił mawiać. Niestety, w jego oczach Nathan nie był jednym z nich.

– Tak, to zawsze jest wielka niewiadoma – zgodził się Trevor. – W jaki sposób dowiemy się, czy dobiliśmy targu z Nealem Gordonem?

Todd pośpieszył z odpowiedzią.

– Na jego ranczu nie ma telefonu – powiedział. – Ale zadzwoni do nas z rancza swojego sąsiada.

– Rancza Sloana Singletona? – podchwycił Daniel.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu z zaciekawieniem.

– W rzeczy samej – odparł Todd. – Znasz go?

– Owszem, znam – rzekł Daniel.

– Sloan i córka Gordona mają się pobrać – wyjaśnił Todd. – Mam nadzieję, że Sloan nas poprze i pomoże przekonać Samanthę, że warto prowadzić odwierty. Jego ranczo bezpośrednio sąsiaduje z ranczem Gordonów, co więc dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora.

Trevor zauważył uśmiezek na twarzy Daniela Lane'a.

– Chciałbyś coś dodać, Danielu?

– Nie, proszę pana – odparł Daniel, prostując się na krześle. – Absolutnie nic.

Trevor zastanawiał się przez chwilę, po czym wrócił do porządku spotkania.

– Nathanie, chciałbym z tobą porozmawiać w swoim gabinecie – powiedział, kiedy spotkanie dobiegło końca.

Pozostali zbierali swoje papiery, zerkając ukradkiem na Nathana. Zastanawiali się, czy syn właściciela wpakował się w tarapaty. Z Trevorem Waverlingiem nigdy nic nie wiadomo. Rzucone niby od niechcienia polecenie w sali konferencyjnej mogło oznaczać zaproszenie na lunch albo wybuch gniewu w zaciszu gabinetu. Trevor nigdy nikogo nie wyróżniał ani nie ganił w obecności innych pracowników. Nathana mógł czekać wykład o lojalności. Wszyscy aż się palili, żeby zacząć odwierty na ziemi ranczera, poza chłopakiem z Gainesville w Teksasie. Todd wrócił do siebie, żeby czekać na telefon od Neala Gordona, mając nadzieję, że synowi szefa dostanie się to, na co sobie zasłużył. Pomędzy nim i Nathanem pojawiły się pierwsze oznaki niezgody. Jaki sens w byciu landmanem, jeśli przedkłada się ziemię ponad to, co się znajduje pod nią?

A to drań! myślał sobie Daniel o Sloane Singletonie, wracając do siebie. Kiedy Billie June opowiedziała mu, jak jej brat przemykał chyłkiem do swojego pokoju z czaszką – Daniel wyobrażał ją sobie bielusienką i delikatną jak chińska porcelana – jakiegoś zwierzęcia pod pachą, zastanawiał się, czemu Sloan to robił. Teraz już wiedział. Singleton postanowił pozbyć się dowodu, który mógłby przeszkodzić w poszukiwaniach ropy na terenie Las Tres Lomas, po czym poszedł po rozum do głowy i oświadczył się panie Gordon, wcześniej zrywając z Anne Rutherford. Todd miał rację: Co dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora. Samantha Gordon zasługiwała na coś lepszego. Na palcach jednej ręki Daniel mógł policzyć ludzi, którzy okazali mu życzliwość, i Samantha do nich należała. Kiedy harował jak niewolnik w kuźni Chandlera, któregoś dnia rozboleła go gardło i szarpał nim męczący kaszel, ale nie stać go było, żeby nie przyjść do pracy i pozbawić się zarobku. Właśnie w tym czasie Samantha przyjechała po wędzidło, które naprawiał, zapłaciła i poszła, ale po półgodzinie wróciła z pastylkami do ssania, które kupiła dla niego w aptecce. „Mam nadzieję, że panu pomogą” – powiedziała.

Prawie nikt nie nazywał go panem, a już na pewno nie przynosił mu niczego za nic. Od Billie June dowiedział się też, że Samantha wstawiła się za nim u Sloana Singletona, i o ile było mu wiadomo, nigdy nie zdradziła ranczerowi, że Daniel spotyka się z jego siostrą. Co ta młoda dama pomyśli sobie o oświadczeniach narzeczonego, kiedy się dowie, że ukrył jej artefakt? Była to informacja, którą potwierdzi dla niego Billie June i która pomoże mu wyrównać rachunki z Wielkim Panem Ważniakiem.

Jednak nie nadeszła jeszcze pora, żeby się mścić na Sloane Singletonie. Być może Daniel miał dwoje sojuszników, chociaż oni o tym nie wiedzieli. Co Anne Rutherford myślała o młodym Singletonie teraz, kiedy ją porzucił? I, co ważniejsze, co jej ojciec, Noble Rutherford, miałby do powiedzenia o swoim byłym już prezesie rady nadzorczej? Bankier nie należał do ludzi, którzy odpuszczają komuś, kto obraził jego córkę. Daniel na pewno o tym nie zapomni.

Rozdział 50

– Usiądź, synu, to nam chwilę zajmie – rzekł Trevor, zamykając za sobą drzwi do gabinetu.

– Myślisz o czymś? – zapytał Nathan.

– Jak zawsze. Napijesz się kawy? – Nie czekając na odpowiedź, Trevor napełnił dwie filiżanki z dzbanka przyniesionego właśnie przez Jeanne i podał jedną Nathanowi. Kiedy już usiedli, powiedział: – Niezbyt jesteś chętny, żeby wiercić na tym skrawku rancza Gordona.

– Szkoda by było, jeśli panna Gordon ma rację co do tego cmentarzyska dinozaurów.

Trevor dodał cukru do parującej filiżanki.

– Zdajesz sobie sprawę, że w naszym biznesie takie względy nie mają znaczenia?

– Tak, wiem o tym. Stwierdzam tylko to, co oczywiste.

– Ta Gordonówna. Pamiętasz ją?

– Pamiętam jej włosy.

– Piękna dziewczyna, i do tego jedynaczka... Na pewno ma wielki wpływ na ojca. Do ciebie będzie należało, żeby ją przekonać. Poradzisz sobie z tym?

Popijając kawę, Nathan zastanowił się przez chwilę.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Wszystko zależy od tego, jak bardzo pan Gordon będzie chciał zadowolić córkę i jak bardzo kocha swoje ranczo. Właściciel rancza tak samo jak farmer przez cały czas się martwi, czy przetrwa finansowo. W jednym roku może być bogaty, w drugim wręcz przeciwnie.

– Ale twoje osobiste zdanie nie przeszkodzi ci w negocjacjach? Tylko to chcę wiedzieć, Nathanie.

– Masz moje słowo, że będę miał na względzie wyłącznie dobro Waverling Tools, ale tak sobie myślę, że może najpierw spróbujemy znaleźć jakiś kompromis.

– Opowiedz mi o tym.

Na biurku Trevora leżała mapa Windy Bluff. Nathan odsunął papiery i filiżanki, żeby ją rozwinąć.

– Jeżeli Neal Gordon pozwoli nam wiercić, chciałbym jeszcze raz obejrzeć miejsce zaproponowane przez Todda – zaczął, wskazując na szkic skalnej skarpy. – Wszystko będzie zależało od tego, co powiedzą geodeci, ale może moglibyśmy umieścić szyb tutaj – pokazał na miejsce oddalone od tego, na którym Todd spadł z byczka – bardziej na wschód. W ten sposób udałoby się nie naruszyć cmentarzyska, o ile ono tam jest.

Ojciec nachylił się, żeby przyjrzeć się dokładniej.

– A co z podziemnym źródłem?

– Może zostać zniszczone.

– Szkoda. – Trevor wyprostował się na krześle. – W porządku. Jeżeli pan Gordon przyjmie naszą ofertę, masz moją zgodę, żeby rozważyć inną lokalizację odwiertu. I tak będziesz musiał pojechać do sądu w Fort Worth, więc w ten sposób upieczesz dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie bierz ze sobą Todda. Będzie ci tylko przeszkadzał. Pojedziesz sam, a kiedy już się rozeznasz, wtedy porozmawiamy z Toddem.

– Cóż, w takim razie postanowione – powiedział Nathan. – Czy to wszystko?

– Nie. Chciałbym jeszcze omówić z tobą sprawę rodzinną.

– Rodzinną?

Trevor, biegły w ocenianiu ludzi, zwłaszcza tak prostolinijnych jak jego syn, od razu wyczuł szczególną nutkę w głosie Nathana. Rodzina bardzo wiele znaczyła dla chłopca. Tęsknił za nie do końca własną rodziną w Oklahomie, za domem, farmą, ludźmi, miastem, w którym dorastał. Były chwile, gdy Trevor wyczuwał jego nostalgię. Poza tym jednak chłopiec bardzo przywiązał się do nowej rodziny w Teksasie, swojej siostry i babki. Natomiast co do uczuć, jakie żywił wobec ojca, Trevor nie był już taki pewny. Nathan czuł się w jego obecności coraz swobodniej, zaczął go poważać, mimo wiszącego nad nimi pytania dotyczącego śmierci Jordana, ale jego serce jako syna należało do człowieka, który go wychował. Prawdziwemu ojcu uciekło dwadzieścia lat, których w żaden sposób nie da się nadrobić.

Czując ukłucie zazdrości, wyjął z szuflady biurka poźółkłą ze starości kopertę. Siedzący po drugiej stronie Nathan ze zwykłą sobie cierpliwością czekał na rozwój wydarzeń.

– Chcę, żebyś to przeczytał, Nathanie – powiedział Trevor. – Jednak zanim to zrobisz, musisz mi przyrzec, że nigdy nikomu nie wyjawisz treści tego listu. To, co jest tutaj napisane, zabierzesz ze sobą do grobu, tak samo jak ja.

Nathan wyprostował się odrobinę.

– Czy to jest właśnie ta rodzinna sprawa, o której chcesz porozmawiać?

– Tak. Mam twoje słowo?

– Czy najpierw mogę to przeczytać?

– Nie.

– Dlaczego chcesz, żebym to przeczytał?

– Ponieważ zależy mi, żebyś znał prawdę. Zaslugujesz na nią. Wszystkie karty na stół, pamiętasz? Z tym że to ja decyduję, kto je zobaczy.

Nathan pomyślał, że w podobnej sytuacji mogliby się znaleźć ksiądz albo prawnik, którzy za chwilę usłyszą przyznanie się do winy, ale ich profesja nie pozwoli im tego wyjawić. Nie chciał brać na siebie takiego ciężaru, lecz nauczył się już na tyle ufać ojcu, by wiedzieć, że nigdy by go nie postawił w sytuacji nie do udźwignięcia.

– Przyrzekam – powiedział.

Trevor delikatnie pchnął ku niemu kopertę. Nathan ją otworzył i wyjął pojedynczą kartkę papieru, natychmiast rozpoznając szpiczasty charakter pisma, które widział na niezliczonych firmowych dokumentach. Zaczął czytać.

Kochany Bracie,

żywię głęboką nadzieję, że dzięki Tobie rodzina wybaczy mi decyzję o odebraniu sobie życia. Nie potrafię dalej żyć z demonami, mrokiem i głosami, które mnie nieustannie prześladują, na jawie i we śnie. Nie potrafię dłużej udawać, że nic mi nie dolega, kiedy demony są coraz groźniejsze, mrok głębszy, a głosy głośniejsze. Lękam się każdego nadchodzącego świtu, każdej nocy. Muszę odnaleźć spokój. Dzisiaj idę nad rzekę, tam, gdzie zawsze czułem największy spokój i szczęście. Niech przyjmie mnie w swoją głębinę. Jak poeta, czuję, że woda mnie przyzywa, tak więc: „W morze mi nadszedł czas powrócić, w samotność nieba i wody głębinę. Dajcie mi jeno żaglowiec rączy, który za gwiazdą wnet podąży”. Tam mój statek i gwiazda zaprowadzą mnie do domu.

Wyjaśnij, proszę, mojej narzeczonej, że nie mogła mnie uratować przed tym, co zrobię. Złamię serce matce, a Rebecca być może osunie się w ciemność, którą po mnie odziedziczyła, by nigdy się z niej nie wydostać. Ty, Mój Bracie, pograżysz się w smutku, z którego pewnie nigdy się nie otrząsniesz, ale na pociechę zostaną Ci Waverling Tools. Wiem, że będziesz nimi zarządzał skutecznie i z oddaniem, znacznie lepiej, niż ja bym potrafił, nawet gdybym był całkowicie zdrowy. Opuszczam Ciebie i rodzinę z zapewnieniem o bezgranicznej miłości i oddaniu.

Jordan Bartholomew Waverling

lipiec 1887

Oślupiały Nathan podniósł wzrok znad listu i spojrzał na ojca przeszywającym wzrokiem.

– Nigdy nie pokazałeś tego listu matce? Celowo pozwoliłeś jej wierzyć, że przyłożyłeś rękę do śmierci swojego brata? Dlaczego?

– Ponieważ prawda by ją zabiła. Chociaż Jordan uparcie powtarzał, że nie można mu w żaden sposób pomóc, ona wierzyła, że zdoła go uratować przed samobójstwem. Podobnie jak jego narzeczone. Nigdy nie wyszła za mąż.

Nathan był przerażony.

– Ale przecież zatajając prawdę, poświęciłeś jej miłość do ciebie – powiedział. – Pozwoliłeś, żeby matka spoczęła kiedyś w grobie, mając o tobie jak najgorsze zdanie.

Niczego nie pojmując, Nathan odłożył list na biurko, jakby w obawie, że jeśli będzie go dłużej dotykał, zniszczy jedyny dowód niewinności ojca.

Trevor napił się kawy.

– Dokładnie taki mam zamiar. Nigdy by nie zrozumiała ani nie wybaczyła Jordanowi, że ją zostawił, zostawił Rebecę. Moja córka go uwielbiała. Samobójstwo Jordana skalałoby pamięć matki o nim. Jego zdjęcie nigdy nie stanęłoby na kominku. Ból byłby zbyt wielki. Przede wszystkim muszę jej pozwolić żyć z niczym niezmaconym wspomnieniem syna. Odzyskanie tej odrobiny ciepła i uczucia, jakim mnie darzyła, jest sprawą drugorzędną.

– Kochasz ją tak bardzo, że jesteś gotowy to przed nią ukryć, pozwolić, żeby podejrzewała cię o... morderstwo? – Nathan wpatrywał się w ojca z niedowierzaniem.

– Tak. Nie potrafię zliczyć, ile razy zawiodłem oczekiwania mojej matki, ale nie z poczucia winy ukrywam przed nią list. Chcę, żeby dożyła swoich dni, pielęgnując dobre wspomnienia. Jordan był jej słońcem na niebie. Ja natomiast... ja byłem ciemną stroną księżyca. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

Nathan pokręcił głową. Rodziny! Były jak nasiona. Pochodziły z jednego strąka, ale zawsze coś rosło inaczej niż cała reszta.

– Czemu babcia jest przekonana, że przyłożyłeś rękę do śmierci brata? – zapytał.

Trevor wziął list i delikatnie włożył go do koperty, następnie schował do szuflady, którą zamknął na klucz.

– W dniu, w którym umarł Jordan, rozpętała się straszna burza. Rano okropnie się pokłóciliśmy o sprawy związane z firmą. Powiedziałem, że prędzej go zabiję, niż pozwolę mu pograżyć Waverling Tools. Matka wszystko słyszała. Po południu wróciłem z treningu, ale w domu zastałem tylko Lenorę. Pamiętałem, że mama poszła na podwieczorek, zakładałem, że Jordan jest z narzeczoną, ale gdzie podziewała się Rebecca? Lenora przypuszczała, że jest w swoim pokoju, lecz nie było jej tam. Poszedłem szukać córki na dworze. Przypuszczałem, dokąd mogła pójść. Wbrew zakazowi wybrała się na pomost i złapał ją deszcz. I rzeczywiście, kiedy zbliżałem się do rzeki, Rebecca przybiegła do mnie z płaczem. „Ratuj go, tatusiu, ratuj go!”, krzyczała.

Natychmiast wiedziałem, co się stało – albo przynajmniej tak mi się wydawało. Jordan wpadł do rzeki, która wtedy już wezbrała i gnała jak szalona. Albo się poślizgnął, co było raczej mało prawdopodobne, albo stracił równowagę przez Rebecę. Nigdy nie wyczuwała zagrożenia, co nas bardzo martwiło, i być może podeszła zbyt blisko brzegu. W każdym razie po Jordanie nie było śladu. Nawet nie wiedziałem, czy w ogóle tam był. Próbowałem wypytać Rebecę, ale ona tylko recytowała te cholerne wersy z ulubionego wiersza swojego wuja.

Trevor zamknął oczy i ze znużeniem potarł dłonią czoło, jak gdyby jego silne, wypielęgnowane palce mogły usunąć wspomnienie tamtego dnia.

– Kiedy matka wróciła do domu, zobaczyła, że jestem cały przemoczony. Osuszyłem Rebecę i położyłem ją do łóżka, ale sam wciąż jeszcze byłem mokry.

Ciało Jordana zostało znalezione następnego dnia rano, a koroner stwierdził, że utonął dzień wcześniej, po południu. Nigdy nie zapomnę, jak matka obróciła się i spojrzała na mnie. Wtedy już znałem prawdę, bo znalazłem list od Jordana na biurku w gabinecie. Jej nawet przez myśl nie przeszło, że mógł popełnić samobójstwo. Zaczęła natomiast podejrzewać, że ja miałem coś wspólnego z jego śmiercią.

Nathanowi zrobiło się niedobrze. Tak samo jak wtedy, kiedy się dowiedział, co naprawdę czuje do niego jego matka. „Och, liczymy się dla Millicent, synu, tyle że Randolph i Lily liczą się dla niej o wiele bardziej”.

– Wiesz, że twoja babcia jest cudowną kobietą – odezwał się Trevor cicho. – Skoro w dalszym ciągu potrafisz kochać swoją matkę, która sprzedała farmę, twoje dziedzictwo, mając na względzie przyszłość pozostałej dwójki swoich dzieci, zrozumiesz miłość, jaką ja darzę Mavis. Teraz chcę tylko usłyszeć, że nigdy, przenigdy jej nie powtórzysz tego, o czym się dzisiaj dowiedziałeś. Nie liczy się dla mnie, w co ona wierzy. Liczy się to, co ty wiesz.

– Obiecuję – odparł Nathan. – A teraz muszę cię przeprosić...

Tylko tyle zdołał z siebie wydusić, zanim wyszedł z pokoju.

Bał się, że się rozplacze.

Rozdział 51

W poniedziałkowe przedpołudnie Samantha wróciła z weekendu w Fort Worth, w czasie którego razem z matką, druhną i siostrami Singleton dopracowywały szczegóły zbliżającego się ślubu. Siedząc za swoim biurkiem w bibliotece, Neal cierpliwie słuchał, jak mu o wszystkim opowiadała. Ślub miał się odbyć czwartego sierpnia, miesiąc po ogłoszeniu zaręczyn, co miało miejsce w Dniu Niepodległości, na przyjęciu z okazji dwudziestych czwartych urodzin Sloana. Neal podzielałby szczęście swojej córki, gdyby nie świadomość, że to, co miał jej do przekazania, z pewnością popsuje jej humor i być może zakłóci harmonię, jaka ostatnio między nimi zapanowała. Raczej się nie łudził, że radość córki przyćmi jej gniew na myśl, że cementarzisko dinozaurów może stać się miejscem odwiertów w poszukiwaniu ropy.

Samantha przerwała swoją radosną relację z weekendowych wydarzeń.

– Tatusiu, jesteś jakiś roztargniony – powiedziała.

– To prawda, ale i tak oboje z mamą jesteśmy najszczęśliwszymi rodzicami na świecie, wiedząc, że niedługo wychodzisz za mąż.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś chciał mi zniszczyć tort weselny.

Bardzo adekwatne porównanie. Neal mruknął z podziwem.

– W pewnym sensie masz rację – odparł. – Musimy porozmawiać, więc usiądź, proszę. Kiedy ty byłaś w Fort Worth, ja miałem gości. Jednym z nich był młodzieniec o nazwisku Nathan Waverling. Podobno poznaliście się wiosną na jakimś wykładzie naukowym. Jest landmanem w Waverling Tools i pracuje u swojego ojca.

– Pamiętam go – rzekła Samantha, niechętnie zajmując krzesło naprzeciwko ojca. – Wysoki, muskularny chłopak o niesamowitych błękitnozielonych oczach. Był ze swoim ojcem. Todd Baker nas sobie przedstawił. Po co przyjechał?

– Przyjechał z Toddem, z propozycją dzierżawy kawałka mojej ziemi.

– W jakim celu?

– Żeby zbudować tam szyb wiertniczy.

Na twarzy Samantha pojawił się buntowniczy wyraz. Zareagowała tak, jak się Neal spodziewał.

– Dlaczego Nathan Waverling myśli, że w Las Tres Lomas jest ropa?

– Todd Baker mu o tym powiedział.

– Todd? A skąd on... – Samantha urwała w pół słowa i Neal domyślił się, że córka przypomina sobie przejażdżkę Todda na byczku i upadek, w wyniku którego wylądował z nosem w ziemi.

– Opowiedział mi, że poprosiłaś go, aby przyjechał i zbadał skamieniałą czaszkę jakiegoś zwierzęcia, i o tym, jak wywnioskował, że pod naniesionym

morskim piaskiem wokół Windy Bluff może znajdować się złożę ropy.

Jak się należało spodziewać, Samantha się najeżyła.

– Oboje uznaliśmy, że ta czaszka należy prawdopodobnie do zauropoda, gatunku dinozaurów, co może wskazywać, że w tym miejscu znajduje się cmentarzysko tych stworzeń – powiedziała. – Czy o tym Todd wspomniał?

– Owszem, podobnie jak o tym, że czaszka znikła.

– To bez znaczenia. Nie potrzebujemy jej. Sfotografowałam ją. Dałam Toddowi mój aparat, żeby wysłał go do Nowego Jorku w celu wywołania zdjęć. Lada dzień powinnam je dostać. Chyba nie proponował odwiertów w miejscu, w którym według niego znajduje się znalezisko archeologiczne?

– Prawdę mówiąc, tak właśnie zrobił.

Samantha wykrzyknęła z niedowierzaniem:

– Nie! To niemożliwe!

Neal podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Nie złość się na Todda, on tylko wykonuje swoją pracę. Nie zapominaj, że przede wszystkim jest geologiem, nie paleontologiem. Musi zarabiać na życie i został zatrudniony do poszukiwań złóż ropy. Miał obowiązek poinformować swojego szefa, że podejrzewa... czy raczej jest pewny... że pod ziemią w Windy Bluff znajduje się ropa.

Samantha powoli usiadła. W jej oczach malowało się przerażenie.

– Tatusiu... nie możesz się zgodzić na te odwierty. Zniszczą to, co być może jest naukowym odkryciem stulecia. Wiem, że według ciebie prehistoryczne skamieliny nie mają żadnej wartości. Dla ciebie to tylko kości, takie same jak wyblakłe na słońcu szkielety padłego bydła, ale dla świata nauki, dla badań nad historią Ziemi, są po prostu bezcenne. Dzięki szczątkom dinozaurów możemy poznać wiek Ziemi, ewolucję, zmiany geologiczne i klimatyczne, powstawanie kontynentów... – Popatrzyła na ojca bezradnie. – Mogłabym mówić bez końca, jakie mają znaczenie dla nauki. – Wsparała się ramionami o biurko i wbiła spojrzenie w Neala. – Tatusiu, nie możesz się zgodzić na odwierty w Windy Bluff.

Neal odwrócił głowę, uciekając przed przeszywającym go spojrzeniem szarych oczu córki. Poczul się tak samo jak wtedy, gdy znalazł list od Eleanor Brewster. Samantha powinna być lojalna przede wszystkim wobec Las Tres Lomas. Todd przestrzegł go, że córka będzie się sprzeciwiać, i w bezsenne noce od jego wizyty Neal próbował zrozumieć jej pasję do starych kości i szczątków sprzed milionów lat. Co kogo obchodzi wiek Ziemi? Jakże to ma znaczenie? I wtedy zrozumiał, że walczyła o zachowanie prehistorycznych skamielin z takim samym uporem, z jakim on walczył o przetrwanie Las Tres Lomas de la Trinidad, które założyli jego przodkowie, nie tylko dla przyszłości, ale też przez wzgląd na przeszłość. Jednak mimo tego podobieństwa ziemia jego ojców ma bezwzględne pierwszeństwo.

– Rozumiesz, co znaczą dla rancza pieniądze z ropy, prawda? – zapytał Neal.

– Pod warunkiem, że zostanie odkryta – odrzekła Samantha. – Bo jeżeli nie, zostaniemy tylko z wielką dziurą w ziemi.

– To samo można powiedzieć o wykopaliskach archeologicznych – odparował Neal.

– To prawda, ale jestem przekonana, że moja dziura nie powstanie na próżno.

– Todd to samo myśli o swojej.

Samantha wyprostowała się i skrzyżowała ramiona. Mamy impas, pomyślał Neal. Ale jego córka i tak wiedziała, kto wygra. Ostatnie słowo zawsze należało do Neala. W końcu to była jego ziemia, z drugiej jednak strony może nie przeżyć kolejnego rodzinnego kryzysu. Sloan oczywiście będzie się opowiadał po jego stronie, co prawda dyplomatycznie, lecz Neal nie chciał żadnych napięć w małżeństwie, zanim się na dobre zaczęło. Pochylił się nad biurkiem i wsparł o jego blat złożonymi dłońmi.

– Oto najlepsze wyjście, jakie widzę, Samantho – powiedział. – Można wysnuć logiczny wniosek, że jeżeli Todd ma rację i w Windy Bluff jest ropa, może równie dobrze występować w innym miejscu Las Tres Lomas, i to na tyle daleko, żeby twoje skamieliny nie ucierpiały. Nie podpiszę z Waverling Tools dzierżawy do czasu, kiedy dostaniesz te swoje zdjęcia. Jeżeli potwierdzą twoją opinię, nie będziemy wiercić w Windy Bluff, jeżeli jednak nie, zgodzę się na odwierty. I żadnego kopania w innych miejscach dla potwierdzenia twojej teorii, rozumiesz? Zdjęcia będą jedynym dowodem. Tylko na takie ustępstwo mogę się zgodzić.

– Och, dziękuję, tatusiu! – wykrzyknęła Samantha z ulgą i obiegła biurko, żeby zarzucić mu rękę na szyję. – Jestem ci taka wdzięczna.

– No, już dobrze – powiedział zadowolony Neal. – Pojadę do Triple S, żeby zadzwonić do Waverling Tools i poinformować Todda o mojej decyzji.

Todd odebrał telefon z pustym żołądkiem. Po raz pierwszy w ich krótkim małżeńskim życiu żona nie przygotowała mu lunchu (cierpiała na kobiece dolegliwości), a on nie miał odwagi wyjść z gabinetu z obawy, że Neal Gordon zadzwoniłby właśnie wtedy. Burczało mu w brzuchu, kiedy wreszcie rozległ się dźwięk stojącego na biurku aparatu – poza gabinetem Trevora Waverlinga żadne inne pomieszczenie nie mogło się nim pochwalić – i przyłożył słuchawkę do ucha.

– Tak? – powiedział i usłyszał, jak Neal Gordon wypowiada umówione wcześniej hasło, na wypadek gdyby ktoś ich podsłuchiwał. – Co?! – wykrzyknął w odpowiedzi na „Przykro mi, ale ptaszek nie poleci”. – Dlaczego nie?

Po drugiej stronie panowała przerażająca cisza, kiedy ranczer najwyraźniej starał się znaleźć słowa wyjaśnienia, które nie zdradzałyby tematu rozmowy. Wreszcie Neal przemówił.

– Siostrze nie odpowiada miejsce.

Święty Panie Jezu! Samantha wygrała! Wbrew wszelkim oczekiwaniom ten zaprawiony w bojach stary ranczer uległ swojej córce. Gdyby Todd postawił swój dom, że Neal Gordon zgodzi się na dzierżawę, on i Ginny wyładowałiby na ulicy.

– O to chodzi? – wykrzyknął geolog. – Mamy szukać gdzie indziej?

– Niekoniecznie. Wszystko zależy od tego, co wykaże paczka, którą wysłałeś do Nowego Jorku. Jeżeli wynik będzie niekorzystny dla siostry, będziemy sadzić. W przeciwnym razie będziesz musiał posadzić swoje drzewa gdzie indziej.

Gdyby ktoś ich podsłuchiwał i wiedział, czym się zajmują w Waverling Tools, bez trudu by się domyślił, o czym ten stary głupiec mówi, pomyślał Todd ze ściśniętym gardłem. Jak duże było rancho Gordona? Dziesięć tysięcy akrów, więcej? Obojętnie ile, na pewno było ogromne i jego szef nigdy się nie zgodzi na pobieranie i badanie próbek z tak wielkiego obszaru, tym bardziej że mogą się okazać bezużyteczne.

„Paczka” leżała w szufladzie jego biurka, zamknięta na klucz.

– Czy mimo wszystko zgodziłby się pan, żebyśmy sprawdzili działkę siostry, tak na wszelki wypadek? – zapytał Todd.

– To wasz czas – odparł przeciągle ranczer.

– Wysłałem paczkę w poniedziałek, osiemnastego czerwca – skłamał Todd. – Dzisiaj jest drugi lipca, to znaczy, że minęły dwa tygodnie. Pod koniec tygodnia powinna przyjść odpowiedź i wtedy wszystko się okaże.

– Powiadomię cię – powiedział Neal i się rozłączył.

Todd siedział dalej, żeby pomyśleć i uspokoić galopujące serce. Wahał się, czy zniszczyć aparat, teraz jednak będzie musiał się go pozbyć. Ktoś mógłby spróbować się włamać do zamkniętej szuflady. Przerwa na lunch już się skończyła i wszyscy wrócili do pracy. Między zabudowaniami fabryki i rzeką nie powinno być nikogo. Musi gdzieś ukryć aparat, a potem pójść spacerkiem nad Trinity, ostentacyjnie udając, że zrobił sobie przerwę i postanowił zapalić fajkę. Jaka szkoda, że nie ma dzisiaj pudełka na lunch!

W końcu postanowił usunąć ziemię z wielkiej donicy, w której rósł skrzydłokwiat, prezent od żony, by mógł go sobie postawić w słabo doświetlonym gabinecie, kiedy dostał pracę w Waverling Tools. Todd włożył aparat do donicy, na górze umieścił roślinę.

– Idę nad rzekę podlać kwiatek – zawołał do Jeanne, gdy mijał otwarte drzwi do jej pokoju, z chyboczącą się rośliną w rękach. Jeanne zdziwiona podniosła wzrok – Todd zwykle podlewał kwiat wodą z dzbanka, który miał u siebie.

Donica była żelazna i ciężka. Todd porządnie się zasapał, gdy w końcu dotarł na koniec pomostu. Rozejrzał się szybko, po czym wyrzucił aparat do wody, wsadził roślinę z powrotem do donicy i potruchtał do budynku. Kiedy wchodził, nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Gdyby się tak nie śpieszył, poczułby dym z papierosa. Ukryty w krzakach,

w cieniu cyprysu stał Daniel Lane. Często się tam wymykał, ponieważ w fabryce był zakaz palenia. Obserwował, jak Todd skrycie topi coś w wodzie i kiedy nabrał pewności, że geolog już go nie zobaczy, nawet gdyby się odwrócił, pobiegł do rzeki.

Od razu zobaczył, że to aparat, którego pasek zahaczył się o kępkę wodorostów i w ten sposób oparł się łagodnemu nurtowi rzeki. Daniel szybko wszedł na płyciznę, z zacumowanej przy pomoście łodzi wziął wiosło i przyciągnął nim wodorosty na tyle blisko, by wyciągnąć aparat z wodnego grobu. Wytarł go chusteczką i dokładnie mu się przyjrzał. Kodak. Znał go z reklamy: „Ty robisz zdjęcie, my robimy resztę”. Nic nie wskazywało na to, żeby woda dostała się do środka. Daniel miał nadzieję, że film da się uratować, co bez wątpienia sprawdzi.

Rozdział 52

Kiedy zlany potem Todd wrócił do biura, wsypał ziemię, którą wcześniej wyłożył na gazetę, do donicy, na powrót umieścił w niej skrzydłokwiat, podlał go wodą z dzbanka i wreszcie umył ręce nad umywalką. Jeszcze nie wszystko stracone; nastąpiło tylko opóźnienie. Miną kolejne dwa tygodnie, „wyniki” nie przyjdą, a on wtedy przycisnie trochę Neala Gordona. Powie mu, że Waverling Tools nie mają ani możliwości, ani czasu na badanie próbek ziemi z całej wielkiej powierzchni rancza. Znaleźli już inne miejsce – może nie tak obiecujące, ale firma była gotowa rozpocząć odwierty i mogła zbudować tylko jeden szyb. I co pan na to, panie Gordon?

Na razie jednak Todd musiał przekazać swojemu szefowi treść rozmowy z ranczerem. Co robi Trevor Waverling? Firma faktycznie była zainteresowana innym miejscem na odwiert. Kiedy szef pozna przyczynę zwłoki, nie będzie chciał czekać, aż zdjęcia z kodaka potwierdzą opinię Samantha i przekonają jej ojca, by stanął po stronie córki. Nie zgodzi się ryzykować utraty okazji, która nadarzała się nad Zatoką Meksykańską. Jak tylko inni inwestorzy zwiedzą się o potencjale tego terenu, zaczną dzierżawić działki tak szybko, jak zdołają pożyczać pieniądze. Jedynie zaufanie do geologa powstrzymało Trevora przed wysłaniem jego i Nathana do zachodniego Teksasu. Todd musiał zrobić wszystko, żeby Trevor Waverling nie przestał się interesować bonanzą pod skałami, którą jego geolog już nazwał Działką Windy Bluff.

Serce Todda zamarło, gdy wszedłszy do gabinetu szefa, zastał w nim Nathana. Wcześniej zauważył, jak chłopak przebiega koło jego drzwi, wyraźnie zdenerwowany. Na pewno ojciec porządnie go zrugął, pomyślał uradowany Todd, teraz jednak Nathan siedział naprzeciwko ojca, z lekko zaczerwienionymi oczami, poza tym jednak nic nie wskazywało, żeby podkulił pod siebie ogon. Ale Trevor też dziwnie się zachowywał, co Todd zauważył w jego postawie. Prywatnie zwierzył się Ginny, że nazywa Trevora Waverlinga „lampartem”, a to dlatego, że jego umiejętna sylwetka i zwinność, z jaką się poruszał, kazały Toddowi wierzyć, iż sprowokowany może skoczyć człowiekowi do gardła niczym wielki kot. Dzisiaj lampart siedział w fotelu rozluźniony i spokojny jak ktoś, kto znajduje się w znajomym i przyjaznym towarzystwie.

Todd natychmiast pojął, że to oznacza dla niego kłopoty. Nathan Holloway przestał być zwykłym pracownikiem Waverling Tools. Stał się synem właściciela firmy. Powstała więc między szefem i wiejskim chłopakiem.

Blask w niesamowitych błękitnozielonych oczach Nathana przyblakł nieco na widok wchodzącego Todda. Już wcześniej, kiedy w piątkowe popołudnie siedzieli naprzeciwko siebie w przedziale pociągu wiozącego ich do Dallas, Nathan

nie spuszczał z niego podejrzliwego wzroku. Todda ścisnęło w żołądku i zastanawiał się, czy ten wsiowy prostak nie nastawiał przeciwko niemu ojca za zatajenie szczegółów dotyczących aparatu Samantha.

– Mam wiadomość od Neala Gordona – rzekł Todd.

– Posłuchajmy więc, co też takiego powiedział – odparł Trevor.

– Tylko tym razem powtórz nam wszystko – odezwał się półgębkiem Nathan.

– Nie da się wszystkiego spamiętać – prychnął Todd, usiłując się bronić.

– A powinno, jeśli chodzi o pracę.

Trevor zmarszczył brwi.

– O czym wy mówicie?

– Stara historia, tato – powiedział Nathan. – Przynajmniej tym razem.

Todd zauważył to „tato”, podobnie jak ostrzeżenie. Cieszył się, że siedzi, bo nogi wciąż mu drżały po wyprawie nad rzekę z ciężką donicą, jednak bardziej ze zdenerwowania niż zmęczenia. Czuł się, jakby porywał go prąd, z którym nie miał siły walczyć. Nathan wiedział, ile znaczą dla Todda odwierty w Windy Bluff, i zdążył się przekonać, że geolog nie zawaha się czegoś zataić, byle tylko osiągnąć swój cel. Todd popełnił błąd, nie wspominając od razu o zdjęciach, które Samantha zrobiła skamielinie, i o tym, że potem „powierzyła” mu aparat, by wysłał go do Nowego Jorku. Kiedy zdjęcia nie nadejdą, doprawdy trzeba będzie cudu, by Trevor Waverling nie nabrał o nim jak najgorszego zdania. Trevorowi wystarczy samo podejrzenie, żeby wyrzucić go z pracy, zanim Todd zdąży wybąkać choć jedno słowo na swoją obronę. Prawo wymagało, żeby umowa dzierżawna między najemcą i cedentem dokładnie określała wszystkie cechy fizyczne dzierżawionej ziemi. Zatajenie przed Trevorem istnienia czegoś takiego jak znalezisko archeologiczne narażałoby go na oskarżenie przed sądem, gdyż w ten sposób właściciel ziemi nie posiadałby informacji mogącej go powstrzymać przed zezwoleniem firmie na odwierty. Cóż, myślał Todd w tej chwili, co się stało, już się nie odstanie. Aparat Samantha leżał na dnie Trinity i nikt nie zdoła dowieść, że go nie wysłał.

– No więc? – zapytał Trevor. – Co takiego powiedział Neal Gordon?

– Na jakiś czas musimy się powstrzymać. Neal Gordon czeka na zdjęcia, które zrobiła jego córka. Od nich zależy, czy teren wokół Windy Bluff stanie się polem naftowym, czy wykopaliskiem archeologicznym.

– Ile to potrwa?

– Najwyżej dwa tygodnie.

– Jeżeli chodzi o te zdjęcia, Toddzie – rzekł Trevor – dlaczego od razu nie powiedziałaś, że panna Gordon je zrobiła na dowód, że ma rację?

Todd miał nadzieję, że jabłko Adama na jego chudej szyi nie zdradzi, jak nerwowo przełknął ślinę.

– Jak już mówiłem na zebraniu, sir, zgodnie z moją zawodową opinią uważałem, że nie są istotne. Czaszka nie należała do dinozaura, chociaż Samantha się przy tym upiera. Nie uznałem za konieczne, by o nich mówić, ponieważ niczego nie dowodzą, a poza tym... odniosłem wrażenie, że zależy panu na czasie, żeby jak najszybciej zacząć odwierty.

– Cóż, w takim razie twoje wrażenie było błędne, Toddzie. Najważniejsze to wszystko dokładnie sprawdzić i czas nie ma tu nic do rzeczy, a o zdjęciach powinieneś być powiedział, ponieważ mogą potwierdzić twoją opinię bądź nie – odparł Trevor, a jego zielone jak morska woda oczy stały się lodowate. – W tej sytuacji moglibyśmy zawczasu zawrzeć umowę przedwstępną gdzie indziej, gdyby się okazało, że tutaj niczego nie osiągniemy. O ile mi wiadomo, panna Gordon studiowała skamieliny i tym podobne rzeczy, wobec tego jej opinia może być równie wiarygodna jak twoja. Wygląda na to, że obaj źle oceniliście wagę uczuć pana Gordona do córki.

– Nie wydaje mi się, tato – odezwał się Nathan. – Pan Gordon bez wątpienia bardzo kocha swoją córkę, ale kocha też swoje ranczo. Wydaje mi się, że jest człowiekiem, który chce zjeść ciastko i mieć ciastko. Co prawda to tylko moje wrażenie, ale według mnie będzie chciał znaleźć sposób, żeby osiągnąć jedno i drugie.

Zwłaszcza jeśli możemy oszczędzić to stanowisko archeologiczne – powiedział jego wzrok skierowany na Trevora.

Trevor zwrócił się do Todda.

– Przypomnij mi, kiedy zdjęcia powinny nadejść?

– Według mnie najpóźniej za dwa tygodnie, może szybciej, ale warto na nie poczekać, daję słowo, proszę pana – odrzekł Todd skwapliwie, wdzięczny Nathanowi, że go poparł. Poczul ogarniające go gorąco. – Proszę nie wycofywać swojej oferty dla pana Gordona. Jeżeli zdjęcia nie potwierdzą przypuszczeń Samantha... a nie potwierdzą... jej ojciec udzieli nam dzierżawy i ani przez chwilę nie będzie pan tego żałował.

Trevor przyglądał się geologowi z namysłem.

– W porządku, nie lubię spierać się z kimś, kto jest tak bardzo pewny siebie – oznajmił. – Wstrzymam się z zainwestowaniem w inną działkę, ale tylko na dwa tygodnie i ani dnia dłużej. Jeśli do tego czasu zdjęcia nie przyjdą, zaczniemy szukać gdzie indziej.

– Dziękuję panu – powiedział Todd, wstając. Nogi miał jak z waty.

Trevor odprawił go skinieniem głowy. Wychodząc, Todd usłyszał, jak jego szef mówi:

– W porządku, synu, może w końcu pójdziemy coś zjeść?

Todd domyślił się, że Nathan wrócił do gabinetu ojca, żeby udać się z nim na lunch. Nie poczul się – choć powinien – urażony, że szef zwrócił się do tego

wsioka, zanim on zdążył zamknąć za sobą drzwi. Chociaż skręcało go z głodu, na myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Szef zresztą i tak nigdy nie zaprosił go na lunch, poza tym musi wrócić do siebie i modlić się o cud.

Nadszedł czwarty lipca, gorący i duszny. Wachlarze trzepotały, chłodząc spocone, rozpromienione twarze, kiedy Sloan przyciągnął Samanthę do siebie, uniósł kieliszek z szampanem dla uczczenia podwójnego święta, Dnia Niepodległości i swoich dwudziestych czwartych urodzin (które tak naprawdę były dwa dni wcześniej, drugiego lipca), i ogłosił, że Samantha Gordon zgodziła się zostać jego żoną. Para się pocałowała przy wtórze oklasków i kilku sprośnych uwag ze strony męskich uczestników przyjęcia, już lekko wstawionych szczerze serwowanym ponczem. Neal i Estelle patrzyli na młodych, promieniejąc szczęściem rodziców, których marzenia wobec córki właśnie się spełniły. Wcześniej już zostały omówione kwestie, w którym z domów zamieszka młoda para, kto będzie zarządzał rozległą hacjendą Triple S i jaką rolę będzie odgrywała Samantha przy prowadzeniu Las Tres Lomas. Przy tej okazji kilka interesujących informacji wyszło na jaw.

Billie June oświadczyła, że pragnie wynająć pokój w pensjonacie dla panien w Dallas, zamierza bowiem studiować muzykę w Akademii Sarah B. Morrison, Millie May zaś poinformowała wszystkich, że jesienią zapisuje się na zajęcia w Muzeum Sztuk Pięknych w Houston, gdyż chce się uczyć malarstwa olejnego. Obie z radością oddadzą Samancie rolę pani domu. Neal zgodził się z Estelle, że młoda żona powinna zamieszkać u męża, choć przyznał, że będzie się błakał po opustoszałym domu na ranczu jak „wyrzucony z wody mors” – na co jego żona nie omieszkła zauważyć, że w życiu żadnego morsa nie widział.

W trakcie przedślubnego śniadania, które Estelle wydała w swoim domu w mieście na cześć obu rodzin, Neal oznajmił, że zamierza zabrać żonę do Galveston, do hotelu Tremont House, najlepszego w całym Teksasie, w którym zatrzymywały się takie sławy jak Sam Houston, Ulysses S. Grant, Clara Barton i Buffalo Bill.

– Pociągiem? – zapytała Estelle z błyskiem nadziei w oku.

– Powozem – odparł Neal i zerknął na siedzącego przy stole Sloana. – Mam nadzieję, że pomożesz Wayne’owi na ranczu w czasie mojej nieobecności, Sloanie.

Samantha tego się właśnie spodziewała. Zostanie odsunięta od zarządzania Las Tres Lomas. Była jego dziedziczką, ale jako żona kogoś tak dobrze znającego się na rzeczy, jak Sloan, zgodnie z oczekiwaniami ojca odda wodze swojemu mężowi. Ta arbitralna decyzja powinna ją rozwścieczyć. Wszak poświęciła swoje marzenie o zostaniu paleontologiem dla Las Tres Lomas. A teraz, kiedy ojciec będzie miał u boku Sloana, ona przestanie być potrzebna. Do niej powinna należeć decyzja, czy oddać rządy mężowi, ale Samantha nagle odkryła, że już jej nie zależy. Nie chciała prowokować kolejnego konfliktu między nią i ojcem, tym

bardziej że on uszanował przecież jej zdanie dotyczące wierceń. W dalszym ciągu będzie prowadziła księgi rachunkowe, lecz chętnie zamieni buty do jazdy konnej i skórzane ochraniacze na domowe suknie, by rozkoszować się życiem kobiety zamężnej i wreszcie – miała nadzieję, że już za rok – matki. Tymczasem, gdy Sloan będzie dzielił obowiązki w kierowaniu obydwoma ranczami z jej ojcem, ona zajmie się stanowiskiem archeologicznym, które, jak była pewna, znajdowało się w Windy Bluff.

Rozdział 53

– No jak tam, wszyscy gotowi? – zapytał Trevor Waverling, zaglądając przez okno do powozu.

Jego córka zajmowała razem z Zakiem jedno siedzenie. Na drugim piętrzyły się kosz piknikowy, dzbanek z wodą, skrzynka z narzędziami geologicznymi, walizka książek i płócienna torba podróżna w beżowo-czerwone pasy zaprojektowana przez Louisa Vuittona z Francji. Lalka z buzią z biskwitowej porcelany królowała na szczycie sterty; z ciemnoniebieskimi oczami i realistycznie matowymi policzkami wydawała się niesamowicie prawdziwa w mrocznym wnętrzu wyłożonego aksamitem powozu.

– Gotowi, tatusiu! – zapiszczała Rebecca, ramieniem obejmując kark owczarka niemieckiego. – Prawda, Zak?

– Nie ściskaj go tak mocno, Rebecco – zdenerwował się Trevor. – Zakowi jest już i tak wystarczająco gorąco. Widzisz, jak mu wisi jęzor? Może cię ugryźć.

On i Nathan stali przed domem w Turtle Creek, Mavis i Lenora spoglądały na nich z ganku, a Benjy już się umościł na koźle.

– Na pewno chcesz zabrać ze sobą Rebeccę, synu? – zwrócił się Trevor do Nathana, zniżając głos. – Wiesz, jaka potrafi być absorbująca.

– Wycieczka do Fort Worth dobrze jej zrobi – odparł Nathan. – Potrzebna jest jej zmiana otoczenia, żeby miała co wspominać i o czym myśleć w tym swoim małym światku, a Zak pomoże mi jej przypilnować.

– Podróż powinna wam zająć około siedmiu godzin. Jak już dojedziecie do Worth, skorzystaj z tamtejszego telefonu i zadzwoń do domu. Matka będzie się zamartwiać, dopóki się nie odezwiesz.

– Poradzimy sobie. Czy z panem Gordonem wszystko zostało ustalone?

– Tak. Spodziewa się ciebie. Jak dojedziecie na miejsce, może się okazać, że jego córka dostała już wywołane zdjęcia. Mam nadzieję, że Todd się co do nich nie myli. Inaczej twoja podróż będzie tylko stratą czasu.

– Dzisiaj jest dziewiąty, co znaczy, że Todd wysłał aparat dwadzieścia trzy dni temu – rzekł Nathan. – Pod koniec tygodnia na pewno będziemy już coś wiedzieli. Kodak zawsze wywołuje zdjęcia i je odsyła. – Wyciągnął rękę. Babcie uściskał na pożegnanie już wcześniej. – Do zobaczenia wkrótce, tato.

Trevor zawahał się, po czym ignorując wyciągniętą dłoń Nathana, objął go w szorstkim uścisku.

– Bądź ostrożny, synu. Będzie nam cię brakowało – powiedział, klepiąc go w plecy. Odsunął się szybko i zawołał do woźnicy: – Hej, Benjy! Pamiętaj, żeby jechać ostrożnie!

Z wysokości kozła Benjy popatrzył na Trevora. Zimową liberię zastąpił

mniej oficjalnym letnim strojem i w bawełnianej kurtce i czapce z materiału nie prezentował się już tak groteskowo.

– Jasna sprawa, panie Waverling. Dowiozę pańskie *paístí*... pańskie dzieci... całe i zdrowe.

Dla Nathana było miejsce na kanapie naprzeciwko Zaka, gdyby nagle musiał uspokoić Rebeccę, ale na razie miał jechać, siedząc obok Benjy'ego. Wspiął się na kozioł i kiedy woźnica strzelił lejcami, po raz ostatni pomachał babce, po czym powóz ruszył.

Trevor wszedł na ganek i stanął obok matki.

– Widziałam, jak go uściskałaś – powiedziała Mavis. – Pokochałaś go, prawda?

Trevor potwierdził skinieniem głowy, nie odrywając wzroku od oddalającego się powozu.

– Można tak powiedzieć.

– Bogu Wszemocnemu niech będą dzięki! – rzuciła Mavis. – Dobrze jest kochać jeszcze kogoś poza sobą.

– To prawda, mamó – zgodził się Trevor.

Następnego ranka, we wtorek, Samantha nie potrafiła odejść od okna w bibliotece, z którego było widać podjazd przed domem. Ojciec poinformował ją o przyjeździe landmana, który poprzednio zjawił się w towarzystwie geologa, gdy po raz pierwszy przyjechali obejrzeć ziemię w Windy Bluff. Teraz miał się rozejrzeć jeszcze raz.

– Po co? – zapytała Samantha z podejrzliwym błyskiem w oku. – Przecież się umówiliśmy, że nawet jeżeli w Windy Bluff jest ropa, nie będziemy tam wiercić, jeśli zdjęcia potwierdzą, że była tam czaszka dinozaura.

Neal podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Właśnie dlatego ten młody człowiek nas odwiedzi, kochanie, i nie był to mój pomysł, tylko Nathana Waverlinga. Przyjeżdża, żeby ocenić, czy można dokonać odwiertów, nie naruszając miejsca, w którym znajduje się twoje znalezisko. Chyba nie ma w tym nic złego, prawda?

Nie, oczywiście, że nie, przyznała Samantha, żeby zrobić ojcu przyjemność, choć mogła przy tym dodać, że landman przyjeżdża na próżno. Jeżeli rzeczywiście jest tam cmentarzysko dinozaurów, na pewno rozciąga się na całej północnej połaci rancza, nie zostawiając miejsca na odwierty. Nie miała wątpliwości, że kiedy zawarli umowę, podniecenie ojca wizją złóż ropy w Las Tres Lomas zakiełkowało na nowo. Przyłapała go na czytaniu *Derrick Page*, działu, który pojawił się ostatnio w „Fort Worth Gazette”, podczas gdy wcześniej interesowały go wyłącznie informacje dotyczące hodowli bydła. Teraz zaczął prenumerować periodyki, w których drukowano artykuły związane z przemysłem naftowym, i potem dyskutował o nich ze Sloanem przy obiedzie. Przytaczał z nich różne fragmenty, na

przykład o tym, że Henry Ford projektuje napędzane benzyną auto, na które będzie stać każdego w Ameryce. „Wyobrażacie sobie, jakie będzie wtedy zapotrzebowanie na ropę!” – entuzjazmował się. Albo: „Wiedzieliście, że Francja jest największym na świecie producentem aut, ale przewiduje się, że w tysiąc dziewięćset piątym roku Stany Zjednoczone ją prześcigną? Pomyślcie tylko”.

Ojciec zaraził się wirusem ropy. Nawet Grizzly i Wayne pogodzili się już chyba z tym, że w Las Tres Lomas de la Trinidad niedługo zaczną się poszukiwania złóż. Było to tylko kwestią czasu. Samantha ze wstrętem wyobrażała sobie wzdęte truchła padłych krów leżące obok skażonego źródła, gęstą ciecz zalewającą bujną zieloną trawę, paskudne drogi dojazdowe biegnące przez falujące pastwiska, hałas szybów wiertniczych, huk zaprzęzonych w konie wozów, przed którymi stada uciekają w popłochu.

Bardzo się starała, żeby te czarne myśli nie przyćmiewały szczęścia, jakie się wiązało z przygotowaniami do ślubu i zbliżającym się małżeństwem ze Sloanem, nie mogła się jednak przed nimi opędzić. Radość, że między nią i ojcem zapanowała zgoda, największa podczas przyjęcia zaręczynowego, nieco przygasła. Nie wierzyła już tak bezwarunkowo, że nic nie zdoła ich poróżnić. Neal Gordon dotrzyma słowa – tego była pewna, ale czy nie zacznie w którymś momencie żałować, że ważniejsze od ropy na ranchu stało się jej znalezisko archeologiczne?

– Co cię gryzie, Samantha? – zapytał Sloan. – Widzę, że coś bardzo zaprzęta twoją śliczną główkę.

Byli właśnie przy zagrodzie w Triple S, przyglądając się bykowi, który został świeżo kupiony w Anglii i szczęśliwie przetrwał podróż aż z Liverpoolu, co świadczyło o jego sile i zdrowiu, które – młody ranczer miał taką nadzieję – przekaże jego stadom. Sloan stał za Samantha, zamykając ją w ramionach, dłońmi wspierał się o ogrodzenie korrala. Co jakiś czas Samantha czuła, jak muska brodą czubek jej głowy. Nie bacząc na obecność kowbojów, ilekroć zjawiała się w jego pobliżu, zawsze starał się trzymać ją jak najbliżej siebie. W takich chwilach z trudem panowała nad ogarniającym ją pożądaniem i wiedziała, że on czuje to samo. Ssał koniuszek jej ucha i szeptał: „Już niedługo, kochanie. Już niedługo”.

– Cóż, żeby uniknąć kolejnego konfliktu z ojcem, czy byłabyś... w stanie zastanowić się jeszcze raz nad umową, którą zawarliście? – zapytał ostrożnie, gdy wyjaśniła mu powód swojego zamyślenia.

Przerażona, obróciła się ku niemu gwałtownie.

– Mam pozwolić zniszczyć wykopalisko archeologiczne o historycznym znaczeniu dla jakiegoś pola naftowego? Nie, umowa to umowa. Tato oczekuje, że dotrzymam słowa, ja tego samego oczekuję od niego. Wiedział, co ryzykuje, kiedy się na to zgadzał.

– A ty wiesz, co on ryzykuje, jeśli wyjdzie na twoje.

Doskonale wiedziała, co Sloan ma na myśli. Sama zadawała sobie pytanie,

co będzie czuł Neal Gordon, jeśli, a raczej kiedy Las Tres Lomas spotka jakąś katastrofą, przed którą nie zdoła ochronić rancza bez pieniędzy z ropy. Właśnie myśl o takim kryzysie najbardziej ją niepokoiła. Powoli skinęła głową.

– Uważam, że powinnaś mieć to na względzie, jeżeli nigdzie indziej nie będzie śladów ropy, Sam – powiedział Sloan, tuląc ją mocniej. – Ale nie martwmy się na zapas. Mogę się założyć, że ropa jest wszędzie, na całym obszarze rancza.

Samantha w życiu by nie pomyślała, że zgodzi się z taką opinią, ale teraz ona również chciała w to wierzyć.

Martwiło ją również zniknięcie czaszki. Co się z nią stało? Jakie zwierzę mogło ją uznać za źródło pożywienia? Ich psy nigdy nie chodziły głodne, a drapieżniki wolą żywe mięso. Samantha ostrożnie kopała w miejscu, w którym znalazła skamielinę, ale nie natknęła się na żadne kości, do których czaszka mogła być przyczepiona. Co sprawiło, że wyłoniła się spod ziemi po tysiącach lat? Nie mogła się już doczekać, kiedy sprowadzi na ranczo zespół archeologów.

Usłyszała turkot powozu przejeżdżającego przez bramę. Wyjrzała przez okno i stwierdziła, że goście faktycznie dotarli. Już miała sięgnąć do dzwonka, by kazać Silbii posłać kogoś po ojca do Trail Head, jednak w ostatniej chwili cofnęła rękę. Gospodyni nie mogła z kuchni usłyszeć, że przyjechał powóz. To dobrze. Samantha chciała sama przyjrzeć się Nathanowi Waverlingowi, bez wścibskiej – budzącej strach – obecności Neala Gordona. Wiedziała, że młody landman sam zaproponował, że przyjedzie, by jeszcze raz przyjrzeć się wszystkiemu, i że rozumiał pragnienie córki ranczera, aby uratować przed zniszczeniem cmentarzysko prehistorycznych stworzeń. Może dzięki temu ich spotkanie przebiegnie w znośnej atmosferze. Była ciekawa, czy jej włosy znowu wzbudzą jego zainteresowanie.

Wyszła na werandę akurat w chwili, kiedy zaprzęg podjechał przed dom. Od razu rozpoznała Nathana Waverlinga, którego spotkała kilka miesięcy temu na wykładzie. Siedział na koźle obok woźnicy, dziwaczного człowieka, który z łatwością i wprawą panował nad silnymi końmi. Z okna powozu wyłoniła się ciemna główka małej dziewczynki.

– Dzień dobry – zawołała. – Kim jesteś? Jesteś nikim też?

Z wnętrza powozu rozległo się psie szczekanie.

– Witam – powiedział Nathan, zeskakując z kozła i nie zwracając najmniejszej uwagi na włosy Samantha, spięte w kok na czubku głowy, jak lubiła je nosić w letnie upały. – Jestem Nathan Holloway. Już się poznaliśmy.

Zakłopotana Samantha uściśnęła jego wyciągniętą dłoń.

– Pamiętam – powiedziała – Ale Holloway? Wydawało mi się, że jest pan synem Trevora Waverlinga.

– Jestem. – Nathan uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie. – To skomplikowane. Moja siostra i pies przyjechali ze mną. Mam nadzieję, że to pani

nie przeszkadza.

– Nie, naturalnie, że nie – zapewniła go Samantha. Uśmiechnęła się do dziewczynki. – Dzień dobry.

– To jest Rebecca – rzekł Nathan, otwierając drzwi powozu – a to mój pies, Zak. Ten głupkowato uśmiechnięty gość na koźle to Benjy, przyjaciel rodziny i woźnica.

– Witam wszystkich – powiedziała Samantha z uprzejmym skinieniem głowy. – Zapraszam do środka. Nasza kucharka przygotowała świeżą lemoniadę.

– Dziękujemy, ale zjedliśmy śniadanie w hotelu.

– Jesteś pewny, Nathanie? – zawołał z góry Benjy.

– Tak, Benjy. Całkowicie.

Rebecca podeszła do Samantha. Ze zdziwieniem i zachwytem w oczach pogłaskała kosmyk włosów Samantha, który wymknął się z upięcia.

– „O piękna Heleno, natury cudny tworze, z włosów twych girlandę stworzę” – wyrecytowała.

Samantha oszołomiona spojrzała na Nathana. Pies, owczarek niemiecki, podszedł i spokojnie usiadł obok małej dziewczynki.

– Rebecco, kochanie, nie wolno dotykać włosów pani. Chodźcie z Zakiem do mnie – polecił Nathan cichym tonem.

– Nic się nie stało – odparła szybko Samantha, natychmiast orientując się w sytuacji. Mała siostrzyczka Nathana była urocza, ale najwyraźniej cierpiała na jakiś deficyt umysłowy. Samantha uśmiechnęła się do niej. – Ty też masz piękne włosy – dodała. – I bardzo mi się podobają twoje wstążki.

– „Powiem ci, jak słońce wstało, wstążeczka po wstążeczce. Baszty w ametysty poopływały, wieści pośpieszyły jak wiewióreczki”⁵ – zaczęła Rebecca, ale Nathan podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Wybacz mi, Rebecco – zwrócił się do niej głosem łagodnym, lecz zdecydowanym. – Ta miła pani i ja musimy porozmawiać. Usiądź na chwilę z Zakiem na werandzie. Musisz zejść ze słońca. Możesz to dla mnie zrobić?

– Tak, Nathanie – odparła mała. – Chodź, Zak. Ty też, Benjy.

– Już pędzę, mój skarbeczku – odrzekł Benjy, zwinnie zeskakując na swoich krótkich nogach z koźła powozu i biorąc Rebeccę za rękę.

– Jest pan takim dobrym i cierpliwym bratem – rzekła Samantha, trochę się obawiając, że młody landman uzna jej słowa za zbytnią poufałość. Ale trudno było go nie polubić od pierwszego wejrzenia.

– Moja siostra nie przysparza żadnych kłopotów. Pojedzie z nami na inspekcję. Zaprowadzi mnie pani na miejsce? Nie pamiętam, jak tam trafić. I co z panem Gordonem? Sądziłem, że zechce nam towarzyszyć. Jak się domyślam, pani również.

– Słusznie się pan domyśla, ale mój ojciec... chwilowo zaniemógł. Sama

zaprowadzę pana do Windy Bluff. Mój koń jest już osiodłany.

– W takim razie proszę prowadzić – powiedział Nathan. – Pojedziemy za panią.

Rozdział 54

Godzinę później Nathan zakończył inspekcję. Za pomocą narzędzi i map Todda, wspomagany wiedzą Samantha o ogromnych połaciach ziemi w Kolorado i Wyoming, na których pod koniec lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku znaleziono szkielety dinozaurów, przeprowadził archeologiczną ocenę terenu.

– Szacowano, że kamieniołom w Kolorado obejmował czterdzieści akrów – powiedziała Nathanowi Samantha.

Landman nie wypowiedział na głos tego, co dla nich obojga było aż nadto oczywiste. Jeżeli teoria Samantha jest prawdziwa, cmentarz z pochowanymi głęboko szczątkami dinozaurów nawet o połowę mniejszy musi sięgać miejsca, na którym według Todda powinno się prowadzić odwierty.

– Jeżeli ropa jest tutaj, czy to możliwe, że zalega też w innych miejscach rancza? – zapytała Samantha.

– Niekoniecznie – odparł Nathan i wyjaśnił, że widział już tryskającą ropę z szybu znajdującego się zaledwie pół akra od innego, który okazał się suchy. – Dokładne określenie miejsca, w którym znajduje się ropa, jest praktycznie niemożliwe – ciągnął. – Nawet jeśli wszystko wskazuje na złożę ropy, i tak może się okazać, że nic tam nie ma. Szyby wierci się na podstawie wiary, przeczucia i tego, co nam nos podpowiada. Nie ma w tym nic naukowego.

Samantha się zmartwiła.

– Nie zdaje pan sobie sprawy, z jaką przykrością to mówię, ale pańska firma będzie szukać w innych rejonach rancza, czy tak?

– Nie potrafię pani na to odpowiedzieć. Wszystko zależy od mojego ojca.

Nathanowi także zrobiło się żal. Powiódł wzrokiem po najbliższej okolicy, rozległej, ale i tak stanowiącej tylko niewielką część Las Tres Lomas de la Trinidad. Jeżeli Waverling Tools nie złączą tu wiercić, poszukają innej lokalizacji.

– Macie tu bardzo dużo ziemi. Todd raczej nie da rady wszystkiego obwąchać.

– Rozumiem – odparła Samantha, myśląc o nosie Todda Bakera, od którego wszystko się zaczęło. Gdyby Todd nie dosiadł tamtego dnia Ocalonego...

Nie potrafiła uznać go za zdrajcę; to byłoby nieuczciwe. Jego domeną była geologia. Jak zauważył jej ojciec, praca Todda polegała na szukaniu ropy dla jego pracodawcy. Ale dopuścił się zdrady wobec nauk o Ziemi, które studiował i które nakazywały traktować z szacunkiem skamieliny z przeszłości. Poza tym zdradził łączącą ich przyjaźń. Tamtego dnia w Windy Bluff powinien był jej powiedzieć, że według niego w pobliżu miejsca, w którym odkryła czaszkę dinozaura, może znajdować się złożę ropy naftowej, a nie za jej plecami zwracać się z tym do Neala. Niepokoiło ją też, że korzystając z jego propozycji, oddała mu aparat, który obiecał

wysłać do Nowego Jorku. Gdy się dowiedziała, jak nieuczciwie się wobec niej zachował, wspomnienie o tym zaczęło ją prześladować.

Benjy zbliżył się chyłkiem do Nathana.

– Nathanie, chłopcze, czy nie uważasz, że już pora zacząć piknik? Od śniadania trochę czasu minęło. Rebecca na pewno jest głodna.

– Ach, i to jej tak burczy w brzuchu? – powiedział Nathan z uśmiechem. – Panno Gordon, czy przekąsi pani z nami? Jedzenia mamy w bród.

– Bardzo proszę! – dobiegł ich głosik z wnętrza powozu.

Drzwiczki się otworzyły i wyskoczyła z nich Rebecca. Nathan i Samantha spojrzeli po sobie zdziwieni, że dziewczynka wszystkiemu się przysłuchiwała. Dotąd Rebecca siedziała grzecznie w powozie, czytając swojej lalce jedną z licznych książek, które zostały zabrane, żeby miała się czym zająć. Dziewczynka podbiegła do Samantha i objęła ją ramionkami w pasie.

– Zostań, bardzo proszę – błagała.

Samantha namyślała się przez chwilę. Ojciec, kiedy tylko zauważył jej nieobecność, od razu się domyślił, że gość przyjechał i jego córka wybrała się z landmanem do Windy Bluff bez niego. Lada chwila zjawił się w chmurze trawy i pyłu, naburmuszony, że go nie powiadomiła, przez co ominęło go wszystko, czego się dowiedziała. Cieszyła się, że ojca nie ma tu z nimi. Neal Gordon na pewno nie wysłuchałby tego, co Nathan Holloway miał do powiedzenia. Niech Bóg ma ich w swojej opiece, jeżeli nos Todda nie wywęszy ropy w jakimś innym miejscu. Tymczasem jednak mała dziewczynka tuliła się do niej, unosząc ku niej delikatną jak kwiat twarzyczkę. Nie sposób było jej odmówić.

– Z ogromną przyjemnością – powiedziała Samantha.

Usiedli w cieniu potężnej włoskiej topoli rosnącej nieopodal źródła, Nathan i Samantha wsparci plecami o pień drzewa. Nathan jeszcze w hotelu kazał przygotować piknik, którego menu zaproponował Benjy, i teraz przyglądali się, jak woźnica rozkłada na ziemi koc i z kosza wyjmuje pieczonego kurczaka, chleb kukurydziany, cebule, marynowaną okrę, garnek z fasolą i maselnicę z bananowym puddingiem. Poza Ocalonym bydło nie zapuszczało się w ten odległy kraniec rancza, nie będzie im więc przeszkadzał widok i zapach „krowich placków”, które mogłyby odebrać im apetyt. Dzisiaj byczka też nie było nigdzie widać.

– Od jak dawna jest pan landmanem? – zapytała Samantha.

– Nie na tyle długo, bym mógł się już za niego uważać – odparł Nathan i bez wdawania się w osobiste szczegóły powiedział tylko, że zaczął pracować u ojca, kiedy skończył dwadzieścia lat. Teraz mieszkał z nim i z babką w Dallas i powoli zaczynał zapominać o farmie w Gainesville, na której dorastał i na której uprawiali pszenicę.

Samantha się uśmiechnęła.

– Nie tak dawno temu sama byłam w Gainesville. Piękna rolnicza okolica.

Przyzwyczajają się pan więc do życia w mieście?

– Próbuję – odparł Nathan.

Samancie podobał się tembr jego głosu. Pomyślała sobie, że miło się przebywa w towarzystwie tego młodego mężczyzny, spokojnego jak wolno płynąca rzeka. Podczas gdy oni gawędzili, Rebecca i Zak chlapali się w wodzie. Dziewczynka zadzierała wysoko spódnicę i piszcziała, kiedy pies się otrzepywał, opryskując ją kroplami. Chłodna bryza znad wody łagodziła upał i południową ciszę zakłócało jedynie rozlegające się od czasu do czasu krakanie i dobiegające z oddali porykiwanie bydła.

Samantha czuła, jak opuszcza ją napięcie, przynajmniej na chwilę. Powróciło do niej wspomnienie przystojnej twarzy ojca chłopaka i rozmowy, którą odbyli przy okazji wykładu z paleontologii...

„Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że kiedy podeszliśmy z Barnardem, wydało się panu, że skądś mnie pan zna, potem jednak uznał pan, że się pomylił. Mam rację?”

„W pewnym sensie. Kolor pani włosów uderzająco przypomina mi kogoś, kogo znałem”.

„Mam nadzieję, że to miłe wspomnienie”.

„Niezapomniane”.

Samantha spojrzała na Nathana. Czy znał kobietę o włosach tak uderzająco podobnych do jej własnych, kobietę, której jego ojciec nigdy nie zapomniał? Teraz nie miało to znaczenia. Już nie była ciekawa, kto to mógł być, przeszła jej ochota na przypadkowe spotkanie z nieznajomym, który by powiedział: „Wygląda pani bardzo znajomo, zwłaszcza ten kolor pani włosów. Czy jest pani może spokrewniona z takim-a-takim?”.

Jej rozmyślenia przerwało wołanie Benjy’ego.

– Nathanie! – krzyknął woźnica. – Niech się lepiej Zak porządnie otrzepie, zanim do nas dołączy. Chodź tu, Rebecca, nałóż ci jedzenie.

Usadowili się na kocu, przez który czuli ciepło bijące od ziemi. Samantha zauważyła, że kurczak wygląda wyśmienicie. Na ranczu, gdzie hodowało się bydło, rzadko zdarzała się okazja, by skosztować drobiu. Nigdy nie przepadała za piknikami na ziemi. Komary i mrówki były irytujące, a balansowanie talerzem na kolanie stanowiło nie lada wyczyn, dzisiaj jednak w tak miłym towarzystwie jakoś jej to nie przeszkadzało.

– Benjy! – powiedziała Rebecca rozkazującym głosem. – Pudding, poproszę!

– Może najpierw zjedz trochę kurczaka, Rebecca – zaproponował Nathan.

– Najpierw pudding, potem kurczak – odparła dziewczynka zdecydowanie, po czym krzyknęła: – Benjy! Gdzie moja łyżka?

– Oj, dziewczyno, wujek Benjy coś ci powie o łyżkach – odezwał się woźnica. Nałożył Rebecce porcję puddingu na talerz, po czym wziął łyżkę. – Łyżką

nabierasz do buzi za dużo jedzenia, widzisz? – Benjy uniósł do ust łyżkę, potem zrobił to samo, tym razem z widelcem. – Jak jesz widelcem, jedzenia starcza na dłużej.

Rebecca ze sceptyczną miną wzięła od niego widelec. Wszyscy się przyglądali, jak ostrożnie zanurza jego koniuszek w puddingu.

– „«Tort i banany», westchnęła Jane. «O rany!» «Co byś wolała?», mama zapytała. «Zjem wszystko!», Jane odpowiedziała, i wcale nie skłamała”.

Samantha popatrzyła na Nathana, a on odpowiedział na pytanie, które dostrzegł w jej spojrzeniu.

– Moja siostra odpowiada, recytując poezję. W ten sposób się komunikuje.

– Jakie to urocze – odparła Samantha. – Musi być bystra, żeby spamiętać te wszystkie wiersze.

– Jest bardzo mądra – rzekł Benjy, ogryzając nóżkę kurczaka. – Po prostu jej umysł działa inaczej niż nasz.

Od strony domu dobiegł ich tętent galopującego konia. Samantha westchnęła.

– Oto mój ojciec, Neal Gordon – powiedziała, strzepując ze spódnicy okruchy i zbierając się w sobie, by stawić czoła jego gniewowi.

Neal zauważył rozłożone na kocu jedzenie i zawczasu się zatrzymał, by nie zasypać go ziemią i darnią. Szybko zsiadł z konia, podszedł do Nathana i uściśnął mu dłoń.

– Dzień dobry – rzekł. – Proszę wybaczyć, że dopiero teraz mogę się przywitać – tu zerknął z irytacją na Samanthę – ale nikt mnie nie powiadomił o pańskim przyjeździe.

Samantha odezwała się żartobliwym tonem:

– Chciałam spędzić chwilę z Nathanem, zanim zagarniesz go dla siebie, tatusiu. Pomyślałam, że tak będzie lepiej, i nie pomyliłam się.

– Panie Gordon, zapraszam – powiedział Nathan. – Proszę się do nas przyłączyć.

– Jejku, Nathanie – jęknął Benjy.

Nathan nie zwrócił na niego uwagi.

– Jedzenia jest aż nadto – dodał.

Jednak Neal Gordon nie był zainteresowany jedzeniem.

– Bardziej interesuje mnie pańska opinia, panie Waverling. Czy to... cmentarzysko starych gnatów, o ile rzeczywiście się tu znajduje... – machnięciem ręki wskazał na otaczającą ich ziemię i pobliskie źródło – ...da się uratować, jeśli zdecydowalibyśmy się tu wiercić?

– Nie, proszę pana, nie da się – odparł Nathan. – I jeszcze jedno, nazywam się Holloway, nie Waverling. Holloway to nazwisko mojego ojczyma. On mnie wychował. Dopiero od niedawna mieszkam i pracuję z moim ojcem.

Ręka Neala opadła. Wpatrywał się w Nathana, jakby ten nagle wycelował do niego z broni.

– Ale proszę zwracać się do mnie po imieniu, jak wtedy, kiedy się poznaliśmy – dodał landman.

Kiedy Neal, cały zeszywniały, nie odrywał od chłopaka wzroku, Samantha ujęła go za ramię.

– Tatusiu? Co ci się stało?

– Ja... ja nie wiem – powiedział Neal. Przesunął dłoń po twarzy. – Jakbym... jakbym na chwilę stracił wątek. Chyba przez te złe wieści.

To niemożliwe, myślał, a szok wszystko zagłuszał. Takie rzeczy się nie zdarzają. Ten młodzieniec, którego tu zaprosił, jest bratem bliźniakiem Samantha, a to... to oznaczało, że... Trevor Waverling jest jej ojcem.

Rozdział 55

– Holloway, powiadasz? – rzekł Neal.

Nie miał wątpliwości, kim jest chłopak. Powiedział, że dorastał na farmie. Jego ojczymem był Leon Holloway z listu doktora Tolmana, człowiek, z którym siedział na werandzie domu w Gainesville i który powiedział, że on i jego żona zostali pobłogosławieni dwójką dzieci, synem i córką. Mówił prawdę. Neal Gordon ledwie zauważał krótkonogiego woźnicę, małą dziewczynkę i owczarka niemieckiego. Wszyscy gapili się na niego, siedząc na kocu, jakby się zastanawiali, czy za chwilę nie przewróci się na ich jedzenie.

Samantha wciąż trzymała go za ramię i wpatrywała się w niego z zatroskaniem.

– Tatusiu? Może jednak usiądziesz?

– Może w powozie, proszę pana – zaproponował Nathan, zmierzając szybko do pojazdu, by otworzyć drzwiczki. – Podać panu wody?

– Nie, nie, nic mi nie jest – zaprotestował Neal, dochodząc do siebie. – Po prostu przez chwilę zabrakło mi powietrza. Nie wiem, co mi się stało. – Zmusił się, by jego głos zabrzmiał normalnie, i objął Samanthę ramieniem z nadzieją, że nie wyczuje, jak drży na całym ciele. – Cóż, w takim razie postanowione – rzekł do Nathana. – Nie będziemy wiercić w tej części rancza. – Z czułością pogładził córkę po rękę. – Chyba się cieszysz, kochanie?

– Dziwi mnie tylko, że tak łatwo się zgodziłeś – odparła, zaskoczona jego nagłą jowialnością.

Nathan musiał się upewnić.

– To bardzo ważne. Jak rozumiem, proszę pana, nawet jeżeli zdjęcia panny Gordon nie dowiodą, że to znalezisko archeologiczne, i tak nie wyda pan zgody, żeby Waverling Tools zaczęły tu odwierty?

– Cóż... czy ja wiem – powiedział Neal. – Przemyślałem sobie wszystko jeszcze raz. Dla mojej córki to uświęcone miejsce, nie ma więc znaczenia, co pokażą zdjęcia. Mogą kłamać, dopóki więc eksperci wszystkiego tu nie sprawdzą, nie wydam zgody na dzierżawę. Z tego, co mówi córka, może to potrwać wiele lat.

Samantha wyswobodziła się z objęć ojca i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Tatusiu! Chyba nie mówisz tego poważnie?

– Już postanowiłem – rzekł Neal. Wyciągnął rękę do Nathana. – Młody człowieku, przepraszam za kłopot i mam nadzieję, że twój ojciec mi wybaczy, że zmarnowałem wasz czas, ale właśnie sobie uświadomiłem, jak wielkie będą straty, jeśli wasza firma zacznie tu wiercić.

Nathan zdecydowanie uściśnął rękę Neala.

– Mój ojciec i Todd będą na pewno zawiedzeni, ale ja rozumiem, że to, co być może się tu kryje, jest cenniejsze od pola naftowego. – Spojrzał na Benjy’ego, który nie przerywając jedzenia, przysłuchiwał się całej rozmowie. Rebecca delikatnie odrywała po kawałeczku mięsa z udka kurczaka i karmiła Zaka, obojętna na toczącą się nad jej głową wymianę zdań. – Benjy, będziemy się zbierać – powiedział. – Nie mamy tu już nic do roboty, a babcia nie odejdzie od okna, dopóki nie wrócimy.

– Aj, Nathanie, nie możemy najpierw skończyć? – jęknął Benjy.

– Możecie zostać, jak długo chcecie – odezwała się Samantha – ale ja zabiorę ojca do domu. – Żartobliwie trąciła Neala pod żebro. – Najwyraźniej słońce mu zaszkodziło.

– Nie! – krzyknęła niespodziewanie Rebecca i zerwała się z koca, wprawiając tym w popłoch psa i dwa gawrony szukające obok okruszków. Podbiegła do Samantha i objęła ją w pasie ramionami. – Nie możesz sobie pójść! Nie, nie! „Pójdź ze mną, zostań moją miłą, iżby nam wspólnie dni słodziło wszystko, czym tchną doliny, gaje, szczyty gór, bory i ruczaje”⁶.

Nathan zrobił krok, żeby uwolnić Samanthę od Rebekki, Samantha jednak delikatnie ujęła twarzą dziewczynki w dłoń.

– Muszę jechać, Rebecco – powiedziała – ale zawsze możesz tu wrócić i wtedy poczytasz mi wiersze. Dobrze?

Uspokojona Rebecca zwolniła uścisk i skinęła głową.

– Nathan mnie przywiezie.

– Samantho, musimy wracać do domu – rzucił Neal nagle. – Obawiam się, że nie czuję się najlepiej. Może rzeczywiście słońce mi zaszkodziło.

Samantha spojrzała na Nathana przeprasząco, kiedy Neal ruszył do swojego konia.

– Taka nagła zmiana frontu jest niepodobna do mojego ojca. Jeszcze dzisiaj rano miał nadzieję, że nie znajdzie pan powodu, żeby nie wiercić w tym miejscu, i dam sobie głowę uciąć, że trzymał kciuki, żeby zdjęcia pokazały, że nie ma tu żadnego znaleziska archeologicznego. Nie mam pojęcia, dlaczego zmienił zdanie.

Nathan się uśmiechnął.

– Może powodem była miłość ojca do córki? A może rzeczywiście zrozumiał, co ulegnie zniszczeniu, jeżeli pani się nie myli. Zanim odjadę, chciałbym jeszcze o coś zapytać. – Pogładził Rebeccę po włosach. Dziewczynka podeszła do niego, żeby ją pocieszył, i teraz stała, tuląc się do brata. – Kiedy się pani zorientowała, że czaszka znikła?

– Następnego dnia po wizycie Todda – odparła Samantha, zaskoczona. – Znikła między południem w sobotę, kiedy odwiozłam Todda na stację, na pociąg o drugiej do Dallas, a niedzielą, gdy pojechałam sprawdzić znalezisko późnym popołudniem. Dlaczego pan pyta?

– Zwykła ciekawość – rzekł Nathan.

– Samantho! – wrzasnął zniecierpliwiony Neal, siedząc już w siodle z wodzami w ręce. – Chodźże wreszcie!

Samantha wyciągnęła rękę do Nathana.

– Do widzenia, ale mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy. Podtrzymuję to, co powiedziałam Rebecce.

– Wiem – odparł Nathan, ujmując jej dłoń. – Jeśli wykopalisko potwierdzi pani przypuszczenia, chętnie przyjadę je obejrzeć.

– Wyślę panu osobiste zaproszenie i może pan wziąć ze sobą Rebeccę.

Nathan się uśmiechnął.

– A więc do zobaczenia.

– Tatusiu, musisz mi powiedzieć prawdę – zażądała Samantha, gdy znaleźli się już w domu. – Źle się czujesz?

Tak, czuł się źle, i to bardzo.

– Nie, nie – powiedział. – Trochę mi się zakręciło w głowie. Może miałas rację, że to przez słońce. Paliło tam niemiłosiernie. – Chciał zostać sam. Ból przeszywał go całego. Miał wrażenie, że niebo runęło mu na głowę. Dwa razy go postrzelili. A teraz to. – Ta mała dziewczynka... – zapytał z wahaniem. – Kim ona jest?

– Ma na imię Rebecca. Jest siostrą Nathana.

– Och, więc ma jeszcze jedną siostrę?

– Nic mi nie wiadomo o jeszcze jednej siostrze, tatusiu. – Samantha przyglądała mu się z narastającą troską. – Naprawdę nie wiem, czy powinnam jechać na przymiarkę sukni i zostawić cię samego – zaczęła, ale Neal wszedł jej w słowo.

– Musisz! – krzyknął. – Matka już się nie może doczekać, żeby zobaczyć cię w sukni ślubnej. Silbia się mną zajmie, a po pracy Sloan ma wpaść na szklaneczkę burbona.

– Dobrze – powiedziała wciąż zmartwiona Samantha – ale kiedy będę w mieście, umówię cię na wizytę u doktora Madigana, a ty się nie wykręcisz, choćbyśmy cię mieli ze Sloanem związać i siłą wywlec z gabinetu, rozumiesz?

Neal nie dyskutował.

– Rozumiem – odparł, czując się jak pusty worek na obrok.

Pozwolił, żeby Samantha przed wyjściem usadziła go wygodnie w fotelu w bibliotece, lecz zerwał się z niego natychmiast, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. Nie był w stanie usiedzieć na miejscu. Chodził od ściany do ściany, żeby uspokoić buzujące mu w głowie myśli i opanować przeszywające go dreszcze. Był człowiekiem, który nie do końca wierzył w boską interwencję. Czy to Wszechmogący zesłał tu dzisiaj tego sympatycznego młodego landmana, by naprawić pomyłkę losu i uzmysłwić Nealowi, co powinien zrobić? O Trevorze

Waverlingu słyszał od Todda Bakera i wyobrażał go sobie jak połączenie Attyli, wodza Hunów, z Jezusem Chrystusem. Pracodawca Todda był ważną osobistością w Dallas, człowiekiem bogatym, wpływowym i wykształconym, wywodzącym się ze starej, zamożnej rodziny, ojcem udanego chłopaka i uroczej małej dziewczynki, mimo że niespełna rozumu. Okrążywszy pokój kilka razy, Neal opadł na wysiedziany fotel, wykończony, oszołomiony i przerażony. Trevor Waverling miał wszystko, by urzec jego małą córeczkę i mu ją odebrać.

Wyteżył pamięć, by przywołać wspomnienie rozmowy z Leonem Hollowayem sprzed miesiąca. Nie zdołał go wtedy oszukać. Farmer doskonale wiedział, kim Neal Gordon jest i po co przyjechał. Nie było co do tego wątpliwości. Wiedział, że ranczer, który zjawił się pod pretekstem przekonania się, czy farma rzeczywiście została sprzedana, był ojcem adopcyjnym dziecka, które on i jego żona oddali i które nie było dzieckiem Leona, lecz Trevora Waverlinga. „Dobrze, kiedy wszystko trafia tam, gdzie powinno”, powiedział farmer. Wtedy jego słowa wydały się Nealowi dziwne i bez związku, teraz jednak rozumiał je aż nadto dobrze. Po spotkaniu z Nealem Leon Holloway nabrał przekonania, że Samantha trafiła w odpowiednie miejsce.

Żeby się uspokoić, zapalił cygaro i zaczął się zastanawiać nad tym, co już wiedział. Nie było tajemnicą, że Trevor Waverling był ojcem Nathana, czy jednak wiedział o istnieniu jeszcze jednej córki, siostry bliźniaczki jego syna? Było niemal pewne, że nie, bo inaczej chciałby chyba, żeby się o tym dowiedziała. Nathan najwyraźniej nie miał pojęcia o istnieniu Samanthy. Hollowayowie prawdopodobnie zataili przed nim prawdę o jej narodzinach, podobnie jak przed Trevorem. Gdyby Neal miał zgadywać, powiedziałby, że kiedy Leon żenił się z Millicent, ona była już przy nadziei z bliźniakami Waverlinga. Czemu bowiem piękna, posażna kobieta wychodziłaby za mąż za tak prostego i pospolitego parobka jak Leon Holloway? Trevor albo wiedział, albo i nie, o jej ciąży, ale nie został przy Millicent i nie postąpił jak należy. Czy Leon powiedziałby swojej żonie o wizycie Neala na farmie i o tym, że dziewczyna, która odpowiedziała na jej ogłoszenie w kwietniu, była jej dawno utraconą córką? Jeśli Neal znał się na ludziach i sadząc po ich rozmowie, mógł się założyć, że tak się nie stało. Obojętnie, jak było, do Neala żadne wieści od Hollowayów nie dotarły.

I tak powróciły wszystkie dawne zmartwienia i lęki, i te same pytania dotyczące jego sumienia. Co powinien począć z tą zdobytą wiedzą? Milczeć? Nic nie robić? Dochować tajemnicy, którą znali tylko on i Leon Holloway, i żyć dalej, jakby nic się nie zmieniło? Nikt niczego nie zauważy. Hollowayowie mieli swoją rodzinę, Trevor Waverling swoją. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, tylko rodzina Gordonów nie będzie wyłącznie ich. Znowu zawisła nad nim wizja łączących się rodzin, równie okropna jak wdzierające się na pastwiska obce bydło, mieszanina ras, degradacja stada. Musi oszczędzić Estelle koszmaru, jakim byłoby dzielenie się

z inną matką córką, którą zawsze nazywali własną. Kiedy patrzył na żonę unoszącą się na obłoku szczęścia, z jakim wyglądała małżeństwa ich córki z mężczyzną, którego sami by dla niej wybrali, pojawienia się wnuków... jakże mógłby to zniszczyć? „Ciekawe, czy najpierw urodzi się im chłopczyk, czy dziewczynka”, gruchała do niego kilka dni temu. „Och, Nealu, mój łowco pum, czy nie jesteśmy najszczęśliwymi rodzicami pod słońcem?”

On sam przestał się już martwić, że jego serce odwróciłoby się od Samantha, gdyby od niego i Estelle wolała swoją biologiczną rodzinę. Nie odwróciłoby się; ono by umarło.

Nagle poczucie winy poderwało go z fotela. Czy miał prawo trzymać Samantha z dala od jej brata bliźniaka? Bardzo przypadli sobie do gustu. Od razu to dostrzegł. Chłopak był wart siostry. Na pewno okazałby się wspaniałym bratem, wypełniłby dręczącą ją pustkę. Jednak wraz z nim pojawiliby się Trevor Waverling, ta mała dziewczynka, no i Nathan wspomniał też o babci. Być może obrazu dopełniliby syn i córka, którym Millicent była tak oddana. Można odkroić z placka tyle kawałków, że wreszcie kucharz zostanie z niczym.

Neal podszedł do kominka i zapatrzył się w palenisko, w którym po zimie wciąż jeszcze zalegał popiół. Podjął decyzję. To, co powiedział Nathanowi Hollowayowi, było najszczerzą prawdą. Nawet jeżeli zdjęcia Samantha niczego nie dowiodą, Waverling Tools nie postawią żadnych instalacji wiertniczych ani w okolicy Windy Bluff, ani nigdzie indziej na całym jego ranchu. Nie brakowało innych firm naftowych. Nie było powodu, żeby jego córka i młody landman znowu się spotkali. Neal zatrzyma wszystko dla siebie. Czas był jak rzeka. W końcu bez śladu unosi ze sobą wszystko. Chyba że...

Neal pożałował swojego porównania. Przypomniał sobie żwir, jaki został w miejscu wyschniętych zbiorników wodnych na ranchu. W śmieciach leżała broń, która doprowadziła do skazania mordercy.

Rozdział 56

Todd z niedowierzaniem wpatrywał się w Trevora Waverlinga.

– Jak to Neal Gordon postanowił, że nie będzie wierceń w Windy Bluff? Nigdy?!

Był czwartek rano, dwunasty lipca, dzień po powrocie Nathana z Fort Worth.

– Tak powiedział – odparł Nathan za ojca. – Pana Gordona nie interesuje, co będzie na zdjęciach. Jego córka wierzy, że w Windy Bluff znajduje się cmentarzysko dinozaurów, i to mu wystarcza.

– Ale wykopaliska mogą potrwać lata! – wrzasnął Todd.

– Zgadzam się z tym.

Todd przycisnął pięść do czoła.

– Wielki Boże! Ten człowiek zrezygnował z fortuny!

– Todd, usiądź, zanim dostaniesz udaru – polecił Trevor. – Widać ci wszystkie żyły na szyi. To nie koniec świata. Znajdziemy ropę gdzie indziej.

Oszołomiony Todd klapnął na krzesło przed biurkiem Trevora Waverlinga. Nathan siedział obok, na drugim.

– Nie wierzę. Po prostu nie wierzę – powiedział. – Byliśmy jednomyślni, Nathanie. Neal Gordon aż się palił, żeby zbudować na swojej ziemi szyb, bez względu na to, co jego córka znalazła.

– Rzeczywiście tak to wyglądało – zgodził się z nim Nathan.

Kurze łapki wokół oczu Todda stężały. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Chyba nie odwiodeś od tego pana Gordona, Nathanie... ty z tą swoją miłością do stworzonej przez Boga zielonej ziemi?

Fotel Trevora zaskrzypiał, kiedy ten odchylił się na nim do tyłu, splótłszy ręce na jedwabnej kamizelce, co Todd odczytał jako ostrzeżenie, że zanadto zbliżył się do jego szczeniaka.

– Nie, Toddzie, nie zrobiłem tego – rzekł Nathan, nieurazony. – Winny jest temu szacunek, jaki pan Gordon żywi do swojej córki. Ty zaś wydajesz się przekonany, że jej zdjęcia niczego nie dowiodą. Wolno spytać czemu?

– Przecież ci mówiłem. Widziałem tę czaszkę. – Todd westchnął z rezygnacją. – Miałem nadzieję, że zrozumiesz też, co ja czuję, Nathanie. Na pewno wiesz, jak bardzo jestem zawiedziony. – Błagalnie zwrócił się do szefa: – W Windy Bluff jest ropa, proszę pana, miliony baryłek. Ja to wiem i kiedy pomyślę, że zostanie tam przez jakieś prehistoryczne skamieliny, które nie mają znaczenia dla nikogo poza bandą zacofanych paleontologów...

– I Samantha Gordon – odezwał się cicho Nathan.

W oczach Todda pojawił się błysk.

– Na miłość boską, przecież ona wychodzi za mąż! Za Sloana Singletona,

pożeracza damskich serc. To małżeństwo i posiadanie dwóch rancz wielkości dwóch małych państw powinno jej chyba wystarczyć, jak zresztą każdej kobiecie. Samantha mogła się zająć archeologią, ale zrezygnowała ze studiów w seminarium Lasell w Massachusetts.

– Wiesz o tym dlatego, że chodziliście razem do szkoły? – zapytał Trevor.

Todd potaknął, z rozgoryczeniem zaciskając usta.

– Dyrektor wezwał mnie do siebie, żeby pokazać mi list z seminarium, bo miał nadzieję, że uda mi się przemówić Samancie do rozumu. Tylko jeden na dziesięciu kandydatów był przyjmowany. Samantha była świetną uczennicą i mogła zostać wybitnym naukowcem. Byłem zaszokowany, kiedy się dowiedziałem, że postanowiła zostać w domu i pomagać temu staremu pierdzielowi, swojemu ojcu, w prowadzeniu rancza. Jest jego jedyną dziedziczką.

– Żałujesz, że się tak stało – stwierdził Trevor.

– Oczywiście, do cholery, i powiedziałem jej to. A teraz niszczy też moją karierę!

Trevor przysunął się do biurka i sięgnął po jakiś dokument, dając do zrozumienia, że ma już dość tej dyskusji.

– Twoja kariera ucierpiała tylko chwilowo, Toddzie, nic ponadto. Wiem, że jesteś zawiedziony, ale przeczytaj ten raport Daniela Lane’a i zdecyduj, czy warto przyjrzeć się tej działce nad Zatoką Meksykańską.

Todd niechętnie wziął dokument.

– Niech to jasny szlag! – powiedział. – Najchętniej bym Samanthę udusił.

– Och, dajże spokój, trochę wiary – rzucił Trevor. – Jeżeli te zdjęcia dowiodą, że Samantha się myli, pragmatyczna strona jej ojca może wziąć górę i pewnie się odezwie, zanim podejmiemy jakąś wiążącą decyzję. Jak rozumiem, zdjęcia powinny do jutra dojść.

– Tato może mieć rację co do pana Gordona, Toddzie – rzekł Nathan. – Z nim nigdy nic nie wiadomo. – Opisał ojcu scenę, kiedy ranczer w chmurze pyłu przygalopował do Windy Bluff, zły, że nikt mu nie powiedział o przyjeździe Nathana, niczym parowóz dysząc chęcią budowy szybu i nie bacząc na to, że „cmentarzysko starych gnatów” może przy tym ulec zniszczeniu. A już po chwili zmienił zdanie o sto osiemdziesiąt stopni i był absolutnie przeciwny wierceniu na „uświęconej ziemi”.

– A co... jeśli zdjęcia nie przyjdą? – zapytał Todd.

Nathan zerknął na niego z ukosa.

– Niby czemu miałyby nie przyjść?

Todd wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem... Na poczcie często coś ginie.

– Nie bądź takim pesymistą, Toddzie – powiedział Trevor tonem kładącym kres dyskusji. – No, chłopaki, zabierajcie się. Muszę pracować. Nathanie, nie

zapomnij, że po pracy idziemy na trening.

– Już się nie mogę doczekać – odparł jego syn.

Nathan poszedł do pokoju obok, w którym urzędowała Jeanne, mająca w swojej pieczy księgi rachunkowe firmy. Kiedy wszedł, sekretarka podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się zalotnie.

– Przyszedłeś się oświadczyć? – zapytała.

Nathan w odpowiedzi także się uśmiechnął. Lubił Jeanne. Była od niego trzy lata starsza i otwarcie dawała do zrozumienia, że gdyby Nathan był zainteresowany, to ona również. Nathan zdawał sobie sprawę, że tylko droczy się z nim i flirtuje na wesoło. Gdyby potraktował to na poważnie, zabawa by się skończyła, a obojgu się ona podobała.

– Na razie nie stać mnie na pierścionek. – Usiadł naprzeciwko niej. – Chcę cię prosić o przysługę.

– Proś, przystojniaku.

– Chodzi mi o rozliczenie kosztów.

Jeanne przyłożyła dłoń do serca.

– Jestem do usług.

– Chciałbym zobaczyć rozliczenie kosztów Todda Bakera z soboty szesnastego czerwca.

Jeanne uniosła brew.

– Wolno spytać czemu?

– Szkoda na to czasu.

– Cóż, w takim razie... – Sekretarka okręciła się z krzesłem ku drewnianym szafkom, w których trzymała dokumenty.

Niedawno zamówione wysokie szafki były jej domeną. Zarządzała nimi z dumą i wdzięcznością dla pracodawcy, który dostrzegł, jak ważne jest odpowiednie przechowywanie akt. Zanim w 1898 roku pionowe szafki umożliwiające łatwy i szybki dostęp do konkretnych informacji zostały zaprojektowane, dokumenty były trzymane w kopertach i magazynowane w przegródkach. Jeanne otworzyła jedną z szuflad, szybko przejrzała teczeki, kolejną innowację, i w ułamku sekundy wyjęła jedną z nich, oznaczoną nazwiskiem Todda Bakera.

– Proszę bardzo – powiedziała, wręczając teczkę Nathanowi – ale wolałabym, żebyś jej nie wynosił z mojego biura.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł Nathan.

Położył teczkę na stole, gdzie światło było lepsze. Waverling Tools nie broniły się przed pokrywaniem kosztów, nawet tych, które pracownicy ponosili po godzinach. Nathan i Jeanne żartowali między sobą, że Todd występował o zwrot każdej, nawet najmniejszej sumy. „Wpisałby gumę do żucia”, powiedziała kiedyś Jeanne ze śmiechem.

Znalazł to, czego szukał, w zestawieniu kosztów z soboty szesnastego czerwca, kiedy to Todd pojechał pociągiem do Fort Worth, żeby obejrzyć znalezisko Samantha. Załączył bilety w obie strony, ponieważ przy tej okazji przywiózł wiadomość, że w Las Tres Lomas de la Trinidad prawie na pewno znajduje się złożę ropy naftowej. Samantha powiedziała, że odwiozła Todda na stację, skąd miał wrócić do Dallas pociągiem o drugiej po południu, ale jego bilet powrotny był na pociąg odjeżdżający o ósmej wieczorem. Tak jak Nathan podejrzewał, geolog miał aż nadto czasu, żeby wrócić do Windy Bluff, wykopać czaszkę i pozbyć się dowodu na teorię Samantha. Zauważył też brak jednego wydatku. Nie było dowodu nadania aparatu, który Todd rzekomo wysłał osiemnastego czerwca.

W restauracji Worth Samantha wzięła od kelnerki menu, dzieląc się ze Sloanem podejrzeniami, które wzbudziło w niej pytanie zadane przez Nathana na odjeździe, we wtorek. Dwa dni później Sloan spotkał się z nią rano w mieście, gdzie byli umówieni z fotografem, który miał im zrobić zaręczynowe zdjęcie do lokalnej prasy.

– Po co Nathan pytałby mnie, kiedy czaszka znikła, gdyby nie podejrzewał, że Todd miał z tym coś wspólnego? Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że stoi za tym Todd. Na stacji poganiał mnie, żebym nie czekała, tylko jak najszybciej poszła do matki. Zapewne pojechał z powrotem do Windy Bluff i ukraść czaszkę, żeby usunąć dowód, który mógł zaszkodzić jego planom.

– Ale przecież są zdjęcia – przypomniał jej Sloan.

– W tym właśnie rzecz, Sloanie! – powiedziała Samantha z rozpaczą w głosie. – A jeżeli Todd zniszczył aparat?

Sloanowi ze zdenerwowania zadrgały mięśnie szczęki. Miał tak od dzieciństwa, zawsze kiedy czuł się skrępowany... albo winny. Nie zdziwiłby się, gdyby Todd rzeczywiście pozbył się aparatu. Tylko głupiec by tego nie podejrzewał, słysząc, jak Samantha przyjęła jego propozycję, że nada go na pocztę w Dallas. Ale plany Todda pokrzyżowała niespodziewana decyzja Neala, że bez względu na to, co pokażą zdjęcia, w Windy Bluff nie będzie żadnych wierceń. Sloan powinien odetchnąć z ulgą, skoro i czaszka, i zdjęcia przestały mieć znaczenie, tak jednak nie było. Samantha potrzebowała namacalnego dowodu, żeby sprowadzić do Windy Bluff archeologów.

Nadarzyła się odpowiednia chwila, żeby przyznać się do posiadania czaszki i tego, w jaki sposób trafiła w jego ręce. Samantha by mu uwierzyła, gdyby powiedział jej, że odebrał skamielinę Toddowi i zataił wszystko przed nią z obawy, że to znowu poróżni ją z ojcem. Ale na pewno zaczęłyby się zastanawiać, dlaczego nie oddał jej czaszki wcześniej, oszczędzając niepotrzebnych zmartwień, tym bardziej że między nią i ojcem zapanowała zgoda. A może Sloan zatrzymał

skamielinę, żeby Waverling Tools mogły zacząć odwierty tuż przy granicy obu rancz? Mógł też wiedzieć, że zdjęcia nigdy nie nadejdą. Samantha mogłaby nabrać podejrzeń, że Sloan i Todd zawarli sojusz podczas ich krótkiego tête-à-tête, i teraz narzeczony wiedziony poczuciem winy postanowił zwrócić jej czaszkę. Znała trudną sytuację finansową Triple S i musiała wiedzieć, co dla rancza oznaczałby szyb naftowy. Poza tym już następnego dnia po spotkaniu z Toddem Sloan niespodziewanie zerwał z Anne i oświadczył się jej.

Czy Samantha uwierzyłaby, że jest zdolny do takiego oszustwa?

– Sloanie, czyżby to menu było aż takie interesujące? – zapytała Samantha, widząc, jak wpatruje się w listę dań. – Czy ty w ogóle mnie słuchałeś?

– Oczywiście, że słuchałem – zapewnił ją Sloan.

Popatrzył na nią ponad stołem. Nigdy nie wyglądała równie pięknie. Fotograf nie posiadał się z zachwytu i o wiele staranniej, niż wymagała tego zawodowa rzetelność, ustawiał ich na tle letniego krajobrazu, by jak najlepiej wyeksponować złotą suknię Samantha z koronkowym stanikiem, idealnie podkreślającą jej ponętne kobiece kształty. Sloan miał na sobie specjalnie na tę okazję uszyty garnitur, jednak fotograf nie poświęcał mu zbytnej uwagi, jakby był tylko częścią tła.

„Któregoś dnia będziemy mogli robić takie zdjęcia w kolorze”, powiedział fotograf, wyraźnie nieszczęśliwy, że nie uda mu się oddać na portrecie przepięknego odcienia włosów Samantha.

Sloan odłożył menu.

– Tak naprawdę marzę nie o jedzeniu, lecz o tobie. Pragnę cię, Samantha – rzekł. – Jesteśmy w hotelu, a ty wyglądasz tak cudownie. Bardzo chciałbym porwać cię na górę do jakiegoś pokoju, tu i teraz.

Samantha się zarumieniła.

– Co za kusząca myśl. Ale musisz wytrzymać jeszcze dwadzieścia cztery dni.

– Po co tyle czekać?

W oczach Samantha pojawiło się przerażenie zmieszane ze zdziwieniem.

– Och, Sloanie... chyba nie proponujesz...?

– Przecież się pobieramy, Sam. Czemu to odkładać?

– Ale gdzie? Ani u ciebie, ani u nas nie możemy liczyć na prywatność, o domu mojej matki już nawet nie wspominając.

– W następną sobotę, dwudziestego pierwszego, odbywa się w Dallas aukcja koni. Czy w Las Tres Lomas nie ma zapotrzebowania na nowe konie? Na aukcji jest znacznie większy wybór.

– Hmm – powiedziała Samantha w zamyśleniu, bawiąc się wstążką przy kołnierzyku sukni. – A ty jesteś czymś na tej aukcji zainteresowany?

– Jest kilka koni, którym chciałbym się przyjrzeć.

– A jeśli tatuś zechce się do nas przyłączyć?

– I zostawić ranczo bez opieki? O ile znam twojego ojca, to raczej niemożliwe.

Samantha poczuła narastający ucisk w piersi.

– Ale nasze rodziny na pewno będą podejrzewać... że nie oprzemy się pokusie, będąc sam na sam w Dallas.

– Po prostu o niczym im nie powiemy. Po co moje siostry mają wiedzieć, że ty też jedziesz na aukcję? Ja również nie muszę się spowiadać twoim rodzicom. Zgaduję jednak, że ani mojej, ani twojej rodzinie nie będzie przeszkadzać, jeśli potem dowiedzą się, że byliśmy razem, zwłaszcza moim siostram. Ważne jest dla nich tylko to, że się pobieramy. Na pewno już się zastanawiają, jakim cudem wytrzymaliśmy tak długo. Co zaś się tyczy twoich rodziców... wątpię, żeby protestowali, tym bardziej że sami popełnili grzech przed ślubem, jeśli w ogóle można tu mówić o grzechu. Spotkamy się na stacji w piątek i pojedziemy do Dallas pociągiem o drugiej, potem zameldujemy się w Strathmore. Zarezerwuję dwa pokoje, twój na nazwisko Sam Gordon. Będziemy po prostu dwoma ranczerami, którzy wybierają się na aukcję koni. Cóż może być bardziej niewinnego?

– Pokoje będą oczywiście na tym samym piętrze?

– Połączone.

Samancie zakręciło się w głowie.

– Och, Sloanie, ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Najlepiej, gdybyś powiedziała: tak.

– Tak – wyszeptała.

– Jesteś pewna, Samantho?

– Sloanie Singletonie! Pragnę cię od dnia, w którym po raz pierwszy założyłaś długie spodnie. Oczywiście, że jestem pewna.

Sloan sięgnął ręką przez stół i ujął jej obie dłonie.

– W takim razie muszę się postarać, żebyś nie była zawiedziona.

Postanowił, że poczeka na odpowiedniejszy moment, żeby zwrócić czaszkę. Może w ogóle nie będzie musiał tego robić. Niedawne odkrycie skamielin w Utah zwróciło uwagę Muzeum Historii Naturalnej Carnegie i wystarczyło im tylko słowo znalazcy. Może Samancie też się poszczęści. Całym sercem uwielbiał tę siedzącą naprzeciwko niego dziewczynę, w dzieciństwie najbliższą przyjaciółkę, za chwilę kochankę i żonę, i nie zaryzykuje niczego, by zaczęła w to wątpić.

Rozdział 57

Daniel Lane wyszedł z zakładu fotograficznego Morris Keaton Brownie w centrum Dallas z uśmiechem odsłaniającym ostre siekacze. Nie wiedział, czy zachwalany jako ekspert w odzyskiwaniu zniszczonych zdjęć właściciel zakładu, który pracował na tańszym i mniej skomplikowanym sprzęcie, zdoła uratować zalany film z kodaka Samantha Gordon. Daniel obawiał się, że będzie musiał wysłać aparat do firmy w Nowym Jorku i na wyniki czekać miesiąc, ekspert jednak okazał się wart swojej reputacji.

– Niezbyt interesujący materiał – powiedział mężczyzna, odwracając fotografie. – To różne ujęcia zasuszonej głowy jakiegoś zwierzęcia i chudego gościa na byku.

– Cóż, to zależy od tego, kto je ogląda – odparł Daniel. – Bardzo dziękuję. Właśnie uratował pan czyjeś życie.

Co nie do końca jest prawdą, pomyślał Daniel, wychodząc z zakładu. Zdjęcia raczej zniszczą, niż uratują życie Todda Bakera, a przynajmniej zniszczą mu karierę. Todd obiecał wysłać aparat Samantha do Nowego Jorku. Zamiast tego wrzucił go do Trinity, z oczywistych powodów. To, co zostało uwiecznione na zdjęciach, tylko potwierdzało, że dziewczyna miała rację, podejrzewając istnienie prehistorycznego cmentarzyska w miejscu, w którym młody geolog chciał za wszelką cenę prowadzić odwierty. Todd i Sloan mieli taki sam motyw, przemilczając prawdę, co oznaczało, że mogą być w zмовie. Przez cały czas Daniel łamał sobie głowę, w jaki sposób Sloan wszedł w posiadanie czaszki. Raczej nie wyglądał na człowieka, który kopałby w ziemi w poszukiwaniu skamielin, nawet po to, żeby zrobić Samancie przyjemność. Czaszkę musiał mu dać Todd. Geolog dowiedział się o znalezisku Samantha w tym samym dniu, w którym został uwieczniony na zdjęciu, jak dosiada byka w Windy Bluff. Daniel nie potrafił wykombinować, kiedy on i Sloan się dogadali, ale ranczer oświadczył się Samancie następnego dnia po tym, jak Billie June podejrziała go wnoszącego ukradkiem czaszkę do kuchni, o czym świadczyła data na zdjęciach.

No, no, no...

Ojciec młodej Gordonówny wycofał się z obietnicy wydzierżawienia ziemi pod odwierty, przez co kradzież czaszki, której dopuścił się Todd, straciła na znaczeniu. Plany geologa legły w gruzach. Z krążących po biurze plotek wynikało, że już nieważne było, co pokażą zdjęcia; ranczer i tak nie zgodzi się na budowę szybu w miejscu, które jego córka uznała za wyjątkowe, a zdjęcia tylko potwierdzały jej przypuszczenia. Z Daniela nie był żaden archeolog, lecz skamielina, utrwalona na zdjęciach pod każdym możliwym kątem, bez wątplenia wyglądała jak fragment czaszki dinozaura.

Daniel musi się jakoś dowiedzieć, czy Sloan Singleton wciąż ma czaszkę, co może nastąpić już jutro, w sobotę. Billie June przyjedzie do Dallas pierwszym pociągiem z Fort Worth, żeby zdążyć jeszcze przed śniadaniem. Kiedy się dowiedział, że zamierza przenieść się do Dallas pod pretekstem studiowania muzyki w Akademii Sarah B. Morrison, w pierwszej chwili się przeraził. W pracy układało mu się wyśmienicie. Miał wygodne mieszkanie, coraz większą kolekcję ubrań, porządnego konia i dwukółkę, którą kupił używaną, ale doprowadził do takiego stanu, że wyglądała jak nowa. Dzięki wyższym zarobkom i dziesięciu procentom zysku ze sprzedaży jego wynalazków mógł regularnie odkładać sporą sumkę. Celowo się nie śpieszył, żył oszczędnie, wyrabiał sobie pozycję w Waverling Tools, uczył się inwestowania i poznawał Dallas, nie chcąc zbyt pochopnie rozwijać skrzydeł. Kiedy się już urządzi i zdomowi, zacznie żyć z większym rozmachem, co dotyczyło też kobiet.

A teraz to nieśpieszne, starannie zaplanowane życie zakłóci przyjazd Billie June, która zamieszkując w Dallas, będzie oczekiwała codziennych spotkań albo przynajmniej jakichś wieści, co zupełnie się nie mieściło w jego zamierzeniach.

Daniel musiał jednak przyznać, że po powrocie z ich randki – w co drugą sobotę – na której spotykali się w hotelu, gdzie mieli stałą rezerwację, tęsknił za Billie June. Zauważył, że jeszcze przez kilka dni o niej myślał. Na przykład dostrzegł coś na wystawie sklepowej i wyobrażał sobie, że spodobałoby się to Billie June. Odtwarzał w pamięci jej dowcip i poczucie humoru, rzeczy, o których rozmawiali, jej mistrzostwo w uprawianiu miłości, i uświadamiał sobie, że zerka na kalendarz, licząc dni do następnego spotkania. Tak bardzo polubił jej towarzystwo, że chwilami zapominał, dlaczego tak naprawdę go szukał. Jego żądza zemsty osłabła. W końcu Sloan Singleton był bratem Billie June i chociaż wiele ich różniło, kochała go. Byli rodziną.

Lecz zmowa Sloana Singletona z Toddem na nowo rozbudziła w nim pragnienie wyrównania rachunków z Wielkim Panem Ważniakiem. Żałował, że musi się w tym celu posłużyć Billie June. Lubił ją i z lękiem myślał o dniu, w którym nie zjawi się na spotkaniu, nie odpowie na list od niej, nie odbierze telefonu. Kiedy już dostanie od niej wszystko, czego potrzebuje, zostawi ją i wykona swój plan. Nie przewidział tylko, że Billie June stanie na progu jego mieszkania.

Samantha usłyszała szcęk metalowej pokrywy skrzynki na listy i otworzyła drzwi, zanim listonosz w niebiesko-szarym uniformie zdążył wrzucić pocztę. Dwie czarne gwiazdki na jego rękawie potwierdzały, że pracuje w Departamencie Poczty Stanów Zjednoczonych od dziesięciu lat. Przez cały ten czas dostarczał przesyłki na ulicę, przy której mieścił się dom jej matki, i zdążył już stać się przyjacielem rodziny. Dzisiaj był piątek – dzień, w którym listonosz zmieniał trasę i zamiast po południu rozwoził pocztę rano, co było błogosławieństwem dla Samanthy.

– Nie ma dla mnie żadnej paczki, panie Mason? – zapytała.

Listonosz podał jej dzisiejszą korespondencję i pokręcił głową.

– Spodziewa się pani paczki, panno Gordon?

– Już od dawna – powiedziała Samantha. Dzisiaj był dwudziesty lipca. Todd wysłał jej kodaka ponad miesiąc temu, a przynajmniej tak twierdził, i powinna już dostać wywołane zdjęcia.

Mężczyzna z żalem spojrział na nią spod daszka regulaminowej czapki wojskowej, która stała się popularna za sprawą Regimentu Kawalerii Ochotniczej Teddy’ego Roosevelta.

– Przykro mi, panienko. Może przyjdzie w poniedziałek.

– Wątpię, panie Mason, ale dziękuję.

Samantha zamknęła drzwi i poczuła mdłości. Nagle zrozumiała. Jej zdjęcia nigdy nie ujrzą światła dziennego. Do Las Tres Lomas nie przyjadą naukowcy z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku ani z żadnego innego uniwersyteckiego wydziału archeologii chętnego na oddelegowanie i opłacenie ekipy na kilka lat. Mogła zapomnieć o wsparciu Muzeum Historii Naturalnej Peabody w Yale, ponieważ Todd ani słowem nie wspomniał, że skontaktował się z pracującym tam kolegą. Sama też nie była w stanie sfinansować wykopalisk, nawet gdyby znalazła ekspertów, których mogłaby zatrudnić. I co nie mniej ważne, żadne zdjęcia nie usprawiedliwią tego, że jej ojciec dla niej zrezygnował z szukania ropy w Windy Bluff.

Do holu zeszła Mildred, żeby wziąć pocztę i zanieść ją do pokoju Estelle na piętrze.

– W życiu nie widziałam takiej ponury miny – powiedziała. – Co się stało?

– Zdradził mnie przyjaciel.

– Niewiele rzeczy rani tak głęboko. Można temu jakoś zaradzić?

– Owszem – odparła Samantha.

Nie powinna wyciągać pochopnych wniosków i osądzać Todda niesprawiedliwie, ale nie potrafiła pozbyć się podejrzeń, że jej kodak nigdy nie opuścił Dallas. Mogła się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Musi wprost zapytać o to Todda. Nieważne, co powie; jego oczy zdradzą wszystko. Kiedy próbował kłamać, uciekał wzrokiem i ruszał uszami w charakterystyczny sposób, o czym przekonała się Ginny, już jako jego żona. „Wiem, kiedy nie jest ze mną do końca szczery – powiedziała, chichocząc. – Ale nigdy nie kłamał w żadnej ważnej sprawie”.

Cóż, Samantha się o tym przekona. Nie zadzwoni do Rochester w Nowym Jorku, płacąc gigantyczny rachunek za rozmowę zamiejscową, tylko po to, żeby porozmawiać z jakimś urzędnikiem, który każe jej czekać w nieskończoność, żeby sprawdzić to, o co prosi, w dokumentach, albo wręcz się rozłączy. Zresztą połączenia zamiejscowe nie zawsze się udawały. Nie, pozna odpowiedź szybciej

i pewniej – wprost od Todda Bakera.

– Mildred, powiedz, proszę, Jimmy’emu, żeby zaprzął powóz – rzekła Samantha. – Chcę, żeby zawiózł mnie na stację. Do Dallas pojedę wcześniejszym pociągiem, o jedenastej, i... czy mogłabyś coś jeszcze dla mnie zrobić?

– Wystarczy poprosić, panienko Sam.

Samantha musiała przekazać Sloanowi, że nie spotka się z nim na stacji o drugiej, jak planowali. Woląla nie przekazywać tej wiadomości przez telefon, ponieważ ani Billie June, ani Millie May nie wiedziały, że Samantha również wybiera się na aukcję i ma się spotkać na dworcu z ich bratem. Musiała więc wysłać Mildred z liścikiem, żeby doręczyła go Sloanowi, zanim on wsiądzie do pociągu. Spotkają się w hotelu. Jadąc późniejszym pociągiem, Samantha mogłaby nie zdążyć do Waverling Tools przed końcem pracy. Woląla spotkać się z Toddem, gdy będzie jeszcze siedział za biurkiem, niż w sobotę u niego w domu, w obecności Ginny. Jej druhna i tak wiedziała już, że stosunki między jej mężem i przyjaciółką zdecydowanie ochłody. „Na pewno rozumiesz, Samantho, jak bardzo Todd jest zawiedziony, że twój ojciec cofnął zgodę na wiercenia? – zapytała Ginny z chłodem w głosie. – Todd miał szansę dowieść swojej zawodowej wiedzy, gdyby się okazało, że na ranczu jest ropa, a teraz grunt mu się usunął spod stóp...”

Mildred, słysząc wyjaśnienie Samanthy, nie posiadała się ze zdziwienia.

– Pan Sloan także jedzie do Dallas pociągiem o drugiej?

– Tak – odparła Samantha, patrząc gospodyni prosto w oczy. – Ale moja matka nie może się o tym dowiedzieć.

– I nie dowie się, przynajmniej nie ode mnie. Mam nadzieję, że spakowała panienka tę piękną koszulę nocną, którą dostała na urodziny.

Samantha zniosła pocztę do pokoju matki, która adresowała właśnie zaproszenia na ślub, i poinformowała ją, że jedzie do Dallas wcześniejszym pociągiem, żeby porozmawiać na osobności z Toddem w jego biurze, zanim wyjdzie z pracy. W sobotę nie zdąży, bo będzie przecież na aukcji.

– Chcę się z nim pogodzić przed ślubem – powiedziała.

– Doskonały pomysł – poparła ją matka, ledwie świadoma napiętych stosunków między córką i młodym geologiem. Samantha i Neal raczej nie opowiadali Estelle o sprawach związanych z ranczem, a ona nie protestowała, ponieważ w zasadzie interesowało ją tylko, żeby Las Tres Lomas przetrwało.

Samantha dorzuciła do jednej z walizek kilka drobiazków i zeszła z bagażem do holu. Piękna, nieużywana jeszcze koszula nocna leżała między innymi rzeczami i Samantha pomyślała, że powinna się raczej cieszyć z nadchodzącej nocy, niż złościć z powodu konfrontacji z Toddem. Była taka szczęśliwa, że pojedą razem ze Sloanem pociągiem, tylko we dwoje. Na ranczu trudno było znaleźć chwilę i miejsce na odrobinę prywatności. Okazywało się to wręcz niemożliwe przy natłoku pracy i obowiązków, nieustającej obecności jego sióstr, jej ojca, służby

i parobków. Ale musiała wyjaśnić sprawę z aparatem, zanim będzie mogła spocząć w objęciach Sloana. Wtedy pozna już prawdę o zdjęciach i podejmie decyzję, czy poświęci dla ojca tyle samo, ile on poświęcił dla niej. Kiedy się dowie, że dowody na jej znalezisko przepadły, nie będzie się sprzeciwiać wierceniom w Windy Bluff.

Rozdział 58

Samantha stanęła przed recepcjonistką w Waverling Tools i przedstawiła się. Na mosiężnej tabliczce na biurku widniało wygrawerowane nazwisko AGATHA BEARDSLEY.

– Przyszłam do pana Todda Bakera – powiedziała Samantha. – Byłabym wdzięczna, gdyby mnie pani nie anonsowała. Przyjaźnimy się i chciałam mu zrobić niespodziankę.

Panna Beardsley, w średnim wieku, nienagannie i bardzo schludnie ubrana w granatową sukienkę z białym kołnierzykiem, pracowała jeszcze dla ojca Trevora Waverlinga na długo przed pojawieniem się centrali telefonicznej, teraz ustawionej za kontuarem. Kochała się potajemnie w Edwinie i nigdy do końca nie otrząsnęła się po śmierci Jordana Waverlinga. Znała nazwisko Gordon i wiedziała, że miało związek z zawodowym rozczarowaniem, jakie spotkało młodego geologa. Zawahała się na chwilę, uznała jednak, że może panna Gordon przyjechała z gałązką oliwną.

– Obawiam się, że pan Trevor Waverling nie będzie zadowolony, ale zamiast dzwonić, zaprowadzę panią do gabinetu pana Bakera – zaproponowała.

– Doskonały pomysł – rzekła Samantha.

Ruszyła korytarzem za wysoką, wyprostowaną sylwetką panny Beardsley, czując unoszący się w powietrzu zapach świeżych gardenii stojących na biurku recepcjonistki. Skąd, na Boga, wzięli gardenie w połowie lipca? zdziwiła się. Śnieżnobiała kompozycja wylewająca się z zielonego wazonu dodawała elegancji uporządkowanej, idealnie czystej i ładnie umeblowanej recepcji. Już wcześniej Samantha była pod wrażeniem fasady budynku, ale nie spodziewała się tak wyrafinowanego wystroju biura w obiekcie przemysłowym. Przechodząc obok wielkiego, wystawnego gabinetu, ze zdumieniem zauważyła stojącego w drzwiach mężczyznę, w którym rozpoznała przedstawionego jej wiosną Trevora Waverlinga, ojca Nathana Hollowaya. Gdy go mijała, oderwał wzrok od dokumentów, które trzymał w dłoni. Ich spojrzenia przelotnie się spotkały. Samanthę uderzyło wspomnienie niespotykanego koloru jego oczu, tak podobnych do oczu syna. Skinęła głową, ciekawa, czy ją rozpoznał, po czym poszła za recepcjonistką do gabinetu Todda Bakera.

Trevor w zamyśleniu wyszedł za próg i patrzył za idącą korytarzem Samanthą. Nosila letnią suknię podróżną i mały kapelusik, który nie zakrywał całkiem jej włosów. Przyglądał się, jak przystanęła za recepcjonistką, która zapukała do drzwi gabinetu Todda. Jego uwagę przykuł dziwnie znajomy kształt nosa i podbródka Samanthy. Rozpoznał ją. Po prawdzie wspomnienie o dziewczynie nigdy go nie opuściło od tamtej chwili, kiedy zostali sobie

przedstawieni przy okazji wykładu z paleontologii. Sam nie wiedział dlaczego. Była zbyt młoda, by zainteresować go seksualnie. Wolał dojrzałe kobiety, a ona nie była chyba starsza od Nathana. Jej włosy i cera przypominały mu Millicent Barrows, zanim stała się Millicent Holloway, jednak jej postawa i wdzieczna sylwetka, sposób, w jaki trzymała głowę, na myśl przywodziły kogoś innego, nie potrafił tylko skojarzyć kogo.

Todd chwilę zwlekał z otwarciem drzwi – czasem zachowywał się jak arogancki mały kutas, pomyślał Trevor – po chwili jednak rozległ się jego zdumiony okrzyk.

– Sam! Co ty tu robisz?

Trevor też był tego ciekawy. Sądził, że jej znajomość z Toddem się skończyła. Właśnie zamierzał wyjść z biura, żeby razem z Nathanem wrócić wcześniej do domu, kiedy przypomniał sobie o raporcie, który chciał ze sobą wziąć. Gdyby nie to, minąłby się z dziewczyną. Jego matka wydawała wieczorem proszoną kolację, której jedynym celem było przedstawienie jej wnuka młodej kobiecie, według niej idealnie się nadającej, by zostać panią Nathanową Holloway, z czym Trevor się zgadzał. Po namyśle wrócił do swojego biurka i usiadł, wspominając Millicent.

Seks z nią był najlepszy, jakiego w życiu doświadczył. Wiele razy ostrzegał, że kochanka może zająć w ciążę, ona jednak się tym nie przejmowała. „Chcę mieć z tobą dzieci, Trevorze – mówiła – i chcę, żeby były podobne do ciebie”.

Uznał to pragnienie za dziwne, ponieważ Millicent była przede wszystkim zakochana we własnej urodzie. Próbował zapanować nad pożądaniem, jakie do niej czuł, ponieważ nie miał zamiaru żenić się z tak płytką kobietą, jednak okazało się to zbyt trudne. Aż wreszcie nadszedł czas, że musiał wyjechać. Nie winił jej, że go znienawidziła. Wierzyła, że jest w nim zakochana, i Trevor nabrał przekonania, że rzeczywiście tak było. Jedynie miłość może przerodzić się w nienawiść tak silną, jaką teraz Millicent do niego żywiła.

Gdyby wiedział, że wyjeżdżając, zostawia ją ciężarną, ich życie potoczyłoby się inaczej. Ożeniłby się z nią i pozwolił, aby ich związek zakończył się w nieunikniony sposób. Dowiedziawszy się o istnieniu Nathana, Trevor obserwował przede wszystkim Leona, ojczyma chłopca, podejrzewając, że ten będzie go źle traktował. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to Millicent emocjonalnie wyrzeknie się syna. Nathan był dzieckiem Trevora Waverlinga, miłości jej życia. Jakim głupcem był Trevor, nie pojmując, że miłość kogoś tak narcystycznego jak Millicent może zmienić się w nienawiść, i gdyby nie miłość ojczyma, Nathan nie zaznałby ciepła. Jego syn powiedział, że Samantha Gordon jest miłą, inteligentną młodą kobietą, wyjątkowo czule i delikatnie odnoszącą się do Rebekki. W żadnym razie nie było to podobne do Millicent. Nathan od razu poczuł do Samanthi sympatię.

Rozmyślania Trevora przerwało pukanie we framugę drzwi. Obrócił się na krześle, odrywając wzrok od rzeki Trinity, i ujrzał stojącego w progu syna.

– Gotowy do wyjścia? – zapytał Nathan. – Boże, dopomóż, gdybyśmy się spóźnili na przyjęcie babci.

– U Todda jest Samantha Gordon – odparł Trevor. – Chyba zajrzę, żeby się dowiedzieć, z czym przyjechała.

– Wielkie nieba, Samantho! – wykrzyknął Todd. – Co za miła niespodzianka! Wejdz!

Samantha spojrzała przez ramię na recepcjonistkę i skinęła głową. Kobieta uniosła brwi, zdziwiona, że się ją odprawia, ale przyjęła to z zawodową godnością i pomaszerowała z powrotem do siebie. Samantha przenikliwie wpatrywała się w Todda.

– Nie dostałam aparatu.

– Och, hm, niedługo przyjdzie, jestem tego pewien.

– Ja jestem pewna, że nie przyjdzie. – Samantha z miejsca się zorientowała, jaka jest prawda, widząc uciekający wzrok Todda i drgnienie jego uszu. – Toddzie, nie muszę ci chyba mówić, jak te zdjęcia są ważne dla nauki. Gdzie jest aparat?

Todd cofnął się przed jej spojrzeniem.

– Dlaczego... dlaczego uważasz, że coś na ten temat wiem?

– Ponieważ nigdy go nie wysłałeś. Gdzie jest mój kodak?

– Samantho, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Szczerze.

– Twoje oczy... to, jak ci drgnęły uszy, powiedziało mi, że kłamiesz.

– Moje... co? – Todd spojrzał ponad jej ramieniem i szerzej otworzył usta. –

O mój Boże!

Samantha obróciła się, żeby zobaczyć, co go tak poruszyło. Do pokoju wszedł Trevor Waverling.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał. – Może będę mógł jakoś pomóc?

– Być może – rzekła Samantha.

Todd milczał.

Pełnym wdzięku gestem Trevor zaprosił, żeby Samantha usiadła na krześle przed biurkiem Todda, a Todd osunął się bezwładnie na swoje. Jeszcze zanim Samantha skończyła tłumaczyć, w czym rzecz, czemu Todd gwałtownie zaprzeczał, Trevor wiedział, że jego geolog kłamie. Nathan już wcześniej miał wątpliwości co do losu aparatu, jak się okazało, słusznie. Todd tak rozpaczliwie pragnął, by na ziemi Gordonów stanął szyb naftowy, że przekonany o autentyczności artefaktu zniszczył dowody na jego istnienie. Być może jest również odpowiedzialny za zniknięcie czaszki.

Trevor był rozdarty, zastanawiając się nad rozwiązaniem tej sprawy. W pierwszym odruchu chciał zwolnić Todda za postawienie firmy w niezręcznej sytuacji, ale na jakiej podstawie? Jedynym dowodem było oskarżenie Samanthy,

z którym jego pracownik się nie zgadzał. Zresztą jego knowania na nic się zdały, ponieważ Neal Gordon osobiście położył kres marzeniom geologa o wyrobieniu sobie reputacji dzięki odkryciu złóż ropy w Las Tres Lomas, co już było dostateczną karą dla Todda. I czy Trevor naprawdę chciał się pozbyć dyplomowanego geologa, ciężko pracującego, na dodatek świeżo żonatego, czy też raczej pozwolić, żeby dostał nauczkę na samym początku kariery, zwłaszcza gdy szef wyraźnie da mu do zrozumienia, że odtąd będzie miał na niego baczenie? Aparat przepadł, czaszka również zaginęła. Co się stało, już się nie odstanie.

– Spróbujmy dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki i zadzwońmy do Eastman Kodak Company, żeby sprawdzić, kiedy aparat został wysłany z Nowego Jorku – postanowił Trevor.

– I czy w ogóle tam dotarł – dodała Samantha, zwracając się przede wszystkim do Todda.

– Jaki podałeś adres zwrotny? – zapytał Trevor.

Jabłko Adama na szyi Todda podskoczyło nerwowo. Trevor zauważył też, że geolog pobladł jak ściana.

– Adres firmy.

– Polecę panie Beardsley, żeby natychmiast się tym zajęła. Panno Gordon, zapraszam do swojego gabinetu. Będzie tam pani wygodniej, każę też podać napoje. Toddzie, masz nie wychodzić, dopóki wszystkiego nie wyjaśnimy.

– Tak, proszę pana – powiedział Todd, jeszcze bardziej kuląc się na krześle.

Samantha wstała i bez słowa wyszła za Trevorem z pokoju Todda, na odchodnym dostrzegając ślubne zdjęcie swojej przyszłej druhny, na którym uśmiechała się, stojąc obok męża.

Trevor pomógł jej usadowić się w jednym z przepastnych foteli w swoim gabinecie i zostawiwszy ją w towarzystwie Nathana, poszedł wydać instrukcje recepcjonistce i poprosić Jeanne o podanie mrożonej herbaty i ciasteczek. Wrócił, ale nie przerwał rozmowy toczącej się między jego synem i śliczną córką jednego z najbardziej prominentnych ranczerów w Fort Worth. Zwrócił uwagę na jej dłonie, kształt palców i delikatne, smukłe nadgarstki. Samantha tymczasem opowiadała Nathanowi, że przyjechała do Dallas na aukcję koni, na noc zaś zatrzyma się w hotelu Strathmore. Uprzejmie zapytała o Rebeccę i Zaka, Nathan zaś odwzajemnił się pytaniem o przygotowania do ślubu.

– Jeśli moje podejrzenia wobec Todda okażą się prawdziwe, stracę druhnę – westchnęła Samantha. – Jest żoną Todda.

– Wielka szkoda, panno Gordon, że nie ma pani sióstr, które mogłyby ją zastąpić – wtrącił Trevor uprzejmie. – Jak rozumiem, jest pani jedynaczką.

– Zgadza się, proszę pana, albo przynajmniej nic mi o żadnych siostrach nie wiadomo. Zostałam adoptowana, kiedy miałam cztery dni.

– Doprawdy? Nie mam w zwyczaju pytać damy o wiek, ale jeśli wolno mi

zgadywać, powiedziałbym, że ma pani dwadzieścia lat, jak mój syn.

Samantha skinęła głową.

– Dobrze pan zgaduje. W marcu skończyłam dwadzieścia lat.

– Ja też – powiedział Nathan. – Dwudziestego trzeciego marca. – Posłał Trevorowi cierpkie spojrzenie. – Nigdy tego dnia nie zapomnę.

– Mam urodziny dokładnie tego samego dnia! – wykrzyknęła Samantha. Uśmiechnęła się do Nathana. – Co za zbieg okoliczności.

– Zaiste – powiedział z namysłem Trevor, coraz uważniej przyglądając się Samancie. W uszach dudniła mu krew. Oświeciło go. Znajome cechy, które zauważył, przypominały mu jego matkę. – Proszę mi wybaczyć ciekawość, panno Gordon – powiedział, nie pozwalając jej zadać pytania, z którym miała się właśnie zwrócić do Nathana – ale czy zna pani miejsce swojego urodzenia?

Pytanie było zaskakująco osobiste i Samantha zareagowała – jak należało oczekiwać – ze zdumieniem.

– Cóż, ja... nie – zająknęła się Samantha. – Moi rodzice adopcyjni nigdy ze mną o tym nie rozmawiali. – Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Chociaż niewiele mi o tym wiadomo, chyba urodziłam się gdzieś na północy, na drugim brzegu Rzeki Czerwonej.

– A... skąd pani o tym wie, jeśli wolno spytać?

Jego ciekawość – i jej dobre maniery – zachęciły Samanthę do odpowiedzi.

– Mam powody wierzyć, że doktor, który mnie przywiózł, praktykował w Marietcie, na Terytorium Oklahomy, blisko granicy.

Trevor kiwnął głową.

– Wiem, gdzie to jest. Zna pani nazwisko tego doktora?

– Tak... – odpowiedziała Samantha, nieco oszołomiona tymi pytaniami. – Doktor Donald Tolman.

Przeszkodziła im panna Beardsley, która przyszła z informacją, że Eastman Kodak Company w Rochester nie otrzymało żadnej przesyłki z aparatem, nadanej z Waverling Tools w Dallas w Teksasie.

– Przyślij do mnie Todda – polecił Trevor.

Zjawił się Todd, zdenerwowany i blady, obrzucając Samanthę spojrzeniem, którym dawał do zrozumienia, że nigdy nie wybaczy jej rzuconych przez nią oskarżeń.

– Obawiam się, Toddzie, że mam nie najlepsze wieści – rzekł Trevor i skinął głową recepcjonistce. – Proszę mu powiedzieć, panno Beardsley.

Todd słuchał, coraz bardziej blednąc, aż wreszcie pod wpływem gniewu policzki mu się zaróżowiły.

– Cóż, nie moja wina, że paczka nie dotarła. Wysłałem ten cholerny aparat i mogę to udowodnić! – powiedział ze złością.

Jego oświadczenie spotkało się z pełną niedowierzania ciszą. Todd

gorączkowo zaczął grzebać w kieszeni na piersi i w końcu dobył z niej żółty pocztowy dowód nadania. Z miną człowieka głęboko dotkniętego podał karteczkę Trevorowi. Pracodawca ją przeczytał, po czym podniósł zdziwiony wzrok na geologa.

– Czemu, co licha ciężkiego, nie pokazałeś nam tego wcześniej?

– Dopiero to znalazłem, proszę pana. Nie sądziłem, że muszę zachować dowód nadania i gdzieś mi się zawieruszył. Ja... bałem się, że jeśli powiem, że go mam, a potem nie uda mi się go znaleźć, wypadnę w pana oczach jeszcze gorzej.

– Czemu nie dodałeś opłaty pocztowej do rozliczenia kosztów? – odezwał się Nathan.

Todd spojrział na niego, mrugając.

– Sprawdzałeś moje rozliczenie kosztów?

Trevor klepnął geologa w ramię.

– Nie zmieniamy tematu. Toddzie, należą ci się nasze przeprosiny. Ten dowód nadania wyjaśnia tajemnicę, co, mam nadzieję, położy kres nieporozumieniu, do jakiego doszło między tobą i panną Gordon.

Samantha wstała z krzesła.

– Chciałabym w to wierzyć – rzekła, a jej nieruchoma twarz i wyzywające spojrzenie wskazywały, że absolutnie nie jest o tym przekonana.

Choć zraniony, Todd łaskawie przyjął przeprosiny.

– W takim razie wybaczcie mi państwo, ale muszę wracać do pracy – powiedział.

Idąc do siebie, Todd z trudem się powstrzymał, żeby nie podskoczyć z radości. Udało się. Z dużą satysfakcją myślał o ich zawstydzonych i skruszonych minach. Właśnie dlatego zwlekał z pokazaniem kwitka pocztowego do czasu, aż będą absolutnie przekonani o jego winie. Od początku wiedział, że nie uniknie pytań o zaginiony aparat, i zawniczył się na to przygotował. W poniedziałek osiemnastego czerwca wręczył urzędnikowi na poczcie paczkę z kodakiem z adresem zwrotnym firmy. Uiszczył opłatę w wysokości osiemdziesięciu centów i wyszedł. Kilka minut później wrócił i podszedł do urzędnika w okienku. „Bardzo przepraszam – powiedział – ale zmieniłem zdanie. Czy mogę dostać z powrotem moją paczkę?”

Następnie schował do kieszeni osiemdziesiąt centów i dowód nadania, który go oczyści, kiedy w sposób nieunikniony spotka się z oskarżeniem. Żałował tylko, że nie wystawił firmie rachunku na osiemdziesiąt centów. To byłby ostateczny dowód jego niewinności, ale w przeciwieństwie do innych pracowników, których potrafił wymienić z nazwiska, on nie domagał się od firmy zwrotu pieniędzy, których nie wydał.

W gabinecie Trevora Samantha zwróciła się do gospodarza.

– Panie Waverling, czy mogę poprosić pana sekretarkę, żeby wezwała dla

mnie powóz, którym mogłabym wrócić do hotelu?

– Droga panno Gordon, po tym wszystkim, co z naszej winy panią spotkało, nie mogę pozwolić, by wracała pani dorożką. Nathan i ja z radością odwieziemy panią do hotelu.

Rozdział 59

– Nad czym tak dumasz, tato? – zapytał Nathan, gdy powóz, kołysząc się, ruszył sprzed hotelu Strathmore.

– Nad niczym i nad wszystkim – odrzekł Trevor.

– Uwielbiasz udzielać enigmatycznych odpowiedzi, prawda?

– Próbuję się od tego odzwycząić, zwłaszcza wobec ciebie. Cieszysz się, że poznasz pannę Charlottę Weatherspoon?

– Niespecjalnie. Jest ładna?

– Sam będziesz musiał to ocenić, ale mogę powiedzieć, że to młoda wartościowa panna.

Ach, pomyślał Nathan. Mógł się domyślić. W typie Jane Eyre, miła i grzeczna, ale brzydka jak noc.

– Na Boga, niech cię to nie zniechęca. Chcę przez to powiedzieć, że to młoda kobieta z charakterem. Gdyby było inaczej, twoja babcia nie zaprosiłaby jej do swojego stołu. Jej syn może się żenić z damami o wątpliwej reputacji, ale wnukowi na pewno na to nie pozwoli.

Nathan poczuł, jak budzi się w nim bunt. Babcia chciała dobrze, ale było arogancją z jej strony uważać, że obowiązek znalezienia mu partnerki spoczywa na rodzinie. Musi jasno powiedzieć, że kiedy w grę wchodzi jego życie prywatne, sam będzie sobie szukał towarzystwa, co się zaś tyczy przyszłej żony, wybór należy wyłącznie do niego. Dzisiaj wieczorem jeszcze pozwoli babci zabawić się w swatkę, ale będzie to ostatni raz, kiedy daje się postawić w takiej sytuacji.

Stół w jadalni zastawiony był najlepszą chińską porcelaną. Srebro lśniło, kryształki błyszcząły, adamaszkowy obrus połyskiwał matowo, chociaż nie zapalono jeszcze licznych świec w żyrandolach i świecznikach. Wazony z pastelowymi różami rzucały świetlne refleksy, a zapach kwiatów unosił się w całym pokoju. Patrząc na cały ten splendor, Nathan nie omieszkał zauważyć:

– Czy przyjmujemy króla Anglii, babciu?

– Nie, kochany chłopcze, dziewczynę, która jak mam nadzieję, zostanie królową twojego serca.

Nathan poprzysiągł sobie w duchu, że nie pozwoli się przymuszać do związku, na który nie ma ochoty, co trwało do chwili, gdy do salonu weszła Charlotte Weatherspoon z rodzicami. Była wysoka i smukła, uderzająco piękna, o ciemnych włosach i brązowych oczach, i najwyraźniej w ogóle nim niezainteresowana. Miała ponurą minę zakładnika wbrew swojej woli zmuszonego do służenia obcemu rządowi. Nathan przyjął ten sam wyraz twarzy, jednak nie z obojętności, a dlatego, że odebrało mu mowę. Wstrząśnięty, że dziewczyna w niczym nie przypomina Jane Eyre, ujął jej dłoń i zdołał wygłosić słowa

powitania, nie jękając się przy tym.

– Witam panią, panno Weatherspoon. Miło mi panią poznać.

– Skąd pan wie? – zapytała, a jej oczy zdradzały znudzenie. – Dopiero zostaliśmy sobie przedstawieni.

Irracjonalnie dotknięty do żywego, Nathan odpalił:

– Zapewne stąd, że tego się spodziewałem, ale najwyraźniej było to przedwczesne.

Zdziwiona Charlotte uniosła brew. Nathan od razu się zorientował, że nie przywykła, by odpłacać jej pięknym za nadobne.

– Szczerze wątpię, żeby okazało się takie – powiedziała.

Nathan skłonił się lekko, dając do zrozumienia, że nie zamierza protestować.

– Zlituj się, Charlotte – ofuknęła dziewczynę jej matka, a Mavis tylko się lekko uśmiechnęła do swojego kieliszka z sherry.

Trevor nie znosił długich podróży – konno, powozem czy pociągiem, bez różnicy. Ale podobnie jak wtedy, gdy w marcu pojechał po swojego syna, tak i tym razem wyjazd wart był jego cennego czasu i niewygody. Następnego dnia, w sobotę, wczesnym rankiem kupił bilet pierwszej klasy na pociąg do Gainesville. Spakował się wieczorem poprzedniego dnia. Wstał przed świtem i jak najciszej wymknął się z domu, zostawiając matce liścik z wiadomością, że wyjeżdża w interesach i wróci za kilka dni. Benjy zdołał zaprząć powóz, nie budząc przy tym całego domu, i czekał już na swojego pana przed frontową bramą.

Na stacji spotkała Trevora niespodzianka. Odesłał Benjy'ego i stał z walizką na peronie, kiedy nieco dalej zauważył Daniela Lane'a, który najwyraźniej zjawił się, by kogoś odebrać z pociągu. Trevor nie miał ochoty wdawać się z pracownikiem w rozmowę o tak wczesnej porze, jednak ciekawość wzięła górę. Schował się za latarnią, by nie być widocznym, i ujrzał, jak drobna, elegancko ubrana kobieta wysiada z wagonu i rzuca się Danielowi w objęcia. Odeszli, trzymając się za ręce, a Daniel wymachiwał jej jedyną walizką, jakby lada chwila miał zatańczyć. Trevor usłyszał ich radosny śmiech.

Hmm, pomyślał, ledwie jednak zajął swoje miejsce w przedziale pierwszej klasy, szybko zapomniał o Danielu i jego przyjaciółce, skupiając się na tym, czego być może dowie się w Marietcie na Terytorium Oklahomy.

Sloan pierwszy otworzył oczy. Łagodnie odsunął ramię, które Samantha na niego zarzuciła, i po cichu wyślizgnął się z łóżka, cały czas obserwując, czy ukochana się poruszy. Ona jednak nawet nie drgnęła. Zakładając szlafrok, z trudem się powstrzymał, żeby nie poprawić kosmyka włosów opadającego jej na oczy, by móc się przyglądać, jak śpi. Wyglądała tak ufnie i bezbrannie. Niewinna i niczego niepodejrzewająca. Gdyby nie zzerające go poczucie winy, wróciłby do łóżka i obudził ją pocałunkami. Zamiast tego jednak wyszedł na balkon, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem, zanim słońce wzejdzie i wypali całą jego świeżość.

Potrzebował samotności i czasu, by się zastanowić, jak powinien dalej postąpić. Czy nie było już za późno, żeby powiedzieć o czaszce schowanej w jego szafie? Czy doszedł do punktu, z którego nie ma odwrotu?

Wczoraj, kiedy przyjechała Samantha, był już w hotelu. Zameldował się dosłownie chwilę wcześniej i trzymał w ręce klucz, gdy przed portyk zajechał elegancki powóz i wysiadła z niego Samantha, której towarzyszyło dwóch dżentelmenów. Obaj wsiedli z powrotem do powozu, jak tylko jego przyszłą żonę zajął się odzwierny. Spojrzenia Samantha i Sloana się spotkały, gdy boy hotelowy prowadził ją na górę do jej pokoju, drzwiami połączonego z pokojem Sloana. Powód, dla którego przyjechała do Dallas wcześniejszym pociągiem, zdradziła mu dopiero, kiedy skończyli to, dla czego wynajęli pokoje w hotelu.

– Nie wierzę, że Todd wysłał aparat, chociaż miał ten kwit z poczty – rzekła. – Nathan też w to nie wierzy.

– A Trevor Waverling?

– Trudno powiedzieć. Niełatwo rozszyfrować, co naprawdę się kryje za tą jego uprzejmością i wdziękiem.

– Owszem, zauważyłem, jak cholernie jest przystojny – stwierdził Sloan. – Widziałem też, że patrzy na ciebie nie do końca tak, jak powinien mężczyzna w jego wieku.

Samantha uniosła brew.

– Czyżbyśmy byli zazdrośni? I niech tak zostanie. To takie słodkie.

Kiedy opowiadała mu o zdradzie Todda, Sloan miał kolejną – i tym razem ostatnią – możliwość, by zapewnić ją, że nie wszystko jeszcze stracone. W swojej szafie miał dla niej niespodziankę. Ale wtedy ona powiedziała:

– Cóż, po długim i bolesnym namyśle zdecydowałam, że pozwolę tatusiowi zając się Windy Bluff.

Sloan nie był pewny, czy dobrze zrozumiał.

– O czym ty mówisz, Samantho?

– O tym, że widziałam jego twarz w dniu, w którym oznajmił Nathanowi Hollowayowi, że nie będzie żadnych odwiertów na moim stanowisku archeologicznym. Widziałam, że serce mu niemal pęka, że aby uszczęśliwić córkę, rezygnuje z fortuny, podobnie jak moje pękało, kiedy zastanawiałam się nad twoim pytaniem: Jak bym się czuła, gdyby dotknęła nas kolejna klęska i pochłonęła wszystkie nasze oszczędności? Uznałam, że jakoś przeżyję, jeżeli świat się nie dowie o naukowym skarbie, który być może jest pogrzebany w Windy Bluff, nie przeżyłabym natomiast poczucia winy ani żalu tatusia, gdyby Las Tres Lomas czy Triple S groziła katastrofa finansowa, przed którą mogłaby nas uchronić ropa. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Poza tym ziemia należy do tatusia, nie do mnie. Przesiąkła potem jego rodziny, nie mojej. Nie mam prawa narzucać mu swojej woli, kiedy w grę wchodzi to, co zostało mu powierzone i czego przysiągł chronić.

Wystarczy mi świadomość, że byłby gotów to dla mnie poświęcić.

Sloan słuchał tego, wiedząc, ile ją ta decyzja kosztowała. Sam znał się tylko na hodowli bydła i zdawał sobie sprawę z tego, jak ciężkie jest życie na ranczu. Wiele razy, jeżdżąc konno, widział kości jakichś stworzeń, wypalone na słońcu i rozpadające się w pył, i nigdy nawet przez chwilę nie pomyślał, skąd się tam wzięły. Ale Samantha... ona nie odrywała wzroku od ziemi, wypatrując szczątków różniących się od tych, jakie zwykle można znaleźć na prerii. Chciał być pewny, że dobrze zrozumiał.

– A dokładnie o czym mówisz, Sam? – zapytał.

– Miałam swoją szansę. Teraz niech tatuś ma swoją. Nie będę się sprzeciwiać, żeby Waverling Tools postawiły szyb w Windy Bluff. Ziemia tam i tak nie nadaje się do wypasania, a pan Waverling i jego syn doskonale wiedzą o mojej awersji do zniszczeń, do jakich prowadzą poszukiwania ropy, i mają to na uwadze. Uszanują resztę rancza. Pan Waverling ma się skontaktować z tatusiem w poniedziałek rano. Powiem mu, żeby był w Triple S o dziesiątej i osobiście odebrał telefon.

Słońce się wznosiło, coraz bardziej niemiłosiernie paląc miasto. Przed południem skwar osiągnie ze czterdzieści stopni. Sloan wciągnął do płuc kolejny oczyszczający haust powietrza. Po co mówić teraz Samancie o czaszce? Podjęła już decyzję i dobrze, że tak się stało. Być może Neal mimo wszystko nie przyjmie propozycji Trevora Waverlinga i nie zmieni zdania o wierceniach w Windy Bluff. Wtedy Samantha w ogóle nie będzie musiała się dowiedzieć o czaszce. Sloan zniesie nieczyste sumienie, ale nie mógłby żyć, gdyby ukochana kobieta w niego zwątpiła.

Drzwi na balkon się otworzyły i weszła zaspana Samantha w luźno zawiązanym szlafroku, nawet nie pamiętając już o urodzinowej koszuli nocnej. Sloan poczuł zalewającą go falę gwałtownego pożądania.

– Dzień dobry – powiedział. – Jak się ma moja dziewczyna, czy raczej... – uśmiechnął się – ...moja kobieta?

– Moja kobieta, słowo daję! – roześmiała się Samantha. – A jak się miewa mój mężczyzna?

– Chodź do mnie, to ci pokażę.

– Jest idealne – powiedziała Billie June, po raz ostatni obrzucając spojrzeniem mieszkanie, trzecie na liście ogłoszeń DO WYNAJĘCIA W „Dallas Herald”, które obejrzeli z Danielem. – Wezmę je.

Daniel powachlował się dłonią. Z powodu zamkniętych okien w pokoju panowała duchota. Billie June zdjęła zakiet. Pod pachami i między łopatkami miała niewielkie plamy potu, ale jej batystowa bluzka z marszczonym kołnierzykiem wyglądała tak świeżo, jakby dopiero co ją włożyła. To się Danielowi w niej podobało. Zawsze wyglądała schludnie i świeżo, publicznie chłodna i opanowana,

za to w sypialni... Niezły był z niej numerek!

Kiedy otwierała szafy i wyciągała szuflady, wachając i sprawdzając ich wnętrza, Daniel się jej przyglądał. Z przerażeniem myślał o tym dniu, kiedy razem będą oglądać mieszkania do wynajęcia, ponieważ bał się, że czymś się zdradzi, jak niechętnie myśli o tym, że ona zamieszka tu na stałe i zaczną żyć na kocią łapę. Nie chciała kwatery w pensjonacie dla pań, z wszystkimi jego zakazami i obostrzeniami. Chciała mieć własne mieszkanie, w którym poczuje się swobodnie i w którym będzie mogła spędzać czas wedle własnego upodobania. Bratu oczywiście obiecała, że znajdzie lokum, które zdoła utrzymać z pieniędzy wypłacanych z jej funduszu powierniczego, jednak prędzej zamieszka w schronisku dla bezdomnych niż w kurniku pełnym rozgdakanych kwok.

– Czy twój brat nie zorientuje się, że nie mieszkasz w pensjonacie, kiedy dostanie rachunek? – zapytał Daniel.

– Nie będzie mu się chciało co miesiąc wypisywać czeku na pokrycie moich wydatków – odparła Billie June. – Otworzy w swoim banku rachunek, z którego będę podejmować pieniądze na opłacenie rachunków.

– Naprawdę zamierzasz studiować muzykę w Akademii Sarah B. Morrison?

– Oczywiście, że tak. W tej kwestii bym go nie oszukała.

Daniel patrzył, jak Billie June porusza się po pokoju. Jej drobna figurka była doskonała w każdym calu, poczynając od małych, sterczących piersi, na okrągłych pośladkach i kształtnych nogach kończąc. Dzień był zbyt gorący na seks, ale Daniel stwierdził, że pragnie wziąć ją do łóżka, chociaż wcześniej planował pozbyć się jej najszybciej, jak to możliwe. Już jej powiedział, że nie może zamieszkać u niego. Nie było prądu, bo jakiś idiota rozwalił generator. Pękła też rura, więc nie było bieżącej wody. Z powodu wilgoci niektóre okna napęczniały i nie dało się ich otworzyć, toteż w całym domu panowało gorąco nie do wytrzymania.

– Nic nie szkodzi – odparła. – Zamieszkać w Strathmore i jakoś cię tam przemycę. W hotelu znają Singletonów. Zawsze się tam zatrzymujemy na czas pobytu w Dallas.

I tak, zamiast marzyć, by wyjechała, cieszył się, że zostanie aż do niedzielnego popołudnia, kiedy pociągiem o czwartej pojedzie z powrotem do Fort Worth. Słyszał, że w Strathmore mają piękną restaurację, do której zabierze Billie June na wykwitną kolację z szampanem, a potem pójdą do klubu, gdzie będą mogli potańczyć. Cieszył się na jej towarzystwo. Znajdzie odpowiedni moment, żeby zapytać ją o czaszkę, chociaż będzie musiał zrobić to ostrożnie. Billie June nigdy więcej nie wspomniała o skamielinie. Czy zdawała sobie sprawę, jak ważna jest dla Samantha, i że zginęła? Czy wiedziała, że Samantha niepokoi się o los swojego aparatu i jakie ma on dla niej znaczenie? Może Billie June sama podejmie ten temat? Czy chroniła brata, ponieważ była wystarczająco inteligentna, by dowiedziawszy się o zmartwieniu Samantha i szybkich oświadczeniach, dodać dwa

do dwóch i dojść do jedyne go słusznego wniosku tłumaczącego, dlaczego czaszka znalazła się w posiadaniu Sloana? Mimo lojalności Billie June w stosunku do rodziny Daniel jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, by popierała kradzież i oszustwo. Miała bardzo silne poczucie dobra i zła i Wielki Pan Ważniak może znaleźć się w poważnych tarapatach, jeśli jego siostra kiedykolwiek dowie się o znaczeniu czaszki.

Nie, Daniel mógł się założyć, że Samantha nie zwierzy się Billie June ze swoich zmartwień z tego prostego powodu, że Billie June sypiała z Danielem Lane'em, pracownikiem Waverling Tools, co czyni z niego wroga, nie będzie też chciała, żeby jej zmartwienia stały się tematem łózkowych pogaduszek, a później rozmów w sali konferencyjnej.

Rozdział 60

Trevor dotarł do Gainesville krótko po dwunastej w południe, zarezerwował pokój w Harvey House i nie tracąc czasu na jedzenie, wynajął konia. Jadąc stępą, dwie godziny później dotarł do Rzeki Czerwonej, wyznaczającej granicę między Teksasem i Oklahomą. Szczęśliwie sobotni ruch na przeprawie był niewielki i bez czekania dostał się na drugi brzeg. Ruszył do Marietty, oceniając, że pokona krótki dystans w pół godziny i wróci do miasta wczesnym popołudniem. Zatrzymał się przed niewielkim hotelem o nazwie Wayfarer Inn i zapytał kierownika o adres niejakiego doktora Donalda Tolmana.

Mężczyzna nie krył zdziwienia.

– Jest pan drugą osobą, która w ciągu kilku ostatnich miesięcy pyta o doktora. Niestety, muszę panu powiedzieć to samo co jej. Doktorek już nie żyje. Zmarło mu się w okolicy pierwszego kwietnia.

– Jej? – zaciekawiał się Trevor.

– Miłej młodej damie. Mamy już nowego doktora, jeśli życzy pan sobie z nim rozmawiać. Przejął praktykę po doktorze Tolmanie.

Trevor poczuł, jak serce zabiło mu mocniej.

– Pamięta pan nazwisko tej miłej młodej damy?

Kierownik pokręcił głową.

– Nie podała go.

– Może będzie w księdze gości?

– Nie wzięła pokoju. Zostawiła swoją służącą w lobby, pojechała do siedziby doktora Tolmana, potem wróciła i razem ze służącą udała się na prom.

– Jak wyglądała? Miła młoda dama, nie służąca.

Jego pytanie spotkało się z wyrachowanym spojrzeniem kierownika.

– Nie pamiętam.

Trevor wyjął z portfela banknot o wysokim nominale.

– Może to odświeży pańską pamięć?

Kierownik szybkim ruchem sięgnął po banknot, Trevor jednak odsunął rękę.

– Ładna, rudawa, uprzejma – powiedział mężczyzna.

– Dowiedział się pan, skąd była?

– Nie.

Trevor podał mu pieniądze.

– Gdzie znajdę lecznicę zmarłego doktora Tolmana?

Dziesięć minut później Trevor wszedł do wiejskiego domu z bali, w którym zaspokajano medyczne potrzeby okolicznych mieszkańców. Przedstawił się przysadzistej kobiecie o życzliwej twarzy, siedzącej za biurkiem w recepcji.

– Być może zjawiłem się z niewykonalną misją – powiedział w najbardziej

czarujący sposób, na jaki go było stać – ale próbuję znaleźć informację o dziewczynce, która przyszła na świat dwudziestego trzeciego marca tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku, którą przekazano doktorowi Tolmanowi, by oddał ją do adopcji. Może być moją krewną. Wiem, że doktor już nie żyje, ale może macie tu dokument poświadczający narodziny dziecka i związane z tym okoliczności?

Kobieta wyglądała jak rażona piorunem. Trevor doskonale ją rozumiał. Niecodziennie ktoś tak elegancko ubrany jak on zjawia się w lecznicy.

– A niech mnie – powiedziała. – Jest pan już drugą osobą, która pyta o dziewczynkę urodzoną mniej więcej w tym czasie.

Serce Trevora znowu zabiło szybciej.

– Ładna młoda kobieta o rudawych włosach. Pamięta pani jej nazwisko i datę, kiedy się zjawiała?

– Nie spotkałam jej. Tamtego dnia byłam w Ardmore z wizytą u siostrzeńca, ale tak, to chyba ta sama kobieta, o której powiedziała mi córka doktora Tolmana. Dopóki nie umarł, pracowałam u niego jako akuszerka. Eleanor przyjechała, żeby pozalać sprawę ojca. To było w kwietniu. Ale chyba nie wymieniła nazwiska tej młodej damy.

– Byłbym wdzięczny, gdyby przypomniała sobie pani wszystko, każde słowo – rzekł Trevor. – Jak rozumiem, córka doktora Tolmana tutaj nie mieszka.

Akuszerka pokręciła głową.

– W Oklahoma City. Eleanor powiedziała mi, że ta młoda kobieta szukała informacji o swoich biologicznych rodzicach. Była przekonana, że musiała przyjść na świat w tej okolicy albo po drugiej stronie rzeki, w Teksasie. W czasie, który ją interesował, nie byłam akuszerką doktora Tolmana. Razem z Eleanor przejrzały jego akta, ale żadna data narodzin dziewczynek z tamtego okresu nie pasowała do jej. – Spojrzenie kobiety nabrało czujności, jakby się zastanawiała, czy nie zdradziła zbyt wiele. – Mówił pan, że jest jej krewnym?

– Być może ojcem.

Akuszerka przyłożyła dłoń do szyi.

– O mój Boże.

– Czy... Eleanor mówiła, jak wyglądała ta młoda dama?

– Tylko że była bardzo ładna, miła w obejściu i miała niesamowity kolor włosów. Nie rude, nie złociste, lecz mieszaninę obu – odparła zdenerwowana akuszerka. – Czy ten opis coś panu przypomina?

– A i owszem – przytaknął Trevor. – A czy nazwisko Samantha Gordon przypomina coś pani?

– Obawiam się, że nie – rzekła kobieta ze smutkiem.

– Czy Eleanor dowiedziała się, skąd pochodzi ta młoda kobieta, gdzie mieszka?

– Zapytałam ją o to samo i powiedziała, że chyba w Fort Worth, w Teksasie. Dziewczyna zostawiła tamtejszy adres do korespondencji na wypadek, gdyby Eleanor natknęła się na jakieś dodatkowe informacje. Ale wątpię, by tak się stało.

Trevor westchnął.

– Czy coś jeszcze sobie pani przypomina?

– Cóż, tak. – Akuszerka wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać. – Eleanor powiedziała, że ta młoda dama... naprawdę żałuję, że nie mogę panu potwierdzić jej nazwiska... wyglądała na wielce zawiedzioną. Eleanor zrobiło się jej żal. Taka śliczna i elegancko ubrana, ale wydawała się zagubiona. Przykro mi, że nie mogę bardziej pomóc, proszę pana, mam nadzieję jednak, że się odnajdziecie.

Po raz kolejny Trevor wyciągnął portfel i wyjął z niego kilka banknotów, które wrzucił do stojącej na biurku puszeki podpisanej DLA SIEROT CHICKASAW.

– Pomogła mi pani bardziej, niż się pani zdaje – odparł.

Kiedy dotarł do stajni w Gainesville, żeby oddać konia, słońce nie zaczęło jeszcze zachodzić. Był zmęczony, spocony i głodny. W Harvey House, zanim udał się do swojego pokoju, żeby wziąć kąpiel, zapytał o adres państwa Hollowayów.

– Ach, tak, nasi nowi sąsiedzi – powiedział recepcjonista. – Kupili dom po Billingach. Miły człowiek, ten pan Holloway.

– A pani Holloway? – zapytał Trevor.

Recepcjonista zwlekał z odpowiedzią.

– Śliczna jak z obrazka – rzekł w końcu – ale... trochę kaśliwa. Proszę wybaczyć, jeśli to rodzina.

– Nie, i nie ma za co przeproszać.

Po kąpeli i sytym obiedzie w restauracji Trevor napisał liścik i zapytał recepcjonistę, czy ktoś może go dostarczyć. Oczywiście za opłatą. Natychmiast znalazł się chłopiec w wieku szkolnym o imieniu Jeeper, który w soboty sprzątał hotelowe toalety i zamiatał podłogi. Odstawił mop i wiadro i pędem ruszył najpierw ulicą, potem przez miejski park do alei biegnącej wzdłuż parku. Tam nacisnął nowomodny dzwonek u drzwi domu należącego do Hollowayów. Człowiek, któremu miał wręczyć liścik – „tylko jemu, do rąk własnych” – otworzył drzwi, z serwetką zatkniętą za kołnierzyk. Przeczytał liścik, zdjął serwetkę i sięgnął po czapkę wiszącą na wieszaku w holu.

– Leonie! – rozległ się z jadalni kobiecy głos. – Kto to?

– Nikt – odpowiedział, mrugając przepraszająco do posłańca. Wyszedł z domu, zamknął za sobą drzwi i podążył za chłopcem do hotelu.

Trevor, który na ławce przed hotelem czekał na powrót Jeepera, dostrzegłszy podążającego za chłopcem Leona, zrobił zdziwioną minę. W liściku prosił o spotkanie następnego ranka w hotelowym lobby. Teraz, widząc Leona, jak

pośpiesznie zmierza do hotelu, wstał, aby go powitać. Wręczył Jeeperowi dwudziestopięciocentówkę i wyciągnął dłoń do Leona.

– Chodzi o Nathana? – wysapał zdyszany Leon. – Nic mu nie jest?

– Ma się świetnie – uspokoił go Trevor. – Nie wie o moim przyjeździe.

– W takim razie po co pan przyjechał?

– Może przejdziemy do baru, panie Holloway? – zaproponował Trevor. – Zanim odpowiem, obu nam przyda się coś na wzmocnienie.

W ciągu dnia zamawiali posiłki do pokoju, ale gdy zapadł wieczór, Sloan i Samantha ubrali się, by zjeść kolację w hotelowej restauracji. Zejdą oddzielnie, najpierw Sloan, by zająć stolik, Samantha chwilę później, i kiedy szef sali będzie ją prowadził, Sloan Singleton, stary przyjaciel rodziny przebywający w mieście, by wziąć udział w aukcji koni, zauważy ją, wstanie od stolika mile zaskoczony i zaproponuje, by do niego dołączyła.

Poprosił o stolik przy oknie, z którego widać było rozległy portyk. Nie spodziewał się spotkać nikogo znajomego, jednak od chwili przyjazdu czujnie obserwował, czy w hotelu nie zatrzymał się nikt, kogo mógłby znać. Ci, którzy przyjeżdżali na aukcję, zwykle korzystali z kwater położonych bliżej miejsca, gdzie aukcja się odbywała.

Wyglądając przez okno, pomyślał, że ma zwidy, gdy ujrzał, jak odzwierny pomaga wysiąść z dwukółki Billie June, jego siostrze. Sloan był tak zaskoczony, że dopiero po chwili rozpoznał woźnicę, który podszedł do Billie June, by podać jej ramię, pojazd i konia zostawiając pod opieką stajennego. Odzyskując jasność umysłu, Sloan zerwał się od stołu, przewracając przy okazji szklanekę z wodą, i cisnął na stół serwetkę.

Podbiegł do niego kelner.

– Panie Singleton? Czy coś się stało?

– Owszem, do diabła ciężkiego! – warknął Sloan i ruszył do wyjścia. Wysoki i groźny stanął dokładnie na wprost drzwi obrotowych wiodących do hotelu, z których po chwili wyłonili się Billie June i Daniel Lane.

– O Boże – jęknęła Billie June.

Leon pociągnął łyk szkockiej z wodą. Pił wyłącznie piwo, a i to rzadko i nigdy po kolacji, Trevor Waverling miał jednak rację. Musiał się wzmocnić. W milczeniu, z niewzruszoną twarzą słuchał, jak Trevor wyjaśniał mu, skąd wzięły się u niego podejrzenia, że jest ojcem Samantha Gordon, Millicent zaś jej matką. Przede wszystkim, mówił Trevor, Millicent to Millicent, co wiele tłumaczyło. Urodziła dziewczynkę i chłopca, bliźniaki. Syna zatrzymała, córkę oddała do adopcji. Tak bardzo nienawidziła tego, który ją zapłodnił, że gotowa była pozbyć się obojga dzieci, lecz musiała jedno zatrzymać, ponieważ wszyscy wiedzieli o jej ciąży.

Leon czuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Trevor w niczym się nie

pomylił. Gdyby Leon miał taki zamiar, mógłby jedynie przyznać, że Millicent rzeczywiście wydała na świat chłopca i dziewczynkę. On sam też był przekonany, że Samantha Gordon była jej córką, o czym Millicent szczęśliwie nie miała pojęcia i Leon chciał, żeby tak zostało. Jednak nie zamierzał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć teorii wysnutej przez właściciela Waverling Tools. Samantha Gordon miała już kochających rodziców i dom. Trevor sam był sobie winien, kiedy odszedł od Millicent i zostawił ją ciężarną, chociaż prawdopodobnie nie miał o tym pojęcia. To bez znaczenia, czy ciąża była wynikiem gwałtu, czy też Millicent dobrowolnie oddała się młodemu Waverlingowi. Leon dał żonie słowo, że nigdy nie wyjawia, że urodziła dziecko, którego się pozbyła. Poza tym wiedział, co znaczy utrata chłopca, którego kocha się jak własnego syna – i to właśnie przez tego człowieka. Trevor Waverling chciał w ten sam sposób zranić Neala Gordona, mężczyznę, który nie mógł kochać rodzonej córki bardziej od tej, którą przyjął pod swój dach. Trevor Waverling nie musiał wiedzieć, jak rzeczywiście było. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Leon żałował jedynie, że zabierze do grobu prawdę, pozbawiając Nathana siostry, z którą dzielił łono matki.

– Rozumiem, że proszę o bardzo wiele, panie Holloway – powiedział Trevor, gdy Leon wciąż milczał – ale jako ojciec na pewno pan rozumie, dlaczego muszę to wiedzieć. Czy mój syn i Samantha Gordon są bliźniętami?

Leon natychmiast wyczuł, że ma przed sobą człowieka, którego spostrzegawczości niewiele mogło umknąć. Nawet mrugnięciem oka nie wolno mu się zdradzić. Później nie będzie się mógł nadziwić, jak mu się to udało, ale spokojnie odwzajemnił ostre jak brzytwa spojrzenie Trevora Waverlinga.

– Proszę pana, czy to pański pierwszy drink? – zapytał.

Pytanie zbiło Trevora z tropu. Pochylił się do przodu, a jego potężne barki napierały na materiał kosztownego surduta.

– Zapewniam pana, że nie jestem pijany, a pan nie odpowiedział na moje pytanie.

– Moje prawo – odparł Leon.

Powinien wstać i wyjść, ale co będzie, jeśli Trevor Waverling zwróci się do Millicent, a ona da się ponieść swojej nienawiści? Z czystej złości może mu rzucić prawdę w twarz. Leon musi temu zapobiec, nieważne jak. Skrupulatnie nabił fajkę tytoniem, ubił go palcem wskazującym, po czym włożywszy ją do ust, zapalił mocną mieszankę, sporządzaną przez starego wodza Komanczów, który nią handlował. Chwilę pykał.

– Millicent rodziła pod moją nieobecność – rzucił niedbale, gdy tytoń zaczął się jarzyć. – Byłem w Oklahoma City. Kiedy wróciłem, Nathan już był na świecie.

– Doktor Tolman był przy porodzie.

Leon z całej siły zagryzł fajkę, żeby nie pokazać zdziwienia, skąd Trevor Waverling wie o doktorze Tolmanie.

– Nie – odparł. – Była tylko akuszerka.

– Jak się nazywała?

– Nawet gdybym wiedział, na pewno do tego czasu już bym zapomniał. To było dawno temu.

– Czy to możliwe, że zabrała ze sobą drugie z bliźniąt?

Leon wyjął fajkę z ust.

– Jakie drugie z bliźniąt? Jeśli Millicent była przy nadziei z bliźniętami, na pewno o tym nie wiedziała. Przeżyłaby nie lada szok. Wiem tylko, że nigdy słowem nie wspomniała, że spodziewa się bliźniąt albo że urodziła bliźnięta. Przecież ja też miałbym coś do powiedzenia.

Trevor wpatrywał się w niego czujnie. Zza dymu z fajki Leon spokojnie odwzajemniał spojrzenie.

– Cóż, chyba by pan zauważył, gdyby akuszerka odeszła z dzieckiem.

– Nie potrafię powiedzieć. Kiedy się zjawiłem, ona siedziała już w powozie, gotowa do odjazdu. Millicent karmiła Nathana.

Trevor Waverling oparł się o krzesło i obciągnął poły surduta – jak się Leon domyślał, żeby nie stracić cierpliwości.

– Mam powody przypuszczać, że akuszerce towarzyszył lekarz z Marietty, niejaki Donald Tolman.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – rzekł Leon.

– A co panu wiadomo? – zirytował się Trevor. – Kto odbierał następne porody Millicent? – Nachylił się nad stołem, nad prawie nietkniętą szkocką. Wokół szklanki utworzyła się wilgotna plama.

Leon na nowo zapalił fajkę i dmuchnął dymem w stronę rozmówcy.

– Niejaki doktor Bledsoe. Przyjechał do Gainesville latem tego roku, kiedy urodził się mój syn.

– Akuszerka była sama, nie towarzyszył jej żaden lekarz?

– Nie potrafię powiedzieć.

Wzdychając z rezygnacją, Trevor napił się szkockiej.

– Niezbyt interesowały pana referencje akuszerki, która przyjmowała na świat Nathana. Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Pańskie prawo.

Trevor wstał i wyciągnął rękę.

– Cóż, dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, panie Holloway. Mam nadzieję, że nie oderwałem pana od kolacji.

– Owszem, oderwał pan. – Leon rozprostował nogi. – Ale zdążyłem się najeść. – Wystukał popiół z fajki i schował ją do kieszeni na piersi, po czym uściśnął wyciągniętą dłoń Trevora. – Cieszę się, że mogłem służyć pomocą. Bezpiecznej podróży do domu. – Strzepnął swoją płócienną czapkę.

– Czy nie ma pan córki, panie Waverling? – zapytał niespodziewanie, kiedy

już miał się odwrócić do wyjścia.

– Cóż, tak – odparł Trevor, na którego zawiedzionej twarzy odmalowała się nie radość, lecz zaskoczenie.

– Ma na imię Rebecca, prawda? Nathan nam mówił. Bardzo się do swojej przyrodniej siostry przywiązał. Mówi, że jest śliczna jak z obrazka.

Przekaz był jasny: „Masz już jedną córkę. Ciesz się tym”. Leon odszedł, kiwając ręką na pożegnanie.

– Proszę od nas pozdrowić Nathana. Niech nie zapomina pisać – rzucił.

Przez kilka sekund Sloan, Billie June i Daniel Lane stali jak skamieniali. Pierwsza otrząsnęła się Billie June.

– Sloanie, to nie tak, jak myślisz – powiedziała, unosząc ręce w obronnym geście. – Daniel był tak uprzejmy, by towarzyszyć mi w poszukiwaniu odpowiedniego lokum na czas moich studiów.

– Co on robi w Dallas? – zapytał Sloan.

– Pracuję tutaj – odparł Daniel.

Sloan go zignorował.

– I co oboje robicie w tym hotelu?

Znowu odpowiedział Daniel.

– Billie June przyszła wynająć tu pokój na noc. A może wołałby pan, żeby skorzystała z mojej gościny?

Sloan zrobił krok w stronę Daniela, ten się jednak nie cofnął. W tym samym momencie Billie June wskazała na schody.

– No proszę, Samantha jest tutaj! Co ona robi w tym hotelu?

– Przyganiał kocioł garnkowi – bąknął Daniel kącikiem ust, nie spuszczać wzroku ze Sloana.

Sloan zwrócił się do siostry.

– Przyjechaliśmy do miasta na aukcję koni.

– Jasne, jasne. A ja jestem małpką kataryniarza – rzucił Daniel.

Samantha, która zauważyła ich ze schodów, pośpiesznie do nich podeszła, z uśmiechem drżącym jak migająca lampa.

– Witajcie – powiedziała. – Billie June, co za miła niespodzianka. Tak się cieszę, że cię widzę. Pana też, panie Lane. Czy podoba się panu nowa praca?

– Bardzo, panno Gordon. Dziękuję, że pani zapytała. Całkowicie mi odpowiada.

– Miło mi to słyszeć. Billie June, co cię tu przywiodło?

– Szukam kwatery. Przez jeden semestr będę studiować muzykę w Akademii Sarah B. Morrison. Daniel jeździł ze mną po mieście, kiedy oglądałam oferty zamieszczone w ogłoszeniach. – Zerknęła prowokująco na Sloana. – Być może Dallas tak mi się spodoba, że po waszym ślubie przeniosę się tu na stałe.

– O tym porozmawiamy na osobności, Billie June – wycedził Sloan przez

zaciśnięte zęby.

Samantha pośpiesznie się wtrąciła.

– Właśnie mieliśmy usiąść do kolacji. Może do nas dołączycie, jeśli rozmowa nie wyda się wam zbyt nudna. Chcemy ze Sloanem porównać nasze notatki z aukcji.

Z zaciętym wzrokiem i zaciśniętymi szczękami Sloan zwrócił się do Daniela, który wpatrywał się w niego z taką samą miną.

– Zaproszenie dotyczy wyłącznie Billie June, Lane.

– Panie Singleton, chciałbym z panem zamienić słówko na osobności – powiedział Daniel, nawet nie mrugnawszy okiem.

– Nie ma mi pan nic do powiedzenia.

– Wręcz przeciwnie, mam, i to niejedno.

– Sloanie, proszę – odezwała się błagalnie Billie June.

Z ponurą rezygnacją Sloan poszedł za Danielem ku palmom w kącie, gdzie mogli bez przeszkód porozmawiać.

– O co chodzi? – zapytał Sloan.

– Wiem o czaszce.

– Słucham?

– Tej skamielinie, którą skradł pan z odkrytego przez pańską narzeczoną cmentarzyska dinozaurów, żeby pozbyć się dowodu potwierdzającego jej przypuszczenie. Dokładnie tej, Wielki Panie Ważniaku. Billie June widziała, jak zanoszą ją pan do swojego pokoju, jednak nie miała pojęcia, jak bardzo jest ważna, a przynajmniej tak mi się wydaje, i lepiej dla pana, żeby nigdy się tego nie dowiedziała.

– Do czego zmierzasz, Lane?

– Och, chyba pan wie.

– Niestety, musisz mi to wyjaśnić.

– Wiem, dlaczego zabrał pan tę czaszkę.

– Nic pan nie wie.

– Ależ wiem. Podobnie jak dowie się panna Gordon, jeśli jej powiem. Nietrudno przyjdzie jej wszystko zrozumieć. Razem z Toddem Bakerem spiskowaliście, żeby zniszczyć dowody, które powstrzymałyby jej ojca przed wierceniami w ziemi, w której według Todda znajduje się złoża ropy. Pan zabrał czaszkę, Todd zniszczył aparat panny Gordon. – Daniel pstryknął palcami. – Wszystko, co stało na drodze do wierceń, znikło ot tak, po prostu. Potem zerwał pan z panną Rutherford, żeby się oświadczyć pannie Gordon. Nie dziwota, że nie czekał pan z podarowaniem jej pierścionka do czasu, aż pojawi się ropa. To byłoby aż nadto oczywiste. – Sloan zachowywał kamienne milczenie. – I co? Nie zaprzeczy pan? – zapytał Daniel.

Młody ranczer jeszcze mocniej zacisnął szczęki.

– Czego chcesz, Lane?

– Tego jeszcze nie wiem na pewno, ale póki co niech pan pamięta, że mogę pana pogrążyć w oczach panny Gordon, jej ojca i pańskich sióstr. Nie ma znaczenia, że stary Gordon zmienił zdanie co do poszukiwań ropy, żeby spełnić życzenie córki. W tym względzie czaszka i zdjęcia przestały być ważne, ale nadal są ważne, jeśli chodzi o pana. Tego właśnie chcę: żeby pan pamiętał. I niech się pan trzyma z daleka ode mnie i Billie June. Jest dorosłą kobietą i może robić, co się jej podoba. Nie potrzebuje, żeby młodszy braciszek wtrącał się w jej życie.

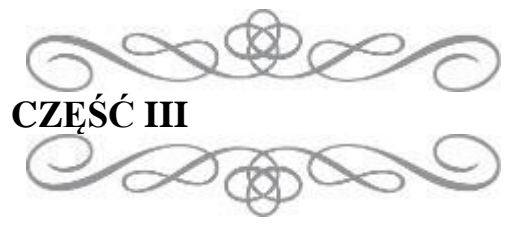
– Jej pieniądze są w funduszu powierniczym, którym ja zarządzam i mogę dysponować wedle własnego uznania – powiedział Sloan. – Ranczo jest zapisane wyłącznie na mnie i żadna z moich sióstr nie może sobie rościć praw choćby do jednego źdźbła trawy. Więc, szanowny panie, jeśli chce się pan ożenić z Billie June i zagarnąć część Triple S, lepiej niech pan sobie poszuka okazji gdzie indziej.

Daniel zmrużył oczy. Wyglądały jak łebki od szpilek.

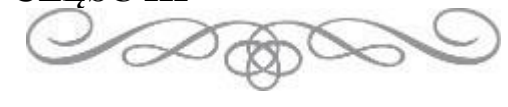
– Jak widzę, nie zmienił pan zdania o mnie. I dobrze. Tym łatwiej przyjdzie mi zrealizować mój plan. Przynajmniej nie będę miał wyrzutów sumienia.

– Jaki plan? O czym pan mówi?

– To, co sobie postanowiłem, teraz stanie się moją życiową misją. – Daniel uśmiechnął się ujmująco. – Chyba pora dołączyć do pań?



CZEŚĆ III



Tytani

Rozdział 61

W Las Tres Lomas i Triple S w gorączce ostatnich przygotowań do zaślubin Samantha i Sloana, które miały się odbyć czwartego sierpnia, nie rozmawiano o niczym innym. Neal, który nigdy i tak nie brał udziału w podobnych błahostkach, teraz, kiedy Samantha z żalem, ale godnością przestała protestować przeciwko wierceniom, tym bardziej się od wszystkiego odsunął, żeby w spokoju opracować plan postawienia szybu naftowego w Windy Bluff bez udziału Waverling Tools. Był przekonany, że znalazł rozwiązanie, które pozwoli nie naruszyć „integralności” rancza, jak mawiała jego córka, i jednocześnie uzyskać dostęp do bogactwa, które być może znajduje się pod ziemią. Dzięki odzyskanemu spokojowi ducha mógł się bez przeszkód rozkoszować wolnością od zmartwień, które tak długo go dręczyły. Jego córka wychodziła za mężczyznę z ich klasy, z rodziny, którą uważał prawie za własną. Nie grozi im żadna rywalizacja. Samantha urodzi dziedziców. On sam będzie mógł powiedzieć żonie o wydarzeniach ostatnich miesięcy – nie o wszystkich, ma się rozumieć. Tymczasem jednak Estelle, przygotowując się do wesela „tak pamiętnego”, że towarzystwo Fort Worth długo o nim nie zapomni, zaczynała tracić cierpliwość i wpadała w coraz gorszy humor.

Jak się miało okazać, przepowiednia pani Gordon się spełni, a ekstrawagancka ceremonia na jakiś czas odwróci uwagę mieszkańców Fort Worth od nieznośnego upału, cen bywała i zażartej kampanii prezydenckiej, w której trzy partie polityczne wystawiły swoich kandydatów w nadziei wysadzenia z siodła urzędującego republikanina, Williama McKinleya.

Z powodu spodziewanych w sierpniu wysokich temperatur ślub Gordonówny z Singletonem został wyznaczony na wczesne przedpołudnie, gdy zaproszeni goście, upchnięci w ławkach Pierwszego Kościoła Metodystów w Fort Worth, będą jeszcze mogli oddychać w miarę swobodnie, a białe amarylisy nie zdążą zwiędnąć. Po ceremonii w sali balowej hotelu Worth zostanie podana sałatka z homarów i szampan. By gościom upał zbytnio nie doskwierał, Estelle wynajęła dużą grupę uczniów miejscowej szkoły, którzy mieli stać w rzędzie pod ścianami kościoła i chłodzić zgromadzonych wielkimi wachlarzami z białych piór.

– To będzie niespodziewana uprzejmość, oryginalna i elegancka – oznajmiła, nie posiadając się ze zdenerwowania, że pierzaste wachlarze zamówione w specjalnym sklepie na Florydzie nie nadejdą na czas. Prowadziła z uczniami próby, by jednocześnie machali wachlarzami, i organizowała trwające w nieskończoność zebrania z matkami, by mieć pewność, że ich potomstwo wystąpi w jednakowych strojach.

Samancie i Mildred wszystko to wydawało się czystym szaleństwem. Czemu każdy z gości nie może dostać wachlarza udekorowanego w zielono-białe weselne

barwy, podsunęła gospodyni, a Samantha jej przytaknęła. Ponieważ, wy głuptaski, zbeształa je rozzłoszczona Estelle, całe to wachlowanie się w ławkach odwróci uwagę od samej ceremonii. Poza tym w kościele będzie tłoczno, ktoś mógłby zostać trafiony w oko.

I tak przybyli goście, panie w wielkich, ozdobionych kwiatami kapeluszech, panowie w garniturach i sztywnych kołnierzykach, zastali oddział dziesięciolatków podpierających ściany świątyni, w wykrochmalonych białych koszulach, czarnych spodniach, wypastowanych na wysoki połysk butach, gotowych na dany znak zacząć poruszać piórami.

Gdy to nastąpiło, białe drobinki pierza sypały się na gości jak wirujące płatki śniegu. Rozległy się kichnięcia i chichoty, których siedząca w pierwszym rzędzie Estelle nie mogła nie słyszeć. Im dłużej trwała ceremonia, tym bardziej nużyły się małe ramionka, rytm wachlowania uległ zakłóceniu, aż wreszcie, jeden po drugim, wachlarze nieruchomiały i niczym opadłe z sił ptaki zwisały wzdłuż boków ich małych opiekunów. Z torebek zaczęły się wyłaniać podręczne wachlarze, których matka panny młodej za wszelką cenę chciała uniknąć. Przed ołtarzem Samantha i Sloan złożyli sobie przysięgę małżeńską, nieświadomi krępującej sytuacji, zapatrzeni i zasłuchani wyłącznie w siebie nawzajem.

Kiedy w czasie lunchu młodzi przyjmowali gratulacje, Estelle nie miała już wątpliwości, że ceremonia zaślubin jej córki zapadnie w pamięć zaproszonym gościom. W wejściu pojawiła się bowiem Anne Rutherford. Przybyła jako ostatnia i wszyscy, z kieliszkami szampana w dłoniach, obrócili się w jej stronę. Rozległ się szmer wyrażający zaskoczenie i podziw, a muzycy na chwilę zgubili rytm. Niedysiejsza miłość Sloana Singletona została zaproszona wyłącznie przez grzeczność i oczekiwano, że z tego samego powodu się nie pojawi. Rodzice Anne również otrzymali zaproszenie, jednak z żalem zawiadomili, że nie przyjdą. Olśniewająca w szafirowej sukni, podkreślającej kolor jej wyjątkowych oczu, Anne podpłynęła do pary młodej, z wyciągniętymi ramionami i promiennym uśmiechem.

– Sloanie, nawet nie wiesz, jak jestem szczęśliwa, mogąc ci pogratulować małżeństwa z Samanthą, a tobie, droga Samantho, życzyć wyłącznie szczęścia w związku. Jakże się cieszę, że mogę wam to powiedzieć.

– Możesz być pewna, że my też niezmiernie się cieszymy, że taka okazja się nadarzyła – powiedziała Millie May z uszczypliwym uśmiechem.

– Dziękuję, że zechciałaś dzielić z nami ten radosny dzień – rzekła Samantha, stopą w satynowym pantofelku przydeptując skórzany bucik szwagierki, ale jako panna młoda została już przyćmiona.

Przez całe przyjęcie, z wyjątkiem chwili, gdy Sloan wniósł toast weselny na cześć swojej oblubienicy, oczy każdego z gości zwrócone były na Anne. Zupełnie jakby wszystko zostało zorganizowane, żeby złożyć jej hołd. Mężczyźni nie odstępowali jej na krok, prześcigając się, którego spotka zaszczyt przyniesienia jej

kieliszka z szampanem, przy którym stoliku raczy usiąść, kto odprowadzi ją do domu. Wszem wobec szeptano z podziwem, jak to nie żywi urazy do pana młodego, choć miała ku temu wszelkie prawo, ale to właśnie cała Anne – dziewczyna o sercu wielkim jak sala balowa, co do czego wszyscy się zgadzali.

Estelle była wściekła.

Natomiast Neal niemal fruwał ze szczęścia. Estelle złościła się na niego za ten jego radosny nastrój, zwłaszcza kiedy Samantha i Sloan wyruszyli w podróż poślubną do Galveston, by szukać ochłody w wodach Zatoki Meksykańskiej. Znużona, rozczarowana, roztrząsająca porażkę, jaką okazał się ślub Samantha, odczuwała też pustkę, jaka zwykle dopada matkę, której jedyne dziecko wyszło za mąż i opuściło rodzinne gniazdo. W poczuciu samotności przeniosła się do Las Tres Lomas, by na ranchu czekać na powrót nowożeńców i rozkoszować się chłodną bryzą wiejącą znad zbiorników wodnych i niższą temperaturą, którą zapewniały grube mury domu.

– Trevorze, co w ciebie wstąpiło? – zapytała Mavis. – Ostatnio nie jesteś sobą. Czy interesy źle idą?

– Nie, nie, mamó – zaprotestował żywo Trevor, żeby ją przekonać. – Interesy nigdy nie były tak dobre. Prawdę mówiąc, myślimy o rozbudowie naszej fabryki. Zatrudniłem dodatkowych ludzi, spodziewamy się też wielkiej dostawy stali, a brakuje nam miejsca na jedno i drugie.

– W takim razie o co chodzi, synu? I nie mów mi, że o nic. Zawsze wiem, kiedy coś cię dręczy – powiedziała Mavis.

Czyżby? pomyślał sobie Trevor. Była niedziela, dzień po ślubie Samantha Gordon i Sloana Singletona. Nathan wziął Rebeccę i Zaka na spacer nad rzekę.

– Martwisz się o Rebeccę? – zapytała matka, chłodząc wilgotną od potu twarz wachlarzem.

Ona i Trevor siedzieli w cieniu klonu w ogrodzie za domem, by czuć chłód wiatru wiejącego od rzeki. Na stoliku między nimi stały szklanki i dzbanek z zimną lemoniadą.

– Ja też się martwię – przyznała Mavis. – Wiem, że Nathan i Zak dobrze się nią opiekują, ale ma taką obsesję na punkcie wody, że doprawdy trudno ją upilnować. Musiała ją odziedziczyć po swoim wuju. Ten wiersz, który wciąż powtarza... „W morze mi nadszedł czas powrócić...” Jordan go uwielbiał.

Trevor zakręcił kostkami lodu w swojej szklance.

– Tak, wiem, i tak, wciąż myślę o mojej córce – rzekł, rozmyślając o Samancie Gordon.

– Nigdy nie widziałam Rebekki tak szczęśliwej i powinniśmy się z tego cieszyć. Jej życie bardzo się zmieniło dzięki Nathanowi i temu psu.

– W rzeczy samej – odparł Trevor z roztargnieniem.

– Więc o co chodzi, Trevorze? – Matka podniosła głos. – Jesteś smutny,

choć powinien się cieszyć.

Trevor nalał sobie kolejną szklankę lemoniady.

– Niech cię nie zwiedzie moja mina, mamo. Dużo gorzej niż kiedyś znoszę takie upały, poza tym wczoraj późno wróciłem. Nie wyspałem się.

– Pleciesz androny! – wykrzyknęła Mavis. – Nawet dwa razy większy skwar ci nie przeszkadza i potrafisz zarwać kilka nocy z rzędu, gdy się zabawiasz ze swoimi ladacznicami. O co więc chodzi? Nie wierzę, że ma to coś wspólnego z Rebeccą. Jestem twoją matką. Musisz mi powiedzieć.

Trevor nalał sobie kolejną szklankę lemoniady.

– Kocham kogoś, kto nigdy nie będzie mój – oznajmił.

– Och, Trevorze, nie znowu! Jak się domyślam, jest mężatką.

– Tak.

– W takim razie musisz o niej zapomnieć. Jeszcze się tego nie nauczyłeś?

– Nauczyłem. Dlatego pozwolę jej odejść.

O Boże, westchnął Nathan w duchu, kiedy zobaczył, jak Charlotte Weatherspoon wysiada z powozu przed domem, obok którego on, Rebecca i Zak musieli przejść, wracając ze spaceru. Zapomniał, że Charlotte mieszka przy tej ulicy, a może tylko nie chciał o tym pamiętać. Wrócili do domu babki okrężną drogą, bo Nathan liczył, że upał przynajmniej częściowo wysuszy mokrą spódnicę Rebekki i jego spodnie. Przyrodnia siostra weszła za daleko w wodę rzeki, zanim zdążył ją powstrzymać. Wiedział doskonale, że babcia się rozgniewa na wieść, że pozwolił dziewczynce zdjąć buciki i skarpetki, żeby mogła zamoczyć stopy. Skończyło się na tym, że Nathan też zdjął swoje i podwinął nogawki spodni, by towarzyszyć Rebecce. Na nic się to jednak zdało, bo zanim wyciągnął Rebeccę na brzeg, spodnie ociekały mu wodą. Zak też był cały mokry.

Na ich widok Charlotte zatrzymała się gwałtownie, otwierając szeroko oczy i unosząc brwi pod rondem kapelusza.

– To ty, Nathanie? – zawołała ukryta w cieniu parasolki.

– A któż by inny – odparł Nathan zdziwiony, że zapamiętała jego imię. Uważał, że jest uderzająco piękna, ale też despotyczna i wyniosła jak diabli. Nie mógł przestać o niej myśleć; była niczym cierń głęboko wbity w skórę, którego nie sposób wyciągnąć. Zupełnie tego nie pojmował. Nie była typem dziewczyny, w której mógłby się zakochać, nawet gdyby uznała go za równego sobie, a przecież jasno dała do zrozumienia, że tak nie jest. W jej oczach był bękartem Trevora Waverlinga i znamienite nazwisko nie mogło tego zmienić. Jego babcia myliła się, sądząc, że coś może ich połączyć. Nathan zamierzał życzyć Charlotte miłego dnia i odejść bez wdawania się w konwersację.

Dotknął kapelusza i chciał wyminąć zagrządzający mu drogę parasol.

– Rebecco! – wykrzyknęła Charlotte. – To ty, kochanie? Nie widziałam cię od wieków! Wielkie nieba, ależ ty urosłaś. Pamiętasz mnie? Jestem Charlotte.

Rebecca popatrzyła na nią obojętnie, wyraźnie jej nie pamiętając, ale grzecznie wyciągnęła rączkę.

– Charlotte... Jak Charlotte Brontë?

– Tak jest – roześmiała się Charlotte. – Czy to twój pies?

– Mojego brata – odparła Rebecca. – Nazywa się Zak. Mój brat ma na imię Nathan.

– Już się poznaliśmy – rzekł Nathan. – Idziemy, Rebecco. Miłego dnia, panno Weatherspoon.

Jak gdyby była wartownikiem, a jej parasol bronią niepozwalającą na przejście, Charlotte dotknęła jego końcem kamizelki Nathana.

– Jedną chwileczkę. – Jej wzrok spoczął na mokrych spodniach Nathana, potem na spódnicy Rebekki. – Nie możecie pokazać się Mavis w takim stanie. Chyba będzie lepiej, jak wejdziecie i się wysuszycie. – Uśmiechnęła się do Rebekki i podała dziewczynce rękę. – Założę się, że skombinujemy też trochę lemoniady.

Skombinujemy? zdziwił się Nathan. Naprawdę tak powiedziała? Było to jedno z ulubionych powiedzonek Leona. Poszedł za Charlotte, niezdolny się jej sprzeciwić.

Rozdział 62

Nie mogąc się już doczekać narady, Neal zgromadził Estelle, Samanthę i Sloana w bibliotece w Las Tres Lomas. Zaczekał z tym, aż wszystko dopnie na ostatni guzik i usunie przeszkody, i dopiero wtedy zdecydował się podzielić z nimi wieściami, z powodu których ich zaprosił. Do niego należało ostatnie słowo i decyzja, ale Neal uznał, że aby uniknąć niesnasek, musi postąpić taktownie i z wyczuciem, co było do niego raczej niepodobne. Estelle niezbyt interesowała się pracą na ranchu, lecz złościła się, gdy ją pomijano, Neal zaś musiał brać pod uwagę niechęć Samanthy do tego, co miało nastąpić w Las Tres Lomas, i chciał jej to przedstawić możliwie jak najdelikatniej. Na widok ich poważnych min ścisnęło go w żołądku, ale postanowił, że nie ustąpi. W końcu, na Boga, to dalej było jego rancho. W nocy nadciągnął dodający wigoru chłodny front i pierwszy dzień września 1900 roku przyniósł ulgę po sierpniowych upałach. Mildred przepowiadała Estelle: „Czeka nas wczesna i zimna jesień. W tym roku nie będzie babiego lata”.

Było późne sobotnie popołudnie. Praca dobiegła końca i rancho odpoczywało. Mieszkańcy domu obudzili się z drzemki po obfitym lunchu w Trail Head, do którego trójka Gordonów i Sloan zasiedli przy środkowym stole, ku zachwytowi Grizzlly'ego i zaskoczeniu parobków. Upłynęło dużo czasu, odkąd Estelle po raz ostatni przekroczyła próg Trail Head, Samantha zaś po powrocie z miesiąca miodowego zamieszkała w Triple S, gdzie posiłki jadła razem ze Sloanem. Billie June przeniosła się do Dallas, żeby studiować muzykę, a Millie May do Houston, żeby uczęszczać na zajęcia z malarstwa.

– O co, na miłość boską, chodzi, Nealu? – zapytała Estelle. – Już od tygodni tak bardzo chcesz nam o czymś powiedzieć, że niemal wyskakujesz z portek.

Neal chrząknął. Poprosił, by wszyscy usiedli wokół kominka, sam zaś stanął pośrodku, zwrócony plecami do żarzącego się ognia, rozpalonego dla przegnania porannego chłodu.

– Rodzino – zaczął oficjalnie, jakby prosił o uwagę zgromadzonych na corocznym spotkaniu Związku Hodowców Bydła. – Wezwałem was tu dzisiaj, żeby poinformować was o kilku nadchodzących wydarzeniach, które w niedalekiej przyszłości zmienią oblicze Las Tres Lomas. Kwiatuszku – zwrócił się do żony – ostatnio trochę się na ranchu działo, chociaż nic ci o tym nie wspominałem.

Estelle uniosła brew.

– Jakby kiedykolwiek było inaczej.

– Sama tak zdecydowałaś, moja kochana – przypomniał jej cierpko Neal, po czym mówił dalej: – Kiedy w czerwcu byłem w La Palomie, Todd Baker odwiedził Las Tres Lomas. Znalazł ślady, które świadczą, że być może pod Windy Bluff

znajduje się złożę ropy naftowej.

– Doprawdy? – powiedziała Estelle, nagle zainteresowana. – To wspaniale.

– Cieszę się, że tak uważasz – rzekł Neal, zerkając przelotnie na Samanthę. Liczył na poparcie Estelle. Na pewno opowie się za dzierżawą. Pieniądze zmniejszą jej nieustanny lęk o przyszłość i spodoba jej się pomysł, żeby na ranczu postawić szyb naftowy. – Dlatego też prowadziłem rozmowy o wydzierżawieniu tego terenu firmie zajmującej się poszukiwaniem ropy – ciągnął. – Chcę, żeby właśnie oni rozpoczęli odwierty.

– Rozpoczęli odwierty? – powtórzyła Samantha.

Neal się zawahał i wymienił spojrzenia ze Sloanem, co Samantha od razu zauważyła.

– Co się tutaj dzieje? – zapytała.

– Może ty wyjaśnisz, Sloane – poprosił Neal.

Sloan, który siedział na kanapie obok żony, uspokajającym gestem dotknął jej dłoni.

– Twój ojciec i ja rozmawialiśmy o tym, jak wydobywać znajdującą się w Las Tres Lomas ropę, nie niszcząc przy tym rancza, Sam. Neal obmyślił plan, dzięki któremu szyby nie zakłócają głównej działalności, pozwolą za to wykorzystać inne opcje.

Entuzjazm Neala kazał mu wejść zięciowi w słowo.

– Sloan przyjął moją propozycję i zgodził się usunąć płot dzielący nasze ziemie i połączyć oba rancza w jedno – powiedział. – Jak zaczną się wiercenia, przepędzimy część naszych stad do Triple S i dalej będziemy zajmować się hodowlą. – Uśmiechnął się. – Ponieważ wiedzieliśmy, że zawsze chciałaś, żeby płot zniknął, zachowaliśmy tę informację, bo pragnęliśmy ci zrobić niespodziankę, kochanie.

Na twarzy Samanthy odmalowała się podejrzliwość i cofnęła rękę przed dłonią Sloana.

– Wyjaśnij, proszę, co rozumiesz przez „rozpoczęcie odwiertów”. Po co przepędzać stado do Triple S, skoro w Windy Bluff pasie się tylko Ocalony?

Neal odetchnął głęboko.

– Powiedziano mi, że inne miejsca też wyglądają obiecująco... na tyle, żeby postawić więcej szybów, jeśli sprawdzą się przewidywania wobec Windy Bluff.

Samantha była wyraźnie skonsternowana.

– Doprawdy? O ile mi wiadomo, Waverling Tools były zainteresowane tylko Windy Bluff. Czy pod naszą nieobecność przyjechał Todd Baker, żeby pobrać próbki również w innych miejscach?

Nadszedł moment, którego Neal obawiał się najbardziej. Spodziewał się niezadowolenia Samanthy i był gotów się bronić.

– Po tych wszystkich machlojkach, o które go podejrzewasz?! –

wykrzyknął. – Nigdy w życiu! Według mnie chłopak jest odbiciem człowieka, dla którego pracuje, i dlatego za grosz nie ufam Trevorowi Waverlingowi. Mam gdzieś te jego szyby.

Neal się odwrócił, żeby nie widzieć zaskoczonego spojrzenia Samantha, i z pudełka na kominku wybrał jedno z cienkich cygar. W pewnych sytuacjach dobre cygaro służy człowiekowi lepiej niż Jim Beam, poza tym było jeszcze za wcześnie na wieczorną szklaneczkę burbona.

– Jakich machlojkach? – zapytała Estelle. – Co Todd zrobił?

Odezwał się Sloan.

– Sam podejrzewa, że Todd zniszczył jej aparat, w którym były zdjęcia z miejsca, gdzie według niej znajduje się cmentarzysko dinozaurów.

– Jakie cmentarzysko dinozaurów? – zdziwiła się Estelle. – Co tu się właściwie dzieje?

Ponieważ Samantha milczała, Sloan opowiedział Estelle wszystko, co w ostateczności doprowadziło do pytań o uczciwość Todda i do konfliktu interesów w Windy Bluff.

Estelle przeniosła wzrok na Samanthę.

– I nie uznałaś za stosowne powiedzieć matce, że znalazłaś dinozaura?

– Nie znalazłam dinozaura, mam – odparła Samantha oschle – tylko część czaszki, która według mnie należała do niego, a nie wspomniałam o tym, bo nie lubisz słuchać o niczym, co ma związek z paleontologią.

W poczuciu winy policzki Estelle zrobiły się czerwone.

– Skoro więc twoje dowody znikły w tajemniczy sposób, zgodziłaś się, żeby wydzierżawić ten kawałek ziemi w zamian za poświęcenie, na jakie twój ojciec był gotowy? Cóż, to bardzo szlachetne z twojej strony, kochanie, ale także słuszne. Nie można przecież rezygnować z ropy dla jakiegoś cmentarzyska starych kości...

Samantha tylko pokręciła ze znużeniem głową i skierowała wzrok na ojca.

– Nie wydzierżawisz ziemi Waverling Tools?

Neal znalazł zapałkę i przyłożył ją do koniuszka cygara.

– Nie, zamierzam wydzierżawić ją Corsicana Oil Development Company. Mają na koncie sporo sukcesów, poza tym są bardziej doświadczeni w biznesie naftowym od Waverling Tools. Dlatego zdecydowałem się na współpracę właśnie z nimi.

Złość, niepokój, rozczarowanie i gorzkie poczucie zdrady ogarnęły Samanthę, jak smród wody z zęzy, przyprawiając ją o mdłości. Widziała zdjęcia pól bawełny w hrabstwie Navarro zdewastowane przez firmę wybraną przez ojca.

– Tatusiu, postępujesz nieuczciwie – powiedziała, niezdolna opanować drżenia w głosie. – Przecież to Nathan Holloway sprawdzał wszystkie dokumenty i początkowo dałeś swoją zgodę Waverling Tools. Todd nagrzeszył wyłącznie na własny rachunek. Pan Waverling to dobry i przyzwoity człowiek, tak samo jak

Nathan. Uszanują nasze pastwiska, a Billie June zdradziła mi, że Daniel Lane pracuje nad urządzeniem, które powstrzyma wytrysk ropy z szybu. Jest zupełnie nowatorskie i Corsicana takiego nie ma.

Neal wyjął z ust cygaro, rozdrażniony zażyłością, z jaką Samantha wychwalała Trevora Waverlinga. Estelle, oszołomiona całą tą rozmową, zerknęła na męża z ukosa, jak to miała w zwyczaju, kiedy wiedziała, że coś kombinuje. Sloan także dziwnie mu się przyglądał. Od początku zakładał, że odwiertami zajmie się firma, dla której pracuje Todd.

– Skąd znasz Trevora Waverlinga? – zapytał Neal.

– Wiosną spotkaliśmy się na wykładzie z paleontologii, poza tym spędziłam z nim ten dzień, kiedy pojechałam rozmówić się z Toddem. Uważam, że jest miły i liczy się z innymi, instynkt podpowiada mi też, że jest człowiekiem honoru. – Umilkła na chwilę. – I bez względu na to, co myślę o Toddzie, wiem, że mógłby znaleźć pracę w każdej innej firmie, ale wybrał Waverling Tools. To świadczy, że w nich wierzy.

– To tylko świadczy, że chciał znaleźć pracę blisko domu – sprzeciwił się Neal. Miał wrażenie, że ktoś niespodziewanie podciął mu od tyłu kolana. Mówiąc o swoich podejrzeniach wobec Todda, córka nie wspomniała, że spotkała się z Trevorem Waverlingiem.

– Czemu tak się temu sprzeciwiasz, Nealu? – zapytała Estelle, czujnie spoglądając na męża. Zwróciła się do Samanthy. – Wytłumacz mi jeszcze raz, dlaczego to właśnie Waverling Tools powinny wiercić na naszej ziemi, kochanie?

– Ponieważ ufam im, że nie zniszczą niepotrzebnie naszych pastwisk.

– Hm – Estelle znowu popatrzyła na męża. – Jeszcze niczego nie podpisałeś, Nealu?

– Nie... jeszcze nie, ale zamierzam – odparł Neal, gniewnie zaciągając się cygarem. – Uważam, że Corsicana idealnie się do tej pracy nadaje, dałem im słowo i mają zacząć...

Estelle zbyła to machnięciem ręki.

– Cóż, w takim razie będziesz je musiał złamać i podpisać umowę z Waverling Tools. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś tego nie zrobił.

Neal czuł się, jakby zaraz miał spaść z byka, choć wydawało mu się, że zdoła się na nim utrzymać. Wycelował cygarem w żonę.

– Posłuchaj, Estelle, w tej sprawie tylko ja decyduję i już postanowiłem, umowa zostanie zawarta. Dałem słowo Corsicana Oil Development Company, i kropka.

– Przykro mi, ale nie – odezwał się Sloan, a jego spokojny sprzeciw zabrzmiał, jakby w pokoju rozległ się grzmot. – Albo Waverling Tools będą wiercić, albo płot między naszymi ranczami nie zniknie, i kropka. – Ponownie ujął żonę za rękę. – Musimy jakoś zadośćuczynić Samancie za to, że zgodziła się

poświęcić swoje stanowisko archeologiczne, więc przynajmniej niech ona zdecyduje o wyborze firmy naftowej.

Neal poczuł, że jego twarz przybiera barwę popiołu, który właśnie spadł mu na gorset koszuli.

– Ale... Sloane... Estelle... niczego nie rozumiecie...

– A co tu jest do rozumienia? – zdenerwowała się Estelle. – Słowo daję, Nealu, czasem jesteś dla mnie prawdziwą zagadką. Właśnie ma się spełnić twoje marzenie. Zmieni się tylko firma, która to marzenie urzeczywistni.

– Estelle... nie wiesz... – zaczął Neal, ale przerażenie ścisnęło mu gardło.

W poniedziałek rano Trevor Waverling usłyszał od panny Beardsley, że dzwoni pani Sloanowa Singleton. Czy pan Waverling zechce z nią rozmawiać? Ależ oczywiście, odparł Trevor swojej recepcjonistce.

Samantha wyjaśniła, że dzwoni w imieniu Las Tres Lomas. Jej ojciec postanowił szukać ropy w Windy Bluff i chciałby ponownie to omówić. Czy pan Waverling będzie tak uprzejmy i wyśle Todda Bakera i Nathana Hollowaya, by spotkali się z nią, jej ojcem i jej mężem?

Wystarczy, że pani Singleton wyznaczy miejsce i czas spotkania, odparł Trevor, dodając, że sam również chętnie weźmie w nim udział. Chciał się przyjrzeć miejscu, o które rozpętała się cała ta burza.

Ależ oczywiście, zapewniła go rozmówczyni. Czy nie będzie za wcześnie, jeśli do spotkania dojdzie już jutro na ranczu? Na stacji będzie czekał na nich powóz, który po spotkaniu odwiezie ich z powrotem. A może pan Waverling wolałby się spotkać w Fort Worth nieco później, w miejscu, które sam wybierze?

Może być na ranczu, rzekł Trevor, jutrzejszy dzień też jak najbardziej mu odpowiada. O której?

Las Tres Lomas ma najlepszego kucharza w Teksasie, poinformowała go Samantha z uśmiechem w głosie. Może to zachęci pana Waverlinga do przyjazdu w południe?

On i chłopcy zjawia się punktualnie, zapewnił ją. Trevor odwiesił słuchawkę i pokraśniały ze zdumienia i radości oparł się wygodnie na krześle. Nie oczekiwał, że jeszcze kiedykolwiek jego córka się do niego odezwie. Sądził, że będzie musiał zadowolić się tymi kilkoma wspomnieniami, jakie o niej zachował, i małym białym piórkiem, które znalazł przyklepione do klapy surduta. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że los się do niego uśmiechnął. Nigdy nie był jego ulubieńcem, ale z wdzięcznością przyjmie wszystko, co mu przyniesie i dokądkolwiek go to zaprowadzi. Trevor zerknął na czarny metalowy kalendarz na swoim biurku, na którym dzień i miesiąc widniały w żółtych okienkach. Dzisiaj były to dwie cyfry – 3 i 9 – trzeci września. Zastanawiał się, czy kiedy jutro czwórka zastąpi trójkę, będzie mógł zapamiętać tę datę jako zły omen czy też raczej zapowiedź czegoś dobrego.

Rozdział 63

Neal spojrział wzdłuż długiego stołu w Trail Head. Zastanawiał się, jak, do diabła, ziścił się najgorszy koszmar w jego życiu i siedział teraz przy jego stole jako gość. Świat jest nieskończony. Psiakrew, Teksas był wielki jak jakieś państwo! Jak to możliwe, że w całym wszechświecie dziecko, które adoptował, zasiądzie we własnym domu, przy jednym stole ze swoim biologicznym ojcem i bratem bliźniakiem, i żadne z nich nie będzie miało o tym najmniejszego pojęcia? Jaka złośliwość losu sprawiła, że drogi całej trójki się spotkały? Nie mógł się otrząsnąć z niemiłego uczucia, że jakaś boska siła kazała im się dzisiaj zebrać w tym miejscu.

– Macie, ludziska – powiedział Grizzly, stawiając na stole wielką misę z wrzącym gulaszem. – Mam nadzieję, że wam zasmakuje.

– Jak zawsze, Grizzly – odezwała się Samantha z nadzieją, że smakowity gorący posiłek rozluźni nieco atmosferę.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu żywili jakąś urazę przynajmniej do jednego z zebranych. Co prawda zawarto rozejmy, ale wciąż dawało się wyczuć napięcie między Sloanem i Danielem, nią i Toddem, Nealem Gordonem i Trevorem Waverlingiem. Z jakiejś niewytłumaczalnej przyczyny, oczywiście pod warunkiem, że nie był zwykłym frajerem, jej ojciec pałał niechęcią do właściciela Waverling Tools. Nawet Nathan Holloway, chociaż zwykle taki otwarty i serdeczny, traktował z rezerwą Todda. Samantha podniosła się z krzesła.

– Ja podam – powiedziała.

Kiedy chochlą nakładała na talerze parujący gulasz, wokół stołu rozległy się pomruki świadczące o tym, że mężczyznom dopisuje apetyt. Na wieść o spodziewanych gościach Grizzly zarządził, aby główny stół przesunąć w ustronniejsze miejsce, z dala od zgiełku i zamieszania w kolejce do wydawki. Osobiście nakrył stół obrusem, rozłożył sztucce i serwetki, pieprzniczki i solniczki, szklanki i dzbanki z mrożoną herbatą.

– Doniosę masło do chleba kukurydzianego, jeśli chcecie – powiedział kucharz, krążąc wokół stołowników w czystym fartuchu.

Niecodziennie miał okazję gościć przy swoim stole w Trail Head mężczyzn w eleganckich biznesowych garniturach. Bogu niech będą za to dzięki, ale i tak mu to schlebiało. Ważne przyjęcia do tej pory zawsze odbywały się w dużym domu.

– Na razie nam wystarczy, dziękuję, Grizzly – powiedziała Samantha.

– Krzyknijcie, jak będziecie chcieli placek – rzekł Grizzly. – Dzisiaj jest pekanowy.

Na wszystkich twarzach odmalowało się zadowolenie. Tylko Neal siedział w ponurym milczeniu na swoim końcu stołu.

Kiedy widelce poszły w ruch, odezwał się Trevor.

– Poprosiłem Daniela, naszą złotą rączkę, żeby nam dzisiaj towarzyszył, ponieważ to on będzie nadzorował prace na terenie, na którym według Todda znajduje się złożo. Dopilnuje, żeby załoga wiertnicza zrobiła wszystko, co się da, by uszanować pani stanowisko archeologiczne, pani Singleton.

Samantha uśmiechnęła się do niego przez stół.

– Sprawiłoby mi przyjemność, gdyby zwracał się pan do mnie po imieniu, panie Waverling. Pani Singleton brzmi tak okropnie oficjalnie.

– Z wielką przyjemnością – rzekł Trevor, odwzajemniając uśmiech. – A ty zwracaj się do mnie Trevor.

Neal chrząknął nieuprzejmie.

– Podajcie mi tu masło. Mój chleb stygnie.

Jednak cel wizyty został osiągnięty, ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych. Trevor zaproponował Nealowi lepsze warunki finansowe niż Corsicana Oil Development Company, ale była to wyłącznie jego sprawa, nikomu innemu nic do tego. Jeśli znajdą ropę, jego procent od zysków z nawiązką wynagrodzi mu tę szczodrość. Umowa zawierała klauzule ściśle ograniczające możliwość nieumyślnej dewastacji ziemi, inwentarza i wody i gwarantujące minimalne zakłócenie funkcjonowania rancza. Żeby uspokoić Samanthę, która z przerażeniem myślała o czarnej mazi zalewającej ogromne połacie pastwisk nienależące do roponośnej działki, Daniel potwierdził, że pracuje nad urządzeniem mającym zapobiegać wytryskowi ropy, do którego może dojść, gdy dowiecą się do złoża. Wyjaśnił, że jest to szereg kontrolnych zaworów i wskaźników ciśnienia zaprojektowanych tak, by nie dopuścić do wycieku ropy z otworu wiertniczego. Samantha zauważyła, że Sloan, chociaż wbrew sobie, jest pod wrażeniem. Musiał wywnioskować, że jeżeli urządzenie się sprawdzi, Waverling Tools – i sam Daniel – zarobią mnóstwo pieniędzy.

Późnym popołudniem, kiedy wszystko zostało już omówione i ustalone, zgodnie z przyjętym kanonem gościnności Neal powinien zaprosić panów na „kieliszeczek czegoś mocniejszego”, zanim Jimmy odwiezie ich na stację, on jednak natychmiast odprowadził ich do drzwi, życząc im bezpiecznego powrotu do Dallas. Samantha wstydziła się za zachowanie ojca, ale nie pełniła już funkcji pani domu pod nieobecność matki. Teraz jej domem było Triple S. Zostawiając ojca ze Sloanem, odprowadziła gości do czekającego powozu i wszystkim po kolei uścisnęła rękę.

– Będę myśleć o tobie i Charlotte – powiedziała, żegnając się z Nathanem. – Życzę ci powodzenia.

– Przyda mi się – odparł Nathan. – Dziękuję ci za wszystkie rady. Mam zamiar się do nich zastosować.

Wcześniej Samantha i Nathan pojechali jeszcze raz obejrzeć miejsce,

w którym znalazła czaszkę.

– Wybacz, jeśli nadużywam naszej krótkiej znajomości, ale jesteś dzisiaj wyjątkowo milczący – odezwała się.

– Cóż, nigdy nie byłem zbyt rozmowny.

– Ale dzisiaj szczególnie się to rzuca w oczy.

Coś ją ciągnęło do Nathana, zupełnie jakby przyjaźnili się od zawsze.

– To aż tak oczywiste?

– Przynajmniej dla mnie.

– Cóż... skoro już zapytałaś, nie mogę przestać myśleć o dziewczynie, którą niedawno poznałem, chociaż nie mam ku temu żadnych powodów.

– Och – powiedziała Samantha. – A dlaczegoż to nie masz powodów, żeby o niej myśleć?

– Jest nadęta, uparta i ma o sobie wielkie mniemanie.

– Ale jest ładna i bardzo ci się podoba – stwierdziła Samantha z uśmiechem.

Nathan zaczerwienił się z zakłopotania.

– To też jest aż tak oczywiste?

Zaśmiała się.

– Jak się poznaliście?

Nathan opowiedział o krępującym pierwszym wieczorze i wrażeniu, jakie Charlotte po sobie zostawiła, a potem o przypadkowym spotkaniu na chodniku, kiedy zaprosiła jego, Rebecę i Zaka, by wysuszyli się w jej domu. Charlotte dała Rebecce tomik poezji do poczytania i pozwoliła Zakowi obeschnąć na dywanie w salonie, po czym zapędziła Nathana do pracy. Niech się na coś przyda, kiedy jego spodnie będą schły. Kazała mu rozczapierzyć palce i zrobiła na nich ósemkę z włóczki, żeby się nie poplątała.

– Zwijaliśmy tę włóczkę w kulki – powiedział Nathan. – Gdy wychodziliśmy, miała ich pełny koszyk.

– Motki – od razu zorientowała się Samantha.

– Tak się nazywają? Moja matka nigdy nie robiła na drutach.

– Musieliście przy tym rozmawiać. Jak przebiegała rozmowa?

– Mówiliśmy głównie o mnie. O niej dowiedziałem się niewiele, co mnie zdziwiło, bo spodziewałem się, że będzie mówić wyłącznie o sobie. Ale ona wypytywała mnie o moją pracę, o to, jak uratowałem Zaka, co myślę o Dallas. – Nathan pokręcił głową. – Opowiedziałem jej nawet o uprawie pszenicy.

– Hm – rzekła Samantha.

– Co to znaczy?

– A może się co do niej pomyliłeś? Może, tak jak tobie, Charlotte nie podoba się, że jej rodzice i twoja babcia chcą was na siłę wyswatać. Może ta pozorna pretensjonalność i wyniosłość świadczą raczej o tym, że jest niezależna?

– Och, niezależna jest aż nadto! – wykrzyknął Nathan. – Wystarczy

zobaczyć, jak chodzi i mówi, żeby od razu się tego domyślić.

– Nie możesz być jej tak całkiem obojętny, skoro zaprosiła cię, żebyś w jej domu wysuszył sobie spodnie – rzekła Samantha z uśmiechem. – Będziesz miał okazję jeszcze ją zobaczyć?

– Zaprosiła mnie na przyjęcie – odparł Nathan z wahaniem w głosie. – Uważasz, że powinienem pójść?

Samantha klepnęła go żartobliwie w ramię.

– Naturalnie! Czemu by nie? Będziesz mógł jej się lepiej przyjrzeć.

– A jeśli chce mnie tylko zawstydzić?

– Myślę, że w takiej sytuacji doskonale sobie poradzisz – zapewniła go Samantha. – Potraktuj to jako okazję, żeby sprawdzić, czy słusznie ją osądzasz.

Nathan zastanawiał się przez chwilę.

– A niech to – powiedział w końcu. – Masz rację. Co mi szkodzi?

Zorientowali się, że natknął się na nich Trevor Waverling i od jakiegoś czasu przyglądał się im z pewnej odległości.

– Pora na nas, synu – odezwał się cicho, kiedy go zauważyli. – Załatwiliśmy na dzisiaj wszystkie nasze sprawy.

Z okna swojej sypialni na piętrze Neal Gordon przyglądał się, jak rodzinny powóz z Jimmym na koźle z turkotem przejeżdża między dwoma identycznymi słupami stanowiącymi bramę na jego ranczu. Odwrócił się ze ściśniętym sercem. Powinien nie posiadać się ze szczęścia. A tak czuł tylko mały ułamek radości, ulgi i entuzjazmu, nad którymi z trudem panował, kiedy ludzie z Corsicana badali jego ziemię. Neal nigdy nie widział człowieka tak oszalałego ze szczęścia jak Todd Baker, gdy dojechali do miejsca, w którym geolog spadł z ulubionego byczka Samantha. Neal by się nie zdziwił, gdyby Todd zaczął skakać jak żaba na swoich patykowatych nogach. Jakby czytając w jego myślach, Todd odchylił głowę do tyłu i rozpostarł szeroko ramiona.

– Jest tutaj! Jest tutaj! Jest tutaj! Jak Bóg na niebie, jest tutaj! – wykrzykiwał.

Patrząc na niego, każdy ranczer powinien się ucieszyć, zwłaszcza że wszystko wskazywało na to, iż w niedalekiej przyszłości Ameryka będzie potrzebowała ropy.

– Jak tylko Ford Model T starego Henry’ego Forda stanie się popularny – przepowiadał Daniel Lane – wszyscy będą chcieli się przesiąść ze szkapę do samochodu.

Ludzie z Waverling Tools nie mieli czasu sprawdzić innych części rancza, w których geolog z Corsicana szukał śladów ropy, Todd jednak mrugnął do Neala porozumiewawczo.

– Bez obawy, panie Gordon – powiedział. – Na pewno nadarzy się niejedna okazja, żeby poszukać ropy gdzie indziej. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że Las Tres Lomas leży na jednym z największych złóż ropy naftowej w kraju.

Po odjeździe gości Neal przeprosił Samanthę i Sloana, zachęcając zięcia, żeby poczęstował się burbonem. On sam wkrótce do niego dołączy. Zanim poszedł na górę, Sloan odciągnął go na bok.

– Mam nadzieję, Nealu, że nie żywisz do mnie urazy – rzekł. – Na pewno rozumiesz, że nie mogłem sprzeciwić się Samancie i opowiedzieć po twojej stronie.

– Oczywiście, że rozumiem – odparł Neal. – Niczego innego bym się nie spodziewał po synu Setha Singletona i człowieku, który poślubił moją córkę. A teraz muszę chwilę odpocząć.

Kiedy szedł po schodach na piętro, miał wrażenie, że przygniata go ciężar zbyt wielki dla człowieka w jego wieku i stanie. Chętnie posiliłby się szklaneczką burbona, ale musiał na chwilę pobyć w samotności i pomyśleć. W następnym poniedziałek miała przyjechać ekipa z Waverling Tools, żeby ogrodzić teren wierceń i ustawić platformę. Potem trzeba będzie zbudować drogę transportową, wreszcie powstanie szyb. Uplyną całe tygodnie, zanim rozpocznie się samo wiercenie.

– Jaki będzie pański udział w całej operacji, panie Waverling? – zapytał Neal.

– Bardzo ograniczony. Stanowiskiem będzie kierował wiertniczy, ale Daniel Lane, Todd i Nathan zostaną na miejscu do czasu, aż wszystko się rozkręci.

– Ach tak? – Neal poczuł ulgę. – Proszę nas zawsze uprzedzać o swoim przyjeździe, żeby Grizzly mógł przygotować gulasz, który tak panu smakował.

Dużo szczerzej, ale i nie tak uprzejmie, dał jasno do zrozumienia, że w Las Tres Lomas nie ma dość miejsca na zakwaterowanie pracowników Waverling Tools, a także że nie może prosić swojego kucharza, żeby gotował dla nich posiłki i podawał je w już i tak zatłoczonej stołówce. Będą musieli przywieźć ze sobą namioty, jedzenie i wodę do picia. Miał nadzieję, że Trevor Waverling domyśli się, że odnosi się to również do Nathana, Todda i Daniela Lane'a. W odpowiedzi Trevor uśmiechnął się ze zrozumieniem. W żadnym razie nie ma zamiaru obarczać służby pana Gordona dodatkowymi obowiązkami ani też nie oczekuje, że zapewni jego ludziom zakwaterowanie. Będą jeść i spać w miejscu prowadzonych prac.

Neal ochlapał sobie twarz wodą. W towarzystwie Trevora Waverlinga i Nathana czuł zżerające go poczucie winy, wrócił też strach. Żywił urazę do biologicznej matki Samanthy i jej głupkowatego przyrodniego rodzeństwa mieszkających w Gainesville, trudno mu jednak było znaleźć cokolwiek, co by przemawiało przeciwko jej ojcu i bratu bliźniakowi, a przynajmniej coś, co usprawiedliwiłoby zachowanie ich tożsamości w tajemnicy. Obaj Waverlingowie zasługiwali na to, by Samantha obdarzyła ich uczuciem, zwłaszcza Trevor. Był ujmujący, uprzejmy, obyty w świecie, bystry i w kondycji, jakiej Neal nie widział u żadnego mężczyzny w podobnym wieku – idealnie nadawał się na dziadka. Neal znowu poczuł, jak za wydarzeniami dzisiejszego dnia czai się przeznaczenie. Czy

przez jakąś złośliwość losu Samantha dowie się w końcu, kim są dla niej Trevor Waverling i Nathan Holloway, i odkryje zbrodnię Neala, jaką było trzymanie tego przed nią w sekrecie? Zdrada Todda w porównaniu z tą, której on się dopuścił, była doprawdy niczym.

Osuszył twarz i przyjrzał się sobie w lustrze. Mogło się oczywiście okazać, że zadręcza się niepotrzebnie. Większość zmartwień z czasem okazywała się błaha. Żeby jednak mieć pewność, za wszelką cenę musi zapobiec kontaktom córki z Waverlingami. A na razie spróbuje się tego i owego dowiedzieć o Trevorze Waverlingu. Może wcale nie jest taki idealny i bez skazy, a to, czego Neal się dowie, być może ulży nieco jego sumieniu. Przeczesał włosy szczotką i podciągnął spodnie. Gdy dołączył do córki i zięcia, uśmiechał się i zacierał ręce jak najszczęśliwszy człowiek pod słońcem.

Rozdział 64

Wieczorem Nathan, jak czynił to regularnie dwa razy w miesiącu, zasiadł do pisania listu do Leona. W pozdrowieniach na początku zawsze wymieniał też matkę, ale to do ojczyzna kierował swoje myśli i jemu opowiadał o wszystkim, co go spotkało. Dzisiaj miał tyle do opowiedzenia, że nie wiedział, od czego zacząć. Zdecydował się opisać po kolei wszystko, co wydarzyło się od ostatniego listu, który wysłał w połowie sierpnia. Ten list opatrzył datą czwartego września 1900 roku.

Poznałem niezwykłą i bardzo atrakcyjną młodą damę, Charlotte Weatherspoon. Pochodzi z prominentnej rodziny z Dallas, od dawna blisko zaprzyjaźnionej z Waverlingami. Zostaliśmy sobie przedstawieni w domu mojej babci, na przyjęciu, które zorganizowała w tym właśnie celu. W pierwszej chwili bardzo mi się spodobała, szybko jednak mnie do siebie zniechęciła. Uznałem, że jest snobką, i dalej tak uważam, być może jednak zmienię zdanie.

Nathan opisał okoliczności, w jakich doszło do drugiego spotkania z Charlotte Weatherspoon, jak nie przeszkadzało jej, kiedy Zak położył się na dywanie od Wiltona ani kiedy Rebecca z miejsca podbiegła do biblioteczki i bez pytania o pozwolenie wyjęła z niej kilka książek. W stosunku do niego Charlotte jednak nie była tak wspaniałomyślna, a wręcz wydawała się apodyktyczna. Napisał o zadaniu, jakie mu zleciła, gdy czekał, aż wyschną jego spodnie, i o tym, że nie kryła zdziwienia jego nieznanymi sposobami zapobiegającymi plątanemu się i zrywaniu włóczki. „Zapytała mnie, czy Ty, Mamo, robisz na drutach, a ja odpowiedziałem, że nie, dlatego jest to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Spędziliśmy razem bardzo miłe dwie godziny”.

Dalej pisał, że idąc za radą drugiej nowej znajomej, przyjął zaproszenie na przyjęcie, które Charlotte wydawała w najbliższą niedzielę, dziewiątego września, i że babcia uparła się, by z tej okazji uszyć mu nowe ubranie – smoking! Opisał satynowe klapy i elegancką marynarkę bez pól („Bogu dzięki!”), uśmiechając się w duchu na myśl o zirytowanym komentarzu matki: „Och, na miłość boską! Czy Nathan sądzi, że nie wiemy, co to jest smoking?”.

Opowiedział też o innych drobiazgach, które jak sądził, mogą zainteresować Leona, a być może i matkę, o lekcjach boksu i wydarzeniach towarzyskich, w których uczestniczył. Dopiero na samym końcu wspomniał, że Waverling Tools zbudują swój pierwszy szyb wiertniczy na ranchu w okolicy Fort Worth, w hrabstwie Tarrant, które nazywa się Las Tres Lomas de la Trinidad, co znaczy „Trzy Wzgórza nad Trinity”. Na kilka miesięcy wyjedzie z Dallas i będzie bardzo zajęty, nadzorując robotników.

Miałem okazję poznać córkę ranczera, znajomą, o której wspomniałem

wcześniej. Nazywa się Samantha Gordon – czy raczej od niedawna pani Sloanowa Singleton. Poznałem ją w lipcu, kiedy razem z naszym geologiem pojechaliliśmy zbadać miejsce, w którym według Todda Bakera znajduje się ropa. Wiąże się z tym cała historia, ale o tym opowiem, kiedy przyjadę następnym razem. Tak czy inaczej, Samantha wydaje się być osobą, której można powiedzieć wszystko. Zwierzyłem się jej ze swoich uczuć wobec Charlotte Weatherspoon – że z jednej strony wydaje mi się zniewalająca, a z drugiej... cóż, odpychająca – a ona mi wytłumaczyła, że być może Charlotte drażni to, że narzucają jej mnie jako odpowiedniego kandydata na męża. Wyobraźcie sobie, pan Nathan Holloway uznany za odpowiedniego kandydata na męża dla debutantki!

Nathan jeszcze raz przeczytał swój list i uznał, że nie pominął niczego, co mu się nagle później przypomni, a o czym chciałby napisać. Leon niecierpliwie wyglądał wiadomości od syna. Natychmiast mu odpisze, komentując każdy szczegół, ponieważ sam miał niewiele do opowiedzenia. W swoim ostatnim liście donosił, że Randolph wyjechał na Uniwersytet Columbia, a Lily przygotowywała się do pójścia do żeńskiej akademii w Denton. W każdą środę po południu grywał w warcaby na trawniku budynku sądu z kilkoma nowymi kompanami: woźnym sądowym, emerytowanym kolejarzem, który na spotkania przychodził promem z Marietty po drugiej stronie Rzeki Czerwonej, i weteranem wojny hiszpańsko-amerykańskiej, który na Kubie stracił nogę. Leon nazywał ich „chłopcami z sądu” i byli to jego jedyni przyjaciele w mieście. On i Millicent przystąpili do modnego nowego kościoła, Leon jednak nie znosił pastora. Na farmie zaczęły się już poszukiwania ropy. Da znać Nathanowi, czy coś z tego wyjdzie, ale sam nigdy tam nie pojedzie. Millicent zaczęła odkrywać, że potrzebują więcej pieniędzy na życie, jakie teraz prowadzą, i Leon zaproponował, że zacznie pracować u kogoś z farmerów w okolicy – na pewno przyjmą go z radością – lecz Millicent nawet nie chciała o tym słyszeć. Oświadczyła, że zamożni dżentelmeni nie pracują fizycznie. Cóż, jak Nathan wie, ani z niego dżentelmen, ani tym bardziej zamożny, ale niech sobie Millicent żyje tymi swoimi złudzeniami. Jak tylko Nathan zechce ich odwiedzić, zawsze będzie bardziej niż mile widziany.

Nathan zaadresował kopertę i wsunął do niej list. Wyśle go jutro.

W swojej sypialni Trevor rozbierał się powoli, pogrążony w myślach. Przyniósł szkocką z wodą, by poprawić sobie nastrój, ale alkohol nie zaczął jeszcze działać. Jego misja dobiegła końca. Obserwował córkę w jej naturalnym otoczeniu i stwierdził, że niczego jej nie brakuje. Była kochana, otoczona opieką i troską. Nie mógł jej zaoferować nic, czego by już nie miała. Jeśliby mimo wszystko powiedział jej, że jest jej ojcem, miałby do czynienia z Nealem Gordonem. Przez całą wizytę ranczer nie spuszczał z niego oka, jakby podejrzewał, że gdyby tylko nadarzyła się okazja, Trevor Waverling spróbowałby wykorzystać jego córkę. Cóż, niech sobie myśli, że Trevor jest rozpustnikiem. Nie bał się Neala Gordona, bał się

natomiast, że gdyby kusił los, prawda wyszłaby w końcu na jaw.

Gdyby tylko mógł coś zrobić z tym... tkwiącym w nim głęboko bólem ojcowskiej straty. Trevor już miał córkę, jak mu wytknął Leon Holloway. Miał też syna, cudownego chłopca, który choć jeszcze o tym nie wiedział, z czasem wpadnie w sidła Charlotte Weatherspoon, wspaniałej dziewczyny. Będą mieli dzieci, Trevor zostanie dziadkiem, o czym myślał z radością. Zanim pojawił się Nathan, rodzina niewiele dla niego znaczyła. Tak naprawdę próbował się nawet zdystansować od pragnienia jej posiadania. Rodzina oznaczała ból. Całe lata trwało, zanim otrząsnął się po nagłej śmierci ojca i samobójstwie brata. Matka za nim nie przepadała, a jego małżeństwa kończyły się katastrofą i rozwodem. Po jednym została mu upośledzona córka, z którego to powodu cierpiał najbardziej.

Cóż takiego wspaniałego miała w sobie rodzina?

Ale wtedy w jego życiu pojawił się Nathan, który nauczył go, jak to jest czuć się – być – ojcem. Rezydencja jego matki stała się prawdziwym domem, nie tylko miejscem, w którym wieszał swój kapelusz. Mavis i Rebecca przestały być lokatorkami, z którymi dzielił kwaterę. Stały się rodziną.

W której brakowało bardzo ważnego członka.

Trevor przysunął sobie do okna krzesło i usiadł na nim, by wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo. Często tak siadał w późnych godzinach nocnych, żeby zastanowić się nad jakimś nowym interesem. Nigdy nie podejmował decyzji na podstawie ogólnej oceny sytuacji. Najpierw wszystko dokładnie analizował i dopiero kiedy poszczególne części, a przynajmniej te najważniejsze, układały się w spójną całość, był gotów przystąpić do działania. W podobny sposób segregował swoje wrażenia, jakie robili na nim nowo poznani ludzie, dogłębnie się nad nimi zastanawiał i dopiero potem wysnuwał co do nich wnioski.

Tak samo było z Samanthą.

Mógł jej się przyjrzeć ledwie cztery razy, i to raczej krótko: na wykładzie z paleontologii w Fort Worth, w swoim gabinecie w Waverling Tools, na jej ślubie (siedział w najdalszym rogu kościoła, w ostatniej ławce) i wreszcie dzisiaj, na jej własnym terenie, w Las Tres Lomas. Te krótkie chwile, kiedy mógł zajrzeć w jej życie, utwierdziły go w przekonaniu, że jest szczęśliwa i spełniona, bliska ideału. Mieszkała w imponującym, wygodnym domu, otoczona przez kochających ją ludzi – oddanych rodziców, uwielbiającego ją męża i pracowników rancza, którzy oddaliby za nią życie. Po co miałby się ujawniać i niszczyć spokój Samanthy Gordon, sprawiać ból kochającym, lecz zazdrosnym o nią ludziom, którzy dali jej dobry dom? Czym byłoby to dla Nathana, jego oddania matce, mimo że ona odnosiła się do syna z obojętnością, a przede wszystkim jak wpłynęłoby to na uczucie, jakim chłopiec darzył Leona, gdyby Trevor Waverling ujawnił, że Hollowayowie pozbyli się siostry bliźniaczki Nathana już w chwili jej narodzin?

Gdyby nie dowiedział się od akuszerki, że Samantha zjawiała się

w przychodni doktora Tolmana z pytaniami dotyczącymi jej przyjścia na świat – w poszukiwaniu biologicznych rodziców – nie siedziałby tutaj dzisiaj, czując, jak każdy oddech pali go niczym rozżarzony pogrzebacz. Zamiast zyskać pewność, że Samantha Gordon jest jego córką i bliźniaczą siostrą Nathana, opuściłby lecznicę bez żadnego konkretnego dowodu i na tym cała sprawa by się skończyła. Dałby sobie spokój jak wtedy, gdy dowiedział się o istnieniu Nathana; obserwowałby Samanthę z daleka, dręczony utratą dziecka, którego nigdy nie będzie mu dane poznać, ale uspokojony świadomością, że wszystko w jej życiu ułożyło się pomyślnie. Jednak okazało się, że los płata figle. Samantha zaczęła szukać swojej prawdziwej rodziny – Millicent, Boże, miej litość nad dzieckiem, Nathana... jego. Jego serce nie mogło zostać obojętne, gdy usłyszał, co córka doktora Tolmana powiedziała akuszerce: „Według Eleanor młoda kobieta była wielce zawiedziona, że Eleanor nie może jej pomóc. Powiedziała, że zrobiło jej się żal dziewczyny. Chociaż taka śliczna i elegancko ubrana, wydawała się zagubiona”.

Siedząc przy oknie, Trevor wyobrażał sobie, jak zrozpaczona Samantha stoi przed biurkiem akuszerki, a jej ojciec nie może do niej podejść i powiedzieć: „Jestem, kochana córeczko”, tak samo jak dzisiaj, kiedy zastał Nathana pogrążonego w rozmowie z Samanthą, nie mógł im oznajmić: „Rozmawiasz ze swoją siostrą, synu. Samantha jest twoją bliźniaczką”.

Trevor pociągnął spory łyk szkockiej, czując, jak w oczach zaczynają palić go łzy. Ale co się stało, to się nie odstanie, i tak musi zostać. Samantha prowadziła szczęśliwe, ustatkowane życie. Z upływem lat tęsknota, która kazała jej jechać do Marietty, zmniejszy się, zblednie. Nathan będzie miał własną rodzinę, nie wiedząc i dlatego nie cierpiąc z powodu zerwanej więzi z dziewczyną o włosach jak włosy jego matki. Jeśli zaś chodzi o niego, ich ojca, mógł tylko mieć nadzieję, że kiedy skończą się prace w Las Tres Lomas de la Trinidad, o losie córki będzie się dowiadywał za pośrednictwem Daniela Lane'a. Z tego, co Trevor wiedział, kobieta, którą widział z Danielem na stacji, była siostrą Sloana Singletona.

Trevor napił się znowu szkockiej. Jako ojciec Samanthy odczuwał jednak niewielką satysfakcję na myśl o tym, że jego cudowna, inteligentna i dobra córka nigdy się nie dowie, że jej matką jest Millicent Holloway.

– Nawet sobie nie wyobrażaj, że będziesz spał w namiocie i zjadał fasolę z puszki i suszone mięso na kolację, kiedy wikt i opierunek możesz mieć w Triple S! – Wieczorem Billie June oznajmiła to Danielowi zdecydowanym głosem.

– Obawiam się, cukiereczku, że tak właśnie będzie – powiedział Daniel. – Twój brat raczej nie zgodzi się przyjąć mnie pod swój dach.

– Nie będzie miał nic do gadania. W swojej ostatniej woli mój ojciec jasno postanowił, że mogę mieszkać w domu na Triple S do końca życia.

Daniel patrzył na nią podekscytowany.

– O czym ty mówisz, Billie June? Wracasz do Triple S?

Billie June okręciła się przed lustrem. Kupiła sobie nową suknię i teraz ją przymierzała, pozwalając, by Daniel ją podziwiał.

– Myślę, że powinnam wrócić do Triple S na czas wierceń i zabrać cię ze sobą. Jako mojego gościa. Sloan nie będzie mógł mnie wyrzucić, ciebie również.

Daniel podrapał się po pokrytej kilkuniedniowym zarostem szczęce.

– Och, Billie June. Sam nie wiem. Twój brat ma wszelkie prawo nie zgodzić się, żebyśmy spali razem w jego rodzinnym domu.

Billie June rozpięła dopasowany stanik sukni.

– Nie słuchasz mnie. Nie mówię o spaniu razem. Mówię o tym, że zajmiesz pokój gościnny. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Ale oczywiście zawsze będziesz mógł się zakraść do mojego pokoju, kiedy cały dom pogrąży się we śnie.

– I wierzysz, że twój brat niczego się nie domyśli?

Billie June zsunęła z siebie suknię.

– I co z tego? – powiedziała. – Przecież nie wpadnie z awanturą do mojej sypialni. Jakież by to było dla wszystkich krępujące! Zresztą Samantha i tak nigdy by na to nie pozwoliła.

– A twoje lekcje muzyki?

– Zawsze mogę podjąć je na nowo. Stęskniłam się za Sloanem, Samanthą i ranczem. O tej porze roku Triple S jest najpiękniejsze, poza tym krowy zaczynają się cielić. Uwielbiam karmić z butelki osierocone cielaczki. No i – dodała, poruszając wymownie brwiami – brakowałoby mi ciebie w Dallas.

Daniel gapił się na nią. Powinien czuć się osaczony jej przekonaniem, że nie powinni się rozstawać. Kiedy zamieszkała w Dallas, poprzysiągł sobie dać jej jasno do zrozumienia, że ma inne zajęcia i znajomych, niech więc nie oczekuje, że on zapełni jej cały czas, jednak jakoś nigdy się na to nie zdobył. W kamienicy Billie June w holu znajdował się telefon i Daniel dzwonił do niej z biura około piątej po południu. Inni lokatorzy szybko się nauczyli, że gdy o tej porze rozlegał się dźwięk telefonu, to na pewno do Billie June, i pozwalali, żeby sama go odebrała. Daniel nie chciał, żeby weszło im to w nawyk, dlatego też na początku przez kilka dni w tygodniu celowo nie zadzwonił. Raz poszedł do baru, kiedy indziej na wyścigi, zafundował sobie wystawną kolację i wybrał się na występ do kabaretu, zawsze rozglądając się za dziewczętami, ale zamiast przyjemności odczuwał pustkę. Zrozumiał, że tęskni za Billie June. I będzie za nią tęsknił, spędzając cały tydzień tylko w męskim towarzystwie, jedząc z cynowego talerza przy ognisku i kładąc się spać w zimnym namiocie przy akompaniamencie wycia kojotów. Z drugiej strony na pewno będzie się czuł niezręcznie, mieszkając w domu Sloana Singletona i patrząc, jak Billie June pokazuje bratu figę z makiem. Musiał też pamiętać o Samancie, dla której taka sytuacja również może okazać się niewygodna.

Billie June została w samym gorsecie i pończochach, a on pomyślał, że nigdy nie wyglądała bardziej ponętnie. Kiedy teraz się tak nad tym wszystkim

zastanawiał, uznał, że jej pomysł nie jest aż taki zły. Miło będzie uprzykrzyć życie swojemu arcywrogowi, jeść z nim przy jednym stole i rozsiadać się na jego eleganckich krzesłach. Jak dotąd, poza werandą na tyłach, Daniel nie przekroczył progu domu Sloana Singletona.

– Dobrze, cukierczku – powiedział. – Skoro jesteś gotowa znosić krzywe miny i niezadowolenie twojego brata, zgadzam się. A teraz chodź tutaj, pomogę ci rozsznurować ten gorset.

Rozdział 65

Trzy dni później, siódmego września, Leon Holloway odebrał list od Nathana ze swojej skrytki na poczcie w Gainesville. Paznokciem rozerwał kopertę i ucieszony widokiem dwóch zapisanych arkusików – dwóch! – zaczął czytać od razu, zanim jeszcze wyszedł z budynku. Był też list od Randolpha, wysłany z Nowego Jorku, ale z nim może poczekać, aż wróci do domu i da go Millicent, żeby na głos przeczytała go im obojgu. Dom Hollowayów znajdował się niedaleko poczty i Leon lubił codzienne spacerki, zwłaszcza w takie słoneczne, rześkie dni jak dzisiaj.

Gdy dotarł do parku, zdążył już przeczytać cały list. Musiał przysiąść na ławce, którą zwykle zajmował, kiedy zaczynał czuć, że w domu się dusi. Odchylił głowę do tyłu i przerażony wpatrywał się w zmieniające już kolor klony, które latem dawały kojący cień, a przed oczami tańczyły mu słowa: „Samantha Gordon” i „Las Tres Lomas de la Trinidad”. Boże, miej litość! Nathan poznał swoją siostrę bliźniaczkę! Z szoku ugięły się pod Leonem kolana, w miarę jednak jak serce mu się uspokajało, a drzenie nóg ustało, zaczął się zastanawiać, czemu to aż tak nim wstrząsnęło. Nieraz się martwił, że jakaś siła wyższa sprawi, że drogi bliźniąt się skrzyżują. W końcu Dallas i Fort Worth nie były od siebie aż tak oddalone. Leon słyszał o podobnych, prawie niemożliwych zbiegach okoliczności. Raz dowiedział się o żołnierzu, który w czasie wojny grzebał w kieszeniach zabitego Jankesa w poszukiwaniu czegoś, co by upamiętniło ten wyczyn, i znalazł zdjęcie swoich własnych rodziców. Okazało się, że Jankes zabił brata tego żołnierza.

Kiedy indziej jedna z pań z kółka krawieckiego, do którego należała Millicent, poszła odwiedzić chorą sąsiadkę i na jej nodze zauważyła znamię identyczne z tym, jakie miała jej mała siostrzyczka, która została adoptowana. Porównując zapiski, kobiety odkryły, że są siostrami. Przez ponad dwadzieścia lat mieszkały w Gainesville i dzieliły je zaledwie dwie przecznice.

Czemuż by więc Leon Holloway miał wątpić, że boska opatrzność sprawi, iż któregoś dnia drogi bliźniąt się przetną? Zaczął to przeczuwać, kiedy na jego progu niespodziewanie stanęli najpierw Neal Gordon, potem Trevor Waverling. Od zawsze się lękał, że między Nathanem i Samanthą może się zrodzić uczucie i krew w nim krzepła na myśl, czym mogłoby się to skończyć. Na szczęście jednak Samantha Gordon wyszła za mąż i wszystko wskazywało na to, że Nathan zadurzył się w Charlotte Weatherspoon, pannie z wyższych sfer, o wstąpieniu do których tak bardzo marzyła Millicent.

Co więc powinien uczynić, jeśli coś w ogóle? Musi się nad tym zastanowić. On jeden znał wszystkie kawałki układanki. Neal Gordon dowiedział się o rodzicach Samanthy i wierzył, że Leon jest jej ojcem. Trevor Waverling nabrał

podejrzeń, że Samantha Gordon jest jego córką i bliźniaczą siostrą Nathana, jednak słowem nie wspomniał o tym Nathanowi ani też nie wyjawiał niczego Samancie, inaczej bowiem Nathan na pewno by mu o tym napisał. Nathan wiedział tylko, że spłodził go inny mężczyzna niż ten, którego przez lata uważał za swojego ojca. Poza tym nic więcej nie było mu wiadomo o jego narodzinach. Millicent oczywiście wiedziała, że urodziła córkę, ale nie miała pojęcia, kim jest ani gdzie się podziewa. Samantha też nawet się nie domyślała, że jej ojciec i brat bliźniak mieszkają niemal pod jej nosem. Przynajmniej na razie.

Jakie to wszystko zagniatwane!

Leon posłucha własnej rady i pozwoli losowi działać bez interwencji z jego strony. Kopertę z listem schował do kieszeni ogrodniczek, już słysząc szczebiot Millicent, gdy wróci do domu z pocztą. „Och, widzę, że już przeczytałeś list od Nathana, więc zobaczmy, co też pisze Randolph”. Zawsze tak było. Jak zwykle o starszego syna matka troszczyła się na samym końcu. Och, moja mała Millie, pomyślał, niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli przyjdzie ci kiedyś odpowiedzieć za to, co uczyniłaś swoim pierworodnym, lecz być może również i na to Leon nie będzie miał wpływu. Lepiej dla bliźniąt, że trafiły do rodzin, które ich pokochały. Leon tylko żałował, że nie może uczestniczyć w ich życiu.

Prostując się na całą swoją wysokość, Sloan ostrożnie wepchnął zawiniętą w jutowy worek czaszkę głęboko za pudło z malowanymi drewnianymi kulami, które każdego roku ozdabiała bożonarodzeniową choinkę. Było wczesne piątkowe popołudnie i na polach belowano siano. Jego brygadzysta na pewno zachodzi w głowę, gdzie, u licha, podziewa się szef. Musiał przecież sprawdzić i podjąć decyzję, które siano należy belować. Zaraza zniszczyła co najmniej połowę paszy i teraz koniecznie trzeba było resztę zebrać, zanim zanadto wyschnie albo nastanie zła pogoda i zniszczy pierwszy pokos. Na wybrzeżu spodziewano się deszczu, który może przenieść się w głąb łądu. Sloan musiał jednak poczekać, aż po lunchu Samantha wyjedzie do Las Tres Lomas, a Millie May wybierze się na przejażdżkę swoją kłaczą. Starsza siostra przyjechała z Houston na weekend, ale kiedy się okazało, że wraca Billie June – „na czas, kiedy Daniel będzie potrzebny na działce wiertniczej” (Billie June zakomunikowała to przez telefon, który odebrała Samantha) – postanowiła przedłużyć swój pobyt.

Sloan z trudem przełknął wiadomość, że razem z Billie June przyjedzie Daniel Lane i zajmie najlepszy pokój gościnny. Dowiedział się o tym podczas lunchu, wprawiając towarzyszące mu panie w zdumienie – nie zerwał się od stołu niczym rozjuszony ogier, by oznajmić, że absolutnie się temu sprzeciwia. Nie mógł jednak w żaden sposób zareagować na bezczelność Daniela. Groźba, jaką ten wypowiedział – „Niech pan pamięta, że mogę pana pogrążyć w oczach panny Gordon, jej ojca i pańskich sióstr” – wciąż dźwięczała mu w uszach jak rój gzów. Sloan musiał wykombinować, w jaki sposób się przed nią obronić i od razu na

początku obrócić sytuację na swoją korzyść.

– I zanim oskarżysz Daniela o ten pomysł – powiedziała Samantha, jakby czytając w jego myślach – wiedz, że zaproponowała to Billie June.

– Obawiam się też, Sloane, że nie możesz jej odmówić, bo inaczej sprzeciwiłbyś się ostatniej woli taty – dodała Millie May.

– Który na pewno by nie chciał, żeby jego córka wykorzystywała pokój gościnny na miłosne schadzki z pomocnikiem kowala!

– Książę byłby bardziej odpowiedni? – wtrąciła Samantha cicho.

Była to ich pierwsza małżeńska sprzeczka. Sloana ogarnęło poczucie wstydu. Nie był snobem. Szanował wszystkich mężczyzn, którzy ciężką pracą zarabiali na chleb. Tę cechę cenił sobie najbardziej, a Daniel Lane uchodził w Fort Worth za sumiennego i wytrwałego pracownika. Poza tym nie pracował już w kuźni, lecz według słów Billie June stał się wręcz niezastąpiony w Waverling Tools. Jednak ani Samantha, ani jego siostry nie wiedziały, że Daniel szuka zemsty na nim, a Billie June traktuje tylko jako narzędzie.

„Tym łatwiej przyjdzie mi zrealizować mój plan. Przynajmniej nie będę miał wyrzutów sumienia”, powiedział mu Daniel.

„Jaki plan?”

„To stanie się teraz moją życiową misją”.

Na wspomnienie tamtej tajemniczej wymiany zdań Sloanowi wciąż cierpła skóra. Postanowił jednak na razie odłożyć ten temat. Miał zbyt wiele na głowie, żeby martwić się jeszcze „zyciową misją” Daniela Lane’a. Rzucił serwetkę na stół i wstał.

– Przekręcasz moje słowa, Samantho. To nie ma nic wspólnego ze snobizmem. Chodzi o intencje. Daniel Lane nie ma dobrych zamiarów wobec Billie June.

– Czy nie uważasz jednak, że o tym powinna zdecydować ona sama? – zapytała Millie May.

– Jest tak zakochana, że nie dostrzega cierpień, jakie ją niewątpliwie czekają – odparł Sloan. – W Dallas nie mogłem nic na to poradzić, ale tutaj mogę.

– To jej życie, Sloane – powiedziała Samantha, znowu tym samym cichym, niewzruszonym tonem.

Koniec końców stanęło na tym, że Daniel Lane rozgości się w Triple S w niedzielę, co zmusiło Sloana do poszukania innej skrytki dla czaszki. Kiedy Millie May i Samantha kręciły się w pobliżu, trudno by mu było wyjaśnić, dlaczego nagle przeszukuje składzik na piętrze, skoro wcześniej oznajmił, że zajmie się płaceniem comiesięcznych rachunków. Dopiero gdy obie kobiety wyszły z domu, nadarzyła mu się okazja, by wślizgnąć się do pokoju gościnnego, w którym ukrył skamielinę. Po ślubie z Samanthą tam właśnie przeniósł czaszkę z głównej sypialni, którą zajął po śmierci ojca. Jutro służące zaczną sprzątać pokój

gościnny, w którym zamieszka Daniel, będą wietrzyć szuflady i szafy, i Sloan nie miał zbyt wiele czasu na obmyślenie nowej kryjówki, tak żeby czaszka nie zawilgła, nie uszkodziła się i nie została znaleziona. W Triple S nigdy nie trzeba było niczego zamykać na klucz, nawet gabinetu. Żaden z innych budynków na ranczu nie nadawał się na kryjówkę. Chociaż bardzo się starał, Sloan nie potrafił wymyślić innego miejsca na ukrycie kłopotliwej czaszki poza schowkiem z bożonarodzeniowymi ozdobami, otwieranym tylko raz do roku. Składzik znajdował się naprzeciwko pokoju gościnnego, ale mimo to Sloan uznał, że to najlepsza kryjówka, przynajmniej na jakiś czas. Drzwi były wypaczone, niełatwo więc było je otworzyć i skrzypiały przy tym jak zardzewiałe wieko do krypty. Gdyby Daniel postanowił szukać czaszki – pod warunkiem że uznałby właściciela Triple S za na tyle głupiego, żeby ukryć ją w domu – Sloan miał pewność, że już sam hałas otwieranych drzwi postawi cały dom na nogi, musiał jednak spać czujnie i pod żadnym pozorem nie zostawiać Daniela samego.

Gdyby tylko sumienie pozwoliło mu się pozbyć tego cholerstwa. Ale skamielina należała do Sam. Może jest archeologicznym skarbem. I być może jego żona nie znajdzie już nic równie cennego.

Samantha i Millie May błagały go, żeby zachowywał się wobec Daniela przyzwoicie. Sam i tak martwiła się już, że ojciec nie zgodził się przyjąć pod swój dach Nathana Hollowaya i Todda Bakera na czas wyznaczania działki wiertniczej. Będą musieli rozbić sobie namiot i szykować jedzenie nad ogniskiem. Przyjeżdżali pociągiem w poniedziałek i Neal miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby wysłać po nich na stację powóz.

– Nie pojmuję, czemu tatuś jest taki nierozsądny i niegościnny – skarżyła się Samantha. – Przecież ja już z nim nie mieszkam, powinien więc z radością powitać nowe towarzystwo i na bieżąco słuchać, jak idą prace w Windy Bluff.

Sloan też nie rozumiał zachowania Neala. Dom Gordonów mógł pomieścić każdą liczbę gości, także Daniela Lane'a.

– Gdyby sytuacja stała się napięta, zawsze możemy przenieść się do Las Tres Lomas na jakiś tydzień. Tatuś byłby zachwycony.

I pozwolić, żeby Daniel Lane mógł bezkarnie buszować po domu, pomyślał Sloan. Nigdy!

– Nie pozwolę, żeby jakiś mężczyzna o podejrzanych zamiarach wobec mojej siostry zmusił mnie do opuszczenia własnego domu, Samantho, więc nigdzie się nie ruszymy – powiedział, kładąc kres wszelkim dyskusjom.

Kiedy czaszka była już dobrze schowana i Sloan ramieniem pchał drzwi składziku, żeby się domknęły, przyszło mu na myśl, że pobyt kochanka siostry w jego domu ma jednak jakieś zalety. Dzięki temu zdoła być może rozpracować człowieka, który uczynił sobie z niego życiową misję.

– Lepiej, żeby nikt nie zapalił zapalki – powiedziała Jeanne, zajmując swoje

zwykle miejsce przy stole konferencyjnym, uzbrojona w notatnik i ołówek. – Atmosfera jest raczej wybuchowa.

– Delikatnie mówiąc – odparł uśmiechnięty od ucha do ucha Todd Baker. – Według mnie wręcz iskrzy. – Uderzył dłonią w stół. – Wielki Boże, ludzie, zaczynamy działać w przemyśle naftowym! To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, poza tym, w którym brałem ślub. – Mrugnął do Nathana. – Racja, stary?

– Skąd mam wiedzieć? – wypalił Nathan, po raz kolejny nie chcąc sprawiać wrażenia, że on i Todd są kumplami.

– Mam tylko nadzieję, że nie ekscytujemy się po próznicy – odezwał się Jamie Foster, kręcąc głową. Niezwykle kompetentny i lojalny majster, który pracował w Waverling Tools od samego początku, był małomównym człowiekiem nieznoszącym jakichkolwiek zmian. – Szukanie ropy jest dużo bardziej ryzykowne od wiercenia studni i szybów solnych.

– Zawsze znajdziesz jakiś powód, żeby wszystko odwlekać, prawda? – zapytał jego asystent, klepiąc go dobrodusznie w ramię. Uśmiechnął się do zebranych przy stole. – Co byśmy zrobili bez naszego wątpliwego Tomasza?

– Synu, lepiej zawczasu pomyśleć, niż rzucać się na oślep głową w dół, ot co! – powiedział Jamie.

– Mnie się jednak bardziej podoba „wybuchowa” – odezwała się z irytacją Jeanne do geologa, broniąc swojego doboru słów.

– Ja użyłbym raczej słowa „nagazowana” – rzucił Daniel, żartobliwie szturchając siedzącego obok niego księgowego. – Jadłeś wczoraj na kolację fasolę, Normanie?

Księgowy zmierzył Daniela wzrokiem, jakby ten był karaluchem w jego filiżance z herbatą. Chudy jak tyczka, z cerą bladą jak kartka papieru, na której skrupulatnie zapisywał wszystkie wydatki firmy, i sztywny jak jego wykrochmalona śnieżnobiała koszula, zdeklarowany kawaler był obiektem skrytych żarcików wśród pracowników.

– Nigdy o żadnej porze nie jadam fasoli, panie Lane. Jeśli unosi się tu jakiś gaz, to wyłącznie ten, który dobywa się z pańskich ust. Pozwolę sobie też przypomnieć, że jest wśród nas dama.

– W rzeczy samej – prychnęła wyniośle Jeanne, udając oburzenie. – Dziękuję ci, Normanie, że zwróciłeś na ten fakt uwagę siedzącego obok ciebie pana, który z całą pewnością nie jest dżentelmenem.

Daniel uśmiechnął się i posłał jej całusa.

Siedzący u szczytu stołu Trevor postukał piórem w szklanekę z wodą. Studiował szacunkową wycenę kosztów wierceń, ledwie słysząc, jak jego pracownicy się przekomarzają. Przywykł do takiego ich zachowania, które ktoś postronny mógłby wziąć za sprzeczkę. Nie od dzisiaj wiedział, że Todd Baker stał się dla Nathana persona non grata i że irytuje Jeanne. Sztywny i marudny

księgowy, wiecznie zatroskany o finanse firmy, prowokował żarty i był pożywką dla szorstkiego poczucia humoru Daniela Lane'a, no i czasem nawet Trevor nie był w stanie znieść ciągłego negocjowania wszystkiego przez oddanego majstra. Lecz mimo dzielących ich różnic cały zespół współpracował ze sobą wyjątkowo dobrze. Było widać, że się lubią, i bez sprzeciwów godzili się na każde nowe działanie, nie bacząc na ryzyko, jakie się z nim wiązało dla planu zysków pracowniczych ustalonego przez Trevora na dany rok. W zasadzie już na samym początku swojej kariery zawodowej Trevor przekonał się, że wypłacalność firmy przekłada się na lojalność pracowników i ich poświęcenie pracy, dlatego też nigdy nie ukrywał doskonałego stanu finansów Waverling Tools. Teraz jednak sytuacja nieco się pogorszy.

– Wcześniej nic takiego nie miało miejsca. Nie spodziewajcie się, że później będzie tak samo jak przedtem – burczał jego majster pesymista na zebraniu, które Trevor zwołał, by powiadomić swoich ludzi, że firma może wpłynąć na niebezpieczne wody, na co chciał uzyskać ich zgodę.

Trevor wyjaśnił, że chociaż Waverling Tools będą same produkować dużą część potrzebnego sprzętu, to i tak większość zasobów pochłoną koszty pracy, budowy rurociągów i dróg, dzierżawa zbiorników i transport do rafinerii Corsicana, nie wspominając już o wydatkach na wyżywienie i zakwaterowanie co najmniej kilkunastu robotników pracujących przy budowie szybu.

Na koniec nie istniała żadna gwarancja, że znajdą złożę ropy.

Wszyscy jednak ochoczo poparli jego plany z wiarą w analizy Todda i nadzieją, że w grudniu firma być może wypłaci dodatkowe premie świąteczne. Trevor liczył na to, że nikt ze zgromadzonych wokół stołu nie zauważył, jak z trudem przełknął ślinę, widząc zestawienie kosztów przygotowane przez księgowego. Ceny transportu kolejowego poszybowały w górę. Linia Texas Pacific kazała sobie płacić więcej za cysterny, ponieważ ich dostępność była ograniczona. Przewoźnicy, których Trevor zatrudnił do transportu ropy, domagali się umieszczenia w umowie klauzuli zapewniającej rekompensatę za straty w zwierzętach pociągowych. Producent zbiorników na ropę też podniósł ceny. Właśnie ten wzrost będzie punktem spornym w sytuacji, gdy się okaże, że Windy Bluff nie jest roponośnym złożem, Trevor jednak tak samo jak jego ludzie wierzył, że firmę czeka świetlana przyszłość. Nie potrafił powiedzieć, na ile ta wiara miała coś wspólnego z jego córką mieszkającą na ziemi, na której zamierzał szukać ropy – dzięki temu będzie miał okazję widywać Samanthę – ale w jego głosie pobrzmiwał dodatkowy optymizm, gdy zwracał się do swoich ludzi.

– Panowie i droga pani – powiedział, kiwając głową w stronę Jeanne. – Zdaję sobie sprawę, że piątkowe popołudnie to raczej późna pora na zebranie, wierzę jednak, że z dzisiejszą datą, siódmego września tysiąc dziewięćsetnego roku, kończą się Waverling Tools, jakie dotąd znaliśmy. W poniedziałek ich

miejsce zajmie firma, którą odtąd się staną. Jak powiada Todd, wchodzimy w biznes naftowy i nie tylko będziemy produkować sprzęt wiertniczy, ale też sami będziemy ropę wydobywać. Jestem przekonany, że stoimy na progu niespotykanych dotąd wydarzeń w Teksasie, które na zawsze odmienią ten stan, a może też nasze życie. Kiedy wszystko już omówimy, panna Beardsley poda nam szampana, którym uczymy nowy początek. Mamy wiele powodów do wznoszenia toastów.

Zgodnie z obietnicą, gdy narada dobiegła końca, zjawiała się panna Beardsley, niosąc tacę z kieliszkami szampana. Trevor wznosił swój. Odtąd przy każdej okazji, kiedy pił wino musujące, miał pamiętać, że wypowiedziane przez niego proroctwo szybko się spełniło.

Rozdział 66

Ósmego września, w sobotni poranek, Nathan obudził się z uczuciem niepokoju, którego niczemu nie potrafił przypisać. Kiedy mieszkał na farmie, podobne przecucia wynikały z farmerskiego szóstego zmysłu. Coś nadciągało. Wisiało w powietrzu. Grad, wichura, powódź? Szarańcza? Pożar? Jakiś wypadek, któremu ulegną ludzie albo zwierzęta? W takich chwilach, z kciukami wetkniętymi za szelki ogrodniczek, wychodził na zewnątrz, żeby powąchać powietrze, posłuchać wiatru, przyjrzeć się niebu i ziemi. Często jego złe przecucia okazywały się nieuzasadnione. Nie zawsze się sprawdzały, ale nigdy ich nie lekceważył. To, że nie dochodziło do katastrofy, nie oznaczało, że nie miała się zdarzyć. Po prostu uderzała gdzie indziej, jak grzechotnik, który niezauważenie wślizgnął się w zarośla, zanim zdążył wbić zęby w stopę niespodziewającego się niczego człowieka.

„To szósty zmysł, który bierze się z wrodzonej nieufności każdego farmera do matki natury, synu, zwłaszcza w czasie, kiedy staruszka jest szczególnie łaskawa – wytłumaczył mu pewnego razu Leon. – Falujące łany pszenicy, na które dzisiaj patrzymy, jutro mogą paść zmiążdżone jej ręką”.

W mieście nie było łąnów pszenicy, które mogłyby wzbudzić jego niepokój. Przez otwarte okno dochodził tylko szum ruchu ulicznego. Żeby stłumić złowrogie przecucie, zaczął myśleć o Charlotte – jutro ją zobaczy na wydawanym przez nią przyjęciu – i o sparingowej walce, którą miał po południu stoczyć z ojcem. Nathan zaśmiał się pod nosem. Nie znał Charlotte na tyle dobrze, ale wyobrażał sobie, że gdyby znała jego myśli, wsparłaby swoje piękne dłonie na szczupłych biodrach i powiedziała z udanym przerażeniem: „Nathanie Holloway! Chcesz powiedzieć, że myślisz o mnie w tych samych kategoriach co o cuchnących rękawicach bokserskich?”. Rozmarzył się, widząc oczami wyobraźni, jak bierze ją w objęcia i mówi: „Tylko dlatego, że w nich i w tobie drzemie taka sama energia”.

Zak liznął go po twarzy. Pora wstawać. Nathan wypuścił psa na dwór przez drzwi wiodące na zewnętrzne schody i usłyszał wrzask ptaków. Sam też wyszedł i spojrzał w niebo. Stado mew leciało na północ. Benjy, w samym podkoszulku, ze spuszczonej szelkami i twarzą w pianie do golenia, pojawił się na małym balkonie swojego mieszkania nad wozownią, najwyraźniej zwabiony tym samym hałasem. Zauważył Nathana.

– Muszą lecieć z wybrzeża – wrzasnął. – Ciekawe, co się tam dzieje.

– Myślę, że nadciąga tropikalna burza – odkrzyknął Nathan. – W zeszłym tygodniu na Florydzie i w Luizjanie zerwało linie telefoniczne i telegraficzne.

A więc jego farmerski instynkt go nie zawiódł. Wrzesień był porą huraganów w rejonie Zatoki Meksykańskiej i czasem ulewne deszcze i gwałtowne

wiatry docierały aż do Teksasu, północnej Florydy i w głąb Terytorium Oklahomy. Przypomniało mu się, że w ubiegłym tygodniu Sloan Singleton zaczął belować siano. Nathan miał nadzieję, że zdążył przewieźć je całe do stodoł, na wypadek gdyby zaczęło padać. Jeżeli w poniedziałek by się okazało, że jednak nie skończyli, Nathan przeskoczy przez płot dzielący Las Tres Lomas od Triple S i zaoferuje swoją pomoc.

Umył się i ubrał pośpiesznie. Wczoraj wieczorem przygotował już sobie sprzęt sportowy: lekko usztywnione rękawice, które weterani boksu nazywali „makówami”, wysokie sznurowane buty, spodenki i skórzany kask, od niedawna używany w sparingowych spotkaniach. Jego ojciec bezwzględnie przestrzegał bezpieczeństwa na ringu, chociaż babka przy każdej okazji utyskiwała, że „dwaj mężczyźni, którzy nawzajem się okładają”, w żaden sposób nie mogą się zabezpieczyć.

– Mamo, nie o to nam chodzi – próbował ją uspokajać Trevor. – Nie trenuję Nathana, żeby startował w zawodach. Uczę go tylko boksować.

– Jaka to różnica?

– Zamiar.

Mavis nie pochwałała tych sobotnich treningów. Ale dzięki nim ojciec i syn coraz bardziej się do siebie zbliżali. Nathana wciąż smucił tragizm ich wzajemnych relacji. Dni jego babci były policzone. Nie chciał, żeby umarła, nie wiedząc o poświęceniu syna, który postanowił nie niszczyć jej wyobrażenia o drugim, ukochanym dziecku. Nathan nie chciał też, żeby jego ojciec żył, nie zaznawszy dowodów miłości matki. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jaki to sprawia ból. Trevor Waverling był dobrym człowiekiem i oddanym synem. Może nie okazywał córce zbyt wiele uczuć, co jednak mogło wynikać z tego, że nie bardzo sobie z nią radził. Czy babka nie widziała, jak wielkim jest to dla niego ciężarem? Nie było smutniejszej rzeczy nad miłość, której nie potrafi się wyrazić. Bywały chwile, kiedy Nathanowi z trudem przychodziło zwalczanie chęci zdradzenia prawdy, którą znał. Cierpiał niepomniernie, wiedząc, że babcia spocznie w grobie z przeświadczeniem, że jego ojciec zabił jej syna.

„Trevorze, pogodziłam się już z tym, że oddajesz się temu barbarzyńskiemu sportowi, ale czy musisz zarażać syna swoją żądzą ranienia i bycia ranionym?”, wykrzyknęła ze zgrozą na wieść, że jej syn zachęca Nathana do uprawiania boksu. Ojciec próbował tłumaczyć, że w sparingowych walkach nie chodzi o zadawanie bólu, lecz o odpowiednią pracę głowy i nóg, technikę uników, takich jak odskok czy odchylenie, naukę podejścia, blokowania, zwarcia i trzymania gardy. Boks uczył improwizacji, myślenia w sytuacjach stresowych i panowania nad emocjami.

Babka powiedziała, żeby zachował dla siebie tę żargonową paplaninę. Nie miała zielonego pojęcia, o czym do niej mówił. Chciała tylko wiedzieć, po co jej wnuk ma się uczyć „improwizacji, myślenia w sytuacjach stresowych i panowania

nad emocjami”.

Ojciec odparł na to, że mężczyzna powinien wiedzieć, jak radzić sobie z szybkim, silnym i zdecydowanym przeciwnikiem.

Nathanowi udało się trochę uśmierzyć gniew babki, kiedy wytłumaczył jej, że sparingowe mecze to tak naprawdę trening bokserski i nie niosą ze sobą żadnego niebezpieczeństwa, jeżeli przeciwnicy są do siebie przyjaźnie nastawieni i nie ma między nimi żadnych złych emocji. Lubił zadawać ciosy, a jeszcze bardziej mu się podobało, kiedy uczył się ich unikać. Zawsze miał się za pozbawionego gracji niezdarę. Treningi poprawiły jego zmysł równowagi i koordynację, wzmocniły mięśnie, wyszczupliły talię i zwiększyły energię. Nathan nie powiedział babce, że ci, którzy oglądali go na ringu, podzielali opinię Trevora, że jest wprost stworzony do boksu. Miał masywny korpus i silne nogi, odpowiednie do uprawiania tego sportu. Mocne ciosy i zwinne, szybkie ruchy brały się z pracy łydek, ud, pośladków i bioder, a on w tym właśnie był dobry.

Słyszając, jak wnuk usiłuje jej pokazać jaśniejszą stronę sobotnich treningów, Mavis Waverling tylko prychnęła bez przekonania, ale przynajmniej przestała się czepiać. „Jesteś jak lustrzane odbicie swojego dziadka, Nathanie, i dzięki Bogu, że JEGO ojciec nie widział potrzeby uczyć go pracy nóg na ringu, żeby go udoskonalić”, rzuciła.

Nathan ubrał się, pościelił łóżko i chwycił torbę ze sprzętem na trening. Może jemu i ojcu uda się zjeść śniadanie i wyjść z domu, zanim pojawi się Mavis i pożegna ich zaciętą miną dezaprobaty. Lenora wpuści i nakarmi Zaka. Pies się starzał i chętnie wylegiwał się rano w towarzystwie kota i Rebekki, która czytała im wiersze.

Poza tym, że lubił boks, Nathan też bardzo sobie cenił chwile spędzone z ojcem. Jeździli powozem, ponieważ Benjy lubił jeść śniadanie w małej irlandzkiej knajpce niedaleko sali, gdzie trenowali. Twierdził, że kelnerka ma do niego słabość i zawsze daje mu więcej placków ziemniaczanych oraz za darmo dokłada mus jabłkowy, kiedy zobaczy, że jego miseczka jest już pusta. „Najlepsze placki w tej części hrabstwa Cork”, mawiał, przeciągając głoski na myśl o czekających go rozkoszach podniebienia. Czas spędzany w powozie sam na sam z ojcem dla Nathana był bardzo ważny, ponieważ pozwalał mu coraz lepiej poznawać Trevora Waverlinga. Któregoś razu pomyślał sobie, że być może ojciec też lubi te wspólne przejażdżki, gdyż w ten sposób ma szansę dowiedzieć się więcej o swoim synu.

Kiedy jechali na trening, Trevor niespodziewanie zapytał:

– Czy jesteś z nami szczęśliwy, Nathanie?

Zaskoczony Nathan przez chwilę milczał. Ojciec był smutny. Przy śniadaniu wydawał się zamyślony i nieobecny. Jak Nathan miał mu odpowiedzieć? Nigdy zbyt nie zastanawiał, czym jest szczęście. Zadowolony, owszem. Wiedział,

co znaczy być zadowolonym.

– Powiedziałbym, że raczej tak – odezwał się w końcu.

– Tęsknisz za bratem i siostrą?

– Nie wiem – odparł Nathan, nie rozumiejąc, w czym rzecz. – Często o nich myślę, zastanawiam się, jak sobie beze mnie radzą. Zawsze mogli na mnie liczyć.

– Myślisz, że oni tęsknią za tobą?

– Na pewno. Oczywiście do czasu, aż nie zjawi się ktoś, na kim mogliby się wesprzeć. – Z uśmiechem dodał, że nie ma do nich pretensji o tę niewierność.

– Tylko ktoś wyjątkowy zawsze będzie bratem, Nathanie. Zazwyczaj ludzie, gdy dorastają, uczucia do rodzeństwa zastępują miłością i poczuciem odpowiedzialności za kogoś innego. Żona, dzieci, praca, zainteresowania, nie wspominając o odległości, sprawiają, że rodzeństwo staje się sobie obce. Ale w tobie wyczuwam, że nigdy nie przestaniesz być bratem, i jest to dla mnie prawdziwa pociecha.

– Och, nigdy nie opuszczę Rebekki, tato. Nie musisz się tego obawiać.

– Nie obawiam się. Żałuję tylko...

Ojciec urwał z pół słowa, wyraźnie nie chcąc kończyć tego, co miał powiedzieć, i obrócił się do okna. Co dzisiaj w niego wstąpiło? zastanawiał się Nathan. Od wizyty w Las Tres Lomas ponury nastrój zdawał się go nie opuszczać.

– Czego żałujesz, tato?

Ojciec pokręcił głową.

– Niczego, synu. Twój stary ojciec żałuje, że tak się wszystko potoczyło, nic ponadto.

Nathan uznał, że mówi o Rebecce. Na pewno zastanawia się, co się z nią stanie, kiedy zabraknie jego i babki. Kto się o nią zatroszczy? Czy ma prawo obarczać tym syna, który ledwie pół roku temu dowiedział się o jej istnieniu, nakładać na niego i przyszłą żonę ciężar opieki nad opóźnioną w rozwoju siostrą? Nathan pochylił się i poklepał ojca po kolanie.

– Niepotrzebnie martwisz się przyszłością Rebekki, tato. Masz moje słowo, że bez względu na wszystko będę się nią opiekował do samego końca.

Trevor spojrzął na niego i zaskoczony Nathan dostrzegł w jego oczach łzy, nad którymi jednak szybko zapanował.

– Dziękuję ci, Nathanie – powiedział. – Zaczynam nabierać pewności, że nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego syna.

Deszcz zaczął padać w niedzielę rano, kiedy Waverlingowie byli na mszy w kościele. Silny wiatr uderzył w dzwonnice akurat w chwili, gdy chór kończył *Fairest Lord Jesus*, zagłuszając wzniosły finał i niweczając efekty trwających przez cały tydzień prób. Dzwon bił nierówno przez całą kolektę, rozlegały się też niezadowolone pomruki wiernych, którzy przyszli na mszę piechotą, i tych, których powozy przeciekały. Mieszkańcy Dallas nie zostali uprzedzeni o nadciągającej

nawałnicy. Powóz Waverlingów wprawdzie nie przepuszczał deszczu, lecz Mavis, Trevor i Nathan zerkali nerwowo na Rebeccę, mając nadzieję, że ktoś w końcu uciszy szalejący dzwon, zanim odwróci uwagę dziewczynki od nowego tomiku poezji. Przysłała go jej Charlotte wraz z liścikiem do Nathana, który przyprawił go o szybsze bicie serca: „Z niecierpliwością czekam na dzisiejsze spotkanie”. Niektóre burze były dla Rebekki nie do zniesienia. Cichy, spokojny deszczyk jej nie niepokoił, lecz gwałtowne, rozdzierające niebo ulewy wprawiały ją w stan wielkiego pobudzenia. Jej ukochany wujek zginął w dniu, w którym szalała wichura, a z nieba lały się potoki wody.

Zdenerwowane szepty nasiliły się, kiedy z bocznych drzwi przy ołtarzu wyłonił się cicho diakon i wyszeptał coś do ucha pastorowi, który właśnie wstawał, by podejść do pulpitu. Wysłuchawszy diakona, wielebny skinął ponuro głową.

– Drodzy przyjaciele – przemówił do zgromadzonych – właśnie dotarła do nas wieść, że wczoraj potworny huragan uderzył w Galveston, siejąc zniszczenie i powodując śmierć wielu ludzi. Linie telegraficzne i telefoniczne zostały zerwane, nie kursują też pociągi. Burza zmierza teraz do nas. Proponuję, żebyśmy jak najszybciej przyjęli błogosławieństwo i udali się do domów, by zabezpieczyć nasz dobytek i zwierzęta. Modląc się, pamiętajmy o zdewastowanym Galveston i jego mieszkańcach.

Błogosławieństwo było krótkie. Wierni otworzyli oczy i pośpiesznie zbierali się do wyjścia, poza jedną Rebeccą. Tomik poezji leżał otwarty na jej kolanach, a ona zatykała rączkami uszy przed hukiem dzwonu, zawodzącym wiatrem i bębniącym deszczem.

– „Wiatrów królu! – zaczęła recytować, kiwając się w przód i w tył. – Nadciągasz. Wyczuwam ciebie, twój oddech poznaję na płonącym niebie. I czekam, cały z drżeniem, na huraganu objawienie”⁷.

– Wielki Boże! – mruknął Trevor.

– Myślałam, że nie słucha – powiedziała Mavis, pośpiesznie otulając ramiona wnuczki peleryną.

– Słuchała – rzekł Nathan. – Wracajmy do domu, do Zaka.

Rozdział 67

Powrót do domu był dla Waverlingów trudny. Wszyscy przemokli do suchej nitki, gdy biegli do powozu – zwłaszcza Trevor i Nathan, którzy musieli pomóc Benjy’emu uspokoić konie – a Rebecca nie dała się uciszyć. Z jej marynarskiego kapelusika kapąła woda, a ona kiwała się w przód i w tył, bez końca recytując pierwsze strofy wiersza Johna Masefielda, aż w pewnym momencie Nathan miał ochotę zasłonić uszy dłońmi. Wreszcie Trevor nie wytrzymał i ostro upomniał Rebecce, żeby przerwała swoje piekielne skandowanie. Rozzłościł tym Mavis, która zapytała, dlaczego uważa, że dziecko ma przestać recytować ulubioną poezję swojego wujka.

– Takie dni jak dzisiaj przypominają jej o nim – powiedziała.

– Mnie też, mamó. Dlatego właśnie nie mogę słuchać akurat tego wiersza – odparł Trevor, zamykając matce usta.

Kiedy w końcu dotarli do domu, panowie poszli do swoich pokoi pozbyć się sztych na miarę garniturów i butów, a tymczasem Mavis i Lenora próbowały zdjąć z Rebekki przemoczone ubrania i opatulić ją w koc. Z szaleństwem w oczach opierała się ich wysiłkom, nie przestając recytować, aż wreszcie w kuchni zjawił się Trevor wraz z Nathanem, żeby odwiesić mokre ubrania w suszarni.

– Rebecco! Natychmiast przestań! – rozkazał Trevor. – Doprowadzasz tym wszystkich do szału.

Rebecca, w samej haleczce i pantalonach, przerwała w pół słowa i mrugając oczami, wpatrywała się w ojca, jakby nie wiedziała, kim jest. Nagle rzuciła się ku niemu z krzykiem.

– Tatusiu, tatusiu, uratuj go!

Z całej siły objęła Trevora w pasie.

W kuchni zapanowała nagle cisza. Wszyscy wiedzieli, o kim dziewczynka mówi. Nathan spuścił oczy, a Mavis i Lenora wymieniły zrozpaczone spojrzenia. Nawet Zak położył się płasko na podłodze, skomląc cichutko. Po chwili Trevor obronnym gestem otoczył drobne ramionka córki.

– Bardzo bym chciał, koteczku – wyszeptał.

Mavis odwróciła się i gwałtownie zaczęła strzepywać nad zlewem mokry płaszczyk Rebekki, a Nathan nie wiedział, czy robiła to ze złości, czy też rzeczywiście chciała usunąć wodę.

Lenora nachyliła się do ucha dziewczynki.

– Moje biedne maleństwo – powiedziała śpiewnie. – Chodź, Lenora zrobiła dla swojego aniołka czekoladę. Napijemy się, dobrze?

Jednak Rebecca nie dała się oderwać od ojca. Wtuliła głowę w jego świeżo założoną koszulę i zaczęła szlochać.

– No już, już, wszystko w porządku – rzekł Trevor, uwalniając się z jej objęć i biorąc ją na ręce. – Pójdziemy do twojego pokoju i zobaczymy, co tam słychać u twoich lalek.

– Przyjdę, jak tylko się przebiorę – zawołała Mavis, kiedy Trevor wynosił córkę z kuchni, z nieodstępującym ich na krok Zakiem.

Nathan dotknął ramienia babci.

– Może powinni przez jakiś czas zostać sami, tylko we dwojkę – powiedział, nieco zirytowany, że babcia chce zakłócić te chwile prywatności ojca i Rebekki, chociaż tyle razy narzekała, że Trevor nie ma dla córki czasu.

Mavis obróciła się ku wnukowi ze zdumieniem w oczach. Nathan spodziewał się, że zostanie przywołany do porządku. Nie miał przecież prawa pouczać babci, kiedy i jak ma się zajmować wnuczką, Mavis jednak uśmiechnęła się lekko i poklepała go pieszczotliwie po policzku.

– Mój kochany chłopiec. Taki młody, a taki mądry. Dojrzałeś tak wcześnie pewnie dlatego, że dorastałeś na wsi. Masz rację, powinni zostać sami. Trevor kocha Rebecę... na swój sposób. Czasem o tym zapominam. Lenoro, idę się przebrać, a potem z Nathanem wypijemy po filiżance czekolady w salonie.

Kiedy wróciła, Nathan zdążył rozpalić ogień w kominku. Z powodu deszczu ochłodziło się i babcia otuliła się szalem, po czym z westchnieniem usiadła w swoim fotelu.

– Miło ogrzać stare kości przy ogniu – powiedziała. – Dziękuję, Nathanie. Wniosłeś w nasze życie tyle ciepła, ale jesteś zbyt skromny, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

Nathan usiadł naprzeciwko niej, czując, że nie może na to w żaden sposób odpowiedzieć. Najwyraźniej burzliwy dzień przywołał smutne wspomnienia.

– To wszystko ma związek z Jordanem – odezwała się Mavis. – Minęły już trzy lata, ale Rebecca nigdy nie otrząsnęła się po śmierci wujka. Był jej najlepszym przyjacielem. Choć to smutne, byli do siebie bardzo podobni i mała ogromnie za nim tęskni. Kiedy tak pada – wskazała na ociekające deszczem okienne szyby – przypomina jej się dzień, w którym Jordan zmarł.

Na to wspomnienie zacisnęła usta. Ogień odbił się w jej zielononiebieskich oczach, wyblakłych z wiekiem. Nathan ujrzał, że w przeciwieństwie do koloru czas nie stłumił kryjącej się w nich goryczy. Ogarnął go smutek na myśl, że Mavis nie знаła prawdy, która mogłaby uśmierzyć jej ból, gdyby tylko ojciec zechciał ją wyjawić. Może jej reakcja by go zaskoczyła. Zamiast zbrukać pamięć o ukochanym nieżyjącym już synu, prawda mogłaby obudzić w niej miłość do syna, który jej został. Nathan jednak dał słowo i nie złamie go.

Lenora przyniosła gorącą czekoladę. Z wdzięcznością wziął od niej filiżankę, ciesząc się, że gorący napój przyniesie ulgę ściśniętemu gardłu. Mavis patrzyła na niego przenikliwie.

– Tłumisz coś w sobie, Nathanie. Widzę to. Twój dziadek podobnie nic nie mówił, kiedy miał zbyt wiele do powiedzenia. Wyrzuć to z siebie. Co cię gryzie?

Nathan odstawił filiżankę na spodek. Nie było ucieczki przed tym bacznym, przesywającym spojrzeniem. Łatwiej byłoby zawrócić nadlatującą kometa. Chrząknął i żeby zyskać na czasie, popatrzył w ogień. Tak naprawdę to Leon nauczył go milczeć, gdy było zbyt wiele do powiedzenia.

– Wolę zatrzymać dla siebie to, o czym nie mam prawa mówić, babciu – powiedział.

– Och, na miłość boską! – Mavis gniewnie stuknęła swoją laską. – To jest twój dom. Należysz do rodziny. W tym domu nie ma „praw”, o których mówisz. Nie powinniśmy ukrywać tego, co czujemy. Chyba nie chcesz być taki jak twój ojciec.

Nathan spojrzał na nią ostro.

– A to czemu? Nie widzę w nim niczego odpychającego.

Zdziwienie, prawie szok, odmalowało się na jej twarzy jak z porcelany, bladej i pokrytej delikatną siateczką zmarszczek.

– Och, widzę, że cię do siebie przekonał. To dobrze. Nawiązaliście ojcowsko-synowską więź. Miałam nadzieję, że tak się stanie. Przynajmniej po mojej śmierci Trevor dalej będzie miał rodzinę.

Co miało oznaczać, że Rebecca nie była dla swojego ojca rodziną, przynajmniej nie w jego mniemaniu, i Nathan musiał przyznać babci rację. Nie wątpił w to, że ojciec kocha Rebeccę, jednak dziewczynka nie spełniała jego oczekiwań. Dla niego, który nade wszystko cenił sobie zdrowie i fizyczną sprawność, była niczym domowe zwierzątko.

– Chcę tylko powiedzieć, że twój ojciec skrzętnie ukrywa swoje uczucia – wyjaśniła Mavis. – Zawsze taki był, już jako mały chłopiec. Bardzo tego żałuję. Mogłabym go lepiej poznać. Za to Jordan... on mówił otwarcie o wszystkim.

– Nieprawda – wyrwało się Nathanowi, zanim zdążył się zastanowić. Poczul, że robi się czerwony na twarzy. – Chciałem powiedzieć... – Zagryzł wargę.

Mavis zaśmiała się lekko, widząc jego zakłopotanie.

– Wiem, co chciałeś powiedzieć, kochany. Mój starszy syn na pewno nie mówił matce o wszystkim. W końcu był przecież mężczyzną.

Usłyszeli, że Trevor schodzi po schodach i zwraca się do Lenory, mówiąc, że Rebecca napije się teraz czekolady.

– Zostawiłem ją z Zakiem – oznajmił matce i Nathanowi. – Dałem jej odrobinę laudanum, więc za chwilę powinna zasnąć. Kiedy się obudzi, może burza już przejdzie i zapomni o scenie w kuchni. Nathanie, chodź ze mną do gabinetu. Przed lunchem chciałbym z tobą omówić kilka spraw.

Nathan z ulgą wstał z fotela, wyczuwał jednak, że babcia niechętnie zostawała sama w salonie, za jedyne towarzystwo mając szalejącą za oknami burzę

i trzask ognia w kominku, zwłaszcza w dniu tak podobnym do tego, w którym umarł jej syn.

Przez cały dzień dzwonił telefon. Znajomi dzielili się strzępkami informacji, jakie do nich docierały o przyjaciółach i krewnych w zniszczonym Galveston. O tym, co naprawdę się tam stało, dowiedzą się dopiero, gdy zostanie przywrócona łączność. Trevor był pewny, że oddalone o czterdzieści mil od Galveston Beaumont także ucierpiało, i dziękował losowi, że ładunek stalowych obudów, który spakowany miał już wyruszyć koleją do Spindletop, opóźnił się z powodu braku miejsca w wagonach. Wysad solny znajdował się tuż przy Zatoce Meksykańskiej. Za każdym razem, gdy telefon się odzywał, Nathan spodziewał się, że dzwoni Charlotte z wiadomością o odwołanym przyjęciu.

Na zmianę zaglądali do Rebekki, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Zak czuwał na podłodze obok jej łóżka, a po lunchu Mavis położyła się obok wnuczki, żeby się zdrzemnąć. Deszcz nie ustawał i wciąż zawzięcie bębnił w szyby. Nathan cieszył się, że Rebecca śpi. Po lunchu udało mu się skontaktować z Charlotte, której rodzina także zupełnie przemokła, wracając z niedzielnej mszy. Obawy Nathana się potwierdziły. Przyjęcie trzeba było odwołać, ale Charlotte zaproponowała, że zagrają w karty, kiedy tylko pogoda się poprawi. Uradowany, resztę popołudnia spędził w gabinecie z ojcem na omawianiu spraw biznesowych. Wiatr zaczął stopniowo słabnąć, a łomot deszczu przeszedł w łagodny szum.

Rozmawiali o planach Trevora na budowę nowego kompleksu fabryki i jego spotkaniu z doświadczonym wiertniczym studni, którego Trevor planował zatrudnić przy budowie pierwszego szybu naftowego. Mężczyzna nazywał się Jarvis Putnam. Nathan, Todd i Daniel byli obecni na pierwszym spotkaniu z wiertniczym w Waverling Tools. Todd zapytał go, czy według niego w Teksasie jest dużo ropy. „Do licha, a jakże! – wykrzyknął stary wyjadacz. – W Teksasie jest morze ropy. Jest tu od tysięcy lat, głęboko ukryta, i tylko czeka, żeby ją wydobyć. Po prawdzie to cała historia Ziemi jest tam na dole, uwięziona w warstwie starszej od pierwszego człowieka, który się na Ziemi pojawił. Szkopuł w tym, żeby znaleźć fachowców i wyprodukować narzędzia, by to wszystko wykopać. I przy okazji nie zniszczyć całej reszty”. Trevor i Nathan wymienili spojrzenia mówiące, że myślą tak samo. Samancie ten człowiek przypadnie do gustu. Trevor z miejsca go zatrudnił.

Gdy słońce zaczynało zachodzić, mieli przejść do salonu, gdzie Trevor zwykle o tej porze wypijał swoją szklaneczkę szkockiej z wodą. Nagle usłyszeli ujadanie i gwałtowne drapanie w drzwi gabinetu. Nathan pobiegł je otworzyć i w piersi uderzyły go dwie mokre łapy.

– O co chodzi, Zak? – rzucił, mierzwiąc mokry kark owczarka, lecz nagła myśl przeszła go niczym strzała.

Pies w odpowiedzi skoczył w stronę schodów. Nie przestawał szczekać.

– Lepiej sprawdźmy – powiedział Nathan do Trevora. – Chyba chodzi o Rebecę.

Trevor zerwał się z biurka i razem z Nathanem pobiegł za psem na piętro. Chcieli skręcić w stronę otwartych drzwi do pokoju Rebekki, pies jednak, wciąż ujadając, rzucił się korytarzem w przeciwną stronę. W holu pojawiła się zaspana Mavis.

– Co się dzieje? – zawołała. – Czemu Zak tak szczeka? Gdzie jest Rebecca?

Trevor przystanął.

– Nie ma jej z tobą?! – krzyknął do matki.

– Nie. Ale wcześniej leżała obok mnie i spała jak kamień.

Trevor spojrział na Nathana, a w jego oczach błysnęło przerażenie.

– Poszła nad rzekę.

Pobiegli za Zakiem, który skomląc i szczekając, czekał na nich przy otwartych drzwiach wiodących na zewnątrz. Ujrzeni na podłodze kałuże wody, które potwierdziły ich najgorsze przypuszczenia. Dziewczynka wyszła na deszcz razem z Zakiem i zrobiła coś, co kazało psu wrócić i podnieść alarm. Widząc, że Nathan i Trevor idą za nim, owczarek zbiegł po schodach i pognął w stronę pomostu. Mężczyźni rzucili się w ślad za nim.

– Rebecca! – krzyczał Trevor przerażonym głosem.

Nathan zaczął mu wtórować, lecz w głębi walącego jak oszalałe serca wiedział, że jest już za późno. Rebecca poszła szukać swojego wujka. W skąpanym w deszczu popołudniu, z wolna przechodzącym w zmierzch, niemal słyszał, jak dziewczynka recytuje po raz ostatni: „W morze mi nadszedł czas powrócić, w samotność nieba i wody głębinę. Dajcie mi jeno żaglowiec rączy, który za gwiazdą wnet podąży”.

Benjy usłyszał rwetes i pognął za Nathanem i Trevorem, doganiając ich, gdy wbiegli na zalany pomost. Nathan bał się, że Zak rzuci się do rwącej rzeki i nie da się go uratować, pies jednak jak oszalały biegał przy skraju pomostu, po czym zawrócił i pognął wzdłuż brzegu.

– Chyba powinniśmy iść za Zakiem! – krzyknął Nathan do Trevora, który tylko skinął głową, z twarzą poszarzałą jak popiół.

Zak ją znalazł. Prąd nie porwał jej i nie zabrał tam, gdzie rzeka by ją pochłonęła. Leżała twarzą w dół, między dwoma wielkimi głazami na brzegu, a jej długie ciemne włosy i koszulka nocna falowały wokół jej ciała. Pies trącał ją łapami i skomlał, aż wreszcie Nathan go odciągnął i Trevor mógł wejść do wody i wziąć córkę w ramiona.

– Trzymam ją. Trzymam moją małą dziewczynkę.

Mavis, drobna i krucha, owinięta szalem, stała i czekała na szczycie skarpy schodzącej do pomostu. Z aureolą siwych włosów, w przesiąkniętej wodą jasnej sukni wyglądała niczym pradawny duch powstały z rzeki. Jej mokra od deszczu

twarz nie zdradzała żadnych emocji, kiedy Trevor niosący ociekający wodą ciężar i pozostali mężczyźni, w milczeniu, zbliżyli się do miejsca, w którym stała. Chociaż z rzęs kapiała jej woda, nawet nie mrugnęła.

– Idź do domu, mamó, zanim zamarzniesz – przemówił do niej łagodnie Trevor.

Mavis bez słowa, posłusznie ruszyła za nim. Weszli do domu przez tylne drzwi, za którymi czekała zdenerwowana Lenora. Dopiero wtedy Mavis się odezwała.

– Wiedziałam, że któregoś dnia rzeka ją zabierze. Połóż ją na jej łóżku, Trevorze, a ja przyniosę koce.

Doktor rodziny razem ze swoją pielęgniarką pojechał pomagać w Galveston, jak dowiedział się Nathan, kiedy zadzwonił do jego przychodni. Najlepiej, żeby skontaktowali się z policją, która zawiadomi koronera.

Pograżeni w szoku i żalu czekali w salonie na przyjazd policji. Mavis siedziała w swoim fotelu, nie roniąc ani jednej łzy, jak ktoś pograżony w żałobie po ukochanej osobie, która odeszła tak dawno, że zabrakło już nawet łez. Miała bladą twarz, zaciśnięte usta, a na jej kolanach leżał zwinięty Scat. Lenora płakała cichutko w kącie, w drugim Benjy przesuwiał w palcach swój różaniec, a usta poruszały mu się w niemej modlitwie za zmarłych. Trevor siedział pograżony w myślach w swoim fotelu przy oknie, nieruchomy jak rzymski posąg. Nathan zrozpaczony usiadł w fotelu naprzeciwko babki. Zak leżał u jego stóp, z pyskiem wspartym na łapach. Nie został wpuszczony do pokoju Rebekki.

– Dlaczego? – zapytała Mavis, kierując swoje pytanie w przestrzeń. – Dlaczego? Wiedziałam, że rzeka ją fascynuje, ale przecież tyle razy ją ostrzegaliśmy, żeby nie chodziła tam sama. Dlaczego zrobiła to akurat dzisiaj?

Nathan zerknął na ojca. Tylko on i Trevor znali odpowiedź. Rebecca widziała, jak jej wuj tonie. Dzisiaj przez burzę nie mogła otrząsnąć się ze wspomnienia tamtej chwili i poszła nad rzekę, żeby go uratować. Jego przyrodnia siostrzyczka próbowała im to powiedzieć, tyle że nikt jej nie słuchał. Pamiętał o obietnicy danej ojcu: „Bez względu na wszystko będę się nią opiekował do samego końca”. Nathan przeniósł spojrzenie na babcię i ku własnemu zdumieniu, zanim zdążył ugryźć się w język, usłyszał swój głos.

– Rebecca widziała, jak jej wuj poszedł się utopić, i chciała go uratować.

Rozdział 68

Billie June i Daniel wsiedli do pierwszego popołudniowego pociągu do Fort Worth i dotarli na ranczo dokładnie w chwili, kiedy deszcz i wiatr zaatakowały Dallas. Konduktor, który przyszedł skasować bilety, poinformował pasażerów, że podobno potworna burza znad Zatoki Meksykańskiej uderzyła w Galveston i było wielce prawdopodobne, że przesunie się w głąb lądu.

– Mam nadzieję, że Sloan zdążył zebrać siano – powiedziała Billie June. – Jeśli nie, będzie bardzo mało paszy na zimę, poza tym powódź może zagrozić stadom. Neal Gordon boryka się z tym samym problemem. Bydło instynktownie ucieka przed wodą na wyżej położone tereny, ale tych nie jest dość dużo na obu ranczach, a jak zaczną walić pioruny, zwierzęta mogą się nawzajem tratować.

– Co się stanie, jak nie zdążą uciec albo zabraknie miejsca? – zapytał Daniel.

Billie June siedziała przez chwilę z ponurą miną.

– Stracimy część stad i o wiele mniej zarobimy. Hodowla bydła to ciężki kawałek chleba, ponieważ tyle zależy od pogody. Jeśli burza będzie gwałtowna i długa, Triple S znajdzie się w poważnych tarapatach.

Daniel słuchał tego ze zdumieniem. Był przekonany, że takie wielkie ranczo jak Triple S bez trudu przetrwa każdą nawałnicę.

– Triple S w tarapatach? Jak to?

Billie June wyglądała tak, jakby żałowała, że zwierzyła się Danielowi. Zawsze ją zachęcał, żeby opowiadała mu o rodzinnych sprawach w nadziei, że dowie się czegoś o Sloanie, co będzie mógł przeciwko niemu wykorzystać, jednak ostatnio zdradzała bardzo niewiele, a jeżeli wspominała o bracie, to mówiła tylko same dobre rzeczy. Daniel zaczął podejrzewać, że Billie June, nalegając, aby zamieszkał na ranczu, kierowała się nie tylko troską o jego wygodę. Być może miała nadzieję, że kiedy brat i ukochany poznają się lepiej, przestaną kruszyć kopie. Nic z tego. Sloan Singleton należał do ludzi, których Daniel nienawidził najbardziej i którzy mieli się za lepszych od innych wyłącznie dlatego, że poszczęściło się im w chwili narodzin. Daniel przyszedł na świat dosłownie w rynsztoku, ale jak tylko wyszedł z pieluch, zdołał się z niego wydostać. Jak na razie nie miał się czym szczególnie pochwalić, lecz w pewnym sensie to, że nie stanął w miejscu, zawdzięczał Sloanowi Singletonowi. Gdyby Wielki Pan Ważniak nie upokorzył go tamtego dnia, być może Daniel nie zaszedłby tak daleko, ale nie był to powód, by wybaczyć i zapomnieć. Sloan wciąż był tym samym protekcyjnym, skupionym na sobie snobem. Daniel zamierzał się z nim policzyć choćby tylko przez wzgląd na Samanthę i czekające ją cierpienie, kiedy dziewczyna się dowie, dlaczego tak naprawdę Sloan się z nią ożenił.

Troska Billie June była jak otwarta rana i Daniel podejrzewał, że nie zdoła

zbyt długo dusić jej w sobie. Zastanawiał się, jak to możliwe, że jeszcze nie domyśliła się prawdziwego powodu, dla którego wciąż się z nią spotykał. Ani razu nie powiedział, że ją kocha. Na to kłamstwo nie potrafił się zdobyć. Z całą szczerością mógł przyznać, że jej pożąda, podziwia ją, że towarzystwo żadnej innej kobiety tak mu nie odpowiadało, ale żeby ją kochał... nie, tego nigdy nie powie.

– Dlaczego Triple S znajdzie się w tarapatkach, jeżeli burza okaże się groźna? – nie dawał za wygraną.

Billie June zaczęła nerwowo skubać mankiet zakietu.

– Powiedzmy, że każda krowa jest na wagę złota – odparła, a po chwili, jakby nie mogąc ukryć niepokoju, dodała: – Tym bardziej że Sloan ma dług w banku Rutherford City.

Danielowi prawie opadła szczeka ze zdziwienia. Sloan Singleton zadłużony u starego Rutherforda? Po tym, jak rzucił jego córkę, Noble Rutherford upomni się o swoje, gdy tylko ranczer spóźni się z zapłaceniem choćby jednej raty.

– Ale przecież dług twojego brata nie jest chyba aż tak duży, żeby się musiał martwić – powiedział Daniel.

Billie June w odpowiedzi kiwnęła głową. Daniel był wstrząśnięty.

– Przecież twój brat nie może być aż taki d... – W ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć „durny”. – ...zdesperowany, żeby oddawać w zastaw ranczo?

Znowu ta ponura mina zagościła na twarzy Billie June.

– Obawiam się, że tak. Susza dotknęła nas o wiele bardziej niż Gordonów i Sloan potrzebował pieniędzy, żeby wymienić bydło na bardziej odpowiednie dla naszego klimatu i pastwisk, ale wtedy przyszła kolejna susza. Mój brat miał nadzieję, że w ciągu dwóch lat stada powiększą się dwukrotnie, i tak właśnie się stało. Nigdy by nie zastawił rancza, gdyby widział w tym jakieś ryzyko.

Nie było żadnego ryzyka, kiedy podpisywał umowę, pomyślał sobie Daniel. Sloan zamierzał się ożenić z Anne Rutherford, której tatuś nigdy by nie pozwolił, żeby nad jego córeczką zawisło widmo przejęcia ziemi, więc ranczu nic nie groziło. Gdyby Anne wyszła za Sloana, Noble Rutherford zapewne umorzyłby dług – w prezencie ślubnym. Ale wtedy Sloan postawił na Samanthę, potencjalną dziedziczkę naftowej fortuny i znacznie lepszą kandydatkę na żonę ranczera, wiedząc, że Neal Gordon z tych samych powodów co Noble Rutherford nigdy nie pozwoli, żeby Triple S upadło. Co za przebiegły drań! Sloan Singleton wcale nie był lepszy od innych, ale na pewno głupszy. Nie pomyślał, że zanim ropa Gordona popłynie – jeśli popłynie – może dojść do kolejnej katastrofy, i teraz bankier miał go w garści. Nikt bardziej od Sloana nie zasługiwał, żeby go to spotkało. Daniel nie mógł nie zauważyć, że Billie June mówi „my” i „nasze.” Wciąż była bardzo związana z ranczem.

– Domyślam się, że tylko pieniądze z funduszu powierniczego twojego

i Millie May mogą go wydobyć z tarapatów – podsunął.

Billie June obrzuciła go spojrzeniem, które mogło zamrozić piekło. Daniel zrozumiał, że przeholował. Nic dziwnego, krew nie woda. Do tej pory siedzieli w swoim przedziale, trzymając się za ręce, ale teraz Billie June wyrwała dłoń z jego uścisku.

– Gwoli wyjaśnienia powiem, że Sloan nigdy nie wzięłyby centa z naszych funduszy powierniczych, bez względu na to, co by się działo – oznajmiła. – Proponowałyśmy mu pożyczkę, kiedy dowiedziałyśmy się, że potrzebuje pieniędzy, ale zdecydowanie odmówił. W życiu nie zaryzykowałby pieniędzy, które zgodnie z wolą tatusia mają nam zapewnić utrzymanie na wypadek, gdybyśmy nie wyszły za mąż.

Inna kobieta przy ostatnich słowach posłałaby znaczące spojrzenie, Billie June jednak odwróciła gniewny wzrok do okna. Kiedy go tak zrugowała, Daniel poczuł niespodziewane ukłucie w sercu. Spróbował znowu ująć jej rękę.

– Wybacz, nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym oczerniał twojego brata – powiedział przeprasającym tonem.

– Nie znasz go – rzekła Billie June.

Owszem, znam, sprzeciwił się jej w duchu. Po co Sloan miałby pożyczać pieniądze od siostr, skoro planował ożenek albo z dziedziczką bankowej fortuny, albo z dumą i radością ranczera i jednocześnie potentata naftowego? Wielki Pan Ważniak nie przewidział jedynie tego, że jego plany pokrzyżuje huragan. Ciekawe, jak też się z tej sytuacji wykaraska – jeśli w ogóle mu się to uda. Daniel uśmiechnął się do siebie i oparł wygodnie o skórzane siedzenie. Brakowało mu dotyku cieplej dłoni Billie June, ale cieszyła go myśl, że być może burza wykona za niego zadanie, które stało się jego życiową misją.

Millie May, ze zdenerwowaną Samanthą za plecami, otworzyła drzwi, by powitać Billie June i Daniela Lane'a, zanim do reszty przemokną, biegnąc od powozu, który wyjechał po nich na stację. Sloan wybiegł na deszcz, by pomóc przy bagażach, burcząc pod nosem, że siostra musiała przywieźć z mieszkania w Dallas wszystko z wyjątkiem chłodziarki. Obok worka z narzędziami Daniela przy drzwiach wejściowych stanęły wkrótce walizy, torby podróżne, pudła na kapelusze i wielki kufer. Mężczyźni nie uścisnęli sobie rąk na powitanie. Dla Sloana Daniel równie dobrze mógłby być gałką przy poręczy schodów.

– Na litość boską, Billie June, masz więcej rzeczy, niż kiedy wyjeżdżałaś z domu! – zdenerwował się jej brat. – Gdzie my to wszystko upchniemy?

– Na górze jest schowek, w którym trzymamy bożonarodzeniowe dekoracje – powiedziała Billie June. – Część możemy tam schować.

– Nie! – zaprotestował Sloan, nie mniej od żony i siostr zdziwiony swoim wybuchem. I – niech to! – Daniela. Lane w zadumie zmrużył jedno oko, podczas gdy kobiety spoglądały na Sloana zdumione. – Chciałem powiedzieć... że to nie

najlepszy pomysł, Billie June. W schowku nie da się już wcisnąć szpilki, a poza tym są tam delikatne ozdoby naszej matki.

– Och, no tak – zgodziła się z nim siostra. – Zrobimy trochę miejsca w schowku za schodami, poza tym możemy też wsunąć walizki pod łóżka.

Kiedy sprawa bagażu została załatwiona, Billie June podzieliła się wieściami o huraganie w Galveston, który teraz zmierzał w głąb lądu.

– Co oznacza opóźnienie w waszym harmonogramie wierceń – rzekł Sloan do Daniela w nadziei, że ten zrozumie aluzję i wróci do Dallas.

Nie mógł pozwolić, żeby intruz pałętał się sam po domu, podczas gdy on i jego ludzie będą walczyć ze skutkami nawałnicy.

– Zobaczmy, jak będzie w poniedziałek. Mój szef powinien dzisiaj albo jutro zadzwonić i poinformować mnie o swoich decyzjach. Być może pan Waverling zechce, żebym pojechał na wybrzeże sprawdzić, do jakich zniszczeń tam doszło. A tymczasem mógłbym pomóc na ranchu – zaproponował Daniel.

Billie June, już udobruchana, poklepała go po ramieniu.

– Daniel nie potrafi usiedzieć na miejscu – powiedziała z dumą – chyba że akurat czyta. Wciąż wynajduje sobie coś pożytecznego do zrobienia. Na pewno znajdziesz dla niego jakąś robotę, Sloanie.

Zaskoczony propozycją Sloan chętnie na nią przystał. Na wieść o nadciągającym huraganie ścisnęło go w żołądku. Nie zdążyli zebrać całego siana, co spowoduje niespodziewane i poważne straty finansowe. Jeżeli burza dotrze do nich i potrwa tak długo, jak Sloan się obawiał, siano ucierpi na wszystkich ranchach w okolicy. Niewiele trafi na sprzedaż, a ceny poszybują niebotycznie, tym się jednak będzie martwić, gdy nadejdzie pora. Teraz bardziej obawiał się szelestnicy, zwłaszcza wśród stad rozplodowych. Była to śmiertelnie groźna choroba wywoływana przez bakterie, które rozwijają się w ziemi w wyniku powodzi. Istniała też groźba innych chorób, zakaźnych, jak zanokcica i zapalenie płuc, których epidemie wybuchały, gdy bydło było zbyt długo wystawione na działanie deszczu i stojącej na pastwiskach wody. Musi przegnać stada na wyżej położone tereny. Poza tym od lat nie było już tak silnego wiatru, a to oznaczało, że przez kilka następnych dni trzeba będzie objeżdżać ogrodzenia i sprawdzać, czy nie uległy zniszczeniu, a kiedy pogoda się poprawi, przeczesać wszystkie pastwiska i oczyścić je z metalowych przedmiotów, jak gwoździe i kawałki drutu, które zwierzęta mogą połknąć i poranić sobie przewody pokarmowe. Trzeba też będzie usunąć z pastwisk nawiane rośliny, zwłaszcza trujące liście i gałęzie czeremchy, której w żaden sposób nie dawało się wyplenić, poza tym też zebrać i spalić zwłoki utopionych zwierząt. Czekają ich mnóstwo pracy, nie licząc opieki nad tysiącami krów, nawet jeśli przetrwa ich tylko niewielka część.

– Zna się pan na zaganianiu bydła przy złej pogodzie? – zapytał Sloan Daniela.

Chociaż w swoim życiu Lane miał się najróżniejszych zajęć, to nigdy nie pracował na ranczu, nawet przy dobrej pogodzie.

– Umieć jeździć konno i posługiwać się lassem, jak każdy mężczyzna – odparł.

Sloan pomyślał, że nie ma znaczenia, czy kowal potrafi odróżnić jedno od drugiego, byle tylko trzymał się z daleka od jego domu.

– W takim razie chodźmy – powiedział.

Kiedy wyruszyli, ranczo pogrążyło się w przedwczesnych ciemnościach, a deszcz i wiatr bardzo się wzmogły. Smagani ulewą usiłowali się zorientować, skąd dochodzą odgłosy przerażonych zwierząt: cielaków nawołujących matki, ryczących krów i byków. Wszystkie te dźwięki, parskanie i prychanie, przebijały się przez huk wiatru, jednak widoczność była zerowa. Sloan i jego parobkowie, także Daniel, jechali w jednym rzędzie, bo w ten sposób łatwiej było natrafić na zbłąkane czy ranne zwierzę, jednak ściana deszczu uniemożliwiała im orientację w terenie. Ludzie z rancza na ślepo umieli trafić do głębokich, wąskich i stromych wąwozów, do których mogły wpaść przerażone zwierzęta. Z rozpaczą przekonali się, że ich obawy były słuszne. Ujrzeni rozdzierający serce widok krowy, która stojąc na krawędzi jaru, ryczała rozpaczliwie za cielątkiem, które ugrzęzło na jego dnie po kolana w wodzie. Żeby je uratować, kilku parobków musiało zeskoczyć do rowu i przeciągnąć łąso pod przednimi kopytami bezradnego zwierzęcia, potem zaprzeć się barkami o jego zad, podczas gdy inni kowboje na koniach będą je próbowali wyciągnąć. Daniel jako pierwszy wskoczył do rowu, ale porywisty wiatr wyrwał mu łąso z rąk, mokra ziemia zaś była tak śliska, że koń nie był w stanie się na niej utrzymać pod ciężarem cielaka. Choć bardzo się starał, nie zdołał uratować małego.

– Nie możemy pozwolić, żeby utonął! – wrzasnął do Sloana, który puścił linę, chcąc ratować konia.

– Obawiam się, że nie mamy wyjścia – odkrzyknął Sloan zdziwiony rozpaczą malującą się na twarzy Daniela. – Nic tu nie poradzimy, a trzeba ratować inne. Przykro mi, Lane.

W końcu musieli uznać, że dzisiaj nic więcej już nie zdołają. Sloan i Daniel z poczuciem klęski wrócili do domu, a kowboje do stołówki, żeby się rozebrać, owinąć kocami i wysuszyć ubrania przy ogromnym kominku. Na rozkaz szefa, jeśli deszcz i wiatr nie ustąpią, mieli spędzić resztę dnia i przespać noc na twardej podłodze, zamiast ryzykować, że znowu przemokną do suchej nitki, biegnąc w ulewie do swoich baraków. Sloan nie chciał, żeby do wszystkich nieszczęść doszła jeszcze epidemia grypy wśród jego ludzi.

Samantha troskliwie się nim zajęła, przynosząc mu suche ubranie, ściągając ubłocone buty, pojąc gorącą kawą, nie traciła jednak czasu, żeby go pocieszać, jak zrobiłaby każda inna żona. Wychowała się na ranczu i aż za dobrze wiedziała, do

jakich zniszczeń może doprowadzić taka burza, i nie odmienią tego nawet najbardziej kojące słowa. Oba rancza już wcześniej doświadczały powodzi, ale latem, kiedy ziemia i trawa szybko wysychały. Teraz była jesień, wczesna i zimna, i pastwiska zdążyły już oddać całe nagromadzone latem ciepło. Przepowiednia Mildred się sprawdziła. W tym roku nie będzie babiego lata. Ziemia jeszcze długo pozostanie mokra, co groziło strasznymi chorobami, które mogą zdziesiątkować stada w przeciągu co najwyżej czterdziestu ośmiu godzin.

Sloan i Samantha tulili się do siebie w milczeniu, tylko w ten sposób mogąc się nawzajem pocieszyć przed wizją zniszczenia i nieuchronnych strat finansowych. Kiedy niebo się oczyści, będą jeździć po pastwiskach, wąwozach i rowach melioracyjnych wypełnionych wzdętymi zwłokami utopionego bydła. Mogli tylko zgadywać, ile zwierząt padnie. Ich ranczo zamieni się w śmietnisko gałęzi, konarów, pozrywanych dachów i poprzewracanych ogrodzeń. Łąki będą zniszczone, a ogrodzenia padoków i zagród – połamane przez ogarniętą paniką zwierzęta, usiłujące się uratować. Wszystko to będzie wymagało wielu godzin ciężkiej pracy i mnóstwa pieniędzy.

– To nas może zrujnować – powiedział Sloan.

– Nie mów tak. Mam trochę własnych pieniędzy, a tatuś też nam na pewno pomoże.

Sloan nie przyznał się Samancie, na jak wielką sumę był zadłużony. W końcu będzie musiał to zrobić, ale zaczeka, póki jeszcze istniała nadzieja, że jakoś zdoła się wykaraskać z kłopotów finansowych.

– Nie! – zaprotestował gniewnie. – To są twoje pieniądze i nie zgodzę się, żeby twój ojciec za mnie płacił. Sam jestem sobie winien i sam muszę sobie poradzić. A Neal będzie miał dość własnych wydatków.

– Zawsze możesz wziąć pożyczkę z naszego banku. Tatuś na pewno się za tobą wstawi u Cattlemana.

– Absolutnie się nie zgadzam.

Gdyby zgodził się na pomoc teścia, musiałby się przyznać Nealowi, jak doprowadził do tego, że znalazł się w tarapatkach.

– Możesz spróbować w innym banku.

– Noble Rutherford użyje swoich wpływów, żeby wszędzie uznali mnie za czarną owcę.

Samantha parsknęła drwiąco.

– I w jakim świetle postawi to altruistyczną reputację jego córki? Musimy tylko wytrzymać, aż dokopią się do ropy. Wtedy pieniądze przestaną być zmartwieniem. Wiesz przecież, że połowa zysków należy do mnie.

Podpisując umowę z Waverling Tools, Neal Gordon uparł się na takie rozwiązanie. Pieniądze za dzierżawę miały trafić do kasy Las Tres Lomas, ale jeżeli pojawi się ropa, zyski zostaną podzielone między niego i jego córkę.

„Przecież i tak wszystko trafi do jednego garnka” – podsumował Neal, mrugając porozumiewawczo do córki i zięcia.

– Kochanie – odezwał się Sloan – nawet jeśli znajdą ropę, upłynie jeszcze sporo czasu.

Samantha przeczesła palcami wilgotne włosy męża.

– Szkoda, że pocałunek nie zdoła tego wszystkiego załatwić – powiedziała z żalem.

– Ale zawsze możesz spróbować – rzekł Sloan.

Ponura i napięta atmosfera połączona z wyciem wiatru i waleniem deszczu w okna jadalni skutecznie kładła kres wszelkim próbom rozmowy przy stole w czasie kolacji. W nadziei, że w ten sposób humory nieco się poprawią, Millie May zaproponowała partyjkę brydża, lecz do kart mogła usiąść tylko czwórka.

– Och, na mnie nie liczcie – powiedział Daniel. – Nigdy nie byłem zapalonym karciarzem.

– Nie, Lane, zajmij, proszę, moje miejsce – upierał się Sloan. – Nalegam.

Nie mógł pozwolić, żeby kochanek jego siostry włóczył się po domu, podczas gdy on będzie zajęty przy stoliku do kart.

– Nie, naprawdę nie skorzystam – odparł Daniel i zwrócił się do Samanthy. – Może jest w domu coś, co mógłbym naprawić? Dzisiaj nie na wiele przydałem się pani mężowi, ale jeśli znajdzie się coś, czym mógłbym się zająć, zanim wrócę do pracy, z radością oferuję swoje usługi. Nieźle sobie radzę z narzędziami.

Zanim Samantha zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się Billie June.

– Powinnaś widzieć – rzekła z dumą – jak Daniel zadbał o moje mieszkanie. Ani jeden zawias nie skrzypi, żadna gałka nie jest luźna, żadne drzwi rozklekotane, jak to się dzieje tutaj.

Samantha zignorowała gniewny wzrok Sloana skierowany na Lane’a.

– Cóż, to bardzo miłe z pana strony, Danielu – powiedziała. – Prawdę mówiąc, w domu znalazłoby się to i owo, czym pan i pańskie narzędzia moglibyście się zająć, prawda, dziewczęta?

– O ile mnie pamięć nie myli, Lane – odezwał się Sloan z naciskiem – pytałeś, czy możesz się jakoś przydać. I rzeczywiście możesz. Jeśli deszcz ustanie, jutro będziemy naprawiać ogrodzenie. Pomożesz mnie i chłopakom?

Psiakrew! Nie pozwoli, żeby ten cały Lane grasował po domu z młotkiem, podczas gdy on będzie zajęty na ranczu.

– Z radością – odparł Daniel z uprzejmym uśmiechem. – Jak tylko uporam się ze wszystkim z listy pani Samanthy.

Rozdział 69

– Lenoro, wyjdź, proszę, i zamknij za sobą drzwi. Dokładnie – polecił Trevor przez zaciśnięte zęby. – Benjy, pojedź do domu Todda Bakera i powiedz mu, że on i Nathan nie wyruszą jutro do Fort Worth. Na jakiś czas musimy odłożyć przygotowania do budowy szybu w Las Tres Lomas.

– Mam mu powiedzieć czemu, szefie? – Ochryply ze smutku głos woźnicy był ledwo słyszalny.

– Tak.

Mavis wpatrywała się w Nathana, wyrwana z transu jego słowami.

– Co powiedziałeś, Nathanie?

Trevor wstał, dłonie zaciśnięte w pięści trzymając wzdłuż boków.

– Wystarczy, Nathanie. Ty też wyjdź. Idź, zadzwoń do Triple S i powiedz Danielowi, co się stało. Ma czekać, aż się do niego odezwę.

Nathan z walącym sercem z trudem przełknął ślinę. Wydało się. Nie mógł tego cofnąć. Zauważył zaciśnięte potężne pięści ojca, którymi mógłby go wystrzelić w kosmos – gdyby zdołał go nimi trafić.

– Nie wyjdę, dopóki nie powiem babci prawdy, którą musi usłyszeć, tato. Zak i ja wyjedziemy jutro z samego rana, ale najpierw babcia musi poznać prawdę o swoich synach. Tylko w ten sposób będzie mogła pogodzić się ze śmiercią Rebekki.

Mavis zdumionym wzrokiem spoglądała to na syna, to na wnuka.

– O jakiej prawdzie on mówi, Trevorze? Czego mi nie powiedziałeś? Co tym razem przede mną zataiłeś? I dlaczego Nathan mówi, że odejdzie?

Policzki Trevora pobrały z wściekłości.

– Ponieważ złamał słowo.

– Złamał słowo? – Mavis niepewnie podniosła się z krzesła, zrzucając na podłogę Scata. Laska w jej ręce drżała. Chwiejnie podeszła do Nathana, wbijając w niego podejrzliwy wzrok. – Jaka prawda, Nathanie? Powiedz swojej babci.

– Nathanie, ostrzegam cię – zagroził Trevor, Mavis jednak machnięciem laski kazała mu zamilknąć.

– Ojciec nie przyczynił się do śmierci swojego brata, babciu – powiedział Nathan. – Twój syn popełnił samobójstwo, utopił się. Dowodem na to jest list, który napisał do ojca. Czytałem go. Rebecca widziała, jak jej wuj popełnia samobójstwo. Nie mogło być inaczej. Dlatego wciąż powtarzała te same wersy, które Jordan tak często recytował i które napisał w liście. Widziała, jak szedł pomostem. „W morze mi nadszedł czas powrócić...”. Nie miała pojęcia, nawet gdyby potrafiła to zrozumieć, że jej wuj chce sobie odebrać życie. Kiedy zrozumiała, że tonie, nie dało się go już uratować. Dzisiejsza burza wszystko to jej

przypomniała. Musiała pobiec nad rzekę, przekonana, że tym razem... – Nagły przypływ żalu odebrał Nathanowi głos. – ...że tym razem go uratuje.

Drobniutkie czerwone żyłki w oczach Mavis odznaczały się jaskrawo na tle jej białek. Sztywno odwróciła się ku Trevorowi. Stał nieruchomo jak posąg przy oknie, w które obojętny na rozgrywający się wewnątrz dramat deszcz walił niestrudzenie.

– Czy to prawda, Trevorze?

Trevorowi pulsował mięsień przy szczęce.

– Tak, matko, prawda.

Mavis zbliżyła się, wpatrując się w syna, jakby próbowała w ciemności rozpoznać jakiś kształt.

– Dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Och, mamó, naprawdę musisz pytać? – odezwał się Trevor z jękiem dobywającym się z głębi jego duszy. – Musiałem cię przed tym ochronić. Syn, którego kochałaś, idealizowałaś, który był spełnieniem twoich matczynych marzeń, popełnił samobójstwo. Pozbawił cię przyszłości, o jakiej marzyłaś: Jordan prowadzący firmę tak, jak życzyłyby sobie tego ojciec, żeniący się z dziewczyną, którą pochwałałaś, dający ci upragnione wnuki. – Trevor umilkł i zamknął oczy, jakby wyczerpał cały zapas słów. – Co najważniejsze – podjął po chwili, spoglądając na Mavis łagodniej – zostawił cię w niedającym się ukoić żalu, że cała twoja matczyna miłość nie wystarczyła, żeby uchronić go przed nim samym. Powiedz mi więc: czy mogłabyś z tym żyć?

Cały pokój zamarł w ciszy zakłócaney jedynie trzaskiem ognia w kominku. Nathan zdał sobie sprawę, że babcia próbuje coś powiedzieć. Jej wargi ułożyły się w słowo, które jednak nie padło. W kącikach jej ust pojawiły się kropelki śliny.

– Kochałam was obu – wykrztusiła w końcu – tyle że inaczej, Trevorze, a ty pozwoliłeś mi wierzyć... Dobry Boże, czemu to zrobiłeś?

– Właśnie ci to wyjaśniłem, mamó, ale ty jak zwykle nie słuchałaś. Wiesz, dlaczego to zrobiłem. Zawsze sprawiałem ci zawód. Mogłem przynajmniej sprawić, żeby twoje wspomnienie o Jordanie nie zostało zbrukane.

– A ty... oszczędziłeś mi prawdy, bo...

– Spróbuj zgadnąć. Jest tylko jeden powód.

– Chcę to od ciebie usłyszeć.

– Dobrze więc. Bo cię kocham.

– A nie dlatego, że tego chciałby twój ojciec?

– Ojciec nigdy by nie pozwolił, żebyś choć przez sekundę wierzyła, że jestem odpowiedzialny za śmierć brata.

Mavis zachwiała się, jakby ją ktoś uderzył. Nathan chciał ją podtrzymać, żeby nie upadła, ona jednak, drżąc z wysiłku, wsparta na lasce, zdołała ustać na nogach. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał jak szelest suchej pszenicy na wietrze.

– A ty myślałeś, że łatwiej będzie mi żyć, podejrzewając ciebie, niż wiedząc o samobójstwie twojego brata? Dobry Boże, synu, bardziej nie mógłbyś się chyba pomylić. – Łzy napłynęły jej do oczu. – Jakże słabo mnie znasz, a ja ciebie. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo się nawzajem kochamy.

Znikła sztywność Trevora, a na szyi poruszyła mu się grdyka, gdy usiłował przełknąć gulę tkwiącą mu w gardle.

– Nie sądzisz, że już trochę za późno, abyśmy to zrozumieli?

– Nigdy nie jest za późno dla matki, choćby i najstarszej, ani dla potrzeby wybaczenia, choćby i najdłużej odkładanej.

Trevor podszedł do matki z wyciągniętymi ramionami.

– Idziemy, Zak – powiedział Nathan.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał Trevor, stając w drzwiach do pokoju Nathana.

Policja przyjechała, przyjęła od wszystkich zeznania i odjechała. Zapadła noc. Mavis poszła się położyć. Sprawy związane z pogrzebem mogły poczekać do jutra.

– Z samego rana jadę do Kalifornii – odparł Nathan, składając koszule. – Burza już chyba minęła. – Miał nadzieję, że ojciec nie utrudni mu wyjazdu. Dość się już nacierpieli. – Zawsze chciałem zobaczyć, jak tam jest.

– A co z Charlotte?

Nathan popatrzył na ojca zaskoczony.

– A co ma być? Przecież prawie jej nie znam.

Trevor wręczył mu kopertę, lekko wilgotną.

– Przyniósł to lokaj Weatherspoonów. Biedaczysko niemal utonął, żeby się tu dostać, choć to pewnie byłaby najłżejsza z kar, która by go spotkała, gdyby tego nie zrobił.

Nathan zaśmiał się krótko i otworzył kopertę, na której widniało jego nazwisko, napisane eleganckim charakterem pisma. „Pan Nathan Holloway”.

Mój drogi Nathanie,

właśnie dowiedziałam się o śmierci Twojej siostry i bardzo bym chciała być przy Tobie w tej tragicznej chwili, by nieść Ci pociechę na tyle, na ile pozwoliłaby nasza krótka przyjaźń.

Choć to może samolubne, czuję, że Ty przyniósłbyś pociechę mnie. Znałam Rebeccę bardzo krótko, lecz chyba nigdy Jej nie zapomnę, tak jak nie zapomina się zapachu róż. Czy mogę mieć nadzieję, że mnie odwiedzisz?

Twoja oddana przyjaciółka

Charlotte

Kiedy Nathan czytał, Trevor przyglądał mu się z uniesioną brwią.

– No i? – zapytał.

– No i... – powtórzył Nathan, czując, jak w przyływie wdzięczności łzy zbierają mu się w oczach. Schował list do kieszeni koszuli.

– Nathanie, nigdzie się nie wybierasz. Odłóż te wszystkie rzeczy tam, gdzie ich miejsce.

Chłopak popatrzył na Trevora pytająco.

– Nie jestem zwolniony?

– Jako landman czy jako mój syn? Cóż, ojciec raczej nie może zwolnić syna z bycia jego synem, natomiast jako landman nie dałeś mi żadnych powodów, by się ciebie pozbyć.

Nie przerwał pakowania. Garnitury i buty wyjściowe zostawi. Z nimi jego torba byłaby zbyt ciężka.

– Ale zawiodłem jako twój syn. Dałem słowo i nie dotrzymałem go.

– Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne, i jak się okazało, ty miałeś rację, a ja się myliłem. Nie można dotrzymać obietnicy, jeśli z tego powodu źle się dzieje.

– Mówisz jak Leon.

– Jest wzorem do naśladowania. Muszę to robić częściej. – Trevor obszedł łóżko i stanął obok syna, który wciąż się pakował. Przytrzymał jego rękę. Oczy miał tak samo zaczerwienione jak Nathan. – Nie odchodź – poprosił. – Nie zniósłbym utraty syna, kiedy straciłem już dwie... – Urwał w pół zdania.

Puścił rękę Nathana i z kieszeni na piersi wyjął chusteczkę.

– Dwie co? – zapytał chłopak.

Trevor wydmuchał nos.

– Przejęczyłem się. Zapomnij o tym. Przypomniało mi się, jak straciłem jeszcze jedno dziecko, które kochałem jak swoje. To się stało dawno temu, przed Rebeccą. Była córką przyjaciela.

– Przykro mi – rzekł Nathan.

Czuł się tak, jakby doświadczył déjà vu. „Zapomnij o tym”. Te same słowa usłyszał od Leona w oborze w dniu, kiedy rozpadł się jego świat, a ojczym oznajmił, że nie zamierza mieć przed nim jeszcze jednego sekretu. Gdy Nathan zapytał, o jakim sekrecie mówi, Leon odpowiedział: „Ach, zapomnij o tym. To nie ma z tobą nic wspólnego, więc nie dręcz mnie”.

Nigdy do tamtej rozmowy nie wrócili, ale Nathan pamiętał, jak Leon uciekł wzrokiem i jak zmienił mu się wyraz twarzy. Teraz Trevor zachował się w ten sam sposób.

– Nathanie, nie masz żadnego powodu do wyjazdu – powiedział. – Żaden ojciec nie mógłby być bardziej dumny z syna, niż ja byłem dumny z ciebie dzisiaj. Nie masz nawet pojęcia, co uczyniłeś dla mnie i dla mojej matki.

Tak naprawdę Nathan wiedział, choć z drugiej strony obawiał się, że sam nigdy nie zazna takiego pojednania.

– Bardzo bym się cieszył, mogąc zostać – odparł, z trudem panując nad drżeniem głosu. – Mnie i Zakowi byłoby ciężko opuszczać kolejny dom.

– Nam byłoby jeszcze ciężiej, gdybyś wyjechał. – Trevor objął syna ramieniem i poprowadził do drzwi. – Lenora to wszystko sprzątnie, a my spróbujemy namówić twoją babcię, żeby coś zjadła. Poza tym – dodał – byłbym wdzięczny, gdybyś zadzwonił do Triple S i poprosił, by powiadomili Neala Gordona, że musimy na jakiś czas odłożyć wiercenia.

Gdy Nathan zadzwonił do Triple S, telefon odebrała Samantha. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie mogła przestać myśleć o Nathanie od wczesnego popołudnia. Niespodziewanie stawał jej przed oczami, kiedy pomagała Billie June się rozpakować, kiedy kroїła chleb na kolację czy liczyła punkty w kartach.

– Mam nadzieję, że nie potopiliście się tam w Dallas – powiedziała. – U nas o mało do tego nie doszło. – Gdy Nathan zwlekał z odpowiedzią, wyczuła, że jej słowa były chyba nie na miejscu. – Nathanie? Czy coś się stało?

– Tak, stało się – odparł po krótkiej przerwie. – Chodzi o... Rebeccę... Utopiła się dzisiaj po południu.

Upłynęła minuta ciszy, podczas której na linii słychać było tylko szum i trzaski.

– Samantho? Jesteś tam? – zapytał Nathan. – Wiem, jaki to dla ciebie szok. Samantha wreszcie zdołała przemówić.

– Jestem... jestem, Nathanie. – „Powie ci, jak słońce wstało, wstążeczka po wstążeczce...” – Jak to się stało?

– Nie zauważyliśmy, że się oddaliła i... utonęła w Trinity, za domem. Dzwonię, żeby powiadomić twojego ojca, że musimy na jakiś czas wstrzymać się z odwiertem. I tak niczego nie da się zrobić, dopóki ziemia nie obeschnie na tyle, żeby można było pociągnąć rury, rozbić namioty i postawić platformę. Słyszałaś pewnie o huraganie, który wczoraj uderzył w Galveston. Te deszcze to jego skutek. Daniel ma zostać na miejscu, dopóki się do niego nie odezwiemy, ale to będzie nie wcześniej niż po pogrzebie, pod koniec tygodnia.

Samantha słuchała, jak Nathan metodycznie wygłaszał polecenia, jakby czytał je z kartki. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z niedowierzania.

– Nathanie – przerwała mu. – Czy jest coś, co mogę zrobić dla ciebie i twojej rodziny?

– Po prostu... nie zapomnij o niej.

– Będę ją wspominać z każdą linijką wierszy, kiedy będę je czytać.

– Dziękuję. To by ją uradowało.

Samantha cicho odwiesiła słuchawkę i przez jakiś czas nie wstawiała od stolika przy telefonie. Prawie nie знаła Nathana Hollowaya, a jego siostrzyczkę spotkała ledwie raz, a mimo to czuła rozpacz, jakby znała ich całe życie. Siedziała tam tak długo, że wreszcie Sloan wyszedł jej poszukać i znalazł ją wpatrzoną

w przestrzeń, milczącą i zapłakaną. Zaniepokojony, chwycił ją w ramiona.

– Sam, kochanie, co się stało? Z kim rozmawiałaś?

– Z Nathanem Hollowayem. Jego siostrzyczka się dzisiaj utopiła.

Rozdział 70

Samantha skończyła pisać list z kondolencjami do Nathana Hollowaya i jego rodziny i z szuflady biurka wyjęła notes z adresami. Nie było w nim domowego adresu Waverlingów, tylko adres korespondencyjny firmy. Liścik niewiele mógł pomóc w takiej chwili, ale przynajmniej w ten sposób wyraziła swoje współczucie. Chętnie by pojechała na pogrzeb Rebekki, jednak w przeciwieństwie do Galveston, gdzie niebo przejaśniło się już w niedzielę rano, w głębi lądu wciąż co jakiś czas przechodziły ulewy. Linie telefoniczne jakimś cudem nie zostały zerwane i matka przez telefon przeczytała jej artykuł z „Fort Worth Gazette” o potwornej liczbie ofiar śmiertelnych, o zniszczeniach i niewybaczalnym zachowaniu szabrowników w Galveston. Przyjaciele potracili krewnych i znajomych, ich domy uległy zniszczeniu, hotel, w którym Samantha i Sloan spędzili swój miesiąc miodowy, został dosłownie zmieciony z powierzchni ziemi. Anne Rutherford stanęła na czele akcji mającej nieść pomoc ofiarom huraganu, do której Estelle się przyłączyła. Ochotnicy wysłali do Galveston cały wagon załadowany zebranym przez nich jedzeniem, ubraniami, kocami i lekarstwami.

Straty, jakie poniosło Triple S, były tak ogromne, jak się spodziewano, i wszyscy ludzie na ranchu pracowali dzień i noc, ratując i naprawiając, co się tylko dało. Las Tres Lomas ucierpiało jeszcze bardziej. Triple S było położone nieco wyżej i w czasie powodzi woda raczej spływała, niż stała na pastwiskach do czasu, aż wsiąknie w ziemię. W niecały tydzień Sloan postarzał się o pięć lat. Jego koń złamał nogę i trzeba go było zastrzelić. Ocalony zaginął.

W całym tym koszmarze pojawił się jednak jaśniejszy promyczek. Zmaląła nieco niechęć Sloana do Daniela Lane’a, przynajmniej chwilowo, dzięki pomocy, którą Daniel zaproponował przy katorżniczym, wielogodzinnym sprzątnięciu i odbudowie rancha. Wykorzystywał wszystkie swoje umiejętności jako kowal i cieśla i w ciągu kilku dni naprawił kołowrotki niezbędne do wciągania beli siana na stryszek stodoły, wyciosał paliki do ogrodzenia i odbudował daszki dwóch paśników. Zajął się też usterkami z listy Samantha: naprawił zawiasy w drzwiczkach do piekarnika, zreperował ciekącą rurę w kuchni i zrobił nowe półki do spiżarni.

– Trzeba mu przyznać, że nie lubi się lenić – rzekł Sloan.

Także pod koniec dnia Daniel okazał się dobrym kompanem, chociaż Sloan nie posunął się tak daleko, żeby powiedzieć to na głos. Dwa wieczory z rzędu cała piątka przesiadła zwyczajnie przy kominku w salonie, panie, dziergając i robiąc

na drutach, panowie, wyciągając nogi w stronę ognia, zbyt zmęczeni, by zagrać w karty. Z nich wszystkich Daniel był najbardziej czytany i najlepiej poinformowany o aktualnych wydarzeniach, lecz nie chciał się swoją wiedzą, jak uczyniłoby wielu mniej wykształconych i obytych ludzi w pozornie lepszym pod każdym względem towarzystwie. To od Daniela dowiedzieli się, że dwaj bracia Wright z Karoliny Północnej zaprojektowali załogowy samolot, który zamierzali niedługo wypróbować, by dowieść swojej teorii, że człowiek może latać, przecząc siłom grawitacji.

– Jestem przekonany, że im się uda – rzekł Daniel. – Może nie od razu, ale z czasem na pewno pojawią się latające maszyny pilotowane przez człowieka.

Samantha, wstrzymując oddech, czekała, aż jej mąż wyśmieje ten pomysł jako absurdalny, Sloan jednak z zainteresowaniem nachylił się ku Danielowi.

– Kiedy ma się odbyć ten próbny lot?

– Jakoś w październiku, w miejscu o nazwie Kitty Hawk. Bracia Wright, Orville i Wilbur, od lat prowadzą eksperymenty z latającymi maszynami.

– Musimy śledzić doniesienia o tym – stwierdził Sloan. – To byłoby coś! Latająca maszyna dla ludzi. Jak bracia wpadli na ten pomysł?

Daniel opowiedział, jak Wrightowie próbowali unieść maszynę w powietrze, najpierw obserwując myszołowy w locie, potem budując latawce, w końcu szybowce, które imitowały ruchy ptasich skrzydeł – szybowanie, pikowanie, machanie – korzystając z prądów powietrznych, które pozwalały im utrzymać się nad ziemią. Sterowanie odbywało się za pomocą skręcania części skrzydeł, wyjaśnił Daniel. Samantha nie potrafiła się skupić na jego opowieściach, bo nie mogła przestać myśleć o tym, co stanie się z ranczem, wymieniała jednak porozumiewawcze spojrzenia z Billie June. Obie radoowało, że Sloan i Daniel tak świetnie się dogadują, i co jakiś czas puszczały do siebie oko znad swoich robótek.

Teraz Samantha popatrzyła na stronę w notatniku, na której zanotowała adres Waverling Tools. Nad nim znajdowało się nieco zamazane nazwisko Bridget Mahoney i adres w San Francisco, którego gumka nie zdołała całkowicie zetrzeć. Zupełnie o nim zapomniała, a później, kiedy wyrzuciła list od Eleanor Brewster – że próbowała go wymazać. Miała wrażenie, że od tamtej daty, czternastego kwietnia, upłynęły całe wieki, tyle się w tym czasie wydarzyło. Usłyszała znużony krok Sloana, który wspinał się po schodach, a po chwili jego ciężkie westchnienie, gdy wszedł do sypialni i nachylił się, żeby pocałować ją w kark.

– Miło dotknąć czegoś czystego i świeżego – powiedział.

Nie zgodził się, żeby brała udział w pracach na ranczu. „To męskie zajęcie” – oświadczył, a Samantha mu się nie sprzeciwiła. Do niej i do obu sióstr Sloana należało codzienne karmienie z butelki osieroconych cieląt. Spadły też na nie wszystkie prace domowe, bo Consueli i reszcie służby pozwolono na czas ulewy zostać z rodzinami.

Wyciągnęła rękę i przytuliła głowę Sloana do policzka. Pachniał błotem i deszczem.

– Do kogo piszesz? – zapytał, a gdy Samantha mu wyjaśniła, rzekł: – Bardzo to smutne. Ale ja dla odmiany mam trochę dobrych wieści.

– Wreszcie. Mów.

Sloan rozpiął koszulę.

– Rozmawiałem dzisiaj z Wayne'em. Chłopcy Neala znaleźli Ocalonego. Zgadnij gdzie?

– Nie mam pojęcia – powiedziała Samantha, czując ulgę. Wyobrażała sobie najgorsze.

– Jak wałnął pierwszy piorun, łobuz musiał pognać na ranczo i znalazł sobie przytulną kryjówkę w jednej ze stodół. Kiedy go znaleźli, był cały, zdrowy i suchutki. Miał tyle jedzenia, ile dusza zapragnie.

Samantha się roześmiała.

– Jakie to do niego podobne. Jest jak wielkie rozpieszczone dziecko. Pytałeś Wayne'a, jak sobie radzi tatuś?

– Martwi się jak wszyscy. Straty są dużo większe, niż początkowo myślał. Neal naprawdę ma nadzieję, że znajdą tę ropę.

Ton Sloana zdradził jej, że kiedy jutro zobaczy się z ojcem, po raz pierwszy od burzy, czekają ją dużo gorsze wieści. Do tej pory było zbyt grząsko i mokro, by bezpiecznie pokonać drogę dzielącą oba rancza, poza tym Samantha była potrzebna na Triple S. Na szczęście Gordonowie mieli w banku pieniądze na pokrycie strat, ale odbudowa Las Tres Lomas pochłonie wszystkie oszczędności, czego jej ojciec najbardziej się obawiał.

Pozbywszy się ubłoconych ubrań, Sloan lekko pociągnął żonę za warkocz, opadający jej na plecy.

– Idę wziąć kąpiel. Gdybyś miała ochotę, możesz przyjść wyszorować mi plecy.

– Niedoczekanie twoje – odparła Samantha i skończyła adresować kopertę do Nathana Hollowaya w Waverling Tools. Może jutro któryś z parobków mógłby skoczyć na pocztę w Fort Worth. Zakręciła kałamarz i odłożyła pióro i papier. Pora pomóc szwagierkom w przygotowaniach do kolacji. Już miała zamknąć notes, kiedy jej wzrok padł na adres Bridget Mahoney. Pomyślała o Rebecce i jej tragicznej śmierci. Czy rodzina dziewczynki chciała jej coś powiedzieć, coś dla niej zrobić, z czym jednak zwlekała w przekonaniu, że w przypadku kogoś tak młodego mają na to czas? Czy będą żałować, że nie wykorzystali możliwości, gdy jeszcze je mieli? Samanthę ścisnęło w gardle. Akuszerka była jej ostatnią szansą na odkrycie prawdy związanej z jej przyjściem na świat. Czy kobieta wciąż żyła? Na pewno bardzo się już postarzała. Czy dalej mieszkała w San Francisco pod podanym adresem, czy też dokądś się wyprowadziła? Może czas Samanthy już dobiegł

końca. Czy któregoś dnia nie pożałuje, że nie skontaktowała się z akuszerką, gdy jeszcze było to możliwe?

Wiedziona nagłym impulsem ponownie sięgnęła po pióro i papier. Teraz mogła napisać do pani Mahoney, nie lękając się, że odpowiedź od niej przejmą ojciec czy matka. List od akuszerki trafi do skrzynki pocztowej Singletonów. Gordonowie nie muszą się nigdy dowiedzieć, że napisała do kobiety, która pomogła jej przyjść na świat. A zresztą jakie były szanse, że list w ogóle do niej dotrze? Albo że na niego odpowie? Szybko, żeby nie zmienić zdania, Samantha otworzyła kałamarz i zanurzyła pióro w czarnym atramencie. „Szanowna Pani Mahoney”, zaczęła.

Skończyła pisać i właśnie składała list, kiedy usłyszała dobiegający z holu stuk młotka. Ociekający wodą Sloan wyszedł z łazienki, obwiązując się w pasie ręcznikiem.

– Co to za hałas, do licha?

Liżąc kopertę, Samantha odparła beztrosko:

– Och, to tylko Daniel naprawia drzwi składziku z bożonarodzeniowymi ozdobami. Może w końcu będzie można się do niego dostać bez pomocy łomu.

– Co takiego?!

Zanim zdążyła zareagować, Sloan szarpnięciem otworzył drzwi sypialni i boso wybiegł do holu.

– Lane, do ciężkiej cholery, co ty wyprawiasz?! – wrzasnął.

– A jak to wygląda? – dobiegła Samanthę spokojna odpowiedź Daniela.

Samantha zerwała się, żeby zapobiec awanturze. Co, na Boga, wstąpiło w Sloana? Wybiegła z pokoju i zobaczyła, że Billie June też wyszła na korytarz ze zdziwioną miną. Millie May udała się już na parter przygotować kolację, ale Samantha była pewna, że słyszy w kuchni, jak jej brat wrzeszczy, co zapowiada zbliżającą się kłótnię. Kiedy podeszła, zauważyła, że obaj mężczyźni mierzą się wzrokiem, jakby zaraz mieli sobie skoczyć do gardeł.

– Kto ci pozwolił majstrować przy tych drzwiach? – zapytał Sloan.

Daniel odsunął się, nie wypuszczając młotka z ręki.

– Pańska żona. Umieściła to na swojej liście.

Billie June z rozgniewaną miną wzięła się pod boki.

– Na litość boską, Sloanie – odezwała się. – Powinieneś być Danielowi wdzięczny, zamiast go atakować. Te drzwi od dawna wymagały naprawy, ale ty nigdy nie znalazłeś czasu, żeby to zrobić! A tak w ogóle, to co tutaj robisz w samym ręczniku?

Millie May podeszła do stóp schodów.

– Co się tam dzieje? – zawołała.

Samantha przyjrzała się mężowi.

– No właśnie, Sloanie, co się tu dzieje?

Sloan nagle zrobił minę jak ktoś przywrócony do przytomności strumieniem zimnej wody. Oszołomiony, potrząsnął głową.

– Ja... bardzo przepraszam – powiedział. – Chyba... mnie poniosło.

– Bez dwóch zdań – warknęła Billie June.

– Chodzi o to, że... Billie June, wiesz przecież, że trzymamy tam tego aniołka, którego mama zrobiła mi kiedyś na Boże Narodzenie, razem z innymi... bardzo kruchymi rzeczami. Przestraszyłem się, że to walenie młotkiem może je uszkodzić. Danielu... przepraszam cię. – Sloan wyciągnął rękę. – Dziękuję... że zechciałeś te drzwi naprawić. To... bardzo uprzejme z twojej strony.

– Nie masz za co przepraszać – rzekł Daniel, odwzajemniając uścisk dłoni. – Już naprawiłem klamkę. I nie sądzę, żeby walenie młotkiem uszkodziło rzeczy twojej matki.

– Ale już skończyłeś, tak?

– Tak, skończyłem.

– W takim razie w porządku.

Chcąc zatuszować nieprzyjemne zajście, Sloan otworzył i zamknął drzwi. Poruszały się w obie strony, nie wydając najmniejszego nawet skrzypnięcia.

– Doskonale. Świetna robota. A teraz zejźmy na dół i napijmy się przed kolacją.

– Bardzo chętnie, ale, hm... w tym stroju? – Daniel spojrzał wymownie na ręcznik.

Sloan zerknął w dół.

– No tak. W takim razie spotkamy się za chwilę.

Zażenowany Sloan wrócił do sypialni, zostawiając na podłodze w holu mokre ślady stóp. Bez słowa minął Millie May, która zdążyła już wejść na piętro. Spoglądała za bratem, nie posiadając się ze zdziwienia.

– O co tu chodzi? – zapytała.

Billie June pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Opowiedz mi o tym aniołku – poprosiła Samantha po chwili. – Nie pamiętam, żebym go kiedyś widziała na waszej choince.

– To dlatego, że od lat go nie wyjmowaliśmy. Jest z masy papierowej i pewnie już się prawie rozpadł. Nasza mama zrobiła go dla Sloana, swojego synusia, w tym samym roku, gdy umarła. Sloan miał wtedy cztery latka. Ten aniołek to dla niego wyjątkowa pamiątka.

– Czy jest szansa, żebym go zobaczyła, zanim rozpadnie się do reszty?

– Oczywiście – powiedziała Millie May. – I tak trzeba by wreszcie posprzątać ten schowek, zobaczyć, co można zatrzymać, a co powinno się wyrzucić, na wypadek gdyby... – Umilkła, a słowa „na wypadek gdyby” zawisły nad nimi. – Zajmiemy się tym jutro, kiedy nakarmimy cielęta – dokończyła. – Nie wiadomo, co tam znajdziemy. – Obróciła się do Daniela. – To bardzo miłe z twojej

strony, że naprawiłeś tę klamkę. Dziękujemy ci.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Daniel, w zamyśleniu spoglądając na składzik, zanim spakował swoje narzędzia.

Rozdział 71

W ogromnym salonie, w którym wszyscy zasiedli po kolacji, spożytej niemal w całkowitym milczeniu, ponurą atmosferę niepokoju, smutku i zakłopotania spowodowanego zajściem przy schowku rozjaśnił promień słońca, który wpadł przez okno tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Billie June opuściła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy, pod którymi rysowały się głębokie cienie. Wizja przejścia obciążonego hipoteką rancza najwyraźniej męczyła ją bardziej niż pozostających.

– Och, dzięki Bogu. Mam nadzieję, że ten promyk zwiastuje koniec deszczu – powiedziała z westchnieniem ulgi.

– Nigdy nie sądziłam, że powiem tak o deszczu, ale ja też mam taką nadzieję, Billie June – odezwała się Samantha.

Do salonu wszedł Daniel, który właśnie odbył rozmowę telefoniczną z Trevorem Waverlingiem.

– Ominęła cię obietnica jutrzejszego słońca, Danielu – zwróciła się do niego Billie June.

– Właśnie w tej sprawie dzwonił mój szef. Zapowiadają koniec opadów, więc jutro mam pojechać na działkę i sprawdzić, jakie panują tam warunki, a potem do niego oddzwonić. Wszystko wskazuje na to, że do poniedziałku ziemia obeschnie i będzie można zacząć budowę platformy. – Złączył dłonie i uniósł je nad głowę jak zwycięski bokser przed wiwatującym tłumem. – Im szybciej postawimy i uruchomimy szyb, tym lepiej.

Dla nikogo nie było to tajemnicą. Im szybciej zaczną wydobywać ropę, tym większe będą szanse na koniec kłopotów finansowych. Ta podjęta przez Daniela próba wzbudzenia nadziei zakończyła się jednak fiaskiem. Na żadnej z posępnych twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Sloan, przygnieciony przemożnym smutkiem, siedział oklapnięty w swoim fotelu. Zdziwił się, widząc, że Daniel przejmuje się losem rancza. Musiał przyznać, że nie był to pierwszy raz, kiedy kochanek siostry go zaskoczył. Weźmy na przykład fotel. Sloan sądził, że kierowany zwykłą bezczelnością parweniusz będzie sobie rościł prawo, żeby właśnie w nim zasiadać albo bez pytania częstować się jego drogimi cygarami, lecz nic podobnego ani razu się nie zdarzyło. Oczekiwał też, że próbując odkuć się za jego wtrącanie się w miłosne sprawy siostry, Daniel będzie traktował Billie June nie lepiej niż kowboj dogadzający sobie z barową prostytutką, ale tu również czekała go niespodzianka. W obecności domowników Lane odnosił się do Billie June wyłącznie z uprzejmym szacunkiem. Sloan musiał także przyznać, że nie wie, jak Triple S poradziłoby sobie przez ostatnich kilka dni bez pomocy i doświadczenia Daniela.

Wszystko to jednak mogło być zwykłym podstępem. Planem wysadzenia z siodła Wielkiego Pana Ważniaka, odwrócenia jego uwagi od groźby, że Daniel zrobi, co w jego mocy, aby zniszczyć młodego ranczera. Znużonym gestem potarł czoło. Prawdopodobnie huragan dokonał dzieła za Lane'a. Noble Rutherford zażąda spłaty całej sumy, której Sloan na obecną chwilę nie był w stanie zebrać. Singleton nie mógł liczyć ani na odroczenie, ani na litość. Zgodnie z zawartą z bankierem umową dług miał spłacać w kwartalnych ratach wraz z odsetkami. Nawet gdyby jeden miesiąc okazał się gorszy, to w ostatecznym rozrachunku zawsze mógł uzbierać dość pieniędzy. W tym kwartale jednak, kiedy stracili tyle bydła na sprzedaż i ponosili ogromne koszty, żeby wykarmić resztę, nie będzie miał dość gotówki, chyba że zwolni połowę pracowników, z czym trudno było mu się pogodzić. Niektórzy z nich pracowali jeszcze dla jego ojca, a poza tym takie działanie tylko odsunęłoby w czasie to, co i tak wydawało się nieuniknione. Ojciec Anne nie da mu czasu na odbudowanie finansowej równowagi rancza – zażąda spłaty i Triple S przejdzie na własność banku.

Sloan przeklinał sam siebie za pośpiech, z jakim zdecydował się na sprowadzenie z zagranicy za jednym zamachem wszystkich zakupionych zwierząt rozplodowych. Koszty transportu były olbrzymie, ale wtedy uważał, że czas i cena w pełni to uzasadniają. Teraz groziła mu utrata ziemi, która należała do rodziny od ponad siedemdziesięciu lat, i winić za to mógł jedynie swój upór – użył rancza jako zabezpieczenia pożyczki znacznie poniżej wartości. Jego ojciec na pewno przewraca się w grobie. Kolejną ratę miał spłacić pierwszego października, lecz tylko cud mógł sprawić, że do tego czasu zbierze potrzebną kwotę. Jutro będzie musiał wyznać prawdę najpierw Samancie, potem siostrze. Poczucie klęski i wstydu zżerały mu duszę. On i Samantha przeniosą się do Las Tres Lomas. Będzie pracował dla Neala Gordona, mimo że teść na pewno zaproponuje, aby zostali współnikami. Chociaż obaj panowie bardzo się lubili, na jednym statku nie było miejsca dla dwóch kapitanów, zwłaszcza gdy jeden z nich swój statek zdążył już zatopić.

Przede wszystkim jednak musiał się pozbyć przeklętej czaszki, i to zanim kobiety wezmą się za sprzątnięcie składziku. Jeśli tego nie zrobi, może stracić też Samanthę. Prawie się udławił, kiedy przy kolacji dowiedział się o ich planach. Po co się tak awanturował o te drzwi? Zmęczenie, niepokój i brak snu sprawiły, że stracił nad sobą panowanie. Nawet jeżeli przebiegły Lane tylko podejrzewał, że Sloan za wszelką cenę nie chce doprowadzić do odkrycia czegoś, co schował w składziku, to teraz nabrał co do tego absolutnej pewności. Sloan miał nadzieję, że Daniel dał się nabrać na tę historyjkę z aniołkiem, ale żeby nie zostawiać niczego przypadkowi, dzisiejszej nocy, gdy wszyscy będą spali, zabierze czaszkę. Wiązało się z tym jednak kilka problemów. W jakiś sposób będzie musiał wyjść z łóżka, nie budząc Samanthy, zabrać czaszkę ze schowka tak, żeby zajmujący

pokój naprzeciwko Daniel niczego nie usłyszał, bezszelestnie zejść po schodach i wreszcie znaleźć dla czaszki nową kryjówkę, na co jak na razie nie miał żadnego pomysłu.

Daniel Lane nie spał. Było już po północy. Żałował, że nie dzieli łóżka z Billie June, wyłącznie po to, by mieć na nią oko. Tęsknił za nią. I martwił się. Znacznie gorzej, niż można się było spodziewać, znosiła myśl o utracie rancza. Zwracała prawie wszystko, co zjadła, zrobiła się też cicha i zamyślona. Dzisiaj zauważył na jej policzku pierwszą delikatną zmarszczkę, ale zamiast poczuć wstręt, zapragnął pogłodzić ją palcem. Billie June miała trzydzieści trzy lata i była pięć lat od niego starsza, choć często postrzegał ją jako znacznie młodszą. Była inteligentna, rozsądna i pewna siebie, ale w pewnym sensie cechowała ją też obca mu niewinność, która sprawiała, że wydawała się wręcz dziecinna. Wciąż potrafiła się dziwić, radować, wierzyć, ufać, kochać. On już dawno stłumił w sobie te uczucia, ponieważ zwyczajnie zagrażały przetrwaniu. Zamurował je niczym nieużywaną studnię, żeby nikt w nią nie wpadł. Billie June, o wiele bardziej odważna od niego, zakochując się w Danielu, przyjęła te wszystkie słabostki serca z pełną świadomością konsekwencji.

Poprawił sobie poduszki za plecami i oparł się o zagłówek łóżka, wsłuchując się w bicie zegara na dole. Lada chwila Sloan Singleton powinien zakraść się do składziku po drugiej stronie holu. Daniel nie miał cienia wątpliwości, że czaszka – jedyny dowód na rację Samantha, sprzeciwiającej się wierceniom – na pewno tam była. Wydawało się wręcz niedorzecznością, że Sloan dotychczas się jej nie pozbył – po cóż ją zatrzymał? – jednak bez względu na powód dobrze się stało, że teraz w końcu to zrobi. Gdyby Samantha natknęła się na nią jutro... Boże wszechmogący, miałyby dowód zdrady, jakiej żadne małżeństwo nie zdołałoby przetrwać.

Daniel w żadnym razie im tego nie życzył. Zdążył się już przekonać, że Sloan szczerze kocha żonę – wręcz szaleje na jej punkcie. Lepiej poznał młodego ranczera, który najwyraźniej nie potrafił pozbyć się dowodu mogącego położyć kres marzeniom o szukaniu ropy w Las Tres Lomas. Coraz bardziej był skłonny wierzyć, że kiedy Sloan postanowił ukryć czaszkę, kierował się innym powodem, niż Daniel początkowo podejrzewał. Czy jednak powód ten wydałby się Samancie ważniejszy i bardziej szczytny? Zależałoby to od ich wzajemnego zaufania. Daniel wiedział jednak aż nadto dobrze, jak kruche jest to uczucie, i nie miał zamiaru przyczyniać się do rozpadu tak udanego małżeństwa. Wielki Pan Ważniak mógł spać spokojnie – nie zdradzi go przed żoną.

Daniel uświadomił też sobie jeszcze jedną szokującą rzecz. Nie chciał rancza Sloana Singleтона. Wielki Boże, za żadne skarby! Cztery dni temu przyjechał do Triple S, obsesyjnie pragnąc wydrzeć je Wielkiemu Panu Ważniakowi, choć mogło się to wydawać nierealne. Nie ma jednak rzeczy niemożliwych dla kogoś, kto pała

tak wielką nienawiścią i jest gotów zrobić wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Napawał się myślą, że przejmując ranczo, zakłada bryczesy Sloana i na grzbiecie jego wspaniałego ogiera przemierza tysiące akrów, niegdyś będących własnością młodego ranczera. W ciemnościach pokoju Daniel poczuł, jak czerwieni się ze wstydu za to infantylne marzenie.

Teraz nie dałby nawet centa za to, żeby znaleźć się na miejscu Sloana. Co za strata czasu i energii, i po co? Żeby poradzić sobie, albo i nie, z prowadzeniem rancza, trzeba to mieć we krwi, a te ostatnie dni męczącego, wyczerpującego, niekończącego się znoju przekonały Daniela, że to nie leży w jego naturze. Sloan Singleton mógł sobie zatrzymać swoje Triple S z błogosławieństwem i bez zagrożenia ze strony Daniela, choć wszystko wskazywało na to, że długo to już nie potrwa, co doprowadzało Billie June do rozpacz, a to z kolei – jak musiał sam przed sobą przyznać – było głównym powodem, dla którego pozbył się swojej obsesji.

Leciutki szmer dobiegający z holu kazał Danielowi usiąść. Gdyby nie nasłuchiwał, nie zwróciłby na niego uwagi. Wbił wzrok w wąską szczelinę między drzwiami i podłogą i rzeczywiście już po chwili dostrzegł w niej cień. Bezszelestnie zsunął się z łóżka, na palcach podszedł do drzwi i przytknął do nich ucho. Panowała idealna cisza, ale Daniel mógłby przysiąc, że wyczuwa za nimi czyjąś obecność. Sloan także podkraść się pod drzwi do pokoju Daniela i nasłuchiwał, czy nie dobiega zza nich jakiś dźwięk. Daniel wstrzymał oddech, po kilku sekundach cień się oddalił. Zwalczył pokusę przekonania się, czy jego podejrzenia są słuszne, jeżeli bowiem Sloan wszedł do schowka, najmniejszy nawet szelest może go spłoszyć. Mógłby wtedy coś – najprawdopodobniej czaszkę – upuścić. Spadłaby na podłogę i roztrzaskała się, a wtedy rozpętałoby się piekło. Jak się Daniel domyślał, Sloan schował czaszkę możliwie jak najgłębiej, żeby żadna z dziewcząt jej nie dosięgła. Zgadywał też, że wyprawa Sloana zajmie mu co najwyżej minutę. Po kolejnych trzech uchylił lekko drzwi i dojrzał, jak światło z holu odbija się w jasnych włosach młodego ranczera, gdy po cichu zbiegał po schodach z jakimś tłumoczkim pod pachą.

Grzeczny chłopiec! pomyślał Daniel. Jedno zmartwienie z głowy.

Następnego dnia, w piątek, chmury odsłoniły niebo i słońce oświetliło przemokłe pastwiska Las Tres Lomas i Triple S, z każdą chwilą grzejąc coraz mocniej. Zupełnie jakby znowu nastąpiło lato. Żadna chmurka nie przysłaniała horyzontu, dając nadzieję na wysoką temperaturę, co w środkowym Teksasie nie było niespotykane. Właściciele i pracownicy obu rancz mimo czekającej ich ciężkiej pracy pokrzykiwali z radości i ulgi. Spodziewali się, że po deszczu nastaną zimne i wilgotne dni, które utrudnią obsychanie ziemi. Po inspekcji działki naftowej Danielowi daleko było do ich entuzjazmu.

– Wygląda na to, że potrzeba jeszcze tygodnia, żeby ziemia wystarczająco

wyszła – poinformował szefa przez telefon i zmarkotniał na wieść, że w poniedziałek ma się zjawić w Dallas i stanąć przy swojej desce kreślarskiej w Waverling Tools. Jego rozczarowanie było tym większe, że Billie June nie zamierzała z nim wracać, a on nie miał argumentów, żeby ją do tego przekonać.

– Moje miejsce jest tutaj – powiedziała. – Muszę pomóc bratu i siostrze w uprzątnięciu domu i przy wyprowadzce.

Po południu – w towarzystwie Billie June, Samantha i Daniela – Millie May ostrożnie wyjęła ze składziku zawiniątko, a z niego małego aniołka z masy papierowej. Na widok niezwykle starannie wykonanej figurki wszyscy zamilkli z podziwu. Aniołek był ubrany jak kowboj – do aureoli miał przyczepiony lilipuci kowbojski kapelusz, na szyi przewiązaną maciupką bandanę, a ze skrzydła zwisało mu zwinięte łąso.

– Miał też małe kowbojskie buty, ale już dawno się rozpadły – wyjaśniła Billie June i głos jej się załamał na myśl, że w ich domu nigdy już nie zorganizują Bożego Narodzenia.

Rano Sloan poprosił żonę i siostry do swojego gabinetu. Weszły z lękiem w oczach, lecz bez łez. Kiedy wyszły, wszystkie płakały, a Daniel czuł dziwny ciężar przygniatający mu pierś.

Rozdział 72

We wtorek dwudziestego września Nathan stanął przed ciężkimi, wykończonymi żelazem drzwiami frontowymi Las Tres Lomas, razem z Zakiem i Toddem Bakerem. Przyjechali pociągiem do Fort Worth, gdzie wynajęli konie i wóz, na który załadowali przywieziony ze sobą sprzęt potrzebny do oznaczenia miejsca, w którym w Windy Bluff stanie szyb naftowy. Zawiadomili telefonicznie Triple S z prośbą, by uprzedzić o ich przyjeździe Neala Gordona. W progu powitała ich jednak Samantha.

Todd bardzo się na jej widok zdziwił, oczekiwał bowiem, że drzwi otworzy im Neal. Oficjalnym tonem, próbując zatuszować skrępowanie utarczką, która ich poróżniła, oznajmił:

– Ruszamy, Sam. Zaraz pojedziemy do Windy Bluff i zaczniemy rozbijać obóz.

– Ale mam nadzieję, że najpierw napijecie się kawy i skosztujecie cynamonowych bułeczek Silbii – odparła, zwracając się bezpośrednio do Nathana.

– Chyba nie mamy na to czasu – zaproponował Todd. – I tak mamy już jedenaście dni opóźnienia.

– No cóż, opóźnienia to normalna rzecz, gdy zdarzają się takie drobne niedogodności jak śmierć w rodzinie twojego pracodawcy czy huragan, Toddzie – odparła cierpko Samantha. – Dlatego wydaje mi się, że dodatkowe pół godziny na kawę i bułeczki nie zrobi zbytniej różnicy.

Nathan chrząknął dyplomatycznie i zdjął kapelusz.

– Niesamowicie kusząca propozycja, Samantho. Mamy za sobą długi poranek. Z przyjemnością przyjmujemy twoje zaproszenie, prawda, Toddzie?

– No, chyba tak – odrzekł geolog.

– Wejdźcie więc – zaprosiła ich Samantha. – Ty też, Zak.

Mężczyźni strząsnęli z butów błoto i poszli za nią do salonu.

– Dziękuję ci za list z kondolencjami – zwrócił się Nathan do Samanthi. – Wiele znaczył dla mojej babci, a zwłaszcza dla ojca. W kółko go czytał.

– Może to głupie pytanie, ale jak się czują? – zagadnęła Samantha.

– Lepiej, niż można było przypuszczać. Tragedia bardzo ich do siebie zbliżyła i pocieszają się nawzajem.

– A ty? Ja ty się czujesz, Nathanie? – zapytała łagodnie.

– Tęsknimy za nią, Zak i ja. – Popatrzył na psa. – Dlatego go ze sobą zabrałem. Jest... zagubiony bez niej, więc nie mogłem tak po prostu wyjechać i go zostawić.

– Naturalnie, że nie – odparła Samantha, klepiąc owczarka po łbie. – Rozgośćcie się, panowie, a ja powiem Silbii, że jesteście.

Zdążyli wypić po filiżance kawy, a Todd zjadł furę cynamonowych babeczek, gdy wreszcie pojawił się Neal, wezwany przez Silbię, która po obsłużeniu gości pobiegła po niego do stodoły.

– Miałas po mnie przyjść natychmiast, jak się tylko zjawią – zbeształ Neal swoją gospodynię.

– Przepraszam, *patrón*, ale pomyślałam, że nic się nie stanie, jeśli wcześniej ich ugoszczę.

Wręcz przeciwnie, stało się, pomyślał zirytowany Neal, czując, jak narasta w nim gniew, który pojawił się, kiedy Samantha uparła się, że chce być na miejscu, gdy Nathan i Todd przyjadą. Miał nadzieję, że jego córka i syn Waverlinga nie będą mieli okazji do spotkania.

Neal przystanął w drzwiach do pokoju, kiedy zobaczył, jak Samantha i Nathan rozmawiają cicho, a u ich stóp leży pies. Todd siedział sztywno, zostawiony sam sobie, a cała jego postawa wręcz krzyczała: „Weźmy się wreszcie do roboty!”. Po raz kolejny Neala przeszło poczucie winy, tak samo jak stado mysołowców wraca do leżącej od dawna padliny. Samantha powiedziała mu o tragedii, jaka niedawno spotkała Nathana, i Neal nie mógł nie zauważyć, jak śmierć małej dziewczynki głęboko nią poruszyła. Przyjechała do Las Tres Lomas nazajutrz po otrzymaniu wiadomości – jakże się ucieszył na jej widok! – i niemal natychmiast, opowiadając mu, co zaszło, zaczęła płakać.

– Kochanie – powiedział. – Przecież ledwie to dziecko znałaś. Czemu tak się tym przejmujesz?

– Sama nie wiem... Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale tak bardzo współczuję Nathanowi i jego rodzinie, jakbym ja też poniosła stratę.

To zrozumiałe, że tak się właśnie czuje, pomyślał sobie Neal. Przecież dziewczynka była jej przyrodnią siostrą, Nathan jest jej bratem bliźniakiem. Oboje rozwijali się w jednym łonie. Widząc ich dzisiaj razem, zastanawiał się, jak los ich do siebie zbliżył. Gdyby nie list od doktora Tolmana – gdyby Samantha nie przywiozła tamtego dnia poczty – Neal Gordon nie miałby pojęcia, że młody człowiek pijący w jego salonie kawę w towarzystwie jego córki jest jej bratem, ani że człowiek, który na jego ziemi będzie stawiał szyb naftowy, jest jej ojcem. Nie znosiłby każdego dnia katuszy na myśl, że Samantha się o wszystkim dowie i znienawidzi go za to, że to przed nią zataił. Niewiedza byłaby prawdziwym darem łaski.

Wszedł do salonu. Todd zerwał się z szerokim uśmiechem na twarzy – „Sojusznik!”. Neal serdecznie przywitał się z Nathanem, z Toddem chłodno.

– To jak, chłopaki, gotowi, żeby jechać do Windy Bluff?

– Tak, proszę pana! – wykrzyknął Todd. – Już się nie możemy doczekać.

Samantha uśmiechnęła się do Nathana i wskazała na koszyk z bułeczkami cynamonowymi.

- Powiem Silbii, żeby je dla was zapakowała, a ja je wam przywiozę.
- Przywieziesz? – zdziwił się Neal.
- Jadę z wami – powiedziała Samantha. – Chcę zobaczyć miejsce, w którym stanie platforma.
- Po co?
- Bo chcę mieć pewność, że teren zostanie wyznaczony zgodnie z obietnicą, bez naruszania miejsca, w którym znalazłam czaszkę dinozaura. Masz coś przeciwko?
- Ależ skąd, absolutnie nic – odparł Neal niewinnym tonem.

Niech to szlag trafi! pomyślał sobie w duchu.

Daniel się denerwował. Był zły na szefa. Zamiast wrócić do Triple S z Nathanem i Toddem, rano musiał dopilnować załadunku sprzętu do Beaumont, który miał zastąpić zniszczony przez huragan sprzęt w Spindletop. Niech to wszystko jasna cholera! Nie widział Billie June cztery dni, odkąd w ubiegłą sobotę musiał wrócić do Dallas. Sam siebie nie poznawał. Dawniej cieszyłby się, że nie ma jej w mieście, bo mógł wtedy korzystać z jego lubieżnych atrakcji, teraz jednak nie miał na nie ochoty. Tęsknił za Billie June i za wieczorami spędzonymi przy kominku w posiadłości Singletonów. Czuł się tam jak w domu, którego nigdy nie miał. Poza tym Billie June wyraźnie niedomagała, czym się naprawdę martwił. Codziennie do niej dzwonił, namawiając ją, żeby poszła do lekarza, a ona zapewniała go, że nic jej nie dolega. To tylko niepokój o przyszłość Triple S. „Nie wiem, co zrobimy i gdzie się podziejemy” – mówiła.

On sam też coraz bardziej przejmował się katastrofą wiszącą nad rodzowym ranczem, miejscem, w którym Billie June przyszła na świat. Sloan Singleton miał jeszcze dziewięć dni na zebranie pieniędzy, w przeciwnym razie straci Triple S. Rancier i jego rodzina zostaną praktycznie bez dachu nad głową. Sloan i Samantha przeprowadzą się do Las Tres Lomas – stary Gordon będzie zachwycony! – ale gdzie się podzieją Billie June i Millie May? Co się stanie z wyposażeniem domu, z rodzinnymi pamiątkami?

Zbyt przygnębiony, żeby przez ostatnie trzy wieczory wracać do pustego mieszkania, do późna stał przy desce kreślarskiej, dopracowując projekt urządzenia mającego zapobiegać wytryskowi ropy z szybu. Dostał już na nie patent i miał nadzieję, że wyprodukują je na czas, żeby mogło zostać wykorzystane, kiedy w Windy Bluff dokopią się do ropy. Samanthę bardzo by to ucieszyło. Daniel, podobnie jak Todd, był przekonany, że na farmie Gordonów znajduje się złożo.

Kiedy porządkował swoje miejsce pracy, by pójść wreszcie do domu, zerknął na rysunki. I nagle poczuł się tak, jakby piorun w niego strzelił. Gapił się na projekt urządzenia i czuł, że przeszywa go najprawdziwsza radość. Chyba właśnie wymyślił, jak uratować Triple S. Wyszedł z pracowni i pognął do gabinetu szefa.

Po południu kustosz Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku otrzymał przesyłkę. Była zapakowana w karton po puszkach z fasolką Libby, bez adresu zwrotnego. Po otwarciu kustosz znalazł w nim przedmiot zawinięty w ścierki, na którego widok wstrzymał oddech. Od razu rozpoznał pysk i szczękę dinozaura.

– Skąd to przyszło? – zapytał pracownika, który przyniósł mu paczkę.

– Nie wiem, proszę pana – odparł pracownik – ale to rzadkie znalezisko, prawda?

W San Francisco w Kalifornii, przy Canal Street 505, listonosz wsunął pocztę do skrzynki na listy i celowo głośno trzasnął jej klapką. Hałas był na tyle duży, że musiał wyrwać z popołudniowej drzemki mieszkającą obok wdowę, jednak ona zdążyła już do tego przywyknąć. Listonosz czuł zapach świeżo upieczonych ciasteczek. Przystanął na werandzie, niby to żeby poukładać korespondencję, którą miał dostarczyć do pozostałych domów. Od razu usłyszał dobiegające z wnętrza domu kroki i uśmiechnął się pod nosem. Jak zwykle jego strategia podziałała. Pani domu otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, panie Kilburn – przywitała go, a sposób, w jaki wymawiała „r”, świadczył o jej irlandzkim pochodzeniu. – Przyszedł pan w samą porę. Właśnie upiekłam czekoladowe ciasteczka, te, które pan Mahoney tak bardzo lubi.

Bridget Mahoney, częstując listonosza swoimi wypiekami, zawsze wspominała o mężu, żeby, broń Boże, nie zapomniał, że jest mężatką. Zazwyczaj o tej porze piekła ciasteczka i listonosz starał się wrzucać listy do jej skrzynki dokładnie w chwili gdy, miał nadzieję, wyjmowała je z piekarnika.

– Och, naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu! – mitygował się jak zwykle.

– Nonsens. Niech pan tu zaczeka, zaraz panu kilka przyniosę.

– W takim razie wyjmę pani listy ze skrzynki – powiedział listonosz, również jak zwykle. – Nie możemy pozwolić, żeby sobie pani poraniła rączki o ostre krawędzie, prawda?

Gdy Bridget Mahoney wróciła z ciasteczkami, on w zamian wręczył jej korespondencję.

– Zauważyłem, że dostała pani list z Teksasu, wysłany trzynastego września, tydzień temu – rzekł listonosz, delektując się ciasteczką. – Aż dziw, że w ogóle dotarł po tym, co ten straszny huragan zrobił z liniami kolejowymi.

– Nie znam nikogo w Teksasie, kto mógłby do mnie napisać – odparła w zamyśleniu, przyglądając się adresowi zwrotnemu.

– Ładny charakter pisma, trzeba przyznać. Cóż, na mnie pora – powiedział listonosz. – Dziękuję za ciasteczka, pani Mahoney. Jak zwykle były pyszne.

Bridget nie zareagowała na ten komplement. Nie odrywała oczu od adresu zwrotnego. Przysiadła na huśtawce stojącej na werandzie jej zadbanego piętrowego domku, z którego z panem Mahoneyem byli tak dumni. Kupili go za pieniądze

zarobione przez męża na firmie promowej, kiedy przyjechali do San Francisco w 1885 roku. Listonosz wchodził właśnie po schodkach domu mieszkającej obok wdowy, kiedy pani Mahoney wykrzyknęła:

– Chwała niech będzie łaskawym niebiosom!

Rozdział 73

Zbliżał się koniec długiego dnia. Po chwilowym nawrocie lata nie było śladu. Zachodzące słońce nie grzało już tak mocno, zapowiadając nadejście zimnej i wietrznej jesieni. Cała czwórka – Neal, Samantha, Nathan i Todd – która rankiem pojechała na działkę naftową, nie zrobiła sobie ani jednej przerwy na posiłek czy odpoczynek. Najpierw rozładowali wóz z narzędzi i sprzętu potrzebnego do rozpoczęcia prac wiertniczych, potem pracownicy Waverling Tools zajęli się wyznaczaniem miejsc na zbiornik płuczkowy, latryny i rowy, którymi zostaną poprowadzone rury do źródła.

Samantha czujnie przysłuchiwała się, kiedy ustalali, gdzie postawią zbiorniki, przenośny generator parowy i kocioł, które poprowadzą drogi, gdzie zbudują obóz dla ludzi, i czasem wysuwała własne, według niej lepsze propozycje.

– Na litość boską, Sam, daj ludziom pracować! – narzekał Neal.

– Nie wtrącam się w ich pracę, tatusiu. Pilnuję tylko, żeby przestrzegali warunków umowy i możliwie jak najmniej niszczyli naszą ziemię.

Samantha chciała wiedzieć wszystko o przebiegu prac wiertniczych, poczynając od wiercenia otworu, w którym stanie szyb (który z tego, co wiedziała, w pierwszej kolejności zostanie zacementowany), po działanie każdej części maszynierii służącej do wydobycia ropy. Nie uszedł jej uwadze żaden obcy termin, którego w rozmowie użyli Nathan i Todd. Natychmiast dopytywała się, co oznacza.

– Co to jest „skrobaczka”?

– To półtorametrowa deska ciągnięta przez zwierzęta, którą zasypujemy rurowiagi.

– Co znaczy „posadzenie”?

– Dzień, w którym wiertło po raz pierwszy uderzy w ziemię. Czyli kiedy zaczyna się wiercenie.

Wreszcie dzień dobiegł końca.

– Bierzmy się za rozbijanie namiotów – zawołał Nathan do Todda.

– Już idę – odkrzyknął Todd.

Stojąca nieopodal Samantha usłyszała tę wymianę zdań.

– Już za późno, żebyście teraz rozbijali namioty, Nathanie. Ty i Todd zostaniecie na noc w Triple S. Dla ciebie też się znajdzie miejsce, Zak.

Nathan spojrział w stronę Todda. Mężczyzna sprawdzał właśnie stujardową działkę, którą za pomocą drutów wytyczyli w miejscu, gdzie miała stanąć platforma podtrzymująca szyb. Jak dotąd Nathan nikomu nie zdradził, że podejrzewa go o kradzież znaleziska archeologicznego Sam, i nigdy tego nie robi, chyba że Baker da mu ku temu jakiś powód. Również właściciel Waverling Tools nie dał się przekonać, że kodak Samanthy, rzekomo wysłany do firmy w Nowym

Jorku, zaginął z winy amerykańskiej poczty. Do końca swoich dni w firmie młody geolog będzie czujnie obserwowany przez Trevora. Nathan podejrzewał, że Todd głęboko żałował, że zniszczył łączącą go z Samanthą wieloletnią przyjaźń – była to zdrada, jakiej się dopuścił wyłącznie dla własnych korzyści. W ten sposób, w mniemaniu Nathana, sprawiedliwości stało się zadość. Mimo to nie chciał narażać Sam na towarzystwo Todda, choć był wdzięczny za zaproszenie, jakie skierowała do niego i Zaka. Już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć, kiedy przeszkodził mu okrzyk Neala.

– Nie!

Reakcja Gordona zwróciła nawet uwagę Todda.

Wykończony Neal szedł właśnie, żeby położyć kres pogawędce córki z Nathanem, gdy usłyszał zaproszenie Samanthy. I tak był już wystarczająco wściekły, że tkwiła tu przez cały dzień, zamiast siedzieć sobie w Triple S, żeby on mógł spokojnie wrócić do domu, dlatego teraz wydarł się bez zastanowienia.

– To znaczy... chciałem tobie, Nathanie, i Toddowi zaproponować nocleg u siebie. Byłem cholernie samotny przez ten ostatni tydzień i ucieszyłbym się, mając wreszcie jakieś towarzystwo. Coś przekąsimy, wypijemy po szklaneczce burbona, zagramy w karty.

– To bardzo uprzejme z pana strony, ale jak pan widzi, mam ze sobą psa, który zawsze śpi ze mną.

Neal machnął ręką.

– Do licha, jego też zapraszam. Pies mi w domu nie przeszkadza.

Samantha słuchała ojca, nie wierząc własnym uszom. Nigdy nie wpuszczał żadnych psów do domu. Bała się, że dzisiaj rano zachowa się niegrzecznie i przepędzi Zaka z salonu. Poza tym kiedy prowadzili negocjacje, wprost odmówił przyjęcia Nathana, Todda i Daniela pod swój dach. Te nagłe zmiany decyzji ojca zaczynały ją poważnie martwić. Podszedł do nich Todd, żeby posłuchać, o czym rozmawiają. Słyszając, jak Neal proponuje im kolację i nocleg, powiedział skwapliwie:

– To chyba lepsze, Nathanie, od jedzenia z puszki i spania na gołej ziemi.

– Świetnie więc, sprawa załatwiona – rzekł Neal. – Bierzcie, co potrzebujecie, i jedziemy do domu.

– Tatusiu, myślałam, że zjesz kolację u nas – odezwała się Samantha. – Długo nie zaglądałeś do Triple S.

– Dzięki, złotko, ale nie chcę wracać do domu po ciemku. Idziemy, chłopaki.

Jak zwykle cmoknął córkę w policzek. Samantha nie posiadała się ze zdumienia. Dotąd ojciec nigdy się nie bał wracać do domu z Triple S nocą.

Następnego ranka wystrojony w niedzielny garnitur Daniel siedział w recepcji ze skrzyżowanymi nogami, czekając, aż przyjmie go Noble Rutherford. Dokładniej niż zwykle wyczyścił paznokcie (Billie June uwielbiała zadbane ręce)

i doskonale zdawał sobie sprawę, że wpadł w oko recepcjonistce – całkiem niebrzydkiej – która za wszelką cenę starała się tego nie okazywać. Daniel wiedział, że jest przystojnym gościem – kobiety jasno dawały mu to do zrozumienia. Billie June jednak zdawała się w ogóle tym nie przejmować. Inne niezbyt ładne kobiety, adorowane przez młodszego, atrakcyjnego mężczyznę, czułyby się niepewnie w obecności kochanka podziwianego przez rywalki, ale nie Billie June. Gdyby teraz tu z nim siedziała, wzięłaby do ręki gazetę, zupełnie niezmartwiona spojrzewaniem rzucanym na Daniela przez recepcjonistkę. Albo przynajmniej nie dawałaby po sobie poznać, że ją to denerwuje. Nie znał drugiej równie dumnej kobiety i między innymi właśnie dlatego zjawił się tu dzisiaj.

Zadzwęczał wiszący za recepcjonistką dzwonek.

– Pan Rutherford przyjmie pana teraz – oznajmiła.

Daniel podążył za jej krągłymi biodrami do luksusowego gabinetu bankiera, przytłaczającego ostentacyjną elegancją. Z widoczną niechęcią Noble podniósł się zza swojego gigantycznego biurka i lekceważąco podał gościowi rękę, nie zapinając nawet marynarki. To nietaktowne powitanie sprawiło, że w Danielu zagotowała się krew. Rutherford znajdował się na samym szczycie listy ludzi, którymi Lane gardził najbardziej. Jak mógł kiedyś myśleć, że Sloan Singleton również się do nich zalicza?

Noble usiadł i gestem wskazał, żeby Daniel zrobił to samo.

– Przyznaję, żeś mnie pan zadziwił, Lane. Skąd ta prośba o prywatne spotkanie? Jeśli chcesz pan prosić o pożyczkę, z powodzeniem mógł się tym zająć jeden z moich urzędników.

– Nie załatwiliby pożyczki, o którą mi chodzi, panie Rutherford.

– Och! A cóż to za pożyczka?

– Raczej czyja.

– Słucham?

– Nie przyszedłem po pieniądze, lecz chciałem wykupić czyjś dług, panie Rutherford. W pana najlepszym interesie leży, żeby mi go sprzedać. Proszę mi wybaczyć tę grę słów.

Noble Rutherford wpatrywał się w Daniela z zaciekawieniem.

– A czyj to dług chciałby pan wykupić?

– Sloana Singletona.

Po południu Daniel wynajął konia i pojechał do Triple S. Nie wszedł do głównego domu, lecz zapytał jednego z parobków, gdzie znajdzie jego szefa. W stołówce, odparł mężczyzna.

Zastał Sloana w towarzystwie Grizzly'ego, z którym pił kawę. Ranczer wyglądał na zmęczonego i zmartwionego, jakby postarzał się o kilka lat. Daniel wszedł do stołówki po cichu i zczekał, aż kucharz skończy się skarżyć. Najwyraźniej wciąż się gniewał, że jakiś tydzień temu doszło do tajemniczej

kradzieży. Ktoś włamał się do spiżarni i zabrał z niej karton, w którym były puszki z fasolą.

– Komu chciało się kraść karton? Wyjął z niego wszystkie puszki, zostawił je na podłodze i zmył się, przy okazji zwijając połowę moich ścierek? – denerwował się Grizzly. – Najpierw pomyślałem, że te ściereki są mu potrzebne dla jakichś nowo urodzonych szczeniaków albo kociąt, ale potem żech se przypomniał, że od dawna już tu żadnych nie mieliśmy. Poza tym wystarczyło zwyczajnie przyjść i poprosić.

– Rzeczywiście, bardzo to tajemnicze – zgodził się Sloan. Zerknął przez ramię i zauważył Daniela. – A ty co tutaj robisz? Billie June mówiła, że dzisiaj jedziesz na wybrzeże.

– Miałem sprawę do załatwienia w Fort Worth – odparł Daniel, śmiejąc się w duchu. – Również w związku z tobą. Czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

Sloan zerknął na kucharza, który natychmiast wstał od stołu i poszedł sobie.

– Siadaj, Lane. W związku ze mną? Jak to?

– Cóż, najpierw przeczytaj to.

Daniel podał Sloanowi kopertę, z której ten wyjął kartkę papieru. W miarę jak czytał, szczeka opadała mu coraz bardziej. Popatrzył na Lane'a z niedowierzaniem.

– Co to ma być? Tu jest napisane, że mój dług w banku Rutherford City został w całości spłacony.

– To prawda.

– Ale... Nic nie rozumiem. Jak to się stało? I skąd masz to pismo?

– Tu znajdziesz wyjaśnienie.

Daniel wyjął z drugiej koperty kolejny dokument i pchnął go przez stół w stronę Sloana. Kiedy ranczer go przeczytał, przymknął powieki. Potrząsnął głową i zacisnął wargi z miną człowieka, który powinien się być tego spodziewać, ale teraz było już za późno. Otworzył oczy, popatrzył na Daniela i odezwał się pełnym rezygnacji głosem:

– Spłaciłeś mój dług. Triple S jest twoje.

Daniel sięgnął po potwierdzenie tytułu własności.

– Na to wygląda.

Twarz Sloana zrobiła się szara jak popiół.

– W końcu tego właśnie chciałeś od samego początku: położyć łapę na moim ranczu, prawda?

– Cóż... z początku rzeczywiście miałem taki zamiar. Ale... – Daniel w zamyśleniu podrapał się w kark – ...zmieniłem zdanie. Masz coś innego, czego pragnę o wiele bardziej. W zamian za to w tej chwili przepiszę ranczo na ciebie, bez żadnych dodatkowych warunków, i nigdy więcej nie będziemy na ten temat rozmawiać.

- A cóż to jest takiego?
- Twoje błogosławieństwo, kiedy poproszę o rękę Billie June.

Rozdział 74

– Jak ci się to udało? – zapytała Billie June, wtulona w ramiona Daniela.

– Zaproponowałem szefowi dożywotnie prawo do mojego patentu na urządzenie zapobiegające wytryskowi ropy, jeśli da mi pieniądze na spłatę długu twojego brata. – Zaśmiał się. – Ten mściwy drań Noble Rutherford z radością na to przystał. Był przekonany, że chcę się zemścić na Sloanie jeszcze bardziej niż on. – Daniel zaczął naśladować nadęty ton bankiera. – „Lane, bardzo chętnie zrezygnuję z tej przyjemności i pozwolę, żebyś to ty przejął ranczo. W ten sposób nikt nie będzie mógł powiedzieć, że kierowała mną zemsta za to, jak Sloan upokorzył moją córkę. Zresztą co miałbym zrobić z ranczem, które i tak stoi na skraju bankructwa”.

Billie June zachichotała.

– Masz pojęcie, ile na tym straciłeś? – zapytała, tuląc mokry od łez policzek do jego koszuli.

– Wszystko sobie odbiję. Mam już pomysł na wiertło obrotowe, a także jeszcze inne narzędzia, poza tym zostało mi dość pieniędzy na pierścionek zaręczynowy. – Daniel odsunął od siebie Billie June i zapytał: – Czy teraz pójdziesz wreszcie do lekarza?

Billie June westchnęła i na powrót się do niego przytuliła.

– Pójdę, ale wiem, co mi dolega.

– Naprawdę? Co takiego?

– Jestem w ciąży – powiedziała.

Dwa tygodnie później, szóstego października, Billie June i Daniel wzięli ślub cywilny, którego w budynku sądu hrabstwa udzielił im sędzia i wieloletni przyjaciel rodziny. Uroczystość, w której wzięli udział tylko Samantha, Millie May i Sloan w roli drużby Daniela, była prosta i skromna, jednak nowy szwagier Lane'a wykosztował się na wystawne przyjęcie, zorganizowane przez Millie May i Samanthę. Odbyło się ono w sali bankietowej nowego gmachu opery, wzniesionego dla pokazania światu, że Fort Worth z miasta hodowców była przeistoczył się w nowoczesną metropolię. Zaproszeni zostali Grizzly i Wayne, Claude Chandler, pracownicy Triple S, koleżanki aktywistki Billie June i Millie May, a także kilku przyjaciół Daniela z Waverling Tools, łącznie z samym szefem, oraz wielu gości obecnych na ślubie Samanthy i Sloana. Anne Rutherford nie znalazła się na liście zaproszonych, a Todd Baker grzecznie odmówił.

Siedząc na ławce w parku, Leon przebiegał wzrokiem list od Randolpha, starając się wyczytać coś między wierszami. List był datowany dziesiątego października, został jednak wysłany dopiero dwudziestego trzeciego. Zupełnie jakby Randolph po jego napisaniu nie mógł się zdecydować, czy go wysłać, i czekał z tym na odpowiednią chwilę. Jego zwykle proste i staranne pismo stało się

nico bardziej niechlujne, kropki znajdowały się nie tam, gdzie powinny, a przy niektórych „i” jakby omsknęło mu się pióro. W treści było niewiele na temat zajęć, stopni, profesorów i przyjaciół, co Millicent zawsze najbardziej interesowało. Ostatnie listy zawierały głównie prośby o pieniądze.

Leon nie był w stanie tego pojąć. Jako rodzice studenta pierwszego roku Uniwersytetu Columbia dostali wykaz szkolnych wydatków i ich szacunkowy koszt. W uniwersyteckim banku Millicent otworzyła konto na nazwisko Randolpha, na które wpłaciła żadaną sumę, plus pewną kwotę na prywatne wydatki syna, którą co miesiąc uzupełniała. Kiedy Randolph napisał list, prosząc o dodatkowe fundusze, minęło dopiero dziesięć dni października. Jak to możliwe, że zdołał wydać wszystko w tak krótkim czasie?

„Chcę wstąpić do bractwa – pisał Randolph – i muszę z góry zapłacić wpisowe. Dostałem oferty od kilku najlepszych greckich liter, chociaż nawet nie poszedłem na dni otwarte, i już samo to świadczy, co poszczególne bractwa o mnie myślą. Mamo, byłabyś zachwycona, ponieważ należą do nich synowie potentatów, dyplomatów, czołowych liderów politycznych i tak dalej. Dobrze jest obracać się w takim towarzystwie. Kto wie, jak znajomość z nimi wpłynie na moją przyszłość. Zgodzisz się ze mną, prawda?”

Mały, nadęty bubek, pomyślał Leon. Choć niewykształcony i niemający pojęcia o uniwersyteckim żargonie – skąd miał wiedzieć, co znaczy „wpisowe”, „najlepsze greckie litery” czy „dni otwarte”? – domyślił się jednak wszystkiego z kontekstu listu i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś tu jest nie tak. Randolph nigdy nie był lubiany przez szkolnych kolegów w Gainesville. Jakim cudem pretensjonalny syn skromnego farmera z małego teksańskiego miasteczka stał się nagle pożądanym kandydatem dla bractw, do których należały dzieci samych możliwych i wpływowych ludzi? Oprócz rozumu potrzeba do tego jeszcze pociągającej osobowości, a tym Randolph raczej nie mógł się pochwalić.

– Och, Leonie, tego właśnie pragnęliśmy dla naszego syna! – wykrzyknęła rozradowana Millicent, kiedy przeczytała list. – To zrozumiałe, że musimy mu posłać więcej pieniędzy!

Leon zastanawiał się, skąd się nagle wzięło to „my”. Żona może i rozmawiała z nim o wydatkach, ale i tak ostatnie słowo zawsze należało do niej. Pieniądze były jej i swoim nazwiskiem podpisywała czeki. Millicent nie wiedziała, że Leon ma w banku własne konto, na które od czasu do czasu wpłacał te kilka centów, które udało mu się zaoszczędzić.

– Millicent, musimy uważać z wydatkami – poradził jej. – Pieniądze ze sprzedaży farmy kiedyś się skończą. Co zrobimy, gdy już wszystko wydasz?

– Nie wydam – warknęła. – A kiedy... zaczniesz nam brakować, Randolph będzie już w takiej sytuacji, że nam pomoże.

Leon martwił się, że ich córka również zawiedzie oczekiwania Millicent.

Poszła do akademii dla dziewcząt w Denton, gdzie nie brakowało starających się o jej rękę, których Millicent aprobowała. Ostatnio jednak listy Lily świadczyły o tym, że przestali ją interesować, skupiła się za to na nauce.

– Co się z nią dzieje? – zapytała Millicent męża. – Do tej pory nauka w ogóle jej nie obchodziła.

Leon mógłby jej na to odpowiedzieć, ale tego nie zrobił. Domyślał się, w czym rzecz. Kiedy ostatnio sam, bez Millicent, pojechał do Denton, żeby przywieźć córce rzeczy z domu, o które prosiła, trochę sobie porozmawiali. Lily zawsze mówiła mu więcej niż matce. Przy lodach w lokalnej kawiarni przyznała mu się do podziwu, jakim darzy dyrektora katedry historii, którego Millicent i Leon poznali, gdy ich córka zapisywała się na studia.

– Jest taki inspirujący, wykształcony – zachwyciła się Lily.

Poza tym był nieżonaty, przystojny, tylko kilka lat starszy od niej i jak najbardziej odpowiedni dla dziewczyny marzącej o naukowcu, który zapewni jej życie w eleganckim ubóstwie. Lily prawdopodobnie durzyła się w profesorze tak samo jak wszystkie inne studentki historii w akademii, ale zdaniem Leona była to zwykła dziewczęca fascynacja, która zniknie równie szybko, jak się pojawiła. Uznał, że nie ma potrzeby niepokoić żony tą chwilową słabością, dzięki której ich córka zdołała poprawić swoje stopnie.

Westchnął. Bardzo tęsknił za życiem na farmie. Choć tak niepewna, uprawa pszenicy była o niebo łatwiejsza od wychowywania dzieci.

Bridget Mahoney przeczytała swoją odpowiedź na list Samantha Gordon, datowaną dwudziestego siódmego października 1900 roku. Potrzebowała ponad miesiąca, żeby podjąć decyzję, czy w ogóle napisać. Biedna dziewczyna wspomniała, że pani Mahoney zapewne nigdy nie dostanie jej listu, a teraz prawdopodobnie straciła już jakąkolwiek nadzieję, że akuszerka jej odpisze. Bridget cierpiała katusze, łamiąc sobie głowę nad moralną odpowiedzialnością wobec noworodka, którego dwadzieścia lat temu przystawiła do piersi, a który teraz stał się już dorosłą kobietą. Czy powinna zachować dla siebie okoliczności przyjścia na świat Samantha Gordon i pozwolić, by jej pytania zostały bez odpowiedzi?

W swoim liście młoda kobieta pisała, że wylądowała na łożu wyścielonym płatkami róż. Wychowało ją małżeństwo, które kochało ją bezgranicznie, a ona tę miłość w pełni odwzajemniała. Zaspokajali jej wszystkie potrzeby i na niczym jej nie zbywało. Teraz była szczęśliwą mężatką, żoną człowieka, którego uwielbiała nad życie. Mieszkała w wygodnym domu na ranczu swojego męża, cieszyła się towarzystwem jego dwóch sióstr, które traktowała jak własne. Zdecydowała się napisać ten list nie dlatego, że czegoś jej brakowało, lecz dlatego, że chciała w końcu zaspokoić dręczącą ją ciekawość, a Bridget Mahoney jest ostatnią osobą, która mogła jej w tym pomóc. Czy wie, kim są jej rodzice i czy wciąż żyją? Czy

wie o jakimś rodzeństwie? Czy mogłaby jej wyjawić prawdziwy powód, dla którego została oddana do adopcji? Samantha byłaby wdzięczna za każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Zapewniła panią Mahoney, że ta nie musi się obawiać, że będzie rozpowszechniać jakieś plotki lub że tym, co powie, wyrządzi komuś krzywdę.

Bridget jednak nie była pewna, czy powinna to zrobić. Co się stanie, jeśli wyjawi to, co wie? Rozmawiała o tym z panem Mahoneyem, który odpowiedział tak, jak się tego spodziewała. „Zrób to, co uznasz za słuszne, kochanie”.

Koniec końców postanowiła wyjawić Samancie Gordon całą prawdę, nie przejmując się konsekwencjami. Była bardzo zadowolona z tego, co napisała.

Szanowna Panno Gordon,

otrzymałam Pani list dwudziestego września i pragnę wyrazić nadzieję, że ani Pani, ani Jej rodzina nie ucierpieliście zbyt w huraganie, który nawiedził Galveston. Urodziła się Pani dwudziestego trzeciego marca 1880 roku, a Pani rodzicami byli Leon i Millicent Hollowayowie. Mieszkali na farmie w Gainesville w Teksasie. Ma Pani brata bliźniaka. Nie wiem, jak się nazywa ani czy jeszcze żyje. Z jakiegoś powodu Pani matka nie chciała zatrzymać Was obojga i poleciła Pani ojcu jedno z Was oddać. Nie potrafiąc wybrać, pan Holloway obrócił się tyłem do stołu, na którym oboje leżeliście, i nie patrząc, wskazał palcem na jedno z Was. Był to Pani brat. Potem Pani tato poprosił, żebym zawiozła Panią doktorowi Tolmanowi, pocziwemu lekarzowi z Marietty na Terytorium Oklahomy. Po kilku dniach przekazał Panią bezdzietnemu małżeństwu z Fort Worth, o którym wiedział. To oni są teraz Pani rodzicami. To wszystko, co wiem. Zawsze się zastanawiałam, co stało się z małą dziewczuszką, której własna matka nie chciała karmić, i nawet Pani nie wie, jak bardzo ucieszyły mnie wieści, że Pani żyje i jest szczęśliwa. Niech Bóg błogosławi Panią i Pani ukochanych.

Z poważaniem

Bridget Mahoney

Tak, pomyślała sobie Bridget, to bardzo dobry list, w rzeczy samej. Żadnego owijania w bawełnę, tylko sama prawda. Powstrzymała się przed napisaniem, co tak naprawdę myśli o matce dziecka. Niech jej córka oceni ją sama.

Rozdział 75

Rankiem dwudziestego siódmego października Trevor Waverling zadzwonił do Daniela na Triple S z poleceniem, by pociągiem pojechał do Beaumont. Tego właśnie dnia bracia Hamillowie mieli zacząć wiercić w Spindletop i zadaniem Daniela było sprawdzić, czy sprzęt wyprodukowany w Waverling Tools działa jak należy.

- Ma pan jakieś przeczucie? – zapytał Daniel szefa.
- Owszem, mam.
- Tak jak ja co do Windy Bluff – powiedział Daniel.
- Obyśmy więc obaj mieli rację.

Kiedy mówił o tym przy śniadaniu, Samantha słuchała go, ze smutkiem myśląc o zmianach, jakie tej jesieni szykują się w domu. Częste wizyty Daniela, a co za tym idzie Billie June, wkrótce się skończą. Prace wiertnicze w Windy Bluff przebiegały sprawnie pod czujnym i kompetentnym kierownictwem doświadczonego starego wiertniczego, niejakiego Jarvisa Putnama. Szyb już stał i cały sprzęt działał bez zarzutu. Po powrocie z Beaumont Daniel na powrót zasiadł przed swoją deską kreślarską w Waverling Tools. Jego szef wpadł na pomysł nowej pompy piaskowej i chciał, żeby Daniel ją zaprojektował.

Billie June była już w dość zaawansowanej ciąży i powstało pytanie, czy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby została w Triple S, zamiast siedzieć samotnie w mieszkaniu Daniela, podczas gdy on będzie w pracy. Przyszli rodzice uznali jednak, że żona i mąż powinni być razem, wobec tego Billie June w przeciągu tygodnia również wyjedzie. Millie May dostała się na kolejny kurs malarstwa w Muzeum Sztuk Pięknych w Houston i wkrótce zacznie spełniać swoje marzenia, by zostać utrzymującą się z malarstwa artystką. Nathan Holloway i Todd Baker już dawno pracowali gdzie indziej.

Wyczuwając melancholijny nastrój Samantha, Millie May zapytała:

- Kiedy wraca Sloan?
- Na początku przyszłego tygodnia – odparła Samantha. – Będę wiedzieć, gdy ujrzę na horyzoncie chmurę pyłu.

Ziemia była sucha i pokryta kurzem. Jak to bywa z kapryśną matką naturą, nawet kropelka deszczu nie spadła od połowy września, kiedy to gwałtowna burza siała zniszczenia daleko na północ wzdłuż Rzeki Czerwonej, docierając aż do La Palomy, gdzie pasły się stada. Epidemia grypy powaliła połowę pracujących tam parobków, którzy trafili do szpitala, i Sloan razem z Nealem pojechali konno, żeby to, co zostało ze stada, przeprowadzić przez rzekę i wysłać koleją na sprzedaż. Neal zastanawiał się, czy nie pozbyć się La Palomy. Z jakiegoś powodu zniechęcił to miejsce i będąc tam, chciał się przy okazji rozejrzeć za potencjalnymi kupcami.

Billie June dotknęła pocieszająco ramienia Samantha.

– Tak nam przykro, że zostaniesz tu całkiem sama.

– Cóż, czeka mnie przynajmniej jedna dobra rzecz – odparła Samantha. – W poniedziałek mają pociągnąć linię telefoniczną do Las Tres Lomas. W końcu będę mogła być w kontakcie nie tylko z mamą, ale też z tatą.

Mamą... tatą. Samantha cieszyła się, że nie wspomniała Sloanowi o liście, który w połowie września napisała do Bridget Mahoney. Nie został do niej odesłany, ale też nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Sloan bardzo by się zmartwił na wieść, że na nowo obudziła się w niej ciekawość. Czyż nie miała rodziny, której potrzebowała? Wkrótce zostaną wujkami. W rodzinie pojawi się dziecko. Czy to jej nie wystarczało? Kiedy Sloan wyjechał z jej ojcem, pogodziła się już, że przepadła ostatnia szansa, by dowiedzieć się czegokolwiek o okolicznościach jej przyjścia na świat.

Przez prawie cały tydzień Samantha pomagała szwagierkom w pakowaniu. W czwartek siostry miały razem pojechać pociągiem do Dallas, skąd Millie May następnie wyruszy do Houston. Z tej okazji urządziły małe przyjęcie pożegnalne. Całą trójką pojechały do Fort Worth, gdzie zjadły lunch z Estelle, a potem Samantha, po drodze do domu, podrzuciła obie siostry na stację. Podczas lunchu Estelle błagała córkę, żeby została z nią przynajmniej do następnego dnia.

– Wyglądasz na taką zmęczoną, kochanie. Powinnaś się porządnie wyspać i pozwolić kochającej matce się sobą zaopiekować.

Samantha zastanawiała się, czy nie pójść za namową matki, ale spodziewała się rychłego powrotu Sloana. Poza tym na ranchu było cielątko, które tylko jej pozwalało się karmić, musiała też zajrzeć do Las Tres Lomas, żeby zobaczyć, czy wszystko tam w porządku. Kiedy siostry odjechały, machając na pożegnanie przez okno chusteczkami, Samantha prawie zdecydowała, że w drodze powrotnej nie wstąpi na pocztę. Rzeczywiście była bardzo zmęczona i nie miała ochoty przepychać się zaprzężonym wozem przez całe miasto. W Las Tres Lomas poprosi Silbię, żeby sprawdziła jej skrzynkę pocztową, kiedy po południu pojedzie do miasta po pocztę dla ojca. Będzie chciał mieć ją na biurku, gdy wróci z La Palomy. Jednak kiedy już miała skrócić na drogę prowadzącą do domu, nagle zmieniła zdanie. Dzisiaj powinien przyjść katalog Sears and Roebuck i była ciekawa, jakie będą w nim oferty na Boże Narodzenie. Może zechce coś z niego zamówić, póki jeszcze jest na to czas.

Pół godziny później pierwsze, co poczuła, to ulga, kiedy zaszokowana znalazła wśród przesyłek list z Kalifornii, ze zwrotnym adresem Bridget Mahoney. Gdyby nie pojechała dzisiaj na pocztę, list wpadłby w ręce Neala.

– Nathanie, dzwoni do ciebie jakiś krewny. Mówi, że nazywa się Leon Holloway i pyta, czy rozmowa może być na twój koszt – powiedziała panna Beardsley.

Jej gniewnie zmarszczone czoło i nacisk, z jakim wypowiedziała słowa „na twój koszt”, zdradzały niezadowolenie, że pracownicy uważają, iż prywatne rozmowy mogą pokrywać z pieniędzy firmy.

Nathan się zaniepokoił. Leon nigdy by nie zadzwonił, gdyby nie stało się coś złego.

– To mój ojczym. Połącz go, a koszt rozmowy potrąć z mojej wypłaty – odparł.

Leon zaczął od przeprosin, że przeszkadza Nathanowi w pracy i że naraża go na wydatki, Nathan jednak przerwał mu w pół słowa.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Co się stało?

– Chodzi o Randolpha. Wpakował się w jakieś kłopoty na Columbii.

– Jakie kłopoty?

– Obawiam się, że... wpadł w nałóg. Przesiaduje w palarniach opium. Od ponad miesiąca nie chodzi na zajęcia. Wczoraj dostaliśmy z uniwersytetu list, w którym informują nas o jego nieobecnościach. I cofnęli mu stypendium. Napisała też do nas dziewczyna, którą poznał. Radzi, żebyśmy po niego przyjechali, zanim za bardzo się uzależni. Chcesz, żebym przeczytał ci ten list? Nie chciałbym cię narażać na zbyt duże koszty, w końcu to rozmowa zamiejscowa.

– Czytaj – polecił mu Nathan.

– Twoja matka szaleje – rzekł Leon, kiedy skończył czytać. – Nie wiedziałem, co zrobić, jedyne, co przyszło mi do głowy, to zadzwonić do ciebie i prosić... czy nie mógłbyś... pojechać do Nowego Jorku i przywieźć Randolpha do domu.

– Pojadę natychmiast, jak tylko tutaj wszystko załatwię – zapewnił go Nathan. – Masz może jakieś informacje, gdzie mógłbym zacząć go szukać?

Zapisał podyktowany przez Leona adres akademika Randolpha i nazwiska jego współlokatora, doradcy i dziewczyny, od której ojczym dostał list razem z nazwą i adresem kawiarni, w której pracowała. Nathan zapewnił go, że to w zupełności wystarczy, żeby trafić na ślad Randolpha.

– Zacząłem podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego, kiedy wciąż domagał się pieniędzy – powiedział Leon. – Matka dawała mu, ile mogła. Musi przecież myśleć też o Lily. Jeżeli uzależnił się od opium i zabrakło mu pieniędzy, Bóg jeden wie, co się może z nim stać. – Nathan słyszał w tonie ojczyma smutek i rozczarowanie. – Naprawdę przepraszam, że cię tym obarczam, Nathanie. Zbliża się Święto Dziękczynienia i na pewno masz co innego na głowie, niż włączyć się po palarniach opium w Nowym Jorku.

– Nic nie szkodzi. Powiedz matce, że przywiozę Randolpha do domu, tak żeby zdążył oskubać indyka.

Tak naprawdę Randolphowi nigdy nie zdarzyło się skubać żadnego indyka. To zawsze należało do obowiązków starszego brata, pomyślał Nathan, zaskoczony,

że informacje Leona jakoś szczególnie go nie poruszyły.

Trevor wysłuchał go bez słowa.

– Co mam powiedzieć Charlotte? – zapytał tylko, kiedy Nathan skończył.

– Prawdę – odparł syn. – Zrozumie.

Trevor westchnął.

– Będzie zawiedziona, że nie zabierzesz jej na bal chryzantem, ale oczywiście musisz jechać, bez dwóch zdań. – Otworzył szufladę w biurku, wyjął z niej nieduży rewolwer z krótką lufą i podał Nathanowi.

– Łatwo go ukryć – powiedział. – Będziesz też potrzebował pieniędzy.

– Nie, ojcze, poradzę sobie, ale pistolet wezmę – rzekł Nathan, chowając broń do kieszeni.

– Nalegam – rzekł Trevor, kładąc na biurku plik banknotów i popychając go w stronę Nathana. – Weź te pieniądze ze względu na mnie i uważaj na siebie. Masz zadzwonić, kiedy dotrzesz na miejsce i kiedy będziesz już wracał. Obiecujesz?

– Obiecuję – odparł Nathan. – Todd i ja mieliśmy jutro pojechać do Windy Bluff, a Daniel wciąż jest w Beaumont. Kogo pošlesz zamiast mnie?

– Siebie – rzucił Trevor. – Zbieraj się już. Im szybciej pojedziesz, tym szybciej wrócisz i krócej będziemy za tobą tęsknić, ja, babcia i Charlotte.

Nathan zasalutował ręką, w której trzymał plik banknotów.

– Powiedz Charlotte, że jej to wynagrodzę, i dziękuję za pieniądze.

– Od czego ma się ojców?

Żeby kochali swoje dzieci, powiedział do siebie w myślach Trevor, gdy za Nathanem zamknęły się drzwi. Cichy odgłos odbił się echem osamotnienia, które już ścisnęło mu serce. A więc jasnowłosy syn Millicent, ten, którego wołała od Nathana, wpadł w nałóg. Jako ojciec Nathana mógł tylko myśleć, że dobrze jej tak, ale jako ojciec w ogóle współczuł jej. Nie ma rzeczy boleśniejszej dla rodzica niż rozczarowanie dzieckiem, chyba że rodzic sam sobą czuje się rozczarowany. Zawiódł Rebeccę. Nie powtórzy tego błędu wobec Nathana i Samantha, nie wiedział tylko, jak to zrobić, i to spędzało mu sen z powiek. Czy źle czynił, nie mówiąc im, że w jego przekonaniu niemal na pewno są bratem i siostrą? Nathan mógłby poszukać potwierdzenia u Leona. Ojczym nigdy nie zataiłby przed nim prawdy. A może jednak lepiej zachować informację o ich pokrewieństwie w tajemnicy i pozwolić, by dalej żyli w nieświadomości? Najlepsze posunięcie nie zawsze jest najmądrzejsze. Trevor spoglądał przez okno na płynącą spokojnie Trinity. Denerwowała go jej obojętność na utracone w jej wodach życie. Lecz z rzekami, podobnie jak z ludźmi, tak już było: zawsze trzeba mieć się na baczności, podchodząc zbyt blisko do ich brzegów. Czy narazi się na takie właśnie ryzyko, kiedy jutro, zastępując Nathana, spróbuje zbliżyć się do swojej córki?

Rozdział 76

Samancie na chwilę zabrakło tchu, kiedy ujrzała adres zwrotny. Stojący obok mężczyzna zerknął na nią zaniepokojony.

– Dobrze się pani czuje? Może usiądzie pani na ławce?

Samantha obróciła się ku niemu. Katalog wysyłkowy i reszta poczty okazały się dla niej jednak zbyt ciężkie i nagle nie była w stanie wszystkiego utrzymać.

– Och! – westchnęła, gdy koperty i katalog wysunęły jej się z rąk i spadły na ziemię.

– Pomogę pani – zaoferował mężczyzna, schylając się, żeby pozbiierać pocztę. – Może pani usiądzie. Proszę mi wybaczyć tę szczerłość, ale jest pani blada jak papier.

Podał Samancie korespondencję. Musiała kilka razy mrugnąć, żeby odzyskać jasność widzenia.

– Dziękuję panu, ale nic mi nie jest – odparła.

Kiedy wyszła z gmachu poczty, zorientowała się jednak, że nie czuje się najlepiej, i postanowiła przysiąść na chwilę na ławce, zamiast wdrapywać się na wóz. Wiatr się wzmógł i cienie robiły się coraz głębsze. Jeśli zaraz nie wyruszy, nie dotrze do rancza przed zapadnięciem nocy, a obiecała Sloanowi nie podróżować po zachodzie słońca. Miała ochotę rozerwać kopertę tu i teraz, ale ławka na trawniku przed pocztą nie była najlepszym miejscem na poznanie prawdy, jaka być może znajduje się w liście. Będzie musiała z tym zaczekać do powrotu na Triple S, gdzie jedynie ściany domu będą świadkami jej reakcji.

W pierwszej chwili ściany wielkiego salonu nie usłyszały okrzyku ani nie były świadkami żadnych emocji swojej pani. Samantha siedziała bez ruchu w fotelu przed kominkiem, wciąż trzymając w ręce otwarty list, a panującą ciszę przerywał jedynie miarowy odgłos wahadła poruszającego się w wielkim, starym zegarze. Minęło kilka minut, zanim do Samanthy dotarło wszystko, co w swoim liście napisała Bridget Mahoney. Powoli rozważała to w myślach, a kiedy zrozumiała, jej mózg niemal eksplodował. Millicent Holloway była jej matką... Nathan Holloway – jej bratem bliźniakiem... a Trevor Waverling – ojcem...

Samancie wyrwał się okrzyk.

– *Señora*, co się stało?

Łagodny głos pochodził od Consueli, stareńkiej kucharki Singletonów. Zastała swoją panią z pięścią przyciśniętą do ust.

– Zobaczyła pani ducha, *señora*? *Fantasma*?

Samantha zwróciła na nią przerażone spojrzenie. Zdała sobie sprawę, że wstała z fotela i skryła się w mrocznym kącie, dokąd nie docierało światło lampy i ognia.

– Co? Tak, tak, Consuelo, zobaczyłam.

Kucharka się przeżegnała.

– Niech Bóg ma panią w opiece – powiedziała po hiszpańsku. – *Señora*, jest pani blada jak ściana. – Dotknęła dłoni Samantha, a jej skóra była delikatna i chłodna. – Coś pani przyniosę. Odrobinę brandy, tak?

– Tak, bardzo proszę – powiedziała półprzytomnie Samantha i pozwoliła, żeby kobieta zaprowadziła ją z powrotem do fotela przed kominkiem.

– I odrobinę czegoś do jedzenia, dobrze?

– Tak, odrobinę – rzekła Samantha, żeby uspokoić wierną kucharkę, ale brandy przyjęła z wdzięcznością.

Kiedy Consuela oddaliła się bezszelestnie, Samantha raz jeszcze przeczytała list. Do zawartych w nim wiadomości musi podejść jak do naukowego projektu, w którym po badaniu mikroskopowym wysnuwa się hipotezę. Samantha nie miała powodu nie wierzyć w prawdomówność Bridget Mahoney. Zacznie od rzeczy najwspanialszej: Nathan Holloway, ten miły, pełen honoru młody człowiek, był jej bratem... na dodatek bliźniakiem, a ona – prawdziwy cud – siostrą! Nathan nigdy w żaden sposób nie dał jej do zrozumienia, że wie o ich pokrewieństwie, więc na podstawie ich przyjaznych, ale niezobowiązujących stosunków mogła wnioskować, że Hollowayowie o niczym mu nie powiedzieli. Ich okrucieństwo było nie do pojęcia.

Czy Trevor Waverling miał świadomość, że Samantha Gordon-Singleton jest jego córką? Nathan mówił jej, że o istnieniu Trevora dowiedział się dopiero w marcu, kiedy w dniu jego dwudziestych urodzin ojciec pojawił się niespodziewanie na farmie Hollowayów, przysięgając, że dopiero kilka lat wcześniej poznał prawdę o tym, że ma syna. Skoro wyznał to synowi, czy nie powinien tak samo postąpić z córką?

Ale...

Samantha pociągnęła spory łyk brandy i spróbowała przypomnieć sobie wszystkie okazje, przy których się spotkali, każdy szczegół. Zwróciła uwagę na jego zaskakujące zainteresowanie nią, gdy zostali sobie przedstawieni na wykładzie z paleontologii. Nigdy nie zapomniała jego słów: „Kolor pani włosów uderzająco przypomina mi kogoś, kogo znałem”. Czy już wtedy zaczął podejrzewać, że Samantha Gordon jest spokrewniona z Millicent Holloway?

Poza tamtym pierwszym spotkaniem Samantha miała okazję znaleźć się w jego towarzystwie ledwie trzykrotnie. Przypomniała sobie, jak razem z Nathanem czekała w gabinecie Trevora Waverlinga na wyjaśnienie sprawy aparatu. Rozmawiali o biegu okoliczności, że urodzili się w tym samym dniu, gdy Trevor nagle zaskoczył ich pytaniami o jej adopcję. Czemu tak go to interesowało? Za drugim razem widzieli się w Las Tres Lomas, kiedy Samantha doskonale zdawała sobie sprawę, że Trevor dyskretnie, ale bardzo uważnie się jej przygląda.

Ojciec też to zauważył i aż cały się zagotował.

Wreszcie po raz ostatni spotkali się na przyjęciu weselnym Billie June i Daniela. Daniel był zdumiony, ale przeszczęśliwy, że jego pracodawca przyjął zaproszenie. Wręcz nie mógł w to uwierzyć. „Zaprosiłem go, chociaż nawet mi się nie śniło, że przyjdzie”, powiedział. „Należałoby się spodziewać, że Trevor Waverling ma ważniejsze sprawy od przyjęcia weselnego pracownika, którego zatrudnia od tak niedawna”.

Billie June spojrzała na niego ze łzami wzruszenia w oczach. „Przyjechał, bo wie, jaki jesteś cenny dla jego firmy, Danielu. W kółko ci to powtarzam”, rzekła.

Czy Trevor Waverling interesował się nią w niewłaściwy sposób, o co podejrzewał go jej ojciec? Samantha raczej w to wątpiła. Ilekroć mieli okazję się spotkać, Trevor zachowywał się wobec niej ujmująco i bardzo przyjaźnie, uprzejmie, ale bez zbytnej poufałości. No i jeszcze to, co Billie June powiedziała niedługo po ślubie Samantha i Sloana. „Dałabym sobie rękę uciąć, że zauważyłam szefa Daniela w ostatniej ławce”. A od Nathana wiedziała, że jego ojciec bez końca czytał jej list z kondolencjami.

Czy możliwe, że Trevor odkrył, kim była Samantha, ale postanowił zachować to dla siebie? A może jej domysły są niczym nieuzasadnione? Najważniejsze jednak było, jak ona się czuje, wiedząc, że Trevor Waverling jest jej ojcem.

Samantha podniosła się z fotela, żeby ogrzać dłonie przy ogniu. Jeżeli jej prawdziwy ojciec wiedział, że ona jest jego córką, ale trzymał to w tajemnicy, to na pewno miał ku temu powód. Jeśli natomiast nie miał o niczym pojęcia, po co wyznawać mu teraz prawdę? Wiedziała już wszystko, co od tak dawna nie dawało jej spokoju. Poznała prawdę o swoim przyjściu na świat. Jaką korzyść przyniosłoby jej wyjawienie faktów przedstawionych przez panią Mahoney w jej liście? Samantha nie chciała nawet myśleć, jak zareagowałiby na to jej rodzice adopcyjni. Nie miała też ochoty poznać swojej prawdziwej matki ani rodzeństwa. Bridget Mahoney jasno napisała, że gdyby nie zgodziła się nakarmić dziewczynki, Millicent Holloway pozwoliłaby jej umrzeć. Nathana będzie Samantha kochać z daleka. Zrobi wszystko, aby zostali dożgonnymi przyjaciółmi. Nathan nie musi wiedzieć, dlaczego obchodzą urodziny w tym samym dniu ani że mają tych samych rodziców. Nigdy się nie dowie, co jego przyjaciółka czuła do jego przyrodniej siostry, której śmierć opłakiwała tak samo jak on, ani o tym, że ma takie samo jak on prawo do babci, mieszkającej w odległości zaledwie trzydziestu mil, której prawdopodobnie nigdy nie będzie jej dane poznać.

Samantha wsunęła list do kieszeni sukni. Jego treści nie zdradzi nikomu, nawet Sloanowi. Mąż wolałby, żeby nie zastanawiała się nad tym, co mogłoby być. Teraz żyli szczęśliwie. Jako rodzina czuli, że niczego im nie brakuje. „Niczego się nie zyskuje, gdy traci się coś o takiej samej wartości”, powiedziałyby Sloan, cytując

swojego zmarłego ojca. Słowa te idealnie oddawały jej sytuację.

Kompletnie wyczerpana, usiadła znowu w fotelu i wsparła głowę o oparcie. Gdy jakiś czas później Consuela przyniosła tacę z kolacją, znalazła Samanthę w tej pozycji, tyle że z twarzą skąpaną we łzach.

Rozdział 77

Kiedy Nathan po trzech dniach poszukiwań znalazł wreszcie swojego przyrodniego brata, Nowy Jork tonął w sięgającym kolan śniegu. Rozważył wszystko, co powiedział mu Leon, i pierwszego dnia w mieście postanowił spotkać się z dziewczyną Randolpha, która pracowała jako kelnerka w kawiarni na obrzeżach kampusu Uniwersytetu Columbia.

– Leticia Draper już tu nie pracuje – oznajmił mu gburowaty właściciel, gdy Nathan wszedł do lokalu akurat w trakcie sprzeczki z jakimś studentem, który nie chciał zapłacić rachunku. Na pytanie Nathana, czy wie, gdzie może znaleźć Randolpha, właściciel zerknął na niego z ukosa i odburknął, czy wygląda jak jakaś cholerna książka adresowa. Uznając to za odpowiedź przeczącą, Nathan wyszedł z kawiarni. W ślad za nim wybiegła młoda kelnerka, w pośpiechu zakładając płaszcz.

– Czego pan chce od Leticii? – zapytała, opatulając się szczelnie płaszczem.

Nathan opowiedział jej o liście, który dostali jego rodzice.

– Więc Randolph to pana brat?

– Tak – odparł, darując sobie tłumaczenie o ich faktycznym pokrewieństwie. – Znasz Randolpha?

– Taa. Leticia straciła pracę właśnie przez niego.

– Dlaczego?

– Właściciel to podły drań. Przyłapał ją, jak daje pańskiemu bratu jedzenie, kiedy nie miał pieniędzy, żeby zapłacić. Gdy szef ją zwolnił, wróciła do domu, do rodziców. Mieszkają na farmie pod Albany, ale nie wiem, gdzie dokładnie.

Dziewczyna zaczęła podskakiwać to na jednej, to na drugiej nodze, kuląc się przed zimnem.

Nathan wyciągnął do niej dłoń w rękawicze.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny, panienko. Lepiej wracaj do środka, zanim zamarzniesz, a twój szef cię zwolni.

Uśmiechnęła się do niego słabo i uściśnęła jego rękę.

– Jest pan miłszy od brata. Bez urazy, ale tak szczerze to nie wiem, co Leticia w nim widziała.

– Nie omieszkać jej o to zapytać – odparł Nathan i uśmiechnął się.

Było już za późno, żeby jechać pociągiem do Albany, poza tym istniała szansa, że w ogóle będzie mógł sobie oszczędzić tej podróży, jeżeli współlokator Randolpha zdoła mu pomóc. Nathan postanowił nie marnować więc czasu i zatrzymał doróżkę, żeby zawiozła go do Morningside Heights na Manhattanie, gdzie mieścił się kampus Uniwersytetu Columbia. Wysiadł przy akademiku Johna Jaya i natychmiast dał się porwać panującej tu dostojnej atmosferze. Powiódł

wzrokiem po majestatycznych, porośniętych bluszczem budynkach kampusu, w tej chwili oszronionych i przysłoniętych mgiełką, obładowanych książkami studentach biegnących na zajęcia i profesorach w rozwianych togach, i w głowie mu się nie mieściło, jak jego brat mógł z tego zrezygnować. Przecież musiał się tu czuć jak ryba w wodzie. Miał dość pieniędzy i rozumu, żeby się tu odnaleźć, chociaż nie mógł się pochwalić odpowiednim pochodzeniem. A przynajmniej jego rodzina tak uważała.

– Randolph? Nie widziałem go od tygodnia – poinformował Nathana współlokator, któremu wyraźnie się dokądś śpieszyło. Jego ton świadczył o tym, że zupełnie go to nie obchodzi.

Ponieważ był piątek, Nathan przypuszczał, że chłopak pakuje się na weekend i jednym z czekających przed akademikiem wozów zamierza pojechać na stację.

– Z tego co wiem, dużo ostatnio przebywa w palarni opium. Wiesz może w której?

Współlokator, szczupły młodzieniec, wyniosły w sposobie bycia – lustrzane odbicie Randolpha – spojrzał na niego tak samo jak wcześniej właściciel kawiarni. „Czy wyglądam na kogoś, kto wie, gdzie są palarnie opium?” Chłopak chwycił walizkę.

– Przykro mi, ale nie. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę zdążyć na pociąg do Connecticut, gdzie mieszkają moi rodzice.

Nathan wyszedł z pokoju.

– Oczywiście – rzucił na odchodne.

Następnego dnia, po zdającej się nie mieć końca podróży pociągiem, ponieważ co chwilę musieli się zatrzymywać, żeby usunąć zwały śniegu zalegające na torach, Nathan dojechał w końcu do Albany w stanie Nowy Jork. Wędrując po błotnistych ulicach miasta, wypytywał sklepikarzy, czy wiedzą, gdzie znajduje się farma Draperów. Wreszcie późnym popołudniem wynajęta dorożka zawiozła go do nędznego domu, z zapadającym się dachem i zasypaną śniegiem werandą, na której leżały stosy drewna i zużyte domowe sprzęty. Wylegujące się przed werandą psy ożywiły się nieco na widok gościa i obszczeły go, były jednak zbyt zmarznięte, żeby stanowić większe zagrożenie. Odetchnął z ulgą, kiedy drzwi otworzyła mu Leticia. Nie był zaskoczony jej wyglądem, biorąc pod uwagę warunki, w jakich mieszkała, i napisany niewprawną ręką list, który Leon przeczytał mu przez telefon. Była chuda jak szczapa, niechlujna i brzydka jak nieszczęście, wyraźnie zauroczona Randolphem, który, czego Nathan był boleśnie świadomy, zwyczajnie ją wykorzystał. Powiedziała, żeby poszukał w Chinatown, na ulicach Mott i Pell. Kiedy się pożegnał i wracał już do czekającej dorożki, zawołała za nim nieśmiało:

– Niech pan powie Randy’emu, że go kocham.

Oczywiście, zapewnił ją Nathan, chociaż wiedział, że Randolpha nic to nie

obejdzie.

Późnym popołudniem następnego dnia Nathan znalazł brata w trzeciej palarni, którą odwiedził, znajdującej się w gorącej, wilgotnej i cuchnącej piwnicy prowadzonej przez Chińczyków pralni. Pomieszczenie zostało uszczelnione, żeby nie wydostawały się z niego niepozostawiające wątpliwości zapachy i żeby przeciągi nie zgasiły lamp, które wytwarzały opiumowe opary. Nathan był przekonany, że makowy destylat wydziela duszną, słodką woń jak kadzidło, ale w każdej ponurej „spelunie”, jak nazywano te obskurne przybytki, unosił się tylko gęsty brązowy dym, jaki wydziela paląca się smoła. Kiedy znalazł brata, ten razem z innymi palaczami odsypiał efekty odurzenia na jednym z cuchnących wyr, które były przytwierdzone do ściany niczym koje na galerze przewożącej niewolników. Przy każdym łóżku znajdował się stolik ze sprzętem do palenia opium. Na dźwięk głosu Nathana Randolph otworzył błyszczące od narkotyku oczy.

– Jezus? – jęknął.

– Nie, twój brat, który zabierze cię do domu.

– Millicent, dam ogłoszenie, że szukam pracy na farmie – powiedział Leon. – Na niczym innym się nie znam.

– Jeśli to zrobisz, umrę ze wstydu – odparła Millicent.

– Lepsze to od śmierci z głodu.

Kobieta załamała ręce.

– Co sobie pomyślą nasi znajomi?

– Chyba raczej co pomyślą twoi znajomi? Moi uznają, że wreszcie poszedłem po rozum do głowy. Bądź rozsądna, Millicent. Podejrzewam, że nie masz już grosza przy duszy. Jeśli mamy dalej żyć jak dotąd, płacić za szkołę Lily i leczenie Randolpha, muszę iść do pracy.

– Nathan obiecał, że zapłaci za leczenie Randolpha.

Leon wbił wzrok w żonę. Czasem nie potrafił pojąć, jak może dalej ją kochać i jej potrzebować. Czuł jednak, że te uczucia powoli w nim gasną.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? – powiedział z niesmakiem. – Mówisz to tak, jakby dla Nathana, syna, którego nie kochałaś i odepchnęłaś, nic nie znaczyło, że ma płacić za leczenie syna, w którego tak wierzyłaś, że „nam pomoże, kiedy będzie już w odpowiedniej sytuacji”. Czy nie tak właśnie mówiłaś? Cóż... – Leon machnął lekceważąco ręką. – Rzeczywiście, sama zobacz, w jakiej to sytuacji Randolph się znalazł!

Millicent zatkała uszy rękami.

– Nie mów tak. Będzie nowym człowiekiem, gdy wyjdzie z tego ośrodka w Dallas.

– Ty tak twierdzisz. – Leon wykrzywił wargi. – Ja mówię, że w niczym na Randolpha nie liczę. Daję ogłoszenie do gazety i to my będziemy płacić za leczenie naszego syna, ale najpierw sprzedamy ten twój idiotyczny powóz.

Leon zamieścił ogłoszenie SZUKAM PRACY i w piątym dniu nowego, 1901 roku dostał odpowiedź. Z niedowierzaniem i ze łzami w oczach przeczytał list, potem raz jeszcze i kolejny. Wcześniej czytał już o rolniczych konglomeratach, które jak grzyby po deszczu wyrastały na całym Wschodzie, i nie mógł się zdecydować, co o nich myśli, były jednak rozwiązaniem dla wielu farmerów, którym nie dopisało szczęście i którzy postanowili sprzedać swoje ziemie grupie przedsiębiorców skupujących je, żeby kontrolować ceny produktów rolnych, produkcję żywności i uprawy. Właśnie jedna z takich korporacji zaproponowała Leonowi pracę. Odkupili od Standard Oil Company dawną farmę, o pięć mil oddaloną od Gainesville. Były na niej prowadzone poszukiwania ropy, niestety bez skutku, i korporacja chciała teraz na powrót uzdatnić ziemię do uprawy pszenicy. Czy Leon byłby zainteresowany pracą na farmie jako zarządca? Do dyspozycji będzie miał dom znajdujący się na terenie gospodarstwa. List zawierał nazwisko i adres, na który miał wysłać telegram, gdyby przyjął ofertę.

Leon schował list do kieszeni, żeby nie porwał go złośliwy wiatr, zanim dotrze do placówki Western Union przy ulicy Main. Potem wstąpił do baru obok, żeby uczcić okazję szklaneczką wody sodowej, uśmiechając się cały czas do siebie. W końcu, zupełnie nie zwracając uwagi na śnieg wiejący mu prosto w oczy, wrócił do domu, w którym mieszkał razem z żoną. Czasem tak się dzieje, myślał sobie, że nic lepszego nie może człowieka spotkać od powrotu do miejsca, w którym wszystko się zaczęło.

Kiedy wszedł, Millicent obierała ziemniaki przy kuchennym blacie. Musieli odprawić zarówno kucharza, jak i pokojówkę.

– Coś taki zadowolony? – zapytała z wyraźną niechęcią. – Uśmiechasz się jak głupi.

– Dostałem pracę – powiedział.

Mina jej sposepniała.

– O? A jakąż to?

– Będę zarządcą farmy z pszenicą.

– Tak nisko upadłeś, żeby uprawiać czyjaś pszenicę?

– A czy nie robiłem tego zawsze?

Millicent umilkła, z jeszcze większą zajadłością obierając ziemniaki.

– Co to za farma?

– Nasza. Standard Oil nie znalazło na niej ropy. Wracam do domu.

Rozdział 78

Minął Nowy Rok i wszyscy – Sloan, jego siostry, Daniel, Neal i Estelle, służba domowa i pracownicy obu rancz – zamartwiali się o Samanthę. Zauważyli, że od pierwszego listopada zaszła w niej wyraźna zmiana. Była rozkojarzona, zamysłona, smutna.

– Sam, kochanie, wszystko będzie dobrze. Najgorsze mamy już za sobą – powiedział Sloan. – Dziękujmy Bogu, że nie doszło do zanokcicy i że w porę poddaliśmy kwarantannie krowy z zapaleniem płuc.

Nie były to jedyne dobre wieści. Wszystko wskazywało na to, że wiosną urodzi się znacznie więcej cieląt, niż się spodziewali. Powódź nawodniła pastwiska, które do tej pory były zbyt suche, by wypasać na nich bydło. Spadkobierca rancza w hrabstwie Bexar – prawnik, którego hodowla bydła zupełnie nie interesowała – wystawił na sprzedaż ziemię swojego ojca i zgodził się odsprzedać Triple S silosy z paszą za rozsądną cenę. Dzięki temu paszy wystarczy im na całą zimę.

Samantha próbowała się uśmiechać i zachowywać jak zwykle, ale wciąż ktoś przyłapywał ją, jak pograża się w głębokiej zadumie, niejednokrotnie ze łzami w oczach. Schudła, zaczęła zapominać. Ciągłe coś gubiła, nie umiała się skupić na czytaniu, grze w karty, robótkach ręcznych, w czym do tej pory znajdowała cichą przyjemność pod koniec dnia, kiedy z mężem siedzieli przy kominku. Czasem podnosiła wzrok i widziała, jak zatroskany Sloan obserwuje ją znad gazety. Gdy próbował się do niej zbliżyć w łóżku, nie reagowała.

– Kochanie, czy zrobiłem coś nie tak? – dopytywał się.

Nie, nic nie zrobił, próbowała go uspokajać. To wszystko jej wina. Ostatnio jest jakaś przygnębiona. Nie potrafi powiedzieć dlaczego. Prosiła go o cierpliwość, niech da jej jeszcze trochę czasu. Ona też go kocha. Sloan nie ma nawet pojęcia jak bardzo. zaproponował, żeby poszła do lekarza. Może trochę później, odpowiadała, ale na pewno wybierze się do doktora Madigana, jeśli nastrój jej się nie poprawi.

Sloan był jej mężem. Stanowili jedność. Nie powinno być między nimi żadnych zamkniętych drzwi i zdarzały się chwile, kiedy Samantha była bliska wyznania mu wszystkiego. Ale co by jej z tego przyszło? Nie widziała sposobu na uśmierzenie smutku, z którym w ciągu dnia jakoś sobie radziła, ale który najbardziej dręczył ją przed świtem. Miała nadzieję, że wraz z nastaniem nowego roku otrząśnie się z rewelacji, jakie w swoim liście zawarła Bridget Mahoney. Nie była ciekawa pozbawionej skrupułów kobiety, która wydała ją na świat i która była gotowa pozwolić jej umrzeć. Wciąż jednak nurtowało ją pytanie: Jaka matka nie chce nakarmić własnego dziecka, odrzuca je bez wahania, godząc się przy tym na wychowanie drugiego? Gdyby palec Leona Hollowaya pokazał inaczej,

bliźniakiem oddanym w ręce Gordonów byłby Nathan. Czy jej matka wiedziała, gdzie się podziewa odrażona córka, czy zna nazwiska ludzi, którzy ją przygarnęli? Czy w ogóle ją to obchodziło? I co zaszło między nią i Trevorem Waverlingiem?

Samantha nie mogła przestać o nim myśleć. Była już pewna, że on wie. Z jakiego innego powodu przyszedłby na jej ślub, jeśli nie po to, by ujrzeć, jak jego rodzona córka wychodzi za mąż? Trochę popytała i od gości dowiedziała się, że rzeczywiście, przystojny starszy mężczyzna, nieznajomy o błękitnozielonych oczach, siedział obok nich w ostatniej ławce w kościele. Aż się popłakała, wyobrażając sobie, jak Trevor wymyka się pod koniec mszy, by nie zostać zauważonym. Jej prawdziwy ojciec, błakający się niczym cień na obrzeżach jej życia. Oczami wyobraźni widziała, jak Trevor razem z Nathanem i babcią w domu w Dallas opłakuje utratę Rebekki, podczas gdy ona, niczym bezdomna przybłęda, przygląda się temu z zewnątrz.

Nie wiedząc, że w Las Tres Lomas został już podłączony telefon, Trevor Waverling w listopadzie zadzwonił z prośbą, by poinformować Neala Gordona, że następnego dnia przyjedzie do Windy Bluff w zastępstwie swojego syna. Telefon odebrała Samantha i przez jedną krótką chwilę, wiedzioną troską, zastanawiała się, czy nie zaprosić Trevora na kawę, by ogrzał się nieco przed wizytą na działce wiertniczej, rozsądek podpowiedział jej jednak, żeby tego nie robiła. Jak to możliwe, by córka udawała, że pijący z nią kawę mężczyzna nie jest jej ojcem? A jeżeli on o wszystkim wiedział, jak udawało mu się zwodzić wszystkich, że jest niczego nieświadomy?

Poprosiła Nathana, żeby opowiedział o swojej babci, a on z radością spełnił jej prośbę, niczym nie zdradzając, że zna prawdziwy powód jej zainteresowania. O Mavis Waverling mówił tak, jak nigdy nie zdarzało mu się o matce, której imienia ani razu nie wypowiedział, a ona nie pytała. Uwielbiał starszą panią, w której domu mieszkał z ojcem, psem i kotem, a Samantha stłumiła w sobie gwałtowną tęsknotę, która znowu kazała jej myśleć o małej włóczędze stojącej z nosem przyklejonym do okiennej szyby.

Któregoś dnia, przysłuchując się mimochodem rozmowie Sloana z Nathanem o różnych odmianach ziaren, dowiedziała się przez przypadek, że na farmie Barrowsów tak naprawdę mieszkali Hollowayowie. Millicent była właścicielką farmy w Gainesville, to ona dała do gazety ogłoszenie o sprzedaży, na które Samantha odpowiedziała. Jej matka była tą wyniosłą kobietą, która okryta szczelnie od stóp do głów zajrzała do dworcowej kawiarni, kiedy ona i Mildred czekały na przybycie przedstawiciela Barrowsów. Była żoną Leona Hollowaya – mężczyzny przy płocie, który przedstawił się jako wynajęty parobek. Samantha poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Znalazła się ledwie parę metrów od swojej biologicznej matki i nawet o tym nie wiedziała.

Czas płynął, a jej chęć poznania prawdy nie słabła. Wciąż prześladowała ją

ta dziwna tęsknota. Nie umiała się od tego uwolnić. Dlaczego matka jej nie chciała? Czy odrzuciła własną córkę z powodu Trevora Waverlinga? Czy Samantha miała prawo trzymać swoją tożsamość w sekrecie przed bratem, ojcem i babką, która mieszkała tak niedaleko?

Wreszcie uznała, że musi poznać odpowiedź. Musiała wiedzieć. Inaczej nie zdoła dalej żyć. Musi w końcu odnaleźć spokój.

I dlatego właśnie wieczorem szóstego stycznia zwróciła się do Sloana z pytaniem:

– Sloanie, co byś powiedział, gdybym jutro sama wybrała się do Gainesville? Mąż spojrział na nią znad „Fort Worth Gazette”, którą właśnie czytał.

– Możesz powtórzyć?

– Dobrze słyszałeś. Muszę się tam z kimś spotkać. To dla mnie bardzo ważne.

Sloan powoli opuścił gazetę.

– Z kim?

– Z moją matką.

– Dokąd pojechała Sam? – zapytał Neal. – Jeden z robotników widział, jak wsiadała do pociągu, kiedy pojechał na stację odebrać sprzęt z Waverling Tools.

Sloan skończył odpinać poprzęgi i zdejmując siodło z konia, odwrócił się tyłem, żeby teść nie zdołał wyczytać niczego z jego twarzy. Nie leżało w jego naturze unikanie odpowiedzi i zawsze łatwo było go rozszyfrować.

– Pojechała na krótką wycieczkę – powiedział, odwieszając siodło na belkę biegnącą wzdłuż całej siodlarni.

– Nic nie wspominała o żadnej wycieczce. Pojechała do Dallas albo Houston, żeby odwiedzić którąś z dziewcząt?

– Nie – odparł Sloan.

Wziął z półki ręcznik i zaczął nim wycierać spocone boki konia. Nie należał do ranczerów, którzy innym zlecali oporządzenie i nakarmienie własnego wierzchowca.

– Do cholery, Sloanie, nie każ mi błagać. Dokąd pojechała?

Sloan zatrzymał się z ręką na końskim kłębie.

– Nie chcę być niegrzeczny, Nealu, ale to nie twoja sprawa.

– Pojechała do doktora? – zdenerwował się teść.

– Nie. Daję ci na to moje słowo. Po prostu musiała na jakiś czas zmienić otoczenie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Dalej czyścił konia, ocierając ręcznikiem jego chrapy.

– Nic więcej nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć? – nie dawał za wygraną Neal.

– Nie przypieraj mnie do muru, Nealu. Mówię, jak jest.

– Samantha? Zmienić otoczenie? – Ton Gordona zdradzał niedowierzanie. –

To do niej niepodobne. Pytam dlatego, że oboje z jej matką bardzo się o nią martwimy, Sloanie. Ostatnio wydaje się nie być sobą. Sam też to widzisz. Chcemy się tylko upewnić, że nie jest chora, ale jeśli... – Wzruszył ramionami i wepchnął ręce w tylne kieszenie spodni. – Cóż, każde małżeństwo miewa gorsze chwile.

Sloan wrzucił ręcznik do kosza i wziął zgrzebło.

– Zapewniam cię, że nic podobnego się nie dzieje. Między Sam i mną nigdy nie było lepiej.

Rozzłoszczony Neal wyrwał zięciowi zgrzebło.

– Na miłość boską, chłopcze, przecież jestem jej ojcem. Powiedzże, co się z nią dzieje, dokąd pojechała i na jak długo. Błagam cię!

– Nealu – odezwał się bardzo spokojnie Sloan – jesteś mi bliski jak ojciec, ale oddaj mi, proszę, to zgrzebło.

Neal z ociąganiem, zmieszany i czerwony na twarzy, zrobił, o co prosił go młody ranczer.

– Wybacz mi, synu. Poniosło mnie. Ale... potrafisz chyba zrozumieć, jak się czuję, prawda?

– Tak, Nealu, potrafię. A teraz wróć do domu i uzbrój się w cierpliwość. Samantha niedługo wróci i wszystko będzie dobrze. Jestem tego absolutnie pewny.

Neal kiwnął głową, ale w jego oczach wciąż czaiła się niepewność i zgarbiony, z rękami w kieszeniach, odszedł. Sloan patrzył za nim, nieprzekonany, że udało mu się teścia uspokoić. Na pewno zauważył, że zięć nie zaprosił go na szklaneczkę burbona, chociaż obaj panowie byli bez żon. Sloan nie miał jednak ochoty spędzać wieczoru w jego towarzystwie. Serce podskoczyło mu do gardła, gdy ujrzał Neala wchodzącego do stodoły. Wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku, jakiego doznał po lekturze listu od Bridget Mahoney. Tulił w ramionach roztrzęsioną żonę, a nienawiść do kobiety, która wydała ją na świat, paliła mu wnętrzości. Nie potrafił pojąć, dlaczego Samantha chciała stanąć z nią twarzą w twarz. Niech się podła suka smaży w piekle, nie wiedząc, jaką wspaniałą córkę urodziła, myślał sobie. Kiedy jednak Samantha wyjaśniła mu, że matka odrzuciła ją i Nathana z powodu Trevora Waverlinga, zrozumiał.

– Muszę to wiedzieć, Sloanie. Trevor jest obecny w naszym życiu. Wie i troszczy się o mnie. Co takiego uczynił, że matka mnie oddała, a Nathana traktowała jak pasierba?

– I od tego będzie zależało, czy uznasz go za swojego ojca? A co z Nealem? Doskonale wiesz, jak się boi, że twoi biologiczni rodzice mu cię odbiorą. A zwłaszcza Trevor. Przecież już w zasadzie nie chce go znać.

– Nikt mu mnie nie odbierze. Wytłumaczę mu to. Moimi rodzicami są Estelle i Neal Gordonowie. Ich kocham i zawsze będę nazywać mamą i tatą, do końca życia. Ale nie chcę już tkwić w miejscu. I nadszedł czas, żebym poznała prawdę o moich narodzinach.

Błagał, żeby pozwoliła mu sobie towarzyszyć. Lękał się, jak przyjmie to, czego być może się dowie. Odmówiła z całą stanowczością. Kiedy raz sobie coś postanowiła, żadna siła nie była w stanie jej od tego odwieść. Powiedziała, że musi to zrobić sama. Nic jej nie będzie. Poza tym on nie powinien zostawiać rancza. Do diabła z ranczem, protestował. Liczy się tylko ona. Ona jest jego życiem. Pogładził ją z uczuciem po policzku.

– Wiem – odparła. – Dlatego wrócę do ciebie cała i zdrowa.

Wyjechała rano i miała wrócić wieczornym pociągiem. Był siódmy stycznia. Musiał czekać dwanaście godzin, aż znowu znajdzie się w jego ramionach.

Rozdział 79

Neal nie wrócił do Las Tres Lomas wypić przed kominkiem wieczornego drinka i zjeść kolację. Pojechał na stację kolejową w Fort Worth. Codziennie sporządzana była lista sprzedanych biletów i miejsc, do których udawali się podróżni. Postanowił, że noc spędzi z Estelle, a rano zabierze ją ze sobą na ranczo. Chciał, żeby razem czekali na powrót córki, jeżeli faktycznie zdarzyło się to, co podejrzewał i czego od tak dawna się lękał. Widział wyraz oczu Sloana, gdy zrozpaczony wykrzyknął: „Na miłość boską, chłopcze, przecież jestem jej ojcem!”. Na stacji przekona się, czy jego obawy są słuszne.

– Tak, proszę pana, dzisiaj sprzedaliśmy trzy bilety do Gainesville.

– Czy pan był w kasie przez cały dzień?

– Dopiero przyszedłem, ale był tu Marvin. Chce pan z nim rozmawiać?

Jeszcze nie wyszedł.

Neal odetchnął z ulgą.

– Tak, bardzo proszę.

– Tak, panie Gordon, pańska córka wsiadła do porannego pociągu do Gainesville – powiedział mu kasjer. – Pojechała w odwiedziny do krewnych, prawda?

Neal poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

– Można tak powiedzieć.

Millicent z pobladłą twarzą wręczyła Leonowi telegram i osunęła się na najbliższe krzesło stojące w holu.

– Nie wierzę. Po prostu nie wierzę. Jak ona mogła nam to zrobić?

Leon przeczytał telegram: MAMO/TATUSIU. STOP. WŁAŚNIE WYSZŁAM ZA MĄŻ. STOP. TERAZ PANI JOSEPHOWA HAYMAKER. STOP. NIEDŁUGO W DOMU. STOP. KOCHAM WAS, LILY. STOP.

– Kim jest Joseph Haymaker? – zapytała Millicent, wpatrując się w Leona jak ślepiec, który wyczuwa, że ktoś wszedł do pomieszczenia.

– Nauczycielem historii w akademii – odparł Leon, powstrzymując się, żeby nie parsknąć śmiechem. – Poznaliśmy go na zebraniu rodziców, kiedy zapisywaliśmy Lily na studia. Wydawał się miłym gościem

Millicent wbiła w niego niewidzący wzrok.

– Nauczyciel historii... w akademii... Och, Leonie! – Zerwała się, przyciskając telegram do piersi. – Moja córka wyszła za nauczyciela historii?!

– Przestań się wydzierać, Millicent – rzucił Leon. – To szkodzi twoim strunom głosowym.

Żona zgmiotła telegram i pomachała nim Leonowi przed nosem.

– Jak ona śmie postępować wbrew naszym nadziejom na jej szczęście? Jak mogła zaprzepaścić wszystko, co poświęciliśmy dla jej przyszłości?

– Hm, jak widać, Lily ma odmienne zdanie na temat swojego szczęścia i przyszłości – rzekł Leon, postanawiając nie reagować na te wszystkie „my” i „nasze”. – Cieszymy się po prostu jej szczęściem.

W Millicent zawrzała wściekłość, czyniąc ją jeszcze piękniejszą.

– Nigdy, nigdy, nigdy! – wrzasnęła. – Jak mogę się cieszyć? Ta dziewczucha mnie zdradziła... zdradziła nas! Nasze dzieci... oboje nas zdradzili! – Znowu opadła na krzesło i zaczęła płakać. Wyszarpała z kieszeni obszytą koronką chusteczkę i przyłożyła ją do oczu. – Włożyliśmy tyle pracy, żeby dać im to, czego sami nigdy nie mieliśmy. Harowałeś jak wół, żeby farma przynosiła zyski, a... – głos Millicent zdrztał z niedowierzania – ...nasza córka tak po prostu wyszła za człowieka, który do końca życia będzie klepał biedę. – Ukryła twarz w chusteczce, zbyt małej, by wchłonąć cały bezmiar jej rozpaczy.

Leon ze smutkiem patrzył na pochyloną głowę swojej szlochającej żony. Biedna Millicent. Postawiła na złego konia i teraz, kiedy wyścig dobiegł końca, została z niczym. Nie była to jednak odpowiednia chwila, żeby przypominać jej, że syn i córka mogą wygrać inne wyścigi, niekoniecznie te, które ich matka dla nich zaplanowała.

Podniósł ją z krzesła i wziął w ramiona.

– Ach, moja mała Millie – powiedział. – Czy sprzedasz wreszcie ten dom i zamieszkasz ze mną na farmie?

– Czemu nie – chlipnęła mu w ramię. – To miejsce już mi się na nic nie przyda.

Samantha przyjechała do Gainesville w południe. Wstąpiła do hotelu Harvey House, w którym zatrzymała się razem z Mildred w kwietniu ubiegłego roku. Miała wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki. Recepcjonista z miejsca ją rozpoznał.

– Panna Gordon, czy tak? – zapytał.

Zaskoczona, Samantha się uśmiechnęła.

– Pamięta mnie pan?

– Nigdy nie zapominał pięknych kobiet.

– Teraz jestem już panią Singleton – powiedziała.

– Pan Singleton to prawdziwy szczęściarz. Witamy w Harvey House. Życzy sobie pani pokój?

– Nie, chodzi mi tylko o pewną informację, ale chętnie napiję się kawy. Dla kurażu. Czy zna pan adres państwa Hollowayów?

Pokrzepiona kawą i z podanym przez recepcjonistę adresem Samantha wyruszyła do domu Hollowayów. Ranek był zimny, ale słoneczny i jasny, i wiał tylko lekki wietrzyk. Ubrała się wystarczająco ciepło na przechadzkę, podczas

której chciała się zastanowić, co powie, kiedy stanie przed Millicent. „Pani Holloway? Jestem Samantha Singleton, z domu Gordon. Spotkałyśmy się raz, ale żadna z nas nie wiedziała, kim jest ta druga. Jestem pani córką. Pani jest moją matką”.

Poza tym nie miała pojęcia, jak dalej potoczy się rozmowa. Przyjechała tylko w jednym celu – pragnęła poznać okoliczności swojego przyjścia na świat i porzucenia. W żadnym razie nie zamierzała stawać się częścią życia kobiety, która nie chciała nawet nakarmić swojej małej córeczki. Samantha da jej to jasno do zrozumienia. Miała już matkę, od której dostała wszystko, czego dziecko może potrzebować. „Tak więc, pani Holloway, jeśli odpowie mi pani na pytanie, które przyjechałam pani zadać, odejdę i nigdy więcej mnie pani nie ujrzy”.

Spacer był przyjemny. Bez trudu omijała kałuże topniejącego śniegu. Słońce świeciło, ptaki, które nie odleciały na zimę, ćwierkały wśród pozbawionych liści gałęzi. Bez trudu odnalazła rezydencję Hollowayów i zauważyła ławkę w niedużym parku po drugiej stronie ulicy. Przysiadła na niej, żeby złapać oddech i przygotować się na to, co być może zaraz usłyszy. Przez chwilę popatrzyła na dom, może dojrzy przez okno kobietę o złocistorudych włosach.

Z domu wyszedł mężczyzna z gazetą wetkniętą pod pachę. Przystanął, zerknął na niebo, żeby ocenić, jaki zapowiada się dzień, wyjął z kieszeni okulary i założył je na nos. Samantha patrzyła, jak idzie przez ulicę w stronę parku. Rozpoznała jego krok, czapkę, kurtkę i ogrodniczki. Był tak pochłonięty lekturą, że dopiero gdy doszedł do ławki, zauważył, że ktoś już na niej siedzi. Osłupiał, zatrzymał się gwałtownie.

– Dzień dobry, panie Holloway – powiedziała Samantha.

Kiedy ją rozpoznał, oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki. Ściągnął z głowy czapkę.

– Panna Gordon! Co pani tutaj robi?

– Przyjechałam spotkać się z matką... po raz kolejny.

Rozdział 80

Leon przez kilka chwil stał bez ruchu, mrugając zza okularów, zanim wreszcie usiadł obok Samantha, która przesunęła się nieco, robiąc mu miejsce. Założył z powrotem czapkę, gazetę położył obok siebie na ławce.

– Ach tak? – powiedział. – Jak ją znalazłaś?

Samantha poczuła do niego sympatię już za pierwszym razem, kiedy się spotkali, a Nathan kochał go i mu ufał. Wiedziała, że zawsze może polegać na osądzie brata. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej list od Bridget Mahoney.

– Tak.

Leon przeczytał list i zwrócił go Samancie.

– Wstyd przyznać, ale tak właśnie było – rzekł.

– Proszę dopowiedzieć mi resztę. Dlaczego matka nie chciała mnie i mojego brata?

Leon pomasaował się po kolanie.

– Przez mężczyznę, z którym zaszła w ciążę. Ja nie jestem twoim ojcem, Samantho.

– Wiem. Jest nim Trevor Waverling, a Nathan Holloway jest moim bratem bliźniakiem. Żaden z nich nie ma pojęcia, że się o tym dowiedziałam. Nieważne skąd.

Leon uniósł brew.

– Więc w zasadzie wiesz już wszystko.

– Poza tym, co dla mnie najważniejsze.

– W takim razie dobrze. Oto jak się sprawy mają. Millicent nienawidzi twojego ojca... tego prawdziwego – poprawił się Leon. – Twierdzi, że ją zgwałcił. Ja w to nie wierzę, chociaż bardzo bym chciał, żeby było inaczej. On ją po prostu odtrącił. Gdybyś знаła swoją matkę tak dobrze jak ja, też byś tak myślała. Był jej pierwszą miłością i oddała mu się cała... sercem, ciałem i duszą... a on odszedł i ją zostawił.

– Kiedy mój ojciec... odtrącił ją, wiedział, że była w ciąży?

– Myślę, że nie. Przyznał, że zanim się u nas zjawił, już od jakiegoś czasu wiedział o istnieniu Nathana, ale to było wiele lat później. Założę się o własne ogrodniczki, że o tobie nie miał pojęcia. Aż do teraz.

Serce Samantha zabiło szybciej.

– To znaczy?

– Przyjechał tu w którąś sobotę w lipcu, żeby spotkać się ze mną, bez wiedzy Millicent. Miał podejrzenia co do ciebie i twojego przyjscia na świat. Chciał, żebym je potwierdził. Nie zrobiłem tego. Dałem słowo żonie, że nigdy nikomu nie zdradzę, że Nathan miał siostrę bliźniaczkę...

– Musiała zatrzymać jedno z dzieci, bo wszyscy wiedzieli, że jest w ciąży – weszła mu w słowo Samantha, czując, jak na policzki wypływają jej rumieńce wściekłości. – Gdyby nie to, Nathana też by oddała.

– Tego właśnie domyślił się Trevor Waverling. Na podstawie faktów na twój temat i tego, co sam zaobserwował.

– Jakich faktów? I co takiego zaobserwował?

Leon opowiedział jej wszystko najlepiej, jak potrafił. Kolor jej włosów, ta sama data urodzin jej i Nathana, podobieństwo Samantha do matki Trevora. Jakimś sposobem poznał nazwisko lekarza, który przyjął bliźnięta na świat. Co prawda Samantha już wiedziała, że na świat przyjęła ją Bridget Mahoney, ale to doktor Tolman zorganizował jej adopcję. Jakiś czas później Leon dowiedział się o podróży Trevora Waverlinga do Marietty na Terytorium Oklahomy, gdzie odwiedził przychodnię doktora Tolmana. Rozmawiał tam z akuszerką, która wspomniała mu o młodej kobiecie, z opisu podobnej do Samantha, wypytującej o swoje narodziny. Trevor wyjawiał akuszerce, że być może jest ojcem owej dziewczyny. Nie mogła dać mu adresu, wiedziała tylko, że młoda dama mieszka w Fort Worth. Wprost nie posiadała się z dumy, że dzięki niej ten przystojny mężczyzna z Dallas w Teksasie mógł się spotkać ze śliczną dziewczyną z Fort Worth.

– Wiem to od męża tej akuszerki – wyjaśnił Leon. – W każdą środę przyływa tu promem na partyjkę warcabów. – Zerknął na Samanthę znad okularów. – Ma się rozumieć, nic z tego nie powiedziałem nigdy mojej żonie. – Milczał chwilę, krzyżując i rozprostowując nogi. – Obawiam się, że nie przepadam specjalnie za Trevorem Waverlingiem, ale przemawia przeze mnie zawiść. Jakaś część mojej żony już zawsze będzie należała tylko do niego, nie do mnie. Teraz na dodatek Trevor ma jeszcze chłopca, którego wychowałem. Ale nie mogę mu nie współczuć. Chyba nie ma gorszej rzeczy, niż kochać dziecko na odległość i nie mieć do niego prawa.

Samantha zaczerpnęła głęboko powietrza, żeby złagodzić bolesny ucisk w piersiach.

– To znaczy, że mój ojciec nie jest niczemu winny? – zapytała.

– Ja to tak widzę. Próbuje Nathanowi to wszystko wynagrodzić.

– Jest mu bardzo oddany – powiedziała Samantha, z trudem powstrzymując się od płaczu. – I widać, że Nathan jemu również.

– Tak chyba było nam pisane. – Leon zdjął okulary i z tylnej kieszeni ogrodniczek wyjął, po raz pierwszy dzisiaj, wielką chustkę. Samantha mimochodem zauważyła, że jest starannie wyprasowana. Przez żonę? Miała taką nadzieję. Mężczyzna, który przez te wszystkie lata znosił Millicent Holloway i ewidentnie bardzo ją kochał, zasługiwał przynajmniej na tyle troski z jej strony. Leon zaczął czyścić szklę.

– Twój drugi ojciec także przyjechał się ze mną spotkać. O tym też powinnaś wiedzieć.

Samantha aż się zakrztusiła.

– Mój ojciec adopcyjny, Neal Gordon? Kiedy?

– W czerwcu, kiedy mieliśmy żniwa. Któregoś dnia zjawił się przy ogrodzeniu, prawie w tym samym miejscu, w którym ty wtedy stałaś, twardy teksański ranczer na swoim koniu. Od razu wiedziałem, że to on, i domyśliłem się, po co przyjechał, jeszcze zanim podał swoje nazwisko. Poznałem je, kiedy przyjechałaś w związku z ogłoszeniem, tak samo jak wiedziałem, albo przynajmniej podejrzewałem, że jesteś córką Millicent.

Samantha poczuła gęsią skórkę.

– Nie może być!

– A i owszem, panienko. Zastanów się tylko, a zrozumiesz. Ale wracając do twojego tatki. Powiedział, że przyjechał sprawdzić, czy farma wciąż jest na sprzedaż, ale ja tam wiedziałem swoje. Przyjechał sprawdzić, co z nas, Hollowayów, za ludzie... którzy oddali swoje dziecko w obce ręce. – Skończył czyścić okulary i na powrót je założył. – Tak se myślę, że przyjechał z jakiegoś powodu.

– Tak... tak, rzeczywiście tak było – przyznała Samantha ze ściśniętym gardłem. – Miał powód, i to niejeden. To ja byłem tą młodą kobietą z Fort Worth, która wypytywała akuszerkę o swoją prawdziwą rodzinę. Ja... doszłam do punktu, w którym musiałam się dowiedzieć, skąd pochodzę, kim są moi rodzice. Rozpoczęłam... potajemne śledztwo, ale mój ojciec to odkrył. I prawie złamało mu to serce. Przyjechał do was... chyba dlatego, że postanowił, że pozwoli mi odejść, gdyby... gdyby uznał, że na to zasługujecie, niezależnie od tego, jak bardzo on i mama by przez to cierpieli.

Leon pokiwał głową i schował fajkę, jakby dochodząc do wniosku, że jednak jej nie zapali.

– Też tak sobie pomyślałem. Gdyby uznał, że się nadajemy, wycofałby się. – Zachichotał cicho. – Ale szybko wybiłem mu to z głowy. Trafiłaś do ludzi, którzy sobie na to zasłużyli i którzy cię kochali. Na farmie Hollowayów raczej nie mogłabyś na to liczyć. – Uśmiechnął się do niej. – Jak twój tatko odjechał, wiedziałem, że stanąby do walki z całą bandą Komanczów, zanimby pozwolił, żebyśmy mu ciebie odebrali. Ma się rozumieć, myślał, że jestem twoim ojcem.

Samantha znowu musiała walczyć ze łzami. Nie przyjechała tutaj płakać. Nie może pozwolić, żeby emocje zaburzyły jej jasność widzenia. A w tej chwili wirowały jak pierze po bitwie na poduszki. Skupiła się, żeby uporządkować wydarzenia, które ją tu doprowadziły. Logika podpowiadała, że doktor Tolman, chory i umierający, wysłał do Neala Gordona list, w którym opisał, w jakich okolicznościach przysłała na świat. W ten sposób ojciec się dowiedział, że

Samantha ma brata bliźniaka, poznał też nazwisko i adres małżeństwa, które ją oddało. Nie chciał, żeby córka się o tym dowiedziała, dlatego spalił list, zanim ona zdążyła go przeczytać. Posyłając ją na farmę Barrowsów w odpowiedzi na ogłoszenie, nie miał pojęcia, że Millicent Holloway jest sprzedającym. Kiedy Samantha wróciła, jakimś cudem zrozumiał swój błąd i natychmiast stracił zainteresowanie tą ziemią.

Ale wtedy w koszyku z figami znalazł list od Eleanor Brewster, dzięki czemu dowiedział się, że jego córka zaczęła dochodzić prawdy o swoich narodzinach. Stąd te koszmarne miesiące i decyzja ojca o wyjeździe do La Palomy, pod którym to pozorem zamierzał sprawdzić Hollowayów. Samantha z bólem przypominała sobie tamten dzień, gdy wyruszył na swoją misję, kierowany miłością i poświęceniem. „Samantho, kocham cię”, powiedział i popatrzył na nią jak wojownik, który wyrusza na wojnę, z której wie, że nie wróci. A potem nadszedł dzień pikniku i Neal odkrył, że Nathan nosi nazwisko Holloway, co znaczyło, że jest bratem bliźniakiem jego córki, a Trevor Waverling – jej ojcem.

Prawie wszystko stało się dla niej jasne. Poznała odpowiedzi i wiedziała już, skąd się wzięła niepojęta niechęć Neala do Trevora Waverlinga i niezdarne próby odciążenia jej od Nathana. Biedaczysko, w jaką okropną sytuację się wpakował! Złapany w sieć poczucia winy i lęku. Samantha powinna go znienawidzić, ale nie mogła. Wycierpiał się aż nadto. Rozumiała, co nim kierowało, i wybaczyła mu. „Człowieka określają motyw, którymi się w życiu kieruje” – mantra powtarzana przez Seta Singletona, a teraz przez jego syna, Sloana. Motywy Neala nie były czyste, ale swoje źródło miały w ojcowskiej miłości do córki i strachu, że ją straci. Samantha żałowała tylko, że nie zaufał głębokiej miłości, którą ona darzyła jego.

W końcu łzy zwyciężyły. Leon dotknął jej szorstką dłońią.

– Gdybym nie zrobił z nas takich potworów, ty i twój brat bliźniak bylibyście teraz razem, i tak by się należało, ale zrobiłem to, co uznałem za najlepsze.

– Proszę nie mieć do siebie pretensji, panie Holloway – powiedziała. – Nathan i ja mamy jeszcze mnóstwo czasu, żeby nadrobić te wszystkie stracone lata.

– Więc postanowiłaś powiedzieć mu, kim jesteś – rzekł Leon bez zdziwienia.

– Tak.

– A Trevorowi Waverlingowi?

– Jemu też. – Na gałąź wskoczyła wiewiórka i wpatrywała się w nich z zaciekawieniem, a Samantha patrzyła na nią wdzięczna, że może na chwilę skupić na czymś wzrok. – Ale mojej matce nie... Przyjechałam tu, żeby się z nią spotkać, ale chyba już tego nie chcę. Czy możemy nie wtajemniczać jej w nasze spotkanie? Wolałabym, żeby się nie dowiedziała, że tu byłam.

– Masz moje słowo, że nasze miłe spotkanie zachowam wyłącznie dla siebie. Mądrze robisz, że nie chcesz się z nią spotkać. Tak będzie najlepiej dla was obu.

Jak by powiedziała Millicent: „Co by z tego przyszło dobrego?”. Według mnie nic. Uwierz mi. Wracaj do domu, do tych, którzy cię chcą i kochają, Samantha, i zapomnij o matce, która tego nie potrafiła.

– A moi dziadkowie ze strony matki? Gdzie są?

– Nie żyją. I oboje byli podli. Nathan wie o tym aż za dobrze. Lepiej dla ciebie, że ich nigdy nie poznałaś.

Samantha skinęła głową i wstała. Leon rozprostował nogi i także podniósł się z ławki.

– Cóż, wszystko już zostało powiedziane, panie Holloway. Skorzystam z pańskiej rady i wrócę do domu.

Wyciągnęła do niego rękę. Leon ujął ją w swoje dłonie.

– Jak wrócisz do domu, co zrobisz z tym wszystkim, czego się dowiedziałaś?

– Pozwolę, żeby życie potoczyło się własnym torem – odparła. – Ale koniec z tajemnicami. Koniec z zamiataniem pod dywan. Jesteśmy rodziną. Chociaż czasem popełnialiśmy błędy, zawsze mieliśmy serca na właściwym miejscu. Otwarte dla wszystkich. Poza tym... – Uwolniła rękę i położyła ją sobie na brzuchu. – ...chcę, żeby wszystko było jasne, kiedy moje dziecko przyjdzie na świat.

Rozdział 81

Sloan wyjechał po nią na stację i długo i mocno tulił, gdy wysiadła z pociągu.

– Twoja matka i Neal czekają na ciebie w Triple S – oznajmił. – Jeszcze trochę, a twój ojciec wywierci wzrokiem dziurę w oknie, wypatrując ciebie.

– Nic im nie powiedziałaś, prawda?

– Nie, ale oni wiedzą, Sam. Twój ojciec się domyślił, dokąd pojechałaś i po co. Wygląda na to, że powiedział też twojej matce. Estelle ma czerwone oczy, a Neal tę kamienną minę, jak przy grze w pokera, kiedy wie, że przegrywa.

– Jak go znam, nie wyłoży kart na stół, póki nie zobaczy moich – odparła Samantha.

Kiedy weszła do salonu, oboje Gordonowie stali, ojciec sztywny, jakby połknął kij, matka oklapła niczym poduszka, z której wypadła połowa pierza. Rzeczywiście miała zapuchnięte, czerwone oczy, którymi wpatrywała się w córkę z niemym, rozdzierającym serce błaganiem. Twardy wzrok Neala nie zdradzał żadnych emocji, ale Samantha i tak potrafiła wszystko wyczytać w jego oczach, jak w chwilach, gdy omiatał nimi brązowe połacie swojego rancza, zatroskany i niepewny przyszłości.

Wyciągnęła do rodziców ręce.

– Mamo, tatusiu, usiądźmy – powiedziała. – Musimy o czymś porozmawiać. Zaczęła od początku.

Gdy skończyła i cała prawda ujrzała wreszcie światło dzienne, uczucia zostały wyrażone, niedopowiedzenia i fałszywe wrażenia – wyjaśnione, zdrady – wybaczone, łzy – wylane, Samantha wyszła na werandę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Neal i Estelle zostali w salonie. Matka odżyła, nie posiadając się ze szczęścia, że będzie miała wnuka, ojciec wydawał się umęczony, ale oczyszczony, jak wypalona suszą ziemia, z której wiosenne deszcze zmyły w końcu brud i pył. Samantha wiedziała, że Neal zawsze będzie miał się na baczności przed Trevorem Waverlingiem. Ani na chwilę nie spuści z niego oka, żeby przypadkiem nie naruszył jego terytorium, jak niegdyś, po wojnie, strzegł swojej ziemi przed meksykańskimi rabusiami i Komanczami. Taki po prostu był.

– A jak... jak będziesz się zwracać do Trevora Waverlinga? – zapytał.

Samantha zastanawiała się przez chwilę.

– Tak, jak będzie nazywać go moje dziecko – powiedziała.

Noc była ciemna i zimna. Samantha zadrżała, nagle jednak poczuła, jak na jej ramiona spada ciepły szal. Sloan otulił ją nim od tyłu, objął i mocno do siebie przytulił, wspierając brodę o czubek jej głowy.

– Ponieważ to wieczór spowiedzi, czy wysłuchasz teraz mojej?

W końcu ta chwila nadeszła. W październiku miesięcznik „The Archeologist” opublikował artykuł pod tytułem *Szczątki dinozaura odnalezione w kartonie po fasolce Libby*. Tajemnicze i dziwne pojawienie się skamieliny odbiło się szerokim echem w całym naukowym świecie Stanów Zjednoczonych. Zaszokowana Samantha od razu rozpoznała zdjęcie. Zmroziło ją. Gdyby nie opis kartonu i ścierek kuchennych, pomyślałaby, że to Todd jest odpowiedzialny za kradzież, a potem wysłanie czaszki do Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Winowajcą okazał się jednak Sloan. Paleontolodzy w niekompletnej czaszce rozpoznali zauropoda.

Z walącym sercem Samantha pobiegła do swojej prowizorycznej pracowni, gdzie mogła zachować rozsądek i spokój. W otoczeniu skamielin i sprzętu laboratoryjnego wróciła myślami do dnia, kiedy odkryła, że czaszka znikła. To było tuż po niedzielnych oświadczeniach Sloana. Rozstali się w miejscu, w którym rozchodziły się drogi prowadzące na oba rancza. Ku jej rozczarowaniu Sloan nie chciał pojechać z nią do Windy Bluff, gdzie dokonała swojego odkrycia, zadał jej jednak dziwne pytanie: „Sam, wiesz, że nigdy nie podjąłbym żadnej decyzji ani nie zrobił niczego, co nie byłoby dla ciebie najlepsze, prawda?”.

Gdy zapytała, skąd te słowa, odparł: „Chcę mieć pewność, że wiesz, że nigdy bym cię celowo nie skrzywdził”.

„Wiem”, odpowiedziała.

„Kocham cię, Samantha Gordon”.

„O tym też wiem”.

I wiedziała, tak samo wtedy, jak teraz, i jak będzie wiedzieć do końca swoich dni. Tamtego dnia Sloan miał już czaszkę u siebie, zabrał ją Toddowi, gdy nakrył go w Windy Bluff. Samantha mogła jedynie snuć przypuszczenia, ale wierzyła, że dzięki Sloanowi młody geolog nie zniszczył jej znaleziska, tak jak zdradziecko pozbył się aparatu. Domyśliła się, w jaki sposób Toddowi udało się przekonać ich o swojej rzekomej niewinności. Trevor Waverling prawdopodobnie też na to wpadł, ale ponieważ nie mógł Bakerowi niczego udowodnić, czekał, aż przy innej okazji powinie mu się noga.

Sloan chciał jej oddać czaszkę, ale wówczas Samantha powiedziała mu o przyczynie konfliktu między nią i Nealem. Młody ranczer i tak bardzo się już martwił, że ojciec i córka nie mogą się dogadać, i zrozumiał, że czaszka może wszystko między nimi bezpowrotnie zepsuć. Neal będzie się upierał przy poszukiwaniu ropy, Sam będzie bronić swojego znaleziska. Kochając ich oboje, uznał, że najmądrzej uczyni, gdy ukryje czaszkę do czasu, aż zdecyduje, co z nią zrobić.

Zastanawiała się, czy któryś moment w ciągu ostatnich miesięcy był odpowiedni na to, żeby jej narzeczony, a później mąż przyznał się, że ma czaszkę, doszła jednak do wniosku, że taka okazja się nie nadarzyła. Najpierw bał się, że

Samantha mogłaby z tego powodu zerwać ich zaręczyny, potem lękał się o ich małżeństwo. Nie wiedział o wizycie Anne zaniepokojonej jego nagłą oziębłością. Podejrzenia dziewczyny okazały się słuszne. Sloan Singleton zrozumiał, że kocha Samanthę Gordon, i to od zawsze, a wizyta Anne była najlepszym dowodem na to, że zatrzymując czaszkę, troszczył się wyłącznie o swoją ukochaną. Podobnie jak Neal, nie wierzył, że Sam kocha go na tyle mocno, by nie mieć wątpliwości, że ożenił się z nią nie z nadziei na odnalezienie tysięcy baryłek ropy ukrytych pod ziemią Las Tres Lomas, tuż za płotem Triple S.

Czaszka była w składziku z bożonarodzeniowymi ozdobami. Wszystkie dowody na to wskazywały: reakcja Sloana, gdy Billie June zaproponowała, by przechować tam bagaże, usilne starania, żeby trzymać Daniela jak najdalej od domu, i epizod z ręcznikiem w roli głównej, kiedy Daniel naprawiał drzwi do schowka. Dowiedziawszy się, że nazajutrz składzik ma zostać uprzątnięty, Sloan w nocy zabrał z niego czaszkę. Wymknął się do kuchni dla pracowników, opróżnił karton z puszek fasoli, po czym zapakował do niego skamielinę, starannie zawijając ją w ścierki. Adres muzeum znalazł w czasopiśmie „The Archeologist”. Nie miał serca pozbawiać przyszłych pokoleń cennego znaleziska. „Człowieka określają motyw, którymi się w życiu kieruje”. W rzeczy samej. Sloan nie myślał o sobie. Kierował się miłością do żony i pragnieniem uratowania ich małżeństwa. Teraz jednak Samantha musiała to wszystko usłyszeć z jego ust.

– Konfesjonał dalej jest otwarty – powiedziała.

Raz jeszcze wyjechała, zostawiając Sloana. Oznajmiła mu, że musi to zrobić sama. Następnego ranka wsiadła do pociągu do Dallas. Był czwartek, dziesiąty stycznia. W Dallas wzięła na stacji dorożkę i pojechała do Waverling Tools. Przywitała ją Agatha Beardsley, spoglądając na nią z nieskrywaną irytacją.

– Czy pan Waverling oczekuje pani? – zapytała.

– Nie, ale przyjechałam z nadzieją, że go zastanę i że wybaczy mi to niespodziewane najście.

– Zastała pani pana Waverlinga, ale nie mogę pani obiecać, że panią przyjmie. Pan Waverling jest bardzo zajęty. Za godzinę ma pociąg, sprawdzę jednak, czy zechce się z panią spotkać. – Recepcjonistka nie kryła niezadowolenia, że harmonogram jej szefa może ulec zakłóceniu. – Proszę spocząć i poczekać, aż po panią przyjdę.

– Oczywiście – odparła Samantha i posłusznie usiadła.

Panna Beardsley odeszła, ale dosłownie po kilku sekundach w drzwiach recepcji pojawił się idący szybkim krokiem Trevor. Recepcjonistka truchtała za nim.

– Pani Singleton... Samantho! Co za nieoczekiwana przyjemność! Mam nadzieję, że nie stało się nic złego.

Wyciągając rękę na powitanie, bacznie się jej przyglądał, jakby chciał się

przekonać, czy jego obawy są uzasadnione.

Samantha wstała i uściśniła mu dłoń, przez rękawiczkę wyczuwając ojcowskie ciepło.

– Wszystko jest w porządku, choć mam nadzieję, że niedługo będzie jeszcze lepiej – powiedziała z uśmiechem. – Może przyszłam nie w porę? Jak rozumiem, jest pan zajęty i za chwilę ma pociąg.

Trevor kategorycznie pokręcił głową, przy okazji gniewnie zerkając na Agathę Beardsley.

– Zapewniam, że w niczym mi pani nie przeszkodziła. Mogę pojechać późniejszym pociągiem. Wybieram się tylko do Beaumont. Zapraszam do mojego gabinetu. Panno Beardsley, proszę dopilnować, żeby nam nie przeszkadzano.

Nieco ponad godzinę później Trevor wezwał recepcjonistkę. Przeżyła szok, widząc, że jej szef musiał się porządnie popłakać, jednak z drugiej strony wydawał się szczęśliwy jak nigdy dotąd. Pani Singleton trzymała w ręce chusteczkę i najwyraźniej ona także była czymś bardzo poruszona, miała bowiem zapuchnięte, czerwone oczy, ale podobnie jak pan Waverling uśmiechała się radośnie. Co tu się, u licha, dzieje?

– Panno Beardsley, gdzie jest mój syn? – zapytał Trevor.

– W Loving Convalescent Home, proszę pana. Rano pojechał odwiedzić brata.

– Proszę tam zadzwonić. Niech ktoś przekaże Nathanowi, że ma się spotkać ze mną w domu jego babki. To bardzo ważne. Ma przyjechać najszybciej, jak się da. Proszę wezwać Benjy'ego, niech przyprowdzi powóz, i uprzedzić moją matkę, żeby nas oczekiwała.

– Ale proszę pana, a pana wyjazd do Beaumont? Pan Lane dzwonił, żeby poinformować, że dowiercili się do ropy w Spindletop. Pytał, kiedy pan przyjedzie. Mówi, że koniecznie musi pan to zobaczyć. – Panna Beardsley, sama niezwykle podekscytowana, sprawdziła zegarek, który wyjęła z kieszonki w kłapie żakietu. – Jest dwunasta. Pozwoliłam sobie sprawdzić, o której jest następny pociąg, i jeśli się pan pośpieszy, zdąży pan na ten o pierwszej.

Patrzyła wyczekująco na Trevora, zupełnie ignorując intruza, który odrywał jej szefa od zaplanowanych zajęć.

– To wspaniała nowina, panno Beardsley, ale ja mam równie ważne wieści do zakomunikowania mojej rodzinie. Proszę trwać na posterunku, córka i ja zostawiamy wszystko pod pani opieką.

– Słucham?

– Nie przesłyszała się pani. Panno Beardsley, przedstawiam pani moją córkę, Samanthę Gordon-Singleton. Jest siostrą bliźniaczką Nathana.

Panna Beardsley stała z szeroko otwartymi ustami, podczas gdy Trevor prowadził Samanthę do czekającego przed wejściem powozu.

Epilog

W kwietniu 1901 roku Nathan poślubił Charlotte Weatherspoon, dokładnie dwa tygodnie po swoich dwudziestych pierwszych urodzinach. Był to ślub roku w kręgach towarzyskich Dallas. Ceremonia odbyła się w Pierwszym Kościele Baptystów, a poprowadził ją wielce szanowany George W. Truett, jedna z czołowych postaci swoich czasów. W uroczystości wzięło udział prawie pięciuset gości. Trevor Waverling wystąpił jako świadek pana młodego; brat Nathana Randolph i Daniel Lane byli друзbami. Mavis, Samantha i Sloan, wraz z Nealem i Estelle Gordonami, Leon i Lily z mężem zasiedli w ławkach zarezerwowanych dla rodziny pana młodego. Millicent im nie towarzyszyła. Nathan zerwał z matką wszelkie kontakty.

– Kwiecień to idealny miesiąc na zawarcie małżeństwa – oświadczyła Mavis. – To czas, kiedy wszystko rodzi się na nowo i, na miłość boską, rok powinien się zaczynać teraz, a nie w styczniu. Co ten papież Grzegorz sobie myślał?

Dla rancz Las Tres Lomas i Triple S kwiecień rzeczywiście stał się nowym początkiem. Przed południem, w trzecim tygodniu kwietnia, Jarvis Putnam, wiertniczy Szybu Pierwszego, jak nazwano platformę w Windy Bluff, zapukał do drzwi domu na ranczu Las Tres Lomas de la Trinidad. Otworzyła mu Silbia i na jego widok aż się cofnęła.

Jarvis zerwał z głowy ubrudzony ropą stalowy kask i wielką chustką otarł pokrytą czarnymi kroplami twarz.

– Proszę o wybaczenie. Wiem, że wyglądam przerażająco, ale muszę się widzieć z panem Gordonem i skorzystać z waszego telefonu, jeśli łaska.

Silbia nigdy wcześniej nie widziała Jarvisa Putnama, ale po wyglądzie sądząc, należał do nieokrzesanej ekipy, która kopała w Windy Bluff. Nie chciała wpuścić go do domu, żeby nie zapaskudził unurzanyymi w ropie buciorami czystej podłogi.

– A po co? – zapytała.

– Muszę powiedzieć panu Gordonowi i mojemu szefowi, że dokopaliśmy się do ropy.

Szyb Pierwszy był jednym z wielu, które pojawiły się później na tysiącu akrów połączonych rancz i które wydobywały miliony baryłek ropy ze znajdującego się pod nimi piaskowca i zwęglonych pokładów. Rancza nie zmieniły swoich nazw, ale występowały pod jednym wspólnym logo: S/S/S/, oznaczającym największe ranczo hodowlane w Teksasie. Na pomysł z trzema ukośnikami wpadła Samantha. Miały symbolizować trzy dopływy rzeki Trinity. Chociaż rozsiane po

całym terenie szyby stanowiły namacalny dowód na ogromną produkcję ropy, Las Tres Lomas i Triple S nie zatraciły swojego pierwotnego charakteru. Zajmowały się hodowlą bydła i z tego właśnie powodu – chociaż w nowy wiek Teksas wkroczył niesiony falą odkrytej na całym terytorium stanu ropy – wprowadziły nowe gatunki hodowlane, dzięki którym wołowina była lepszej jakości, a zwierzęta łatwiej adaptowały się do warunków panujących w środkowym Teksasie. W drodze eksperymentów powstały nowe gatunki traw i wreszcie zdrowe bydło ras santa gertrudi, hereford i beefmaster pasło się na zielonych pastwiskach, obok szybów i kiwonów.

Fortuna okazała się najłaskawsza dla tych, którzy w czasie uroczystości zaślubin zasiedli w ławkach przeznaczonych dla rodziny i znajomych pana młodego lub stali u jego boku. W ciągu zaledwie dwóch lat zakłady Waverling Tools opatentowały wiertło, które pozwalało przebijać się przez skałę z zadziwiającą prędkością. Jego twórcą był Daniel Lane. Podwójne wiertło zrewolucjonizowało przemysł naftowy, przynosząc milionowe zyski firmie i Danielowi, i uczyniło Waverling Tools światowym liderem w projektowaniu i produkcji sprzętu do wydobycia ropy.

Nathan w dalszym ciągu pracował jako landman, z czasem jednak stało się oczywiste, że jest jedynym dziedzicem Waverling Tools. Todd Baker zyskał sobie renomę jednego z najlepszych fachowców w swojej dziedzinie. Todd znajdował ropę, Nathan negocjował prawa do jej wydobycia. Powstające w całym Teksasie działki wydobywcze – Sour Lake i Batson-Old w hrabstwie Hardin, Humble i Goose Creek w Harris, Mission w Bexar, Piedras Pintas w Duval, Panhandle Osborne w Wheeler – przeszły do historii przemysłu naftowego. Na początku jego kariery Todda odwiedził Daniel Lane. Przyniósł ze sobą kopertę z logo zakładu fotograficznego Morrisa Keatona. Kiedy wyszedł z gabinetu Bakera, wciąż z kopertą w ręce i znajdującymi się w niej zdjęciami, geolog wiedział, że już nigdy więcej nie uknuje spisku, który sprowadziłby do niego Lane'a. Niestety, ten jeden raz wystarczył, by Todd został wykluczony z wewnętrznego, prywatnego kręgu Waverling Tools. Nie bywał też z żoną zapraszany na liczne spotkania Singletonów, Waverlingów i Lane'ów. Ku rozczarowaniu Ginny, podsycanemu podejrzeniami, że winę za to ponosi coś, czego dopuścił się jej mąż, nazwisko Baker nigdy nie pojawiło się w kronikach towarzyskich Fort Worth i Dallas.

Randolph pracował jako kasjer w banku w Ardmore w Oklahomie, gdzie w końcu doczekał się awansu na wiceprezesa, co było tytułarnym stanowiskiem, które dzielił z pięcioma innymi pracownikami. Ożenił się z miejscową dziewczyną, która bardzo przypominała Nathanowi kelnerkę, porzuconą przez brata w Nowym Jorku. Urodziła mu dwóch synów, którym Randolph starał się zaszcześcić żądzą bogactwa i wysokiej pozycji, do których tak pilnie się przygotowywał, by ostatecznie wszystko zaprzepaścić. Lily żyła długo i szczęśliwie z trzema córkami

i mężem, wykładowcą historii, w domu oddalonym o cztery przecznice od domu brata. Rodziny Haymakerów i Hollowayów spotykały się w każdą niedzielę po mszy na obiedzie w skromnym domu jednych albo drugich. Państwo Leonowie Holloway byli zawsze zaproszeni, lecz na ogół zjawiał się tylko ojciec.

Były też inne dobre zrządzienia losu, nie tylko te, które nosiły znak dolara. Pierwszym dzieckiem Samantha i Sloana był chłopczyk, którego nazwali Seth Gordon Singleton. Neal był dla niego dziadziuniem, Trevor – dziadziem, i tak właśnie Samantha zaczęła się zwracać do tego drugiego, mówiąc to zawsze z wielką czułością. W następnej kolejności pojawiła się na świecie córka i jeszcze jeden syn. Billie June i Daniel, oczekując, że urodzi im się syn i towarzysz zabaw S.G., jak wkrótce zaczął być nazywany pierworodny Samantha i Sloana, zostali dumnymi rodzicami trzech córek. Charlotte urodziła dwóch synów i córkę. Millie May nigdy nie wyszła za mąż, ale uwielbiała rolę ciotki wszystkich dzieci swojego rodzeństwa. Gordonowie, Singletonowie i Waverlingowie bardzo się do siebie zbliżyli, aż wreszcie stali się jedną wielką kochającą rodziną. Dzięki pojawieniu się automobili mogli się często nawzajem odwiedzać w swoich ogromnych posiadłościach, gdzie rozbrzmiewał śmiech, jadało się obficie i hałaśliwie się bawiono w towarzystwie dziewięciorga dzieci i dziesięciorga dorosłych.

– Czuję się jak piniata⁸ – rzekł Neal do Estelle po jednym z takich spotkań w Las Tres Lomas.

– Piniata, Nealu?

– Ano. Żyłem jak jeden z tych papierowych stworów, zawieszony wysoko, żeby nikt mnie nie dosięgnął, bojąc się podzielić zabawkami, które miałem w sobie schowane, aż tu nagle bum! Ktoś mnie walnął wielkim kijem. I wiesz co? Bardzo mnie to cieszy. Wiesz, zabciu, co chcę powiedzieć?

– Wiem, Nealu. Miłością zawsze jest się lepiej dzielić.

Pod koniec dekady „The Forum”, jedno z najbardziej poważanych czasopism w Ameryce, zamieściło trzystronicowy artykuł wraz ze zdjęciami, zatytułowany *Tytani*. Znalazł się wśród nich Neal Gordon, wymieniony obok Trevora Waverlinga.

– No widzisz, tatusiu, wreszcie zostałeś tytanem – powiedziała Samantha. – Jak się z tym czujesz?

Neal zmarszczył brwi.

– Nie tak dobrze, jak sobie wyobrażałem – odparł.

Samantha popatrzyła na niego ze zrozumieniem. Rok wcześniej zmarła Estelle. Jednak to nie jej śmierć była odpowiedzialna za brak entuzjazmu ranczera. Wczoraj po południu jego wnuczek, S.G., przyniósł mu kawałek długiej, dziwnie wyglądającej kości, którą znalazł sterczącą ze zrytej kraterami ziemi niedaleko miejsca, gdzie kiedyś stał Szyb Pierwszy. Z jakiegoś powodu to miejsce w magiczny sposób przyciągało wszystkie wnuki Neala.

– Dziadziuniu, do jakiego zwierzęcia to należy? – zapytał S.G.

Podziękowania

Pragnę wyrazić swoją wdzięczność wszystkim tym, dzięki którym, jak zwykle, ta książka powstała: mojemu agentowi Davidowi McCormickowi z McCormick Literary Agency; Deb Futter, redaktorze naczelnej Grand Central Publishing; przyjaciołom i fanom, których entuzjazm, z jakim przyjmowali moje poprzednie książki, inspirował mnie do pisania. Wielu moich przyjaciół po drodze odeszło. Z czułością i żalem żegnam Clintą Rodgersa, któremu dziękuję, że przez lata odpowiadał na moje wezwania o pomoc i leczył mój komputer ze wszystkich dolegliwości, jakie mu się przytrafiały. Niech Cię Bóg błogosławi, Clincie. Byłeś naszym najlepszym lekarzem domowym. Ze smutkiem żegnam też doktora Charlesa Melenyзера, cybernetycznego geniusza, który śpieszył z ratunkiem, choćby tylko na chwilę, ale zawsze. Charlesie, nigdy się nie dowiesz, jak bardzo sobie ceniłam, że zjawiałeś się dokładnie wtedy, kiedy byłeś potrzebny. Dzięki Tobie mogłam dalej pracować nad tą książką.

Jestem także bardziej niż wdzięczna doktor Beverly Alcot, sąsiadce i przyjaciółce, która z bezgraniczną cierpliwością i dobrocią przychodziła w sukurs mojej elektronicznej indolencji, służąc swoją w tej dziedzinie biegłością. Bev, z głębi serca dziękuję Ci, że byłaś przy mnie w każdej potrzebie.

W niektórych przypadkach żadne słowa nie są w stanie wyrazić niewyrażalnego, dlatego zwyczajnie Wam podziękuję, Arthurze Richardzie Meacham III, ukochany mężu, i Tobie, Ann Ferguson Zeigler, najdroższa przyjaciółko, za to, że dzień po dniu, tydzień po tygodniu towarzyszyście mi w mojej życiowej wędrówce. Wyrazy wdzięczności należą się również świętej pamięci Sarze Lynn Robbins, której wiedza pomogła mi pokonać stromizny naukowych badań i poszukiwań w czasie pracy nad *Tytanami*. Przede wszystkim jednak dziękuję Ci za trwającą sześćdziesiąt sześć lat przyjaźń, której wspomnienie będzie mi zawsze towarzyszyć. Spoczywaj w pokoju, Saro Lynn.

¹ Fragment wiersza Emily Dickinson w przekładzie Stanisława Barańczaka.
(Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² jw.

³ Przykład własny tłumaczki.

⁴ Fragment wiersza Thomasa Graya *Elegia napisana na wiejskim cmentarzu* w przekładzie Stanisława Barańczaka.

⁵ Emily Dickinson, *Dzień*, przeł. Teresa Pelka.

⁶ Christopher Marlowe, *Namiętny pasterz do swej lubej*, przeł. Stanisław Barańczak.

⁷ William Cullen Bryant, *The Hurricane*.

⁸ Piniata (z hiszp. piñata) – dekoracja wypełniona cukierkami i zrobiona z masy papierowej z dodatkiem kleju.

